

W lochach Babilonu

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

W lochach Babilonu

Bagdad!

Ile wspaniałych wizji budzi ta nazwa w duszy człowieka, który nie zna ani Bagdadu, ani jego stosunków, a wyobraża sobie słynne miasto jedynie na podstawie bajek z tysiąca i jednej nocy. Ludzie Wschodu nazywają Kair Bauwaabe esz Szark-wrota Wschodu, a Bagdad Nefs esz Szark - Dusza Wschodu. Określenie to było może słuszne przed laty, ale dziś straciło podstawy. Bagdad dzieli los wielu swych sio-strzyc, których sława i piękność należą do przeszłości. Nawet na to, co udało się uratować z dawnych czasów, należy patrzeć z daleka, z bliska bowiem wydaje się odrażające.

Dumna stolica kalifów, która była niegdyś ośrodkiem ruchu maho-metafiskiego, straciła, mówiąc słowami poety perskiego: „piękność twarzy, czerwiefi policzków, blask oczu, gibkość postaci i wdzięk linii”. Kiedyś otaczała istny raj, dziś wznosi się wśród równiny, którą można porównywać do wszystkiego, z wyjątkiem niebiańskiego ogrodu. ‘Iiż dokoła miasta jest trochę zieleni, ale o kilka kroków dalej rozpościera się kraj głuchy i wymarły. Przepływa przezeń Tygrys; nad rzeką wznosi się most długości jakichś dwustu metrów. Ruiny starego miasta i murów leżą po zachodniej stronie rzeki. Nowa i większa część miasta mieści się na wschodnim brzegu. Trzeba przyznać, że dziś jeszcze miasto od strony rzeki wywiera niezłe wrażenie; wystarczy jednak wejść w ulicę, a złudzenie pryska. Rozpadły się mury, otacza-jące miasto; po świetnych budowlach kalifów pozostały mizerne szczątki. Wszystkie okna murowanych domów wychodzą na podwórze; w krzywych, wąskich niebrukowanych ulicach widać tylko gołe ściany i wąskie zaryglowane drzwi. Najbardziej godne zwiedzenia są bazary; tworzą długie, sklepione krużganki, w których kupić można wszystko, co produkuje Wschód.

Latem jest tak gorąco, że mieszkańcy w dzień siedzą w chłodnych sardaubach, piwnicach, w nocy zaś śpią na płaskich dachach do-mostw. Podczas stosunkowo chłodnej zimy, członkowie rodzin zbierają się dokoła mangalu, kominka. Piece nie istnieją w ogóle. Bagdad został założony przez Al Mansura, drugiego kalifa Abba-sydów. Za czasów Haruna ar-Raszida miasto się powiększyło; zbudowano pierwszy most. Al Monstasir ufundował Akademię Chemii i Medycyny, która kiedyś była wzorem dla wszystkich szkół mahome-tańskich; od szeregu lat stała się jednak punktem zbornym dla kara-wan. Jeszcze gorszy los spotkał miasto. Zburzył je chan mongolski Hulagu. Następców jego przepędził Timur, który zdobył Bagdad i zrównał z ziemią. Dla uczczenia zwycięstwa wznosił szereg wież, używając jako fundamentów stu tysięcy głów pomordowanych mieszkańców. Po latach zdobyli Bagdad Osmanowie. Później miasto przeszło w ręce szacha perskiego Ismaela. Od czasu zwycięstwa sułtana Murada IV miasto znajduje się pod panowaniem tureckim. Z wspaniałych czasów Haruna ar-Raszida nie pozostało niemal nic, z wyjątkiem pomnika żony jego Zobeidy, stojącego samotnie na wzgórzu na prawym brzegu rzeki. Niesłusznie nazwano ar-Raszida sprawiedliwym. Dziewięć razy pielgrzymował pieszo do Mekki, ale nie należy zapominać, że ułatwiał sobie te podróże, każąc wyścielać całą drogę miękkimi dywanami i wnosząc na każdym postoju góspodę. Kupował poetów, opiewających sławę jego imienia, był jednak 6 znieawidzony przez poddanych. Nienawiść wzmogła się z chwilą, gdy własną siostrę, imieniem Abbasah, kazał wraz z dwojgiem dzieci zamurować żywcem. Ar-Raszid zdawał sobie sprawę z tej nienawiści. Bał się jej do tego stopnia, że z początku przeniósł swą rezydencję do Rakki nad górnym Eufratem, potem zaś przesiedlił się na płasko wzgórze północnej Persji, gdzie go też pogrzebano w miejscowości Chorasán. Syn jego

Mamum lubił się również popisywać bogactwami. Na uroczystości jego zaślubin z Buran, córką wezyra Hassana Ibn Sahr, w weselnych salach płonęły tysiące świec z ambry, a setkom gości rozdzielono kule z piżma i ambry, zawierające kwity na drogie kamienie, domy i posiadłości ziemskie. Wspomnienia tych czasów żyją jedynie w ustach hakawatów, oficjalnych gawędziarzy. Powodem upadku miasta był długi spór między wyznawcami Alego a jego przeciwnikami, który rozbił świat mahometafiski na dwa wrogie, dziś jeszcze walczące ze sobą obozy sunnitów i szytów. Przybywszy do Bagdadu okazaliśmy na komorze celnej nasze papiery. Przed udaniem się w dalszą drogę, postanowiliśmy odwiedzić miejsce, w którym niegdyś, podczas ostatniej bytności leżeliśmy po waleni zarazą. Trzeba było przede wszystkim pomyśleć o wyszukaniu mieszkania w mieście. W miejscu postoju karawan nie chciałem się zatrzymywać ze względu na brud i pluskwy; Halef uważał również, że będziemy jeszcze mieli dosyć sposobności do zapoznania się z „wdziękiem i czarem tych czworonożnych przyjaciół”. Europejczycy starają się zwykle korzystać w Bagdadzie z gościnności urzędników, przybyłych z Europy. Uważam, że nie jest to wskazane. Komu nie chodzi jedynie o powierzchowne poznanie kraju i narodu, kto ma zamiar zapoznać się z wszystkim gruntownie, ten musi zbliżyć się do mieszkańców, musi żyć ich życiem. Dlatego unikałem i unikam podczas mych podróży wielkich, wydeptanych szlaków, odrzucam balast europejskich nawyków i nie szukam Europejczyków. Wymaga to wielu wysiłków, znajomości języków, gruntownego przygotowania, rezygnacji z wygod, jako też pewnej dozy odwagi. Można wtedy jednak osiągnąć szereg korzyści, nie dostępnych na szerokim, wygodnym szlaku. Złożenie wizyty paszy lub tutejszemu konsulowi załatwiłoby na miejscu sprawę mieszkania, gdyż imię Kara Ben Nemzi było dobrze znane w tutejszych sferach wojskowych i urzędniczych. Nie chciałem się jednak uzależniać od grzeczności innych i postanowiłem sam znaleźć odpowiednie lokum dla nas i dla naszych koni. Nic więc dziwnego, że przy tej okazji przypominałem sobie Polaka, oryginała, u któregośmy swego czasu mieszkali. Wątpiłem, czy jeszcze żyje, a jeżeli tak, czy mieszka nadal w Bagdadzie i w tym samym domu, co przedtem.

Nie tylko ja przypominałem sobie naszego miłego uprzejmego gospodarza. Gdyśmy sprowadzili konie z kelleku na brzeg, Halef rzekł:

- Tratwa nie przedstawia dla nas obecnie żadnej wartości. Nikt jej nie kupi. Najlepiej będzie tratwę zostawić tutaj; niech ją sobie bierze, kto chce. Dokąd zwrócimy się teraz, sidi?
- Chciałem spytać cię o to samo.
- Przyszła mi pewna myśl do głowy. Mam nadzieję, że ci się to spodoba. Pamiętasz, u kogośmy wtedy mieszkali?
- Oczywiście.
- Może by się tam zwrócić?
- Myślałem o ty samym. Cieszyłbym się bardzo, gdybyśmy odnaleźli tego człowieka.
- I jego sługę, którego był niewolnikiem - roześmiał się Halef.

Oczywiście pamiętałem grubasa - służącego, który w oryginalny sposób pełnił swą powinność~. Przypuszczałem, że nie żyje, gdyż już wtedy wykazywał z nadmiaru tuszy skłonności do apopleksji. Mieliśmy dużo wolnego czasu, więc można było na wszelki wypadek odszukać dom, w którym kiedyś mieszkał Polak ze swym sługą i dowiedzieć się, kto go zamieszkuje obecnie. Dosiedliśmy więc koni i ruszyliśmy w kierunku domostwa. Stało w palmowym ogrodzie, w południowej części miasta. Mimo upływu lat, odnaleźliśmy je bez trudu. Tym razem nie zatrzymaliśmy się przed wąską furką, lecz przed bramą, mieszczącą się po drugiej stronie ogrodu. Zsiadłszy z koni, zaczęliśmy dobijać się do bramy. Po długim oczekiwaniu rozległy się powolne, ociężałe kroki. W bramie, którą po chwili otworzono znajdował się mały otwór. Przez ten otwór ujrzeliśmy długiego, ostrego, ostrzejszyjszego niż dawniej, nosa i starą bladą twarz. Spod wielkich okrągłych okularów spojrzała na nas para wyblakłych oczu. Padło pytanie, wypowiedziane cieniem, drżącym głosem:

- Czego tu chcecie?

Poznałem go od razu. To nasz były gospodarz, oficer turecki, polskiego pochodzenia. Nie nosił wtedy okularów. Od tego czasu bardzo się postarzał. Nie poznał mnie z pewnością, a ponieważ zapytał po arabsku, odpowiedziałem w tym samym języku:

- Mieszkasz sam w tym domu?

- Po co ci ta wiadomość potrzebna? - zapytał.

- Bo chciałbym tu zamieszkać.

- Nie mam miejsca dla obcych ludzi.

- Zapłacimy.

- Nie mam zamiaru wynajmować mieszkania. Widzę zresztą, że macie konie dla których nie ma u mnie pomieszczenia.

- W takim podwórzu? Pod dachem zmieszczą się więcej niż dwa konie.

- Do licha! Znasz to podwórze? W takim razie tym bardziej nie należy ci ufać.

Chciał zasłonić otwór. Wzięłem go za rękę i rzekłem:

- Możesz nam ufać. Jesteśmy uczciwi ludzie. Przynosimy ci pozdrowienia.

- Pozdrowienia? Od kogo?

- Czy nie pamiętasz, że kiedyś mieszkał u ciebie pewien perski książę z dwiema żonami i

orszakiem służby.

- Owszem - odparł pośpiesznie. - Był też pewien effendi z Niemiec wraz z towarzyszem Arabem. 9

- Ten effendi zwał się Kara Ben Nemzi?

- Tak. Znasz go?

- Znam i przynoszę od niego pozdrowienia.

- Żyje jeszcze? Bawił u mnie niedługo, ale polubiłem go bardzo.

Powiedz, gdzie teraz przebywa i jak mu się powodzi!

- Czy nie będzie lepiej, jeśli ci odpowiem w mieszkaniu?

- Oczywiście! Wejdźcie więc do ogrodu. Otworzę bramę.

Prawdopodobnie mieszcząca się po przeciwnej stronie furtka była częściej używana, niż brama. Musiał nateżyć wszystkie siły słabych drżących rąk, aby przekręcić klucz w zamku. Gdy mu się to wreszcie udało, skrzydło bramy nie chciało ustąpić, więc musiałem je pchnąć. Brama się wreszcie otworzyła. Ujrzelśmy starca w tych samych co dawniej olbrzymich pantoflach i w wystrzępionym znoszonym kaftanie. Zasuńawszy bramę, zaryglowałem ją i wręczyłem mu klucz.

- Chodźcie na podwórze! - rzekł i podreptał na swych cienkich nogach przez ogród w kierunku żłobów. Umieściwszy przy nich konie, udaliśmy się do sieni, z której prowadziły znane nam z dawnych czasów schody. Otworzył drzwi, mieszczące się po prawej stronie. Weszliśmy do biblioteki, która wyglądała tak samo jak przed laty. Wezwawszy nas do zajęcia miejsca na kanapie, klasnął w dłonie wschodnim zwyczajem. Czekałem z nateżaniem, kto się zjawi na to wezwanie. Oczyma duszy ujrzałem potwornie grubego Ganimeda, który wypijał wino swego pana i wodą napełniał jego flachy. Gospodarz musiał jeszcze kilka razy klasnąć w dłonie. Wreszcie, kiedym mu zawtórował otworzyły się drzwi i ujrzałem w nich ... Tak to był sługa we własnej osobie! Utył tylko niewiarygodnie. Policzki zwisały jak worki, pod oczami widniały krwią nabiegłe fałdy, tak że źrenic prawie nie było widać.

Podbródek okalający twarz, ważył na oko nie mniej, niż spore prosię. Głowę okrywał fez usiany tłustymi plamami, z których po wygotowaniu zebrałyby się niechybnie funt baraniego łożu. Jedynym ubiorem tej żywej beczki był podarty kaftan. Spod materii rysowały się słoniowate ramiona i łapy. A brzuch? Biada! A nogi? Tkwiły te nogi w pantoflach podobnych do czółen. Ruchów, które wykonywał, nie można było nazwać chodem, raczej sztywnym przepychaniem się

naprzód. Pot spływał mu z czoła, choć jedyną pracą, jaką wykonał było otwarcie najwyżej dwojga drzwi. Nic dziwnego, że sam gospodarz musiał nam otworzyć bramę. Grubas był jednak miłym, sympatycznym pocziwcem. Spytał przyjaznym, na pół poufałym, na pół uniżonym tonem:

- Czego chcesz, effendi! Znowu klaskałeś na mnie. Czy dasz mi kiedyś spokój? Rozkazuj jednak; spełnię, co karzesz.
- Kawy i tytoniu - brzmiała odpowiedź pana. - Widzisz przecież, mam gości.
- Kawy? Allah, Allah! - westchnął grubas, łypiąc oczyma.
- Czego stękasz? Ruszaj się! Istnieje przecież zwyczaj częstowania gości kawą.
- Wiem o tym, effendi. Zwyczaj zwyczajem, ale trzeba mieć... kawę!
- Przecież przedwczoraj wziąłeś ode mnie sześć piastrów na kupno kawy.
- Tak i przysięgam ci na wszystkich proroków i kalifów, że kupiłem, co poleciłeś.
- Gdzież się ta kawa podziała?
- Wyszła.
- Wyszła? Przecież ze względu na stan mego wzroku nie wypilem ani jednego łyku?
- Nie gniewaj się, effendi! Jestem niewinny, ale ja właśnie ze względu na stan mego wzroku muszę pić kawę; chodzi mi o doskonałenie wzroku, bym ci mógł służyć sumiennie i wiernie.
- Sześć piastrów w ciągu dwóch dni?
- Cóż można dostać za sześć piastrów? Idąc po kawę, muszę dwa razy wstąpić do kawiarni, aby się pokrzepić. W drodze powrotnej to samo. W rezultacie, na kupno kawy pozostają tylko dwa piastry. Cóż można za to otrzymać? Widzisz, effendi, jestem niewinny!
- A jednak muszę swych gości poczęstować kawą!
- Tak, musisz. Daj mi więc sześć piastrów.
- O jazik! O biada! Jeżeli cię poślę, wstąpisz znowu cztery razy do kawiarni i wrócisz dopiero wieczorem z zakupem za dwa piastry. Tracę głowę; nie wiem, co począć.

Ponieważ słowa te wypowiedziane były częściowo do służącego, częściowo do mnie, odrzekłem pojednawczo:

- Nie martw się, effendi! Zaopatrzyliśmy się w dostateczny zapas kawy; pozostało nam jeszcze nieco w kulbakach. Towarzysz mój zjedź na podwórze i przyniesie trochę kawy.

- Dzięki ci, panie! Zdejmujesz mi kamień z serca i ratujesz od hańby, że nie mogłem swych gości poczęstować brunatnym trunkiem gościnności. Za to będziesz mógł wypalić ze mną nieco najlepszego tytoniu, jaki mamy w Bagdadzie. Przynieś żywo tşibuki! Grubas, do którego słowa te zostały wypowiedziane, łypnął znowu oczami i zawołał żałośnie:

-Tşibuki?Allah'lAllah! O tytoniu, tytoniu!

- Nie jęcz, zwijaj się!

- Proszę cię, effendi, zbierz zmysły! Po co mam się śpieszyć, jeżeli i tak nic nie poradzę. Tytoniu nie ma.

- Nie ma...? To niemożliwe! Jakże to? Przecież nie paliłem przez cały ostatni tydzień!

- Ja również nie paliłem, effendi.

- Wszak przedwczoraj, gdyś chodził po kawę, miałeś także przynieść tytoniu. Dałem ci dziesięć piastrów.

- To prawda, otrzymałem dziesięć piastrów.

- No więc, gdzież jest tytoni?

- O tytoniu! Allahi, Wallahi, Tallahi!

- Gadaj! Muszę poczęstować moich gości tşibukiem.

- Racja, effendi, musisz! Proszę więc o dziesięć piastrów, a załatwię sprawę. 12

- Jeszcześ nie kupił tytoniu?

- Nie.

- A gdzie pieniądze, które ci dałem?

- Effendi, wiesz dobrze, że palę rzadko, gdyż porcja naszul~ tabaki, jest mi miłsza od fajki duchan, tytoniu. Ale byłem winien sprzedawcy tytoniu dziesięć piastrów za tabakę. Nalegał, groził, więc mu wreszcie spłaciłem dług.

- Tak? Zamiast nabić mi tşibuki, użyłeś tych pieniędzy dla swego nosa!

- Effendi, nie gniewaj się, pomyśl chwilę, a zrozumiesz, że jestem niewinny! Czyż mogłem dopuścić, aby sprzedawca tytoniu opowiadał po kawiarniach, że służący tak dostojnego pana, jak ty, nie jest w stanie płacić swych długów? Czy można było dopuścić, abyś się z tego powodu

musiał rumienić przed ludźmi? Jeżeli przywołaś wszystkie siły swej mądrości, powiedzą ci one, że nie myślałem o szczęściu swego nosa, lecz jedynie o tym, aby opinia twoja nie została narażona na szwank. Jestem przekonany, że nie wątpisz już o mojej niewinności! Spasione niewiniątko spojrzało na swego pana z takim wyrzutem, a pan obrzucił je tak bezradnym spojrzeniem, że rzekł:

- Nie martw się o tytofi, effendi! Pod tym względem jestem również zaopatrzony. Twój służący... jakże mu na imię?

- Kepek.

- A więc niechże ten twój Kepek przyniesie tszibuki, a towarzysz mój pójdzie tymczasem po kawę i tytofi.

-Jakżeś łaskawy, o panie! ‘I~lko dzięki twojej uprzejmości jestem w stanie spełnić wobec was obowiązki pana domu. Halef oddalił się, Kepek pozostał. Wzruszywszy kilka razy grubymi ramionami, opuścił dolną wargę i ukazał nam spod niej ostatni ze swych trzydziestu dwóch zębów.

- Czego chcesz jeszcze? - zapytał gospodarz.

- Mówisz o tszibukach, effendi, a zapominasz, że mamy tylko jeden i palimy z niego do spółki.
13

- Były przecież dwa!

- To dawne czasy. Jednego wszak używałem do rozdmuchiwania ognia w kominku, więc z czasem nieco się przypalił.

- Czy tszibuk powinien służyć za miech kowalski?

- Nie. Na dowód jednak swej niewinności muszę ci przypomnieć, że nie mogę się schylać; a tszibuk nie odczuwa żadnych bólów, gdy go trzymam nad ogniem. Zrozumiesz to chyba, effendi!

- Idź więc i przynieś fajkę!

Mogę chyba nie podkreślać, że ten stosunek między panem a służącym bawił mnie szczerze. Pobłażliwość pana musiała mieć pod-stawę. Przypomniałem sobie słowa gospodarza, wypowiedziane pod-czas naszej pierwszej bytności: shxzył u mnie, kiedy jeszcze byłem oficerem. Może opowiem wam kiedyś, dlaczego tak pobłażam temu człowiekowi. Wyświadczył mi wielkie usługi.

Kepek znaczy „koniczyna”. Doskonałe określenie! Przecież istnieją stworzenia, które się tuczy kepekiem. Przypomniałem sobie słowa, które kiedyś wypowiedział effendi: Sam wszystko zjada i wypija, a ja dostaję resztę. Nic więc dziwnego, że pan w przeciwieństwie do sługi był chudy, jak szczapa.

Zjawił się wreszcie Halef z kawą i tytoniem. Przyniósł również nasze fajki, wybawiając gospodarza z ostatniego kłopotu, gdyż w przeciwnym razie musielibyśmy wszyscy trzej palić z jednego tszibuka. Po jakimś czasie zjawiała się znowu „koniczyna”. Sapiąc, jak miech kowalski, wręczył swemu panu fajkę. Dokonawszy tego ciężkiego dzieła, grubas ulotnił się, przemykając drzwiami. Byłem przekonany, że stanął pod nimi, nie chcąc się przemęczać na wypadek, gdyby się panu zachciało znowu klasnąć w dłonie. Cóż się stało z kawą? Widocznie o niej zapomniał, wsunąwszy pod olbrzymi kaftan woreczek z ziarnami, przyniesionymi przez Halefa.

Nabiwszy tszibuki tytoniem i zapaliwszy je, były oficer rzekł:

- A więc przynosicie mi pozdrowienie od perskiego księcia, któ-rego zowią Hassan Ardszir mirza. Był to wielki, bogaty pan; może 14 należał nawet do rodziny szachinszacha.

Gruby Kepek wysunął głowę i rzekł:

- Tak, musiał to być wielki pan; wyjeżdżając, dał mi jako bakszysz trzy złote tumany.

Gospodarz, nie skarciwszy go ani jednym słowem, ciągnął dalej:

- Pewne powody skłaniają mnie do odmawiania gościny Persom.

Ale przed tym człowiekiem otworzyłem podwoje swego domu, ponie-waż sprowadził go Kara Ben Nemzi, którego polubiłem od pierwsze-go wejrzenia.

Grubas wsunął znowu głowę i zawołał:

- Mnie również bardzo się podobał, ponieważ dał mi bakszysz w wysoko~ci dwóch złotych tumanów.

Mówił prawdę. Opłaciła mu się wtedy gościnność, ponieważ Has-san Ardszir mirza obdarowywał wszystkich niezwykle hojnie. Spasiona twarz zniknęła znów za drzwiami, a gospodarz ciągnął dalej:

- Dziwnym człowiekiem był też ów Anglik, Dawid Lindsay, który ustawicznie rozprawiał o wykopaliskach. Musiał być jednak niezwy-kle bogaty; słyszałem, że kupił cały ogromny majątek księcia.

W drzwiach zjawiała się znowu głowa Kepeka:

- Tak, był bardzo bogaty. Jako bakszysz zostawił mi złotego lira inglizi, za którego zapłacono mi sto dwadzieścia piastrów.

- A więc razem otrzymałeś trzysta sześćdziesiąt piastrów bakszy-szu. Czyś je dotychczas zachował? - zapytał pan.

- Nie.

- Gdzież są?

- Wyszły, ulotniły się z aromatem tabaki.

- Tyle pieniędzy na tabakę?

- Nie gniewaj się, effendi, nie wzruszaj się bez powodu! Jeżeli policzysz, ile czasu upłynęło od tej chwili, zrozumiesz, że jestem niewinny.

Po tych słowach znowu skrył głowę.

Halef, nie mogąc się opanowa~, zapytał gospodarza:

- Czy nigdy nie słyszałeś o tych, którzy u ciebie mieszkali?

- O Persach i o Angliku nic; o tamtych dwóch trochę. Żyję bardzo samotnie, rzadko opuszczam ten dom. Kepek jednak, wychodząc po zakupy, wstępuje do czterech kawiarni, o których niedawno opowiadał. Bywalcy kawiarniani opowiadają tam sobie cuda o dawnych czasach. Gawędzą też często o wielkich wodzach i bohaterach. Toczą się również rozmowy na bieżące tematy, zwłaszcza jeżeli chodzi o sprawy, rozgrywające się w naszej okolicy. Kepek słyszał kilkakrotnie opowiadania o emirze i jego towarzyszu Arabie. Są to niezrównani strzelcy i najślawniejsi wojownicy, jak długa i szeroka Mezopotamia. Przed ich walecznością, sprytem i bronią drżą wszystkie ludy, mieszkające między granicą a pustynią. Kara Ben Nemzi posiada podobno zaczarowane strzelby, które strzelają bez naładowania. Mówią, że nigdy nie chybia. Uważam to za legendę. Fakt jednak powstania takiej legendy jest dowodem, że Kara Ben Nemzi i jego nieodstępny przyjaciel to niezwykli ludzie.

Przy tych słowach na twarzy Halefa odmalował się wyraz zachwyty.

Oczy mu zajaśniały. Zapytał triumfującym głosem:

- Halef? To pełne imię? Nie znasz jego pełnego imienia?

- Owszem. O ile sobie przypominam, brzmi ono Hadzi Halef Omar.

- O nie, to tylko początek! Najślawniejszy ten wojownik pośród wszystkich plemion Haddedińców zwie się Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah. I to jeszcze nie wszystko! Ze względu na niezliczoną ilość przodków i praprzodków mógłby powiększyć to imię tak dalece, że sięgałoby od ziemi aż po niebo i od nieba po ziemię.

Starzec znał bez wątpienia beduifiską zasadę, według której należy szanować człowieka stosownie do długości jego imienia. Wiedział również z pewnością i o tym, że każdy, kto pragnie nadać swej osobie autorytet, zwykł nawet doczepiać do imienia tyle fikcyjnych imion, ile 16 tylko zdoła spamiętać. Z tego też powodu nie zdziwił się uwadze Halefa i rzekł:

- Chciałbym wiedzieć, czy to prawda, że ten Halef był kiedyś biednym, nieznanym człowiekiem i że dzięki waleczności awansował na naczelnego szejka Haddedińców.

- Tak, prawda, mogę to nawet udowodnić - odrzekł Halef. - Czy poznałbyś tego zwycięzcę bohaterów, gdyby się znowu zjawił u ciebie?

- Wątpię. Wzrok mam wyczerpany.

- A po głosie? -

- Nie wiem. Trzeba długo z człowiekiem przebywać, aby jego głos zapamiętać, a ten Hadzi Halef Omar przebywał u mnie niezbyt długo. Nie wpadł mi zresztą do tego stopnia w oko, aby twarz i głos jego wryły mi się w pamięć.

- Nie wpadł ci w oko? Co słyszę! Pozwól, że nie będę krył się ze zdumieniem. Przecież oblicze niezrównanego szejka Haddedińców cechuje tak niezbadana głębia wyrazu, że można nią obdzielić całą karawanę bohaterów. Wszyscy wojownicy wrogich plemion, wszystkie dzikie drapieżne zwierzęta gór znają rysy jego twarzy i uciekają, gdy go tylko ujrzą lub posłyszają. A ty, któremu przypadł wielki zaszczyt poznania go w tym domu i nasycenia się wspaniałością jego zalet, mogłeś o nim zapomnieć? Zdumiewa mnie to niezmiernie. Spójrz na sławnego emira Kara Ben Nemzi effendi! On powie ci również, że nawet słabość twojej pamięci...

Gdy mały samochwał wymienił nieopatrznie me imię, gospodarz zdumiał się i przerwał:

- Powiedziałeś: emir Kara Ben Nemzi effendi. Czy dobrze zrozumiałem?

- Allah, Wallah! - roześmiał się Halef nieco zakłopotany. - Istotnie, mój sisi wypadł mi z ust.

Przypatrz mu się. Nie poznałeś go również!

-Maszallah! Bóg czyni cuda! Awięc to wy obaj?'Tyś Hadzi Halef Omar, a on Hadzi Kara Ben Nemzi?

- Tak, to my. Nie można nas z nikim pomylić.

- Witam was z całego serca i oświadczam, że wszystkie pokoje mego domu i wszystko, co posiadam, oddaję do waszej dyspozycji! Podbiegł do nas, uścisnął nas za ręce. Radosne to powitanie było tym bardziej wzruszające, że za pierwszej bytności byliśmy jego gości-mi bardzo niedługo. Miałem więc wrażenie, że radość jego płynie z innych~jeszcze pobudek.

Po chwili drzwi otworzyły się na oścież; wszedł przez nie Kepek i pośpieszył do nas w największym tempie, na jakie mu tusza pozwalała.

Wyciągnąwszy ku nam obie ręce, zawołał tubalnym głosem:

- Hamdulillah za wielką radość, którą mi dziś zgotowaliście. Jak już słyszałeś, mój emirze, nie zapomniałem o dwóch złotych tuma-nach, któreś mi ofiarował. Weszły wprawdzie do mego nosa pod postacią tabaki, ale nie zginęły, o nie! Spłynęły aż do serca. Od tego czasu marzyliśmy, by was znowu ujrzeć i wtajemniczyć w pewną sprawę, nad którą na próżno się głowimy.

Awięc jest i specjalny powód do radości! Stosunek między panem, a służącym był tak serdeczny, że bez wahania uścisnął ręce grubasa, co z powodu ich rozmiarów i zawartości tłuszczu nie łatwym było zadaniem.

- Tak, tak. - rzekł gospodarz. - Effendi, chcę cię prosić o radę.

Tyś jedyny człowiek, któremu mogę się zwierzyć.

- Chętnie ci służę. Ale dlaczego właśnie na mnie padł wybór?

- Uważam, że ty jeden potrafisz mi dopomóc. Wszystko, co mi o tobie opowiadano i czegom się dowiedział od Kepeka, utwierdza mnie w przekonaniu, że nie na próżno zwrócę się do ciebie. Uszczęśliwia mnie wasze przybycie, ponieważ przywracacie mi utracony spokój serca.

-A mnie siłę zdrowego trawienia -dodał Kepek melancholijnie.

- Żołądek mój wchłaniał dawniej wszystko, czym go karmiono. Od pewnego czasu odmawia mi posłuszeństwa i z trudem zmuszam go

18 jedynie do pochłaniania nieodzownej dozy pokarmu. Czuję, że umiem powoli śmiercią głodową; jestem przekonany, że Allah przysłał cię do Bagdadu, emirze, po to, abyś mnie ratował. Miałem ochotę odpowiedzieć śmiechem na jego skargi, ale opanowałem się i nie zdradziłem nawet mrugnięciem oka. Pan, również nie okazując współczucia dla biadafi sługi, rozkazał:

; Musimy dowieść, jak bardzo obydwaj goście są nam mili i pożądani. Kepek, żywo, biegnij na jednej nodze i każ przygotować jadło! Godzina obiadu dawno już minęła.

„Żywo, biegnij na jednej nodze!” Świetne wezwanie pod adresem niepospolitego grubasa. Nie ruszył się z miejsca. Wskazał tylko ze zdumieniem na głowę i spojrzał z wyrzutem na swego władcę.

- No, na co czekasz? - zapytał pan. - Nie wiesz, co się robi, gdy do domu zawitają tak mili goście?

- Owszem, wiem doskonale.

- Śpiesz się więc i przygotuj posiłek!

- O Allahu, o Mahomecie! Śpieszyć się, gdy pośpiech nic zmienić nie może?!

- Dlaczegoż to?

-Z powodu zupełnego braku zapasów. Gdy nic nie ma, nie można nic ugotować.

- Nic nie ma? - zapytał ze zdumieniem.

- Nic, absolutnie nic!

- Przecież przedwczoraj, gdym cię posłał po kawę i tytofi, przyniosłeś pół barana?

- Tak jest.

- I kure?

- Nie, koguta. Delikatnego, smacznego kogucika.

- A ryż, masło, pomidory, korzenie?

- Tak.

- A mąkę?

- Także.

- W takim razie masz wszystko niezbędne do przygotowania smacznego obiadu!
- O effendi, raczysz żartować! Wszystko, coś dotychczas wyliczył, zjedzone.
- Nie może to być! Któż mógł tyle spałaszować?
- Ja.
- Ty? Przecież nie masz żołądka wieloryba!

Grubas przybrał tęskną minę i rzekł:

- Effendi, niechaj ci Allah przebaczy, że mnie porównujesz z tym potworem morskim. Czyś nie słyszał, com niedawno powiedział? Sławny emir Kara Ben Nemzi i szejk Hadzi Halef Omar słyszeli mnie dobrze. Zaświadczą więc, że prawie nic nie jem, ponieważ biedny mój żołądek jest słaby i cienki, jak pęcherz, który każdej chwili może pęknąć.
- Przy tej słabości żołądka pochłonąłeś pół barana, młodego koguta i kilo mąki? O tym, coś dla mnie zostawił, nie warto nawet mówić!
- Allah! Spowijasz mą duszę w zasłonę smutku. To, com uczynił, uczyniłem ze szczerzej miłości do ciebie. Baran, który poniósł śmierć przed kilkoma dniami, zapachem swoim domagał się pogrzebu. Mia-łem pozwolić, abyś go jadł?
- Dlaczegoś kupił cuchnącego barana?
- Kiedy jeszcze nie cuchnął, nie było mnie u rzeźnika.
- Trzeba było kupić świeżą sztukę.
- Nie było innej. Wszystkie półcie mięsa w tej jatce cuchnęły.
- Dlaczegoś nie poszedł do innego rzeźnika?

Grubas łypnął znowu oczkami, rozejrzał się ze zdumieniem dookoła, złożył ręce, że aż huknęło, jakby kto palnął z sześciu moździerzy i rzekł:

- Niechaj mnie Allah chroni! Pójść do innego? Popatrz na mnie, effendi! Czy jestem chartem, że mi każesz gnać od rzeźnika do rzeźnika? Pomyśl o tym, że umrę, jeżeli mi oddechu zabraknie.

20 równie dobrze, że musiałem pójść nie tylko do rzeźnika, ale i wstąpić do kilku sklepów. Skądże starczyłoby mi czasu na wszystko, skoro musiałem jeszcze wypić cztery filiżanki kawy?

- Mogłeś raz odstąpić od swego zwyczaju.

- O nie, effendi, tak być nie może! Dziś przekonałeś się, jak ważne są te moje wizyty w kawiarniach; dzięki nim mogę ci komunikować wszystkie nowinki. Gdybym ci ich nie znosił, nie dowiedziałbyś się niczego o tych dwóch dostojnych mężach. Przyznajesz więc, że zarzut był niesłuszny i że jestem niewinny.

- Dobrze, dobrze, nie chcę na ten temat dyskutować; byłem jednak przekonany, że mięso wystarczy na cały tydzień i ...

- Na cały tydzień? Co ci też wpada do głowy! Jeżeli pół barana ma wystarczyć na cały tydzień, cóż ma przypaść na jeden dzień? A jeżeli mięso przy kupnie traci padliną, czyż po upływie tygodnia będzie pachniało mirrą? Już teraz było nie do przełknięcia. A jednak ugotowałem je i zjadłem z samozaparciem, abyś ty na swym zdrowiu nie stwierdził smutnych skutków. I oto, zamiast pochwały, zbieram wyrzuty. Trudna to rzecz być jednocześnie służącym i kucharzem czło-wieka, który twierdzi, że pół barana wystarczy na cały tydzień! Starego wzruszyła widocznie ta filipika. Odrzekł miękko i łagodnie:

- Dajmy już spokój baranowi! Ale dlaczego kogut znikł tak szybko z widowni?

- Proszę cię, nie wspominaj o kogucie! Widocznie tak było prze-znaczone w księgach. Zabito go w tym samym dniu, co i barana. ~ Kupiłem go jednocześnie z baranem, zaniósłem do domu i ugotowałem na tym samym ogniu. Trzeba więc było spożyć go z baranem. A zresztą, kogut uchronił mnie od śmierci. Trzeba ci bowiem wie-dzieć, że gdy baran przeszedł przez drogę swego przeznaczenia, żołą-dek mój znalazł się w stanie tak opłakanym, że już myślałem o opuszczeniu ziemskiej powłoki i powiększeniu grona przodków. Nie lękam się śmierci, tęsknię do wiecznych radości raju, pomyślałem jednak, co 21 się z tobą stanie, gdy cię opuścijedyna podpora dni twoich. Po długich walkach wewnętrznych postanowiłem wytrwać przy tobie, nie bacząc na to, że mnie tak często zasmucasz zbyt natrętnymi wyrzutami. Musiałem więc przezwyciężyć zły stan trawienia i powołałem do życia na pół umarły żołądek, rzucając mu na pastwę młodego koguta. Wszystko poszło składnie. Z radością obdarowałem swój żołądek porcją świeżo upieczonego chleba, której nie możesz mi odżałować. Ganisz mnie za to, że cię i siebie uratowałem. Jestem niewinny jak kozioł, posądzony o spożycie wielbłąda, podczas gdy to było sprawką lwa. Oto wszystko, co ci mogę powiedzieć, effendi. Czyfi teraz, co ci się podoba!

Starzec, wzruszony oracją „jedyną podporą swych dni”, skinął dobrotliwie głową i rzekł:

- Nie chcę cię zasmucać i cofam wyrzuty, ale to nie zmienia sytuacji. Nadeszła pora posiłku, a w domu nic nie ma.
- O Allah, Allah! Jakaż to słabość pamięci, jaki brak koniecznej przytomności umysłu! Jeżeli usłuchasz mej rady, wszystko skoficzy się pomyślnie.
- Cóż mi radzisz?
- Daj znowu pieniędzy, a pójde i przyniosę, co należy.
- I przed wieczorem nie wrócisz.
- No tak, muszę przecież zajrzeć do moich czterech kawiarni i opowiedzieć, że przybył do nas nieporównany emir Kara Ben Nemzi effendi oraz Hadzi Halef Omar. Będę musiał odpowiedzieć na tysiące pytań, trudno więc będzie wrócić przed zachodem słońca. Gdyby w Europie jakiś służący odważył się na taką zapowiedź, uważano by go za wariata, ale dziwaczny Kepek sądził, że miał pełne prawo zajadać, kiedy my głodowaliśmy i ani myślał o zrezygnowaniu z włóczęgi po kawiarniach. Bezgranicznie pobłażliwy pan jego nie wiedział, jak się zachować. Wyřęczył go Halef. Byłem z tego obrotu sprawy zadowolony, ponieważ sam nie miałem ochoty karcić oryginalnego grubasa. Mój mały Hadzi stracił już cierpliwość. Wstając, 22 klepnął niewiniątko po plecach, i zawołał:
- Wybacz mi, przyjacielu połowy barana i całego młodego koguta!

Czy nie byłbyś łaskaw powiedzieć, kto tutaj jest właściwie panem domu?

- Effendi, któremu służę.
- Ach, więc jesteś jego sługą?
- Tak.
- Któż powinien być posłuszny, sługa, czy pan?

Oczywiście, sługa.

-Pięknie, mój ty najżarłoczniejszy kucharzu na ziemi! A więc nie wolno ci robić, co ci się podoba, a musisz spełniać to, czego wymaga gościnność twojego pana. Postaraj się tedy jak najprędzej, aby jego goście mieli co do ust włożyć. Później będziesz mógł pójść do kawiarni. Nie mam prawa do rozkazywania tobie, ale jeżeli, uważaj co teraz powiem, jeżeli piśniesz choćby jedno słówko, że jesteśmy w Bagdadzie i zamieszkaliśmy w tym domu, będziesz jutro rano trupem Kepeka, mordowanego powoli i okrutnie przez całą noc!

Przerażony grubas cofnął się o kilka kroków z szybkością, jakiej bym się po nim nie spodziewał. Blednąc aż po koniuszki włosów, Ję~ął:

- Powoli i okrutnie... mordowanego... trupem...?

- Tak - odparł Halef bardzo poważnie.

- Ależ... dlaczego martwy... dlaczego zamordowany... dlaczego trup...?

- Posłuchaj! Mamy wrogów, ścigają nas, będą nas szukać w Bag-dadzie. Jeżeli nas znajdą, dojdzie do walki. My dwaj zwyciężymy, ale dom, w którytn mieszkamy, rozpadnie się w gruzy, a mieszkańcy jego zostaną zamęczeni na śmierć.

- Zamęczeni... na śmierć...! Niechaj Allah strzeże mnie przed diabłem, przed śmiercią i przed wszystkimi ludźmi, którzy mnie chcą pozbawić życia! Przez cały czas waszego pobytu nie wstąpię nawet do kawiarni. Będę milczał i nie zdradzę nikomu, gdzie przebywacie.

Najchętniej zostałbym w domu i nie wychodził poza granice naszego ogrodu.

- Doskonały pomysł! Jestem gotów udać się sam do miasta po zakupy. Chodź ze mną do kuchni!

Gdy się oddalili, gospodarz zapytał:

- Hadzi Halef Omar przesadził z pewnością. Naprawdę macie wrogów, którzy was ścigają?

- Spotkaliśmy ludzi, którzy odnieśli się do nas tak wrogo, że musieliśmy im dać pokosztować bata. Są to Persowie.

- Czy być może?

- Tak. Dyszą żądzą zemsty. Skoro się dowiedzą, że jesteśmy w Bagdadzie, będą nas szukać. Halef przesadził, aby twemu służącemu napędzić strachu. Mam wrażenie, że twój Kepek nie cierpi na nadmiar odwagi.

- Mylisz się, effendi. Piastował godność onbasziego, kaprała, należał do cenionych nieustraszonych podoficerów. Przy okazji pa-miętasz z pewnością, że nazywam się Ozorski i dosłużyłem się w wojsku rangi binbasiego, majora. Kepek postarzał się i rozleniwił. Dawniej był zwinny, ruchliwy, zawsze gotów do zwady; dziś, dzięki niesłychanej tuszy, trudno w19rost uwierzyć w jego bujną przeszłość. A może pod wpływem miłości i opieki, którą mnie stale otacza, stał się dziś ostrożniejszy, niż dawniej. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że z szablą w ręku nieraz oswobadzał mnie z rąk wroga i świadczył mu sługi, dzięki którym patrzę przez palce na jego słabostki i braki. Jestem przekonany, że i dziś w razie konieczności postawiłby swe życie na kartę. Jest mi wierny jak pies. Zna się na kuchni, więc zastępuje kucharza. Sam nieprawdopodobnie żarłoczny, karmi mnie resztkami, ale to mi wystarcza. Co do kawy, to gotuje dwa rodzaje: dobrą mocną - dla siebie, mdłą jak lura - dla mnie, twierdząc, że mocna kawa źle wpływa na nerwy. Do kroćset! Mówię o kawie, a zapomniałem, że nam jeszcze nie podał! Jakie niedbalstwo względem gości! Niech nam przyniesie kawy!

Klasnąłw dłonie raz, drugi, dziesiąty; grubas się nie zjawił. Dopie-ro, gdym ja walnął w dłonie tak mocno, że zaczęły mnie palić, wtoczył się powoli, mruczac z niechęcią:

- Znowu! Ledwie zdążyłem udzielić wskazówek temu analfabecie Hadzi Halefowi, który w dodatku śmieje się, zamiast ich słuchać z powagą i godnością, a już muszę lecieć. Czegóż chcecie?

- Kawy! - odparł pan.

- Kawy? Nie mam jeszcze kawy; Hadzi przyniesie. Sam płaci za wszystko, więc mu powiedziałem, aby i o kawie nie zapomniał.

- Przecież masz trochę kawy!

- Gdzie?

- Nie wiem, gdzieś ją podział, ale wiem, że Hadzi wyjął ziarna z kulbaki.

Przypomniałem grubasowi, że ukrył kawę na własnej piexsi. Kepek zaprzeczył jednak ruchem głowy i rzekł z nieprawdopodobnym spokojem:

- Tak, włożyłem ją tam, ale zdążyłem już wyjąć.

- Gdzież jest?

- Ukryłem.

- Po co~ ukrył?

- Aby nikt nie znalazł.

- Więc w rezultacie chcesz zachować tę kawę dla siebie?

- Tak. Przyznasz chyba, emirze, że mam do tego pełne prawa. Za kilka dni obchodzę id el milad, święto urodzin. Mam zamiar zaprosić kilku znajomych. Są to wytrawni znawcy kawy, a ponieważ spostrze-głem, że twoja kawa jest lepsza od tej, którą zwykł kupować mój effendi, zatrzymam ją na dzień urodzin, a wam ugotuję tę, którą przyniesie Hadzi. Nieco cierpliwości! Wróci wkrótce.

- Dlaczego właśnie twoi goście mają pić moją doskonałą kawę?

-Jakże możesz o to pytać, emirze! Według jednego z najważniej-szych przepisów Koranu należy zawsze podejmować gości tym, co najlepsze i najsmaczniejsze.

Ściągnąwszy groźnie brwi, odparłem:

- Właśnie dlatego, że przepis ten jest mi znany i dlatego, że znam cały szereg innych przepisów, odnoszących się również do spraw gościnności, dziwię się niepomierne, że śmiesz pozbawiać mnie własnej kawy i proponujesz w zamian gorszą. Twoi goście są gośćmi służącego, który był dawniej onbaszim, my zaś gościmy u twego pana, który ma rangę binbasiego. Któż jest dostojniejszy, on, czy ty? Zabierz się więc natychmiast do gotowania mojej kawy; pamiętaj, aby była mocna i smaczna, jak przystoi dla dostojnych panów! Ostrzegam cię przy tej okazji przed Hadzi Halefem Omarem. Przywykł do starannej i skrupulatnej obsługi, nie znosi lekceważenia. Ponadto chętnie jada smaczne potrawy i pija smaczne napoje. Kto tego nie przestrzega, tego zwykł bardzo prędko uczyć more su. Strzeż się jego gniewu! Jest to wolny Ben Arab. Na najmniejszy objaw lekceważenia potrafi odpowiedzieć razami lub nawet nożem.

Nie ulegało wątpliwości, że grubas już dawno nie słyszał takiej perrory. Pochyliwszy się nisko, rzekł pokornie:

- Dzięki ci, emirze, żeś zwrócił moją uwagę na niebezpieczne właściwości szejka. To istny satrapa! Zaraz przyniosą kawę, ugotowaną z twoich ziaren. Woda już się gotuje, a kawę zmełłem.

- Już? Przygotowałeś ją dla siebie, a my mieliśmy czekać?

- Wstrzymaj się od wyrzutów, emirze! Chcąc poczęstować moich gości, musiałem jej skosztować. Teraz, po twojej nauce, wiem, jak się zachować. Aromat kawy złagodzi twój gniew, odświeży zmysł powożenia. Idę, biegnę!

Zaczął przebierać nogami, jak rowerzysta. Uśmiechnąłem się pod nosem. Pan jego roześmiał się na całe gardło i rzekł:

- Wiem dobrze, że go rozpuścił, jak dziadowski bicz. Traktuję go, jak się w Europie zwykło traktować małe pieski lub kanarki. Im bardziej się rozzuchwalał, tym większą czułem dofi słabość. Dopiero ty nauczyłeś go more su. Jestem pewien, że skutki wkrótce nastąpią. Miał rację; grubas wrócił prędzej, niż się można było spodziewać, 26 i postawił kawę na stoliku.

Po chwili rzekł melancholijnie:

- Oto jest! Oświadczam, że nawet nie skosztowałem. W przyszłości będę ją sam gotował, choćby nawet błogi aromat miał mnie pozba-wić spokoju duszy. Jeżeli jednak, mój emirze, Allah w swej łaskawości natchnie cię myślą, że i ja powinienem wypie filiżankę tego napoju, nie zapomnij mnie o tym zawiadomić.

Po tych słowach oddalił się. W lepszych domach Wschodu zwykło się podawać kawę w filiżankach. Duże naczynia należą do złego tonu. Nasz poczciwy Kepek nie pomyślał o tym i przyniósł pełny dzbanek. Byłem z tego zadowolony, ponieważ nie lubię ustawicznego kręcenia się służby z filiżankami. Miałem również wrażenie, że gospodarz, korzystając z nieobecności służącego, zechce podzielić się ze mną informacjami, o którycti wspominał. Siedzieliśmy przez długą chwilę w milczeniu. W przerwach między jedną filiżanką a drugą zaciągałem się wonnym papierosem. Wreszcie starzec rzekł:

- Byłeś już w Persji?

- Byłem.

- Powiedz mi więc, czyś słyszał o pewnej Gul-i-Sziraz?

- O gul-i-Sziraz? Oczywiście! Róże z Szirazu są sławne, choć muszę przyznać, że hodowla róż w Rumili zachwyca mnie bardziej.

- Nie o to mi chodzi. Nie mam na myśli hodowli róż; mówię o określonej róży, którą z niewiadomych mi powodów nazwano Różą z Szirazu, Gul-i-Sziraz.

- O takiej róży nie słyszałem. Jest mi nieznana.

- To jest smutne.

- Mieszkaś tu od lat, ja zatrzymałem s~ę na Wschodzie przejaz-dem, a ty wręcz sądzisz, że znane jest mi wszystko.

- Pytanie to dowodzi, iż nie jesteś poinformowany, co i jak o tobie mówią. Opowiadania, krążące to na temat emira Hadzi Kara Ben Namzi effendi, upoważniają mnie do przypuszczenia, że wiesz o wszystkim.

- Iście wschodnia przesada. Europejczyk umie po prostu więcej od niewykształconego Araba. Oto wszystko.

- Wiem o tym równie dobrze, jak i ty. Cieszysz się jednak tak niezwykłą opinią, że jestem skłonny spodziewać się po tobie nieprze-ciętnych zalet. Czy Hadzi Halef Omar jest twoim przyjacielem, czy sługą?

- Przyjacielem.

- W takim razie musi być wtajemniczony we wszystko, co się odnosi do waszej dotychczasowej podróży?

- Tak. Nie mam przed nim żadnych tajemnic.

- Odłożę więc rozmowę, aż powróci. ‘Tymczasem możemy się posługiwać twą mową ojczystą.

Zgodziłem się bardzo chętnie, ale przyjemność ta nie trwała długo, gdyż zjawił się Halef i zameldował:

- Przyniosłem, co można było w pobliżu znaleźć. Powinno to starczyć na parę dni, chyba że gruby Ojciec Obżarstwa zje wszystko przez noc, ratując się przed śmiercią. Pozwólcie, że się zapytam, kto to będzie gotował i smażył?

- Oczywiście, Kepek, - odrzekł binbasi.

-Allah’l Allah! Czy znasz swoją kuchnię? Kiedyś tam był po raz ostatni?

- Przed laty. To królestwo Kepeka; nie wpuszcza mnie do niego.

- Byłem tego pewien. Dlatego wpadłem w taką pasję, gdy zaczął mówić o czystości życia i apetyczności potraw. Dałem mu godną odprawę. Ze strachu usadowił się na ziemi z takim hukiem, że myśla-łem, iż ziemia się wali.

- A potem? - spytał starzec, nieco zaniepokojony. - Cóż robi teraz?

- Nie martw się! Siedzi sobie najspokojniej; wstanie dopiero wtedy, gdy mu pomogę. Pozwól mu siedzieć, dopóki nie wrócę. Po-zwolisz, że zapytam, czy wolno mi wypowiedzieć swoje szczere zda-nie?

- Ależ, proszę bardzo!

- W takim razie muszę ci oświadczyć, że nie masz pojęcia, w jaki sposób przyrządzano i gotowano potrawy. Gdyby mnie zmuszono do zjedzenia choćby jednego kąska, pochodzącego z opasłej ręki tego Dzedd el Wasacha, Dziadka Brudu, brzuch mój przenicowałby się jak mieszek przy wysypywaniu pieniędzy.

Obawiając się, że rozgniewa naszego gospodarza, dałem mu znak, aby się miarkował. Nie bacząc na to, ciągnął dalej:

- Mój sidi kiwa na mnie, abym milczał. Skoro jednak pragniesz dzielić się z nami stołem, muszę ci oświadczyć, że przez cały czas naszego pobytu będę sam w kuchni. Nie chcę opisywać tej kuchni, bo mi brak słów, ale te naczynia, te naczynia!... W kącie stoi wiadro z wodą, w którym Kepek myje twarz i ręce; tej samej wody używa do gotowania. Na dnie wiadra leży gruba warstwa szlamu. Gdy usiadł, obezwładniony lękiem, wylałem mu całe wiadro na głowę...

- Źle postąpiłeś! - zawołał binbasi. - Jeżeli zachoruje i...

- Nie lękaj się! - przerwał Halef. - Ta kąpiel wyjdzie mu na dobre. Dowodem, że chciał jeszcze wody, jest fakt, iż z przerażenia rozdziawił gębę, jak wrota; niestety, wiadro było już puste. Potem rzuciłem okiem na gliniany garnek, w którym zwykł gotować jarzyny i mięso. Całe dno pokryte było na palec grubą warstwą brudnego tłuszczu. Kepek wyjaśnił mi z całym spokojem, że tłuszcz ten służy mu jako pasta do obuwia. Wyskrobałem naturalnie tłuszcz i wysmarowałem mu oblicze.

-Niech cię Bóg ma w swej opiece! Jeśliś rzeczywiście tak postąpił, to Kepek...

- Nie kłopotz się, effendi! - przerwał Halef. - Nic złego mu się nie stało. Zdjął spokojnie tłuszcz z twarzy; zachowa go z pewnością jako pastę. W swej gorliwości odkryłem również patelnię z miedzi, na której zwykł tobie, effendi, smażyćE mięso. Gotował się na niej maść na wyniszczenie pluskiew, które się rozmnożyły w jego łóżku. Posma-rowałem go nieco tą maścią. Potem...

- Wstrzymaj się! - przerwałem. - Nie chcę słyszeć nic więcej.

Pójdiesz i kupisz potrzebne na dziś naczynia; darujesz je później grubasowi. Mam nadzieję, że dzięki temu odzyskasz jego sympatię.

- A więc mogę się uważać za władcę kuchni?

Gospodarz skinął na to głową, po czym Halef oddalił się. Major był niesłuchanie zakłopotany i zbity z tropu. Starał się osłabić wrażenie słów Halefa za pomocą wyjaśnień. Nie sprzeciwiałem się, udając, że wierzę, iż główną przyczyną niechlujnego gospodarstwa jest zła sytuacja finansowa. Rozmawialiśmy na temat mojej i jego ojczyzny, którą kochał gorąco. Zapytał, czy zamierzam dziś wyjść do miasta. Gdym zaprzeczył, udaliśmy się do ogrodu i przekonałem się przy tej okazji, że koniom naszym nie zbywa na niczym. Po powrocie do domu zatrzymaliśmy się pod kuchennymi drzwiami. Wśród trzasku ognia i dźwięku naczyń rozległ się głos grubasa:

- Czcigodny szejku Haddedińów uważaj, by zupa nie wykipiała, bo szkoda każdej kropelki. Widzę, żeś prawdziwy mistrz kuchni i cieszę się jak sułtan myślą o tych potrawach.

Binbasi uśmiechnął się; ja również byłem zadowolony z dobrych stosunków, jakie między nimi zapanowały. Weszliśmy do pokoju. Po niedługim czasie wtoczył się Kepek i rzekł do swego pana:

- Effendi, ucztą wkrótce się zacznie, a Hadzi twierdzi, że jestem mu w kuchni zawadą. Czy wolno mi usiąść tutaj, jak zwykle, gdy nie mam nic do roboty?

Starzec obrzucił mnie pytającym spojrzeniem. Uświadomiwszy sobie, jak często ci dwaj samotni ludzie siadają razem, już choćby dlatego; że są skazani na obcowanie wyłącznie ze sobą, postanowiłem nie wprowadzać żadnych zmian. Odpowiedziałem więc onbaszemu, który wyglądał teraz znacznie czyściej:

- Siadaj.

Warto było patrzeć, jak on się sadowił! Naprzód odwrócił się do ściany i oparł o nią rękami, potem opuścił się wolno, nie pochylając się wcale. Wreszcie padł na poduszkę, jak kłoda. Musiałem zebrać

30 wszystkie siły, by nie wybuchnąć śmiechem. Brzuch grubasa wyglądał jak napełniony balon. Sapał onbaszi jak miech kowalski, usiłując zakryć nogi przykrótkimi połami kaftana. Po jakimś czasie westchnął i rzekł z uśmiechem ulgi:

- No tak! Nie podniosę się stąd, zanim się nie najem do syta.

- Jesteś głodny? - zapytał pan.

-Czy głodny?Allah ilAllah! Odczuwam większą udrękę, niż głód.

Kiedy się widzi szejką Haddedińów z wielkiego plemienia Szamma-rów uwijającego się zrecznie i apetycznie po kuchni, wszystkie wody ziemi i nieba spływają do gęby. Znam się na tym doskonale! Chciał-bym patrze~ bez przerwy, jak gotuje, i jeść, jeść ustawicznie, jak szalony!

Młasnawszy językiem ciągnął dalej z błogim wyrazem twarzy:

- Zresztą, nie jest taki zły, jak mi się wydawało z początku. W pierwszej chwili traktował mnie obcesowo. Później jednak pokazał mi cudowne naczynia i oświadczył, że daruje mi wszystkie. Nic więc dziwnego, że gniew mego serca zmienił się w rozczulenie. Przyniósł wody, rozpałił ogień, nastawił mięso i jarzyny. Potem znowu poszedł po wodę, przyniósł kawałek mydła i zabrał się do szorowania mej osoby. Z początku wydało mi się to zbyt uczynne, później jednak poczułem dlań wielką wdzięczność. Umywszy mnie dokumentnie, pomógł wstać i raczył polecić mi pieczę nad ogniem, aby się ryż nie przypalił. Podczas tego zajęcia dusze nasze coraz bardziej zbliżały się do siebie. Zauważyłem, że go polubiłem. A gdy mi dał do pokosztowania kawałek maszwi, smażonego mięsa nie mogłem się powstrzymać od uściskania tego wspaniałego szejka. Na to poprosił mnie uprzejmie, abym się udał do was i czekał w spokoju ducha na dalsze specjały. Wypowiedział to wszystko z błogim wyrazem twarzy: A gdy w drzwiach zjawił się Halef z kilkoma garnkami w ręku, twarz grubasa rozpromieniła się jeszcze bardziej. Halef wracał jeszcze kilka razy do kuchni. Wreszcie cały serir i podłoga zostały pokryte produktami jego sztuki kulinarnej. Po drugiej stronie, tuż przed grubasem, widniała 31 olbrzymia góra ryżu i mięsa; byłem pewien, że wystarczy mu na dziś i jutro. O, jakże się myliłem! Po krótkim stosunkowo czasie góra znikła, a „koniczyna” zaczęła wodzi~ tęsknym wzrokiem w naszą stronę. Wzrok ten mówił wyraźnie: „dajcie mi jeszcze”! Halef spełnił tę niemą prośbę z takim zapałem, że poczułem niejakie obawy o stan zdrowia grubasa. Nadeszła wreszcie jednak chwila, w której sam zrozumiałem, że nawet największy otwór można zasypać po brzegi. Poglądziwszy się pieszczotliwie po tej czę~ci ciała, którą przedtem porównywałem do balonu, onbaszi westchnął głęboko i rzekł:

- Dajcie już spokój, nie mogę więcej! O przekleństwo dosytu, o ciasnoto brzucha! Dlaczegoż człowiekowi jeszcze ślinka idzie do ust, kiedy już gardło nie chce nic przełknąć? Nie masz na świecie dosko-nałości! Pocieszam się jednak nadzieją, że nasz wspaniały szejk Had-dedińów uda się dziś jeszcze raz do miasta i odwiedzi rzeźnika. Jeżeli tego zaniecha, obawiam się, że jutro nic pożywnego nie dostanie. Halef był jeszcze bardziej rozradowany, niż nienasycony

grubas. Otrzymał przecież w formie opróżnionych garnków wspaniały dowód uznania dla swej sztuki kulinarnej. Pocieszył Kepeka nowiną, że zamówił już dalszą porcję mięsa, którą rzeźnik przyśle wieczorem. Halef mówił prawdę: przed wieczorem zjawił się wyrostek przysłany przez rzeźnika.

Byłem już przesycony mięsem. Nie wiadomo, czy będę miał okazję zakosztować go jutro. Może ruszymy w drogę, choć nie jest wykluczone, że pod wpływem opowiadania binbasiego pozostaniemy tu dłużej.

Opowiadanie majora

Nastał wieczór. Panujący w ciągu dnia upał nie ustępował, więc zabrali~my tytofi i fajki i przeszliśmy na płaski dach domu, zastępujący tutaj europejskie balkony. Po niedługiej chwili przywłókł się również onbaszi i przy pomocy Halefa rozsiadł się na jednej z poduszek. Jedyne tszibuk zaczął wędrować między panem i służącym. Niebo lśniło tysiącami gwiazd, wiatr poruszał palmami; szum drzew był jedynym szeptem wśród głębokiej ciszy. Noc jak z bajki! Lud osnuł Bagdad baśniami, które pod tytułem Alif leila wa leila, „T~siąc i jedna noc,” znalazły miliony czytelników i słuchaczy. Źródłem tych bajek było prawdopodobnie tysiąc opowiadań, Hezar efzane, zbiór Persa imieniem Nasti. Bajki te nie mają sobie równych, jeżeli chodzi o poznanie życia, obyczajów i poglądów Wschodu. Wa-leczność i rycerskość ludzi, ich zamiłowanie do przygód, żar nienawi-ści i miłości, chciwość urzędników, chytrość tak zwanej płci słabej, wspaniałość bogactwa i naga prawda nędzy znajdują dobitny wyraz w tych opowiadaniach, które piękna i pełna fantazji Szeherezada snuła przed królem Szahrijarem. Może delikatne liście bzu szepczą teraz o nieprzespanych nocach Szeherezady?

Muszę przyznać, że mało mnie to w tej chwili interesowało. Całą uwagę moją pochłaniał sąsiad, który bez wątpienia przechodził w

2 - W lodziac~ Babilonu 33

życiu swym niezwykle koleje. Szeptalo mi p,rzeczucie, ze nawet dzis jeszcze binbasi dzwiga na sobie brzemię dawnych trosk. Co go wyгна-ło z ojczyzny? Co go powstrzymuje od powrotu? Powstanie? Dlacze-go żyje samotnie jak pustelnik?

- Effendi, wierzysz w Boga?

Omal mnie nie przestraszył tym pytaniem, rzuconym nagle w noc.

- Tak - odparłem krótko.

- A ja nie wierzę!

Dziwnie ciężko brzmiał ten okrzyk: nie wierzę! Na Wschodzie ludzie zwykli się modlić częściej niż na Zachodzie; dlatego też zasta-nowiło mnie, że ani pan, ani służący nie zmówili przed i po posiłku modlitwy.

- Dlaczegoż to? - zapytałem po chwili.

-Nie mogę wierzyćw Boga, którego sprawiedliwości nie doświad-czyłem.

- Uważasz, że masz prawo występować z oskarżeniem przeciw temu, który w istocie swej jest wszechsprawiedliwością?

- Gdyby tak było, nie gnuśniałbym tutaj, a żyłbym w dworze mych ojców.

- Powinieneś być powiedzieć: gdybym był zaufał jego sprawiedli-wości, nie zabranoby mi tego, com utracił. Oko ludzkie sięga nieda-leko i nie jest w stanie zbadać wyroków Wszechwiedzącego, który widzi i wie, co się stanie w setki lat później.

- Gdyby wejrzał w moje życie, mógłby mu, jako Wszechpotężny, nadać inny przebieg i inną treść.

- Czy jesteśmy dziećmi Boga, czy też niewolnikami? Gdyby Bóg wglądał w każdą chwilę twego życia, określał każdą twą myśl, dyktował każdy odruch, kimże byłbyś wtedy? Bezwolną zabawką w jego ręku. Wierzaj mi, Bóg nie igra z ludźmi! Życie nie jest zabawką, człowiek to nie drewniany kręgiel, który lada kula może powalić.

- Czegoż Bóg chce od nas, o ile w ogóle istnieje? Dlaczego padamy bez winy, nie wiedząc

nawet za co. Dlaczego tysiące innych

34 niezasłużenie żyje w szczęściu? Dlaczego Bóg zabiera ludziom uczciwym dosłownie wszystko, a tym, którzy na to nie zasłużyli, dorzuca coraz więcej?

- Mówiąc o uczciwych, masz oczywiście siebie na myśli?

- Tak.

- Ci, o których mówiłeś, że na nic dobrego nie zasłużyli, to z pewnością ludzie, którzy pokrzyżowali twe zamiary i zniweczyli nadzieje?

- Tak, oni i jeszcze inni.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

- Mówisz po polsku?

- Nie.

- A znasz dzieje Polski?

- Owszem.

- Znasz martyrologię mego nieszczęśliwego kraju? I jego nie-szczęśliwych mieszkańców? Czy współczujesz im, ty, obcoplemieniec?

- Proszę cię, nie mów tak! W tym sensie człowiek nie powinien być nigdy godny litości. Współczucie jest w pewnych wypadkach rzeczą godną pochwały; w innych sytuacjach staje się obrazą. Istnieją nieszczęścia, które należy znosić z wyniosłą godnością. Współczucie jest wtedy poniżeniem. Zresztą, inaczej ujmuję pojęcie „nieszczęścia”, niż ty. Mam poczucie, że Bóg mną kieruje, więc nie uznaję nieszczęścia.

- Jesteś szczęśliwy, czy też szczęście dla ciebie nie istnieje?

- Nie uznaję przeciętnego szczęścia, które ludzie identyfikują ze szczęśliwym zbiegiem okoliczności. W wyższym rozumieniu istnieje szczęście tylko takie, które można nazwać rozkoszą niebiańską. Szczęście to jest nieskończone; nie można go wymierzyć. Nie ma ono granic. Polega na błogim poczuciu, że los człowieka spoczywa w ręku Boga.

- Ręka ta jest mi nieznana. Nie zaznałem ani boskiego, ani ziemskiego spokoju. Po co ci prawić, kim byłem i jakie zajmowałem

35 stanowisko? Sam o tym zapomniałem, a w każdym razie niechętnie powracam do tego myśla. Pochodzę ze starego, szlacheckiego, boga-tiego rodu. Nie chcę ci opisywać stosunków, wśród których wyrosłem. Zaznaczę tylko, że kształciłem się na oficera. Jedynym moim celem było uwolnienie ojczyzny spod jarzma ucisku. Przebywałem jakiś czas w Paryżu, aby przygotować powstanie. Zaprzyjaźniłem się tam z Mierosławskim. Posłano mnie do zaboru pruskiego, później do Królestwa. Brałem udział w nieudanym powstaniu poznańskim, biłem się pod Siedlcami, w Krakowie należałem do sztabu Tyssowskiego. Dyplomaci austriaccy zatopili nasze nadzieje w powodzi krwi bratniej, przelewanej przez chłopów pod wodzą Jakuba Szeli. Gdzie pozostała mi furтка ucieczki po galicyjskiej rzezi? W Prusach, w Austrii, w Rosji groziła ręka kata. Skazano mnie zaocznie na śmierć, powysyłało za mną listy goficzne, skonfiskowano mi dobra. Wywędrowałem więc do Turcji, gdzie pod nazwiskiem Ozorskiego wstąpiłem do wojska. Jako chrześcijanin nie mogłem w osmańskiej armii osiągnąć znośnych warunków bytu. Przyjąłem islam.

- Islam? - zapytałem z przerażeniem. - Ach, więc jesteś rene...

- Tak, renegatem. Wymów to słowo do kofica. Czegóż żądasz?

Nigdy nie byłem pobożnym chrześcijaninem, a na obczyźnie, na tuła-czce, straciłem resztę wiary. Wkrótce po przyjęciu islamu awansowa-łem.

- I dzisiaj dziwisz się, że masz złamane życie? Bądź szczery! Czy pragnąłeś jedynie wolności dla swego ludu? Czy też nęciła cię dawna świetność szlacheckiego stanu?

- I jedno i drugie.

- Oto trujący owoc, który sobie przemocą przywłaszczyłeś. Zni-szczył cię doszczętnie. A to przejście na mahometanizm! Nie rozu-miem ...

- Proszę, pozwól mi mówić, - przerwał. - Zapewniem cię, że jestem równie mało gorliwym muzułmaninem, jak byłem mało wie-rzącym chrześcijaninem. Zmiana religii nie była dla mnie sprawą

36 wielkiej wagi. Czyż nie wszystko jedno, czy wielbię Boga, czy Allaha, Chrystusa, czy Mahometa. Jeżeli Bóg istnieje, wszyscy ludzie są jego dziećmi. Pogląd ten zapewnił mi wewnętrzny spokój, któremu wiele zawdzięczam nie tylko w swojej karierze wojskowej. Wkrótce fortuna zaczęła się do mnie uśmiechać. Staliśmy w Bejrucie, którego załogę tworzyła dywizja z Arabii. Zaprzyjaźniłem się z pewnym kupcem miejscowym. Bywałem codziennie w jego domu, w którym, stosownie do perskich zwyczajów, rygor haremu mniej był surowy, niż u sunni-tów. Miał jedyną córkę. Mówiąc językiem Wschodu, była piękna jak jutrzienka. Ponadto otrzymała staranniejsze wychowanie, niż sunnic-kie córki haremu. Pokochaliśmy się. Ojciec dał mi ją za żonę, choć nie byłem szytą.

- Nie miałeś wyrzutów sumienia, że ojciec nim był?

- Najmniejszych. Przeskok od chrześcijaństwa do islamu był znacznie większy! Jakież sobie robić wyrzuty? Wcale nie żałowałem, że taki zrobił wybór. Przekreśliłem przeszłość i dawne marzenia. Odtąd żyłem wyłącznie dla rodziny i dla wojskowej kariery. Byłem bardzo szczęśliwy w małżeństwie. Po jakimś czasie narodził mi się syn, potem córka. W rok po jej przyjściu na świat przeniesiono mnie do Damaszku. Po kilku tygodniach przenieśli się tam również rodzice żony, nie mogąc żyć z dala od dziecka. Było to na początku pamiętnego dla Damaszku roku 1860. Znasz jego smutne dzieje?

- Znam.

- W takim razie nie będę się zagłębiał w szczegóły. Dowodem jak byłem szczęśliwy, są imiona, które dałem swym dzieciom. Syn mój zwał się Ikbal, Szczęście, córka zaś Sefa, Rozkosz. Żona miała nazywać się Almas, Diament; była dla mnie istotnie najdrogocenniejszym klejnotem.

- Jak się nazywał jej ojciec?

- Mirza Sibil. Zwano go również Agha Sibil. - Sibil znaczy po persku broda.

- Czy odziedziczył to imię, czy też dodał je sobie ze względu na 37 brodę.?

- Nie wiem. W każdym razie miał największą brodę, jaką kiedykolwiek widziałem. Mogę ją jedynie porównać z brodą króla włoskiego Wiktora Emanuela, którego podobiznę nieraz oglądałem. Dlaczego pytasz o to imię?

- Przez zwykłą ciekawość, ponieważ wymieniałeś imiona całej rodziny.

- Jakże niechętnie wspominam te wszystkie imiona! Mówią mi one o utraconym szczęściu, które już nigdy nie wróci.

- Dobroć Boga jest bezgraniczna; nikt nie powinien rezygnować z tego, co nazywasz szczęściem.

- Miłość ojcowska i macierzyńska to zupełnie coś innego, niż miłość ogólnoludzka. Czy masz dzieci, effendi?

- Nie.

- W takim razie zrozumiałeś mnie tylko częściowo. Czy mógłbyś się czuć szczęśliwy, gdyby ci zamordowano żonę? A mnie prócz żony zamordowano dzieci i rodziców małżonki!

Słyszając to Halef, zawołał:

- Niechaj przekleństwo Allaha spadnie na morderców. Gdyby mi zamordowano moją Hanneh, najwspanialszą ze wszystkich dziewczyn, kobiet i matek, lub drogiego syna Kara Ben Halefa, który

jest wcie-leniem waleczności i odwagi, szczęście mego życia umarłoby na wieki. Nie zaznałbym spokoju, dopóki nie udałoby mi się posłać złoczyhców do wszystkich diabłów, smażących się w czelu~ciach piekieł.

- Ty mnie rozumiesz lepiej, niż twój przyjaciel Kara Ben Nemzi.

I ja pałałem zemstą. Nie wiedziałem jednak, kto mi wymordował rodzinę, i na próżno szukałem morderców.

- Opowiedz, jak się to stało, - rzekłem. - To ulży twojemu zbolałemu sercu.

- Przeciwnie, będzie mi ciężej, - odparł. - Jątrzenie starych ran, które nie chcą się zagoić, sprawia tylko nowy ból. Już w Bejrucie poznałem naocznie śmiertelną nienawiść, która panuje między

38 mahometafiskimi Druzami, a chrześcijanami Maronitami z Libanu; mam wrażenie, że nienawiść ta trwać będzie wiecznie. Znasz te sto-sunki, więc nie będę ci ich przedstawiał szczegółowo. Nienawiść, o której mówiłem, nie tylko wynika z różnic językowych, lecz przede wszystkim z różnicy wiary. Druzowie i Maronici zamieszkują wzgórza i doliny Libanu. Obydwa plemiona posługują się mową arabską. Maronici są chrześcijanami obrządku zachodniego, a różnią się od katolików tylko pod względem niektórych ceremoniałów i stosowania celibatu. Druzowie zaś, wyznając islam, odprawiają tajemne obrzędy i podobno zachowali częściowo wiarę starosyryjską. Kiedyś, w zamierzonych czasach, oba plemiona walczyły przeciw 'I~rkom gdyż, jak wiadomo, narody, mieszkające w górach, najbardziej zwykły się opie-rać najeźdźcom. 'Imcy postanowili posiać między swych wrogów niezgodę, i w rezultacie w latach 1842 i 1845 doszło do krwawych, okropnych ekscesów. Gdy później podczas wojny krymskiej mahome-tanie doznali upokorzenia od swych sprzymierzenców Anglików i Francuzów, zbudziła się w nich nienawiść do chrześcijan. Najłatwiej można jej było dać wyraz w Libanie i w Syrii, gdzie interesy francusko-angielskie najbardziej kolidowały z interesami tureckimi. Gdy w roku 1856 mocarstwa zachodnie zmusiły sułtana, by w swym słynnym hatt-i-humajun przyznał wszystkim poddanym bez względu na wyznanie te same prawa, które mieli dotychczas mahometanie, w kraju powstało głębokie rozgoryczenie. Pierwszym widomym znakiem wrogich na-strojów było zamordowanie konsulów francuskiego i angielskiego w Dżuddzie prastarym porcie świętej Mekki, którego ludność odzna-czała się niezwykłym wprost przywiązaniem do islamu. Represje, powzięte w odpowiedzi przez obydwa mocarstwa, zwiększyły jeszcze gniew i nienawiść. Równocześnie zaczęto ograniczać do minimum władzę Wysokiej Porty nad pafistwami lennymi. W Serbii zdetronizo-wano Kara Georgiewicza, ponieważ był oddany sułtanowi, i powołano z powrotem O~renowicza. W Mołdawii i na Wołoszczyźnie obrano księciem niejakiego Cuzę. Wszystko to razem, wzmogło nienawiść 39 muzułmanów do chrześcijan do tego stopnia, że wybuch wojny stał się nieunikniony. Zaczęła się w Libanie. W Damaszku odbyła się tajna narada między tamtejszym paszą Ahmedem Abdallahem el Halebi, szejkiem ul Islam, największym mohametafiskim dostojnikiem duchownym i Kurszidem, paszą z Bejrutu. Wyniki tej narady streścił szejk ul Islam w następujących słowach: „jedyną odpowiedzią na hatt-i-humajun, ten akt gwałcący ducha i literę Koranu, powinno być wezwanie ludu do rzezi chrześcijan”. Decyzję tę pierwszy

wykonał Kurszid pasza; opuszczając Bejrut, kazał dać salwę armatnią, umówiony sygnał do rozpoczęcia rzezi. Był to początek krwawego powstania Druzów przeciw chrześcijanom.

W tym miejscu przerwałem:

-Zanim będziesz mówił dalej, bądź łaskaw wyjaśnić mi, czy w tym wypadku stoisz po stronie chrześcijan, czy mahometan?

- Jedna i druga strona dopuściła się wielu win i grzechów. Chcąc być sprawiedliwym, musisz przyznać, że Maronici pod względem etycznym stali znacznie niżej od Druzów i nieraz dawali im po wody do pogardy, nawet do zemsty. Nie będziesz mógł również zaprzeczyć, że właśnie chrześcijanie chcieli zdobyć szturmem stary Sydon i Saidę. Najkrwawsze jednak walki toczyły się na południowym stoku Antyli-banu oraz w mieście Raszey, leżącym na północnym stoku, niedaleko źródeł Jordanu. Jeszcze bardziej na północ leży u stóp Libanu miasteczko Sachleh, którego mieszkańcy twierdzili zawsze, że są najwaleczniejszymi wojownikami Maronitów. Stosunek ich do Druzów był zdecydowanie wrogi; Maronici pysznili się tym, że w pewnych obrzędach różnią się od katolików. Gdy się dowiedzieli, że walka się rozpoczęła, zaczęli strzelać w niebo ze słowami: „Gdyby sam Bóg przeciw nam wystąpił, nie potrafiłby zdobyć Sachlehu!” Wkrótce zostali za tę zuchwałość surowo ukarani. Ludy Maronickie, które miały im pośpieszyć z pomocą, stchórzyły i zawróciły z drogi, a do miasta wtargnęli arabscy Beduini, zamieszkujący pustynię, Druzowie z Libanu, Arnauci i Kurdowie z Damaszku oraz Metualisowie z 40 Baalbeku. „Tylko cześć mieszkaficów zdołała uciec z płonących domów. Wbrew przeciwnym opiniom, mogę cię zapewnić, że Druzowie zachowali się wprawdzie nielitościwie, ale z godnością. Kiedy ich sprzymierzeńcy zaczęli się znęcać nad bezbronnymi, Druzowie położyli kres okrucieństwu, oświadczając, że każdy, kto nie usunie starych i dzieci, lub dotknie kobiety, zostanie na miejscu rozstrzelany. Z kolei nastąpiło zdobycie miasta chrześcijańskiego Deir al Kamr, Klasztor Księżycy, położonego w górach Druzji: Miasto to zawdzięcza swą nazwę starymu klasztorowi Najświętszej Marii Panny, którą w Syrii zwykło się przedstawiać z aureolą księżycy u nóg. Niestety, mieszkańcy tego miasta również nieraz zachowywali się wobec mahometan wyzywająco, obrażając i znieważając przyjeżdżających do miasta Druzów. Wypędzili nawet jednego z ich szejków za to, iż chciał sobie zbudować na własnym gruncie dom pod miastem. Odchodząc miał powiedzieć: „A ja dom zbuduję i to na waszych czaszkach.” Zemsta nie dała na siebie długo czekać. Niemal całe miasto zostało z ziemią. Na chrześcijan, mieszkających w Damaszku, padł lęk. Czy wiesz effendi, ilu ich tam wtedy mieszkało?

- Przeszło dwadzieścia tysięcy. Dameszek był przecie stolicą filajeta syryjskiego i sandszaka szam-i-szerif. Należało się liczyć z zamieszkami i przewidywać, że przebieg ich będzie może bardziej krwawy, niż walki w polu.

- Tak, masz rację. Pozornie mieszkaficy Damaszku żyli z mahometanami w doskonałej harmonii, ale budzili w nich zawiść i nienawiść przez pyszałkowate wystąpienia i wystawny tryb życia. Najbardziej jednak drażniły mahometan wystrójone żony i córki chrześcijan, spacerujące bez zasłon po ulicach. Chrześcijanie zapomnieli, że mużulmanin ciągle jeszcze uważa się za zdobywcę i władcę tego kraju i że posiadają tylko prawa rajów, którzy zgodę na

przebywanie wkra-ju okupywać muszą specjalnymi podatkami. Jako ra'aja nie mogli posiadać ziemi i musieli zajmować się handlem; na tej drodze zdobyli bogactwa, którymi się nierozsądnie popisywali. Każdy człov,~ek ma

41 niezaprzeczone prawo pokazywania drugim, co mu się udało osiągnąć, ale tylko głupcy czynią to w sposób drażniący i bijący w oczy. Znałeś z pewnością wielu bogatych Greków i Ormian i wiesz, jak się zwykli zachowywać.

- Tak, masz rację. Słucham cię dalej.

- Położenie w Damaszku stawało się coraz groźniejsze. Chrześci-jafiscy konsulowie wystosowali pod adresem paszy zapytania, czy chrześcijanom nie grozi niebezpieczeństwo. Pasza dał uspakajającą odpowiedź, ale wybrał równocześnie z przedmieścia Salehijeh, zamieszkałego przeważnie przez Turkmenów i Kurdów, tysiąc ludzi rzeko-mo dla ochrony chrześcijan, a właściwie jedynie w tym celu, by rozpo-czą~ rzeź. Szejk ul Islam, dusza sprzysiężenia, uczynił również wszy-stko, by uspić czujność i obawy. Z drugiej strony, cały szereg wysoko postawionych mahometan, przyjaźnie usposobiony dla chrześcijan, ostrzegał ich przed tym co się gotuje. Ludzie ci oświadczyli konsulom, że wojsko jest gotowe do wielkiej rzezi; zakomunikowali również, że ludności cywilnej porozdawano brofi. Tymczasem wpuszczono do miasta sforę psów z uwieszonymi pod gardłem chrześcijafiskimi krzy-żami. Wszystkie te objawy, łącznie z kpinami i szyderstwem, nie potrafiły jednak zachwiać poczucia bezpieczeństwa zaślepionych chrześcijan. Pamiętasz dziefi, w którym nieszczęście spadło, jak pio-run z jasnego nieba?

- Stało się to dziewiątego lipca.

- Słusznie. Muezzinowie zaczęli właśnie nawoływać do modlitwy wieczornej; domy i koszary opróżniły się, ulice zaroily się tłumem ludzi. Nagle rozległy się okrzyki: „Mordujcie, rabujcie, palcie! Nad-szedł dziefi śmierci dla chrześcijan!”

W jednej chwili obsadzono dzielnicę chrześcijańską i zaczęła się okrutna rozprawa, tnwająca pełnych siedem dni. Już trzeciego dnia tysiąc czterysta domów leżało w gruzach. Zginęło przeszło pięć tysięcy ludzi, zamordowano i porwano przeszło tysiąc kobiet.

-Ta rzeź chrześcijan - przenałem -mogłaby przybrać o wiele

42 większe rozmiary, gdyby nie obecność sławnego ze szlachetności emira algierskich Beduinów Abd al Kadera.

-Tak jest. Straszliwy ten przeciwnik protektoratu musiał opu~ci~ swą ojczyznę i przybył do

Damaszku, by tu spokojnie spędzić resztę swoich dni. Po obsadzeniu Algierii przez Francuzów wielka ilość Arabów przeniosła się do Damaszku; wśród nich było wielu wojowników Abd el Kadera. Ramiona jego dźwigały zwycięsko chorągiew proroka na wielu polach walki; okupacja Algierii musiała mu zohydzić wszystko, co chrześcijańskie. Władze więc mahometaniskie, choć liczyły się z jego wpływami w Damaszku, miały wszelkie podstawy do przypuszczenia, że nie będzie czynił przeszkód krwawej łaźni. Ponad-to przeważało przekonanie, że Lew Algierii, jak go powszechnie nazywano, postarzał się, zgnuśniał i nie będzie prędko do szabli, którą niegdyś władał tak energicznie. Okazało się, że przypuszczenie było fałszywe. Gdy ze względu na poważanie, którym się cieszył, i na doświadczeniach wojskowych, powołano go do tajnej rady wojennej, zwróconej przeciw chrześcijanom, oświadczył paszy z nieustraszoną szczerością: - „To, czego ode mnie żądacie, sprzeciwia się naszym prawom. Jestem lepszym muzulmaninem, niż wy, i będę bronił chrześcijan. Jestem gotów zginąć, ratując honor islamu!” Gdy walka rozpoczęła się mimo tego oświadczenia, Lew Algierii dotrzymał słowa. Otworzył prześladowanym bramy swego domostwa; pomagał każdemu zbiegowi, którego wygnano z mieszkania. Na czele swych nieustraszonych Afrykanów walczył przeciw tureckim żołnierzom i tłumowi. Udało mu się ukryć w zamku jedenaście tysięcy chrześcijan, zbiegłych ze szpitali, oraz kilka sióstr miłosierdzia z dwustu młodymi wychowanicami. Podczas siedmiodniowego pogromu zginęło wielu spośród jego wojowników. W prywatnym mieszkaniu Abd el Kadera znalazło schronienie również kilkuset chrześcijan. Szejk ul Islam dał wówczas rozkaz, aby kilka tysięcy żołnierzy i włóczędzów zaatakowało mieszkanie Lwa Algierii. Na to Abd al Kader wysłał swych Afrykanów do mohametaniskich dzielnic, poleciwszy im nieść w rękę płonące pochodnie, sam zaś stanął przed napastnikami w hełmie i pancerzu i zawołał groźnie: „Nikczemnicy, sądźcie, że krwią i morderstwem można czcić proroka? Jeżeli nie zawrócicie, każę ściąć paszę i jego oficerów, a do domów waszych powrzucam płonące pochodnie!” Pomogło to, ale nie na długo; tymczasem jednak rozeszła się wieść, że sprzymierzeniec Abd el Kadera, shejk Hauran, do którego Lew Algierii zwrócił się o pomoc, zbliża się na odsiecz na czele licznego zastępu wojowników. W rezultacie napastnicy odstąpili od zamiaru zdobycia prywatnego mieszkania; skierowali się jednak pod zamek, w którym znaleźli schronienie uratowani przez Abd el Kadera chrześcijanie. Zamek, położony w północno-zachodnim zakątku starego miasta, otoczony jest głębokimi fosami. Mury budowli są niezwykle mocne i grube. Chrześcijanie czuli się więc w nim chwilowo bezpieczni, ale musieli spędzić szereg straszliwych dni w głodzie, pragnieniu, lęku i gorączce, dopóki pod wpływem interwencji mocarstw zachodnich Ahmed Pasza nie został odwołany, a następca jego Fuad Pasza nie pojawił się na czele nowych wojsk dla przywrócenia ładu. Po oswobodzeniu prawie wszyscy chrześcijanie wywędrowali, nie wierząc, aby fanatyczna nienawiść przeciw Frankom nagle zanikła.

- Nie dziwię się im, zwłaszcza, że bardzo opieszale wymierzano sprawiedliwość tym, którzy rzeź rozpoczęli.

- Effendi, mogę w tej materii więcej powiedzieć od ciebie. Kara dosięgła tylko niewielu winnych, ale spadła za to na niewinnych, wśród których i ja byłem.

- Na ciebie?

- Tak jest - odparł. - Ahmedowi Paszy pozwolono opuścić miasto w uroczystym pochodzie, w Smyrnie zaś uczczono go wystrzałami armatnimi. Dopiero później, pod wpływem mocarstw Zachodu, Fuad Pasza kazał go sprowadzić do Damaszku i rozstrzelać. Rozstrzelano również komendantów Raszei i Hasbei. Nic nie wiadomo jednak o ukaraniu Abdalkaha el Halabi, szejka ul Islam. Widocznie ręka sprawiedliwości nie potrafiła dotrzeć do najwyższego duchownego. A

44 przecież on właśnie posłał pierwszych morderców do domu pewnego bogatego chrześcijanina, tylko dlatego, że był tamtemu winien dużą sumę pieniędzy. Morderców nie ukarano, lecz za to powieszono niewinnie około sześćdziesięciu mieszkalców i rozstrzelano stu żołnierzy i oficerów, wśród których i ja się znajdowałem.

- I mimo to żyjesz?

- Oczywiście! A żyję tylko dzięki onbaszemu i nie zapomnę mu tego nigdy.

- Zaciekawiasz mnie! To, coś dotychczas opowiedział, było mi ogólnie znane; mam nadzieję, że teraz opowiesz nam coś, co pochłonie całą naszą uwagę.

- Możesz sobie wyobrazić, jakie by to dla mnie było straszne, gdyby mi kazano strzelać do niewinnych chrześcijan; jako oficer musiałbym przecież spełnić rozkaz. Na szczęście, kompania moja została przydzielona do oddziałów, mających pilnować zamku. Dzięki temu nie musiałem występować brutalnie przeciw ludziom, których wiarę kiedyś wyznawałem. Przyszło mi stać pod zamkiem trzy pełne doby. Nie widziałem ani dzieci, ani żony, ani jej rodziców. Gdy mnie później zwolniono na pół dnia, znalazłem dom i ulicę w popiołach. Opowiadano mi, że nienawiść tłumu zwróciła się nie tylko przeciw chrześcijanom, ale również przeciw mahometanom-szyitom. Ojciec mej żony był Persem, a więc szyitą; wiedziała o tym cała dzielnica, w której mieszkaliśmy. Wiedzano również, że jest bogaty. To wystarczyło, by skierować na nasz dom rozszalałych sunnickich łotrów. Możesz sobie wyobrazić, co się ze mną stało. Jak obłąkany zacząłem się grzebać w gruzach domu. Kepek był mi pomocny. Ale gruzy były jeszcze gorące i musieliśmy się cofnąć. Pobiegliśmy do sąsiadów. Pod wpływem ich wyjaśnień smutek mój zmienił się w wściekłość. To nie sunnici zniszczyli moje szczęście, tylko zgraja perskich wyrzutków, prowadzona przez jednego z wrogów mego teścia. Ona to zamordowała go wraz z całą rodziną, obrabowała doszczętnie i podpaliła dom. Od tej chwili czuję nienawiść do wszystkiego co perskie. Późniejsze wypadki spotęgowały jeszcze tę nienawiść. Byłem nieprzytomny z rozpacz. Postanowiłem wyśledzić sprawców. Kepek tłumaczył mi, że w takim zamęcie jedynie przypadek może mnie naprowadzić na ślad zbrodniarzy. Nie bacząc na te słowa, postanowiłem trwać przy swym zamiarze. Urlop nasz się koficzył; trzeba było zameldować się w Buluku. Kepek ostrzegał mnie przed skutkami samowolnego przedłużenia urlopu. Nie zwracałem na to najmniejszej uwagi, nie myślałem nawet o przerywaniu poszukiwań. Odesłałem tylko Kepeka z poleceniem, aby mnie wytłumaczył przed pułkownikiem i poprosił w moim imieniu o przedłużenie urlopu. W podnieceniu i zdenerwowaniu zapomniałem o tym, że oficer ten nie jest mi przychylny z powodu jakiejś dawnej zadry i z tego jeszcze względu, że dosłużyłem się rangi, której on w moim wieku nie posiadał. Poza tym miałem widoki na dalszy awans i można było przewidzieć, że wkrótce przewyższę go szarżą.

Kiedy po dwóch dniach mordęgi zjawiłem się przed nim ledwie żywy, kazał mnie zaaresztować. Postawiono mnie przed sądem wojennym, oświadczone w żywe oczy, że moja relacja o krewnych i mordercach jest bajką, zmyśloną tylko po to, aby upiększyć fakt niestawienia się na czas. Rzucono mi w twarz oskarżenie, że brałem udział w mordowaniu chrześcijan. Na dowód tego powołano nawet świadków. Byli to ... służący Persowie, których mój teść wypędził ze swego sklepu za oszustwa i malwersacje.

- Rozumiem wszystko. Fuad Pasza szukał winowajców, a ponieważ z pewnych względów trzeba było oszczędzać istotnych sprawców krwawej rzezi, rzucono winę na tych, z którymi się miało dawne porachunki; kazano mi pokutować za niepopelnione winy.

- Masz rację. Krótko i węzłowato. Zostałem skazany na śmierć.

Muszę przyznać, że sam przyczyniłem się do tego wyroku. Zamiast bronić się spokojnie, do tego stopnia obraziłem sędziów, którzy w ogóle byli mi nieprzychylni, że nie mogło być mowy o łagodnym wyroku. Tego samego dnia wieczorem odprowadzono mnie z innymi skazańcami na miejsce kaźni. Egzekucję mieli wykonać żołnierze

46

mojej własnej kompani; wśród nich Kepek. Przystąpił do mnie i nakładając mi chustkę na oczy, szepnął: - „Gdy damy salwę padnij i nie ruszaj się z miejsca. Umówiliśmy się, że żaden z nas nie będzie celował. Lekarz wojskowy zgodził się na to również.” Muszę przyznać

że wszyscy moi podwładni odnosili się do mnie bardzo przychylnie, ponieważ w ramach przepisów służbowych byłem dla nich zawsze bardzo pobłażliwy. Lekarz był z pochodzenia Grekiem; pozostawałem z nim w bliskich stosunkach. Gdy się rozległa salwa, padłem na ziemię i nie ruszałem się z miejsca. Rozległo się jeszcze kilka salw i po chwili zauważyłem, że lekarz sprawdza, czy skazańcy istotnie śmierć ponieśli. Zbliżył się do mnie; poczułem jego ręce na mojej piersi. Po jakimś czasie usłyszałem dźwięk łopat, łomów i motyk. Miałem wrażenie, że noc już zapadła. Zawleczono mnie na bok i zdjęto opaskę z oczu. Mimo ciemności ujrzałem pochylonego nad sobą onbaszkiego, który rzekł:

- Panie, chodźmy! Musimy co żywo uciekać z Damaszku.

Skoczyłem na równe nogi i idąc w jego ślady, zapytałem:

- Przeze mnie zostajesz dezertorem?

- Tak, bo cię kocham.

Po stracie najbliższych śmierć nie była dla mnie straszna. Ale myśl o mordercach podtrzymywała mnie przy życiu; myśl o zemście nie dawała mi spokoju. Niestety, wszystkiewysiłki i poszukiwania okazały się daremne. Nie chcę cię nużyć długim opowiadaniem; powiem tylko, że Kepek nie opuszczał mnie w najcięższych chwilach, gdyśmy klepali ogromną biedę. Całym naszym majątkiem były drobne oszczędności z żołdu Kepeka. Po wielkich mitręgach i znojach dotarliśmy do Konstantynopola i dalej. Przez szczęśliwy przypadek spotkaliśmy się z Mithatem Paszą, człowiekiem łagodnym i wielkodusznym, który później stracił całą aureolę swej sławy. Dowiedziawszy się o naszych przeżyciach, przyjął nas do swych oddziałów. Walczyłem go z nim w Bułgarii potem ruszyłem razem z nim do Bagdadu. Tu otrzymałem rangę majora i funkcję naczelnika 47 urzędu celnego. Względy paszy pchnęłyby mnie jeszcze wyżej, gdyby historia, którą zaraz opowiem, nie zmusiła mnie do opuszczenia stanowiska. Muszę tu nadmienić, że przed Kepekiem otwierały się również perspektywy awansu, pozostał jednak przy stopniu onbasie-go, aby być nadal u mego boku.

Korzystając z krótkiej pauzy, wyciągnąłem do grubasa rękę i uściskałem serdecznie jego dłofi. Zrozumiałem teraz, dlaczego pan tak pobrażał wiernemu słudze. Starzec ciągnął dalej:

- Znasz stosunki, panujące w tutejszej komorze celnej?

- Nie - odparłem.

- W takim razie nie możesz mieć pojęcia o chaosie jaki tam panował w chwili gdy Midhat został gubernatorem Iraku. Dużo czasu upłynęło, nim mu się udało zaprowadzić porządek. Ponieważ był bardzo surowy, ludność odnosiła się do urzędników celnych z jeszcze większą nienawiścią, niż w innych miastach, gdzie się również nie cieszą popularnością. Urzędnik celny był szczone jak pies i narażony na wszelkie niebezpieczeństwa, gdyż na rzece od strony Persji kwitło przemytnictwo. Trudniły się tym procederem tysiące ludzi i oni podjęli z nami walkę na śmierć i życie. Nie wiem, jak teraz te sprawy wyglądają i wcale mnie to nie interesuje. Możesz mi w każdym razie wierzyć, że jako najwyższy urzędnik celny byłem najbardziej znienawidzony. Nie chciałbym przeżywać jeszcze raz podobnych okropności. Nic dziwnego, że patrząc obecnie na mego grubego onbasiego, miałeś wątpliwości, czy był mi istotnie wiernym i odważnym pomocnikiem. Wtedy był jeszcze całkiem sprawny.

- Jakie towary wtedy przemycano?

- Przede wszystkim skóry, mydła, szale, dywany, turkusy i opium.

Obecnie, przy wysokim ciele, cennym przedmiotem kontrabandy powinien być szafran.

Przypomniałem sobie odruchowo Peder-i-Baharata, Ojca Korze-ni, oraz rozmowę jego z dwoma towarzyszami, którą niedawno podsłuchiwałem nad Tygrysem.

48

Ciągnął dalej:

- Zauważyłem, że przemytnictwo jest doskonale zorganizowane i kierowane planowo. Organizacja składa się z kierowników, pomoc-ników i zwyczajnych przemytników. Rozporządzali tajnymi obszer-nymi składami, w których magazynowali towary, napływające ze wszy-stkich stron. Przez długi czas nie zdołałem natrafić na ślad tego składu, a gdy wreszcie rnarzenie moje się spełniło, utraciłem nie tylko posadę, ale i majątek. Zostałem nędzarzem.

- Jakże to mogło się stać? Przecież takie odkrycie powinno było ci przynieść korzyść i awans!

- Tak ci się tylko wydaje, ponieważ nie wiesz, w jakich okoliczno-ściach to się stało. Dotychczas nie mówiłem o nich ani słowa. Ale teraz opowiem wszystko, chciałbym tylko wiedzieć, jak się zapatrujesz na sprawę przysięgi.

- Nie wiem wprawdzie, w jakim związku stawiasz to pytanie, ale wiem na pewno, że przysięga to rzecz święta i nie należy jej łamać za żadną cenę.

- W takim razie muszę milczeć. Nie wolno mi nic powiedzieć, ponieważ razem z Kepekiem przysięgłem nie mówić o tym nikomu.

- Czy to naprawdę była przysięga?

- Tak.

- Złożona wobec władzy?

- Nie, wobec przemytników.

- W takim razie była to przysięga wymuszona. Czy tak?

- Tak.

--Możesz więc wyzbyć się wszystkich skrupułów. Istotą przysięgi jest złożenie jej przed władzą, która tego wymaga. W tym wypadku nie składałeś przysięgi przed władzą. A przysięga, dana w imieniu Boga sobie samemu, lub innym, nie obowiązuje, jeśli się odnosi rlo czynności prawem wzbronionej. Wzywanie Boga w nieuczciwej spra-wie staje się bluźnierstwem. Skoro

przysięga została wymuszona, dochowanie jej może się stać zbrodnią; człowiek ma nie tylko prawo,

49 lecz nawet obowiązek nie stosowa~ się do niej. Może zmuszono cię by~ przysięgał, że nie powiesz ani słowa o czymś, co jest wzbronione prawem?

- Tak.

- W takim razie popełniłeś wielki błąd.

- Chodziło o życie. Gdybyśmy nie złożyli przysięgi, zamordowa~noby nas.

- Mimo to, będąc na twoim miejscu, nie złożyłbym tej przysięgi.

Ale poglądy nasze w tym względzie różnią się, ponieważ islam jest ci równie obojętny, jak chrześcijaństwo. W każdym razie, mężczyzna uważa swoje słowo za święte i nie powinien nim szafować, gdy chodzi o nieczystą sprawę.

- Może masz rację; nie chcę się spierać, gdyż nie chodzi mi o samą przysięgę, lecz o skutki, które by na mnie spadły w razie odmowy. Jeżeli ty i Halef umiecie milczeć jak grób, mogę mówić spokojnie.

-Porównanie z grobem nie jest trafne. Grób nie milczy, przeciw~nie, przemawia językiem żywym, surowym, czasem nawet piorunują~cym. Oczywiście, mowę tę usłyszeć potrafi jedynie ucho duszy. Przy~rzekamy ci więc, że będziemy bardziej milczący od grobu, o ile naturalnie charakter sprawy nie zmusi nas do mówienia.

- Nie jesteście przecież zaprzysiężonymi przez padyszacha urzęd~nikami celnymi. Wiem, że mogę liczyć na twoje słowo i będę mówił dalej. Otóż, porównywując pewne obserwacje i spostrzeżenia mych podwładnych z własnymi doświadczeniami ustaliłem, że główny skład przemytników powinien się mieścić w ruinach Babilonu. Nie chcę nużyć was opowiadaniem, jak doszedłem do tego wniosku. Wyna~jąłem więc dwóch ubogich Bediunów. Wypędzeni z plemienia, nie mieli żadnych zobowiązań wobec nikogo. Przekonałem się z rozmbw, że są mi wierni. Wysłałem ich do ruin. Mieli udawać, że poszukują wykopalisk. Poleciałem im, aby zwłaszcza w nocy mieli oczy szeroko otwarte i donosili mi o każdym szczególe, który może mieć ,orzystny wpływ na zamierzoną akcję. Byli to spryciarze kuci na wszystkie cztery

50 nogi. Po upływie kilku tygodni otrzymałem szereg informacji, które wprawiły mnie w zachwyt. Podpatrzyli, że przemytnicy z określonego miejsca w różnych porach i różnych kierunkach transportują na jucznych zwierzętach, lub na własnych plecach jakieś towary; po pewnym czasie wracają bez towaru.

- Dowiedziałeś się, gdzie leży to miejsce?

- Tak, określili je z łatwością, choć przez wzgląd na bezpieczeństwo nie posunęli się tak daleko, żeby mogli podpatrzeć przemysłowców. Miejsce to położone było nad Birs Nimrud. Pamiętam je dobrze; opiszę ci dokładnie. Opłaciwszy szpiegów sowicie, kazałem im podpatrywać dalej. Wiadomości, z którymi się po jakimś czasie zjawili; potwierdziły moje poprzednie przypuszczenia. Postanowiłem więc ruszyć tam na czele dziesięciu zaufanych, wśród których był i Kepek.

- Jaki był plan działania?

- Opowiem później. Chodziło o skład przemycanych towarów.

Należało ustalić, gdzie się znajduje wejście do tajemniczego składu.

W tym celu zabraliśmy narzędzia do kopania ziemi.

- Ach! Mieliście zamiar dokonać tej pracy w dzień?

- Oczywiście! W nocy byłoby to zupełnie wykluczone.

- W takim razie na próżno zabraliście narzędzia.

- Skąd ci to wiadomo?

- Przecież mówisz mi, ulegliście nieszczęśliwemu wypadkowi.

- Wnosisz to z moich słów o wymuszonej przysiędze?

- Nie tylko z tego. Obydwaj szpiegowie oszukali cię.

- Nie, byli to wierni, pewni ludzie.

- Czy zjawili się u ciebie, aby ci pokazać to miejsce?

- Tak.

- Spotkałeś się z nimi później?

- Nie. Zapewne opuścili zaraz te strony, ale to jeszcze nie powód, by ich uważać za oszustów. Sprawiali na mnie jak najkorzystniejsze wrażenie; jeden z nich zwłaszcza imieniem Safi, uczciwość patrzyła wprost z oczu.

- Safi? - zapytałem zdumiony, przypominając sobie człowieka z Mansurijeh, który nas wydał Persom. - Ile lat mógł mieć ten Arab?

- Dlaczego pytasz o to?

- Bo znam kogoś, kto się zwie Safi.

- Imię to nosi wielu ludzi.

- Kiedy rozegrało się zdarzenie, o którym mi opowiadasz?

- Przed czternastu laty.

- Ile lat mógł mieć mniej więcej ten człowiek?

- Mówił, że trzydzieści. Wyglądał jednak starzej. Drugi Beduin zwał się Aftab. Mogę również przysiąc, że był wierny i szczery.

- Aftab! Safi i Aftab, hm, to dziwne!

Spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem i zapytał:

- Może znasz również człowieka imieniem Aftab?

- Znam i mogę śmiało twierdzić, iż wpadłeś w przygotowaną pułapkę.

- Skądże znowu? Czy uważasz, że jestem takim głupcem, aby mnie coś podobnego mogło spotkać?

- Nawet bardzo sprytni i mądrzy ludzie wpadają czasami w pułapki. Proszę, mów dalej!

- Jestem jednak ciekaw, w jaki sposób mógłbyś swe przypuszczenie udowodnić.

- Wkrótce się dowiesz. Jeżeli dobrze zrozumiałem, narzędzia do kopania ziemi zabraliście z Bagdadu. Ruszyliście do Hilleh, nieprawdaż?

- Tak. To jedyna prosta droga do ruin Babilonu.

- Kto ma tajemne cele na widoku, powinien ominąć to miasto.

- Przenocowaliśmy, a raniem ruszyliśmy do Birs Nimrud.

- A więc zabieranie narzędzi było zbyteczne; mogliście przecież kupić je w Hilleh.

- Nie chcieliśmy, aby się ktoś dowiedział, jakie mamy zamiary.

- Jestem pewien, że haki i łopaty zdradziły was już w drodze do Hilleh. 52

- Jak to? Przed kim?

- Przypuszczam, że w drodze ktoś was obserwował.

- Zatrzymaliśmy się tylko w khanie Bir Nust i w khanie Mohawid; w obydwóch miejscowościach spotkaliśmy niewielu ludzi. Po drodze zaś, z daleka, widzieliśmy kilku zaledwie jeźdźców.

- Z daleka? A więc jeźdźcy ci unikali drogi? Dlaczego? Nie zbliżali się, bo chcieli mieć was na oku. Byli to przemytnicy, w których ręce wpadliście później.

- Effendi, mówisz w ten sposób, jakbyś wiedział, co chcę opowiedzieć. A więc przybyliśmy do Hilleh szczęśliwie, przenocowaliśmy tam, rano zaś ruszyliśmy konno do Birs Nimrud, gdzie Aftab i Safi wskazali nam odnośne miejsce.

Przechylił wypaloną fajkę i ustnikiem zaczął kreślić w powietrzu jakieś znaki, jak gdyby to był papier i ołówek. Ciągnął dalej:

- Tu leży Hilleh, a myśmy jechali w tym oto kierunku. Na pierwszym planie stoi wieża Babel. Zbliżyliśmy się do niej z tej strony. Potem udaliśmy się na lewo, gdzie leżał zwał kamieni, zapisanych pismem klinowym. Stamtąd ruszyliśmy w górę na prawo, potem znowu na lewo aż dotarliśmy do wylomu w zniszczonych polerowanych ceglach. Za tym wylomem leżało upatrzone miejsce.

- Nie! - zawołałem głośno w ogromnym podnieceniu.

- Nie? - zapytał zdumiony. - O co chodzi?

- W tej chwili zorientowałem się, że to miejsce nie leżało tam, lecz znacznie wyżej.

- Zdumiewasz mnie. Skąd wiesz jakie to miejsce upatrzyłem sobie?

- To, z którego się można dostać do kryjówki przemytników.

- Racja, effendi. Widzę, że znasz tajemnicę naszej przysięgi. W jaki sposób dowiedziałeś się o niej?

- O tym później! Czy na miejscu, o którym mówiłeś, rozpoczęliście od razu kopanie?

- Nie, gdyż zostawiłem dziesięciu strażników celnych w Hilleh i

53 ruszyłem do Birs tylko w towarzystwie Kepeka i przewodników, którzy mieli mi wskaza~ cel.

Musiałem się liczyć~ z tym, że może zajść konieczność ukrycia dalszych poszukiwań przed podwładnymi.

- Niepotrzebna ostrożność! Opowiadaj dalej. Jestem przekonany, że przemytnicy na was napadli.

- Tak istotnie się stało. Ledwie zsiadliśmy z koni, z prawej szczeliny wypełzło przeszło dwudziestu drabów. Rzucili się na nas błyskawicznie; nie dali nam ani chwili czasu do obrony. Po kilku sekundach związano nas i zasłonięto nam oczy. Ktoś rzekł rozkazującym tonem: „Odprowadźcie ich wraz z kofimi jak najdalej, aby żaden z ich kamratów nie przeczuł nawet, co się stało; dziesiątka pozostałych psów, którą ten binbasi zabrał ze sobą, przybędzie tu zapewne niedługo.” Poczułem, że mnie gdzieś niosą pod górę. Po jakimś czasie położono mnie znowu na ziemi. Muszę przyznać, że mi się czuło bardzo nieswojo, znając bowiem nienawiść przemytników do mojej osoby, miałem wszelkie powody do obaw o życie.

- Okazały się próżne, bo żyjesz.

- Nie żartuj! Leżąc na ziemi, usłyszałem odgłos kamieni. Miałem wrażenie, że to pracują murarze. Trwało to stosunkowo długo; przez cały czas nie padło ani jedno słowo. Podniesiono mnie i zaczęto wlec przy czym otarłem się kilkakrotnie o kamienne mury. Gdy mnie znowu położono na ziemi, rozpoczęła się rozmowa, prowadzona jednak, niestety, w języku perskim, którego wtedy nie znałem tak dobrze, jak dziś. Zapamiętałem tylko imię Gul-i-Sziraz, ponieważ powtórzono je kilkakrotnie. Po upływie jakiegoś czasu rozległ się odgłos oddalających się kroków, po czym wszystko ucichło.

- A Kepek? - zapytałem. - Co się z nim stało? Gdzież on był?

Na to odrzekł grubas:

- O emirze! Leżałem obok mego pana, gdyż potraktowano mnie tak samo, jak jego, i zawleczono do tej przekłetej dziury. Drżałem z niepokoju, aby mi się nie stało coś złego, toteż ucieszyłem się bardzo, usłyszawszy jego głos. Odpowiedziałem, że jestem obok i zaczęliśmy omawiać sytuację.

- A szpiedzy, których zabraliście?

- Nie było ich tam.

- Wierzę, bo działali w porozumieniu z przemytnikami. Nie mogliście oswobodzić się z więzów?

- Nie - rzekł binbasi. - Wysiłki moje okazały się daremne.

Leżeliśmy bardzo długo, prawdopodobnie cały dzień. Kości nas roz-bolały. Wreszcie usłyszeli~my odgłos zbliżających się licznych kroków. Zdjęto nam opaski z oczu. Stało przed nami trzech ludzi; czwarty siedział na kamieniu. Jeden z trójki zapytał siedzącego, o czym roz-mawiałem z Kepekiem. Powtórzył dosłownie treść rozmowy. Był to dowód, że nas podsłuchiowano.

- Czy pomieszczenie, w którym leżeliście, miało okna, lub jakieś otwory?

- Nie.

- W takim razie musiało być oświetlone. W jaki sposób?

- Za pomocą lampek oliwnych. Gdym się podniósł, zauważyłem całą masę takich lampek obok bafiki z oliwą.

- Możesz mi opisać to pomieszczenie?

- Długie, wąskie, niezbyt wysokie.

- A więc właściwie korytarz?

-Tak. Gołe ściany z cegieł, w kącie nieco narzędzi i kupa sznurów.

- Były jakieś drzwi?

- Nie.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne, należy bowiem przypusz-czać, że był to rodzaj przedsionka, prowadzącego do innych, wię-kszych sal.

- Racja, chociaż drzwi w dosłownym znaczeniu nie było. Ate o tym później. Teraz powtórzę, co mi powiedział Sefir.

- Sefir? Słowo to znaczy po persku poseł. Dlaczego go tak nazy-wasz?

- Tak go nazywali kamraci. Miał wygląd przejmujący grozą. Od

55 czoła poprzez lewy oczodół i policzek aż do kąta ust ciągnęła się ognista pręga, otoczona olbrzymią brodą. Uderzenie, wskutek które-go powstała pręga pozbawiło go oka. Ubrany był ...

- To nie ma związku ze sprawą, - przerwałem - bo ubranie można w każdej chwili zmienić. Jaką miał postać? Może jeszcze coś szczególnego cię uderzyło?

- Prócz brody miał jeszcze wąsy. Niewysoki, barczysty, wyglądał na siłacza. Mówił krzykliwym dyszkantem. Zauważyłem, że miał zwy-czaj rozczesywania brody w kierunku pręgi. Dlaczego p

ytasz o znaki szczególne?

- Takie już mam przyzwyczajenie. Podczas swych podróży zwykłem zwracać uwagę na każdy drobiazg. Nieraz przekonywałem się, że obserwacja szczegółów, które uszłyby uwagi innych, przynosi mi wielkie korzyści. Ten Sefir zaś jest dla mnie ważną figurą, choćby ze względu na ciebie. Wybieramy się do Persji, a ponieważ na świecie wszystko może się zdarzyć, więc kto wie, czy go kiedyś nie spotkam. Mam również zamiar ruszyć z Halefem do Birs Nimrud i ...

- Naprawdę masz ten zamiar? - przerwał.

-Tak. Nie przypuszczamwprawdzie, żebyśmy tam spotkali Sefira, ale ta postać łączy się w mojej wyobraźni z wieżą Babel i dlatego pytam o szczegóły.

- Macie również zamiar zwiedzić wieżę?

- Dotychczas nie myślałem o tym.

- Nie dajcie się porwać tej myśli, gdyż to diablo niebezpieczna sprawa! Pamiętam, co mi przyniosły odwiedziny w wieży. Nie wiem wprawdzie, czy i dziś kryje się w niej taka sama zgraja, ale jakiś głos wewnętrzny nakazuje mi was ostrzec. Przede wszystkim nie prowadźcie tam dochodzeń, gdyż mógłbym to przypłacić gardłem. Mówiłem z wami o tym wszystkim nie po to, abyście szli w ślady mych przeżyć, a jedynie po to, by zasięgnąć waszej rady.

- Cenimy wysoko twoje do nas zaufanie. Nie uczynimy nic, co by ci mogło zaszkodzić. 56

czoła poprzez lewy oczodół i policzek aż do kąta ust ciągnęła się ognista pręga, otoczona olbrzymią brodą. Uderzenie, wskutek które-go powstała pręga pozbawiło go oka. Ubrany był ...

- To nie ma związku ze sprawą, - przerwałem - bo ubranie można w każdej chwili zmienić. Jaką miał postać? Może jeszcze coś szczególnego cię uderzyło?

- Prócz brody miał jeszcze wąsy. Niewysoki, barczysty, wyglądał na siłacza. Mówił krzykliwym dyszkantem. Zauważyłem, że miał zwy-czaj rozczesywania brody w kierunku pręgi. Dlaczego ~
~tasz o znaki szczególne?

- Takie już mam przyzwyczajenie. Podczas swych podróży zwykłem zwracać uwagę na każdy drobiazg. Nieraz przekonywałem się, że obserwacja szczegółów, które uszłyby uwagi innych, przynosi mi wielkie korzyści. Ten Sefir zaś jest dla mnie ważną figurą, choćby ze względu na ciebie. Wybieramy się do Persji, a ponieważ na ~wiecie wszystko może się zdarzyć, więc kto wie, czy go kiedyś nie spotkam. Mam również zamiar ruszyć z Halefem do Birs Nimrud i ...

- Naprawdę masz ten zamiar? - przenwał.

-Tak. Nie przypuszczam wprawdzie, żebyśmy tam spotkali Sefira, ale ta postać łączy się w mojej wyobraźni z wieżą Babel i dlatego pytam o szczegóły.

- Macie również zamiar zwiedzić wieżę?
- Dotychczas nie myślałem o tym.
- Nie dajcie się porwać tej myśli, gdyż to diablo niebezpieczna sprawa! Pamiętam, co mi przyniosły odwiedziny w wieży. Nie wiem wprawdzie, czy i dziś kryje się w niej taka sama zgraja, ale jakiś głos wewnętrzny nakazuje mi was ostrzec. Przede wszystkim nie prowadźcie tam dochodzeffi, gdyż mógłbym to przypłacić gardłem. Mówiłem z wami o tym wszystkim nie po to, abyście szli w ślady mych przeżyć, a jedynie po to, by zasięgnąć waszej rady.
- Cenimy wysoko twoje do nas zaufanie. Nie uczynimy nic, co by ci mogło zaszkodzić. 56
- To mnie uspakaja. Nie dziwcie się moim obawom. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że niebezpieczeństwo, któregośmy wtedy uniknęli przez złożenie przysięgi, istnieje jeszcze dzisiaj.
- Opowiadaj więc dalej, co ci się przytrafiło w Birs Nimrud.
- Podczas kilkuminutowej rozmowy z towarzyszami, prowadzonej w języku perskim, Sefir obrzucał nas od czasu do czasu szyderczy-mi spojrzeciami. Od żony i jej ojca nauczyłem się zaledwie kilku słów po persku, nic więc dziwnego, że zrozumiał tylko fragmenty rozmowy, prowadzonej zresztą w niezwykle szybkim tempie. Znowu wymówiono kilkakrotnie imię Gul-i-Sziraz. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że ludzie Wschodu lubią się wyrażać obrazowo; zwłaszcza kobietom nadają chętnie nazwy kwiatów. Czyżby rozmowa dotyczyła nie róży, lecz kobiety? Jeżeli tak, to ta kobieta bez wątpienia pozostajew ścisłym związku z przemytnikami. Fakt, że imię jej powtarzano kilkakrotnie, był niezaprzeczalnym dowodem jej wielkiego znaczenia. Jestem skłonny do przypuszczeń, że Gul-i-Sziraz była żoną przywódcy przemytników. Cóż ty na to, effendi?
- Tymczasem rozwiązanie zagadki pozostawiam tobie. Sprawa miejsca jest dla mnie ważniejsza od sprawy osoby.
- Jak to?
- Chwilowo nie interesuje mnie, czy chodzi o osobę, czy o przedmiot. Najważniejszym jest dla mnie słowo Sziraz, z którego wnoszę, że rozwiązanie tajemnicy możliwe jest jedynie w mieście Sziraz, będącym stolicą perskiej prowincji Farsistan. Gdybym się nawet w tym względzie mylił, twierdzą z całą pewnością, że istnieje jakiś związek między kimś, mieszkającym w tej stolicy, a tajemniczą Gul-i-Sziraz. Zresztą, nie warto się nad tym głowić. Rozwiązanie przyjdzie samo przez się. A więc Sefir rozmawiał naprzód ze swoimi ludźmi?
- Tak. Później zwrócił się do nas, aby na mnie wyładować swój gniew i pasję. Obrzuciwszy mnie najstraszliwszymi obelgami, zaczął opowiadać, jak olbrzymie straty ponieśli przemytnicy wskutek mej działalności i zagroził, że przypłaci to życiem. Mówił bardzo długo;

57 nie będę tu wszystkiego powtarzał; dość, że mu nic nie odpowiedział. Kepek milczał również jak pień. Pers gadał dalej, kpiąc sobie z mych poszukiwań i opisując każdy mój krok. Nie mogłem pojąć, w jaki sposób o tym wszystkim się dowiedział. Czyżby któryś z moich urzędników był na jego żołdzie i zdradzał mu wszystko?

- To bardzo prawdopodobne. Z opowiadania twego wnoszę, że związek przemytników był doskonale zorganizowany. A ponieważ kierowali nim bezprzechrue ludzie odważni i sprytni, można twierdzić z całą pewnością, że otoczono cię szpiegami, którzy śledzili każdy twój krok. Gdzie się znajdowały osoby poinformowane o twych planach? Wśród ich własnych ludzi!

- Masz rację. Jaka szkoda, że miałem na to oczy zamknięte. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego plany moje tak często koficzyły się nie-powodzeniem, mimo że przygotowane były tak przezornie i pilnie. Widzę, że darzyłem swych podwładnych zbyt wielkim zaufaniem. Jest to błąd, za który ciężko odpokutowałem.

- Od razu?

- Tak. Jak ci już mówiłem, przywódca nie tylko zagroził mi śmiercią, ale zażądał również zwrotu szkód i strat. Oświadczył, że muszę mu oddać cały majątek. Gdy odparłem, że nie jestem bogaty wymieniłem tak dokładnie kwotę, którą uzbierałem z oszczędności, jak gdybym mu się sam z tym zwierzył. Zażądał czeku na bank, w którym zdeponowałem gotówkę. Odmówiłem. Zapowiedział, że po upływie godziny zabije mnie i onbasiego. Tyle oto czasu pozostawiwszy mi do namysłu, usiadł obok swych kompanów. Gdy godzina minęła, zapytał, czy trwam przy swoim postanowieniu. Dałem potakującą odpowiedź. Wbili więc w mur dwa haki i uwiązali nam u szyi powrozy. Nie ulegało wątpliwości, że nas powieszają. Oświadczyłem więc, że gotów jestem zapłacić żadaną sumę. Zapewne powiesz, effendi, że było to tchórzostwo?

- Nie. Każdy na twoim miejscu postąpiłby tak samo. Gdy trzeba wybierać między życiem w nędzy, albo śmiercią w bogactwie, nie

5g pozostaje nic innego, jak wybrać pierwszą ewentualność. Intratna posada otwierała ci przecież widoki na ponowne zdobycie majątku.

- Wychodziłem z tego samego złożenia; wkrótce jednak przeko-
nałem się, że nadzieja była płonna. Zdjęto nam powrozy z szyi i przyniesiono, czy możesz sobie wyobrazić, co przyniesiono?

- Nie.

- Moje własne przybory do pisania. Wszystko mieściło się w paczce, z której wyciągnięto również moje pieczęcie. Cóż ty na to?

- Widać z tego, że cała sprawa była od dawna dokładnie przygo-
towana. Przywieziono twoje

pieczęcie, aby bank, który je znał, nie miał wątpliwości, że czek pochodzi od ciebie. Oczywiście wypełniłeś go?

- Tak, pod dyktando Señra. Musiał to być rutynowany kupiec, zredagował bowiem czek w ten sposób, że, gdybym był kasjerem w banku, honorowałbym go bez wahania. Deponując pieniądze w banku, zastrzegłem sobie wyraźnie możliwość podjęcia pieniędzy w każdej chwili bez uprzedzenia, a uczyniłem to dlatego, że jako turecki urzędnik nieprzychylnego dla mnie paszy, w mieście odległym od Stambułu, miałem sporo nieprzyjemności i musiałem się liczyć z ewentualnością natychmiastowej dymisji. Sefir wziął czek, porównał go z innymi papierami i rzekł:

- Oto papiery, które sam wystawiłeś; porównałem z nimi ten czek.

Gdybyś zmienił charakter pisma już byś wisiał. Teraz pokażę wam coś i postawię ci pewne pytania. Namyśl się dobrze przed odpowiedzią, gdyż od twojej decyzji zależeć będzie wasze życie. Rozcięto nam więzy krępujące nogi, tak, że mogliśmy wstać i ruszyć się z miejsca; ręce jednak mieliśmy w dalszym ciągu związane. Kompani oświetlili teren lampkami. Sehr podszedł do kąta, w który leżały sznury. Odsunął je na bok, po czym odgarnął usypaną tu kupkę piasku. Po chwili ujrzałem kilka desek, a pod nimi otwór i schody, prowadzące na dół. Zeszliśmy po nich do olbrzymiego składu prze-mycanych towarów; było ich tyle, że oniemiałem ze zdumienia.

59

- Przepraszam, chwileczkę! - przerwałem. - Jak wysoki był ten skład?

- Miał dobre cztery stopy ponad wzrost człowieka.

- Nie wiem, czyś to sobie zapamiętał, ale ustalenie ilości schodów byłoby dla mnie niesłychanie ważne.

- Przypadkowo zapamiętałem. Ujrzawszy ciemną głębię, pomyślałem sobie, że to więzienie, w którym chcą nas zamęczyć na śmierć. Uważając, że schody mogą odegrać ważną rolę w próbach odzyskania wolności, przeliczyłem je.

- Czy miały przeciętną wysokość?

- Tak. Mam wrażenie, że w tutejszym domu wyniosłoby to sześć piętér, licząc według zar-i-szahi, królewskiego łokcia.

- Racja! Zar-i-szahi ma sto dwanaście centymetrów. Jeżeli skład miał przeszło cztery stopy ponad wzrost człowieka, powała musiała mieć grubości około stu centymetrów. Odległość między obydwoma podłogami t.j. podłogą w krużganku na górze i w składzie na dole wynosiła więc około trzystu pięćdziesięciu centymetrów, czyli, według miary perskiej, trzy królewskie łokcie i pół bajaba.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i rzekł:

- Znowu muszę zapyta~, dlaczego pytasz o szczegóły i prowadzisz tak ściśle obliczenia?
- Odpowiadam jak poprzednio: to skutki starego przyzwyczajenia. Skoro wiem, jak głęboko pod krużgankiem leży skład, mogę, nie wchodząc do środka, podać i ustalić, na jakim poziomie Birs Nimrud należy go szukać? W którym kącie krużganka leżały sznury?
- W tylnym, na prawo. Zdaje mi się, że masz jakieś plany, które przede mną ukrywasz.
- Nic podobnego. Pytam tylko dlatego, że los twój mnie interesuje. A więc skład był napełniony towarami?
- Tak, do tego stopnia, że ledwie szpilką można było wetknąć.

Sefir kazał świecić lampkami. Przy ich blasku ujrzeliśmy niezwykle precyzyjnie wykonane kosztowne tkaniny z kalemkaru, drogocenne 60 błamy ze skóry kotów angorskich, wspaniałe dywany ferszha z Fara-hanu, tłoczone jedwabie, falistą morę i przeplatane palmowymi ścięg-nami szale abriszum. Poza tym piętrzyły się stosy saghri, markize-ty, tszerme hamadani, marokinu, i puste Bucharu, czarnych baranków z Buchary. Zaprowadzono nas potem do trzech innych składów, w których, oprócz wymienionych już towarów, przechowane były wiel-kie ilości haszyszu, opium, korzeni, olejku różanego i arszeniku z Kaswinu, przeznaczonego dla Konstatynopola. Pokazano nam również lapis lazuli z Turkiestanu, diamenty, szlifowane w Isfahanie i Szirazie, oraz całą masę barasów, szirbamów i Maden-i-nau, różnych odmian turkusów, które same stanowiły majątek.

-Po cóż ci to pokazano? Czyż nie należało tego przed najwyższym urzędnikiem celnym zataić? Chyba, że Sefir chciał cię skusić do zawarcia tajnego związku z przemytnikami. Gdybyś się dał omamić, ciągnęliby jeszcze większe zyski, niż dotychczas.

- Istotnie! Sefir zaproponował mi tak wysoką pensję roczną, iż niejeden byłby się z pewnością zgodził. Oświadczyłem, że nie jestem przestępcą i nie mam zamiaru nim zostać. Na to oburzył się srodze i rzekł:

- Przecież chodzi o wasze życie! Znacie naszą kryjówkę, widzieli-ście, co się w niej znajduje, więc tylko wasza śmierć może być dla nas gwarancją, że nikt się o niej nie dowie. Posyłam teraz gofica do Bagdadu z twoim czekiem. Jeżeli pieniędzy nie wypłacą, jesteś zgu-biony; jeżeli otrzymamy przekazaną kwotę, pomówię z tobą jeszcze. Potem związano nas znowu i zamknięto, nie dając nam ani kropli wody, ani kawałka chleba.

- Zapomniałeś wymienić miejsce, do którego was sprowadzono.

Wspominając zaś o trzech składach, które wam pokazano, nie powiedziałeś, w jaki sposób były między sobą połączone i jak można się było dostać z jednego do drugiego.

- Przez otwory w ścianach zawieszane dywanami.

- A więc nie było ukrytego mechanizmu, który uniemożliwiłaby 61 najście osób niewtajemniczonych?

- Nie.

- W takim razie były tylko dwa sekretne miejsca, a mianowicie zewnętrzne wejście i ukryty pod paką sznurów, otwór schodów. Jakie było położenie tych trzech składów w stosunku do pierwszego?

- Ze składu głównego wchodziło się do środkowego; z prawej i lewej strony mieściły się dwa pozostałe. Środkowy sąsiadował z więzieniem, w którym nas zamknęto. Miało takie same wymiary, jak pozostałe pomieszczenia.

- A więc tych pięć komór tworzyło regularną figurę, składającą się z równych czworoboków, figurę w rodzaju krzyża?

- Tak. Zaraz ci to pokażę.

Zakreślił koficem tsi'buka następującą figurę:

Ciągnął dalej:

- Pod cyfrą 1 mieściły się schody. Zeszliśmy po nich do cel 3,4 i 2, potem związano nas znowu i wprowadzono do celi 5, gdzie leżeliśmy bez ruchu, jak beł.

- Oczywiście po ciemku?

- Tak. Jedynie podczas ich obecności mogliśmy przy blasku lampek, rzucić okiem na gołe ściany i na kopiec ziemi na podłodze.

- A więc za podłogę służyła ziemia ubita?

- Nie, podłoga była z cegieł.

- W takim razie ja na twoim miejscu zwróciłbym z pewnością specjalną uwagę na ten kopiec

ziemi.

-Czyżby z powodukanafidów, które się później ukazały? Przecież to spokojne zwierzątka; nie wadzą nikomu.

-Kanafidy? Więc były tam jeżozwierze?

- Tak. Po upływie jakiegoś czasu, który nam się wydawał wiecz-nością, usłyszeliśmy ciche szmery, jak gdyby od uderzeń cienkich sztabek, a na podłodze coś się poruszyło. Z początku nie wiedzieliśmy, co to za zwierzęta, usłyszawszy jednak mruczenie, charakterystyczne dla jeżozwierza, gdy wpadnie w gniew, zorientowaliśmy się, że to kanafidy.

- Dziwne, bardzo dziwne!

- Dlaczego?

- Nie rozumiesz? Przede wszystkim uderzający jest fakt, że te na ogół tchórzliwe zwierzęta odważyły się zbliżyć do was. Wy tłumaczyć to można zresztą okresem wiosennym. O wiele bardziej zastanawia mnie jednak okoliczność, że stworzenia te znajdowały się w celi zbudowanej z cegieł. Ryją one często bardzo długie korytarze, ale nie jest prawdopodobne, żeby się mogły przedostać przez mocne cegły. Cegły były więc zapewne zmurszałe, albo też w murze znajdował się usypany otwór, przez który moglibyście się wydostać, gdybyście nie byli związani. W tej chwili ważniejsza dla mnie jest kwestia, w jaki sposób cela, w której was zamknięto, została oddzielona od komory nr 3. Przecież zwyczaj trzymania jeficów za kotarą nie jest mądry.

- Pod tym względem przemytnicy nie popełnili żadnej nieostroż-ności. Opuścili ruchomą przegrodę z mocnych stalowych prętów. Gdybyśmy nawet nie byli związani i mieli przy sobie noże nie udałoby się nam poprzecinać prętów. Jak mówiłem, mieliśmy wrażenie, że minęła cała wieczność. Nareszcie poruszyły się stalowe pręty i ujrze-liśmy światło lampek. Zjawił się Sefir z tymi samymi ludźmi, co przedtem i oświadczył, że pieniądze otrzymał. Zachowywał się nie tak 63 brutalnie, jak przedtem. Zapytał, czy zmieniłem decyzję, przyjął jed-nak moją przeczącą odpowiedź bez gniewu i rzekł spokojnie, ale bardzo zdecydowanym tonem: - „Wydałeś tą odmową ostateczny wyrok na siebie i swego towarzysza. Postanowiliśmy was uśmiercić, jeśli nie zgodzisz się pójść z nami ręką w rękę. Ktoś jednak, czyjego imienia ci nie zdradzimy, wstawił się za tobą. Przyrzekłem mu daro-wać ci życie, jeżeli dasz nam dostateczną gwarancję milczenia. Słuchaj więc, co teraz powiem! Jeżeli się zgodzisz, odzyskacie wolność, jeżeli nie, nie przeżyjesz najbliższej godziny. Musicie powtórzyć za mną przysięgę, że nikomu nie zdradzicie tej kryjówki i że po powrocie do Bagdadu zrezygnujecie ze swoich urzędów. Jeżeli choć jeden z was pozostanie na stanowisku, zemścimy się srodze. A jeżeli kiedyś, prę-dziej czy później, miejsce to zostanie odkryte w sposób, który nasunie nam podstawy do przypuszczenia, że złamaliście przysięgę, czeka was śmierć straszliwa. Nie wolno ci również do kofica życia opuszczać Bagdadu, byś nie mógł ujść naszej zemście. Będziemy cię mieli na oku. W razie jakichkolwiek przygotowań do odjazdu, zginiecie!” - Takie były żądanie Sefira, effendi. Co bylibyś uczynił na moim miejscu?

- Z pewnością nie to, co ty; odparłem. - Prawdopodobnie nie byłoby mnie już w więzieniu. Ale szkoda o tym mówić! Złożyliście więc przysięgę, odzyskaliście wolność, wróciłeś do Bagdadu i zrezygnowałeś z urzędu?

- Tak. Cóż miałem począć? Po złożeniu przysięgi, uwolniono nas z więzów i wyprowadzono przed wieżę.

- Oczywiście, nocą?

- Nie. W biały dzień.

- Naprawdę? Czyżby Sefir był tak nieostrożny?

- Dlaczego nieostrożny?

- Przecież na pewno widzieliście to, co przed wami ukrywano, mianowicie wejście do wieży i jego położenie?

- Ujrzelibyśmy to wszystko. Sefir stanął obok i rzekł: - „Fakt, że nie chcę przed wami niczego ukrywać, świadczy, że ufam waszej

64 przysiędze.” - Co się zresztą tyczy tajemnego wejścia, nie odnaleźlibyśmy go nigdy, gdyż nie zapamiętaliśmy kresek umieszczonych na cegle, którą trzeba odsunąć, chcąc inne cegły, większe, poruszyć z miejsca.

Zelektryzował mnie te słowa. Binbasi przysiągł, że nie zdradzi tajemnicy wejścia i oto nie przeczuwał nawet, że odkrył mi ją jednym wyrazem użytym w niewłaściwym znaczeniu. Cegły Birs Nimrud po-kryte są pismem klinowym; tymczasem binbasi powiedział po prostu kreski. Zwróciło to moją uwagę na okoliczność, która do tej chwili wydawała mi się bez znaczenia. Jak sobie zapewne czytelnicy przypominają, na pergaminie Peder-i-Baharata widniał rysunek, którego znaczenia nie rozumiałem. Gdy jednak binbasi opisał drogę, prowadzącą ku wejściu Birs Nimrud, przypomniałem sobie rysunek i stwierdziłem ku memu zdumieniu; że linie, z których się składał, tworzyły drogę, prowadzącą do kryjówki przemytników. Ponieważ powiedział „kreski” a nie kliny, przypomniałem sobie, że pod rysunkiem zauważyłem szereg kresek, które wydawały mi się dziełem przypadku. Wyglądały jak przecinki, powstałe z naciskania stalówki, gdy się chce zwiększyć jej podatność, albo też, gdy trzeba usunąć jakiś włoszek przeszkadzający w pisaniu. Skopiowałem ten plan bez kresek. Jednakże bywa, że w pamięci podróżników, na których drodze piętrzą się stale liczne niebezpieczeństwa, zespół obojętnych przedmiotów i zdarzeń wystąpi nagle z całą jaskrawością, gdy tylko myśli wrócą się do odnośnego miejsca lub momentu. To samo stało się i teraz. Ledwie binbasi wypowiedział słowo „kreski”, domniemane przecinki na pergaminie ukazały się przed moimi oczami z taką wyrazistością i dokładnością, że mogłem nie tylko je zliczyć, ale i zdać sobie sprawę z ich wielkości i układu. Tak, to były słowa, wypisane babilońskim pismem klinowym. Nie słuchając dalszych wywodów binbasiego, odtworzyłem sobie następujące słowa: roman'a. Illai in tat kabad bad'a. Illai ... W tłumaczeniu wygląda to następująco: „oBarować najwyższemu Bogu z myślą o Jego wspaniałości ...”

A więc był to fragment zdania, wystarczający do odnalezienia upatrzonej cegły. Idąc dalej za swymi myślami, zapytałem binbasiego:

- Czy na innych ceglach i kamieniach również widniały jakieś kreski, lub znaki?

- Tego już nie pamiętam - odparł. - Skądże jednak to pytanie?

Nie o tym mowa, a ty przerywasz pytaniem o kamienie. Zdaje mi się, żeś wcale nie słyszał moich ostatnich słów.

- Prawdopodobnie. Myślałem o tym, czy nie można by ...

- Proszę cię, nie myśl o tym! - przerwał. - Opowiedziałem wszystko, co mogłem opowiedzieć, ponieważ wiem, że umiesz mił-cześć. Więcej nie mogę ci odkryć. Nie wolno mi zdradzić tajemnicy, gdyż zostałbym niechybnie ukarany śmiercią.

- Sądzisz, że cię śledzą jeszcze teraz?

- Tak.

- Sądzisz, że wiedzą, iż jestem u ciebie?

-Niech sobie wiedzą! Cóż mi to może zaszkodzić? Przecież ciebie tutejsza kontrabanda nic nie obchodzi.

- Co się działo z urzędnikami celnymi w tym czasie, gdy cię schwytano w Birs?

- Na próżno czekali na mnie w Hilleh i na próżno mnie potem szukali. W koficu wrócili do Bagdadu. Jeżeli sądzisz, że na Wschodzie ludzie tak są przywiązani do swoich współtowarzyszy, jak na Za-chodzie, bardzo się mylisz. Sefir zwrócił nam konie i broń; ruszyliśmy przede wszystkim do Hilleh, aby się posilić, gdyż przez trzy dni głodowaliśmy w wieży. Natychmiast po przybyciu do Bagdadu, zameldowałem się u paszy jako chory i wniosłem prośbę o zwolnienie. Wyzdrowiałem dopiero wtedy, gdy mój następca objął urządowanie. Wyznaczono mi mizerną pensję, z której żyłem dotychczas. Fakt, że od tego czasu nie mieliśmy ani jednego takiego obiadu, jak dzisiejszy, ilustruje chyba dostatecznie nasze położenie. Są miasteczka tańsze, w których mógłbym żyć mniej skromnie, niż tu, w drogim Bagdadzie. Nie wolno mi jednak ruszyć się z miejsca pod groźbą utraty życia.

- Nie ważyłeś się opuścić Bagdadu? !i

- Nie. Jakże mogłem powziąć myśl tego rodzaju? Jesteśmy tu jeficami, tak samo jak w Birs Nimrud. Zapytasz pewnie, dlaczego ci tego nie powiedział, gdyś gościł u mnie pierwszym razem. Nie znałem cię tak dobrze, jak teraz, trudno mi więc było opowiadać o swych nieszczęściach. Chcielibyśmy z całego serca wyrwać się stąd, lecz jesteśmy przykuci na całe życie. Wegetowanie tutaj napęła mnie wstrętem. Stałem się mizantropem, żyję w zupełnym odosobnieniu. Jeśli się cokolwiek stanie w pobliżu wieży, jeśli pod wpływem niepo-gody obsunie się jakiś kamiefi, gotowi pomyśleć, że chciałem tam wtargnąć. Widzę wciąż nad swą głową sztylet mordercy. Chwilami zdaje mi się, że słyszę trzask kuli, wkładanej do zamka strzelby. Nie jadam nic poza domem w obawie, aby się nie natknąć na truciznę. Chciałbym umrzeć, by się raz pozbyć tego życia, toczonego przez strach i lęk. Ale boję się śmierci, gdyż jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że nie wolno mi jeszcze umrzeć, gdyż ostatnie dni moje są prze-znaczone dla jakiegoś nieznanego mi celu.

Jakże mi żal było starca. Teraz nie wydawał mi się już dziwakiem. Strach przeżarł go do cna, sparaliżował jego energię i uczynił zefi motyla, który ucieka przed każdym padającym nafi cieniem. Życzyłem mu serdecznie uwolnienia od cierpiefi. Oprócz Sefira i jego zwolen-ników, miał jeszcze innych wrogów; nie rozbili oni swych namiotów ani w Birs Nimrud, ani w pustyni, ani na granicy Iraku i Persji, lecz mieszkali w jego świadomości.

- Tak, jesteś nawet bardziej nieszczęśliwy, niż ci się wydaje, - rzekłem. - Lękasz się śmierci, obawiasz o życie, a właściwie od dawna już nie żyjesz.

- Jak to rozumiesz?

- Dusza twoja jest kabrem, grobem, w którym zdusiłeś wiarę i ufność w miłosierdzie Boże. Kto nie ma Boga, ten w gruncie rzeczy nie żyje.

- Dobrze ci prawić kazania, nie wisi nad tobą miecz Damoklesa!

67

- Tak sądzisz? Gdyby~ wiedział, jak często wyciągał się ku mnie!

Ludzie, których nie znałem, a nawet, niestety, tacy których uważałem za przyjaciół, nastawali na moje życie. Śmierć stała często obok mnie, ehoć nic o tym nie wiedziałem. Najsrozsze i najgroźniejsze, to niebez-pieczefistwa nieznanne. Mówisz, że żaden morderca mi nie grozi, a ja ci oświadczam, że są tu ludzie, którzy łakną mojej kzwii. Jak widzisz, nie przeraża mnie to wcale.

- Muszą to być ludzie przeciętni. Moim zaś wrogiem jest Seńr, potężny przywódca bandy zbrodniarzy, wobec której sam pasza jest bezsilny.

-Mylisz się. Człowiek, który tu w Bagdadzie nastaje na moje życie, jest na pewno równie potężny, jak Sefir. Ten bawi tu z pewnością jedynie przelotnie. Przypuszczam nawet, że ci dwaj cię znają, że są przyjaciółmi i godnymi sobie kompanami

- Co ty mówisz? Prześladowają nas nikczemnicy z tej samej zgrai?

- Tak.

- 'Itnój przeciwnik jest również przemytnikiem?

- Dla niego może to nawet za chwalebny tytuł.

- Któż to taki, jak się nazywa?

- Słyszałeś kiedyś nazwą sill?

- Sill znaczy po persku ciefi.

- Mówię o nazwie, nie o jej znaczeniu.

- Nie znam tej nazwy.

- Bądź zadowolony! Jak ciefi nie odstępuje człowieka, tak ten sill nie opuszcza ofiary, za którą kroczy z wyostrzonym nożem.

- Taki sill włóczy się za tobą?

- I to nie jeden; mam wrażenie, że ich przywódca jest przyjacielem i sprzymierzeńcem twego Sefira. Nie dziwiłbym się wcale, gdybym ich spotkał razem i obydwóm równocześnie mógł dać okazję do zaznajomienia się z siłą moich pięści. Chciałbym, aby Se~r przeniósł swą sympatię z ciebie na moją osobę.

- Effenfi, bardzo ufasz we własne siły, może za bardzo!

- Nie sądzę! Człowiek, który sobie wyobraża, że więcej dokona, niż w rzeczywistości potrafi, ma bezsprzecznie manię wielkości. Nie wynika z tego, by przesadna skromność była cnotą. Nie pragnę uchodzić za megalomana, ale też nie pozuję na skromnisia. Trzeba znać dokładnie siebie samego, a rzecz to nie łatwa; człowiek poznaje siebie w ciężkich chwilach, walkach z wrogami, no i w walce z samym sobą. Ci, którzy na widok usprawiedliwionej pewności siebie innych, kręcą nosem i mówią o pyszałkowatości, nie rozumieją, jakie znaczenie ma wiara we własne siły, gdyż nie mają zaufania do siebie samych; choć sami w głębi duszy, są przekonani o swej wyjątkowej dzielności i wysokiej wartości.

- Wiem o tym, effendi. Ale ja jestem starcem, a ty jeszcze młodym człowiekiem i nie wymordowano ci tych, których najbardziej kochałeś.

- Mimo to straciłem tyle, co ty, a może i więcej, ale komu Bóg w swej mądrości zabiera, temu i daje podwójnie. Oczywiście, kto nie umie wyciągnąć po to ręki, ten nie umie mówić o odszkodowaniu i o balsamie na swe rany. Jeżeli się skarżysz, że śmierć zabrała ci ukochanych, zapytam z kolei, czy naprawdę możesz twierdzić, że nie żyją?

- Effendi! - zawołał. - Czy chcesz igrać z moją boleścią?

- Niechaj mnie Bóg strzeże! Nie sądź, bym rzucał te słowa lekko-myślnie.

- Jakżesz więc możesz zaliczać mych zmarłych do żywych?

- Czyż zaliczam?

- Tak.

- Nie. Pytałem tylko, czy możesz udowodnić, że nie żyją. No, powiedz, możesz?

- Tak ... i nie!

- Widziałeś ich zwłoki?

- Nie.

- Rozmawiałeś ze świadkami ich śmierci?

69

- Nie. Opowiadano mi tylko o morderstwie, ale nikt nie widział trupów na własne oczy.

- I mimo to święcie uwierzyłeś? Ja na twoim miejscu szukałbym dowodów.

- Effendi, nie doprowadzaj mnie do samooskarżenia! Nie zasmucaj jeszcze bardziej mego znękanego serca!

- Chciałbym ci przecież ulżyć. Zdarzenia w Damaszku opowiedziałeś nam pokrótce. Pomyśl o nich szczegółowo! Może wtedy w panujących dotychczas ciemnościach pojawią się miejsca jaśniejsze, które ci dadzą podstawę do nadziei.

- Muszę wyznać, że były godziny, w których wątpiłem w prawdziwość tego, com ci opowiadał. Ilekroć jednak starałem się znaleźć grunt dla kotwicy mych nadziei, kotwica wracała do mnie z głębi, przynosząc dawny smutek i rozpacz.

- Zarzuć ją na nowo.
- To mi nic nie pomoże. Powiedz sam, czy rodzina moja nie dałaby znaku życia, gdyby żyła?
- Rodzina twoja nie wie, gdzie przebywasz.
- Gdyby moi żyli, szukaliby mnie i znaleźli.
- Przewodopodobnie też szukali. Musisz jednak pamiętać, że, uciekwszy z Damaszku, zapewne starannie zataiłeś przed znajomymi miejscę obecnego pobytu.
- To prawda, effendi!
- A może wcale cię twoi bliscy nie szukali w przekonaniu, żeś zginął. Dowiedzieli się przecież bez wątplenia, żeś został przez władze rozstrzelany.
- Żołnierze, którzy mi darowali życie, mogli im opowiedzieć, jak się rzecz miała.
- Czy mogli o tym mówić?
- Z moją żoną i jej rodzicami? Dlaczegożby nie; przecież nie zdradziliby ich!
- Skądże przypuszczenie, że rodzina twoja wpadła na myśl udania się do żołnierzy, którzy brali udział w egzekucji, z zapytaniem, czy przypadkiem rozstrzelanie nie było pozorne? Gdyby jednak nawet Bóg oświecił ich taką myślą, nie wiedzieliby, którzy żołnierze zostali odkomenderowani do egzekucji. Musieli by rozpocząć poszukiwania, a to mogłoby nasunąć podejrzenia. Pomyśl o tym!
- Wyznam szczerze, że mi to nie przyszło na myśl.
- Byłeś przekonany, że ich zamordowano. Tymczasem przypuśćmy, że to nieprawda. W takim razie uciekli przed gawiedzią, która zagrażała i szyitom i chrześcijanom. Po splądrowaniu i spaleniu ulicy, na której mieszkali, znaleźli się moje za miastem w bezpiecznym miejscu, może nawet wśród tych tysięcy pogorzalców, którzy schronili się w zamku i w mieszkaniu Abd el Kadera. Jeżeli ukryli się za miastem, nie mogli przecież wrócić. Zamku zaś Algierczyka nie mogli opuścić wcześniej, zanim nie zapanował ład w mieście. A spokój nastąpił dopiero po twojej rzekomej śmierci. Nie mieli żadnych podstaw do przypuszczenia, że egzekucja się nie odbyła; musieli ją przyjąć jako fakt dokonany. Nie przyznasz mi racji?
- Effendi, jeżeli będziesz dalej tak mówić nie potrafię zaoponować. Cóż więc, według twego zadania, uczyniła później moja rodzina?
- Jeżeli przyjmujemy, że moje przypuszczenia są słuszne, opuściła z pewnością Damaszek, nie ufając wymuszonej ciszy, po której mogła nadejść jeszcze bardziej krwawa łaźnia. Dlaczegożby twój teść miał się czuć bezpieczniejszy od innych szyitów i chrześcijan? Binbasi niespokojnie poruszył się na krześle. Istotnie, dziwna to rzecz, że nigdy o tym nie pomyślał.

Po długim milczeniu rzekł:

- Słuchaj effendi, teraz sam zaczynam wierzyć, że ojciec mej żony wraz ze swoją małżonką opuścili Damaszek, o ile, oczywiście, oboje nie zginęli.
- Czy sądzisz, że mógłby zabrać ze sobą tylko swoją żonę?
- To wykluczone! Musiał wywieźć również moją żonę wraz z dziećmi.
- Dokąd?
- Któż to może wiedzieć?
- Wiedzieć trudno, ale można przypuszczać. Zastanów się nad tym.
- Chyba do Bejrutu, gdzie kiedyś mieszkał i był szczęśliwy?
- Ja na jego miejscu nie pojechałbym do Bajrutu.

= Dlaczego?

- Ponieważ powstanie przeciw innowiercom wybuchło właśnie w Libanie i tam roztoczyło najszerze kręgi. Spokój nastąpił jedynie pod wpływem represji. Bejrut leży pośrodku tego niebezpiecznego obszaru. Należało więc liczyć się z tym, że w razie powtórnego zamieszania, wybuchnie ono tam właśnie. Skoro więc ojciec twej żony opuścił Damaszek w obawie, aby się krwawa łaźnia nie powtórzyła, nie należy przypuszczać, żeby ruszył właśnie do ogniska rozruchów.
- Effendi, zaskakujesz mnie!
- Nie przesadzaj! Opieram się na zdrowym rozsądku i wyciągam wnioski ze ścisłych faktów. Może sobie na to pozwolić każdy, kto myśli swoich nie puszcza samopas.
- Powiedz mi jednak, dokąd się zwrócił, jeśli nie do Bejrutu?
- Dziwi mnie to pytanie!
- Do licha! Chyba sam przyznasz, że do odgadnięcia tego potrzeba dużej wyobraźni. Obliczyć można wszystko, gdy się ma do dyspozycji dane, ale ódgadywać, to rzecz niesłychanie trudna!
- Nie odgadujmy więc, lecz obliczmy. Posłużmy się również danymi, występują one w postaci faktów.
- Mówisz zbyt uczenie! Nie rozumiem cię, effendi.

-Zrozumiesz, gdy tylko dam przykład. Czujesz się tu nieszczęśliwy i chciałbyś stąd odjechać. Jakie miejsce, jaki kraj wybrałbyś na stały pobyt, gdybyś się mógł swobodnie poruszać?

- Co za pytanie! Udałbym się do Polski, ponieważ jestem rodowitym Polakiem. Chyba nie wątpisz w to.

- Nie wątpisz? - rzekłem z uśmiechem. - A jednak miałeś

72 wątpliwości co do tego, do jakiego kraju udał się twój teść.

-Maszallah! Łapiesz mnie na wędkę własnych słów!

- No i cóż teraz powiesz?

- Udał się do Persji, tak, musiał się udać do Persji, ponieważ jest Persem. Nieszczęście, które go dotknęło poza krajem, musiało go popchnąć tam, gdzie zawsze ciągnie człowieka serce, do ojczyzny. A ja tu żyję niedaleko granicy tego kraju i nie wpadło mi na myśl to, o czym mówiłeś! Mogłem przecież szukać, jeżeli nie sam, to przez obcych ludzi! Może byłbym odszukał tych, których uważałem za straconych. Ileż zaniedbałem. Jestem niepokieszony!

- Uspokój się! Mam wrażenie, że zamieniliśmy się stanowiskami.

- Jak to?

- Przed chwilą odrzucałeś wszelką możliwość nadziei, ja zaś próbowałem oświecić twę serce jej promieniem. I oto, zamiast smutku, pełen się stałeś nadziei. Muszę cię więc znowu wprowadzić w dziedzinę dawnych wątpliwości.

- Proszę cię, zaniechaj tego. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak mnie uszczęśliwiłeś, wpajając we mnie przekonanie, że krew moich bliskich nie została przelana. ‘

- Mylisz się. Nie zatarłem tych krwawych śladów, gdyż byłoby to grzechem w stosunku do ciebie. Byłem daleki od budzenia w tobie zupełnej pewności; gdyby przypuszczenia moje okazały się mylne, rozpacz twoja powiększyłaby się w dwójnasób. Jak już mówiłem, chciałem tylko położyć kres twojej obojętności w stosunku do życia. A ty wpadasz z jednej ostateczności w drugą i wątpliwe przypuszczenia gotów jesteś uznać za pewnik. Przytoczę ci tedy kilka przekonujących dowodów, że ukochani twoi zostali wymordowani.

- Nie, ach nie! - zaczął się bronić. - Znam te dowody zbyt dobrze. Zabiły we mnie wszelką radość życia; uniemożliwiły mi korzystanie z najdrobniejszych choćby rozkoszy istnienia. Przyrzekam ci, że nie będę się łudził przesadnymi nadziejami.

- Wierzaj mi, że usiłując wyrwać cię z rozpacz, w całej pełni

73 zdawałem sobie sprawę z tego, jaką przyjmuję odpowiedzialność. Słuchałem głosu wewnętrznego. Głos ten nie zawiodł mnie nigdy, chyba, że go źle zrozumiał. Często wyprowadzał mnie z wielkich, poważnych niebezpieczeństw i był mi pomocny przy rozwiązywaniu wielu zagadnień.

- Dziękuję ci, effendi! Nikomu nie pozwolę wydrzeć sobie promienia, który zaczął już ogrzewać moje stare, zmęczone serce. Muszę ci wyznać rzecz dziwną: w żadnym kościele, w żadnej moszei nie odczuwałem tego wzniosłego, pobożnego uczucia, co teraz. Nie jesteś ani chrześcijańskim, ani mahometańskim kaznodzieją, ale słowa twoje ...

Przerwał i milczał dłuższą chwilę, po której zwrócił się do mnie z następującą prośbą:

- Pozwolisz, effendi, abyśmy teraz nie kontynuowali tej rozmowy?

Dobrze?

Doskonale go rozumiałem. Zrodziło się w nim coś nietykalnego, świętego, jakiś ołtarz, przed którym tylko własna dusza klęknąć mogła. Dalsze moje słowa mogły rozwiać ten nastrój kontemplacji.

- Uprzedziłeś moje życzenie - odrzekłem. - Już późno.

Chodźmy spać!

- Nie, jeszcze nie! Gdyby to ode mnie zależało, chciałbym, abyśmy pozostali tu do rana! Pomyśl, że żyję zupełnie samotnie i chciałbym koniecznie nasycić się twoją obecnością: Po południu nie byłeś jeszcze zdecydowany; może teraz mi powiesz, jak długo zostanieie w Bagdadzie?

- Jutro ruszamy ...

- Tak prędko - przerwał. - Proszę cię, effendi ...

- Nie pozwoliłeś mi wypowiedzieć się do końca! Chciałem powiedzieć, że jutro wyruszamy, jednak powrócimy wkrótce.

- To zmienia postać rzeczy. Ale dlaczego chcecie już jutro odjechać. Przecież trzeba wypocząć.

- Przeciwnie, potrzebujemy ruchu. Przez całą drogę siedzieliśmy

74 na małym kelleku. Jeżeli nawet nie jesteśmy w skutek tego zmęczeni, musimy mieć wzgląd na

konie. Ogniste rumaki stały zbyt długo i jako znawca, zrozumiesz, że to dla nich niewskazane.

- Racja, ale możecie przecież pojechać po prostu na spacer.

-Mówiłem ci już, że musimy się mieć na baczności przed złoczyńcami. Nie lękamy się ich, ale wolimy unikać zła.

- Dokąd chcecie pojechać?

- Do Birs Nimrud. Pytania, które ci postawiłem, nie mają jednak nic wspólnego z dawno powziętym planem. Po rozstaniu się z tobą, przeżyliśmy tam tak niepomysłny okres, że nie zapomnimy o nim przez całe życie. Korzystając więc z pobytu w Bagdadzie, chcemy odwiedzić te miejsca.

- Zły okres, powiadasz? Jakież to były przeżycia? Chcesz mi je opowiedzieć?

Ledwie dopowiedział pytanie, wtrącił Halef:

- Nie kieruj tej prośby do mego effendi, lecz do mnie! Nie lubi wypuszczać z ust sznura słów, a kiedy go zmusisz do tego, odgryza sznur i połyka go, co szkodzi bardzo jego zdrowiu. Natomiast mnie uszczęśliwił Allah sznurem o wielkiej trwałości, więc zwykłem gadać tak długo, aż nic nie pozostanie do powiedzenia. Dlatego gotów jestem udzielić ci żądanych informacji. Mam nadzieję, że nikt nie będzie miał nic przeciw temu.

Wypowiadając słowo „nikt”, kogo miał na myśli, jeśli nie mnie? Znałem pasję gadulstwa małego Hadżiego; zwykle pozwalałem mu mówić, chyba że chodziło o rzeczową, związaną relację, której wolałem sam udzielić.

Halef przepadał za patosem. Pasja ta jest właściwa wszystkim ludziom Wschodu, ale u Hadżiego rozwinięta była do tego stopnia, że nieraz musiałem poskramiać jego przesadne entuzjastyczne hymny pochwalne. Przyznaję jednak szczerze, że sam go chętnie słuchałem, gdyż był dobrym narratorem i dygresjom swym nadawał tyle humoru, że się nieraz uśmieiał serdecznie. Ponieważ nie odpowiadałem na jego pytanie, wziął milczenie za znak zgody i rozpoczął godzinne przemówienie, dając popis sztuki oratorskiej. Tragiczne dzieje za-mordowania towarzyszy podróży i naszego zachorowania na dżumę nabrały w jego opowiadaniu takiej siły wyrazu, że słuchacze byli jego słowami zupełnie pochłonięci.

Na zakończenie do~zucił:

- Jak widzicie, nie pożarli nas wrogowie, ani nie połknęła dżuma.

Allah zachował nas dla dalszych, wielkich czynów, o których może opowiem kiedy indziej, gdy będę miał ochotę. Teraz nadmienię tylko, że mamy zamiar r~szy~ do Persji, aby zwiększy~ chwałę naszych imi~n, które są tam sławne od dawna. Gdy zechcemy, podejmiemy walkę z całym wojskiem tamtejszego władcy. Jeżeli spojrzy na nas krzywym okiem, zmieciemy go wraz z haremem z powierzchni ziemi. Co się stanie później, czy ruszymy konno do Ameryki, czy do Australii, to na razie musi pozostać naszą tajemnicą. W każdym razie wieść o naszych czynach dotrze do was jeszcze przed powrotem naszym do namiotów Haddedi~nów. Niechaj Allah utrzyma do tej chwili siły i rozum waszych ciał i dusz, abyście dalszych mych opowiada~i słu~ać mogli z tym samym podziwem, co obecnie!

Po tym patetycznym zakoficzeniu nabił fajkę i zaciągnął się; widać było, że jest bardzo zadowolony, iż pozwoliłem mu się wygadać i osiągnąć sukces oratorski. Onbaszi zadokumentował swój entuzjazm kilku głębokimi westchnieniami. Pan jego, ujmujący sprawę prościej, rzekł:

- Nie ulega wątpliwości, że przeżyliście ciężkie chwile i dlatego nie mogę zrozumieć, co was skłania do odwiedzenia tych miejsc. Ja, na przykład, odwiedziłbym Birs Nimrud tylko pod przymusem.

- No, tak! - odparł Halef. - Taki jest twój punkt widzenia. Ale myśmy ludzie innego pokroju. Gdyby to, co spotkało ciebie i twego onbasziego, nam się przytrafiło, udalibyśmy się na miejsce już po kilku dniach, by zrównać z ziemią przeklęte gniazdo.

- Zrównać z ziemią potężny Birs Nimrud?

76

- Dlaczegoż nie? Sądzisz, że nie bylibyśmy w stanie tego uczynić?

Zresztą, byłoby to zbyteczne, gdyż my na waszym miejscu nie daliby~śmy się zamknąć, nie złożylibyśmy przysięgi i nie podpisałiby~my przekazu.

- Twierdzenia twoje wypływają właśnie z tego, żeście nie byli na naszym miejscu.

- Mylisz się, bo nie znasz ani mnie, ani mego sidi. Czymże jest wobec niego Sefir, o którym opowiadałeś? Siła jego, spryt i odwaga rozbiłyby się o siłę, mądrość i odwagę mego sidi, nie mówiąc już o mojej. Poskramialiś~y już niebezpieczniejszych ludzi, niż ci Pei'so-wie. Chciałbym, aby Sefir zamknął nas kiedyś w Birs? Dowiedziałbyś się niebawem, jak szybko odzyskamy wolność, aby go zgnębi~ szyder-czym śmiechem.

Hadzi nie pomyślał, że słowa te mogą dotknąć binbasiego; nie przeczuwał również, jak szybko

przechwałki nabiorą rumieficów pra-wdy. Na szczęście, gospodaXz odpowiedział bez szyderstwa;

- Niechaj Bbg nie dopuści, byście się mieli znaleźć kiedyś w podobnym położeniu. Najmędrszy, najdzielniejszy człowiek staje się bezradny wobec wroga, gdy mu zwiąże ręce i nogi. Ale, ale miałem ~ię przecież dowiedzieć, kim są wasi wrogowie?

- Tak, dowiesz się i ogarnie cię zdumienie, gdy usłyszysz, jak sprytnie i łatwo pozbyliśmy się ich. Może ty opowiesz, sidi?

- Nie - odparłem.

- Masz rację, - rzekł wyniośle. - Kto chce dać obraz tej sceny, ten musi posiadać otwarte usta, ruchliwy język, siłę przekonani~ i głęboki rozum, a równocześnie musi wiec~zieć dokładnie, wd czego ma zacząć opowiadanie, a na czym je skończyć. Tę znajomość i zręczność posiada niewielu ludzi, nic więc dziwnego, że tak często najpiękniej-szy temat staje się starym, podartym, połamanym siodłem, na którym nikt nie usiądzie. Zaczynam. Słuchajcie mnie z nabożefstwem! Rozumie się, że do naszego spotkania z Peder-i-Baharatem dorzu-cił kilka scen, których wcale nie było. Jak zwykle, przy hymnach pochwalnych na cześć mojej osoby, nie zapomniał o sobie. Jak czytelnikom wiadomo, zwykł był przy tego rodzaju okazjach mienić się mym doradcą i obrofcą. Na zakoAczenie przemowy dodał:

- Powiadam ci, binbasi, że korbacz jest wcieleniem zwycięskiej niezłomności. Nigdy bym nie wyruszył do Birs Nimrud bez bata. Gdybyście wy mieli korbacze, łaska losu towarzyszyła by wam i wypu-ściła by was jako wolnych ludzi.

Binbasi nie odpowiedział na tę uwagę, lecz zwrócił się do mnie:

- Sądzisz, effendi, że ci Persowie będą cię szukali w Bagdadzie?

- Bez wątpienia, o ile tylko tu przybędą - odparłem.

- I dlatego chcesz jutro wyruszyć?

-Nie tylko dlatego. Powiedziałem przecież, że ich unikam, ale się nie lękam. Po prostu, nie mam powodu do pozostania.

- Czy prośha moja nie jest powodem wystarczającym?

- Nie, przecież wrócimy znowu. Wtedy odpoczniemy po długiej podróży.

-Nie chcąc więc dłużej nalegać, proszę cię jednak, abyś w drodze powrotnej zatrzymał się u mnie. Przy tej okazji ponawiam jeszcze swą, prośbę, byście w Birs Nimrud nie przedsiębrali niczego co mogłoby mi zaszkodzić.

- Już ci przyrzekłem, że spełnię tę prośbę. Możesz być pewny, że dotrzymam słowa.

Z początku miałem zamiar odwiedzić tylko miejsce, z którymi łączyły mnie dawne wspomnienia. Jednak pod wpływem opowiadania majora postanowiłem poświęcić Birs Nimrud baczniejszą uwagę. Wiedziałem od dawna, że mieszczą się w nim tajemne kryjówki, do których już nieraz starano się dotrzeć; usiłowania te spełzły jednak na niczym, ponieważ kończyły się nieszczęśliwymi wypadkami. Podziemne lochy, w których więziono starca, wzbudziły we mnie ciekawość przede wszystkim ze względu na rysunek w moim notatniku. Chciałem to zbadać. Binbasiemu jednak nie wspomniałem o swoim zamiarze, ponieważ zdecydowałem się powstrzymać od wszelkich kroków, które mogłyby przynieść mu szkodę.

Około północy zajrzeliśmy do koni, po czym udaliśmy się na spoczynek.

Wieża Babel

Nazajutrz puściliśmy się w zaplanowaną poprzednio podróż do Wieży Babel, zwanej przez tamtejszych Beduinów Birs Nimrud. Droga z Bagdadu do Hilleh trwa bez mała trzy dni. Nasze rączę konie nie potrzebowały na to nawet tyle czasu, dlatego też nie nas nie nagliło do wyruszenia przed południem; przeczekałszy, podobnie jak poprzednim razem, porę największego upału, pożegnaliśmy naszego gospodarza i jego grubego onbaszkiego i ruszyliśmy w górę rzeki, przez most, na prawy brzeg Tygrysu.

Gdy rzuciliśmy stamtąd okiem wstecz, ujrzeliśmy, miasto całe w promieniach słońca. Po lewej stronie rozciągał się ogród publiczny, obok niego trakt pocztowy, założony przez Midhata Paszę, dalej baraki kwarantanny z wznoszącą się nad nimi warownią. Po prawej przedmieście ze starym klasztorem, za nim skupisko domów z górującymi minaretami i kopułami meczetów, otulone tumanami mgieł i kurzu, unoszącego się zazwyczaj nad Bagdadem.

Stamtąd podążyliśmy w stronę kanału Oszach; po jego przebyciu ujrzeliśmy rozpościerającą się przed nami pustynię. Tak, była to pustynia: Tam, gdzie do niedawna zieleniły się szeregi ogrodów, gdzie kołysały się tysiące palm, pachniały kwiaty i połyskiwały w słońcu najwspanialsze owoce, ciągnęło się teraz na zachód, jak okiem sięgnąć, aż po brzegi Eufratu, nieogarnione, okropne pustkowienie. Przez pustkowienie to prowadziła nasza droga do khanu Assad, stamtąd zaś do khanu Bir Nust, dokąd zajechaliśmy przed samym wieczorem. Nie mieliśmy bynajmniej zamiaru nocować w khanie, a to z powodu robactwa; zatrzymaliśmy się jedynie, aby napoić konie i ruszyliśmy w dalszą drogę do khanu Iskenderijeh; tu dopiero zsiadliśmy z koni i uwiązawszy je, rozłożyliśmy nasze derki do noclegu. Przez całą drogę nie natknęliśmy się na ani jednego pielgrzymaszycę, nie napotkaliśmy żadnego konduktu pogrzebowego, mimo to, gdy rozsiedliśmy się już na ziemi, Halef zauważył:

- Czy nie czujesz niczego, sidi? Wydaje mi się wciąż, jakbyśmy znajdowali się w obrębie morowego tchnienia karawany śmierci. Czy nie doznajesz tego samego wrażenia?

- Zgadza się z tobą - odparłem. - Wspomnienia działają na nasze powonienie. Nie widzę już wprawdzie przeciągających koło nas karawan śmierci, lecz jeszcze je czuję wyraźnie. To było

okropne, dopóki awdy okropne, nie też dziwnego, że nosy nasze nie zapomniały do dziś dnia tego trupiego odoru, który tak długo zmuszone były wdychać.

Cóż to jest karawana śmierci, karawan el amwat, jak mówią Bedui-ni?

Sądzę, iż najlepszą i najkrótszą odpowiedzią na to pytanie będzie taka oto: Mahometanie, należący do sekty szyitów, wierzą, iż każdy muzułmanin tej sekty, którego zwłoki pochowane zostaną w Kerbeli lub w Nedszef Ali, idzie bez dalszych przeszkód wprost do raju. Jak wiadomo, wyznawcy islamu dzielą się na dwie sekty: sunnitów i szyitów. Słowo „sunna”, oznaczające dosłownie drogę lub kierunek, określa całokształt tradycji związanych z pewnymi czynami lub słowami Mahometa, które w wypadkach, gdy Koran milczy, lub wypowiada się niedość jasno, mają znaczenia prawa. Sunna zatem stanowi dla wyznawców sekty, obok Koranu, główne źródło mądrości religijnej i życiowej. Prócz tego różnią się sunnici od innych mahometan przede wszystkim tym, że uznają trzech kalifów, Abu Bekra, Omara i Otmana, za prawowitych następców proroka. Do sekty tej należą prawie wszyscy muzułmanie, zamieszkali w Afryce, Egipcie, Turcji, Syrii i Arabii. Słowo „szia” oznacza to samo, co partia. Szyici odrzucają trzech wspomnianych kalifów, twierdząc, że jedynie Alemu i jego potomkom należy się godność kalifów. Tych spotykamy głównie w Persji i w Indiach; w innych krajach trafiają się jedynie jako jednostki. Szyici otaczają Alego i jego potomków, zwłaszcza zaś jego synów Hassana i Husseina, tak przesadną i żarliwą czcią, że niektóre skrajne ich sekty uważają wszystkich jego potomków zgoła za wcielenia bóstwa. Pierwotna ich religia, zniekształcona przez naleciałości mistyczne i panteistyczne, uczy pomijać sunnitami, nienawidzić ich i prześladować bardziej jeszcze niż Żydów, chrześcijan i pogan. Stąd odwieczne zawzięte i krwawe walki pomiędzy wyznawcami tych dwóch sekt. Wiele krwi upłynęło, wiele popełniono okrucieństw, przed których opisywaniem wzdryga się pióro. Nienawiść ta nie wygasła do dzisiaj, zarzewie jej tli się poprzez wieki, wybuchając przy łada sposobności niszczycielskim płomieniem. Rozumie się samo przez się, że zawziętość ta pociąga za sobą najwięcej ofiar w krajach, gdzie sunnici i szyici mieszkają przemieszani ze sobą nawzajem; lub gdzie osiedla ich stykają się ze sobą bezpośrednio, jak to zwłaszcza bywa w Iraku, gdzie w niewielkiej odległości od Bagdadu leżą dwa święte miasta szyickie: Nedszef Ali i Kerbela.

Pierwsze z tych miast otrzymało nazwę od położonego w pobliżu jeziora Nedszef. Nazywają je również Meszhed Ali, co znaczy: Grobowiec Alego, gdyż zięć Mahometa został tam pochowany. Leży to miasto w odległości około pięćdziesięciu kilometrów na południe od ruin Babilonu. Na tej samej drodze znajduje się wieś Kefil, miejsce wiecznego spoczynku proroka Ezechiela. Kerbela, zwana również Meszhed Hussein, czyli Grobowiec Husseina, pod względem bogactwa przewyższa o wiele Bagdad. Sztuczny kanał łączy ją z prawym brzegiem Eufratu. Kerbela jest celem pielgrzymek wszystkich szyitów i uchodzi za miasto jeszcze bardziej święte od Nedszef Ali. Nie zamierzam się cofać aż do pierwszych walk sunnitów z szyitami, do śmierci Alego i jego synów, Hassana i Husseina. Wystarczy wspomnieć, że rocznicę śmierci Husseina szyici świętują w wielkiej żałobie i każdy z nich wierzy, iż pójdzie wprost do nieba, jeśli tylko pochowany zostanie w jednym z tych dwóch miast. Z tego też powodu najgorętszym pragnieniem każdego szyity jest spoczynek w tej świętej ziemi. Ponieważ jednak większość szyitów mieszka w Persji, lub nawet w Indiach, skąd transport zwłok powoduje siłą rzeczy ogromne wydatki, przeto luksus przewiezienia po śmierci i pogrzebania w Kerbeli lub w Nedszef Ali dostępny jest jedynie dla bogatych. Biedny zaś musi

przetransportować się sam o własnych siłach, to znaczy - żegna się ze swymi krewnymi i zebrząc o głodzie i chłodzie, podąża przez dalekie kraje do odległego celu swej wędrówki i swego życia, aby tam w spokoju oczekiwać śmierci. Wędrówki te odbywają się o każdej porze roku zazwyczaj określonymi już drogami, uznanymi za najlepsze i najkrótsze; istnieją też szlaki i drogi wytknięte przez władze. Przypominają one w ogólnych zarysach system rzeczny z rozsianą na szerokiej przestrzeni siecią źródeł, strumieni i wodospadów; stopniowo strumienie te zlewają się ze sobą, tworząc dopływy, które z kolei łączą się w jedno koryto. Im bardziej oddalone, tym drobniejsze są te odnogi i tym ich więcej; im bliżej celu, tym mniej ich, za to zasobniejsze stają się w wodę, aby wreszcie, spłynąwszyw jedno łóżysko, podążyć ku ujściu jako potężna rzeka. Podobnie rzecz się ma i z tą rzeką ludzką. Pojedynczy pielgrzymi, których napotkać można w oddalonych okolicach, odnajdują się w wiadomym punkcie zbornym, łączą się w grupy, które z kolei zlewają się za sobą na dalszych punktach węzłowych, przyjmując z prawej i z lewej coraz to nowe dopływy, aż wzrastają do potężnych rozmiarów groźnej karawany śmierci, groźnej nie tylko dlatego, że składają się na nią zdolne do wszystkiego jednostki ludzkie, lecz nadto liczne kondukty pogrzebowe, które przyłączyły się po drodze. Wyobraźmy sobie setki i tysiące trupów, zawiniętych jedynie w cienkie płachty, lub spoczywających w połamanych od dawna trumnach, wystawionych miesiącami na największą spiekotę, przeciwności długiej podróży i działania atmosferyczne; znajdują się one w stanie całkowitego rozkładu i wydzielają odór, który z każdym podmuchem wiatru rozprzestrzenia się coraz dalej. Nic też dziwnego, że w trop za tą karawaną idzie upiorne widmo zarazy. Takie orszaki pielgrzymów, niosące ze sobą trupy i pozostawiające za sobą śmierć, obdarzono bardzo trafnym mianem karawan el amwat.

Pielgrzymki te stają się najliczniejsze w okresie poprzedzającym bezpośrednio każdą rocznicę śmierci Husseina. Z płaskowzgórza Iranu śpieszą wówczas karawany Hindusów, Afganiczyków i Persów. Nadciągają ze wszystkich stron lądem i morzem, gdyż droga wodna z Indii jest znacznie krótsza od uciążliwej drogi lądowej. Niechby jednak spróbował kto wejść na pokład takiego okrętu. Z powodu rozsiewanego przezefi odoru omija go z daleka każdy statek i żaden Euro-pejczyk nie zbliży się dofi bez ostatecznej konieczności. W dodatku ludzie eskortujący zwłoki nazywają te potworne wyziewy nie odorem, lecz hawa es sema, niebiafiskim powietrzem, lub rawaji ed džani, rajskimi zapachami!

Skoro umrze któryś z szyitów, którego zwłoki mają być pogrzebane w świętym mieście, ciało jego musi oczekiwać niekiedy całymi miesiącami, zanim uformuje się odpowiednia karawana. Gdy wreszcie karawana wyruszy, ma przed sobą do przebycia długą drogę, uciążliwą i powolną. Południowe słońce spływa potokami skwaru. Trumny pękają, płachty owijające trupy przeżera na wskroś proces rozkładu. Każdy, komu życie miłe, widząc nadciągającą karawanę, w przerażeniu omija ją z daleka; tylko szakal i rozbójnik Beduin włóczę się w jej pobliżu, pierwszy zwabiony odorem rozkładu, drugi skarbami, które wiezie ze sobą karawana, by wręczyć je u kresu swej pielgrzymki strażnikom świętych grobów. Są tam naczynia wysadzone diamentami 84 i usiane perłami materie, drogocenny oręż i sprzęty, stosy złotych i srebrnych monet, bezcenne amulety, ulane ze szlachetnego kruszcu i wysadzone drogimi kamieniami wyobrażenia chorych członków pielgrzymy, który szuka uzdrowienia, słowem wszelakie możliwe wota i haracze przeznaczone dla wzbogacenia skarbców podziemnych Ker-beli i Nedszef Ali. Przedmioty te dla zmylenia czujności rabusiów pielgrzymi ukrywają w trumnach;

ale bogaci w doświadczenie Beduini nie dają się już zwieść temu fortelowi. Podczas napadu otwierają przede wszystkim trumny i odnajdują z łatwością poszukiwane ko-sztowności. Plac boju przedstawia później dziki chaos pozabijanych zwierząt, wymordowanych ludzi, porozrzucanych szczątków zwłok, porozbijanych trumien i samotny jeździec, który natknie się przypadkowo na to miejsce zagłady i zniszczenia, odwraca stąd pośpiesznie swego konia i uchodząc przed tchnieniem morowej zarazy, woła:

AVahia Allah, W b~b~bib Szav i~'l'ahs! Boże, o Boże, włosy jeżasię

tu na głowie! p -

p g zymi i ich transport narażeni są na zu eł

Na drodze wodnej iel r t el Arabu,wydo-

nie identyczne niebezpieczefistv~'a. Okre~' ich z Szat

s~jąc się na Eufrat, płyną potem w górę z bi~ga pokładzie aPřd

Bahr-i-Nadszefu, tworząc niekiedy całe flot~'lle

w zu ełn

żą pokotem żywi i martwi p ym nieładzie, często ~

nim le ywają

nawet burty okrętu obwieszono b trumnami. Można sobie

obrazi~, jak piekielny panuje tu zaduch! Wzdłuż brzegów wspomnia ;

nego kanału myszkują Beduini z potężnego szczepu Elęu-Thefir

czatujący na okręty, by zagrozi~ im drogę. Każdy z ~jt W m~l

wysokości tysiąca zło ch monet lub wi p

złożyć okup w ~ e o wycięta w pień.

ym razie zostanie splądrowany, a załoga j g

ciwn~, y ętych miast

yliłb się jednak, kto by sądził, że z p~a ciem do świ p a

M y tkie przeciwności pielgr ! Wówczas roz oczyn -

kofic ę zS's otrwa-

ją si ę bowiem dopiero pertraktacje, ęównik naj ęrdziej wygórowane ęle, z kapłanami meczetu, stawiającym J g ęądania. Serca ich i ęęzyki nie znają ustępliwośc i. Im bo ats był 85 nieboszczyk, im bliżej świątyni chce być pochowany, tym większej ęądają sumy. W rezultacie pielgrzymi muszą przystać na każdą opłatę, byle tylko wreszcie uwolnić si ę od trupa. Totei biednym pielgrzymom nie przychodzi bynajmniej z ęłatwośc ią znalezienie wiecznego spo-czynkuw świątej ziemi. Wyłudzają tam od nichwszystko, co posiadali. Podupadli na cie le i na duchu, nękani przez wszelkie możliwe choroby, błąkają si ę dokoła miasta zgłodniali i spragnieni, i tylko nielicznym udaje si ę znaleźć na czas krótki przytułek w jednym z bardzo wychwalanych, ale bardzo mało dobrego czyniących towarzystw dobroczynnych. I tam jednak nie zaznają spokoju. Ogołoceni ze wszystkiego, walczący ze śmiertcią, ludzie ci zdolni są do wszystkie-go, byle tylko ujść tej śmiertci, lub bodaj jak najdalej ją od siebie odepchnąE. Kradzież i wymuszenie, rabunek i morderstwo muszą im dostarczyć tego, czego odmówiło im prawo i ludzkość. W ten sposób doszło do tego, że świąte miasta i ich okolice nie mogą żadną miarą poszczycić si ę bezpieczeństwem, jakie przystałoby ich sławie. Tego zaś, kto potrafi uchronić si ę przed niebezpiecznictwem, grozącym każdemu ze strony desperatów, przejmować musi do głębi już sam widok porozkładanych dookoła pokotem w oczekiwaniu śmiertci chorych i umierających, nie ma bowiem nikogo, kto by si ę nad nimi ulitował. Wystarczy powiedzieć, że rok, w ciągu którego z wielotysię-cznej rzeszy przybyłych do świątego miasta pielgrzymówwyrze tylko jedna czwarta, uważany tu jest za rok wyjątkowo zdrowy. Dzięki wspaniałym ofiarom i chciwośc i kapłanów, Nedszef Ali i Kerbela posiadają więcej bogactw, niż jakiegokolwiek z innych miast wschodnich. Kopuła nad meczetem, w którym mieści si ę grób Alego, nazywa si ę Kuh-i-Ser, Góra Złota; podłoga wewnątrz ułożona jest podobno ze złotych płyt, jeśli zaś uwierzyć opisom krużganków pod-ziemnych, z nagromadzonymi tam skarbami nie mogą si ę równać nawet wszystkie skarby Golkondy.

W Kerbeli spoczywa podobno więcej jeszcze skarbów niż w Ned-szef Ali. Świątynia tamtejsza kryta jest dachem ze szczerego złota.

86

Temu, kto zostanie tam pochowany, odpuszczone będą najcięższe grzechy i wszystkie bramy niebios do siódmej włącznie staną przed nim otworem. Łatwo si ę też domyślić, że ofiary swe znoszą tu, by spocząć po śmiertci, bynajmniej nie najcnotliwsi z szytów. Nadto do Kerbeli garną si ę żyjący zbrodniarze. Osławieni grzesznicy świeccy i duchowni, uciekający przed karą śmiertci, chronią si ę do tego miasta, którego prawo azylu czyni ich niedostępnymi dla ich prześladowców, i pozostają w nim aż do śmiertci za cenę większej części swego majątku. Bogactwa ziemskie i deptanie wszelkich praw moralnych idą tu ze sobą w parze. W ten sposób te świąte miejsca stały si ę w rzeczywistośc i zbiorowiskiem trupów, nie tylko fizycznych, lecz i moralnych, i każdy z tych małych orszaków, wiozących do jedyne go jeszcze otwartego dla nich azylu takie trupy moralne, zasługuje równie dobrze na miano śmiertelnej karawany, jak opisane wyżej karawany pątników, rozsiewające dokoła siebie prawdziwy zaduch trupi.

W ostatnich czasach karawanom el amwat zabroniono przebywać okolice gęsto zaludnione; do niedawna jednak mogły przeciągać przez sam środek Bagdadu, wchodząc przez Szedt Omer, Bramę

Wschodnią, a wychodząc przez most, tą samą drogą, którą przebywa-liśmy z Halefem wówczas i teraz. Kiedy karawana taka znikła na widnokręgu, szło za nią przez miasto kalifa tchnienie morowego powietrza. Zaczynał szaleć pomór, koszący tysiące istnień ludzkich w ofierze muzułmafskiemu fatalizmowi, wyrażającemu się w zdaniu, że „w księdze życia zapisane jest wszystko”.

W roku 1831 Bagdad liczył z górą sto tysięcy mieszkańców. Gdy rozeszła się wieść o zbliżeniu się do miasta wielkiej karawany szyitów, znacznie potężniejszej tym razem niż zazwyczaj, do paszy udała się delegacja wybitniejszych Europejczyków z prośbą, aby zabronił karawanie przejścia przez miasto. Daremne były jednak ich starania i perswazje. Wskórali jedynie tyle, że pasza obiecał zasięgnąć w tej sprawie opinii kapłanów. Ci zaś zawyrokowali: „Żądanie chrześcijan stoi w sprzeczności z Koranem. Jeśli nawet zaraza wybije tych niewiernych, będzie to dla nich słuszną karą za to, że odrzucają świętą naukę islamu. Jeśli wraz z nimi umrzeć mają i wierni, to taką widocznie była wola Allańa, który zna godzinę śmierci każdego ze swoich wyznawców, a wszyscy oni wejdą do nieba. Nie godzi się tedy zabraniać karawanie przejścia przez miasto.” Postąpiono też w myśl tego orzeczenia, a skutek był taki, że pomór rozszalał się po mieście z niespotykaną siłą. Tysiące ludzi dziennie padało jego ofiarą. Nie pomogły ani środki ostrożności, ani izolacja. W końcu grabarzom nie starczyło czasu; trupy leżały pokotem na ulicach i po kątach domów, rozkładając się i rozprzestrzeniając zarazę, która zdawała się przeni-kać przez mury w poszukiwaniu nowych ofiar. Grobowa cisza zawisła nad nieszczęsnym miastem. Nie stało ani jednego muezzina, którego nawoływanie do modlitwy rozległoby się z minaretu. Zamarł ruch i handel, nikt nie kupował, ani nie sprzedawał. Wyginęli piekarze, za nimi sakka’żnowie, woziwody. Niepodobna było dostać niczego do jedzenia nawet za duże pieniądze, ulicami, z domu do domu, szło widmo głodu, obejmując straszną spuściznę po zarazie. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności do klęski tej przyłączył się jeszcze bezprzy-kładny wylew Tygrysu, którego fale rozmyły wzniesione z gliny wały i zatopiły całe miasto. W żarłocznych jego nurtach zniknęło przez jedną noc pięć tysięcy domostw. Gdy wody opadły, rozmokła ziemia przedstawiała jedno wielkie ognisko zarazy. Mór szalał jeszcze długo i gdy wreszcie ustał, okazało się, że dwie trzecie mieszkańców Bagda-du przyplaciło śmiercią orzeczenie mullahów.

W następstwie, rzeczy przybrały inny obrót. Słynny Midhat Pasza skasował niefortunne orzeczenie kapłanów. Karawanom umarłych dozwolono jedynie przekraczać granice dzielnic północnych, aby tamtędy jak najspieszniej mogły wydostać się na most. Zazwyczaj na przedzie takiej karawany powiewa wysoko chorągiew z godłem Persji: lwem na tle zachodzącego słońca. Za chorągwią postępują ci pielgrzy-mi, którzy są jeszcze w stanie iść o własnych siłach, wychudłe postacie o twarzach spalonych od słońca. Z ciemnych, zapadniętych ich oczu g g bije dumny fanatyzm religijny. Dalej j eźdźcy na wielbładach i koniach, o siodłach i czaprakach poobwieszanych błyszczącymi ozdobami; jeszcze dalej uzbrojeni piechurzy, intonujący monotonne wersety modlitw i obrzucający tłum spojrzeniem pełnym nienawiści w poszu-kiwaniu innowiercy, którego mogliby opluć i obsypać stekiem obelg. Objuczone ciężko muły i osły dźwigają trumny z „gośćmi siódmego nieba” szczęśliwości muzułmafskiej, przedstawiającymi rodzaj gniją-cej galarety, której straszliwy i bynajmniej nie niebiafski zapach przebija przez butwiejące drewno. Silniejsze muły objuczone są za-zwyczaj w ten sposób, że po obu stronach grzbietu przewieszane mają po trumnie, na siodle zaś siedzi jeździec z szeroko rozkrzyżowanymi nogami. Słabsze osły dźwigają po jednym tylko trupie, bądź złożonym w trumnie, bądź poprostu owiniętym w derkę. Trafiają się i piechurzy niosący we

dwóch jedne zwłoki, a wśród nich nawet tacy, którzy w pojedynkę z trudem dźwigają na plecach nieboszczyka. O ile widok zwierząt niepomiernie objuczonych, okrutnie bitych i poniewieranych, poranionych i poobcieranych do krwi, wzbudza mimowolną litość, o tyle ludzie ci, opętani fanatyczną furją, wyzywający i plujący obelgami na prawo i lewo, nie bardzo zasługują na współczucie. Wszystko, co nie szyckie, mają w największej pogardzie i każdy grymas ich twarzy, każdy ruch ich ciała, gest ich rąk jest już obelgą dla każdego, w kim widzą innowiercę. Im dalej od czoła karawany, tym nędzniejsze składają się na nią postacie. Kolejno ciągną biedni, naj-biedniejsi, żebracy, wreszcie maruderzy i motłoch. Ci idą boso, w łachmanach, często posiadając za całe odzienie jedną szmatę, którą okrywają swe największe rany. Kuśtykają o laskach i kulach, podpierając się starymi strzelbami i odłamkami pik; ale oczy ich błyszczą dumą i bezgraniczną pogardą bije z odrażających zmarszczek ich twarzy. Oni jedyni dostąpili łaski Allaha, ich jednych, wybrańców niebios, przeznaczył Allah dla wieczystej szczęśliwości, kto zaś nie pluje wraz z nimi i nie urąga innym, ten jest potępionym synem szatana, przeklętym wyrzutkiem piekieł. Pooszpecani jak indyjscy 89 fakirzy, pokryci ranami, wysmarowani łajnem wielbłądzim i kofiskim; oraz innymi nieczystościami, jakby odór trupów im nie wystarczał, wznoszą z tej cielesnej powłoki swe modły ku Allahowi, ciskając równocześnie na przypatrujących się im mijanych ludzi najobelżywsze przekleństwa i wyzwiska.

Kiedy za pierwszej bytności w Bagdadzie znaleźliśmy się z Halefem w tłumie widzów, Halef, chroniąc się przed okropnym odorem, zatkał sobie nos skrajem chustki swego turbana. Zauważywszy to, jeden z Persów wystąpił z szeregów i zawołał:

- Sak! Psie! Czemu zatykasz sobie nos?

Ponieważ Halef nie rozumiał jeszcze wtedy po persku, odpowiedziałem za niego:

- Czy uważasz wyziewy tych trupów za rajskie zapachy?

Spojrzał na mnie spode łba i rzekł:

- Czy nie wiesz, co mówi Koran, że ciała wiernych pachną jak pachnidła?

- Słów tych nie ma w Koranie, wyjąłeś je z Ferid Eddin Attars Pendnameh; zapamiętaj to sobie! Zresztą, dlaczegóż w takim razie wy sami zatykacie sobie nosy i usta?

- Ja nie! To inni.

- W takim razie poskarż się naprzód na swoich, a potem dopiero zwróć się do nas! Nie mamy z tobą nic więcej do gadania!

- Mężu, twoja mowa jest dumna! 'I~ jesteś sunnitą. Wyście to przyczynili zgryzot prawdziwemu

kalifowi i jego synom. Bodajby was Allah strącił do najciemniejszych czeluści piekieł! Odwrócił się od nas, groźnie wymachując rękoma, my zaś w tym drobnym napozór wypadku mieliśmy jaskrawy przykład tej niesłychanej nienawiści, której zarzewie tli z pokolenia w pokolenie pomiędzy wyznawcami sunny i szii. Człowiek ten zelżył nas w obecności wielotysięcznego tłumu sunnitów; można sobie tedy wyobrazić, jaki los spotkałby człowieka, w którym odkryłby nieszytę w Nedszef Ali, lub w Kerbeli!

90

Przytoczę jeszcze jeden przykład tej fanatycznej nienawiści. Pewnego dnia przejeżdżaliśmy, Anglik Lindsay, księżę perski Hassan Ardszir mirza, Halef i ja, za nami zaś inne jeszcze osoby, drogą, którą poprzedniego dnia przeciągnęła karawana śmierci. Zaduch panował ‘ na niej jeszcze taki, że mieliśmy wrażenie, iż znajdujemy się w niewie-trzonym szpitalu, przepelnionym chorymi na ospę. Od czasu do czasu mijaliśmy po drodze samotnych pątników, zdążających do Kerbeli, by tam kazać się pochować, lub całe grupy szyitów, którzy, naładowawszy na jednego zbiedzonego zajeżdżonego osiołka większą ilość trupów, z trudem popychali go naprzód, pozostawiając za sobą powietrze tak zatrute trupim odorem, że trudno było nim oddychać. Na skraju drogi dostrzegliśmy siedzącego żebraka. Żebrak ten był prawie nagi; za całe odzienie miał wąski fartuch opasujący mu biodra. Sposób, w jaki indywiduum to dawało wyraz swemu bólowi z powodu śmierci Husseina, był w najwyższym stopniu odrażający: ramiona i uda miał poprzekłuwane ostrzami sztyletów, w łydkach zaś, szyi, nosie, podbródku i wargach sterczały mu jedna przy drugiej długie szpilki; na podbrzuszu jego i na plecach widniały powbijane w ciało haki z przyczepionymi do nich ciężarami; pozostałe części ciała pokłute były igłami, na ogolonej zaś do skóry głowie powycinane miał długie pasy. W każdy palec u ręki i nogi powbijane miał drzazgi i na całym jego ciele niepodobna było znaleźć jednego miejsca wolnego od tych straszliwych oszpecefi.

Ja sam, choć jestem człowiekiem zdrowym i nad wyraz silnym, wytrzymałem jak hipopotam na głód, pragnienie, gorąco i zimno, brak snu i inne niewygody, takiego sponiewierania własnego ciała nie przetrzymałbym z pewnością. Widziałem wprawdzie u fakirów indyjskich oszpececia jeszcze straszliwsze i wiem, że fanatyzm religijny czyni organizm nieczułym na pewne cierpienia i że niejedni zechce dopatrywać się w tym sugestii lub hipnozy, tym nie mniej jednak przyznać musi, że jest rzeczą zdumiewającą, iż człowiek w podobnym stanie w ogóle może się jeszcze utrzymać przy życiu. Nie mam 91 bynajmniej zamiaru mówić w tym wypadku o jakimś bohaterstwie. Patrząc na tego człowieka, odczuwałem najwyższą odrazę. Chciałem już wyminąć go, odwróciwszy wzrok w inną stronę, gdy nagle to indywiduum, ociekające krwią i pokryte całym rojem much i komarów, podniosło się na nasze spotkanie i wyciągając ku nam ręce, zawołało:

- Dirigha Allah, waj Mohamrned! Dirigha Hassan, Hossein!

Wstręt brał na niego patrzeć; nie czułem dlań ani krzty litości i dałbym mu raczej policzek, niż jałmużnę. Co za absurd, co za głupota, aby z racji śmierci jakiegoś człowieka, bo wszak nikim innym nie był ów Hussein, pozadawał sobie takie ohydne okaleczenia! I w dodatku to odrażające indywiduum uważa się za świętego, którego po śmierci oczekuje najwyższy raj i już tu, na ziemi,

domaga się od każdego sowing jałmużny i kornej czci.

Książę, jako bogaty Pers i szyita, rzucił mu złotego tumana.

- Hasgadag Allah! Niech cię Bóg błogosławi! - podchlebił mu żebrak za ten hojny datek.

Lindsay sięgnął do kieszeni i podał mu monetę dziesięciopia-strową.

-SubhalanAllah! Łaskawy Boże! -zabrzmiało tym razem mniej czołobitnie, bowiem nie Lindsaya, lecz Allaha wymieniono jako ofia-rodawcę.

Ja dałem tylko jednego piastra. „Święty” przybrał z początku bardzo zdziwiony, potem bardzo surowy wyraz twarzy i krzyknął za mną:

-Azdar! Skąpiec! -Potem z gestami obrzydzenia i coraz szybciej jął dorzucać: -Azdari, pendsz azdarani, deh azdarani, hezar azdarani, lek azdarani! Jesteś skąpiec, jesteś po pięciokroć skąpiec, jesteś po dziesięciokroć skąpiec, jesteś po stokroć skąpiec, jesteś po tysiackroć skąpiec, jesteś po stokro~ tysiacy skąpiec!

Podeptał mego piastra nogami, napluł na niego i okazał taką złość, że niewiadomo było, czy śmiać się z niej, czy się jej obawiać. Tego już było za wiele memu zapalczywemu Halefowi, który nigdy nie ścierpiał 92 obrazy czy to skierowanej pod jego, czy pod moim adresem, dlatego zapytał mnie:

- Sidi, nie rozumiem jego słów. Co znaczy azdar?

- Skąpiec- wyjaśniłem.

-Allah'lAllah! A jak się nazywa po persku największy głupiec?

-Bisaman.

- A nieokrzesany gbur?

-Dszaf.

- Dziękuję ci, sidi!

Wówczas Halef odwrócił się w stronę szyity, wyciągnął ku niemu rękę do góry dłonią, otarł ją o nogę, gest, który uważany jest tu za największą obrazę, i krzyknął:

-Bisaman, bisaman, dszaf, dszaf, dszaf.~

To, oo nastąpiło potem, przekt~aczało już wszelkie wyobrażenie. „Święty męczennik” otworzył upust swej wymowie i wykazał się zapa-sem takich wyzwisk i epitetów, których powtórzyć w tym miejscu nie sposób. Uchylając czoła przed jego elokwencją w tym zakresie, po-cwałowaliśmy dalej.

Co przeżyliśmy potem w zetknięciu z karawaną śmierci, zostało już opowiedziane poprzednio i powtarzać tego nie mam potrzeby; obrazy te przeciągały teraz przed oczyma naszej duszy, gdy po latach w głębokiej ciszy nocnej siedzieliśmy na skraju tej samej drogi, którą niegdyś przejeżdżaliśmy konno. W pamięci przesuwały się przed nami obrazy jasne i wyraziste jak wówczas, nic też dziwnego, że nosom naszym wydawało się, czują znova te same potworne „rajskie zapa-chy”. Wiedzieliśmy dobrze, że było to tylko złudzenie; powietrze przesączało się do naszych płuc czystym balsamicznym tchnieniem, i wkrótce zaczęła nas ogarniać senność. Spożywszy swój skromny po-siłek i dawszy obroku koniom, zawinęliśmy się wraz ze strzelbami w derki i zamknęliśmy oczy. Mogłem zdać się na swój niezwykle czujny sen; w dodatku konie nasze były już tak wytresowane, że o każdym zbliżaniu się kogokolwiek dawały nam znać głośnym parskaniem.

93

Zasnąłem wkrótce, obudził mnie dopiero przejmujący chłód wiosen-nego poranka.

Ponieważ nigdzie w pobliżu nie było wody, napoić konie mogliśmy dopiero w khanie Iskenderijeh; dosiedliśmy ich przeto i podążyliśmy w tym kierunku.

Słowo khan oznacza tu to samo, co na Zachodzie określa się słowem zajazd. Khany lub hany pomiędzy Bagdadem a ruinami Babi-lonu wszystkie budowane są na jedną i tę samą modłę. Zostały wznie-sione przez rząd perski dla wygody pielgrzymich karawan i przedsta-wiają małe, okolone murami forteczki, stanowiące dostateczną ochronę na wypadek ewentualnego napadu Beduinów. Przez solidną bramę w wieży, z której roztacza się rozległy widok na pustynię, wchodzi się na dziedziniec; po jego czterech stronach ciągną się sklepione pokoje. Pośrodku wznosi się platforma, na której nocą śpią podróżni, we dnie zaś gromadzą się dla wspólnych modłów. Za nią znajdują się boksy dla koni i wielbłądów. Przytułek w tych khanach był bezpłatny, jednakże dzięki panującemu tam robactwu podróżny, przyzwyczajony do czystości, musi opłacić go dość drogo, zwłaszcza, jeśli nieszczęście zechce, że w czasie jego pobytu zawinie tam kara-wana śmierci, roztawiając przed nim swe cuchnące trumny. I ehoćby wziął wówczas nogi za pas i zatrzymał się dopiero na biegunie północ-nym, pewien może być, że nawet tam, na wieczystych lodach, umęczo-ny jego nos wietrzyć będzie wofi trupią.

Po dwóch godzinach jazdy dotarliśmy do khanu i przejechaliśmy bramę. Miejsce to, dość obszerne, by pomieścić setki ludzi i zwierząt, nie było dzisiaj specjalnie zatłoczone. Obecni tam podróżni z miejsca darzyć nas zaczęli niezwykłą uwagą, z czego zresztą nie mieliśmy powodu być dumni, ponieważ dotyczyła ona nie tyle nas osobiście, co naszych koni. Ciśnięto się do nich tłumnie, obdarzając je okrzykami podziwu. Gdy mieliśmy już tego po uszy, zwróciliśmy się do dozorczy, który

za bakszysz uwolnił nas od natrętów.

Zeskoczywszy z koni, natknęliśmy się przy studni na dwóch ludzi, 94 którzy poili zwierzęta. Nie chcąc im przeszkadzać, czekaliśmy, aż skończą. Przyglądając się im z bliska, zauważyłem na palcu jednego z nich srebrny pierścień. Przypatrzwszy się uważniej, spostrzegłem, że oprawa jego nie była ani okrągła, ani kwadratowa, jak zazwyczaj, lecz ośmiokątna. Od niechcenia przysunąłem się bliżej i pod pozorem, że chcę zajrzeć do studni, czy jest w niej dość wody i dla nas, przyjrzałem się baczniej jego ręce. Nie ulegało wątpliwości- był to pierścień sillana. Napis na nim składał się z splecionych ze sobą liter Sa i Lam, nad nimi zaś umieszczony był tesdid, znak dwukrotności, który po-mimo miniaturowych rozmiarów rozpoznałem dokładnie. Ukrad-kowy rzut oka na rękę drugiego mężczyzny przekonał mnie, że obaj ci ludzie byli sillanami.

W chwili, gdy skonstatowałem to niezbiecie, przyszło mi na myśl, czy nie byłaby to doskonała sposobność~ poddania próbie prawdziwo-ści naszego pierseienia. Dziś, kiedy to opowiadam, znając wszystkie późniejsze wydarzenia, uświadomiłem sobie, że wprowadzenie w czyn tej myśli było z mojej strony wielką nieostrożnością; wóczas jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy: Co może nam szkodzić, jeśli nas wezmą za sillanów?- pomyślałem. Nie mogło dla nas wyniknąć nic złego, zaspokoiliby~my natomiast swoją ciekawość. Czegóż mieliby-śmy się obawiać ze strony tych dwóch prostych i Bogu duch winnych ludzi? A gdyby nawet... wszak byliśmy mężczyznami, których perspektywa takich drobnych konfliktów nie mogła przecież nastraszyć. Odwróciwszy się do Halefa, wyciągnąłem nieznacznie z kieszeni pierścień odebrane Peder-i-Baharatowi i jego towarzyszom, wsu-nąłem sobie na palec złoty, jemu dałem jeden z dwóch srebrnych, i szepnąłem:

- Wsuń szybko i niepostrzeżenie ten pierścień na palec! Ci ludzie są sillanami. Ciekawym, jak zareagują na widok naszych pierścieni.

- Maszallah, dobra myśl!- zaśmiał się cicho Halef, przy czym oczy jego zabłysły wesoło: Być może, wyniknie z tego spotkania interesująca przygoda, o której potem będzie co opowiadać. Jeśli się 95 mnie zapytają, odrzeknę im, że...

- Nie odrzekniesz im nic- przerwałem: Będę ciebie wyręczał.

Nie można przewidzieć, czego się dowiemy i co zajdzie, więc musimy być ostrożni.

- Ależ, sidi, ja przecież będę musiał również coś powiedzieć!

- Będziesz mi przytakiwał we wszystkim, co powiem, lub uczynię; tyle wymagam od ciebie, nic nadto. Uważaj tylko i nie zachowuj się niezręcznie.

- Ja, niezręcznie?- zapytał obrażonym tonem: Sidi, zaliś wi-dział, by twój przyjaciel i obrofica zachował się kiedyś niezręcznie? Bodaj mnie moja Hanneh, najpiękniejsza z róż i rezed raju kobiecego, nie wzięła nigdy za męża swego serca, jeśli jakiś niezręczny... Dalszych jego słów nie słyszałem, gdyż, nabiwszy szybko swój tshi-buk, przystąpiłem na powrót do dwóch

mężczyzn, z których jeden palił właśnie fajkę.

- Tytoń jest strawą duszy i wofi jego odrywa myśli nasze od ziemi.

Brakło mi ognia, proszę cię przeto uraduj nim moje serce. Tak dworna prośba nie spotkała się z odmową. Przypuszczałem, że rozmówca mój posługiwać się będzie powszechnie używanym tu krzesiwem, ten jednak wyciągnął zza pasa zapałki, i potarł jedną z nich. Ta drobna na pozór okoliczność nie była dla mnie bez znaczenia, gdyż naprowadziła mnie na wnioski, których bez niej wyciągnąć nie miał-bym sposobu. Mężczyzna był tak dalece grzeczny, że nie podał mi ognia do ręki, lecz wprost do fajki. Skorzystałem z tego, ujmując tszibuk w ten sposób, że wzrok jego musiał paść na pierścień połysku-jący na moim palcu. Jak przewidziałem, tak się też stało; zauważywszy mój pierścień, mężczyzna wypuścił ze zdumienia płonąca jeszcze zapałkę i krzyknął:

-Abahraka'Ilah! Wszelki duch Pana Boga chwali! Co widzę na twym ręku?!

Podniosłem ostrzegawczym gestem palec do ust, rzucając dokoła badawcze spojrzenia. Wówczas i on dodał przyciszonym głosem:

96

- Wybacz, o panie! Zdumienie moje, że spotykam cię już tutaj, tak było wielkie, że zapomniałem o zalecanej ostrożności! Brał mnie zatem za kogoś, kogo nie tutaj, lecz, być może, gdzieś daleko szukać należało. Musiałem postępować bardzo przezornie, , zapytałem go przeto:

- Gdzież przypuszczałeś, że jestem?

- W Bagdadzie; dokąd mogłeś być przybyć najwcześniej wczoraj.

- Dobrze wyliczyłeś; nie zatrzymałem się tam jednak wcale.

- Czy doręczono ci niezwłocznie rozkaz Señra?

- Tak.

Sefir! Słowo to podziałało na mnie jak dotknięcie prądu elektrycznego. Czy był to ten sam Se~r, o którym opowiadał nam binbasi? Gdzie się znajdował? Jaki cel miał na widoku? Na czym polegał jego rozkaz? Kim i czym byłem ja sam? Lub, wyrażając się ściślej, kim i czym był człowiek, za którego mnie brano? Te i inne jeszcze pytania przebiegały mi przez głowę.

Mężczyzna zmierzył z kolei badawczym wzrokiem mego Halefa, zauważył na jego ręku srebrny pierścień i zapytał mnie tonem bardzo uniżonym:

- Bądź łaskaw i wybacz mi, o Panie, że ośmielę się zapytać: czy człowiek ten nie jest przypadkiem Aftabem, o którym mówił mi Sefir, że ci towarzyszy?

- Tak, to on - przytaknąłem i w tej chwili przyszła mi do głowy myśl, że biorą mnie za Peder-i-Baharata. Przypuszczenia to zmieniło się w pewność, gdy mężczyzna zapytał znowu:

- Podróżujesz pod nazwiskiem Kassima mirzy, nieprawdaż?

- Kassim mirza, to moje obecne nazwisko - oświadczyłem.

Peder-i-Baharat posługiwał się przede mną tym właśnie imieniem, dając przy tym do zrozumienia, że nie jest zwyczajnym sillem. To też i ja postarałem się przybrać obejście pełne godności i ton przełożonego. Jak bardzo byłem ciekaw, co zaś dopiero mój mały Hadzi, łatwo sobie wyobrazić! Aby nie pozostawał dłużej w nieświadomości, w

4 - W lochacń Babilonu 97

odpowiedzi mej zawarłem równocześnie pytanie:

- Czy Sefir wysłał cię do Bagdadu, abyś mnie tam odszukał?

- Tak, o panie!

To wieczne „tak o panie!” mogło z łatwością stać się dla mnie niebezpieczne, jeśli miałbym pozostać nadal stroną pytającą i otrzymywać od niego stale tak lakoniczne odpowiedzi.

Dlatego ciągnąłem dalej tonem rozkazującym:

- Cóż to za posłannictwo? Mów! Nie lubię zadawać zbytecznych Pytafi.

- Daruj, o panie! Sefir jest dla nas bardzo surowy. Wolno nam jedynie odpowiadać na pytania i to w sposób możliwie najkrótszy. Mam ci powiedzieć, abyś nie zatrzymywał się w Bagdadzie, lecz natychmiast przybywał z powrotem.

- Dlaczego?

- Wkrótce przybędą „trupcy”; tym razem nie jadą drogą lądową, lecz dla większego bezpieczeństwa spławione będą przez Nahr Sersar do Eufratu, stamtąd zaś w dół kellekami.

- Dokąd?

Zmierzył mnie na poły zdziwionym spojrzeniem i odparł:

- O tym ty, o panie, musisz wiedzieć wszak lepiej ode mnie.

W ten sposób omal nie ściągnąłem na siebie podejrzania. Dorzuciłem jednak szybko:

- Rozumie się, znam miejsce stałego postoju; ponieważ jednak wspomniałeś o wzmożonych środkach ostrożności, sądziłem, że Sefir ustalił tym razem inne miejsce.

- Dotychczasowe jest najlepsze, nie ma więc powodu szukać innego.

O jakim właściwie transporcie mowa?- zapytałem się w duchu. O „trupach”? Słowu temu poseł nadawał jakieś specjalne brzmienie. Nie mogło tu być mowy o zwyczajnych, prawdziwych trupach, lecz w takim razie o czym? Czyżby sillanowie posługiwali się między sobą jakimś tajemnym językiem, podobnie jak nasi przestępcy porozumiewają się 98 ze sobą gwara złodziejską? Chciałem za wszelką cenę przeniknąć tę tajemnicę, dlatego też zapytałem, ryzykując popełnienie nowego błędu:

- Czy wiesz o jakie „trupcy” chodzi tym razem?

Zaakcentowałem przy tym słowo „trupcy” zupełnie tak samo, jak on poprzednio. Mężczyzna nie zdawał się podejrzewać niczego i odparł w dobrej wierze:

-Jeśli nie wiesz tego ty, to sam Sefir też z pewnością jeszcze teraz nie wie. Ten, który je wysłał, ma zapewne powody do trzymania tego w tajemnicy. „Trupcy” jednak to tylko część tego, o czym miałem ci donieść. Chodzi jeszcze o coś innego, co wydaje się znacznie ważniejsze.

- Co mianowicie?

- Karawana.

- Jaka?

- O tym musisz już ty sam wiedzieć najlepiej!

Wydawało mi się, że przez twarz jego przemknął znów cień podejrze-nia; dlatego huknąłem surowo:

- Wyrażaj się grzeczniej, w przeciwnym razie nauczę cię ze mną rozmawiać! Zapewne, wiem o tym najlepiej; mówisz jednak ogólni-kowo o karawanie, jak gdybyśmy nie mieli do czynienia z różnymi karawanami. Być może, masz w tym wypadku na myśli jakąś zupełnie pospolitą, nie zaś tę, którą w danej chwili szczególnie mamy na widoku. Jeśli jesteś za głupi na to, aby to zrozumieć i na przyszłość nie potrańsz wysławiać się wyraźniej, poproszę Sefira, aby w takich razach przysyłał innych posłów, mądrzejszych od ciebie! Ze strachu posłaniec zgiął się aż w kabłąk i przemówił głosem błagalnym:

- Nie czyn tego, o panie, nie czyfi tego! Wiesz wszak, ile by mnie to kosztowało! Wybacz mi, wybacz! Nie miałem na myśli oczywiście żadnej innej karawany niż karwan-i-Piszkhidmet baszi, o której wyruszeniu doniosłeś wszak sam Sefirowi.

-Khudaya szukr! Chwała Bogu! Teraz mówisz wyraźniej. Radzę ci postępować tak zawsze, bo poseł, mówiący zagadkami i rue umie-jący otworzyć ust, na diabła się zda. Tak jest, doniosłem mu o tym. Cóż kazał powiedzieć?

- Wysłał za nią szpiegów i ci donieśli mu, że dziś lub jutro karawana wkroczy do Bagdadu. Mógłbyś się natknąć na nią przypad-kiem i zostać poznany. Dlatego należało, byś jak najszybciej opuścił Bagdad i powrócił do Sefira. To wszystko, co ci jeszcze miałem do powiedzenia.

- Cóż jeszcze?

- Więcej nic.

- Skoro szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkałeś mnie już tutaj, nie masz tedy potrzeby jeździć więcej do Bagdadu. Powinniście z takiego obrotu sprawy być zadowoleni. Pojedziecie zatem wraz ze mną do Seńra.

Powiedziałem to tonem rozkazującym, jakkolwiek w duchu rad-bym był widzieć tych obu łotrzyków, gdzie pieprz rośnie. Zabierając ich ze sobą, wystawialiśmy się z Halefem na niebezpieczeństwo. Ku mej radości poseł odparł szybko:

- Wybacz, o panie, że nie będziemy ci mogli towarzyszyć, musimy jednakjechaćjeszcze na tamten brzeg, a raczej znacznie dalej w górę, do Madain.

- Do Madain? Więc nie tylko do mnie, do Bagdadu?

- Nie. Mieliśmy najpieiw odszukać ciebie, następnie zaś jechać w dół Tygrysu do Madain. Byłoby to dla nas o wiele dalej i dzięki temu, że pojedziemy tam wprost stąd, skrócimy sobie tę drogę znacznie.

- Potem wrócicie do Seńra?

- O, nie. Zanim będziemy mogli wrócić, mamy jeszcze od niego ważne poselstwo do Kut el Amara:

Ten Sefir wydawał się utrzymywać bardzo rozległe stosunki. Zre-sztą, nie obchodziło mnie to już więcej i w danej chwili było mi jedynie na rękę. Droga stąd do Madain trwa osiem godzin, stamtąd do Kut el Amara, dwanaście, stamtąd zaś do ruin Babilonu, gdzie, jak precypu-szczałem, przebywa Seńr, nowych czternaście godzin. Gdyby nawet obaj ci sillanie pośpieszyli bardzo na swych niezbyt okazałych ko-niach, musieli wszak pozostawić sobie w każdym razie czas na posiłek i nocleg, mogli więc powrócić do Sefira nie wcześniej, jak przed upływem dwóch i pół dnia. Zamierzając

zatrzymać się na niektórych tylko postojach, i to na bardzo krótko, mieliśmy tym samym wszelkie szanse być już wówczas daleko w drodze powrotnej i nie potrzebowaliśmy się obawiać powtórnego z nimi spotkania, które mogłoby stać się dla nas kłopotliwe. Wzgląd ten uspokoił mnie tak dalece, że odważyłem się na niewątpliwie zbyt obcesowe pytanie:

-Jakiego rodzaju poselstwa macie do Madain i do Kut el Amara?

- Nie bierz nam tego za złe, o panie, lecz o tym musimy zamilczeć.

- Nawet przede mną?

- Przed każdym. Ponieważ Sefir nie zrobił dla ciebie wyjątku, stosuje się to tym samym i do ciebie.

- Słusznie! To mi się podoba! Nie należy nigdy, nawet dla dogo-dzenia przełożonym, odstępować od swego obowiązku. Czy może Sefir podał wam jakieś określone miejsca, w którym mam się z nim spotkać?

- Znasz je wszak, o panie.

- Oczywiście. Nie siedzi jednak tam przecież stale i mógł wam powiedzieć, gdzie w razie nieobecności będę go mógł odszukać.

- Jeśli go tam nie będzie, będziesz musiał na niego poczekać.

Zarośla przy Hilleh są dość wysokie i gęste, aby ukryć ciebie i wszystkich, kogo tam zastaniesz. Żaden człowiek nie zagląda w nie do dziś dnia, odkąd zdarzyło się tam to wielkie morderstwo. Aby się tam dostać, trzeba wszak jechać dwie godziny przez rozpalone piaski, po których, według wierzenia mieszkańców Hilleh, błądzą dniem i nocą dusze zamordowanych. Będziesz tam, o Panie, bezpieczniejszy niż na łonie Abrahama.

-Dobrze. Nie macie mi zatem istotnie nic więcej do powiedzenia?

101

- Nie. Chociaż... ach, prawda! Przypominam sobie, Sefir powiedział, że nie wiesz jeszcze o pewnej rzeczy i nieświadomość ta mogłaby zaszkodzić ci w drodze. Mianowicie, w związku z karwan-i-Piszkhid-met baszi Sefir zawarł sojusz z Beduinami ze szczepu Ghazai; jeden ich oddział rozproszył się tu po okolicy i aby nie wzbudzać podejrze-nia, podaje się za Arabów z plemienia Solaib. O tym mieliśmy cię jeszcze zawiadomić. A teraz, o Panie, nie mamy ci już rzeczywiście nic więcej do doniesienia.

- Dobrze! Jestem z was zadowolony; zasłużyliście sobie na ba-kszysz. Otrzymacie go ode mnie, gdy spotkamy się w Hilleh. Kiedy wyruszyliście stamtąd?

- Wczoraj wieczorem.

- Zatem będziecie musieli wyspać się przyzwoicie w Madain. Nie zatrzymujcie się wobec tego tutaj, lecz postarajcie się przybyć tam jak najwcześniej. ‘

- Skoro konie nasze już się napoiły, nie mamy tu więcej co robić.

Niechaj Allah ma cię w swej opiece!

Dosiedli koni i wyjechali za bramę. Halef poprowadził nasze konie do wodopoju i mrugając na mnie porozumiewawczo, rzekł:

- Allah czyni głowy światłymi i ciemnymi; twoja promienieje jak słońce na niebie; ich zaś pogrążone były w ciemności i głupocie, tak, iż patrząc w głębię ich rozumu, miałem wrażenie, jakbym zaglądał w głąb ciemnej studni, pozbawionej kropli wody. Oko twoje przejrzało ich na wylot, jak słońce prześwieca szyby ze szkła; lecz oni brali cię za kogoś zgoła innego, o kim my powiedzieć możemy z pewno~cią, że nie był ani tobą, ani nim i z tych trzech osobowości razem wziętych wyiworzyli taki galimatias, że nawet ja nie mogłem się w nim połapać, a jestem wszak Hadzi Halef Omar, słynny szejk Haddedińów z wielkiego szczepu Szammar!

- Czy rzeczywiście było ci się tak trudno połapać?- zapytałem ze śmiechem.

- Nie było to łatwe, sisi, w dodatku nie wszystko rozumiałem,

102 ponieważ mowa była o trzech osobach i czterech miejscowościach, które plątały mi się ze sobą nieustannie. Dusza moja jeździła od Bagdadu do Madain i od Kut el Amara do Hilleh, nie mogąc pochwycić związku w tych potokach mądrości, które przepływały przez twoje wargi.

- Nie było wcale mowy o trzech osobach, tylko o dwóch.

- Jak to o dwóch? O trzech. O tobie, o Sefirze i o Peder-i-Baha-racie; to przecież w sumie trzy osoby- nie zechcesz jednak temu przeczyć. Wszystkie one tak dalece pomieszane były ze sobą, że nie wiem jeszcze dotychczas, czy to ty masz być Pederem, czy Peder Sefirem, czy Sefir tobą, czy ty Sefirem, czy też wreszcie Seńr Pederem. Z kim właściwie zamieniłeś się rolami i w jaki sposób do tego podejść, aby oddzielić cię od niego, zaś was obu od tego trzeciego?

-Sill wziął mnie za Peder-i-Baharata; to musiałeś przecież zrozumić.

- Za Peder-i-Baharata? Jeśli tak było w istocie, to nic dziwnego, że niepodobna było tego wyrozumieć, bo też nie było w tym za grosz rozsądku. Kto ciebie, sławnego emira Hadzi Kara

Ben Nemzi effen-diego, bierze za tego łotra, zasługuje na chłostę. Gdybym był przejrzał tę zuchwałość silla, miałby robotę mój korbacz i plecy tych rzeźmie-szków długo mogłyby jeszcze o nim opowiadać! Ale teraz, skoro mi to powiedziałaś, rozumiem już całą resztę. Sefir, ten wróg naszego poczciwego binbasiego, znajduje się w Hilleh?

- W pobliżu Hilleh. Kryjówka jego mieści się w zaroślach o dwie godziny drogi od miasta. Jest tam najzupełniej bezpieczny, bo nie dość, że droga uciążliwa, lecz na domiar wszyscy obawiają się straszą-cych rzekomo duchów.

- Dobrze, bardzo dobrze! To mi się podoba! Ja również zacznę tam straszyć i ukażę się jako duch. Zabiorę ze sobą jeszcze jednego ducha o skórze hipopotama. Ten duch także zacznie tam straszyć, bardzo straszy~, ale nie w wodzie, lub na brzegu, lecz na jego karku! Tak długo będzie straszył na jego karku, aż Sefir sam obróci się w 103 ducha. W ducha żalości i skargi na cięgi, jakie ode mnie oberwie za to, że naszego kochanego binsasiego przyprawił o stratę pieniędzy i stanowiska! Cóż robi ten łotr w swojej kryjówce?

- Słyszałaś przecież, że czeka na trupy.

- Życzę mu ich, życzę jak najwięcej! Może je sobie zajadać pod jaką postacią mu się żywnie podoba: gotowane, pieczone, smarzone, albo nawet na surowo, prosto z trumny. Ale czy nie wspominali ci ludzie i o jakiejś innej karawanie?

- Owszem, o karwan-i-Piszkhidmet baszi.

- Nie rozumiem ani słowa. Mówię teraz już dość biegle po persku, co jednak oznaczać ma Piszkhidmet baszi, dalibóg nie rozumiem.

- Słowo to oznacza Farrasz-baszi, lub przynajmniej coś w tym rodzaju, słowem urzędnika dworu szachinszacha.

- Zatem jakiego wysokiego dworzanina, który znajduje się teraz w drodze wraz z karawaną?

- Właśnie.

- CtSż ma z tym wspólnego Sefir?

- Tego~już nie wiem.

- Jak to, ty nie wiesz? O, sidi, jakże głęboko zasmucasz moją duszę! Ty, którego wzrok jest tak przenikliwy, a ucho uchwycić potrafi każdy odgłos, od szumu burzy i łoskotu piorunów do najlżejszego ćwierkania świerszcza, ty nie potrafisz przejrzeć zamiarów Sefira tysiącokrotnie większego od tego świerszcza?

- Być może, ty je przejrzałaś?

- Ja, skądże? Dlaczego mnie o to pytasz? Ja jestem tu po to, by cię bronić i strzec; reszta j uż do mnie nie należy. Przenikanie taj emnic to twpja rzecz: szukaj i śledź tak długo, aż odkryjesz

tkwiącego w Sefirze świerszcza.

- Co innego pochwycić głos świerszcza, a co innego przejrzeć tak chytrze zawikłaną aferę; do jednego wystarczy mieć jedynie otwarte ucho, do drugiego zaś trzeba czegoś więcej.

- Któż posiada to „coś więcej”, jeśli nie ty, sidi!

104

- Ty również.

- Proszę cię, nie wymagaj tego teraz ode mnie. Wiesz, że Allah nie poskąpił mi daru rozsądku; od chwili jednak, gdy noszę na palcu pierścieni tego silla, mam wrażenie, jakby mnie kto zdzielił obuchem po głowie. Wyłowiłem cię z tego galimatiasu z Seńrem i z Pederem; nic więcej dokonać dzisiaj nie jestem w stanie. Pomyśl sam, a na pewno znajdziesz rozwiązanie tej zagadki.

- Znalazłem już dawno; ruc zrozumiałeś tylko mojej odpowiedzi.

Jakie zamiary żywi Sefir wobec karawany tego dworzanina, nie mogę wiedzieć na pewno, mogę się jedynie domyślać.

- Czego się w takim razie domy~lasz?

- Tego, że chce na nią napaść przy pomocy Beduinów ze szczepu Ghazai, z którymi zawarł w tym celu sojusz. Z tego właśnie sojuszu wnioskuję, że bądź to Sefir nie rozporządza dostateczną ilością silla-nów, bądź też ci do napadu na karawanę się nie nadają, być może dlatego, że nie są to urodzeni rozbójnicy i mordercy, lecz służą mu do przedsięwzięć mniej ryzykownych.

- Ale wszak Peder-i-Baharat również był sillem, a mimo to chciał nas zamordować?

- To mógł być wyjątek. Uderzyłeś go, a wiemy dobrze, że czynną zniewagę zmywa się krwią.

- Nie wierzę w takie wyjątki, sidi. Sądzę jednak, że skoro Sefir zamierza napaść na karawanę tego dworzanina, musi obiecywać sobie po niej niezłe zdobycze.

- Oczywiście. Łatwo nawet domyśli~ się dla czego, aczkolwiek nie mam w tym wypadku pewności i jest to tylko moje przypuszczenie. Wiąże się ono z majdana koma, wystawą w Paryżu.

- Paryż, stolica Franków? Majdana koma, gdzie wystawia się wszystko, co dany naród stworzył i wyprodukował? W jaki sposób wiąże się to z Sefirem i planowanym przez niego napadem?- pytał zdumiony Halef.- Sidi, jesteś najmądrzejszym z ludzi, jakich znam. Myśli twe są tak

przenikliwe i trafne, że często wręcz, przychodzę ze zdumieniem do przekonania, że przed twym wzrokiem nic ukryć się nie jest w stanie. Ale w jaki sposób możesz łączyć Sefira z Paryżem i z majdana koma?

- Spróbuję ci to wyjaśnić. O ile mi wiadomo, szach ma zamiar udać się do Paryża, aby zwiedzić tę wystawę. Wszyscy jego dworzanie popierają ten zamiar, jedynie kapłani są mu przeciwni. Szach jednak, podobnie jak każdy muzułmanin, wie dobrze, w jaki sposób wpłynąć można na zdanie tych pobożnych ludzi; należy ich kupić. Wszystkich kapłanów można kupić za złoto. Obdarowuje się parę świątyń, daje się brzące łapówki paru wpływowym duchownym, jeśli zaś i to nie pomaga, ucieka się do wypróbowanego i niezawodnego środka; po-syła się do świętych miejsc bogate dary; wówczas można być spokojnym, że skutek nie każe długo na siebie czekać. Kapłani Meszhed Aii i Kerbeli mają na swych współw~ryznawców tak przemożny wpływ, że nie może się z nim równać wpływ wszystkich wysokich i niskich imamów razem wziętych.

- Mów dalej, sidi. Zaczynam teraz rozumieć. Rozpraszasz powoli poprzednie moje wątpliwości.

- Taką przesyłkę z darami powierza się, rzecz prosta, jedynie człowiekowi pewnemu i wypróbowanemu, którego się zna i na którym można polegać. Kogóż zaś przy panujących na dworze stosunkach zna szach lepiej od własnych dworzan? Z pomiędzy swych zaufanych wybiera sobie najbardziej godnego zaufania, aby powierzyć mu boga-te dary i ważną, poufną misję. Gdy karawana taka wyrusza w drogę, może się nazywać równie dobrze karwan-i-Paszkhidmet baszi, czyli karawaną dworzanina.

- Doprawdy, jakie to proste - przyznał Hadzi: Że też od razu nie przyszło mi to do głowy.

- Rozważmy dalej, drogi Halefie: dlaczego daną karawanę okre~ślają mianem karawany dworzanina? Gdyby jakiś dworzanin przyłą~czył się do niej przypadkowo, to nie byłoby żadnego powodu nazywać jej jego imieniem. Karawana pozostałaby w tym wypadku rzeczą

106 główną, on zaś zwykłym jej członkiem, jak każdy inny. Oznaczenie jej jego mianem daje powód do wniosku, że punkt ciężkości spoczywa właśnie na nim, że dworzanin nie znalazł się w niej przypadkowo, lecz najprawdopodobniej uformował ją sam, że jest jej organizatorem i przywódcą. Jeśli to nasze przypuszczenie jest trafne, musimy się z kolei zapyta~, co za cel może mieć dworzanin w uformowaniu kara-wany? Oczywiście, trudno przypuścić, żeby to czynił za własne środki i dla własnego celu; działa z pewnością z polecenia kogoś innego, tym zaś kimś innym według wszelkiego prawdopodobieństwa może być jedynie pan dworzanina. Przypuszczam nadto, że nazwa „karawana dworzanina” nie jest nazwą publiczną, ońcjalną, nadaną przez samego organizatora; skłonny jestem raczej sądziE, że w ten sposób określają ją jedynie Peder-i-Baharat i Sefir. To zaś jest dla mnie jeszcze jednym dowodem, że nie zgadywałem fałszywie.

- Czy potrzeba na to jeszcze dowodu?- zapytał Halef.- Nie znajduję już żadnego!

- Jest jeszcze wiele, ale już ten jeden wystarcza. Słyszałeś, że Peder-i-Baharat doniósł Sefirowi

o wyruszeniu karawany. Najprawdopodobniej był w Persji, być może nawet w samej stolicy, i tam wyszedł zamiary dworzanina. Rzecz zrozumiała, że podróż tego rodzaju, przedsięwzięta z rozkazu władcy celem przewiezienia cennych podarków, trzyma się w najściślejszej tajemnicy, tym bardziej skoro podarki te powinny wpłynąć na zmianę dotychczasowego zdania kapłanów. Dlatego też wykrycie tej tajemnicy musiało kosztować Peder-i-Baharata wiele czasu, przebiegłości i pieniędzy. Jeżeli więc opłacało mu się to wszystko, jest to o jeden dowód więcej, że chodzi tu o rzecz niezwyklej wagi. Nie zapominajmy, że z wiadomością tą wyprawił z Persji specjalnego posłańca, w odpowiedzi na co Sefir wysłał na spotkanie karawany swego szpiega; to również są dowody, pozwalające wioskować, że ta karwan-i-Piszkhidmet baszi jest dla nich obu gratką pierwszorzędnej wagi, większej prawdopodobnie, niż tak zwane „trupcy”, mające przybyć Eufratem.

- Czy sądzisz, effendi, że i dla nas jest ona rzeczą równie ważną?

- Na razie jeszcze nie; może się jednak nią stać w pewnych okolicznościach. Nie mamy co prawda zamiaru spotykać się z Peder-i-Baharatem, ani z Sebrem; gdyby jednak przypadkiem miało to nastąpić, musimy być przygotowani, że wciągnięci zostaniemy siłą faktu w tę tajemniczą historię, mamy bowiem przed sobą Se~ra, za sobą Pedera, miejsce zaś, w którym mają się spotkać, może się z łatwością okazać tym samym, którego szukamy. Widzę jeden tylko sposób uniknięcia tego spotkania:

- Jaki mianowicie?

- Zrezygnować ze zwiedzenia miast, któreśmy zwiedzić zamierzeli, powrócić do Bagdadu, a stamtąd, aby nie natknąć się na Pedera, obrać sobie możemy inną drogę.

- Ani mi to w głowie, sidi! Co raz sobie postanowiłem, tego muszę dokonać; w każdym razie, z powodu tych rzezimieszków nie mam najmniejszego zamiaru się tego wyrzekać; wyglądałoby to tak, jakbyśmy przed nimi stchórzyli. Postanowiliśmy sobie dotrzeć do ruin Babilonu i dotrzemy. Czyż jesteś innego zdania?

- Nie.

- A zatem ruszajmy! Konie nasze się napiły i nasze bukłaki na wodę są już pełne. Niechaj znajdzie nam drogę, kto chce, sillanie czy inni hultaje; gotów jestem w każdej chwili wygarbować im tym batem na skórze całą pasję mego serca; słyszałeś, effendi, wy-gar-bo-wać! Z tymi słowami wyciągnął zza pasa swój harap i kilka razy ze świstem przeciął nim powietrze. Aby ukrócić jego energię, odparłem:

- Włóż ten bat, skądś go wyjął!! Należy w pierwszym rzędzie wystrzegać się nierozwagi; wiesz dobrze, że przyrzekliśmy twej Han-neh unikać wszystkiego, co mogłoby wystawić nas niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. ‘

-O co się tyczy tego, sidi, to znam moją Hanneh, podobną z urody i wdzięku do wschodzącego słońca i wiem, że nie mniej, niż zdrowie mego ciała i bezpieczeństwo mego życia, leży jej na sercu mój honor.

Pragnie mieć mnie zdrowym i całym, lecz również pragnie być dumną ze świadectw mojej waleczno~ci. Żąda wprawdzie, bym był przezorny, wstydziałaby się jednak za mnie, gdyby się dowiedziała, że jej Halef nie jest już tym nieustraszonym wojownikiem, jakim był dawniej. Opo~wiadałaś mi kiedyś o matce, która do synów swych, wyruszających na wojnę mówiła, by wrócili z tarczą lub na tarczy. Co do mnie, to gotów jestem dla mojej Hanneh równocześnie na jedno i na drugie: wrócę do niej na tarczy, lecz żywy, bo wcale mi to nie w głowie obejmować ramionami nieżywego truposza jej owdowiałą szyć; powiedziałem ci już to kiedyś. Czyż twoja Emmeh jest z innej gliny, niż urocza i nieporównana władczyni mego haremu? Czyż przekłada całość twego ciała nad twój honor, nad męstwo, przed którym drżą wszystkie łotrzyki i którego jak ognia boją się wszyscy hultaje?

- Jeśli chodzi o moją Emmeh, z którą równać się nie może żadna z mieszkanek haremów całego świata, możesz być spokojny; nie zechciałaby za męża tchórza.
- Cieszy mnie to niewymownie, proszę cię jedynie, byś w pochwa~le, jaką obdarzyłeś ją przed chwilą, uczynił jeden wyjątek. Skoro mówisz, że żadna z kobiet Iównać się z nią nie może, zważy~ powinie~neś, że bardzo mnie to boli, iż stawiasz swoją Emmeh wyżej od mojej Hanneh!
- Czyż nie mam prawa wielbi~ swej żony równie, jak ty swojej?
- Owszem; nie powinienes jednak zachodzić w tym tak daleko, by poniżyć moją Hanneh dla wywy7szenia swojej Emmeh. Umówmy się, że obie one są nieporGwnane! A teraz, gdy przymocowałem już do siodła nasze bukłaki z wodą, możemy ruszyć w drogę.
- Masz słuszość, jedziemy! Nie zapomnijmy jednak pozdejmo~wać z palców pierścieni sillanów i schować ich.
- Czemu?
- Bo będziemy odtąd podawać się za sillanów tylko w takich razach, gdy będzie nam to mogło przynieść jakiś pożytek. Gdyby każdy sill, jakiego napotkamy po drodze, miał nas brać za swoich, mogłoby

109 to wywołać wiele nieprzyjemnych dla nas sytuacji.

- Masz rację, effendi. Schowajmy je zatem, dopóki nie zechcemy znowu pokazać tym sillom, jak dalece przebiegłość nasza przewyższa ich przezorność.

Dosiedliśmy na powrót koni i wyjechaliśmy z khanu. Karawany zdążające do Hilleh zwykiy jeszcze

zatrzymać się po drodze w khanach Nasrijeh i Mohawid, my jednak, chcąc uniknąć jakiegokolwiek niepożądanego spotkania, zaniechaliśmy tych postojów, trzymając się drogi, jaką jechaliśmy wówczas, by przez okrążenie karawany śmierci uniknąć jej odoru.

Wspominam o drodze, w rzeczywistości jednak drogi nie było żadnej. Jechaliśmy na przełaj pustym polem, lub raczej otwartą bezdrożną pustynią, napotykać często na wyschnięte od dawna kanały i rowy. Pomimo tego, że wówczas drogę tę odbywałem w gorączce w stanie na wpół przytomnym, przypominałem sobie dokładnie niektóre wyniesione nad pustynią punkty, widziane już niegdyś.

- W tym miejscu- powiedział Halef, zatrzymując konia- zsiadliśmy wówczas, aby przeczekać największy skwar. Uderzył mnie wtedy twój wygląd. Ty miałeś zupełnie szarą, a twoje oczy podkrążone były ciemnymi półkolami. Musiałem dać ci wody i octu, spojrzenie twoje jednak pozostawało dalej bez duszy i widziałem, że wyęczasz wszystkie siły, aby utrzymać się na nogach i nie zasmucać mojego serca swą słabością.

- Tak, to była istotnie fatalna chwila, mój Halefie. Byłem już raczej cieniem, niż człowiekiem. Gdy pędziliśmy przez pustynię, opłynęło mnie to nagle jak okropne majaczenie i ludzie znajdujący się koło mnie zaczęli mi się wydawać nierealnymi zjawami. Jeśli chcesz, możemy rozłożyć sobie czas jak wtedy i zanoć w tym samym miejscu, koło Birs Nimrud.

- Jak sobie życzysz, effendi. Wiele czasu potrzeba nam jeszcze, aby dojechać do Hilleh?

- Jeśli nie zmienimy kierunku, sądzę, że jakieś dobre cztery godziny.

- W takim razie zajedziemy tam w największy upał i będziemy go mogli przeczekać.

Wyliczenia moje okazały się słuszne. Około południa dotarliśmy do gaju palmowego, położonego na lewym brzegu Eufratu. Na prawo dostrzegliśmy ruiny El Himmarr, dalej szczyt Bab el Mudzellibeh i pogórek Oasr z resztkami wznoszącego się tu niegdyś królewskiego zamku, w który zmarł Aleksander Wielki. Na sąsiednim pagórku Amran Ibn Ali znajdowały się prawdopodobnie słynne wiszące ogrody Semiramidy. Na lewo piętrzyły się również ruiny, z których najpotężniejsza nosi do dzisiaj nazwę Babelu. Legenda muzułmańska opowiada, że we wnętrzu jej powieszoni zostali za nogi dwaj upadli aniołowie, Harut i Marut i że do dzisiaj wiszą tam w tej samej wygodnej pozycji.

Gdy dotarliśmy do Hilleh i przejechali most, skręciliśmy w kierunku pewnej obozowiny, przekładającą nad khan, tym bardziej że posiadała dużą piwnicę, której chłód był prawdziwym dobrodziejstwem. Wprowadziwszy konie do szopy i dawszy im obroku i wody, zeszliśmy po schodach na dół i podczas, gdy ja ułożyłem się wygodnie na poduszce, Halef za zgodą gospodarza udał się do kuchni, aby własnoręcznie przyrządzić dla nas koguta z ryżem.

Do budowy Hilleh użyto cegieł z ruin Babilonu; miasteczko stało się stolicą okręgu Diranijeh. Tędy prowadzą drogi karawan do Kerbeli i do Nedszef Ali. Spośród budynków publicznych najznacniejszy jest meczet Esz Szems. Dziesięciotysięczną ludność stanowią Persowie -szyici i Arabowie, ludzie tak fanatyczni, iż musiałem się strzec, aby nie zdradzić się przed gospodarzem, że

jestem chrześcijaninem. Nie tolerowałby mnie u siebie ani chwili i wszystko, czego dotknąłem, uważałby za nieczyste; a kosztą oczyszczenia musiałbym pokryć z własnej kieszeni. Skoro wspomniałem już o czystości i oczyszczaniu, muszę dodać, że sami mieszkańcy Hilleh nie mają najmniejszego, tytułu do szczycenia się schludnością, jak zdołałem zauważyć; miasto ich sprawia raczej wrażenia jednego wielkiego śmietnika przerbnych wschodnich odpadków.

Koguta naszego mogliśmy spożyć z apetytem, ponieważ upiekł go sam Halef; gdy jednak zamówiliśmy po nim kwaśne mleko, z którego właśnie Hilleh słynie w okolicy, musieliśmy odgarnąć całą wierzchnią warstwę pokrytą pokładem brudu. Gospodarz, który to widział i wziął nam za złe, zmarszczył czoło i zapytał nas o powód. Szybki w takich razach w języku, Halef odparł:

- Wybacz nam, o wzorze zbożnej gościnności! Jesteśmy pokutni-kami i uczyniliśmy ślub, aby ukarać się i Ewicyć we wstrzemięźliwości, nie jeść z żadnej potrawy najlepszej jej części, a przyznasz sam, że to, cośmy zebrali i odrzucili z twego mleka, było właśnie jego częścią najlepszą.

- Niechaj Allah będzie dla was łaskaw i doda wam siły do prze-strzegania waszego ślubu w stosunku do wszystkich potraw, nie tylko zaś do mojego mleka. Powinniście byli wszak i z koguta odrzucić to, co najlepsze, zjedliście zaś go całego.

- Mylisz się, wcaleśmy tego, co najlepsze, nie zjedli.

- Nie widzę jakoś, żeby cokolwiek pozostało!

- Rzeczywiście? Powiedz sam: czymże byłby kogut, gdyby nie obdarzono go kośćmi dla podtrzymywania jego cielesnej powłoki? W jaki zaś sposób mógłby istnieć, gdyby nie posiadał piór, które nie tylko stanowią jego odzienie, lecz nadto służą mu za ozdobę? Jeśli Allah pobłogosławił cię darem rozumu, przyznasz, że kości i pióra są właśnie tą najlepszą częścią koguta. A teraz spójrz. Widzisz te kości? Jeśli zaś pójdziesz do kuchni, znajdziesz tam również pióra, z których nie dotknęliśmy ani jednego. Ślub nasz został tedy dochowany. Z mleka twego również chcieliśmy odrzucić początkowo kości i pióra, lecz nie znaleźliśmy w nim żadnych.

„Gospodarz, zbity z pantałyku, mrużąc gniewnie, wyniósł się za drzwi.

- Szkoda, że nie słyszała tego moja Hanneh, najśliczniejsza ze

112 wszystkich ślicznotek!- zaśmiał się Halef.- Czy nie wyraziłem się wybornie o tych kościach i piórach w mleku?

Po pewnym czasie gospodarz powrócił w towarzystwie trzech męż-czyzn w starych zapiętych płaszczach, którzy na pierwszy rzut oka nie wzbudzali wielkiego zaufania. Ci przypatrywali się nam z widoczną ciekawością i przysiadłszy do nas blisko, obstalowali sobie tšibuki i kawę. Jeden z nich

zwrócił się do nas:

- Widzieliśmy na zewnątrz wasze konie i podziwialiśmy je. Kto posiada takie wierzchowce, musi być człowiekiem bogatym, bardzo bogatym. Czy wolno was zapytać, gdzie leży wasza ojczyzna? Halef rzucił w moją stronę pytające spojrzenie, skinąłem lekko głową. Wówczas odrzekł:

- Pochodzimy z dalekiego kraju Syberii, gdzie góry piętrzą się do księżyca i białe są od śniegu, w który przemienia się tam deszcz.

- Allah! Jakże musi być tam zimno! My tutaj nie wiemy nawet co to jest śnieg, słyszeliśmy jednak o nim co nie co. Musi tam mieszkać zapewne wielu sunnitów?

- Nie, sami szyici.

- W takim razie niechaj Allah błogosławi temu krajowi i niechaj sprawi, aby po sto palm rosło tam dla każdego mieszkańca! Czy ludzie tamtejsi są zamożni?

- O tak, wszyscy!

- Widać to po waszych koniach. Kiedy mieszkańcy Syberii wyruszają w drogę, napychają zapewne swe kieszerki samym złotem? Potakując na pytanie o bogactwie, Halef postąpiłby bardzo nierozważnie, mógł bowiem nasunąć przez to z łatwością tym ludziom myśl grabieży. Tym razem odparł roztropniej:

- Nie najiychają ich sobie niczym, ponieważ kraj ten słynie z gościnności i nikt tam nie zwykł nosić przy sobie pieniędzy.

- Przecież każdą gościnność trzeba nagrodzić. Zapewne wożą ze sobą w takim razie kosztowności? Może perły, lub drogie kamienie?

- Drogie kamienie? Jakie kamienie mianowicie masz na myśli?

113

- Diamenty, rubiny, szmaragdy, turkusy ...

-Allah! Allah! Czy te kamienie nazywają się u was drogie?

- Naturalnie!

- Co za kraj! I co z was za naród! U nas w Syberii piętrzą się całe góry takich kamieni. Nie mają żadnej wartości. Drogi nasze wybrukowane są diamentami, a domy buduje się z rubinów i turkusów. Do budowy meczetów używamy wyłącznie szmaragdów wielkości dziesięciu

waszych kamieni.

-Maszallah! To nie do wiary!

- Naturalnie, że do wiary, bo to szczerą prawdą. Są jednak i u nas kamienie drogie, za które płacimy ogromne pieniądze.

-Jakże się nazywają?

- Łupek, krzemień, piaskowiec, granit i jeszcze wiele innych podobnych.

- Jak to, czy ludzie tam powariowali?

- Cóż to za pytanie?

- To są właśnie kamienie z których u nas składają się góry!

- W takim razie poszaleliście wy i wasze góry, ale nie my! W Syberii nie wiedzą w ogóle, co to jest szaleństwo, tutaj zaś zdaje się ono mieszkać w większości głów, w pierwszym zaś rzędzie w waszych.

- Jak to?

- Bo kto inny, jak nie wariat, pytać się może o drogie kamienie?

Czy sądzicie, że gdybyśmy wozili je ze sobą, powiedzielibyśmy wam o tym? U nas, nie ma takich głupców, jakimi wydają się być mieszkańcy tutejszych okolic.

Teraz dopiero mężczyzna zrozumiał, że Halef wystrychnął go na dudka; sięgnął po swój nóż i zawołał groźnie:

- Milcz! Jeśli ośmielisz się nas obrażać, zapoznasz się z tym osfrzem!

- Schowaj je, skądś wyjął- odparł Halef ze śmiechem: My też mamy noże. 'Itwoja zbyt wielka i niewczesna ciekawość zasługiwała na naukę, jaką otrzymałeś. Widziałeś, że wypoczywaliśmy. Czemu nie

114 zostawisz nas w spokoju? Skąd wiesz, że w ogóle mieliśmy ochotę z tobą rozmawiać? Nie jesteśmy gołowąsami, którym można zadawać głupie i nieostrożne pytania. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. A teraz zostaw nas w spokoju!

Mężczyzna zerwał się na równe nogi i pogroził mu zaciśniętą pięścią:

- Za podobne obelgi przebiłbym cię nożem, gdybym ... gdybym ... gdybym nie należał do plemienia Solaib. Słyszałeś o takim plemieniu? Naznocy powszechnych i bardzo starych sojuszów plemię Solaib korzysta od dawna z niezmaconego spokoju. Nikt nie ma prawa zachowywać się wobec niego wrogo; ze swej strony jednak członkowie tego plemienia obowiązani są również unikać wszystkiego, co mogło-by się stać powodem do wrogiego zatargu. Wiedzieliśmy od dwóch posłów Sefira, że ten zawarł sojusz z Beduinami ze szczepu Ghazai, którzy dla niepoznaki podają się za Solaibów. Do nich też najprawdopodobniej należeli ci trzej ludzie. Ponieważ Hadzi ponosił całkowitą winę tej ze wszech miar niemiłej sceny, sam zwróciłem się do nieznanego:

- Jeśli należysz istotnie do plemienia Solaib, to nie czyjś wstydu pokojowym obyczajom twego plemienia i siadaj spokojnie na miej-sce. Przywykliśmy, ilekroć chcemy z kimś mówić, sami nawiązywać z nim rozmowę. Czekaj zatem, aż będziemy uważali za stosowne zwrócić się do ciebie pierwsi.

- Wallahi! wykrzyknął: Chcecie, jak widać, podawać się za jakieś wybitne osoby; a ja powiem wam zaraz, kim jesteście naprawdę! Jesteście ...

Skoczyłem na nogi, zbliżyłem się do niego twarzą w twarz i zapyta-łem:

- Kimże jesteśmy? Mów!

Mężczyzna stał z otwartymi ustami wahając się z odpowiedzią. Pod naporem mojego wzroku zaczął zwolna cofać się krok za krokiem na swoje miejsce, na którym usiadł, nie mówiąc ani słowa. Ja również i 15 powróciłem na swoje miejsce, jak gdyby nigdy nic. W chwilę później Beduini wynieśli się, mierząc nas raz jeszcze groźnym spojrzeniem.

- Sidi, ten miał nie lada stracha!- zaśmiał się Halef: Od początku zauważyłem, że to tchórz.

- Nie bardzo pięknie to o tobie świadczy. Czy godzi się prowoko-wać tchórzów?

- To on mnie przecież sprowokował, nie ja jego!

- Czy nie wstyd dać się sprowokowaE tchórzowi?

- niesprawiedliwy jesteś, sidi! Czy nie dałeś mi sam znaku, abym mu odpowiedział?

- Czy zaleciłem ci odpowiedzieć mu w ten sposób?

-A czy mogłem inaczej? Co jemu do naszego majątku? Uczciwy człowiek nie pyta o takie rzeczy, ze strony zaś nieuczciwego pytanie takie jest obrazą, bo najwidoczniej uważa mnie za głupiego do tego stopnia, że sądzi, iż odpowiem zgodnie z prawdą. Nazwałem go tchórzem, ale gotów jestem jeszcze dodać, że jest łotrem; istnieją wszak i tchórzliwi łotry. Co ty myślisz o tych

ludziach, sidi?

- Myślę, że są to Beduini ze szczepu Ghazai; mają wziąć udział w planowanym napadzie na karawanę. Wolałbym ich tu w każdym razie nie spotkać.

- Gdybym nie znał cię tak dobrze, gotów byłbym przypuścić, że brzmi to jak obawa! Mogą być sobie, czym im się podoba, ani mnie to ziębi, ani grzeje. Jeśli zaś nie mylisz się w przypuszczeniach, to tym bardziej, czatując na karawanę, nie będą mieli czasu zajmować się naszymi osobami. Nie mamy się ich czego obawiać. Ale co to ... słyszysz?

Usłyszeliśmy nagle wyraźny tętent kopyt i szybko wybiegliśmy na podwórze. Beduini w towarzystwie gospodarza odwiązali już nasze konie i usiłowali na próżno ich dosiąść. Skoro Halef to ujrzał, sięgnął do swego harapa, pochwyliłem go jednak w porę za rękę:

- Nie bij! Pozwól im, niech postawią na swoim. Nasze ogiery pozzrucają na ziemię i ukarzą ich dostatecznie za to zuchwalstwo.

116

Halef opanował swą złość i rzekł z niezbyt przyjaznym uśmiechem:

- Masz słuszość, sidi! Trzeba tylko, aby tak spadli, żeby popa-miętali to sobie na długo. Pozostaw to już mnie! Jestem doświadczony w tej dziedzinie.

Przybrał bardzo pojednawczy i uprzejmy wyraz twarzy i zbliżając się do Beduinów zapytał:

- Chcielibyście zapewne wypróbować nasze konie?

- Tak- wtrącił pośpiesznie gospodarz-właśnie chcieli to uczy-nić. Tylko, że w tych koniach mieszka szejtan i nikogo nie dopuszcza na siodło.

- O tak, one przyzwyczajone są do dobrych jeźdźców i zdają się nie mieć wielkiego przekonania do tych Solaibów.

Ponieważ to brzmiało trochę drwiąco, jeden z Beduinów zapewnił:

-Niech poczekają! Nie sztuka dosiąść koni; niech tylko znajdzie-my się w siodle, zobaczą wtedy, czy jesteśmy dobrymi jeźdźcami, czy nie! Bądź je łaskaw tylko wprzód uspokoić.

- Tej przyshxgi nie mogę wam odmówić; uprzedzam was jednak, że was pozrzucają.

- Nie bój się o nas!

-Jeśli tego chcecie koniecznie, czemu nie? Nie miejcie tylko do mnie potem urazy, jeżeli poskręcacie sobie karki!

- O nasze karki się nie troszcz, to już nasza rzecz!

- Dobrze! Postarajcie się więc wsiąść! A trzymajcie się mocno, bo znów będziecie prędeż dołem, niż wierzchem.

Że ci ludzie bez pozwolenia dorwali się do ridszych koni, nic w tym dziwnego. Beduin jest urodzonym kawalerzystą i wpada łatwo w ekstazę na widok wyjątkowo dobrego konia, zwłaszcza czystej krwi. Jego chęć przejechania się na nim jest zupełnie zrozumiała. Ogiery były niespokojne; wierzgały jeszcze teraz, mimo że my, ich panowie, byliśmy już blisko. Wtem Halef podniósł rękę i zawołał:

- Cicho! - Konie znieruchomiały; dwaj Beduini wsiedli na nie, przejechali się po całym podwórzcu i w koficu jęli naśladować ruchy gry baruda z raptownymi zwrotami, co w tym ciasnym podwórzcu nie było bezpieczne. Zauważyłem, że oczy koni były wciąż skierowane na Halefa; mądre zwierzęta wiedziały, o co chodzi. Właśnie .obydwaj jeźdźcy gnali z przeciwnych stron naprzeciw siebie, gdy rozległ się okrzyk Halefa:

-Litaht, litaht!

Hadzi przedzielił te dwa słowa urywanym świstem. To był znak. Konie w pełni galopu, wypięte grzbiety, błyskawiczne dotknięcie nogami ziemi i ponowny skok. Jeźdźcy, zataczając szeroki łuk wyle-cieli z siodeł i z grzechotem runęli na rozrzucone dokoła cegły. Konie stanęły bez ruchu; strąceni leżeli cicho; również gospodarz i trzeci Bediun na razie znieruchomieli; po chwili jednak pospieszyli ku leżącym na ziemi. Na twarzy Halefa malował się wyraz dumnej rado-ści.

- No i co powiesz o tym, sisi?- zapytał: Jak są te ogiery wytresowane.

-Świetnie-odrzekłem: Alesądzę,,żejeźdźeydoznaliobrażefi!

- Wszystko mi jedno. Co im do naszych koni! Ostrzegłem ich, jeste~ świadkiem, żeby dobrze zważali na swe karki. Spójrz, mają za swoje!

Jeden z nich chciał się dźwignąć; nie mógł, bo miał złamaną nogę; drugi leżał bez przytomności.

Poszliśmy po nasze rzeczy. Gdyśmy wrócili, spostrzegliśmy, że osobnicy, po porozumieniu się,

powzięli jakąś decyzję. Widocznie gospodarz miał ją nam oznajmić, bowiem zwróciłeś do mnie wrogim tonem:

- Powiedz, macie, zdaje się, zamiar odjechać?

- Tak- potwierdziłem.

- Tak nie uchodzi. Musicie zostać!

a.,.

- Dlaczego?

- Widzisz, co się tutaj stało. Ten człowiek ma złamaną nogę, ten drugi może jest zgoła nieżywy!

- Co to nas obchodzi? Ostrzeżliśmy ich.

- Ale daliście koniom znak, ażeby ich strąciły!

- Nie twoja to sprawa! Masz nam powiedzieć, co ci jesteśmy winni za posiłek.

- O tym dowiecie się później. Nie puszczę was.

- Pah! Nie będziesz nas chyba zatrzymywał!

- Owszem, a jeżeli nie usłuchacie, zaniosę moją skargę przed samego paszę!

- Tym nas nie przestraszysz! Jeżeli sądzisz, że uda ci się nas przerazić, nadając tutejszemu kacykowi wysoki tytuł paszy, to jesteś w błędzie. Znajdujemy się pod bezpośrednią pieczęcią padyszacha, a gdyby nawet tak nie było, potrafilibyśmy się sami obronić. Czy chcesz nam powiedzieć, ileśmy ci winni?

- Nie.

- W takim razie płacę tyle, ile uważam. Wynosi to więcej, niżbyś żądał. Oto masz!

Wyjąłem pieniądze z sakiewki i podałem; podbił od spodu moją rękę tak, że monety pojechały na ziemię. Ostrzegłem go:

- Słuchaj, człowieku, nie jestem przyzwyczajony do tego, ażeby mnie potrącano. Jeżeli sobie jeszcze raz na coś podobnego pozwolisz, doświadczysz na sobie, jak zwykłem karać za

grubiaństwo! Odejdź! Widząc, że chcę dosiąść wierzchowca, zagroził mi drogę; Halef już się był usadowił na swoim koniu. Beduini podjudzali gospodarza do stawiania oporu. Ten poważił się chwycić mnie za ramię.

- Puść!- zawołałem.

- Zostaniesz!- rozkazał mi, trzymając mnie mocno.

Zdzieliłem go pod brodę tak, że poleciał w tył, pochwyciłem go za lewy bok i pod prawe ramię, uniosłem w górę i cisnąłem na trzeciego Beduina, który szedł mu już na pomoc. Obydwaj gruchnęli na ziemię. Zanim zdolali się porwać, siedziałem już na koniu. Pomknęliśmy przez bramę. Za nami rozległ się ryk, ale nie zważaliśmy na to i cwałowaliśmy przez wschodnią część miasta i tamtejsze zagajniki 119 palmowe ku okolicy, w której na południu od miasta i w pobliżu ruin Ibrahima Chalil leży Birs Nimrud.

Odległość tę przebywa się w niespełna trzy godziny. Spotkaliśmy bardzo niewielu samotnie idących ludzi. Gdyśmy tam przybyli, słońce miało się ku zachodowi. Zatrzymaliśmy się u stóp ruin w tym samym miejscu, gdzie niegdyś rozbiliśmy obóz. Dokoła, jak okiem sięgnąć, nie było widać człowieka. Mogliśmy konie zostawić w dole bez nad-zoru, i weszliśmy na szczyt wieży, ażeby rzucić okiem na szerokie pole, otaczające ruiny. Na górze znaleźliśmy się w obliczu jednego z naj-sławniejszych miast historii świata i religii.

Babilon!'

I ~zekli ludzie: Nuże, zbudujemy sobie miasto i wieżę, której wierzch dosięgałby do nieba, a ucryśmy sobie imię! Tak mówi Pismo Święte. Miasto zostało zbudowane i nazwane Babilon. Nazwa istnieje jeszcze; ale gdzie jest miasto i gdzie jest wieża? Zgliszcza, nic, tylko zgliszcza dokoła; tam, gdzie wieża miała sięgać niebios, stanąłem po raz drugi i wspomniałem słowa: Tam, gdzie domu nie buduje Pan, tam murane pracują na próżno, a jeżeli miasta nie ochrania Pan, dozorczy strzegą na próżno!

Według Herodota rozłożone, po obydwu brzegach Eufratu, miasto miało w obwodzie czterysta osiemdziesiąt staj, czyli blisko sto dwa-dzieścia kilometrów. Było okolone murem wysokim na dwieście łokci i grubym na pięćdziesiąt, wzmocnionym basztami i opasanym szerokim i głębokim kanałem. Sto mosiężnych bram wiodło przez ten mur do miasta, i każdą bramę prosta, przez całe miasto wiodąca ulica łączyła z bramą przeciwległą.

Czteropiętrowe domy wzniesiono z glazów spojonych specjalną żywiczną masą. Gmachy były ozdobione wspaniałymi frontonami i przedzielone szerokimi dziedzińcami. W rozległym morzu domów widniały wielkie place i przepyszne ogrody, w których dwa miliony ludzi szukało i znajdowało rozrywkę. Również wybrzeża rzeki były ujęte w gigantyczne mury, których bramy z brązu zamykały się na noc.

Poprzez rzekę prowadził okazały most zwodzony, trzydzieści stóp szerokości. Według Diodora, szło się po nim kwadrans, według Stra-bona, miał jedną staję długości. Aby ten most zbudować, musiano odprowadzić wody rzeki. Wykopano więc, na wschód od miasta, jezioro, które miało w obwodzie dwie mile i siedemdziesiąt pięć stóp głębokości; tu wpuszczono potężny potok. Jezioro, później nakryte, służyło do obrony miasta, do regulacji wylewów oraz do nawadniania pól, czego dokonywano przy pomocy licznych śluz. Na obydwu koficach mostu stały dwa olbrzymie pałace, połączone podziemnym tune-lem.

Najpiękniejsze budowle miasta, które dosłownie nazywa się Babi-lu, co znaczy Forteca Boga, stanowiły: pałac królewski o jednej mili obwodu, wiszące ogrody Semiramidy oraz nowy pałac, otoczony po-trójnym murem i ozdobiony wielką ilością rzeźb. Słynne ogrody Semiramidy były obwiedzione murem grubości dwudziestu dwu stóp i tworzyły olbrzymi czworobok. Na wysokich, sklepionych łukach wznosiły się amfiteatralnie rozmieszczone tarasy, do których wcho-dziło się po schodach, szerokich na dziesięć stóp. Platformy tych tarasów były wyłożone kamiennymi płytami, które miały zatrzymywać wodę. Na tych płytach leżała gruba warstwa połączonych rur, nadto dwa rzędy palonych cegieł, spojonych żywicą i pokrytych warstwą ołowiu, na której usypano tyle żyznej ziemi, że najtęższe drzewa mogły głęboko i wygodnie puścić korzenie. Na najwyższym tarasie znajdowała się ogromna studnia, która czerpała wodę z rzeki i rozle-wała ją po ogrodach. Pod każdym tarasem mieściły się pawilony, rozświetlone nocą wspaniałymi lśnią-cymi kolumnami; tutaj rozkoszo-wano się zarówno zapachem najrzadszych kwiatów jak i widokiem na wszystkie części i okolice miasta.

Największą budowlą miasta była wieża Babel, o której opowiada Pismo Święte.

Pośród wielkiej świątyni Baala wznosiła się wieża, której podstawa liczyła w swym obwodzie tysiąc kroków, a wysokość sięgała ośmiuset 121 stóp. Składała się z ośmiu kondygnacji, przy czym każda miała śred-nicę mniejszą, niż ta, na której spoczywała. Po schodach, ośmiokrot-nie obejmujących wieżę od zewnątrz, wstępowało się na wierzchołek wieży. Każda kondygnacja mieściła wielkie sklepione hale, kolumna-dy, pokoje i korytarze, gdzie posągi, tablice, stoły, krzesła i przyrządy były odlane z czystego złota. W dolnej kondygnacji stał posąg Baala, który ważył tysiąc babilofiskich talentów, a więc przedstawiał wartość wielu milionów talarów. Na górnej kondygnacji znajdowało się ob-serwatorium; gdzie astronomowie czynili swe obserwacje. Wszystkie skarby wieży, które, według Diodora, miały wartość siedmiu tysięcy złotych talentów, zostały porwane i wywiezione przez Artakserkessa. Według wschodnich podań, miała na dnie wieży znajdować się stud-nia, której głębokość równała się wysokości wieży. Aleksander Wielki chciał odbudować zburzoną wieżę i postawił do uprzątania gruzów i zwalisk przeszło dziesięć tysięcy ludzi, ale przedwczesna śmierć prze-szkodziła mu w doprowadzeniu tego zamiaru do kofica. Taki był Babilon. A teraz ...

Jakże często czytałem prorocтва Jeremiasza, które, jak brzmienie trąb, rozlegało się nad karą rzuconą przez Boga! Na murach babilofiskich, na brzegach Eufratu, na skrajach jezior i kanałów siedzieli bezdomni synowie Abrahama; ich gęśle, psalterze i harfy zwisały niemo, ich łzy ciekły w dowód

skruchy za winy popełnione. I gdy jedna z harf wydała dźwięk, brzmiał on tęsknotą do miasta, kryjącego świątynię Jehowy i pieśni żalną zamykały słowa:

Podnoszę moje oczy do gór, z których nadejdzie pomoc. I Pan usłuchał tych modłów. Zagrział gniewny głos Jeromijahusa z Anathot, zwanego Jeremiaszem. Płaczący lud chwycił jego słowa:

Oto jest słowo Pana o Babelu i kraju Chaldejskim: ciągnie z pójzocy lud, który ziemię jego obróci w pustynię, którego stnaty są jako mocana osierocającego, z których żadna się nie wróci próżno. Uciekajcie z Babelu, a niech zachowa każdy duszę swoją, gdyż zgiełk wojenny i wielki lament jest w kraju! IZecze Pan Zebaoth: pätz, chcę Icróla Babilonu 122 osiągnąć; zbrojcie się pnciw Babilonowi! IZadujcie się głośno; jego warownie padły i mury jego załamały się. Ruszcie pnciw niemu! Otwó-ncie jego śpichne; zabijcie jego bydło; otoczcie go i nie pozwólcie nikomu umknąć! Znów zapnedał Pana; dlatego niechaj padną jego mgżowie i niechaj zginą jego wojownicy Miecz niechaj skane Babilon i jego władców, jego wieszczów i jego możnych, jego konie i wozy i ciżbę w nich siedzącą. Jak zgładził Sodomę i Gomorę, Bóg obróci Babilon w stos kamieni, a miasta jego w perrynę!

W jakże straszliwy sposób ziściły się te słowa proroka! Z olbrzymią armią i niezliczonym szeregiem tysięcy wielbłądów nadciągnął G~rus i zdobył miasto, mimo jego grubych murów i mimo to, że było zaopatrzone w żywność na dwadzieścia lat. Później rozkazał Dariusz Hystaspisowi zburzyć mury, a Artakserkses ogołocił je ze skarbów. Nawet Aleksander Wielki nie mógł powstrzymać dziejowego upadku. Po niedługim czasie, na tej części miasta, jeszcze otoczonej murem, zasiano zboże; a potem miejscowi kacykowie zamienili Babilon w pastwisko. Od czasu panowania Arabów nazwa Babilonu zniknęła z historii i dzisiaj widać tylko wielki i zapuszczony beład głązów, w którym jedynie bystre oko badacza rozeznąć się potrafi. Tak pncimja świat wraz z całą swą pysznością i tylko słowo Boga trwa wiecznie. Słofice szło na spoczynek; schodziliśmy na dół ku naszym koniom, aby przygotować koce na posłania, gdy wstąpiwszy na występ potężnego zwaliska, zauważyliśmy coś, co na gorze uszło naszej uwagi. Istnieje tam stary kanał, stale wystchnięty letnią porą, a teraz pełen wody, którego koniec znajdował się piętnaście minut drogi od Birs Nimrud. Było z pewnością między nimi jakieś połączenie, gdyż po kanale sunęła grupa łódek.

- Kto to może być, sidi?- zapytał Halef.

- Wiem tyle, co i ty; odrzekłem: Być może, to nas nie dotyczy; nie wiem w jakim kierunku te łodzie płyną. Uważajmy ... Po chwili spostrzegliśmy, że łodzie nie oddalają się lecz zbliżają. Przez parę minut pozostawaliśmy na miejscach, byliśmy bowiem zbyt 123 oddaleni, ażeby można było nas dostrzec; wkrótce je~nak, nie chcąc się narazić na tę niebezpieczną ewentualność, zmuszeni byliśmy opuścić nasz punkt obserwacyjny.

Gdy schodziliśmy, rzekł Halef:

- Sidi, mam pewną myśl, ale czy jest słuszna, tego nie jestem pewien.

- Czy dotyczy tych ludzi w łodziach?

- Tak.

- p a,,ięc?

- Myślę o tym, co mówili nam posłannicy Sefira, mianowicie, że „trupcy” pł5mą w dół po Eufracie. Nie śmiej się ze mnie.

- Ani myślę, bo jestem tego samego zdania, chociaż nie widzę powodów, ażeby sądziE, że właśnie o „trupcy” chodzi, a nie o co innego.

-Ale rozważ, że jeżeli to przypuszczenie jest słuszne, mamy przed sobą Sefira!

- Biorę to w każdym razie pod uwagę.

- Musimy byE ostrożni. Miejsce, które obraliśmy na nocleg, leży po tej stronie ruin, gdzie ci ludzie wysiądą.

- Jeżeli w ogóle wysiądą. Czy mają ten zamiar, przekonamy się, spokojnie wyczekując. Jeśli sądzić według poruszeń łodzi, nie są to szalupy, lecz małe czółna, które mogą dotrzeć do samego kofica kanału. Zobaczymy, co się wtedy stanie. Ci ludzie mogą mieć na celu ten tylko punkt, zdaje się, że zamierzają przenieść ładunek czółen na kanale do ruin. W tym wypadku prosta linia prowadzi akurat do miejsca gdzie my się w tej chwili znajdujemy. Musimy czuwać i poszukać schronienia dla koni. Najmniej widoczne będą na skraju rumowiska, albo niżej, na równinie. Na szczęście, jest jeszcze dość jasno i możemy takie schronienie znaleźć.

Na dole skierowaliśmy się do ruin; minęło zaledwie parę chwil, gdy spostrzegłem coś, co poruszyło moją uwagę, mimo że nie miało nic wspólnego z poszukiwaniem ukrycia dla koni. Znajdował się tutaj nasyp gruzu z rozbitych i zwiertzałych cegieł, które spadły z góry. Do 124 tego nasypu prowadziła przez to miejsce, gdzieśmy stali koleina. Nie sądzę, ażeby nawet Beduin mógł ją odkryć, ale dla oka myśliwego, zaprawionego do badania śladów na preriach i w dziewiczych lasach Ameryki, była dostatecznie wyraźna. Zbadawszy ją, zapytałem:

- Czy widzisz te ślady, Halefie?

- Ślady?- zapytał zdziwiony: Nie widzę ruc. C6ż to za ludzie mogli tędy przechodzić?

- Nie ludzie, lecz zwierzęta, które często tędy zdają się spacero-wać, w górę i w dół.

- Może lwy?- roześmiał się.

- O nie, zdaje się, że tej drogi używają tylko małe zwierzątka.

- Być może. Nie widzę nic; poza tym spacer tych małych zwierzą-tek nie może nas interesować.

Chodź dalej!

- Nie. Szukamy schronienia, zwierzęta zaś, które tu się uwijają, nie są oswojone, lecz dzikie; a dzikie zwierzęta zwykły mieć ukryte legowiska, musimy podążać za tymi śladami.

Wstąpiliśmy na nasyp i dotarliśmy do miejsca, niewidocznego z dołu; tutaj odkryliśmy wgłębienie w murze. Nie wiadomo, czy w tym miejscu była niegdyś brama, czy też mur, z jakiejś osobliwej przyczyny załamał się, dość że luka była szeroka na tyle, ażeby nie tylko nas, ale i konie nasze przepuścić. Wkroczyliśmy w nią i powiodła nas długim i wąskim korytarzem poprzez stosy cegieł ku zamkniętemu czworo-bokowi, który dałoby się najlepiej pordwnąć z podwórzem, chociaż nie było widać wychodzących nafi okien. Ściany były pokruszone i obszarpane, a podłoga, na której staliśmy, składała się z ceglanego prochu nawarstwionego grubymi pokładami. Było w tym pomieszczeniu ciemniej niż na polu, niemniej zobaczyliśmy całą grupę zwierząt, w znacznej liczbie leżących dokoła.

-Maszallah!-zawołał Halef.- Zdaje się, że odkryliśmy legowisko jeżozwierzy. Czy nie sądzisz, sidi?

- Tak- odrzekłem: Tak głęboko ukryty loch, w którym od dwóch tysięcy lat noga ludzka nie powstała, nadaje się najlepiej dla tych

125 nocnych stworzeń. Przychodzi im łatwo w tym miękkim gruzie z pokruszonych murów ryć swoje przejścia, które sięgają czasami bar-dzo głęboko. Przypominam sobie pomieszczenie, w którym binbasi był zamknięty! Mówił, że były tam gniazda jeżozwierzy, wspomniał o jakimś rumowisku w rogu i byłbym skłonny myśleć, że to rumowisko składa się z rozsypanych cegieł, poprzez które zwierzęta te łatwo przedostać się mogły. Istniało tu więc jakieś przejście. Czy pomieści i ludzi? ... I czy prowadzi ono do tego podwórza?

- Sidi, nie bredź! Chcesz połączyć rzeczy, które wcale do siebie nie pasują!

- Skąd wiesz, że nie pasują?

- Wysokość nie odpowiada.

- Jak to?

- Według opisu binbasiego, więzienie znajdowało się powyżej tego miejsca, gdzie rny teraz stoimy.

- Tak, ale tylko w tym miejscu. Tam, naprzeciw nas, gruz sięga wyżej, patrz! Czy widzisz te dziury w porysowanych murach?

- Hm! Widzę ... ale dziwi mnie to, że jeżozwierze wykopały przejście akurat w tym miejscu, którego ci trzeba.

- Trzeba? Nie trzeba mi żadnego, bo nie jestem uwięziony. Analizuję okoliczności, które są w pewnym związku, a czy mam słuszość czy nie, na sobie tego nie doświadczymy. Jednakże, postaram się jutro to podwórze zbadać dokładniej. Musimy się pośpieszyć, bo za dziesięć minut będzie zupełnie ciemno.

- A schronienie dla koni? ...

- Sprowadzimy je tutaj.

- Prawda! Będą musiały się przeciskać, ale czuE się będą tutaj bezpiecznie, jak na łonie Ibrahima. Choćmy po nie! Dziesięć minut zaledwie upłynęło, a konie nasze były ulokowane, po czym odnaleźliśmy miejsce dawnego postoju, skąd można było zauważy~ zbliżanie się ludzi.

Powiał wieczorny wiatr z północy, co nam było na rękę, bowiem 126 musiały nam przynieść odgłos kroków, gdyby ludzie z kanału chcieli się zbliży~ do ruiny. Tak upłynęły dwie godziny, gdy Halef zaczął węszyć i w podrażnieniu parskać, aż nareszcie zapytał, bardzo podniecony:

- Czujesz coś, sisi?

- Tak- odrzekłem, gdyż zauważyłem to samo, co i on.

- W moim nosie zaczyna się rozwijać jakieś bolesne niedomaganie. Mój węch zdaje się być narażony na szwank. Sądzę, że ... Coraz gorzej! To już nie zapach ... to smród, tak jak gdyby nadchodziła karawana śmierci!

- Właśnie nadchodzi!

- Co? ... Kto? ... Karawana śmierci?

- Istotnie, chociaż nie taka, jaką widzieliśmy wówczas. Czuć zupełnie wyraźnie, że zbliża się coraz bardziej: Zatkaj nos, ale tym szerzej otwórz uszy. Słuchaj!

Posłyszeliśmy kroki w bardzo niewielkim oddaleniu; pojedyncze krótkie słowa, głosy komendy, potem znów zaległa cisza.

- No, dzięki 'Allahowi, przeszli!- westchnął Halef z ulgą:

Wiatr zabrał ze sobą te zapachy; możemy znów złapać tchu

- Możesz; ja jednak będę rozkoszował się dłużej tym miłym zapachem, bo chcę podążyć za karawaną.
- Podążyć? Po co?
- Muszę wiedzieć, co to za ludzie i czego tutaj szukają.
- Och, sidi, niech robią, co chcą! Co za ~korzyść będziesz miał z tego, że twoje oczy ich zobaczą, a twój nos będzie na wieki zapowie-trzony!
- Stan mojego powonienia musi mi być, niestety, teraz obojętny.

Jestem przekonany, że tu doprawdy chodzi o „trupy”, których ocze-kuje Sefir.

- W najlepszym razie są to zwykłe trupy, transportowane do Kerbeli albo Meshhed Ali.
- Nie! Wysłannikwspomniał o nich w sposób osobliwy. Poza tym,

127 zwykle trupy transportowanoby zwykłą drogą, a nie tak tajemniczo wzdłuż Eufratu, po kanale, a potem na ludzkich plecach, aż do tego miejsca.

- A więc, doprawdy, idziesz za nimi?
- Tak.
- Wobec tego nie puszcę cię samego; idę z tobą.
- Nie jesteś mi potrzebny.
- Czy jestem ci potrzebny, czy nie, to mnie nie obchodzi. ‘I~ będzieszwdychał ten diabelski smród, a ja mam korzystać z najlepszego, najczystsze-go, najczystsze-go powietrza? Wyjechałem razem z tobą, ażeby wszy-stko, ale to wszystko, co cię spotka, przeżywać z tobą, a więc chcę i muszę wchłonać część tego odoru. Jeżeli nie zabierzesz mnie ze sobą dobrowolnie, pobiegnę za tobą ukradkiem; możesz być tego pewien!
- Jest mi przykro, Halefie, doprawdy, bardzo przykro, że chcesz mi towarzyszyć!

- Ależ dlaczego?

- Przyrzekłem twojej Hanneh, że ...

Przerwał mi od razu:

- Zamilknij, sidi, zamilknij! Coś jej przyrzekł, rozkoszy serca mego i duszy mego życia, tego masz dochować ty, ale nie ja. Możesz spełnić jej życzenie, nie zabierając mnie ze sobą! Ja zaś pobiegnę za tobą, bo doprawdy nie wiem, po co bym tutaj miał zostać.

- Może narażam się na niebezpieczeństwa, których tobie ...

- Niebezpieczeństwa? 'Ty? - przerwał mi znów: I ty żądasz ode mnie, ażebym cię zostawił bez opieki? Czy tego, doprawdy, żądasz ode mnie, effendi?

- Tak.

- A więc powiadam ci, że pójdę za tobą; nie opuszczę cię, nawet gdyby dziesięć tysięcy diabłów wyciągnęło ku tobie pazury! Ponieważ tak mocno obstawał przy swoim, musiałem mu wyznać prawdę:

- Dlatego jeszcze proszę cię, aby~ został, że usposobienie twoje

128 jest dla mnie za żywe. Wiesz od dawna, że bywasz nieostrożny, co nam niejednokrotnie wyrządziło wielkie szkody. W każdym razie dla nas obu będzie bezpieczniej, jeżeli pójdę sam.

- O, sidi, jakże głęboką udrękę sprawiasz mej duszy! Co było, to przeszło; już dawno nie jestem tym lekkoduchem, za jakiego mnie masz, lecz rozważnym i mądrym naczelnym szejkiem Haddedińców plemienia Szammar. Możesz mnie ciężko i gorzko upominać jeśli chcesz! Ja natomiast jeszcze cię miłuję i znam swój obowiązek, który mi nakazuje wiernie dotrzymać ci kroku we wszelkim niebezpieczeństwie. Spełnię ten obowiązek i jeżeli mnie nie zabierzesz, polecę w ślad za tobą, jak pies, który ochrania swego pana, chociaż dostaje od niego baty!

Co miałem robić? Musiałem ustąpić jego woli, gdyż, doprawdy, był w stanie wykonać swój zamiar i pójść za mną bez mego pozwolenia.

Dlatego rzekłem:

- Skoro tak bardzo nalegasz, nie będę się sprzeciwiał: żądam jedynie, abyś nie dał powodu do robienia ci wyrzutów. Chodź, prze-niesiemy broń naszą do koni!

- Po co?

- Jeżeli mamy się skradać, nie możemy dźwigać ciężkiej broni.

Gdybyś tutaj został, byłbym ci powierzył moją broń, a że chcesz koniecznie pójść ze mną; musimy ją schować.

- Możemy ją schować tutaj!

- Nie. Nie wiemy, co się stać może, toteż musimy wszystkie rzeczy zgromadzić w jednym miejscu. Chodź, zabieramy również i koce! Nie uważał tych zabiegów za konieczne; ja natomiast słuchałem głosu ostrożności, któremu nigdy się nie opierałem i okazało się później, że czyniłem dobrze.

Tak więc poszliśmy do naszych koni, przywiązaliśmy je mocniej, broń zawinęliśmy w koce ukryliśmy w gruzach, po czym wyruszyliśmy w drogę, w ślad za tajemniczymi ludźmi, którzy niedawno nas minęli. Od tego czasu upłynął kwadrans i krokbwjuż słyszeć nie mogliśmy. s - w ~ s.~nn 129 Na szczęście, to jednak, co uszło naszym słuchom, ukazało się oczom, bowiem po niedługim marszu w chwili, gdy okrążyliśmy występ ruin, ujrzeliśmy nieopodal migocące światła i jednocześnie wdał się w nasze nozdrza odór tak nieopisanie ostry i kłujący, że stanęliśmy w miejscu jak wryci.

- Allahu, uchowaj nas od dziewięciokrotnie ogoniastych diab-łów!- modlił się Halef: O Mahomecie, o wszyscy święci kalifowie, o przodkowie sprawiedliwych i pobożnych, co żyliście na ziemi, jakie tortury piekielne i jakie męki zatracenia czekają nas, jeżeli pójdziemy dalej, gdzie płomiefi niszczycielski podpali mój nos! Czy musimy koniecznie tam iść, sidi, koniecznie?

- Ty nie, ale ja ... tak.

- Więc idę z tobą, gdybym nawet tysiąc razy miał się udusić!

Zapewne nos mój na sądzie ostatecznym oskarży mnie o swą zgubę i będę musiał tę zbrodnię ciężko odpokutować, ale skoro idziesz na-przód, nie mogę pozostać na miejscu! Co ci nieszczęśliwi mogą tam palić?

- Sądzę, że podsycają ogień okryciem trupów, a więc kołdrami i trumnami, przepojonymi jadem trupim i tym właśnie powodują tę cudowną woń!

- Nie mogli wymyślić większego głupstwa!

-To nie głupstwo, Halefie. Ponieważ w swych sprawkach unikają dziennego światła, muszą

mieć oświecenie; poza tym, muszą niszczyć wszystko to, co pozwoliłoby ich wytropić; obydwaj cele osiągają dzięki paleniu trumien. Jak mogą znieść ten niesłychany smród, nie pojmuję. Zważ, że znajdują się u źródeł fetoru, podczas gdy my idziemy z

wiatrem i wobec tego mamy tylko nieznaczny udział w tej „rozkoszy” która nas tam, przy nich, oczekuje.

- Chciałbym Eufrat napełnić łzami, bo ciężar mego serca przeraża wagę wszystkich tutejszych gruzów i zwałów; ale żaden człowiek nie uniknie swego losu, zatem zbierzmy całą przytomność ducha i wszystkie swe siły, aby udać się naprzeciw tej tysiąckrotnej zgrozie 130 diabelskiej woni. Chodźmy!

Porwał się naprzód; ja jednak powstrzymałem go i rzekłem:

- Postępuj za mną i nie ośmielaj się działać na własną rękę!

- Czemuś naraz taki surowy, effendi?

- Bo zbyt gorąco wrywasz się naprzód. Ta nieroztropna skwapliwość jest dla mnie niepożądana. Jestem zręczniejszy i bardziej doświadczony, niż ty, jeżeli więc nie będziesz dokładnie przestrzegał moich zaleceń, nie odpowiadam za nic. Uważaj, musimy znaleźć ukrycie; schowamy się tu, na lewo, od rowu między zwałami i będziemy się poruszali wzdłuż niego aż do miejsca, gdzie widnieją płomienie. Teraz naprzód!

Walały się tutaj liczne, rozmaitych rozmiarów odłamy murów, złożone z cegieł dobrze spojonych asfaltem, można się było poza nimi wygodnie kryć. To idąc, to skacząc, to brnąc, to pełzając, posuwaliśmy się naprzód. Na prawo ciemniała otwarta pustynia, na lewo piętrzyła się groźna gigantyczna masa Wieży Babel, u której stóp leżały głązy, wysokie jak domy, niekiedy jeszcze wyższe. Pośród takich właśnie złomów paliły się ognie; trzy spośród nich znalazły się już tak blisko nas, że mogliśmy wyraźnie rozróżnić poruszające się postacie. Im dalej szliśmy, tym bardziej wzrastał się nieznośny odór, a gdyśmy się zbliżyli tak, że rozumieliśmy każde wymówione słowo, smród był tak wielki, iż doznałem uczucia, jakoby wnętrzości moje wywracały się. Musiałem, doprawdy, wszystkie siły zebrać, ażeby powstrzymać wybuch nurtującej mnie odrazy.

Na szczęście, wiatr odnosił precz największy zapach, który w spokojnym powietrzu byłby całkiem legł na nas; postacie, które się poruszały w zmiennym świetle pełzających płomieni, miały wygląd szatanów, wydobywających z trumien duchy zmarłych, ażeby je wydać na potępienie. Były to, istotnie, trumny, które po kolei otwierano, często rozłamywano lub rozsadzano; były długie w kształcie mumii. Naliczyłem przeszło trzydziestu mężczyzn, którzy wykonywali tę straszliwą pracę w

sposób, świadczący o niezwykłej wprawie. Drzewo 131 trumien rozszczepiano, aby mogło służyć za materiał palny; chusty i maty, które służyły za spowicie, rzucano również do ognia.

Najstraszliwszy okazał się widok trupów. Gdyby były sztywne i twarde, jak mumie, byłoby może to, co widziałem, dotknęło jedynie mojej istoty duchowej, ale nie fizycznej; lecz szczątki, pozbawione piszczeli, tworzyły częściowo zupełnie płynną masę, która ... Lepiej zamilknąć! Nie da się opowiedzieć, w jaki sposób zbiry, poczynały sobie z tymi resztkami ludzkimi, które przecież były przeznaczone do Kerbeli albo Nedszef Ali. Szkielety ciskano byle gdzie. Jak słyszałem, miały być później spalone.

Rodzina traktowanych w ten sposób nieboszczyków musiała sowa-cie opłacić wykonanie ostatniej ich woli, tymczasem tutaj, pomiatając szczątkami zmarłych, właśnie urągano podjętym obowiązkom.

Gdy obserwowaliśmy odrażającą krzątanicę tych trzydziestu ludzi,

zastanowiło nas, że trumny i paki zawierają nie tylko trupy, lecz obok nich większe i mniejsze tobołki rozmaitego kształtu, które z wielką ostrożnością wyjmowano, obcierano, po czym układano w jednym

p;:, ' ..

miejscu. Zawartość tych paczek musiała być tym ludziom droższa, niż powierzone im trupy. Co więc zawierały? Rozumie się, że ta sprawa żywo nas interesowała, może nawet miała dla nas szczególną wagę, ale ponieważ nie sposób było wnioskować z wyglądu o zawartości, nie pozostawało nam nic innego, jak kontynuować naszą obserwację i czekać spokojnie na rozwój wypadków.

‘I~varze ludzi były oświetlone tak, że widzieliśmy je wyraźnie; a widzieliśmy po raz pierwszy.

Nie było tutaj Sefira.

Mimo pośpiechu, trwał~ dość długo, zanim oprawcy otworzyli

wszystkie trumny i paki, i rzucili do ognia przesiąknięte trupimi wydzielinami szmary i drewno. Pod koniec ułożono wielki stos szczap tamaryszkowych. Skoro zapłonął, rzucono nad kości i piszczele. Ponieważ zwisały jeszcze z nich gdzie niegdzie kawały mięsa, nie przeżarte zgnilizną, wofi stała się tak potworna, że niepodobna było dłużej jej znosić. Cofnęliśmy się daleko wstecz, aż do miejsca, gdzie można

132 było wdycha~ powietrze bez natychmiastowej chęci wymiotów, cho-ciaż bynajmniej jeszcze nie zasługiwało na miano czystego. Nie mogliśmy dojrzeć, co się działo dalej przy ogniach, gdyż odgrodził nas tak gęsty dym, że pozostawały z nich tylko małe, mgliste plamki. Halef użył sobie i swym wnętrznościom tak gwałtownie, że musiałem go przywołać do ostrożności.

- Ostrożność?- zapytał tonem strapionym - wymagasz ode mnie rzeczy niemożliwych, sisi! Wszystko jedno, czy uduszę się ostrożnie, czy nieostrożnie. Jak człowiek może myśleć o ostrożności, kiedy nos jego tkwi w odmętach piekieł, a reszta jego ciała bawi jeszcze na ziemi? Gdybym był diabłem i dla moich potępieficów miał wynaleźć najstraszniejszą z tortur, byłbym im rozkazał palić trupy perskich szyitów i zapachy tych zaprzańców sunny wdychać nieustannie. Powiadam ci, nie zaciągniesz mnie więcej tam, gdzieśmy byli, póki ten smród nie przeminie!

- Czy zmuszałem cię do tego, ażebyś mi towarzyszył? Czy, przeciwnie, nie ty zmuszałeś mnie wiele razy do tego, ażebym cię zabrał?

- Tak, to moja własna wina, że cała moja istota znajduje się w najgorszej udręce; ale żadna więcej siła na ziemi nie zdoła mnie ściągnąć do tego miejsca, gdzie zagłada czyha na organ powonienia!

- A więc będziesz na mnie tutaj czekał?

- Czekać? Jak to?

- No, bo znowu tam pójdę, skoro tylko dym się rozproszy.

- Znowu? Teraz? Czy jesteś przytomny, effendi? Zastanów się, co robisz! Jeżeli sam na skutek przeraźliwego zapachu tak się skręcasz, że twoje wnętrzności na wierzch wyłażą, a twoja skóra

wciąża się do wewnątrz, to na próżno wymagasz ode mnie aż tyle wytrwałości, ażeby razem z tobą przedsięwziął drogę powrotną!

- Myślę tak samo; mimo to muszę tam powrócić, aby się dowiedzieć bliższych szczegółów.
- Czy nie mógłby~ się tego dowiedzieć później?
- Nie. Ludzie, których chcę wysledzić, wnet ruszą w dalszą drogę.

133

Muszę dowiedzieć się, dokąd idą.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy ich poniechali; niech idą, dokąd chcą.
- Nie. Muszę się dowiedzieć nie tylko, jaki mają dzisiaj cel, ale jeszcze co innego.
- Sidi, nie bierz mi tego za złe, jeżeli cię zapytam, czy nie jest to tylko zwykłą, może nawet chwalebna, ciekawością?
- Czy miałeś kiedykolwiek dowody mojej ciekawości? Pomyśl o naszym gościnnym gospodarzu w ~agdadzie, o binbasim! Słyszałeś każde opowiedane przezefi słowo i powinieneś tak samo, jak ja, uważać, że stoimywobec okazji odkrycia tajemniczego wroga, Sefira. Sądzę; żejesteśmyw staniewyświadczyc muwielką przysługę. Do tego dochodzi jeszcze jeden punkt ...
- Jeszcze jeden punkt!- przerwał mi tonem rezygnacji: Sidi; kiedy zaczynasz przytaczać punkty, ustać musi wszelki sprzeciw; znam cię! Wiem, że ten punkt mnie przekona, proszę cię jednak, abyś mi~ go wyłożył.
- Dotyczy miejsca, na którym stoimy, tego zakątka, słynnego z historii. Pismo Święte chrześcijan opowiada o Birs Nimrud. Miejsce to widziało powstanie i zanik potężnych mocarstw. Wszechpotężni władcy, którzy rządili milionami ludzi, chcieli odbudować to miasto, ażeby wystawić pomnik swemu imieniu i swej wielkości, ale żaden nie zdołał tego zamiaru wykonać. Widzisz, stoimy na miejscu o wielkim znaczeniu dziejowym, gdzie obydwaj, ty i ja, spędziliśmy najgroźniejsze i najniebezpieczniejsze chwile naszego życia. Wszy-stko, co się do tego miejsca odnosi, musi nas w najwyższym stopniu interesować, nawet robactwo ludzkie, które przewierca te mury, aże-by pod nimi złożyć łupy swoich zbrodni. Trudzili się nad tym murem ludzie, którzy chcieli osiągnąE nieba i dorównać Bogu, a teraz sta-nowi przykrycie dla moralnej nędzy i bezecefistwa, co nie w górę dąży, lecz w dół, bo ucieka od światła dziennego i oka sprawiedliwości. Rozumiesz teraz, co mnie skłania do śledzenia tych ludzi? Rozumiesz 134 teraz, że chcę wiedzieć, co się święci pod głazami, które potomkowie Noego spalili, aby stworzyć sobie imię?
- A więc wciąż ciekawość, sidi, tylko ciekawość! Bałem się twego wyjaśnienia i nie wiem, jeszcze, czyś już wszystko powiedział, co powiedzieć chciaeś, ale jestem teraz ... słyszysz! Co

to było? Ktoś strzelił?

Istotnie, padł strzał przed nami w okolicy ognisk. I wnet potem usłyszeliśmy drugi. Smrodliwy zaduch nie doskwierał jak przedtem. Musiałem dowiedzieć się, kto strzelał i z jakiej przyczyny. Dlatego też, nie zachęcając Halefa, by poszedł za mną, skierowałem się ku miejscu, z którego poprzednio obserwowaliśmy okropną scenę. Mały, rześki Hadzi podążył jednak za mną krok w krok. Wszakże niedawno żadna siła zier~uska nie zdołała by go do tego zmusić; ale pozwolić mnie samemu narazić się na niebezpieczeństwo, tego nie mogła ścierpiee jego ciekawość. Nie namawiałem go, chociaż byłbym z pewnością wolał, by pozostał na miejscu.

Gdy stanęliśmy na naszym poprzednim punkcie obserwacyjnym, nie było już widać nikogo. Ognie paliły się jeszcze, ale oświetlały tylko opuszczone stanowiska, zionące jeszcze trupim odorem; wały się jeszcze liczne szczątki trumien i zwłok, które nie zostały spalone, a to dlatego, że jak strzały pozwalały przypuszczać, cały proceder musiał być nagle i przedwcześnie skończony. Ale kto mógł przeszkodzić tym ludziom, i z której strony strzelano?

Bądź co bądź, uważałem za rzecz pewną, że łupieżcy trumien udali się w kierunku ruin, gdzie, według słów starego binbasiego z Bagdadu, znajdowało się wejście, wiodące do ukrytych pomieszczeń, w których był więziony. Zejście za nimi aż tam było nie tylko bezcelowe, ale i niebezpieczne, gdyż z którejkolwiek strony strzały padły, ci ludzie musieli się mieć na baczności i łatwo moglibyśmy wpaść w ich ręce. Dlatego uważałem za stosowne zbadać pokrótce miejsce, gdzieśmy się znajdowali, a wszystko inne odłożyć aż do świtu. Dla pewności zlustrowałem cały plac bardzo ostrożnie i przekonałem się, że nikogo 135 prócz nas nie było w pobliżu.

Niebawem musieliśmy powrócić do ognisk, mimo że wofi była tak mocna, iż właściwie powinniśmy byli trzymać się z dala. Zdarzało mi się w moich podróżach znosić gorsze zamachy na mój zmysł powonienia, w okolicznościach, o których opowiadać nie należy, ale tak nieopisanie szkaradnie jak dzisiaj, nie bywało nigdy i nigdzie. Przeszukałem plac dokładnie, aby się dowiedzieć, co zawierały tajemnicze tobołki. Nasze badania dały rezultat: dwa tobołki uległy prawdopodobnie uszkodzeniu, albo rozluźnieniu, gdyż w dwóch miejscach znaleźliśmy na ziemi próbki ich zawartości. Był to szafran w postaci włókien, lub proszku. Pomyślałem o tym, co nam powiedział nasz binbasi, dawny naczelnik straży celnej: - „Przy obecnej wysokości cła, szafran jest najbardziej korzystnym przedmiotem szmuglu”. Wiadomo, że wschodni, a zwłaszcza perski szafran, niesfałszowany, jest najlepszy ze wszystkich, ale od chwili, gdy przekonałem się, że przemycają go nawet w trumnach perskich szyitów, chętnie słucham o tym korzeniu wtedy tylko, kiedy jestem pewien, że chodzi o nasz północny gatunek *crocus sativus*. Właśnie z podobną uwagą zwracał się do mnie Halef, gdy zaskoczył nas tętent kofiski, który zbliżał się z wielką szybkością. Ziemia dudniła, jak gdyby wielu jeźdźców pędziło cwałem. Czy byli to przemytnicy, którzy powracali wierzchem, aby spalić pozostałe resztki trupów?

-Przybywają, znów przybywają!-ostrzegł Halef, chwytając mnie za rękę i ciągnąc za sobą: Prędko, prędko! Musimy się skryć! Najlepsze miejsce jest tam na rumowisku! Idę naprzód! Puścił mnie i pośpieszył ku złomowi wysokości domostwa, który miał tyle występów i kantów, że można było z łatwością wdrapać się po nich. Ja zaś chętnie wybrałbym sobie inne

schronienie, gdyż tamto leżało w pełnym blasku ognia; jednakże i tam można było ukryć się niezgorzej; Halef, włącząc, dosiędął już szczytów; ponieważ nie chcia-łem zdawać go na własną jego rozsądek, przeto nie pozostawiło mi nic innego, jak pójść za jego przykładem. Kazać mu zawrócić, na to 136 nie było już czasu.

Złom składał się z cegieł spojonych asfaltem. Ten rodzaj zaprawy może przetrwać tysiące lat. Czemuż nie mielibyśmy i teraz zaufać jego mocy? Niestety, trwałość jego była słabsza, niż wydawało się z pozoru; o tym przekonaliśmy się na własnej skórze. Halef był już o parę metrów ponad ziemią, ja zaś podnosiłem już nogę, aby za nim podążyć, gdy oto występ muru, na który Hadzi wleził, obruszył się i runął na mnie całym impetem. Był to spory głaz, przytłoczył mnie do ziemi. Dostyszałem okrzyk lęku, wydany przez Hadzisa, który, oczywiście, staczał się na mnie; czułem przez parę chwil ciężar na piersi, potem wszystko zniknęło, gdyż straciłem przytomność.

Po odzyskaniu zmysłów, nie czułem już ucisku na sobie, ale, nie-stety, nie miałem swobody ruchów, gdyż nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą: byłem związany. Obok mnie leżał Halef, skępowany, tak jak ja. Dookoła nas siedziało dwudziestu żołnierzy, których dowódcą był stary, kol agasi, chorąży. Należeli do kawalerii; widziałem konie, stojące w pobliżu. Obok nich znajdowali się dwaj cywile, na widok których od razu zgadłem; w czyje ręce wpadliśmy, gdyż byli to: gospodarz zajazdu w Hilleh, oraz trzeci Beduin, towarzysz owych dwóch, strąconych przez nasze konie. Ci poczciwi ludzie wykazali tyle życzli-wości, że czuwali nad nami ciągle; jeżeli nie bezpośrednio, to z pomocą eskorty wojskowej. Z tego wynikało, że wskazali na nas; okoliczność, które pozwalały mi przypuszcza~, że Beduin, uważany przez nas początkowo za omdlałego, był nie tyle bez świadomości, ile martwy. Obydwaj nie spuszcza- li z nas oczu i skoro tylko otworzyłem powieki, gospodarz zawołał, zwracając się do kol agasiego:

- Przyszedł do siebie. Teraz jest czas, aby go przesłuchać!

Stary oficer nie drgnął nawet i nie wydał ani jednej zgłoski; ale gdy to żądanie powtórzyło się parokrotnie, zwrócił twarz do gospodarza, zmierzył go wzrokiem pełnym pogardliwego zdziwienia i zapytał:

- Do kogo właściwie mówisz?

- Do ciebie!- odpowiedział zapytany.

‘ „ - Do mnie? Nie mogę w to wierzyć, bo gdyby tak doprawdy było, musiałbym cię kazać obić, gdyż nie okazujesz mi szacunku i poważania, którego mam się prawo domagać. Musiałem was zabrać ze sobą, ażeby stwierdzić tożsamość ludzi, których schwytaliśmy. Wolno ci mówić, ale w sposób uprzejmy i wtedy tylko, kiedy cię pytają. Zapamiętaj to sobie! Nie należysz do nas, bo nie jesteś żołnierzem; ja zaś jestem oficerem jego wysokości, władcy wszystkich wiernych, któremu oby Allah darował tysiąckrotne życie i jeżeli masz mi coś do zakomunikowania, musi to być uczynione w formie pokornej prośby.

Wtedy Beduin przerwał:

- Jeżeli mój przyjaciel musi milczeć, to ja będę tym głośniejsze mówić. Jestem wolnym Arabem i nie usłucham żadnego żołnierza. Żądam przesłuchania mordercy mego towarzysza, który spadając z konia, złamał sobie kark.

- Kimże ty jesteś?- zapytał kol agasi pogardliwym t~nem:

Muszę ci jedno powiedzieć: podaliście się za Solaibów, ale jesteście, jak się okazało, Ghasai, a szczerp ten uchodzi za zgraję zbirów i złodziei. Trzeba was powywieszać~wszystkich bezwyjątku! I ty, nędzny Ghasai, twierdzisz, że nie usłuchasz żadnego żołnierza i chcesz mi narzucić swoją wolę? Człowieku, jeżeli jeszcze jedyne słowo wypowiesz do mnie, nie skłoniwszy głowy w najgłębszej czci, pokażę ci, kto tu rozkazuje, a kto słucha!

- Allah! Nazywasz nas zgrają złodziei? W tej chwili odchodzę!

Zrobił ruch, jak gdyby chciał wstać, ale kol agasi rozkazał:

- Zostań! Przydzielono was do mnie, jestem więc za was odpowiedzialny i muszę was odstawić z powrotem. W razie konieczności, kule nasze potrafią was zatrzymać. A teraz, ani

słowa więcej; dopóki nie zażadam, żebyście mówili! Jesteśmy dzielnymi żołnierzami pady-szacha, a nie strażnikami celnymi, których Allah skazał na żywienie się odpadkami szmugłu. Jeżeli zmuszono nas dzisiaj pójść w ślady celników, usłuchaliśmy, zostajemy jednak tym, czym byliśmy zawsze.

- Nie namawialiśmy was do pójścia w te ślady ...

- Tomy wam bokiemy wyszło! Ale tak się złożyło, że ci, których mieliśmy przyłapać, są przemytnikami, a ponieważ mamy ich odstawić, przypadły nam w udziale poniżające obowiązki celników. A teraz milcz, skoficzyłem z tobą! ...

Przed sądem

Zachowanie się chorążego nie było dla mnie w gruncie rzeczy zupełnie jasne. Czy doprawdy chodziło o jego wojskową cześć, dla której dzisiejsza misja była obrażą? W zasadzie, mógł mi ten pogląd być zupełnie obojętny. O wiele ciekawszą dla mnie rzeczą był dowód, że ci trzej Beduini nie należą do Solaibów, lecz jak przypuszczałem, do Beduinów Ghasai. To upewniło mnie o słuszności także innych przypuszczeń.

Fakt obsunięcia się na mnie strąconych cegieł wydawał mi się być bez następstw. Pierś mnie bolała i było mi trudno oddychać. W jakim zaś stanie był Halef? Leżał tak cicho i nieruchomo, że mógłbym go wziąć za śpiącego, albo zgoła martwego, gdyby nie jego oczy, otwarte i rozbiegane. Zwróciłem do niego głowę i wyszeptałem:

- Czy jesteś raniony?
- Nie - odrzekł cicho.
- Czy długo leżałem nieprzytomny?
- Dziesięć minut prawie?

Czy nie mogłeś uciec?

- Uciec bez ciebie, sisi? Czyż nie jestem twoim przyjacielem, który wszystko z tobą dzieli, cierpi i znosi? 140
- Gdyby był wolny, mógłbyś mi być bardziej pożyteczny, niż teraz
- Opadli mnie równie szybko, jak ciebie. Gdybym się bronił, musiałbym strzelać, a tego nie chciałem, bo nie są żadną hołotą, lecz żołnierzami sultana.
- To było istotnie, roztropne. Czy kol agasi wypytywał cię o coś?
- Dotychczas nie uraczył mnie ani jednym słówkiem. Tropił nas i kiedy zauważył ogniska, wysłał dwóch żołnierzy. To do nich strzelali przemytnicy szafranu. Kol agasi sądzi, że my strzelaliśmy. Wywnioskowałem to z jego rozmów.
- Możemy mu udowodnić omyłkę.
- Co sądzisz o naszym położeniu? Te draby to, rzeczywiście Ghasai, jak słusznie przypuszczałeś. Jeden ma złamaną nogę, a drugi, zdaje się, trup.

- Mimo to nie lękam się niczego, a więc i ty nie powinieneś mieć stracha.

-Stracha? Ani mi się śni, nawet gdyby całe plemię Ghasai złamało ryczałtem nogi i karki! Ale jak się czujesz, effendi? Bryła, która się urwała pode mną i spadła na ciebie, była bardzo ciężka.

- Pierś mnie trochę boli: Poza tym nic. Żebra nie są uszkodzone; przynajmniej tak mi się wydaje.

- Dzięki Allahowi! Gdyby głaz spadł na mnie, żebra moje z pewnością nie wytrzymałyby, gdyż harmonia moich części ciała od-znacza się większą delikatnością.

Wymówił to głośniejszym głosem i wachmistrz usłyszawszy, że mówimy ze sobą, zawołał do nas:

-Milczeć! Czy nie wiecie, że uwięzieni nie mają prawa mówić pomiędzy sobą?

Pochwyciłem okazję, ażeby mu odpowiedzieć w tonie jak najgrze-czniejszym:

-Bądź łaskaw, dzielny kapitanie i pozwól mi się zwrócić do ciebie z pewną prośbą!

To, że zatytułowałem go kapitanem, wywołało na jego twarzy 141 uśmiech zadowolenia i głos jego zabrzmiał przyjaźniej, gdy mi odpo-wiedział:

- Czego chcesz, niechaj usłyszę.

- Widzę, że nie tylko jesteś walecznym i zasłużonym oficerem, ale posiadasz jeszcze wysokie poczucie sprawiedliwości i dobroci. Nie wiemy, dlaczego zaaresztowaliście nas i zwięzali, prosimy cię więc, jako komendanta tego oddziału, objaśnij nas, na jakiej podstawie nakazałeś nas uwięzić.

Zapewne był przez bardzo długi czas zwykłym żołnierzem i brako-wało mu przenikliwości, ażeby należycie ocenić mój uprzejmySposób mówienia; dlatego rzekł tonem pełnym uznania:

- Allah obdarzył cię uczoną mową. 'Twoje słowa brzmią zupełnie inaczej niż te, które słyszałem przed chwilą z ust twoich oskarżycieli. Jakaż to szkoda, że właśnie morderca i przemytnik posiada tak piękny dar wymowy!

- Pozwól, nie rozumiem twoich słów! Bierzesz nas za przemytni-ków?

- Oczywiście! Zbadaliśmy dokładnie miejsce, gdzieśmy was za-skoczyli; potem sprowadziliśmy

was tutaj, gdzie nie śmierdzi tak trupem, jak tam. Ile trupów spaliliście, tego nie wiemy, ale widzieli-śmy na ziemi rozsypany szafran; to nam wskazuje, że jesteście prze-mytnikami.

- Żałuję niezmiernie, że wszystkie okoliczności złożyły się na to, ażeby złudzić jasny wzrok tak przenikliwego człowieka, jak ty. Prze-mytnicy; o których mówisz, nie mają nic wspólnego z nami.

- Nic wspólnego? A więc myślę się również, uważając was za morderców?

- Tak. Wybaczysz mi z łaski swojej, jeżeli zapytam, czemu za-wdzięczamy tak bardzo poniżającą nas opinię?

- Odpowiem ci, bo mnie tak grzecznie pytasz. Znajdowaliśmy się w pobliżu, mianowicie na szczycie tego oto malego, ale słynnego meczetu, gdzie leżą szczątki prapraojca Abrahama. Wtem ujrzelіśmy

142 wiele ognisk; wysłałem więc dwóch ludzi, poleciwszy im zbadać, kto je rozpałił. Ci ludzie, wykonywując rozkaz, słyszeli świst kul, pocho-dzących z waszych karabinów. To wyście do nich strzelali. Czyż nie jesteście mordercami?

- Nie. Wiemy, że do nich strzelano, gdyż i my słyszeliśmy strzały; ale miałem już raz zaszczyt donieść do twojej łaskawej wiadomości, że przemytnicy, którzy strzelali, nie mają z nami nic wspólnego.

-Tym razem ja nie rozumiem nic z tego, co mówisz! Twierdzisz, że do nich nie należysz, a myśmy przecież zastali was między nimi!

-Jeżeli jesteś ulubieńcem Allaha, kapitanie, to wkrótce wszystko stanie się dla ciebie jasne. Jeżeli z łaski swojej zechcesz myśłą cofnąE się wstecz, to sobie dokładnie przypomnisz, że nie między nimi zasta-łeś nas. Kiedy przybyłeś na to zapowietrzone miejsee , tamci byli już daleko, bowiem natychmiast uciekli.

- Czy możesz to udowodnić?

- Ja? Człowiek tak nawskroś jasnowidzący, jak ty, wie bardzo dobrze, że nie mam nic do udowodnienia. Raczej ten, który mnie oskarża, powinien udowodnić moją winę.

- SprawiedliwośE nakazuje mi przyznać, że ty również wydajesz się być ulubieńcem Allaha, gdyż słowa twoje są rozumne, jak i moje. Godzę się na to, że, gdy stanęliśmy na wspomnianym miejscu, widzie-liśmy tylko was dwóch, niestety, wyraźnie uciekających. Czemu? Kto ma czyste sumienie, ten nie powinien ratować się ucieczką!

- Gdy wyruszyliśmy do Birs Nimrud, mieliśmy jedynie zamiar obejrzeć ruiny tej okolicy. Zapadł wieczór i zaczęliśmy szuka~ schro-nienia, gdzie możnaby najlepiej spędzić noc. Ujrzelіśmy ogniska i zbliżyliśmy się do nich; odór odpędził nas precz, niemniej zauważyli-śmy trzydziestu

ludzi, którzy byli zajęci otwieraniem trumien, zawie-rających trupy i szmugiel. Trumny i trupy palili, a szmugiel wybierali. Nagle usłyszeliśmy dwa strzały, po czym przemytnicy oddalili się szybko. Wówczas ruszyliśmy się ku obozowisku, chcąc je zbadać i zaspokoić naszą ciekawość. W tym samym czasie usłyszeliśmy tupot 143 zbliżających się jeźdźców. Sądziliśmy, że przemytnicy wracają i chcieliśmy jak najprędzej się ukryć, gdyż jesteśmy uczciwymi ludźmi, szanującymi prawa Allaha i padyszacha i nie życzymy sobie mieć do czynienia z osobnikami gwałcącymi te prawa. Podczas ucieczki mój towarzysz stoczył się wraz z bryłą cegieł, która przytłoczyła mnie do ziemi. Co zaszło potem, o tym ty wiesz lepiej ode mnie. Teraz wszystko chyba ukazuje się przed tobą w jasnym świetle i w swej nieomyślnej opinii nie omieszkaś zwolnić nas z zarzutów.

- Twoje słowa są wiarygodne, ale zwracam twoją uwagę na to, że nie mogę sam polegać na nich, lecz muszę je sprawdzić i uzgodnić z zeznaniami innych wysłanników.

-Zanim to uczynisz, pozwól z łaski swojej na jeszcze jedną uwagę!

Gdy podchodziliśmy do ognisk, nie mieliśmy ani wierzchowców, ani broni, którą uprzednio ukryliśmy w pewnym miejscu. Jako człowiek doświadczony przyznasz, że strzelać bez broni jest rzeczą niemożliwą. A jak słyszałem, były to strzały nie z pistoletów, lecz z karabinów.

-Jest to bardzo roztropne z twojej strony, że zwracasz się do mego doświadczenia. Jeżeli nie mieliście przy sobie broni, jasne jest, że strzelali inni ludzie. Jednakże, muszę skorzystać z tych zeznafi, o których poprzednio mówiłem.

Wynik zeznafi był następujący: wysłannicy oświadczyli, że nie pode-szli tak blisko, ażeby móc rozróżnić i zapamiętać rysy twarzy, i że nie zauważyli pomiędzy przemytnikami dwóch tak przyzwoicie ubranych ludzi. Kol agasi zwrócił się znowu do nas:

- Słyszeliście, że zeznanie wypadło na waszą korzyść. Czy macie jeszcze coś do powiedzenia, chętnie was wysłucham.

- Dziękuję ci! - odrzekłem. - Poznałem wielu wysokich oficerów szachinszacha i sułtana, ale między nimi nie było żadnego, który-by cię przewyższał rozsądkiem, dobrocią i sprawiedliwością. Jeżeli pozwolisz, wyślę sprawozdanie do ministra wojny i poproszę go, aby zwrócił na ciebie swoją łaskawą uwagę.

-Do ministra wojny? -spytał zaskoczony. - Wybacz, ale dziwię

144 się bardzo, że znasz go! Czy masz takie wpływy na Babi humajun, że twoje sprawozdanie może dotrzeć do ministra wojny i że ten nie zawaha się przeczytać go i zwrócić nafi swą uwagę? To pytanie było wodą na młyn małego Halefa, który zawsze był bardzo rozmowny, kiedy chodziło o wygłoszenie

mojej, albo jego własnej pochwały. Milczał nazbyt już długo, ażeby teraz móc czekać jeszcze chwilę z puszczeniem w energiczny ruch swego języka. Toteż, zaledwie kol agasi ukończył swe pytanie, Hadzi, nie czekając na moją odpowiedź, wdarł się w rozmowę z najwyższym zapałem:

-Jak mogłeś wymówić słowa, które właściwie są dla nas najwyższą obrazą! Jesteś dzielnym i mądrym człowiekiem, ale zaniechałeś tego, co zaraz na początku powinieneś być uczynić, mianowicie zapytać nas, kim jesteśmy. Jestem najwyższym, a więc panującym szejkiem Haddedihnów z wielkiego i słynnego plemienia Szammar. Moje imię brzmi Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abdul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah. Ten mój towarzysz, którego przyjacielem jestem i ob-roficą, nazywa się emir Kara Ben Nemzi effendi. Pochodzi z Franki-stanu a wiedz, że ten kraj, poza pafistwem sułtana, jest największym pafistwem na ziemi i rozpościera się na więcej niż dziesięć tysięcy gór, dolin, jezior i rzek. Przemierzył razem ze mną kraje Zachodu i Wschodu, aby dokazać cudów męstwa i odwagi. Jego przyjaciele kochają go, a wrogowie lękają się jak lwa, którego zabiliśmy, jak czarnej pantery, którą zgładziliśmy ze świata. Pokonaliśmy liczne szczepy Beduinów i w żadnym ataku nie obracaliśmy się tyłem do przodu. Mój emir włada wszystkimi językami ludów, wymienia wszystkie gwiazdy niebios według ich przyrodzonych imion i może powie-dzieć, jak się nazywają wszystkie istniejące zwierzęta, rośliny i kamie-nie. Jest najślawniejszym wojownikiem, najmędrszym uczonym i naj-wspanialszym człowiekiem, jakiego tylko znam. Sułtani, cesarze, kró-lowie i książęta uprzedzają jego życzenia, gdyż kochają go i czczą, i skoro tylko sprawozdanie jego o tobie dojdzie do ministra w Stam-bule, ten przycisnie pismo do czoła i po przeczytaniu każde słowo

145 wykona z takim posłuszeństwem, jak gdyby było pisane ręką władcy wszystkich wiernych. To, że jesteśmy w tej chwili twoimi jeficami, nie ujmuje nic naszej chwale, gdyż tylko rozkruszeniu się muru przypisać należy, że leżymy przed tobą w stanie, który tak mało odpowiada naszym stanowiskom i naszym przywilejom. Nie chcę mówić o wa-szym namiestniku w Hilleh, ale kiedy pasza w Bagdadzie dowie się, że byliśmy jeszcze przez jedną chwilę związani po tym, jak wymieni-liśmy nasze nazwiska, runie na ciebie z jego kancelarii burza, której uniknąć radzę ci, bo zjednałeś sobie nasze serca wysoką wartością swych zalet. Teraz wiesz, kim jesteśmy, i według tego powinieneś postępować!

Hadzi mocno przesadził, ale człowiek Wschodu jest do tego przy-zwyczajony, zaś kol agasi miał zanadto wschodnią duszę, ażeby nie przywiązać wagi do uniesiefi Halefa; widziałem, że nie chybiły zamie-rzonego wrażenia. Wzgląd na sprawozdanie do ministra wojny oraz możliwość zatargu z kancelarią paszy w Bagdadzie odniosły pożądany skutek; sprzeciwiał się on jednak jego obowiązkom. Przez chwilę patrzył przed siebie w zamyśleniu; potem, zdając się ważyć jakąś decyzję, podniósł głowę i zapytał mnie:

- Czy jest tak, jak twierdzi szejek Haddedihnów, emirze?

- Tak - odrzekłem bez namysłu.

- A więc uczynię zadość waszym wymaganiom, pod warunkiem jednak, że mi dasz możliwość

późniejszego wytłumaczenia się.

- Jak sobie wyobrażasz tę możliwość?

- Możesz mi jej dostarczyć, pokazując mi odpowiednie dowody.

- Nic łatwiejszego. Wyswobodź mi ręce, a pokażę ci więcej dowo-dów, niż ci potrzeba do swego usprawiedliwienia. Mam w kieszeni firman opatrzony tughrą, podpisem panującego.

- Allah! Doprawdy z tughrą? - zapytał w bałwochwalczym oszo-łomieniu.

- Naturalnie! - odrzekłem tonem, jak gdyby chodziło o rzecz drobnej wagi. 146

- A więc zachowaj to wysokie, cesarskie pismo; nie mógłbym go odczytać przy tym słabym świetle ognia, ale jest tak, jak gdybym je był przeczyt;ał, emirze! Teraz proszę cię o udzielenie mi rady. Podpis padyszacha nakazuje mi zwolnić was, z drugiej strony mam jednak rozkaz odstawienia was do Hilleh. Czy uważasz za możliwe, abym mógł sprostać jednocześnie tym dwom obowiązkom?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Uwolnisz nas, a my jedziemy z tobą do Hilleh.

- Doprawdy?

- Tak, daję ci moje słowo.

- Twoje słowo?

- Tak.

- Przyjmuję to i proszę was, pozwólcie mi osobiście was rozwią-zać!

Na skutek cesarskiego podpisu był pełen tak wysokiego szacunku dla nas, że żaden zwykły żołnierz nie powinien był nas dotknąć. Dlaczego zaniechał przeczytania firmanu, nietrudno było odgadnąć. Po pierwsze nie umiał, prawdopodobnie, wcale czytać, po drugie nie wiedział, jak, według przepisów należy się obchodzić z dokumentem, opatrzonym tughrą. To, że mieliśmy być wolni, wywołało sprzeciw gospodarza i Beduina. Gdy więc kol agasi zdjął z nas sznury, pierwszy zawołał z wściekłością:

- Stój ! Nie masz prawa zwalniać przemytników i zbrodniarzy, nie mając na to upoważnienia. Jeżeli to zrobisz, zaskarżę cię do sądu. Stary żołnierz chciał odpowiedzieć, powstrzymałem go jednak i zwróciłem się sam do gospodarza:

- Zamilknij; bo jeśli zechcę, to w sądzie nie o nas wyrokować będą; lecz ty będziesz oskarżonym. Właściwie, nie powinienem wcale z tobą rozmawiać, chcę jednak z mojej dobrej woli zrobić ci parę uwag. Przemysłnikami nie jesteśmy, to udowodnię. Nie my strzelaliśmy do żołnierzy, to nie ulega wątpliwości, bo jesteśmy bez broni. A więc 147 może tylko chodzić o tych dwóch nieszczęśliwych Beduinów. W tym wypadku oświadczam, że chcieli ukraść nasze konie i tyś był z nimi w zмовie. Gdyby~my na czas nie przybyli, byłiby razem odjechali i nie uj rzelibyśmy nigdy naszych koni. Że jednak nasze zjawienie zapobieg-ło temu, udali, że tylko próbują dosiąść naszych ogierbw. Jedynie przez nienależną im grzeczność i przez niechęć do kłótni, pozwolili-śmy im dosiąść ...

- Ale nie powiedzieliście im, jakie to niebezpieczne! - przerwał mi gospodarz. ‘

- Upadek z konia jest zawsze niebezpieczny. Zresztą, ostrzegali-śmy ich. Szejk Haddedihnów v~ryżnie ich uprzedził, że nie bierze na siebie winy, jeśli złamią karki. Otrzymał odpowiedź, że sami potrafią strzec swych karków, które są ich własnością.

- Ale shejk rzucił koruom słowo Litaht! wskutek czego jeźdźcy spadli.

- Czy możesz to udowodnić?

- Tak.

- Nie!

- Tak! - powtórzył pewnym tonem. - Mogę przysiąc.

- Że shejk rozkazał to koniom?

- Tak.

- Oświadczamy, że shejk podał to słowo nie koniom, lecz jeźdźcom. Widział, że są w niebezpieczefistwie, i zażądał tym okrzy-kiem, aby zsiadli. Nie usłuchali i zostali strąceni. Czy możesz przysiąc, że nie jeźdźców, lecz konie mieliśmy na uwadze? Spojrzał na mnie z wściekłością i nie odpowiedział nic, tak stropiła go moja nieoczekiwana interpretacja. Ciągnąłem dalej:

- Widzisz więc, że mamy słusność i że wina jest po waszej stronie.

Zresztą, nieszczęście miało miejsce w twoim zajeździe i jestem prze-konany, że sąd pociągnie cię przeto do odpowiedzialności. Teraz znasz mój pogląd i jeżeli choć jeszcze jeden argument wytoczysz przeciwko nam, odpowiem ci nie słownie, lecz w zupełnie inny, 148 bardziej dotkliwy sposób!

Jegomośćwściekał się z braku argumentów nie śmiałjednakwsku-tek mojej pogróżki zaoponować, tylko mruknął półgłosem jakieś przekleństwo. Atoli jego towarzysz, Beduin, nie mógł opanować złości i odezwał się zapalczywie:

- Mówisz tak, jakbyś był samym sułtanem! Niech ci się nie zdaje, że się ciebie boję, albo tego, co chcesz zeznać w sądzie. Masz zamiar wskazać na nas, jako na koniokradów. Wzywam cię, abyś udowodnił, że chcieliśmy ukraść wasze konie.
- Jeżeli są konieczne dowody, okażę je przed sądem.
- W takim razie nie chcę nic o was wiedzieć i odchodzę precz. W sądzie zobaczymy się znowu!

Ta ostatnia pogrożka miała zamaskować jego odwrót. Byłem prze-konany, że sprawę swoją uważał za straconą i nie miał zamiaru zaczynać od nowa. Gdy wstał z miejsca, skoczył także gospodarz i rzekł:

- Idę i ja! Nie mam nic do czynienia tam, gdzie zwalnia się przemytników i zbrodniarzy, a obraża uczciwych ludzi. Ale pozostaje tak, jak mówiono! Powtarzam: zobaczymy się w sądzie! Nie zrewidowano nas po schwytaniu, dlatego mogłem wydobyć z zanadru rewolwer.

Skierowałem go na tych dwóch i zagroziłem:

- Sprawa stoi teraz inaczej, niż poprzednio. Przedtem my byliśmy jeficami, teraz wy nimi zostaniecie. Chcecie się oddalić i macie po temu powody, a nam zależy na tym, abyście zostali i postaramy się, żebyście nie mogli odejść wbrew naszej woli.

I zwracając się do kol agasiego, ciągnąłem dalej:

- W imieniu tughry, którą posiadam i której każdy urzędnik i poddany padyszacha musi być posłuszny, rozkazuję ci związać tych dwóch ludzi tak, jak my poprzednio byliśmy związani, a to w celu uniemożliwienia im ucieczki! Spodziewam się, że mojemu żądaniu natychmiast uczynisz zadość!

Stary oficer nie wahał się ani chwili; wydał z miejsca właściwy rozkaz, i tak ci dwaj, którzy spowodowali nasze aresztowanie, zostali skrępowani w ten sam sposób, jak my poprzednio. Tughra czyni cuda:

Jest to na kształt arabeski zapleciony podpis sułtana specjalnym charakterem pisma, noszącym nazwę diwahni. Wielu wyprowadza pochodzenia tughry od Murada I, który akt jakiś zaświadczył odciśnięciem swej ręki. Inni opowiadają to samo o sułtanie Orchanie. Wybitni znawcy utrzymują, że tughra albo thogra zawdzięcza swe powstanie sułtanowi Mohammedowi II, zdobywcy Konstantynopola. Gdy ten w roku 1453 zdobyciem tego miasta zniweczył Wschodniorzymskie Imperium i wkroczywszy do Konstantynopola, wszedł do kościoła Św. Zofii, wówczas, będąc analfabetą, umoczył rękę w atramencie i przycisnął ją do bramy kościelnej na znak posiadania. To była pierwsza tughra, które to słowo pochodzi od starotureckiego turgai i oznacza mniej więcej „postanawia się”. Tughra ujawnia oddalone podobieństwo do rozwartej ręki. Widnieje odbita na tureckich monetach, gdzie zastępuje popiersie władcy, oraz nad wejściem należących do sułtana pałaców i gmachów publicznych, jak meczety, koszary czy szkoły. Na aktach i dekretach jest przez specjalnych urzędników, niszandji zwanych, wystawiona w złocie, w czerwieni lub czerni. Jest rzeczą niezmiernie rzadką, ażeby sułtan raczył sygnować własnoręcznym podpisem przedłożony mu dokument. Proszący o to musi cieszyć się największą łaską albo muszą złożyć się na to okoliczności, które tylko znawca miejscowych stosunków wykorzystać potrafi. Może się bowiem zdarzyć, że bardzo niski urzędnik na drodze osobiście jemu dostępnej osiąga więcej, niż szejk ul Islam, albo wielki wezyr. Tak więc mogę powiedzieć teraz, gdy sojusznik mój w tej sprawie już nie żyje, że wszystkie moje tureckie papiery zdobywałem za pośrednictwem pewnego urzędnika, którego stanowisko u nas, na Zachodzie, zaliczałoby się do najniższych. Był to mój przyjaciel Mustapha Moharemm Aga, który przez pięćdziesiąt lat był odźwiernym przy Wysokiej Porcie. Odźwierny jest to przecież najniższa ranga, zawołają niektórzy, ale wpływ jego sięgał do najskrytszych tajników pałacowych. Cieszył się wielkim zaufaniem, wprost bezprzykładną przychylnością i utarła się niemal święta konieczność zaspakajania jego zawsze rozważnych i w szczególny sposób wyrażanych życzeń. Podczas jego długiego i wyłącznego w tym zakresie urzędowania przewinęto się przez Wysoką Portę mnóstwo wielkich, sławnych, wpływowych mężów i zniknęło bez śladu. Mustapha Moharemm Aga pozostawał zaś na swym stanowisku, aż nie odwołała go śmierć. Udzielenie komuś audiencji zależało jedynie od niego; wystarczyło krótkie jego skinienie, a petent był przyjmowany, albo musiał rezygnować ze swych zachodów, nawet gdy był wybitną osobistością. Miałem sposobność zjednania sobie życzliwości tego człowieka, dzięki mojej przedniej tabace i życzliwość tę dochował mi aż do kofica życia. Nie nadużywałem jej nigdy, nigdy żadnej prośby nie wyrażałem i dlatego właśnie uzyskiwałem zawsze papiery z własnoręczną tughrą panującego. Oczywiście, nie przychodziło mi na myśl zapytać go, w jaki sposób zdobywał bezpośrednio podpisy, gdy jednakże po raz pierwszy przeczytał to pytanie w moich oczach, rzekł uśmiechnięty:

-Kismetmegheogrenmejen e~'endilikdahi etmez. Kto nie potrafi zjednać sługi, ten nie potrafi zjednać pana.

Rzecz oczywista, że glejt z własnoręczną tughrą wywiera przy okazaniu zgoła inny wpływ, niż zwykły wystawiony w urzędzie; spostrzegłem to niejednokrotnie. Przykładem, ta głęboka część, jaką w kol agasim wywotała sama tylko wzmianka o tughne.

Gospodarz miał na tyle rozsądku, żeby zachować się spokojnie, kiedy go krępowano. Natomiast Beduin lamentował nad niezasłużonym i niegodnym traktowaniem wolnego człowieka. Chorąży mógł, oczywiście, nakazać mu milczenie, ale tym razem wy~ęczył go Halef. Dla niego, przy jego temperamencie, było rzeczą niemożliwą słuchać podobny~h bredni, wyciągnął zza pasa swój korbacz, przystąpił do klnącego Beduina i zaczął:

- Kim się mienisz? Wolnym człowiekiem? Czy nie widzisz, że

151 jesteś związany? Czy związany jest wolny? Gdzie masz rozum? Nie miałeś go raczej nigdy, bo gdyby chociaż jakiś ślad rozumu pokutował w twojej głowie, byłbyś się wystrzegął otworzenia drzwi twoich niechluj~nych ust. Mój effendi już ci powiedział, co o tobie myśli; ja co nieco dodam, co twą całą zarozumiałość od razu obróci wniwecz. Podaliście się wobec nas za Solaibów, a okazuje się, że należycie do Ghasai. Po co to oszukaństwo, to kłamstwo? Wolny, uczciwy Arab nigdy nie zaprze się swego szczepu. Raczej umrę, nim zaprę się mojej przynależności do Haddedińców. I te usta, które nas okłamały, chcą niby wielką, szeroko otwartą gębą nas połknąć! Zamknij ją i trzymaj na zamku, inaczej wyrwę ci moją pogardę tym knutem tak głęboko na twarzy, że byle kto, póki żyć będziesz, od razu pozna, że jesteś łajdakiem! Nie waz się więc ust otwierać!

Mocno podniecony, podniósł bicz do smagnięcia, ale Beduin mil~czał. Groźba Hadżiego odniosła skutek.

Potem gdy tak smutne dla nas okoliczności wyjaśniły się w sposób pomyślny, nasunęła się kwestia naszego powrotu do miasta. Przedło~żyłem ją kol agasiemu, który odpowiedział:

- Jeżeli chcesz wyruszymy natychmiast, emirze. Możemy nie czekać świtu, bo drogę znamy dobrze.

- Wołałbyrt~, żebyśmy poczekali.

- Dlaczego?

- Z powodu przemytników.

- Nic mnie nie obchodzi. Słyszałeś przecież, że jest obrazą dla starego, godnie zasłużonego żołnierza tropienie przemytników.

- Słyszałem to i nie wymagam od ciebie, abyś ścigał tych ludzi, nieplacących cła. Możesz mi jednak wyświadczyć przysługę .

- W jaki sposób?
- Musimy wytropić ich ślady, co teraz w nocy jest niepodobieństwem.
- W jakim celu?
- Ażeby ustalić naszą niewinność.

- Allah! Mówisz zagadkami. Co mają wspólnego ślady tych ludzi z waszą niewinnością?
- Chodzi o wyjaśnienie tego, że do nich nie należymy. Odnajdzie-my ślady nasze i ich. Skoro porównasz je, posiadasz wszak doświadczenie i bystrość, przekonasz się, że nie szliśmy razem i będziesz mógł stanąć w sądzie jako nasz świadek, za co będę ci ogromnie wdzięczny. Ściślej mówiąc, mniej zależało mi na jego świadectwie, niż na przekonaniu się, czy ślady prowadzą do wspomnianej kryjówki. Stary pokiwał głową i zapytał:
- Czy w twoim sprawozdaniu do ministra zaznaczysz o moim doświadczeniu?
- Oczywiście!
- Więc zostajemy i czekamy świtu. Ale czy możecie swe konie zostawiać tak długo bez nadzoru?
- Tak. Są radzi pacl~ czystej krwi i raczej padną, nim swe miejsce opuszczą. Musimy także ze względu na śtady pozostać na miejscu, bo, jeśli w ciemności będziemy po nich jechali, to jutro nie zdołamy ich rozeznać.
- Odczytywanie śladów jest wysoce interesujące, ale też nielada kunszt stanowi. Czy tą nauką zajmują się w twojej ojczyźnie, w Frankistanie?
- Nie. Poznałem ją gdzie indziej.
- Sprawci ci na pewno przyjemność, jeśli się dowiesz, że znam dokładnie Frankistan.
- Ach! Czy znasz go istotnie?
- Bardzo dokładnie, jak rzekłem. Nazywa się także Frankonią.

Czy mam rację?

- Tak.
- Leży między górą Trypolis a Australią. W środku znajduje się wielkie morze Holandia, a wzdłuż granic biegną rzeki Szwajcaria, Londyn, Mołdawia i Chiny. Na północy stoi góra Genua, a na połud-nie od niej góra Dania. Jak widzisz emirze, znam bardzo dobrze twą 153 ojczyznę?
- Tak, bardzo dokładnie - odparłem jak najpoważniej.

Dumny ze swego geograficznego triumfu, rzucił dokoła siebie pełne godności spojrzenie i ciągnął

dalej:

- Ta wiedza pochodzi stąd, że w chwilach wolnych od służby zajmowałem się chętnie geografią. Mieszkańcy Frankistanu są bardzo ruchliwymi wędrowcami; mieszkają w zielonych lub niebieskich namiotach, które przenoszą wszędzie; posługują się wielbłędami, które, jak nasze, mają jeden, a często dwa garby. Ich daktyle nie są tak smaczne, jak te, które my spożywamy, za to jednak kozy hodują się u nich lepiej, niż u nas. Ich przywódcy płacą sułtanowi Sambułu roczną daninę, składającą się z dywanów i pantofli haremowych, za co otrzymują pozwolenie nabywania wiedzy życiowej w szkołach. Są wiernymi i żarliwymi wyznawcami proroka; spotyka się ich w każdej pielgrzymce z Koranem w ręku, zaś Mekka i Medyna są dla nich najświętszymi miastami na świecie. Przyznasz mi, emirze, że ten mój opis zgadza się z prawdą.

Co miałem odpowiedzieć? Nie chciałem mu sprawiać przykrości, nie mogłem zaś potwierdzić głupstw, jakie przytoczył. Wtem Halef wybawił mnie z kłopotu. Wszak nie był Tarkiem, lecz Beduinem i to urodzonym w Zachodniej Saharze, przy czym nie uważał za swój obowiązek czołobitności wobec władcy z Konstantynopola. Nato miast z miłości dla mnie miał szczególną sympatię dla mojej ojczyzny. Jego wiadomości w tym zakresie były nie mniej wątpliwej natury, gdyż to, co opowiadałem mu o swoim kraju, zapominał bardzo szybko; również nie mógł sobie wyobrazić Zachodu w innej postaci, jak orientalnej, tak, że to, co zdarzyło mu się czasami mówić o jakimś europejskim kraju czy narodzie, budziło najczęściej wesołość. Ale w każdym razie był w tym względnie biegły od kol agasiego. Osobliwie rozdrażniła go wzmianka o daninie. To było poniżeniem mojej nacji, obrazą, której on nie mógł ścierpieć. Dlatego nie czekał na moją odpowiedź, lecz odezwał się bardzo wzburzony:

-Jak to? Sądzisz, że dałeś prawdziwy opis? Muszę ci powiedzieć, że to twoje pojęcie jest ponad wszelkie pojęcie niepojęte, i że nigdy jeszcze nie słyszałem prawdy, która w prawdzie zawiera tyle niepra-wdy, co twoja!

- Jak to? - zapytał stary zdziwiony. - Mówisz to mnie, ktbry jestem tak obeznany w geografii! I mówisz to w sposób; ktbry jest tak bardzo daleki od uprzejmości, należnej oficerom panującego!

- To, co wygłosiłeś o Frankistanie, mówiłeś nie jako oficer, ale jako geograf, a kiedy geograf jest w błędzie, mój szacunek dla prawdy nie pozwala mi przyznać mu racji jedynie z uprzejmości. Zresztą, ty sam byłeś o wiele bardziej nieuprzejmy ode mnie.

- Ja? Czym i wobec kogo?

- Wobec mego emira Kara Ben Nemzi effendi. Przyjrzyj mu się dobrze! Czy wygląda na takiego, którego naród dywany i pantofle dostarcza do waszych haremów? Powiadam ci, mieszkańcy Frankista-nu nie darują pantofli nawet swoim żonom, a tym mniej obcym kobietom! I jeżeli sądzisz, że posyłają wam dywany, to mylisz się znowu, gdyż wcale nie mają dywanów. A największy twój błąd tkwi w daninie, o której wspomniałeś. Lud Frankistanu składa się z bohaterów, z samych niepokonanych bohaterów, którzy nie boją się piekła, ani diabła. Gdyby turecki sułtan odważył się wojować z nimi, byłiby go po prostu załadowali do swojej największej armaty i wystrzelili z powrotem do Stambułu. Istnieje u nich nienaruszalne prawo surowo zabraniające płacić daninę cudzoziemskim władcom. Odwrotnie, to cudzoziemscy władcy płacą podatki ich sułtanowi. Wiem na przykład, bardzo dokładnie, że wielkorządcy Maroka, Suez, Gibraltaru i Eu-ropy są obowiązani płacić mu haracz, gdyż zwyciężył ich wszystkich, a w ostatniej wojnie pokonał nawet narody Brazylii, Syberii i Prus. Jest więc obrazą dla mego effendi, gdy się twierdzi, jakoby jego naród płacił daninę, podczas gdy, przeciwnie, otrzymuje daninę od innych. Równie fałszywe jest to, co opowiadasz o pielgrzymkach do Mekki i Medyny. Nie spotkasz tam nigdy mieszkańcw Frankistanu, bo nie są 155 żadnymi muzułmanami, lecz chrześcijanami. Wielbłądy mają tam nie tylko jeden lub dwa garby, ale trzy i nawet cztery, a daktyle są tak wielkie i ciężkie, jak u was dynie. W ich rzekach żyją ryby, zwane rekinami, które nie widzą własnego ogona, bo od niego aż do głowy trzeba jechać galopem pół dnia ... Lndy Frankistanu podrbżują z miasta do miasta na żelaznych ulicach, w wagonach ciągnionych przez konie, ziejące ogniem, posiadające stalowe członki i karmione płoną-cym węglem!

Kol agasi siedział z rozdziawionymi w zdumieniu ustami i patrzył niemo na mówiącego. Był w stanie kompletnego oszołomienia. To samo działo się z jego ludźmi.

- No i co powiesz teraz? - ciągnął Halef. - W twojej geografii nie ma nic o tym, że Frankowie

posiadają takie ogniste konie i że nie są muzułmanami?

- Czy ... czy ... kofi, którego ... którego emir ma ze sobą, jest też karmiony węglem? - zapytał podoficer, ledwo odzyskując mowę.

- Nie, tego konia możesz się nie obawiać.

- I ... I czy doprawdy nie jest wyznawcą proroka, lecz chrześcija-nimem?

- Jest chrześcijaninem, a więc bardzo zacnym człowiekiem.

- Wybacz, szejku Haddedihnow, że wyrażę myśl, która może wydać się zdrożną. Nazywasz go zacnym człowiekiem, ale czy jest to mądre z jego strony, że jako chrześcijanin bada tejsze okolice?

- Czemuż miałyby to być niemądre.

- Dlatego, że są to sławione okolice, któredy przejeżdżają kara-wany szyitów. Pobyt tutaj, nawet przez godzinę, jest ogromnie dla niego niebezpieczny, gdyż skoro tylko szyici dostrzegą chrześcijanina w pobliżu swych świętych miejsc, czeka go zguba niechybna. Czy nie wiedzieliście o tym?

- Wiedzieliśmy, atoli my nigdy nie znaleźliśmy tego, co inni ludzie nazywają strachem. Idziemy tam, gdzie nam się podoba i zostajemy tak długo, jak chcemy. Przybyliśmy tutaj po to, żeby odwiedzić Birs

Nimrud i ani nam przez myśl nie przeszło, czy to niebezpieczne, czy nie. Nie troszczymy się o nasze bezpieczeństwo i jeśli spotkamy szyitów, którzy odkryją, że emir jest chrześcijaninem, to w tej samej chwili pojmą, że najrozsądniej dla nich jest wystrzegać się naszego gniewu. Powiadam ci, lituj się nad tym, kto ma za wrogów najwyższego szejka Haddedińów, albo sławnego i niezwycięzonego emira Kara Ben Nemzi effendi. Musisz wiedzieć, że posiadamy chrześcijańską broń, z której można strzelać bez kofica; nie ładując. I w ogóle różnimy się od innych ludzi: myślimy, mówimy i postępujemy inaczej, niż inni; będziemy ... krótko mówiąc, dopóki jesteście z nami, dopóty możecie być pewni swego bezpieczeństwa. I gdyby w tej chwili opadło nas stu szyitów, nie zlekibyśmy się, lecz bylibyśmy się załatwili z nimi, jak należy.

- Jak bronili byście się, skoro nie macie przy sobie swych karabi-nów?

- Czy tylko przy pomocy karabinów można się bronić? Powiadam ci, istnieje jeszcze inny rodzaj broni i można się pozbyć napastników nie tylko przy pomocy prochu i otowiu. Kto ma zimną krew, spryt i odwagę, przewyższa każdego wroga, któremu brak tych zdolności; przekonaliśmy się o tym nieraz i żeby ci to udowodnić, chciałbym poniekąd, aby naraz przybył tutaj zastęp szyitów i sprowokował nas do walki.

- Allah, chrofi nas! Jestem dzielnym żołnierzem, ale ci ludzie, którzy czczą bardziej Alego i jego synów, niż samego proroka, to nie są uczciwi wojownicy. Ja zwykłem wychodzić na wroga z otwartą przyłbicą, ale ci wolą napaść zza węgła. Jeżeli mam polec na polu walki, to niech się to przynajmniej nie stajie od kuli, wystrzelonej z tyłu podłą ręką. Czy doprawdy przybyliście tu jedynie z zamiarem zwiedzenia Birs Nimrudu?

- Tak.

- Nie wymagam od was, byście mi powiedzieli więcej, niż chcecie, ale nie mogę uwierzyć w to, że się wyrusza w tak długą i niebezpieczną

157 drogę jedynie w celu obejrzenia kupy zwalisk i gruzów. Pozwólcie, że wydam rozporządzenie na noc, bo jeżeli zamierzamy wyjechać do Hilleh nad ranem, musimy przecież trochę pospać! Należał do tej licznej kategorii ludzi, którzy nie rozumieją, że można coś przedsięwziąć nie w zwykłych, wyłącznie materialnych celach. Prawdopodobnie, mimo wszystko cośmy powiedzieli i wyjaś-nili, jeszcze podejrzewał nas o stosunki z przemytnikami. Porozstawiał warty, które miały również pilnować uwięzionych i zawinał się w płaszcz, dając tym przykład podwładnym.

Halef rozciągnął się również i zapytał szeptem:

- Czy nie sądzisz, sidi, że jest wskazane, abyśmy na zmianę czu-wali?

- Nie - odrzekłem. - Stary kol agasi postępuje uczciwie. Bę-dziemy mogli bardzo dobrze spać bez naszych koców, bo nie jest dzisiaj zimno. Dobrej nocy!

- Dobrej nocy życzę i ja tobie, chociaż wiem, że nie doznam spokoju. Odór trupów tkwi jeszcze tak mocno w moim nosie, że śmierć uciekłaby dzisiaj ode mnie, nie tylko sen; śpij więc tym moc-niej!

Życzenie jego spełniło się. Spałem smacznie i dopóty, aż mnie Halef nie zbudził. Zapewniał mnie, że nie zmrużył oka, gdyż dotych-czas dolegała mu boleść jego nosa. Żołnierze spożyli krótkie i skrom-ne śniadanie i dosiedli koni, aby udać się wraz z nami do schronienia naszych wierzchowców. Pocziwe zwierzęta powitały nas radosnym rżeniem; stęskniły się za nami, ale nie usiłowały porzuci~ swych miejsc. Gdyśmy je sprowadzili z nasypu, kol agasi zawołał z podzi-wem:

- Ale to są doprawdy radzi pack! Równych im nie posiada sam pasza Bagdadu i rozumiem teraz bardzo dobrze, że inni mogli mieć na nie chętkę. Takie konie są dla złodzieji pokusą, której trudno się oprzeć. Jakże zamożni jesteście! Strzeżcie się, bo rueraz jeszcze ze-158 chcą wam je uprowadzić!

Jeżeli był zachwycony ogierami, to w tym samym stopniu intrygo-wała go nasza brofi. Dałem mu do ręki moją niedźwiedziówkę; nie obliczył się z jej ciężarem, chociaż mógł mu podołać i upuścił brofi na ziemię.

- Allah! - zawołał.—Toć to nie jest karabin, a raczej armata, podwójna armata! Jak daleko sięgasz z tej straszliwej strzelby?

- Tak daleko, jak żadna kula nieprzyjaciela, - odrzekł Halef. - Kule tej dubeltówki sięgają tak daleko, jak tylko chcemy, a często nawet dalej, o wiele dalej. A przyjrzyj się także tej oto małej czaro-dziejskiej broni! Strzela bez ustanku, ciągle, od dzisiaj aż do kofica roku, skoro zechcemy, a nawet parę miesięcy dłużej. Spbjrz! Hadzi wziął ode mnie sztucer, aby go podać kol agasiemu, ale ten odzegnał się obydwoma rękoma i zawołał:

- Nie, nie, dziękuję ci, szejku Haddedihnów! Jestem wierzącym wyznawcą proroka, i nie mam prawa dotykać ręką zaczarowanych broni. Allah niech mnie uchroni i ustrzeże przed diabłem i jego złymi duchmi, które zsyłają takie wiecznie strzelające karabiny! Nie dotknę ich; wierzę i tak, że mają te właściwości, o których mówisz. Wiem, że istnieją potęgi i siły nie z tego świata, które można ujarzmić, ale nie chcę mieć z nimi nic wspólnego!

Hale uśmiechał się zadowolony. Osiągnął swój cel i zwrócił mi brofi.

Teraz wypadło zająć się śladami. Chciałem, jak się rzekło, wybadać, w jakim kierunku przemytnicy wywieźli swój szafran. Prawie całą noc trwali na miejscu i krótko przed świtem zawrócili do kanału,

bowiem dostrzegłem na wodzie ich łódki; wiosłowali na północ, czyli tam, skąd wczoraj przybyli. Stwierdziłem to; nic nie mówiąc staremu kol aga-siemu. Jednakże zwróciłem na to uwagę Hadżiego ukradkowym mrugnięciem. Następnie skierowałem oficera na ślady, które odcisnęliśmy poprzedniego dnia, potem na biegnące od kanału koleiny przemytników, głęboko wyciśnięte, gdyż ludzie byli ciężko obciążeni.

Powróciwszy do naszych śladów i dążąc za nimi do ognisk, wyjaśniłem mu wszystko, czego sam nie mógł wywnioskować i podkreśliłem tę okoliczność, że nasze ślady schodziły się ze śladami przemytników w tym miejscu dopiero, gdzie zostaliśmy ujęci, z czego wynikało, że z nimi nie mogliśmy być w zмовie.

- Rozumiem to wszystko bardzo dobrze, emirze, - rzekł. - Możesz być przekonany, że wierzę każdemu twojemu słowu. Wykaż mi, że przemytnicy są wam absolutnie obcy i że nie przypuszcza-liście nawet możliwości ich nadejścia. Jeżeli sobie życzysz, będę tak zeznawał w sądzie.

- Proszę cię o to bardzo.

- Powinieneś tego żądać, a nie prosić; bo chcesz zdać z tego sprawę ministrowi. Jeżeli przedtem wątpiłbym o twoich wpływach, to zwałpienie to zniknęłoby zupełnie teraz, gdy widzę cię, siedzącego na koniu. Kto posiada takiego konia i jeździ na nim tak, jak ty, ten ma dane na to, aby być samemu ministrem wojny.

Na tę pochwałę omal niewybuchnąłem śmiechem. Mój mały Hadzi nie zbył tego milczeniem i przemówił gwałtownie:

- Ministrem? Mój effendi? Ani myśli o tym, nawet we śnie!

Dlaczego? - zapytał kol agasi, zdziwiony.

- Bo nie chce.

- Ale minister wojny jest przecież panem, najwyższym dostojni-kiem armii padyszacha!

- Ale jak długo? Przy całej swej godności jest sługą panującego, który może go w każdej chwili odwołać, wygnać i nawet, dla jakichś powodów, skazać na śmierć. Nie zamienimy się z nim, nie zabiegamy o jego stanowisko. Jesteśmy lepsi od niego, bo stoimy wyżej. Ja jestem panem i władcą swoich Haddediń. Kto mnie może obalić? ... A mój effendi jest też panem samego siebie, a nie księcia żadnego niewolnikiem; żaden sułtan, żaden szachinszach, żaden cesarz, żaden król nie może mu zabrać tego, czym jest i co posiada. Nie, nie mamy żadnej ochoty zostać ministrami, ani on, ani ja!

Podążaliśmy dalej za śladami przemytników, od ognisk w kierunku południowym, aż do miejsca, gdzie od ruin skręcały na prawo w szczerze pole. Laikowi mogłoby się wydawać, że przemytnicy posuwali się ciągle naprzód w obranym kierunku. Ja j ednak widziałem wyraźnie tam, gdzie ich ślady wyraźnie odchyłały się od rumowisk, ślady posto-ju. Skierowałem się później w górę do miejsca, o którym mówił binbasi z Bagdadu. Przenieśli tam szmugiel, zeszli znów na dół i potem dopiero wyjechali na wolną przestrzeffi. Ta okólna droga była dla nich konieczna, bo w przeciwnym razie byliby się natknęli na żołnierzy, których ognisko musieli, oczywiście, dostrzec. Chorąży nie dowiedział się niczego z tych moich wywodów. Wróciliśmy wzdłuż naszych własnych śladów, i ruszyliśmy w drogę do miasta. Gospodarz i Beduin, którzy sprowadzili żołnierzy, ażeby nas zaareztować, nie przypuszczali wówczas, że powrotną drogę oni sami odbędą jako jeficy. Nie byli już związani, ale ich konie prowadzono za cugle, prócz tego Halef jechał za nimi i nie spuszczał ich z oka. Ja zaś jechałem obok kol agasiego, który przewodził całemy oddziałowi. Teraz dowiedziałem się, czemu oficer nie chciał wierzyć, że przy-byliśmy jedynie w celu obejrzenia wieży. Po upływie niezbyt długiego czasu, kiedyśmy milcząc jechali obok siebie, postawił mi pytanie, brzmiące nieco dziwnie:

- Czy to istotnie prawda, emirze, że jesteś chrześcijaninem?

- Tak, to prwada.

- A więc powiedz mi: czy i u chrześcijan istnieją przemytnicy?

- Niestety, tak.

- Mówisz, Niestety, zdaje się więc, że uważasz przemytnictwo za występpek?

- Wszystko, co prawo zakazuje, jest z punktu widzenia tego prawa przestępstwem.

- Ależ dlaczego ja, Turek, mam za szafran, który w Persji jest o wiele tafszy, niż u nas, płaci~wygórowaną cenę z tego j edynie wzglę-du, że wielkorządcy podobało się obłożyć ten korzeń cłem?

6 - w lo~a~ Bab~onu 161

- Nie jestem wielkorządcą, proszę cię więc, przedłóż to pytanie nie mnie, lecz jemu.
- Emirze, powiedz mi otwarcie, czy mogą być chrześcijanie, którzy także poza granicami swej ojczyzny zajmowałiby się szmuglem?
- Uważam to za możliwe.
- Tak więc myśl, która powstała w mej głowie, nie jest znów tak niedorzeczna.
- Jakaż to myśl?
- Miałem cię za przywódcę przemytników.
- Ach! Doprawdy?
- Tak. Myślałem, że jedynie to, żeśmy cię zaskoczyli i ujęli, przeszkodziło ci uciec z nimi.
- Mam nadzieję, że jesteś teraz innego zdania?
- Zupełnie innego. Ale ja nie należę do psów celnych, których szczuje się na przemytników i nie byłbym ci zrobił nic złego, gdybyś do nich naprawdę należał. To chciałem ci powiedzieć, abyś się prze-konał, że jestem tylko żołnierzem i niczym więcej. Zrozumiałem go lepiej, niż przypuszczał. Ciągłe jeszcze nie miał pewności, że przemytnicy mnie nic nie obchodzą i gdybym na tym nawet został przyłapany, stary oficer byłby za dobrą łapówkę chętnie przemilczał o tym w Hilleh. To był ukryty sens jego słów, nad którym, szczęśliwie, nie potrzebowałem się zastanawiać. Jego zeznanie co do mnie w sądzie było dla mnie pewne bez napiwku, bo zjednałem sobie jego przyjaźń obietnicą pochlebnego sprawozdania. Zresztą, muszę dodać, że bynajmniej nie łudziłem go tą obietnicą, gdyż doprawdy miałem zamiar przysłużyć mu się przy pierwszej okazji. Przysługą nie byłoby sprawozdanie do ministra wojny. Można było o wiele więcej wskórać u jakiegoś bliższego przełożonego, niż u tego wysokiego dostojnika, dla którego jakiś kol agasi, służący w dalekim Hilleh, byłby, prawdopodobnie, wysoce obojętny.

Nasza dalsza rozmowa toczyła się dokoła drobiazgów. Ale sposób, w jaki się zachowywał, ton jego pytań i odpowiedzi dowodził, że 162 wywarliśmy na nim wrażenie. Był pełen szacunku i uprzejmości. Okoliczność, że byłem chrześcijaninem, zdawała się nie szkodzić mi w jego oczach, do tej kwestii nie wracał już więcej. W Hilleh zajechaliśmy najpierw przed dom gospodarza.

-Stosownie do mego zobowiązania odstawiłem was z powrotem

- rzekł kol agasi do niego. - Możecie wejść do domu. Ale przed drzwiami postawię posterunek, który będzie bronił wyjścia, aż do chwili wezwania was do sądu, gdzie będziecie musieli

skargę przedło-żyć i swoją rację udowodnić. Zwracam wam uwagę na to, że jesteście nadal więźniami i powinniście zrezygnować z wszelkiej próby odda-lenia się wbrew mojej woli!

Oni uwięzieni, a my wolni! To gniewało ich niezmiernie; jednakże poszli po rozum do głowy i nie odparli nic. Postawiwszy posterunek, pojechaliśmy dalej do tak zwanej Makarri ikamet, rezydencji namie-stnika.

Na dziedzińcu rezydencji i kol agasi zakomenderował, abyśmy zsiadli z koni. Nie trzeba było dużo domyślności, żeby zgadnąć motywy tej komendy i zdać sobie sprawę z naszego położenia. Jednakże nie chciałem uzależnić naszego zachowania od zewnętrznych okoliczno-ści, lecz jedynie od naszej własnej woli. Dlatego zapytałem, spokojnie pozostając na siodle:

- Po co zsiadać?

- Nie zostaje przecież w siodle, kto dotarł do celu.

- Hm! ... Możemy się zatrzymać, nie zsiadając.

- Przecież was eskortuję!

- Możesz to robić, zostawiając nas w siodłach.

- Ależ, emirze, nie możecie przecież konno wleźć do więzienia!

- Ach! A więc do więzienia?

- Naturalnie! Jesteście aresztowani.

- Nic o tym nie wiem!

- Aresztowałem was i jedynie dlatego wyswobodziłem was z po-wrozów, że obiecaliście jechać ze mną dobrowolnie. Ale teraz muszę was sprowadzić do więzienia.

- Ty? Sądzę, że jesteś żołnierzem, a nie pospolitym klawiszem, który dogląda zbrodniarzy.

- Nie radziłbym nikomu uważać mnie za jednego z tych zbirów!

Jestem żołnierzem władcy wszystkich wiernych, a nie dozorcą wię-ziennym!

- A więc pomstuj na siebie samego! Bo przed chwilą wyraziłeś chęć podjęcia obowiązku „takiego zbira”. Niestety, będę zmuszony wspomnieć o tym w sprawozdaniu do ministra!

-Allah, Wallah, Tallah! Możesz tego zaniechać, gdyż nie zrobię tego, pod warunkiem, że

spełnisz pewną prośbę.

- Spełnię ją w miarę możliwości.

- Możesz.

- A więc powiedz.

- Pójdę teraz do namiestnika i zamelduję mu, że was przywiozłem i oddaję do jego dyspozycji. Przez ten czas nie usiłujcie opuścić dziedzińca. Co się potem stanie, to mnie już nie obchodzi. Czy zgadzacie się?

- Jeżeli mi odpowiesz na parę pytań.

- Jakie?

- Jak się nazywasz?

- Amuhd Mahuli

- Muszę o tym wiedzieć, aby przytoczyć twoje nazwisko w sprawozdaniu, a wątpię, czy będę jeszcze miał sposobność mówienia z tobą. Znasz dobrze rozkład tego budynku?

- Tak.

- W jakiej części mieszka namiestnik?

- Wprost przed tobą. Tam znajdują się także lokale jego urzędników.

- Gdzie jest więzienie?

- Prosto i na prawo, tam gdzie widzisz te małe otwory w murze.

- Dziękuję! To nie są mieszkania dla nas. Z tamtej strony dzie-

164 dziedziniec jest ogrodzony murem. Co znajduje się poza nim?

- Ulica.

- Jak szeroka?

- Może się na niej zmieścić w poprzek pięć, albo sześć osób.

Czemu pytasz o to?

- Bo zwykliśmy z ostrożności dowiadywać się uprzednio, czy można i warto narażać karki.
- Karki? Nie rozumiem!
- Tym lepiej. Słuchaj, co mówię! Czekamy na ciebie akurat dzie-sięć minut. Tyle czasu wystarczy, żeby złożyć meldunek namiestniko-wi. Jeżeli po tym czasie nie stawisz się, odjeżdżamy stąd.
- Czy mogę polegać na tej obietnicy?
- Nie łamię nigdy słowa.
- Zatem idę, bo ufam ci. Nie będziecie czekali nawet dziesięciu minut, bo wrócę wcześniej !

Odszedł, gdy ja uśmiechałem się na my~l, że uważał za konieczne wziąć ode mnie słowo. Jego ludzie byli obecni. Dlaczego nie polecił im baczyć na nas i przeszkodzić wszelkiej próbie ucieczki? Wrażenie, jakie na nim wywarliśmy, zdawało się być lepsze, niż przypuszczałem. Nie wierzył, aby pomimo liczebnej przewagi mogli nas powstrzymać i miał rację!

Budynek składał się, jak wszystkie domy miasta, z cegieł, sprowa-dzonych z rumowisk dawnego, wielkiego Babilonu; wyglądał brudno i niepozornie. Dziedziniec nie był wielki, pozwalał jednak na swobodę ruchów, która mogła później okazać się konieczną. Mur, o którym mowa, był wysokości ludzkiego wzrostu, ale w pewnych miejscach; gdzie górne warstwy cegieł były wyszczerbione, obniżał się tak, że nie byłoby zuchwalstwem przesadzić go w galopie. O to mi chodziło, gdy pytałem się, co leżało po drugiej stronie. Właściwie, powinienem był stracić spokój. Chrześcijanin ujęty w Hilleh, w ośrodku szyitów, posądzony o zabójstwo człowieka i pogru-chotanie innego, a może i o przemytnictwo, to były poważne powody 165 do obaw! Już to samo, że jestem chrześcijaninem, było wysoce dla mnie niebezpieczne.

Ajednak spoglądałem w przyszłość z największym spokojem; kiedy rzuciłem okiem na Halefa, ten uśmiechnął się do mnie z zaufaniem i zapytał:

- Czy masz już jakiś plan, sisi?
- Nie - odrzekłem w jego dialekcie, aby nie zrozumieli mnie żołnierze. - Musiałbym wiedzieć z góry, jaki obrót sprawa przybie-rze; a że nie mam pojęcia, nie pozostaje nam nic innego, tylko spokojnie czekać.
- Ale możesz mi powiedzieć, jak w razie czego mamy się zacho-wać?
- Tak. Nie będę się wypierał tego, że jestem chrześcijaninem, przynajmniej tutaj; winienem to sobie samemu i mojej religii; ty powinieneś wzorować się na mnie. Przypuszczam, że będziemy mu-sieli przesadzić mur. Leżąca za nim uliczka nie jest szeroka i ażeby. nie najechać na jej przeciwny mur, należy kierować konia na ukos i z prawa na lewo tak, aby po skoku znaleźć się twarzą na północ. Musisz to sobie zapamiętać, żebyśmy się nie zderzyli i żebyś nic nie

przeoczył.

-Allah! Czy jestem ślepy, sidi? Czy sądzisz, że mógłbyś przesadzić mur i z tamtej strony znaleźć się plecami do mnie?

- Nie; ale warto było tę sprawę omówić.

- Przypuszczasz więc, że wcale nie zsiądziemy?

- Będziemy, prawdopodobnie, musieli zsiąść z koni, ale do budynku nie wchodzimy w żadnym razie i od koni nie oddalamy się ani na chwilę. Trzymamy cugle zawsze w ręku.

- Przecież jesteśmy oskarżeni. Zechcą nas przesłuchać, a nie możemy z kofimi wejść do wnętrza ... Ach, nie chcesz wcale wchodzić do sądu?

- Nie. Kto chce nas przesłuchać, musi wyjść do nas.

- Musi wyjść, musi! Czy chce, czy nie chce! O, sidi, kochany sidi, jakże się cieszę! Jest to jeszcze jeden przypadek, jeszcze jedna spo-

166 sobność okazania tego, że zwykliśmy robić tylko to, co nam się podoba. Jestem ciekaw, niezwykle ciekaw, co z tego wszystkiego wyniknie. Być może, dojdzie do tego, że zrobimy użytek z broni!

- I na to musimy być przygotowani, chociaż nie życzę sobie tego.

Nie wolno nam dopuścić do ataku na nas, bo jeżeli to się stanie, mamy grę na pół przegraną. Jeżeli opadną nas liczebną przewagą, tak że nie starczy nam miejsca na obronę, ulegniemy. Czy widzisz tam, koło bramy, tę masę ludzi? Wieś~ o wczorajszym wypadku rozeszła się po mieście; wiedzą już, że nas sprowadzono i oto zbiegają się ciekawi gapie.

-Możemy im już powiedzieć: odjeżdżamy stąd i wyśmiewamy całe Hilleh.

- Nie bądź taki pewny! Nie jest wykluczone, że sprawa przybierze inny, o wiele gorszy obrót. Patrz, zapowiada się rozstrzygnięcie: nad-chodzą!

Ujrzeliśmy w drzwiach kol agasiego, a za nim całą czeredę osób. Tuż koło niego szedł oficer w mundurze pułkownika, który przypadkowo znajdował się u namiestnika. Za nimi słudzy dźwigali fotel i wiele poduszek, potem ukazali się urzędnicy sądu, jeden z nich niósł olbrzymi kałamarz, pióro i papier. Był to protokolant, z czego wywnioskowaliśmy, że przesłuchanie odbędzie się natychmiast na dzie-dzificu i to w sposób szczególny, ale dla nas wysoce pochleb~. Domyśliliśmy się później z pewnych uwag, że był to w ogóle dziefi publicznego sądu, a ponieważ nasza sprawa była wyjątkowo

jaskrawa, namiestnik postanowił rozpatrzyć ją w pierwszym rzędzie i nie doku-czając nam długim procederem skazać nas na tym surowszą karę. W podobnej sprawie miał sposobność ukazania się w całym swym blasku. Widzów było dość.

Poza protokolantem ujrzeliśmy wiele osób, występujących z wielką godnością. Byli to, jak się później okazało, assesorzy sądowi. I wreszcie ukazał się on sam, pan i władca Hillehu i namiestnictwa całego. Poznać było z pierwszego wejrzenia, że to staroturek, a więc 167 pan, po którym ja, jako chrześcijanin, nie mogłem się spodziewać nawet cienia obiektywizmu i szacunku. Na małej i słabowitej postaci widniał tym większy turban, który pomimo swej objętości wcale mi nie imponował. Obok niego z lewej strony postępował człowiek, na którego na razie nie zwróciłem uwagi, ale którym tym bardziej zain-teresowałem się później. Był ubrany po persku. Wszystkie te osoby posuwały się, z wyjątkiem kol agasiego, nie w naszą stronę, lecz wzdłuż budynku do pewnego miejsca, gdzie stara, mocno potargana zasłona zwisała z muru, zasłona, którą jakiś skwapliwy sługa rozpiął na kształt dachu, aby osłaniała od słońca forum sądów publicznych. W tym ocienionym miejscu ustawiono krzesło, w którym namiest-nik zasiadł, jak na tronie. Z jego prawej i lewej strony zasłano podu-szki, aby wybitnym prawniczym luminarzom udogodnić pozycję z podwiniętych nogami; mniej wybitni juryści rozsiedli się gdzie i jak kto mógł. Z perska ubrany osobnik spoczął tuż obok krzesła. Gdy cały sąd usadowił się, zbliżył się tłum widzów, aby miejsce rozprawy oto-czyć półkolem.

‘l~mczasem podszedł do nas kol agasi. Minę miał bardzo poważną, głos jego brzmiał znacząco, gdy nam oświadczył:

- Zameldowałem was i ponieważ sąd zebrał się w pełnym składzie z powodu dzisiejszych publicznych rozpraw, namiestnik postanowił natychmiast odbyć nad wami rozprawę. Będziecie traktowani z całą surowością i nie spodziewajcie się żadnej łaski!
- Czy namiestnik wie, że jestem chrześcijaninem? - zapytałem.
- Tak. Doniosłem mu także, kim jesteście.
- Cóż on na to?
- Nie obchodzi go to wcale; wie tylko o tym, że ma do czynienia z przemytnikami i zbrodniarzami, a takich ludzi nie wolno oszczę-dzać.
- Dziękuję ci za te informacje! Widzisz, że dotrzyaliśmy słowa i zostaliśmy tutaj. Od tej chwili jest ci więc obojętne nasze postępo-wanie?

- Nie.

- Przerzekłeś mi to przecież!

- Nie wiedziałem, co nastąpi. Dowódca mego pułku był u namiestnika; rozkazał mi obsadzić bramę, aby udaremnić wszelką próbę ucieczki; ze zbrodniarzami nigdy dość ostrożności. Muszę, oczywiście, usłuchać. Ufam, że nie masz mi tego za złe, emirze!

- Darzę cię sympatią w tej samej mierze, co przedtem.

- Ale jeśli zechcecie uciec, a ja wam przeszkodzę, co będzie z tym sprawozdaniem do ministra wojny?

- To nic nie szkodzi! Jeżeli uniemożliwisz nam ucieczkę, zasługujesz na podwójną pochwałę.

- Ale jeżeli was zasądzą, nie będziesz mógł napisać sprawozdania!

- Nie bój się o to! Zanim nas namiestnik zasądzi, powiesimy go na stryczku!

- I ty możesz jeszcze żartować w tak poważnych okolicznościach?

Ale zsiadajcie i chodźcie za mną! Muszę was przedstawić sędziom. Zanim odrzekłem na to, Halef wydał okrzyk stłumionego przerażenia.

- Co się stało? - zapytałem.

- Spójrz na człowieka, który stoi obok Persa i mówi z nim! - odparł.

- Odwrócony jest do nas tyłem, nie widzę go.

- Ale ja go widziałem!

- Czy znasz go?

- Tak. I ty poznasz go od razu, skoro się odwróci.

- Któż to?

- Safi.

- Co? Kto? Czyżby Safi, sili, który chciał nas oddać w ręce Pedera?

- Którego oszczędziłeś, mimo że chętnie dałbym mu powąchać mego korbacza. Tak, to on.

- Czy nie mylisz się?

-Nie. Uważaj! Teraz odwraca się.

Ujrzałem jego twarz i poznałem ją. Był to rzeczywiście człowiek z Mansurijeh. Nie poznał nas. Co robił w Hilleh? Czy bawił tutaj z polecenia sillanów? O czym mówił z Persem? Czy znał go? Jeżeli tak, to i ten należał do tajnego związku. Czy doniósł mu, że to my ukaraliśmy Pedera chłostą? Kim był Pers? Czym się tłumaczyła jego obecność? Czy był tylko ubrany po persku, czy też był perskim poddanym? Jeżeli był nim, to nie miał przecież prawa zasiadać w sądzie, który miał rozstrząsać dotyczącą nas sprawę!

Gdy te pytania zaprzętały mi głowę, kol agasi rozkazał nam zsiść z koni.

- Zostajemy na koniach! - odrzekłem.

- Ależ nie możecie konno stanąć przed sądem!

- Dlaczego nie?

- To zakazane.

- Przez kogo?

- Przez prawo.

- Nie ma takiego prawa, któreby twierdziło, że tylko pieszo staje się przed sądem!

- Jeżeli nawet nie ma prawa, to jest zwyczaj.

- Mylisz się! Stosuję od dawna zwyczaj wprost przeciwny; nie łamię go nigdy. Ilekroć wzywają mnie przed sąd, przybywam i staję zawsze na koniu.

- Ja też - dodał Halef. - Jestem najwyższym szejkiem Hadde-dihnów i w plemienu moim zbrodniarz tylko wtedy może być skazany na śmierć, kiedy siedzi w siodle. A więc, jak widzisz, nie chcemy pozbawić sądu mocy karania nas gardłem.

- Nie mogę się z tym zgodzić! Pomyślcie, jak mnie potraktuje pułkownik, dowódca mego pułku, jeżeli was sprowadzę na koniach!

- Nie żądamy od ciebie tego; możemy zrezygnować z twego towarzystwa - odrzekłem. - Chodź, Halefie!

Nie mogłbym sobie przypomnieć, czy zdarzyło mi się kiedykolwiek być w takim nastroju. Czy głupota kol agasiego, czy uroczysty ceremoniał pod wypłowiałą szmatą sprawił, że nie brałem tego całego sądu na serio. Również i Halef zdawał się być w takim samym dobrym humorze. Śmiał się

pełną gębą i na moje polecenie odpowiedział dziarskim tonem:

- Czy nie lepiej gwizdnąć na całe przesłuchanie i wjechać w sam środek, żeby ci mądrzy panowie rozlecieli się na wszystkie strony?
- Mam wielką na to chętkę, ale sądzę, że będzie lepiej zrezygnować z tego szaleństwa. Czeka nas w każdym razie przyjemność odniesienia zwycięstwa słownego w dyskusji z tymi uczonymi mężami prawa. Bądźmy rozsądni! Naprzód!
- Tak, naprzód sidi! Będziemy mówić z nimi tak, jak nigdyjeszcze nie mówiono w żadnym sądzie. Idziemy!

Nastąpiła scena, której nie zapomnę nigdy, rozprawa sądowa, którą byłbym uważał za niemożliwą, gdybym jej osobiście nie przeżył. Znaczący ówczesnych stosunków nie będą, czytając te wiersze, dziwili się zbyt. Cały jej ciekawy przebieg odznacza się jedynie tym, że dwom oskarżonym nie imponował nikt z zasiadających osób, a tym mniej łącznie cały skład wysokiego sądu. Jedynym motywem rozprawy było to, że znajdowaliśmy się w otoczeniu wysoce fanatycznej ludności i że półkole publiczności wzrastało z każdą chwilą. Ludzie, którzy napływali przez otwarte wrota, byli wszyscy uzbrojeni. Nie miałem podstawy do przypuszczenia, żeby sławetny sąd zdobył się na potrzebny autorytet, czy też, po prostu odwagę, aby nas wziąć pod swoją obronę przed napaścią. Trzeba dodać, że przynależność Halefa do szyitów i moje wyznanie chrześcijańskie mogły się tylko przyczynić do wprawienia w ruch pistoletów. Z drugiej strony, nie dostrzegaliśmy tego sprzeciwu, które zwykle budzi w tych pobudliwych ludziach harde wystąpienie. Tak więc szliśmy, a raczej jechaliśmy na rozprawę w ożywionym napięciu, ale bez najmniejszej trwogi. Ruszyliśmy w kierunku półkola, które rozstało się, aby nas przepuścić. Kol agasi nie podążył za nami, lecz skierował się do bramy, gdzie żołnierze jego stali w czujnym pogotowiu. Luka w półkolu po naszym przejściu zamknęła się natychmiast.

Pan przewodniczący zupełnie inaczej wyobrażał sobie nasze zjawienie się przed jego obliczem. Spojrzał na nas szeroko otwartymi, zdumionymi oczami i zawołał gniewnie:

- Jak śmieliście stanąć przed nami na koniach i uzbrojeni? Z koni i precz z bronią!
- Lepiej będzie, jeżeli pozostaniemy w siodłach - odrzekłem spokojnie.
- Nie macie tu żadnego głosu. Bądźcie posłuszni! - odparł tym samym tonem.
- Jesteśmy posłuszni, właśnie pozostając na koniach. Słuchamy, mianowicie, głosu ostrożności.
- Co to za sposób mówienia? Nie rozumię mów jaśniej!
- Jeżeli moje przypuszczenie nie jest mylne, opowiadano ci o naszych koniach? - zapytałem.
- Oczywiście! Te bestie sprawiły, że skazemy was prawdopodobnie na śmierć.

- Możemy spokojnie z naszych siodeł wysłuchać tego wyroku.

Gdybyśmy zsiadli, mogłoby się znowu coś takiego zdarzyć, co dałoby powód do nowej skargi.

- O co ci chodzi? Co mogłoby się zdarzyć?

- Widzisz, że nasze konie to radzi pack; stają się niebezpieczne, skoro nie czują ciężaru swych panów. Gdyby widziały, że opuszczamy je pod przymusem, byłyby podążyły za nami aż tutaj i przy tym niejeden, który chciałby im w tym przeszkodzić, ległby stratowany kopytami. Ażeby więc zapobiec nieszczęściu, zabraliśmy je ze sobą.

- Ale możecie zsiąść i trzymać je za cugle; tego wymaga respekt, który winniście sądowi. Sąd zasiada, a oskarżony staje przed nim. Żądam, abyście zsiadli!

Chciałem dać wymijającą odpowiedź, ale Halef przyszedł mi z pomocą, zwracając się do namiestnika z zapytaniem:

- Czy bierzesz na siebie odpowiedzialność za następstwa tego, 172 czego żądasz od nas?

Na twarzy jego malował się wyraz przebiegłości, który był mu właściwy wtedy, gdy miał jakąś ukrytą myśl.

- Odpowiadam za to co rozkazuję - brzmiała odpowiedź:

- A więc stanie się zadość~ twojej woli.

Zeskoczył z siodła i ja za jego przykładem, gdyż zmiarkowałem do czego zmierzał.

Otóż, gdy popuszczaliśmy wodze koniom tak, iż głowy miały swo-bodne, stały spokojnie; gdy jednak pozbawiliśmy je tej swobody, ściągając cugle, zaczynały energicznie wierzgać i usiłowały się wyrwać. Halef, zsiadając, nadał ogierowi swojemu taką pozycję, aby Hafi, siadł z Mansurijeh, znalazł się tuż za jego ogonem, po czym zawołał do niego i sąsiadów:

- Cofnijcie się w tył! Ten kofi nie znosi bliskiego sąsiedztwa.

Nikt ani myślał usłuchać tej rady. Halef chwycił cugle ściśle przy mordzie, wskutek czego jego Nedjedi począł gwałtownie poruszać łbem, aby się wyrwać. Gdy to mu się nie udało, kopnął w tył i

ugodził silla tak, że uderzony zatoczył się, pociągając za sobą innych. Mój Ben Rih zachował się tak samo, bo rzecz zrozumiała, wziąłem go krótko. Trafił dwoje ludzi, którzy zostali odrzuceni daleko w tył i podczas gdy się wszczał z tego powodu wielki rozgardiasz, pozwoliliśmy naszym znarowionym koniom taticzyć wkoło, dopóki półkole na wszystkie nuty klnących widzów nie cofnęło się daleko w głąb na taką odległość, że nikogo z nich nie mogło dosięgnąć uderzenie kopyt. Poturbowani zostali usunięci; ile było głów, tyle głosów obrzucało nas wyzwiskami i przekleństwami. Jednakże Halef grzmiał jeszcze głośniejsze, zwracając się do namiestnika, tak że przekrzyczał wszystkich:

- Oto masz następstwa! Odpowiadaj za nie! Kto się nie zna na koniach, niech nie wydaje lekkomyślnych rozkazów! Widać było po dostojniku, że chciał odplacić za tę obrazę, ale pułkownik uspokoił go skinieniem ręki, dorzucając parę słów, które z powodu hałasu nie mogliśmy dosłyszeć. Potem otrzymaliśmy 173 rozkaz, bardzo dla nas pożądany:

-Możecie wsiąść z powrotem! Pozwalamy wam na razie, a później potrafimy poskromić was i wasze bestie.

- Słuchamy - skinął Halef z miną niewiniątka, - ale zwracam ci uwagę, że kofi i jeźdźce są zazwyczaj do siebie podobni. I my mamy zwyczaj słuchać nie czyjejs, lecz tylko własnej woli. Nie powinienes o tym zapominać!

Niestety, a może na szczęście, nie zwrócił namiestnik na te słowa uwagi, był bowiem zajęty wydawaniem rozkazów swym sługom aby uciszyli hałas i uspokoiли wzburzone tłumy. Wmieszali się pośród krzyczących i gwałtownie gestykułujących gapiów i wreszcie udało im się to polecenie spełnić.

‘Tylko jeden zdawał się niesforny i hardy. Był to po persku ubrany mężczyzna, z którym Safi mówił poprzednio, kiedy trzymaliśmy się jeszcze z dala. Safi, mocno poszkodowany, siadł teraz z daleka, lamenując i pocierając rękoma ugodzone kopytami części ciała. Pers stał obok niego, zaciekle, zwrócony ku nam i wymachiwał w powietrzu bronią; był ostatnim z tych co powrócili na swoje poprzednie miejsca.

Zanim usiadł, rzekł głośno do namiestnika, tak, że słyszeli go wszyscy:

- Widzisz, o paszo, trzy osoby są poszkodowane! To nie może ująć bezkarnie, gdyż nie konie są winne, lecz jeźdźcy! Tam siedzi Safi, wierny poddany szachinszacha. Jest to mój znajomy i znajduje się pod moją opieką. Mam nadzieję, że sprawca jego obrażenia będzie najsurowiej ukarany. ‘I~lko wtedy będę mógł z tą pochwałą, jakiej sobie życzysz, donieść o tobie mojemu panu, szachowi Persji, ktbrego sługą jestem.

Tetaz dopiero, gdy mówił, uzyskałem możliwość przyjrzenia się temu człowiekowi uważniej, niż przedtem. Był, jak wspomniałem, ubrany po persku, niewysoki i barczysty. Głos jego brzmiał władczo, tak, jak gdyby zwykł rozkazywać. Broda i policzki były golone, za to nosił długie wąsy,

lewą połowę twarzy przecinała mu ognista blizna od czoła aż do górnej wargi. Lewy oczodół, przez który blizna ta 174 przechodziła, był próżny. Zauważyłem, że podczas przemówienia i czestokroć później podnosił rękę, aby wąsem bliznę zasłonić. Moina mi wierzyć, jeśli powiem, że poczułem się nieswojo. Tak, w tej postaci, w jakiej ukazał się nam tutaj, opisał nam Sefira binbasi z Bagdadu! Powierzchność była tak charakterystyczna, że nie mogłem wątpić. On to był, który naszemu staremu gospodarzowi i jego grubemu Kepekowi w Birs Nimrud narzucił przysięgę. Sefir, przywódca przemytników, którego tak bardzo pragnąłem zobaczyć, stał więc przede mną!

Spotkać go tutaj, u namiestnika, tego się nie spodziewałem. Było nie lada zuchwatstwem, a raczej bezczelnością, przybycie do miasta i to do instytucji, do której powinien być zostać wprowadzony jako podsądny.

Z użytego przezefi w trakcie interwencji słowa sa'id można było wnioskowa~, że podawał się za wysokiego dygnitarza szacha perskie-go; zapewniał, prawdopodobnie, że odbywa podróż z jego polecenia. Zamiaryjego były mi obojętne; dotyczyły prawdopodobnie przemyt-nictwa, które mnie nic nie obchodziło. Ale z obecności Safiego i z okoliczno~ci, że Sefir brał go pod swoją opiekę, wynikało, iż należał do sillanów. W każdym razie, nie był zwykłym członkiem tego taje-mnego związku. Utwierdzony w tym przekonaniu, postanowiłem przed opuszczeniem Hilleh ponownie odwiedzić Birs Nimrud, ażeby załatwić porachunki binbasiego z tym rzekomym czy prawdziwym Persem. Właśnie to, że był osobą tak ważną, iż należało się mieć przed nim na baczności, podwajało moją ochotę do sprowokowania tego złoczyńcy. W swoim czasie, gdy siedzieliśmy z majorem na dachu jego domu i gdy opowiadał nam swe przeżycia, Halef rzekł do niego:

„Chciałbym, aby Sefir uwięził nas w wieży” - i dodał - „nie byłbym nigdy wstąpił do Birs Nimrud bez korbacza!” Teraz, być może, nada-rzała się sposobność sprawdzenia, czy te słowa były próżną przechwał-ką, czy też poważną zapowiedzią!...

Atoli nie było czasu na kontynuowanie tych myśli, gdyż trzeba było 175 zważyć na Persa, który ciągnął dalej skargę:

- Ci dwaj ludzie to gwałtownicy, którzy dawno już zasłużyli na chłostę aż do śmierci.
- Czy znasz ich? - zapytał namiestnik.
- Tak. Mógłbym ci wiele o nich opowiedzieć. Zdam ci sprawę z jednego tylko ich występku. W nocy, jadąc łódką w dół po Tygrysie napadli paru moich przyjaciół, którzy spokojnie spali w biwaku na brzegu, związali ich, obrabowali i potem zatłukli niemal na śmierć.
- Allah! Czy jesteś tego pewien?
- Tak. Jest tu nawet obecny świadek, który może to zaprzysiąc.
- Kto?
- Safi, który tam siedzi. Był przy tym.

- Gdzie to się zdarzyło?
- Niedaleko Bagdadu.
- A więc nie w moim okręgu. Niestety, nie mogę o tym wyrokować.
- Wiem dobrze, ale jestem przekonany, że ten czyn wpłynie na wymiar kary.
- Oczywiście! Postaram się o to, aby te psy przestały kęsać.
- A zatem, proszę cię, zwróć szczególną uwagę na to, że jeden z nich jest chrześcijaninem! Drugi podaje się za szejka Haddedińów. Kłamstwo, przechodzące wszelkie granice! Wystarczy dobrze mu się przyjrzeć. Twierdzą, że jest koniokradem, wyrzuconym ze swego plemienia. Bo skądże tacy łajdacy do takich koni? Kto wie, jakim to wielkim panom zostały skradzione szlachetne rumaki, gdyż tylko bogaci i wysoko postawieni ludzie mogą posiadać takie okazy czystej krwi. Jeżeli je odbierzesz i zbadasz sprawę ich pochodzenia, będziesz mógł, zwracając je prawym właścicielom, zasłużyć sobie na wysoką nagrodę.

Wysoka nagroda uśmiechnęła się namiestnikowi, więc odrzekł szybko:

- Jestem tego samego zdania i póty każę tych łotrów bić po piętach, aż mi powiedzą, gdzie mam szukać prawych właścicieli koni.

Zasiądź na swym miejscu, gdyż chcę pokazać im, że nasz sąd położy kres ich zbrodniczym awanturom sprawiedliwie i surowo. Niech się tu stawi oprawca ze swoimi ludźmi!

Na ten rozkaz, wydany głośno, jeden ze sług oddalił się, by po chwili wrócić z wymienioną osobą. Bastonadzi - słowo, które najtrafniej przełożone, oznacza „mistrz kija” - spełnia powinność bardzo dla ońar jemu powierzonych bolesną; jeżeli bowiem służy ziemskiej spra-wiedliwości, to czynność~ jego zwraca się przeciw najczulszym częścią ludzkiego ciała, mianowicie przeciw ... piętom. Nie narodził się jesz-cze bastonadzi, który miałby kiedykolwiek sposobność podania pró-bie wytrzymałości moich pięt, ale mimo to mogę wejść w położenie tego nieboraka, któremu przypadło w udziale doświadczyć na własnej osobie dobrodziejstw przepisów wschodniego kodeksu karnego. Nic też, doprawdy, dziwnego, że pan bastonadzi cieszy się równie wysoką, jak bojaźliwą czcią.

Tak więc bastonadzi z tuzinem kijów pod pachą wystąpił w posta-wie pełnej godności. Za nim szli jego podwładni, „pachołcy kija”. Nieśli drewniany przyrząd w kształcie ławki pozbawionej dwóch nóg, zamiast których były przymocowane dwa pasy. Tę ławkę arabscy znawcy nazywają džamal'1 alahm, wielbłądem boleści. Sposób użycia tego bardzo praktycznego przyrządu jest następujący: ławkę kładzie się na ziemi tak, aby jej dwie nogi sterczały do góry. Skazaniec zajmuje na niej miejsce. Czyni to bądź dobrowolnie, bądź też pod przymusem kładzie się plecami do góry; następnie jednym pasem poprzez kark, a drugim poprzez ciało i ręce zostaje tak przywiązany, że riie trioż2 Się ruszyć. Koficzyny dolne zostają wygięte do góry i przymocowane do dwóch sterczących nóg ławki tak, iż pięty nógich stóp przybierają tę poziomą pozycję, która ułatwia zadanie bastonadziem. Z chwilą osiągnięcia tej wymarzonej hal el kabil pozycji do przyjęcia batów, najważniejsze przygotowania są ukończone i mistrz rozdziela kije między pachołków, ci zaś według przepisów zadają uderzenia w pięty; mistrz jedynie baczy, żeby nie uchybiono oznaczonej liczbie i mocy.

A więc i dla nas sprowadzono wielbłąda boleści! Ustawiono go przed nami, po czym pachołcy cofnęli się o parę kroków wstecz i zastygli w postawie wyczekującej. Widziałem, jak zalśniły oczy gapiów i jak twarze ich przybrały wyraz świątecznego podniecenia. Namiestnik wskazał ręką na ławkę tortur i zwrócił się do nas z ostrzeżeniem:

- Widzicie, co was czeka, jeżeli będziecie kłamać. Każę was bić tak długo, aż wyznacie wszystko. Oszczędźcie sobie razów i odpowie-dzcie mi rzeczowo na moje pytania!

Zrobił znaczącą pauzę, podczas której kazał sobie podać świeżo nabity cybuch. Muszę dodać, że wszyscy członkowie sądu palili, czego, zresztą, nie biorę im za złe, bo sam jestem zagorzałym palaczem. Po przerwie namiestnik, nie wdając się w długie formalne wstępy, przeszedł wprost do sedna sprawy i postawił pytania:

- Jesteście mordercami?

A że spojrzał przy tym na mnie, odrzekłem:

- Nie.

- Jesteście przemytnikami?

- Nie.

- Ukradliście te konie?

- Nie.

- Człowieku, powiedz tak, bo inaczej dostaniesz chłostę! Czy niedaleko Bagdadu, na brzegu rzeki, napadliście ludzi, o których była mowa?

- Nie.

- Okradliście ich?

- Nie.

- Obiliście ich?

- Tak.

-No; nareszcie, jakieś potwierdzenie! Wasze szczęście, bojeszcie pięć minut zapierania się, a bylibyście widzieli swe gnaty, jak wystają z mięsa waszych nóg. Odpowiadaj dalej! Jesteś chrześcijaninem?

- Tak.

- I to cię nie powstrzymało od przybycia tutaj? Jakże głęboko utkwiełeś w trybach występu, skoro z własnej woli dotarłeś aż tutaj, gdzie jako chrześcijanin nie możesz być ani chwili pewien swego życia! Czeką cię straszliwy koniec i w zaświatach wieczysta męka, gdyż zemsta Allaha jest groźna - nie przebacza nigdy!

- Skąd wiesz o tym?

- Tak powiada Koran.

- Koran mówi coś wręcz przeciwnego!

- Co ty możesz wiedzieć, ty giaurze, o świętej księdze wiernych!

- Ta księga powiada w surze sio dziesiątej: Tnvej w pochwale Pana i proś go o pnebaczenie, gdyż pnebacza chętnie! Ty zdajesz się tej sury nie znać.

Odrzucił głowę w tył, popatrzył na mnie przez chwilę przerażony i zawołał gniewnie:

- Milcz! Wierzący syn proroka musi swą księgę znać lepiej, niż ty, chrześcijanin, znać możesz. To, co mówisz, jest kłamstwem, musi być kłamstwem, bo wy czcicie Izę, który jest synem nieprawdy!

- Synem nieprawdy? Cofnij te słowa, bo hańbią one waszą własną wiarę, waszą własną religię!

- Psie! Nie obrażaj mnie! Udowodnij to, co wyrzekłeś!

- Weź Koran i otwórz go na dziewiętnastej surze! Przeczytasz:

Oto jest Jezus, syn Marii, stowo prawdy. I ty mienisz tego, ktbrego wasz zakon nazywa słowem prawdy, ty go mienisz synem nieprawdy?

- Milcz! - nakazał.

- Nie będę milczał! Moja wiara chrześcijańska nie potrzebuje obrony, jest tak piękna i wzniosła, że obejdzie się bez moich słabych słów. Ale tutaj są obecni liczni muzułmanie, którzy spokojnie znoszą twe zohydowanie islamu. Idź do meczetu, a usłyszysz, że w dniu ostatecznym Jezus zejdzie, aby sędzić wszystkich żywych i umarłych! I tego, którego islam mianuje sędzią dnia ostatniego, ty śmiesz nazywać synem nieprawdy? Czy może mam sobie wytłumaczyć tę zniewagę islamu tym, że jesteś wyznawcą sunny, podczas gdy jedynie szy'aci uczą 179 prawdy?

To pytanie było, że się tak wyrażę, taktycznym wybiegiem, którego użyłem w świadomości tego, że większość~ obecnych należała do szyi-tów. Skutek uwidocznił się natychmiast w postaci głuchych pomru-ków. Podochocony tym, ciągnąłem dalej:

- Nazwałeś mnie psem i przez Allaha przeklętym chrześcijani-nem. Psa wybaczam ci, ale gdzie jest napisane w Koranie lub w jakimkolwiek komentarzu, że Allah przeklął chrześcijan? Gdzie jest napisane, że jesteśmy niewierzącymi i poganami? Mahomet przyzna-je nam, wierzącym w tego samego Boga, jeżeli nie wszystkie siedem, to bezwzględnie choć jedno niebo. Kto to właściwi wrogowie islamu? Czy my, chrześcijanie, czy też raczej wy sami? Kto was prześladował? Czyżby my? Kto zwalczał kalifa Ali i z czyjej ręki padł Hussein? Czy byli to chrześcijanie czy mahometanie?

Okrzyki szemrania zaczęły rozlegać się tak głośno, że namiestnik skoczył z miejsca, machnął groźnie rękoma i zawołał:

- Kto pozwolił tobie, chrześcijanowi, mbwić o świętym islamie?

Zebrałiśmy się tutaj, aby sądzić wasze przestępstwa; to wy jesteście oskarżeni! Nie masz prawa mówić bez mego pozwolenia, lecz tylko odpowiadać na moje pytania krótko i węzłowato!

- A ty - odrzekłem - nie pozwalasz mi mówić dalej, bo się boisz obecnych tutaj wyznawców szii. Powiadam ci, jeżeli chrześcijanin odwiedza okolice Meszhed Ali lub Kerbeli, nie ma w tym nic szcze-gólnego, gdyż dla szyitów jest człowiekiem obojętnym, nie wzrusza go Abu Bekr, Omar i Osman, ani dynastia Omajjadów, gdyż nie ponosi żadnej winy za klęskę Kerbeli. Jeżeli jednak noga sunnity, którym ty jesteś, postanie na tej świętej ziemi, jest to zniewagą i pohańbieniem świętych miejsc, sunnita należy bowiem do tych, co ongiś przelali krew Husseina i ojca jego odsadzili od praw bezpośredniego następcy Proroka. Dlatego przypuszczałem, że nie popełniam żadnego wykro-czenia, przybywając tutaj i z tego samego względu jestem przekonany, że dla prawych i rozumnych wyznawców islamu wiara moja nie jest

180 żadną podstawą do tego, aby traktować tutaj mnie wrogo i wręcz niesprawiedliwie!

Wtem powstał z miejsca jeden z asesorów, siwowłosy i ubrany w jedwabie starzec, podniósł rękę na znak, że chce zabrać głos, i rzekł:

- Ten chrześcijanin wygłosił słowa, które brzmią jak słowa pra-wdziwie wierzącego, oświadczam, że udzielam mu mego poparcia. Przekonałem się, że zgłębił tajniki Koranu. Kto

tego dokonał, nie może być nazwany gjaurem, albowiem dusza jego spokrewniła się z naszą na łonie świętych sur. Jeśli jako oskarżony będzie mówił z taką samą rzetelnością, z jaką mówił jako chrześcijanin, uniewinnimy go i zwrócimy mu wolność.

Usiadł z powrotem. Ten człowiek był, jak się później dowiedziałem, jednym z bogatych Hindusów, którzy na starość przybywają do Hilleh, aby w pobliżu Kerbeli i Meszhed Ali dokoficzyć żywota. Poza nami i z obu stron rozległy się okrzyki afal~ afarim i jisslaho - wyrazy uznania, które były dla nas pocieszającym świadectwem, że nie tylko starzec nie podzielał zdania namiestnika.

Ten iniał minę zakłopotaną i widać było po nim, że szuka argumen-tów. Na razie ani jednego nie mógł znaleźć. Przyszedł mu z pomocą Pers, głośno oświadczając:

- Zebraliśmy się tutaj nie po to, aby prawić o Koranie i jego komentarzach, lecz po to, aby odbyć sąd nad zbrodniarzami, przemyt-nikami i złodziejami. Jakie ten chrześcijanin ma poglądy na sunnę i szy'ę, nie należy do sprawy; mamy rozpatrzeć przestępstwo, jakiego się dopuścił wraz ze swym towarzyszem i nie powinniśmy dać się oślepić jego znajomości sur. Proszę cię, o paszo, każ sprowadzić ~~SAodar'La ~ ocala~leo Ghasai, któczy nam udowodnią, winę ~ych dwóch osobników.

Człowiek ten zachowywał się tak, jak gdyby był członkiem sądu. Nie podniosłem tej kwestii, zostawiając sobie odpowiednią uwagę na później.

Posłano po świadków; dalszą rozprawę odroczone aż do ich przy-bycia. Halef wypełnił ten czas uwagami na temat poszczególnych osobistości; uwagi były tak dowcipne, że wybuchiałem głośnym śmie-chem, co wprawiało w gniew namiestnika i Persa, w gniew, wszakże nie wyrażony ani jednym słowem.

Nareszcie obydwaj świadkowie, sprowadzeni przez kol agasiego, stawili się i zaczęli składać zeznania. Oczywiście, przedstawili całą sprawę w sposób wysoce dla nas niekorzystny. Gdyby rzecz cała miała się oprzeć jedynie na ich kłamstwach i krętactwach, nie byłibyśmy mogli liczyć na żadną wyrozumiałość.

Wyłożywszy przebieg wypadków w zajeździe gospodarza, przeszli do sprawy naszego uwięzienia przez kol agasiego i do wynikłych z tego następstw. Przedstawili to wszystko w takim świetle, że doprawdy, nie trzeba było dużej fantazji, aby nas uważać za sojuszników lub zgoła przywódców bandy przemytniczej. Z przyjemnością słuchaliśmy później wywodów Persa, który zadawał sobie trud wyciągnięcia z tych zeznań wniosków, jakobyśmy byli tym, czym był przecież on sam.

- Wiadomo, - mówił - że przemytnictwo odbywa się na wielką skalę; wiadomo, że zarówno szachinszach jak i padyszach są dzięki temu poszkodowani na wielkie sumy. Dziefi i noc śledzimy, by wykryć jaką drogą i jakim sposobem ucieka na tamtą stronę taka masa towaru i mimo to cały ten trud i uwaga spełzły na niczym, a to dlatego, że nikomu nie przyszło na myśl, że

nici tej sprawy zbiegają się w rękę obcego chrześcijanina. A gdy oto dzięki przypadkowi, albo raczej wskutek nieszczęścia tych dwóch ludzi, udało się przyłapać jego i najniebezpieczniejszego z jego współników, nie wolno nam pod żadnym pozorem dać się zwieść przebiegłej mowie niewiernego; przeciwnie, powinniśmy natychmiast chłostą zmusić ich do wyznań. Takie jest moje zdanie, a kto jest innego mniemania, ten uchodzi w moich oczach za przeniewiercę sprawiedliwości!

To przekraczało granice zuchwalstwa, bezczelności i wstydu! Ten człowiek był sam przywódcą przemytników, i jako taki musiał być przekonany o naszej niewinności, niemniej śmiało nam patrzył prosto w oczy. Gdyby wiedział, że znarny go lepiej, niż jemu się zdawało! Jakże chętnie byłbym ogłosił dowody jego nikczemności, gdyby to mi nie przeszkadzało w przeprowadzeniu planu, jaki mi właśnie w tej chwili zaświtał. Najdrobniejsza aluzja mogłaby go ostrzec i byłby mi się wywinął, tak że nie mógłbym go złapać. Zadowolilem się tylko tym, że spoglądałem nań ze spokojnym uśmiechem i gdy skoficzył przemówienie, rzecłem namiestnikowi, że kol agasi może zaświadczyć, iż nie mamy nic wspólnego z przemytnikami.

Kol agasi wystąpił z całą skwapliwością; opisał ślady, wyjaśnił, że tylko przypadek zaprowadził nas do ognisk przemytników i zakoficzył stanowczą uwagą:

- Dali mi słowo, że nie uciekną, i dotrzymani go, choć mogli umknąć. Przemytnik nie dotrzymuje takich zobowiązań, a to, że bez żadnego przymusu przybyli z nami aż tutaj świadczy o ich zupełnej niewinności.

Zadanie swe wykonał bardzo dobrze, to też spojrzał na mnie z wyrazem, który zdawał się dobitnie mówić: „Powinieneś być ze mnie zadowolony; czy jednak umieścisz moje zeznanie w swym sprawozdaniu?”

Skinąłem mu twierdząco głową i zaraz potem musiałem zwrócić uwagę na namiestnika, który, rozwścieczony tak korzystnym dla nas świadectwem kol agasiego, zagadywał jego przełożonego, pułkownika:

- Co powiesz, że twój podwładny śmiało stanąć w obronie tych jawnych zbrodniarzy i zaręczył o ich niewinności? Mam nadzieję, że wymierzysz mu za to odpowiednią karę?

Pułkownik, który raz już wstawił się za nami, odparł:

- Jako świadek powiedział to, co uważa za prawdziwe i słuszne; jak możesz wymagać, abym go za to karał?

- Nakazuję ci to!

- Nie znasz granic swej władzy. Jesteś namiestnikiem swego powiatu, ja zaś jestem dowódcą mego pułku. Jestem obowiązany w pewnych ściśle oznaczonych wypadkach udzielać ci wojskowego poparcia, ale osobiście nie możemy sobie wzajemnie rozkazywać. Kol agasi zaznał, co podyktowało mu jego sumienie; ja na jego miejscu byłbym postąpił tak samo.

- Ale zwróć uwagę na to, że obronił winnych! Nie ulega wątpliwości, że ci dwaj oskarżeni spowodowali śmierć człowieka i złamali nogi drugiemu, że są przemytnikami i wczoraj w czasie swego zbrodniczego procederu dopuścili się okropnego pohafibienia trupów. Są to dwie zbrodnie podpadające wyrokowi śmierci! Po trzecie, jest dowiedzione, że na Tygrysie napadli wiele osób, obrabowali ich i zmaltretowali. Nie rozumiem, jak można jeszcze stawać w ich obro-nie!

- Czy istotnie to wszystko jest dowiedzione?

- Naturalnie, sam słyszałeś!

- Pozwól, że będę innego zdania! Aby oskarżonego zasądzić, trzeba go przede wszystkim przesłuchać i zbadać.

- Uczyniłem to!

-Nie. Zadawałeś pytania, przesłuchaniem tego nazwać jednak nie można. Nawet protokół nie został sporządzony. Wiesz równie dobrze, jak i ja, że przesłuchanie bez protokołu jest tylko zwykłą rozmową i nie ma żadnej wagi. Tu siedzi pisarz, ale pióro jego jest jeszcze suche; ani razu nie umoczył go w atramencie. A przecież my wszyscy musimy protokół podpisać; to jedynie nadaje przesłuchaniu ważność. Muszę ci także zwrócić uwagę na to, że sąd w całym swym składzie orzeka o winie czy niewinności, a nie ty sam. Zebraliśmy się tutaj nie w charakterze niemych słuchaczy, lecz po to, aby pod twoim przewodnictwem sprawować sąd!

To brzmiało ostro. Ten oficer posiadał poczucie godności. Czy wstawił się za nami dlatego, że to poczucie zostało dotknięte? Czy też wchodziły w grę jakieś względy osobiste, które dyktowały mu sprze-ciw? Zauważyłem podczas jego przemowy szczególny wyraz twarzy i osobliwe spojrzenia, którymi obrzucał nas niepostrzeżenie.

Namiestnik nie mógł odeprze~ przytoczonych mu przezefi argumentów i na próżno zmagął się ze swą złością; rzucił też wściekle:

- W tak nadzwyczajnych wypadkach, jak obecny, mam prawo uciekać się do nadzwyczajnych środków. Ci ludzie poniosą karę!
- Jeżeli udowodnisz ich winę!
- Już to uczyniłem!

Pułkownik uśmiechnął się i rzekł:

- Nie poniosą kary bez względu na to, czy udowodnisz ich winę, czy też nie.
- To brzmi niejasno. Mów wyraźniej!
- A więc powiem: ci dwaj ludzie nie pozwolą się ukarać.
- Jak? Co?
- W żadnym razie!
- Nie rozumiem cię!
- Przyjrzyj się im! Czy wyglądają na takich, co pozwolą się skrzyw-dzić?
- Maszallah! Wkrótce im zrzędą miny! Zarządę regularne przesłuchanie i każę spisać protokół. Każde pytanie i każda odpowiedź będą zapisane i jeżeli mi te łotry choć jednemu pytaniu zaprzeczą, wymierzę im bezlitosną chłostę.
- Czy zsiądą z koni?
- Muszą!
- Kto jednak odważy się wleźć między ich konie?
- Konie wypędzi się poza rniejsce obrad. A więc zaczynamy!

Zaczynamy! Doprawdy był najwyższy czas! Bowiem wszystko, co zaszło dotychczas, należało

uważać za przygrywkę. Pisarz umoczył pióro w atramencie, robiąc przy tym poważną minę i marszcząc czoło.

Przewodniczący zadał nam po raz drugi straszliwe pytanie:

-Jesteście zbrodniarzami? Radzę wam przyznać się natychmiast, w przeciwnym bowiem razie będziecie bez zwłoki przywiązani!

Mówiąc to, wskazał ręką na wielbłąda boleści. Odrzekłem:

- Hamdulillah! Kpiny się nareszcie skoficzyły i zaczynamy być poważni! Dlatego zapytuję cię: czy byłeś kiedykolwiek świadkiem przesłuchania?

- Oszalałeś? Mnie zadajesz takie pytanie?!

- Nie powinieneś się dziwić. O wiele więcej powodów do zdziwienia mamy my wszyscy, widząc, że chcesz dokonać przesłuchania, nie mając pojęcia o pytaniach, jakie należy zadawać.

- Jakie pytania? - grzmotnął.

- Wszak przede wszystkim musisz wiedzieć, kim jesteśmy!

- To wiem: jesteście mordercami!

- Zabraniam ci nazywać nas w ten sposób! Nie wolno ci używać tego wyrazu w stosunku do nas, dopóki nie zostanie dowiedzione, że nafi zasługujemy. Jeżeli nie wiesz ...

- Milcz! - rozkazał. - Za to, że mnie obrażasz, dostaniesz tyle razów, że ...

- Ciszej! - przerwałem mu najmocniejszym tonem. - Teraz mówię ja, masz więc spokojnie słuchać, aż skoficze! Daję ci moje słowo: jeżeli jeszcze raz mi przerwiesz, wjadę na twój fotel i strączę cię pod nogi mego konia. Chcesz nas skazać, nie pytając, kim jesteśmy. Ja jednak zapytuję cię: kim jesteś? Chyba nie tutejszym namiestnikiem? Bo gdybyś był nim, miałbyś choć słabe pojęcie o tym, jak przeprowadzić śledztwo. A że nie masz o tym wyobrażenia, nie mogę cię uważać za wysokiego urzędnika administracji. Co by było z państwem padyszacha, gdyby pozwolił tak nieoświeconym ludziom rządzić w jego prowincjach. Pokaż więc, kim i czym jesteś, nim zażadasz, abyśmy odpowiadali na twe pytania! Na razie skoficzyłem. Możesz teraz mówić, do chwili, kiedy zażadam głosu!

Panowała głęboka cisza. Ci ludzie nie widzieli nigdy nic podobnego. Chrześcijanin, winien wielu zbrodni, ośmielił się w sądzie, pośród szyitów, w ten sposób przemówić do najwyższego dostojnika powiatu! Ten był jak piorunem rażony. Wybełkotał parę słów, których nie zrozumiałem, toteż ciągnąłem dalej:

- Jeżeli, jesteś namiestnikiem, wzywam cię przede wszystkim do oznajmienia mi, przed jakim sądem stoimy. Czy jest to szerie, sąd duchowny, czy też nisamije sąd świecki. A jeżeli nisamije, musimy wiedzieć, czy mamy przed sobą hukuk-meh-kemeleri sąd cywilny, czy dżesa-mehkemeleri sąd karny. Proszę o odpowiedź! Mów!

- Jest to dżesa-rnehkemeleri - odrzekł krótko, nie mogąc jeszcze przewyciężyć swego oszołomienia.

- A zatem członkowie sądu nie są wyznaczeni przez ministra sprawiedliwości, lecz wybrani przez was samych. Kto z was jest chrze-~cijaninem?

- Nikt.

- Nikt? A przecież wiedzieliście, że jestem chrześcijaninem! Sąd, któremu podlegałbym, musiałby się składać z muzułmanów i chrze-ścijan. O tym musisz wiedzieć! A ty mi spokojnie oświadczasz, że zebrali się tutaj sami muzułmanie! Wiedziałeś, że nie masz żadnego nade mną prawa, a jednak je sobie rościsz. Rzuciłeś mi wyrazy takie, jak: pies, przekłety chrześcijanin, przemytnik, morderca, wiedząc dobrze, że nie masz prawa bezcześcić mnie ani jednym słowem! Odniosę się w tej sprawie do umuru adlieh we meshebieh nasreti ministra sprawiedliwości i wyznań religijnych i opisz mu, jakiego namiestnika ma w Hilleh! Ale, co więcej, nie jestem poddanym wszechwładcy, lecz obcym, cudzoziemcem. Jako taki podlegam tylko prawodawstwu mej ojczyzny i w tym wypadku powinni-~cie byli zwrócić się do ambasady rnego państwa. Ty chciałeś jednak skazać mnie bez wszelkiego po temu prawa; wolałeś nie pytać, kim jestem i skąd pochodzę. Teraz rozumiem ciebie i twoje zamysły. Będziesz musiał ciężko to odpokutować, gdyż mój minister spraw zagranicznych zażąda od waszego wyjaśnienia co do gwałtów i zniewag, jakich tutaj dozna-łem i wtedy dowiesz się, co to znaczy, gdy obywatela mojej ojczyzny nie tylko psem się nazywa, lecz jak psa bezpańskiego lży się i maltre-tuje jedynie dlatego, że jest chrześcijaninem! Skoficzyłem, i pozwa-lam ci odpowiedzieć.

-Jak się nazywasz i jakie państwo jest twoją ojczyzną?

- Moje imię brzmi ...

- Stój! Pozwól mi mówić za ciebie! - przerwał mi pułkownik który z najwyższą uwagą śledził moją przemowę. I, powstając z miej-sca, zawołał gromkim głosem:

-Ten obcy człowiek nazywa się emir Kara Ben Nemzi effendi. Nie zna strachu i nie boi się niebezpieczeństwa; nigdy nie ucieka przed wrogiem, a mądrość jego jest równie wielka, jak siła i odwaga. A ten jego wierny towarzysz, którego widzicie przy nim, nie odstępował go nigdy i dzieli z nim dołę i niedołę. Jego imię brzmi Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawud al Gossarah.

- Jak to? Znasz nas? Znasz mnie? Znasz nawet całe moje imię, chociaż znacznie mógłbym jeszcze je przedłużyć?! - zapytał Halef dumnym i radosnym tonem.

- Tak, znam was! Dlatego też oświadczyłem poprzednio, że w żadnym razie nie pozwolicie się ukarać, bowiem wola wasza ma skrzydła, a wasz gniew przebija mury.

- Ale ja sobie nie przypominam, gdziebyśmy mogli cię spotkać?

- Widziałem was na górze, na wyżynach czcicieli diabła, dość dawno temu. Byłem wówczas porucznikiem i znajdowałem się w oddziałach pod komendą pułkownika Omara Ameda. Był to surowy i nieubłagany człowiek, za co ukarany został śmiercią w płomieniach. Przebywaliście wówczas w pobliżu i widzieliście, jak Pir Kamek, wódz czcicieli diabła, skoczył wraz z nim w ogień płonącego stosu, spalili się obydwaj. Wtedy twój emir Kara Ben Nemzi effendi wystąpił jako pośrednik pokoju między nami a Dżezidami. Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, co wam zawdzięczamy. Byliśmy otoczeni ze wszystkich stron i żaden z nas nie byłby uszedł z życiem, gdyby się emir za nami nie wstawił. To się rozeszło z ust do ust i wszyscy polubili was. Doniesiono nam również wszystko, coście dotąd uczynili i przeżyli. Potem, gdy obozowałem w Kerkuk i później w Suleimanieh, słyszałem jeszcze wiele o Kara Ben Nemzi i jego Hadzi Halefie Omarze, o waszych koniach, o waszej broni, o waszych czynach wśród Beduinów Dżezireh, kurdyjskich plemion z gór i dolin. Byłem dumny z tego, że was znam i pragnąłem zobaczyć was ponownie. Dzisiaj to pragnienie ziściło się i możecie sobie wyobrazić, jak mnie to cieszy. Chciałbym także odwdziaczyć się wam za uratowanie mi w owym czasie życia, ale, niestety, nie jestem namiestnikiem w Hilleh, lecz tylko dowódcą mego pułku. Jednakże, jeżeli mogę wyświadczyć wam jakąś przysługę, powiedzcie mi, proszę, a z całego serca uczynię, co zechcecie! Że nie poznaliście mnie, nic w tym dziwnego. Porucznik bez znaczenia nie mógł zwrócić na siebie waszej uwagi, a jeśli rzuciliście nań spojrzenia, były tak krótkie i przelotne, że nie mogliście zapamiętać mojej twarzy. Teraz pozwólcie mi zaznaczyć tylko to; należę do sądu i jako żołnierz muszę czuwać, aby nie pozwolił wam uciec. Tego obowiązku muszę przestrzegać, ale we wszystkim innym, co tego nie dotyczy, mogę wam zapewnić moją pomoc i

obronę, chociaż jestem przekonany, że Kara Ben Nemzi effendi i jego Halef tej obrony nie potrzebują, mimo że pozornie są uwięzieni.

To spotkanie z pułkownikiem było jeszcze jednym, z tak często przeżywanym, dowodem, że żaden dobry uczynek, żaden akt miłości bliźniego nie ginie, lecz zwoli Boga znajduje nagrodę w niespodzianej formie. Zresztą, pułkownik musiał być dzielnym oficerem, skoro w bardzo niedługim czasie awansował ze stopnia porucznika. Jak wspomniałem, mówił tak głośno, że go wszyscy słyszeli. Wrażenie jego słów było dla nas bardzo korzystne i wyraźne. Kiedy pochwyliłem przyjazne spojrzenia zebranych, skierowane na nas, nie czułem wcale, jakobym ja, „od Allaha przeklęty chrześcijanin” znajdował się pośród fanatycznych i wrogich szytów. Prawdopodobnie niebezpieczeństwo tego fanatyzmu było już usunięte przez to, że poprzednio tak pochlebnie wyraziłem się o szii, potrącając przedtem o religijną nienawiść do sunnitów. Poza tym wystąpienie moje przeciw namiestnikowi było tutaj widowiskiem budzącym żywą sympatię; zapomniano, że główną rolę grał innowierca, a widziano tylko 189 śmiałego człowieka. Na dobitkę, namiestnik był sunnitą i na skutek tego każdy w cichości ducha życzył mu tej nauki, jaką dostał. Gdy zaś pułkownik stawiał się za mną z takim zapałem, nastrój stał się jeszcze bardziej przyjazny dla nas. Toteż widziałem, że stary Hindus uśmiechnął się do mnie z zadowoleniem.

Zupełnie inaczej zachowali się namiestnik i Pers. Byli rozwścieczeni przychylnym wystąpieniem pułkownika i rozmawiali ze sobą ożywionym szeptem. Zmiarkowałem, że przemytnik gorąco doradzał urzędnikowi, jak ma się zachować, aby odzyskać posłuch i poważanie. Namiestnik przystał na propozycję. Widocznie zapadła między nimi jakaś umowa, gdyż podał Persowi rękę, jak to się czyni po zawarciu ugody i zwracając się do nas, rzekł:

- W toku rozpraw nastąpił zwrot, który pociąga za sobą zmianę dochodzenia. Gdyby mnie pułkownik uprzedził, że zna oskarżonych, zachowanie moje byłoby od samego początku inne. Czy wówczas ci dwaj ludzie udowodnili jakimś dokumentem, że są tymi za kogo się podają?
- Nie - odrzekł pułkownik. - Nazywano ich Kara Ben Nemzi effendi i Hadzi Halef Omar i pod tymi nazwiskami występowali.
- Może później widziałeś ich papiery?
- Nie, ale oświadczam, że są tymi osobami za które je uważam.
- To mi nie wystarcza. Ponieważ jeden z nich jest chrześcijaninem oraz poddanym obcego mocarstwa i jako taki usiłuje, być może, ujść naszej sprawiedliwości, przeto wskazana jest najwyższa ostrożność i sumienność. Muszę widzieć ich dokumenty.
- Dokumenty? - zapytał Halef, śmiejąc się. - Czy sądzisz, że ja, wolny Bediun i szejka mego plemienia, noszę przy sobie paszport, kiedy udaję się w podróż?
- Widzisz jednak, że teraz jest ci potrzebny.

- Któż mi go miał wystawić? Gdzie jest ta władza, do której niezależny Ibn Arab mógłby się w takiej potrzebie zwrócić? Powia-dasz, że mi teraz paszport potrzebny? Po co i na co?

- Bo znajdujesz się przed sądem, który musi wiedzieć, kim jesteś.
- Spójrz na tego Ghasai! On też stoi przed sądem, jako świadek.

Czy okazał jaki paszport?

- To nie jest konieczne, bo go zna gospodarz!
- Czy ten widział jego paszport?
- To jest obojętne!
- Maszallah! Pułkownik zna nas, a ty mu nie wierzysz, natomiast pospolitego człowieka darzysz zaufaniem! Ten jest szynkarzem, a tamten wysokim oficerem!

Wtem skoczył ze swego miejsca Sefir, mimo że te słowa nie odno-siły się do niego, i zawołał wściekle:

- Czy można do tego dopuścić, aby oskarżony, tutaj, na tym miejscu, wobec tych, którzy go mają sądzić, pozwalał sobie na takie zniewagi? Zasłużył na chłostę, którą powinien natychmiast otrzymać! Halef sięgnął gwałtownie do pasa, gdzie wisiał jego korbacz. Gotów był popełnić nieostrożność. Dlatego nie dałem mu dojść do słowa i uprzedziłem go, odpowiadając Persowi:
- Kim jesteś, że pozwalasz sobie tutaj zabierać głos? Czy należysz do tutejszego sądu, czy jesteś przynajmniej obywatelem tego miasta? W tym wypadku twe samorzutne wtrącanie się byłoby jeszcze wyba- czalne.
- Kim jestem, to ciebie nie obchodzi! - odrzekł pogardliwie.
- Udowodnię ci, że obchodzi mnie więcej, niż ci się wydaje. Nie mamy najmniejszej chęci pozwolić na wtrącanie się do rozprawy człowiekowi, którego miejsce jest gdzie indziej, tylko nie przy boku najwyższego dostojnika obwodu Divanijeh!
- Jak ty to rozumiesz?
- Dowiesz się tego, kiedy mi się będzie podobało; teraz nie mam ochoty do tłumaczenia się przed tobą.
- Nie masz odwagi, a nie ochoty!

-Pah! Myśl, jak chcesz! Jeszcze się okaże, kto ma więcej odwagi, ja czy ty! ‘Ij~mczasem chciałbym zapytać, czy namiestnik Divanijeh wie

191 sam, co ma robić, czy też potrzebny mu jest pośrednik i wyręczyciel?

- Milcz! - sarknął namiestnik. - Ten człowiek jest moim przy-jacielem i pozwalam mu mówić, kiedy i co chce!

- To, co mu pozwalasz, nie może być brane pod uwagę. Ważne jest to, że ja mu zabraniam wszelkiego mieszania się do naszej sprawy. Jestem europejskim chrześcijaninem, a mój towarzysz wolnym Had-dediem; a zatem wasz sąd nie ma dla nas żadnej mocy. Jeżeli nie odmawiam wam prawa sądenia mnie, to j uż na pewno i przede wszystkim wypraszam sobie, aby człowiek, który nawet nie pochodzi stąd, lecz z Persji, pozwalał sobie na grubiafistwa wobec nas. Jeżeli nie uważasz, za swój obowiązek zabroni~ mu tego, będziemy zmuszeni zamknąć mu usta!

- Allah! Jak zamierzasz to zrobić?

- To się okaże w chwili, kiedy odważy się ponownie nas dotknąć.

JeŚl1 ~J~kO ‘LeC~IC~ Stall~ tltaj ptl.e,d waszymi oczyma nie jako oskar-żony, lecz jako oskarżyciel. Przede wszystkim nie uznajemy ważności sądowej waszego trybunału.

-Awięc udowodnij, że jesteś Europejczykiem i chrześcijaninem!

- Nic łatwiejszego! - Podjechałem na mym koniu wprost do niego, wydobyłem moje trzy dokumenty, podałem mu je i cofnąłem się na swoje miejsce.

Przejrzał dokumenty jeden po drugim, przeczytał je uważnie, sprawdził pieczęcie i podpisy, nie okazując dla nich przepisanego szacunku i rzekł głosem, który zdradzał wyraźnie rozczarowanie:

- Zgadza się! Jest tym, za kogo się podawał. Podlega chrześcijań-skiemu sędziemu i nie mogę zrobić nic innego, jak wyprawić go do Bagdadu.

- Słusznie! - wtrąciłem. - Tam zaś pierwszym moim obowiąz-kiem będzie zaświadczyć, że nie okazałeś należnej czci wobec pieczęci i podpisu patiyszacha. Zdaje się, że ja, jako chrześcijanin i cudzozie-miec, znam przepisy tego kraju lepiej, niż ty sam! Teraz, kiedy się przekonałeś, kim jestem, przedstawiam ci również mego towarzysza

192 jako słynnego Hadzi Halefa Omara, najwyższego szejka wszystkich Haddedińów z wielkiego

plemienia Szamrnar. Mam nadzieję, że nikt nie śmie słów moich podać w wątpliwość!

Tu odezwał się Sefir:

- Wątpię w to! Te papiery są sfalszowane. Chce dzięki nim ujść sprawiedliwej karze. Trzeba je podrze~, natychmiast podrzeć i wtedy należy do nas i nie będzie mógł nic zrobić przeciw wyrokowi sądu. Podaj mi je!

Dopadł namiestnika i wyrwał mu je z ręki. Dokumenty znalazły się w największym niebezpieczeństwie. Nie wolno mi było czeka~ ani chwili, wyrwałem więc rewolwer zza pasa, skierowałem go na Sefira i rozkazałem:

-Puść je natychmiast! Jeżeli ruszysz drugą ręką, będzie zmiążdżo-na!

Trzyznał papiery w lewej ręce; jedną ręką nie mógł ich podrzeć.

- Nie ośmielisz się strzelać przed sądem! - roześmiał się. - Patrz, jak strzepy pofruną!

Dotknął ich drugą ręką ... , wystrzeliłem dwa razy. Upuścił papiery, wydał okrzyk, machnął przed siebie zranioną~ręką i skoczył do mnie. Pod ostrym naciskiem kolana mój ogier nagłym susem powalił go na ziemię. W chwilę potem zeskoczyłem z siodła, podniosłem lewą ręką dokumenty, prawą uderzyłem go w głowę kolbą rewolweru tak, że, na wpół już wyprostowany, runął znowu, po czym wskoczyłem na siodło. Szanowni członkowie sądu porwali się z miejsc, jak szarpnięci sprężyną. Miotali się i krzyczeli o zbrodni; pułkownik zaś zawołał dwu-krotnie:

- afarim!, brawo! Słuchacze czynili hałas, był to moment wzburze-nia, którego nie wolno mi było przegapić.

- Jazda, Halefie, naprzód!

Rzucając Hadziemmu te słowa, pognalem konia poprzez gwałtownie gestykulujących i obłądnie krzyczących ludzi. Podążył za mną natychmiast i pocwałowaliśmy przez dziedziniec do miejsca, które sobie

7 - w lorharh Babilonu 193

uprzednio upatrzyłem. Udało nam się z łatwością przesadzić mur i wydostać na uliczkę, która, chociaż bardzo wąska, miała j ednak wylot na szeroką drogę. Potem przemknęliśmy szybko przez miasto, dopóki nie zostawiliśmy go za sobą. Na dobrze znanej nam drodze do Bag-dadu Halef odezwał się:

- Po co ten pośpiech, sisi? Kto ma takie konie, jak my, nie powinien obawiać się pościgu.

- To prawda, ale chcę, by nabrali przekonania, żeśmy szczęśliwi, iż uszliśmy cało i że Hilleh mamy już poza sobą. Również powinni sądzić, że ani myślimy tu wrócić.

- Czy chcesz powrócić?

- Naturalnie! Jeszcze dzisiaj.

-Hamdulillah! Domyślam się powodu! Wiem, co zamierzasz.

- ~?

- Zdruzgotałeś rękę Sefirowi; ale tego ci za mało, chcesz zakofi-czyć porachunki z nim. Czy me przypuszczenie jest słuszne?

- Tak.

- A więc powiem ci, zem powziął to samo postanowienie. Podał w wątpliwość naszą odwagę, pokażemy mu zatem, że ten dar Allaha posiadamy w daleko większym stopniu, niż on.

- Jeżeli o to chodzi, to jest mi obojętne, czy uważa mnie za tchórza, czy za śmiałka. Ale sądowni, a zwłaszcza namiestnikowi chcę wykazać, kto jest właściwym podsądnym, Pers czy my.

- Jak to sisi? Chcesz znowu zwołać sąd?

- Tak.

Szarpnął swego konia do wesołego skoku i zawołał z twarzą radoś-nie rozjaśnioną:

- Co za duma, co za godność! Oto co lubię i co dogadza mojemu sercu. Szacunek niechaj mają dla nas, szacunek dla ciebie i dla mnie! Niechaj się przekonają, że nigdy nie osiągną właściwości naszych zalet, jak również zalet naszych właściwości. Niechaj uznają, że nie

porównana jest nasza odwaga, przed którą wrogowie nasi padają 194 twarzą w proch! Zażądam od nich, aby mi wymienili człowieka, któremu Allah użył tyleż darów ciała i ducha, co nam! Niechaj w najgłębszej pokorze i uległości ...

- Cicho, Halefie! - przerwałem mu ze śmiechem. - Gdybym ci tak pozwolił perorować, okazałbyś się jeszcze lepszy niż sam Allah. Przypomnij sobie, z jak dostojnym majestatem stoczyliśmy się wczoraj z rumowiska wprost do rąk żołnierzy, a okażesz się sobie samemu w mniej olśniewającym ~wietle.

- O, sidi, nie przypominaj mi tego upadku! Czy jestem budowni-czym Babilonu? Czy odpowiadam za to, że cegły się rozluźniły. Po-wiadasz, że mnie lubisz, a jesteś tak względem mnie niesprawiedliwy! Zdarzył ci się jednak ten sam wypadek, czy robię ci z tego wyrzuty? Czy nie jest to dowodem, że mam bardziej pobłażliwe serce, niż ty? Jednakże, nie robię ci przykrości, bo jestem twoim przyjacielem i jako taki, radzę ci nie gramoli~ się nigdy tak, jak wczoraj!

- Wątpię jednak, czy uda mi się pójść za twoją radą.

- Dlaczego?

Bo wracamy do Birs Nimrud, gdzie, prawdopodobnie, wypadnie nam gramolić się jeszcze częściej, niż wczoraj.

- Jaką drogą masz zamiar wracać? Czy przez miasto?

- Nie. Ruszymy przez Euftrat.

- Wpław~

- Może, postaramy się jednak, o ile możliwości, zbudować tratwę.

- A kiedy zawrócimy?

- Jeszcze nie prędko. Jest rzeczą pewną, że będą nas ścigać, musimy więc udać, że chcemy jak najprędzej dosięgnąć Bagdadu. Dlatego pokażemy się w najbliższym khanie. Nasi prześladowcy, prawdopodobnie, dojadą do tego khanu, potem jednak zawrócą, dowiedziawszy się, że dzięki naszym koniom wyprzedziliśmy ich o tak znaczną odległość. Musimy się więc pośpieszyć, chociaż nie mamy się czego obawiać.

Podczas tej rozmowy zajechaliśmy tak daleko, że El Kulea 195 pozostało za nami po lewej stronie nad Euftrat. Dotarliśmy do kanału Wardijeh. Po jego przebyciu stanęliśmy w Dżimczima, skąd wysokie wały ziemne ciągnęły się w prostej linii na północny wschód, pod kątem zaś prostym, w kierunku północno zachodnim zwracały się ku rzece. Były to prawdopodobnie brzegi dawnego łożyska Eufratu. Dosięgnęliśmy potem rozstrzelonego na wszystkie strony Tell Amran Ibn Ali który

swoją arabską nazwę zawdzięcza grobowi muzułmańskiemu świętemu, i ujrzelśmy olbrzymie spiętrzenie zwalisk kasru. Kasr oznacza zamek; ta nazwa jest w ścisłym związku z genezą ruiny, gdyż kasr był rezydencją Nabuchodonozora, który wybudował sobie tutaj pałac - naprzekór swym ... przodkom, którzy rezydować zwykli w zamku na prawym brzegu Eufratu. Teraz jeszcze ruiny te mają kolosalne rozmiary, mimo że budowa całego zamku, jak donosi żydowski historyk w oparciu o Chaldejczyka Berozusa, trwała ponoć tylko piętnaście dni. Jeżeli się nawet zważy, że budulec był uprzednio przygotowany i nagromadzony i że cała praca polegała tylko na składaniu gotowych części, to jednak przedsięwzięcie wydaje się nie-wiarygodne. Odkopana w swoim czasie i znajdująca się obecnie w Londynie cegła zawiera, obok innych ważnych tekstów, następujący napis: Ina XV yumi sibirsa usaklil, co znaczy: w ciągu piętnastu dni wykończyłem to wspaniałe dzieło. Ileż tysięcy ludzkich rąk przyczyniło się do tego dzieła, aby je dźwignąć w tak krótkim czasie! To olbrzymie przedsięwzięcie było tylko jednym z wielu świadczących o twórczym rozmachu i aktywnej mocy Nabuchodonozora. Wspomniany napis zawiera także te dumne słowa: wzniosłem ten pałac, siedzibę mego królestwa, serce Babelu, w kraju Babilonu; ugruntowałem jego fundamenty głęboko pod łożyskiem neki i osnuwszy budowlę na walcach, otoczyłem ją asfaltowym obmurowaniem. Z Twoją pomocą, o Elki Boże Merodach, wzniosłem ten niezniszczalny pałac. Niechaj Bóg panuje w Babelu, niechaj obieże w nim swe siedlisko, niechaj pomnoży jego ludność siedmiokrotnie, niechaj przeze mnie rządzi ludem Babilonu po wsrystkie dni! Ale Pismo Święte powiada: po upływie dwunastu 196 miesięcy, gdy przybył na zamek Babilonu, król począł mówić: - Żyż nie jest to wielki Babilon, który wybudowałem dla wygody królów na znak mej władzy i na cześć mojej wspaniałości! - I za ledwie król wyzrekł ostatnie słowa, padł z nieba głos: - Tobie, o królu Nabuchodonozorze, obwieszcza się: Królestwo twoje będzie ci zabrane, ciebie odłączą od ludzi, dom twój będzie oddany na pastwę dzikich zwierząt; będziesz żarł trawę, jak wóś siedem okresów nad tobą ubiegnie, dopóki nie uznasz, że Najwyższy włada państwem ludzi i daje każdemu to, co mu się należy. Ten wyrok ziścił się, gdy mania wielkości zamroczyła jego ducha. W niespełna sto lat później ujrzał światło dzienne Girus, zdobywca Babilonu, potem zaś Aleksander Wielki położył kres perskiej satrapii po to, by w pełni sił twórczych umrzeć w tym pałacu. „Niezniszczalny” jak go nazywa napis klinowy, leży od niezliczonych już lat w gruzach! Bardziej na północ dosięgnęliśmy Mudżelibeh, zwaną inaczej Ma-klubeh edar Babil. Są to ruiny wiszących ogrodów, których nieskończone kosztowny przepych wskazuje na niezupełnie uleczony obłęd Nabuchodonozora.

Potem przebyliśmy kanał Nilowy i zatrzymaliśmy się na krótko w Tell Ukraineh, aby dać odetchnąć koniom. Nie spotkaliśmy dotąd żywej duszy; atoli teraz zobaczyliśmy trzech jeźdźców, którym, jak się zdawało, było bardzo śpieszno. Nie przybywali wprost z khanu Mo-hawid, lecz, najwidoczniej, po zatoczeniu dokoła niego łuku, kierowli się dopiero teraz na prowadzącą odeń drogę. Należało stąd wnosić, że mieli swe przyczyny, aby ich tam nie widziano. Kto jednak obawia się cudzych oczu, budzi podejrzenia, toteż spoglądaliśmy ku nim z nieufnością.

Kiedy się zbliżyli, stwierdziliśmy, że byli ubrani po persku i, po kilku chwilach, poznaliśmy ich.

-Maszallah! - zawołał Halef. - To przecież Peder-i-Baharat ze swymi dwoma zbirami! Co za spotkanie! Któżby to przypuszczał!

- To było nie tylko możliwe, ale i bardzo prawdopodobne, - odrzekłem. - Wiemy przecież, że

- Czy nie przychodziło ci na myśl, że należy go wyminąć?

- Ba, nie trzeba obawiać się otwartego spotkania. W Bagdadzie musielibyśmy się wystrzegać jakiegoś przewrotnego wybiegu, nato-miast tutaj nie mamy najmniejszych powodów do ukrywania się. Sądzę raczej, że to oni mają powody do unikania nas.

-Słusznie, effendi. Terazjestem ciekawjak się zachowają. Jestem przezorny i dobywam korbacz z za pasa!

Siedzieliśmy na ziemi, konie nasze stały między nami a zbliżający-rni się jeźdźcami, którzy z tego właśnie względu nie poznali nas, póki nie podjechali bliżej. Gdy wzrok Peder-i-Baharata padł na nas, szarp-nął mimo woli konia w tył i w oszołomieniu zaklął wściekle:

- Patrzcie, kto tu siedzi! - zawołał do swych towarzyszy. - Allah dale nam ich do rąk; pošlemy ich natychmiast do szejtana! Chwycił za brofi, aby do nas wymierzyć, lecz Halef stawił mu czoło kierując wefi karabin i rzucając ostrzegawczo:

- Precz z tym, wpakuję ci kulę w łeb. Byłbyś tak wielkim łotrem, aby pošłać nas tam, skąd sam pochodzisz? Idź precz, bo przypalirny wam pięty! .

Ponieważ i ja złożyłem się do strzału, żaden z nich nie odważył się dać ognia. Ale wściekłość Pedera była tak wielka, że mimo wycelowa-nych doń karabinów, krzyknął:

- Nie myślcie, psy, że będzie wam darowane to, coście zrobili!

Złapiemy was kiedy indziej. Wytniemy z waszej skóry pasy i zaćwiczy-my was na śmierć. Niech Allah zmiadźdy wasze kości! I pognali dalej. Halef nie mógł, oczywiście, puścić tej pogroźki mimo uszu.

- Oby diabeł ugotował twoje gnaty i dał swej prababce do zjedzenia! - zawołał.

Potem zwrócił się do mnie z uśmiechem:

- Sidi, czy nie udało mi się z tymi łotrami wymścienie?
- Tak, jesteś wyjątkowo dzielnym wojownikiem, podziwiam cię, Halefie! 198
- Nie kpij sobie ze mnie! Musiałem mu przecież odpowiedzieć, bo byłoby tchórzostwem pozostawić mu ostatnie słowo. Jak ten durefi śmie nam grozić, że nas złapie i porachuje się z nami? Toć widzi, że jesteśmy na drodze do Bagdadu!
- Mylisz się. Nie widział nas jadących, lecz siedzących, a zatem nie wie, że byliśmy już w Hilleh, natomiast jest pewien, że przybywamy z Bagdadu i że nas pierwszy doścignął. Dlatego jest przekonany, że zobaczy nas wkrótce.
- To bardzo możliwe, bo zamierzamy wrócić do Birs Nimrud.

Dowie się na pewno od Sefira, że byliśmy już tam i że oczywiście, uciekliśmy do Bagdadu.

- O wiele ważniejszy jest dla mnie fakt, że Peder-i-Baharat ominął khan Mohawid. Musiał mieć po temu powody.
- Ale jakie, effendi?
- Przypuszczam, że są tam ludzie, którym nie chciał się pokazać.

Czy nie domyślasz się, jacy to ludzie?

- Domyślać się? Ja? Sidi, wiesz przecież, że przenikam od razu wszystko, co tylko zjawi się przed moimi oczyma. Ale nie mogę widzieć rzeczy, które są ukryte przed moim wzrokiem! Dlatego wszelkie domysły pozostawiam tobie; od tego zwyczaju nie odstąpię i w tym wypadku. Zatem powiedz, co to za ludzie?
- Nie mogę twierdzić z pewnością, ale sądzę, że moje przypuszczenia są trafne. Jestem mianowicie zdania, że kanvan-i-Piszkhidmet baszi obozuje w khanie. Ludzie tej karawany znają Pedera, dlatego też wysłał Sefir dwóch goficów, aby go ostrzec. I bez tego ostrzeżenia ma się na baczności, toteż pojechał okólną drogą. Teraz szuka Seffra, aby mu zameldować, że Piszkhidmet baszi jest już blisko i że można już dokonać napadu.
- Sidi, czy nie sądzisz, że musimy ostrzec tych ludzi?
- Tak, to nasz obowiązek. Mam nadzieję, że nam uwierzą.
- Dlaczego mieliby wątpi~ o prawdziwości naszych słów?
- Zdarzało mi się często, że właśnie takie życzliwe ostrzeżenia

199 przyjmowano z nieufnością. Czy możemy dostarczyć dowodów, jeżeli takich zażądamy?

- Właściwie, dowodów nie mamy. Ale jeśli ktoś się odważy powiedzieć mi w oczy, że mi nie wierzy, wtedy oświecę jego ciemny rozum promieniami mojego korbacza. Chodź, ruszamy w drogę! Chcę jak najprędzej przekonać się, czy rzeczywiście karwan-i-Piskhid-met baszi obozuje w khanie.

W sidłach Sefira

Pojechaliśmy dalej i po niecałej godzinie ujrzelśmy przed sobą khan. Skierowaliśmy konie ku bramie. Gdy stanęliśmy przed bramą, pierwszy rzut oka przekonał nas, że karawana jest już na miejscu. Prócz niej znajdowały się tutaj liczne grupy pielgrzymów i karawana śmierci, której członkowie skromnie kryli się po kątach, bowiem transport ochmistrza dworu był tak wspaniale wyposażony, że nikt nie śmiał się zbliżyć do jego ludzi. Jednakże my wjechaliśmy bez żenady wprost między tłumy.

To niewymuszone zachowanie się wzbudziło niezadowolenie; po-chwyciliśmy pomruki i zauważyliśmy nieprzyjemne spojrzenia, który-mi jednak nie przejęliśmy się zbyt.

Karawana składała się z dwunastu dobrze uzbrojonych jeźdźców, przybyłych na koniach i z sześciu jucznych wielbłądów obciążonych wartościowymi pakami. Dobór koni świadczył o dostatku; jeden był prawdziwie pięknym okazem skrzyżowania arabskiej i turkmeńskiej rasy. Należał prawdopodobnie do Piśzkhidmet-baszi i był ozdobiony bogatym rzędem ze srebra i platyny. Ten pokaz dobrobytu w tutej-szych okolicznościach był rzeczą najmniej rozumną: pobudzał bowiem instynkty rabunkowe.

201

W cieniu namiotu rozpostarto kosztowny dywan, na którym roz-pierał się ochmistrz dworu, paląc swój hukah, cybuch wodny. Był to trzydziestoletni mężczyzna o czarnej brodzie, ubrany nad wyraz okazale, a to dla podkreślenia swego stanowiska. Strój miał haftowany w złote wzory; miękki szal kaszmirowy obejmował jego stan; czarna wysoka czapka była jedną z najdroższych, jakie kiedykolwiek widziałem, a brofi połyskiwała od drogiej inkrustacji. Co za nieostrożność~ pośród ludności, która grabież uważała nie za zbrodnię, lecz za intratny sport! Podobnie, choć mniej okazale byli ubrani jego towarzysze.

Na nasz widok pchnął jednego z nich z żądaniem, abyśmy się przed nim stawili.

- W jakim celu? - zapytałem.

- By powiedzieć pokornie, kim jesteście i wykazać, że macie prawo znajdowania się w

zaszczytnym sąsiedztwie jego osoby.

- Tak? Cóż to za jeden?

-Jest to Piszkhidmet-baszi Władcy Świata i tytułuje się Aemin-i-Huzur.

Jegomość wyrzekł to w sposób tak uroczysty, a na twarzach otacza-jących go towarzyszy malowało się tyle namaszczenia, że musiałem odpowiedzieć tonem pogardliwym:

- Władcy świata? Gdzież jest ten regent, który włada światem?

Piszkhidmet-baszi? A więc urzędnik, wykonywujący zlecenia! Ae-min-i-Hu~ur? A więc szef czyjejs asysty, lecz nie mojej! Nie jestem niczym sługą, jak on, jak więc możesz zalecać mi pokorę w stosunku do niego?

- A więc odmawiasz posłuszeństwa? - zapytał surowo.

-Pah! Czyjestem kamerdynerem podjego rozkazami? Czyjeste-śmy w Persji? Wyście obcy; podobnie jak my, zawinęliście tutaj, aby wypocząć; mamy zatem równe prawa. Jest mi zupełnie obojętne, kim jesteście; cóż was obchodzi, kim my jesteśmy? Jeżeli zaś wasz Piszkhidmet-baszi ma jakieś życzenia, niech sam przyjdzie do mnie, bo 202 rozkazywać tutaj nie ma prawa!

- A więc nie chcesz udać się do niego? - zapytał tym samym, co poprzednio, bezwzględny tonem.

- Nie.

- Potrafimy cię zmusić!

- Spróbuj! Nazwałeś jego bliskość zaszczytną, ale my wiemy, że zaszczytu należy szukać w innym miejscu, niż w pobliżu osób, które nawet nie znają praw najzwyczajniejszej uprzejmości, obowiązującej naj-prostszego śmiertelnika.

- To jest obraza! Jeżeli dobrowolnie nie pójdziecie za nami, będziemy musieli użyć przemocy!

Usiadłem na ocembrowaniu studni, wziąłem do ręki sztucer, wska-załem na sznur przewieszony opodal, na którym gospodarz porozwie-szał cebule i rzekłem:

- Spójrzcie na ten rząd bassal! Trafię pierwsze pięć z lewej strony.

Uważajcie!

Podworzec był szeroki, cebule wisały w odległości około dziewięć-dziesięciu kroków od nas, wystrzeliłem pięć razy i za każdym razem trafiłem we wskazany cel. Niektórzy Persowie pobiegli do cebul, po powrocie potwierdzili ze zdumieniem, że trafiłem pięć razy bez ładowania, mimo że moja broń miała jedną tylko lufę.

- To czarodziejska broń - objaśnił Halef. - Ten wszechmwiato-wej sławy emir i effendi strzela dziesięć tysięcy razy i więcej bez ładowania. Czym więc jesteście wobec nas?

Zrobił lekceważący ruch ręką. Dodałem spokojnym tonem:

- Chciałem wam tylko pokazać, co was czeka, jeśli poważycie się podnieść na nas rękę. Jest was dwunastu i w dwunastu krótkich mgnieniach dwanaście kul z mej broni powali was na ziemię. A teraz róbcie, co wam się podoba!

W zakłopotaniu spoglądali jeden na drugiego. Mój sztucer wypełnił, jak zwykle, swą powinność i nakazał Persom respekt. Najwyższy ochmistrz był, oczywiście, świadkiem zajścia i tak samo strapiiony jak 203 towarzysze jego, zawołał do swych ludzi:

- Odejdźcie od niego! Z takimi gruboskórnymi ludźmi, jak ci dwaj, my, podróżnicy pozostający pod ochroną Wszechwładcy, nie powinniśmy przestawać. Urodzili się na najniższym szczeblu społeczeństwa i wychowali się w ciemności niewiedzy, dlatego też zachowują się jak ludzie nieokrzesani; ich towarzystwo plugawi. Gardzimy nimi!

Na te słowa podwładni jego natychmiast się cofnęli. Ale teraz wszedłw grę nowy czynnik, o którym istnieniu ochmistrz nie mógł nic wiedzieć; mój popędliwy i w sprawach honoru wysoce drażliwy Hadzi sądził, że obrazy wypowiedzianej przez ochmistrza nie powinien puścić płazem. Zeskoczył więc z ocembrowania, na którym siedział przy mnie, podbiegł do Persa i przemówił w gniewie:

-Coś ty powiedział? Najniższy szczebel społeczeństwa i ciemnota niewiedzy. Znasz widzę, bardzo dokładnie ów szczebel i ową ciemnotę z własnego doświadczenia! Nam dwom są one jednak nieznanne! Śmiałeś także przepuścić przez swe nigdy nie wycierane wargi słowo pogardy? Kim jesteś, właściwie, że pozwalasz sobie mówić tym wysokim, lecz niebezpiecznym tonem? Pełzasz w przedpokoju swego pana, jak jaszczurka po ziemnych norach; padasz przed nim na kolana i bijesz łbem o ziemię przed jego stopami. Jesteś fagasem kaprysów i niewolnikiem jego humorów. Strojów i broni, w których się puszysz, nie zdobyłeś jak mężczyzna o pełnym honorze, lecz wyżebrałeś je, zlizując plwociny swego pana, jak miód. My natomiast jesteśmy wolni i niezależni. Robimy co nam się podoba, i zginamy swe karki tylko

przed Allahem, nigdy za~ przed żadnym z jego stworów, nawet wtedy, gdy ten każe się nazywać władcą świata. Kto zatem jest wyższy - ty, czy my? I komu należy się pogarda, która uraziła nasze uszy, nam, czy tobie?

Mały, odważny zuch wyrzucił z siebie tę karcącą mowę z taką szybkością, że niepodobna było go zatrzymać; atoli, gdy zrobił pauzę, by złapać~ tchu, najwyższy ochmistrz wyrwał sztylet zza pasa i krzyknął 2~14 wściekły:

- Milcz, psie! Jeżeli jeszcze jedno słowo powiesz, przebiję cię sztyletem albo każę dać baty, że ci skóra odskoczy! Również ludzie jego przybrali groźną postawę; Hadzi jednak ani myślał spuszczać z tonu. Wskazał na mnie, trzymałem sztucer w pogotowiu i rozpoczął z głośnym śmiechem:

- Coś ty powiedział? Mnie przebić? Spójrz na mego effendiego!

Zanim zamierzysz się swym sztyletem, jego kula przewierci ci brzuch. Mnie dać baty? Czy masz szpicrutę? Nie widzę żadnej! Spójrz, przy moim boku za to zawsze wisi korbacz spleciony ze starannie powią-zanych hipopotamich rzemieni; rozmawiał z grzbietem już niejednego człowieka, który za wysoko zadzierał nosa, a któremu nasze razy przywracały pokorę i grzeczność. Nie sądź, że się was lękamy, dlatego że was jest dwunastu, a nas dwóch! Nigdy nie liczyliśmy naszych przeciwników, im więcej was, tym przyjemniej dla nas. Powiem ci, co gotowiśmy zrobić; mój effendi utrzyma was swoim sztucerem w sza-chu; każdego, kto podniesie rękę, postrzeli natychmiast; ja zaś biorę, jak widzisz, mój korbacz do ręki i wytrzępię każdemu uszy, kto ośmieli się obrazić nas jednym choćby słowem. Nazwałeś mnie psem! Miej się na baczności i nie zmuszaj mnie do tego, abym ci pokazał, kto tutaj jest panem, a kto powinien być traktowany, jak pies! Hadzi stał przed Persem, który zeskoczył ze swego dywanu, i potrząsał szpicrutą przed jego twarzą. Ochmistrz był, oczywiście, wściekły; w innych okolicznościach byłby się zachował inaczej. Ale widział dobrze lufę mojej broni wprost na siebie skierowaną, palec trzymałem na spuście i to go powstrzymywało od śmielszych gestów. Przypuszczał, być może, że moja groźna postawa nie jest dlań niebezpieczna, że przecież strzelać nie będę, ale między przypuszczeniem a pewnością jest duża różnica, on zaś nie był na tyle spokojny, aby różnicę tę ocenić: Wida~ było po nim, że szukał sposobu wyjścia z zatargu bez blamażu, i istotnie, pomógł mu fakt, który niespodzianie nastąpił.

205

Scena wzbudziła ciekawość i innych, obecnych w khanie ludzi, którzy skupili się i obserwowali jej przebieg. Stał tu również gospo-darz z paru żołnierzami, przydzielonymi dla ochrony miejscowości. Jako pierwszy urzędnik miał obowiązek dbania o spokój i ład. Wszak-że zdawał się być leniwym i mało aktywnym człowiekiem, który bynaj-mniej nie zamierzał zająć się naszą sprawą. Żołnierze jego uśmiechali się z zadowoleniem, intermezzo bawiło ich; to była wesoła rozrywka w szarej nudzie codzienności. Podobnie zachowywali się pielgrzymi, członkowie karawany śmierci i innych. Tylko jeden z nich zdawał się okazywać chęć wzięcia bezpośredniego udziału w rozprawie. Jego ostro wyciosana twarz, zagorzała od słońca, drgała wymownie i żywo; nie stał spokojnie, lecz poruszał się

nieustannie, chcąc przyjrzeć się badawczo bądź mnie, bądź Halefowi. Widziałem, że coś go korciło i rzeczywiście, na widok tchórzliwej chwiejności Persa przystąpił dofi skłonił się i rzekł:

- Hazreti, wybacz, że się do ciebie zwracam! Mogę ci dostarczyć~ informacji o tych dwóch ludziach.

Ś..

- Kim jesteś - zapytał Aemin-i-Huzur, jawnie uradowany tym nieoczekiwanym wyjściem z nader przykrej sytuacji.

- Byłem dzielnym wojownikiem Beduinów Obeidów, ale z winy tych dwóch, których oby Allah poszarpał, zostałem wyrzucony z ple-mienia i teraz muszę, żeby nie głodować, służyć obcym ludziom. Twarz tego człowieka wydawała mi się znajoma, jednakże nie mogłem sobie uprzytomnić, gdzie i kiedy go widziałem; wtem Halef zbliżył się do mnie i rzekł szeptem:

-Sidi, poznaję go, jest to jeden z dwóch szpiegów, których niegdyś ukaraliśmy hafibą, każąc im obciąć brody.

Natychmiast przypomniałem sobie tę historię, Halef miał rację. Obydwaj Beduini zostali dzięki tej karze zbezczeszczeni i na skutek tego wyrzucono ich z plemienia. Teraz osobnik pochwycił nieoczeki-waną sposobność~, aby wyrzucić swą zemstę. Nie zląkłem się jednak ani ja, ani Hadzi. Mój mały Halef z uśmiechem zasiadł z powrotem 206 na ocembrowaniu studni.

Pers spoczął na dywanie, schował sztylet do pochwy, przybrał dostojną pozę i zwrócił się do byłego Obeidy:

- Opowiedz, co wiesz o nich! Jeżeli masz przeciw nim jakieś słuszne pretensje, jesteśmy gotowi ci pomóc.

- Pretensja moja jest nie tylko sh~szna, ale i krwawa - zawołał ośmielony Beduin -gdyż hafiba, jaką mnie okryli, może być zmazana jedynie krwią. Posłuchaj, o panie! Plemię Haddedihnów było przed laty w zatargu z Obeidami; przygotowaliśmy się do wojny, przy czym nasz szejk wysłał dwóch wywiadowców, aby wybadać zamiary Hadde-dihnow. Jednym z tych wywiadowców byłem ja, Allah chciał, żeby zdarzyło się nieszczęście; zostaliśmy ujęci i oddani starym kobietom po to, by nam obciąły brody. Przez to straciliśmy cześć i zostaliśmy wyrzuceni z naszego plemienia.

- Mówisz o sobie, chciałeś jednak mówić o nich!

- Wybacz! Zaraz wszystko wyjaśnię. Nie znałam jeszcze wówczas tych ludzi, ale później poznałam ich dobrze i wiele o nich słyszałam. Ten mały nazywa się Hadzi Halef Omar i jest szejkiem Haddedih-nów ...

- Czym są Haddedihnowie? Sunnici?

- Tak.

- A więc Allah ich i jego przeklnie i wyniszczy! Jak mógł przestąpić próg tego khanu, który został zbudowany wyłącznie dla wyznawców świętej szy'i? Skoro tylko pójdzie precz trzeba będzie to miejsce oczyścić z jego smrodu.

-Allah, Wallah! Smród drugiego jest o wiele jeszcze gorszy!

- Jak to?

- Bo nie jest ani sunnitą, ani szyitą, i w ogóle żadnym muzułmaninem.

- Czym więc?

- Jest niewiernym chrześcijaninem.

- Chrześcijaninem? - pochwyił Pers. - Czy to możliwe? Czy to do pomyślenia? Czy widziano kiedy tak straszliwe zbrukanie świętej drogi pielgrzymów? Co robić? Opamiętajcie się, ludzie! Bestia jest między nami, potwór ziejący ohydą! Rzućcie się na tego łotra, wynieście go precz, żywego lub martwego, poza wrota! Halef znowu ujął korbacz i chciał zerwać się z ocembrowania, ale powstrzymałem go, mówiąc:

-Zostań! To staje się interesujące. Jestem ciekaw, czy odważą się targnąć na mnie.

Nie mieli odwagi; klęli i urągali na rozmaite sposoby, ale pozostali na miejscu. Obeida utwierdził ich w tej małodusznej postawie, zwróciwszy się do nich z ostrzeżeniem:

- Bądźcie ostrożni! Ten niewierny jest wam nieznany, ale ja go znam; słyszałem wszystko, co o nim opowiadają.

- Przeczysz sobie samemu! - rzucił ochmistrz. - Najpierw oskarżasz go, potem ostrzegasz nas przed nim!

- Bo nie chcę, abyście zostali pobici.

- Przewyższamy go siłą!

- Nie w walce! Jest mocny i zwinny, jak pantera i powala lwa w nocy jedną jedyną kulą: Ta

duża i ciężka broń, która leży obok niego, ma naboje lecące na odległość wielu dni drogi, a trafiają zawsze tego, w kogo wymierzone zostały. W walce wspomaga go szatan, jego sojusznik. A z tej małej broni może, nie ładując, strzelać tyle tysięcy i milionów razy, ile zechce, bo broń ta sporządzona została w piekle, gdzie wszyscy jego przodkowie przebywają. W walce nie sprostacie mu, jeden jest tylko Srodek, któtym, bez narażenia swego życia, można z nim skończyć; to podstęp!

Przy tych słowach omal nie wybuchnąłem śmiechem. Że w mojej obecności zalecał podstęp, było przecież wyraźnym dowodem tego, że sam w tej kwestii nie ma pojęcia. Również i Pers był tego zdania; popatrzył nań ze zdziwieniem, pokiwał głową i rzekł:

- Nie wolno nam atakować, mamy go wziąć podstępem? I mówisz to nam w jego obecności? 20~
- Dlaczego nie? Wie przecież o wszystkim czy słyszy, czy nie, bo jego przebiegłość przewyższa siłę jego ciała i niechybność jego broni.
- A więc mamy go pokonać podstępem? Czy nie chciałbyś nam poradzić, w jaki sposób, jakim to podstępem?
- To już wasza rzecz! Ostrzegłem was, a co do niego, zdradziłem wam jego tajemnicę, teraz możecie robić, co się wam podoba.
- Czuję, że sam masz stracha, i to wielkiego. Ale ja go się nie boję i wiem, co mam czyni~!

To były tylko słowa; bał się mimo wszystko, bo zamiast przedsię-wzią~ przeciw mnie jakieś kroki, czynne czy słowne, zwrócił się do stojącego w pobliżu gospodarza:

- Jesteś wyznaczonym przez paszę dozorcą khanu?
- Tak, hazreti, - skinął zapytany z uśmiechem zakłopotania.

Oczywiście, słyszał ostrzeżenie Obeida, naskutek czego bał się niezmiernie Halefa i mnie, tym bardziej, że z niepokojem myślał o zachodzącej konieczności wystąpienia przeciw nam w jakikolwiek sposób.

- Czy khan leży na drodze ku świętym miejscom wyznawców szy'i, przez Allaha miłowanych i błogosławionych? - pytał dalej Pers.
- Tak.
- Jest zatem przeznaczony tylko dla tych wiernych?

- Tak.
- A więc wstęp niewiernego musi być poczytywany za śmiertelną obrazę tego miejsca?
- Tak.
- Musisz zatem czuwać, aby khan odpowiadał przeznaczeniu, dla którego został zbudowany.
- Tak.
- I z całą surowością masz udaremniać wszelkie nieprawne i niegodne użytkowanie tego miejsca.
- Tak.

Niezwykłą przyjemność sprawiało mi to, że dobrze odżywiana, 209 okrągła twarz khandżiego przy każdym „tak” wydłużała się coraz bardziej. Jednakże Pers torturował go dalej:

- Słyszałeś, że wśród tych murów znajduje się chrześcijanin?

- Tak.

- A więc żądamy od ciebie natychmiastowego wykonania obowiązku! Obecność tego człowieka jest wołającą o pomstę do nieba zbrodnią przeciw Allahowi, przeciw prorokowi, przeciw przykazaniom islamu i wszystkim jego wyznawcom, tutaj się znajdującym. Żądamy jak najszybciej i jak najcięższej kary dla przestępców. Słyszysz? Jeżeli się zawahasz, co uważam za niemożliwe, zaskarżę cię przed naszym wszechwładcą, który rozkaże padyszachowi, aby cię skazał na dziesięciokrotną chłostę i karę śmierci! Gdy najwyższy ochmistrz skoficzył swą mowę oskarżycielską, twarz dozorca khandżiego była tak wyciągnięta, że dalsze jej wydłużanie się, choćby o jeden wielbłądzi włos, było niemożliwe. W tym samym stopniu urosło jego zafrasowanie i nie wiedział, co i jak począć. Wzbudziło to we mnie współczucie dla tego łagodnego, spokojnego człowieka. Zabrałem więc głos, zwracając się do niego:

- Podejdź bliżej do mnie, khandżi! Dotychczas słuchałeś innych, powinieneś więc poznać i nasze zdanie. Ale bądź grzeczny, inaczej brofi nasza zostanie puszczona w ruch!

Miał takiego stracha, że o parę jedynie kroków postąpił naprzód.

- Czy ten khan istotnie jest tylko dla wyznawców szii? - zapytałem.

- Tak - skinął.

- Dla innowierców jest zakazany?

- Tak.
- Czy jesteście szyitami?
- Nie.
- A twoi żołnierze?
- Też nie.
- Jednakże wy przebywacie tutaj? I to jako urzędnicy? Także i

Obeida, który nas oskarżył, nie jest szytą. Szanuję prawo, spodziewam się jednak, że inni je też uszanują. Jeżeli ten khan jest tylko dla szytów, to wszyscy, którzy nimi nie są, muszą go natychmiast i na zawsze opuścić. Pakuj więc swoje i swych żołnierzy manatki. Skoro tylko wyjdziecie stąd, zabierając ze sobą Obeidę, opuścimy natychmiast khan.

Z prawdziwą rokoszą oglądałem twarz tego nieboraka, złamanego troską. Ciągnąłem dalej:

- Prócz tego uważam za konieczne, aby każdy, kto się podaje za szytę, wykazał to. Kto tego nie uczyni, musi również opuścić khan. Czy ludzie, którzy traktują nas, tak wrogo okazali ci swe świadectwa?

- Nie.

- A więc pokażę ci najpiękniejsze moje. Żądam jednak, abyś okazał względem nich cześć należną przepisaną pod groźbą najsurowszej kary!

Po raz drugi już dzisiaj wyjmowałem z kieszeni dokumenty; rozwinąłem je i podałem dozorczy khanu. Było mi obojętne, czy umie czytać.

Spojrzał na pieczęcie i krzyknął przerażony:

- Maszallah! Burujultu, jol teskeressi i nawet firman, wszystkie z własnoręcznym podpisem Wielkorządcy, który jest ulubieńcem Alla-ha i całego nieba!

Przyłożył pieczęcie do czoła, ust i serca, i po trzykroć pochylił się głęboko prawie do ziemi. Potem zwrócił mi je, Wydobyłem jeszcze czwartą i ciągnąłem dalej:

- Ponieważ nasi przeciwnicy podają się za ludzi z Persji, chcę ci dowiedzieć, że i tam cieszymy się najwyższym szacunkiem i życzliwością. Najwyżsi dostojnicy muszą okazywać nam cześć jaką na podstawie tego oto pisma wymagać mamy prawo. Czy znasz perski język? Przy tym zapytaniu podałem mu perski firman.

- Czytać nie umiem - odrzekł tonem głębokiego poważania.

- A więc zawiadamiam cię, że ten firman był przez szachinszacha własnoręcznie podpisany i przypieczętowany. Napis na pieczęci

211 brzmi: „Skoro tylko ręka Nasr-ed-Dina pieczęci państwowej dotyka, głos sprawiedliwości napełnia świat od gór aż do wnętrza ziemi!” Mam nadzieję, że uznasz, iż moją obecność tutaj opromienia zarówno przychylnie wielkorządcy, jak i szacha perskiego, powinieneś zatem stosownie zachować się względem nas. Nie jesteś perskim poddanym, możesz więc wyśmiać się z pogrózek, jakie ten domniemany Piszkhid-met-baszi wytoczył poprzednio. Natomiast moje świadectwo nie tylko cię umocni na tym stanowisku, ale wyniesie jeszcze wyżej! Mimo, że był Turkiem, okazał względem perskiego firmana tak samo wysoką cześć i zwrócił mi go z nabożną ostrożnością.

- Proszę cię pokornie, o ulubieńcze wielkorządcy, abyś zeznał w Bagdadzie i Stambule, że nie uraziłem was ani miną, ani zgłoską, albowiem pierwsze spojrzenie rzucone na was powiedziało mi, że wszystkie fortece państwa stoją dla was otworem, a więc i wrota tego khanu. Uważaj mnie za swego sługę! Jestem gotów wykonać natychmiast wszystkie twe rozkazy!

- Spodziewałem się tego! Przede wszystkim wymagam, aby i ci rzekomi Persowie dowiedli, że są Persami, a zwłaszcza szyitami. Myśmili się wylegitymowali; teraz kolej na nich!

- Masz słuszość. Oczekuję, by temu żądaniu uczynili zadość!

Odwrbił się ode mnie do ochmistrza. Temu ostatniemu mocno zaimponowałem moim perskim firmanem. Brofi, poprzednio skierowaną przeciwko mnie, widział teraz w moim ręku; zmieszany wyraz jego twarzy pozwolił mi przypuszczać, że nie był w stanie okazać żądanego dokumentu. Spróbował zamaskować to pewnym siebie tonem zapytując wyniośle khandziego:

- Czy to możliwe, abyś miał odwagę żądać ode mnie dokumentów? Byłeś dotychczas święcie przekonany, że jestem rzeczywiście Piszkhidmet-basim szacha perskiego, a tu naxaz, na skutek słów tego obcego przybysza, żądasz ode mnie dowodów! Czy twoja godność muzułmanina jest tak słaba, że wystarczy lekkiego powiewu z kraju niewiernych, aby ją zdmuchnąć?

- Chodzi tutaj o moją godność urzędnika wielkorządcy. Skoro ujrzałem jego, przez Allaha błogosławioną pieczęć, muszę wypełnić obowiązek, nie pytając o wiarę i religię tego effendiego, który mi wykazał, że znajduje się pod szczególną pieczęcią padyszacha. Rozpocząłeś z nim sprzeczkę, roszcząc sobie prawo rozkazywania. To prawo nie przysługuje ci nawet z tytułu Piszkhidmet-baszi, ale, że się za takiego podajesz, obowiązkiem moim jest zażądać od ciebie dowodów!

- Moi podwładni mogą zaświadczyć, kim jestem!

- Ich słowa nie są dla mnie miarodajne, bo ich nie znam. Jeżeli jesteś tak wielkim panem, że ciągle się obracasz w zaszczytnym otoczeniu szachinszacha, musisz posiadać jakikolwiek jego podpis i pieczęć. Skoro ten obcy effendi posiada i jedno i drugie, jasnym jest, że tobie powinno być o wiele łatwiej podobne pełnomocnictwa od swego pana uzyskać.

- Nie prosiłem o nie, bo uważam za zupełnie niemożliwe, aby ktoś śmiało wątpić w prawdziwość moich słów. Mam przy sobie listy mego pana, które muszę doręczyć w miejscu świętym i które z tego względu mogą być pokazane tylko temu, dla kogo są przeznaczone.

- To nie jest dostateczne! Sam mówiłeś, że tylko szyicy mogą tu przebywać i że każdy innowierca musi khań opuścić. Jeżeli mi nie udowodnisz, że jesteś wyznawcą szyi, będę zmuszony, według twojej własnej woli, ciebie i twoich ludzi wydrzeć poza bramę khań!

- Co za hańba - zawołał Pers - Słuchać podobne brednie!

- Jesteś obcokrajowcem, który nie może się wylegitymować, musisz więc mi być posłuszny, jako dowódca tego placu.

- A co będzie, jeżeli ci odmówię posłuszeństwa?

- Wtedy napiszę raport, który wyślę, gdzie należy i przytrzymam was tutaj tak długo, dopóki nie nadejdzie odpowiedź.

- Nie pozwolimy się trzymać tutaj!

- Niech cię Allah uchroni przed zgubnym oporem! Moi żołnierze nie boją się was, a ten dobrze uzbrojony effendi ze swym dzielnym

213 szejkiem Haddedińców na pewno mi pomogą. Widzieliście, jak strze-lać potrafi!

Ochmistrz spojrzawszy wokół po swych ludziach wzrokiem pytającym; mieli teraz inne twarze niż poprzednio; pierwotny wyraz posłusznej gotowości zupełnie zniknął. Moja próba strzelania i przedłożone papiery wywarły pożądane wrażenie; khandzi miał humor, ochmistrz natomiast był

strapiiony. Mój mały dzielny Hadzi żartował, sięgnął do pasa po broń i zapytał mnie tonem stanowczym:

- Naturalnie, zgadzasz się effendi? Czy mamy tym ludziom natychmiast pokazać, jak dwaj doświadczeni wojownicy radzą sobie, aby obezwładnić dwunastu przeciwników?

- Tak, zrobimy to, ale w inny sposób, niż sądzisz - odrzekłem. - Właśnie dlatego, że nie jestem muzułmaninem, lecz chrześcijaninem, postaram się ten zatarg, za który nie ponoszę winy, rozwiązać pokojowo.

Zwróciłem się do khandziego:

- Czy uznasz za wiarygodne, jeżeli ktoś, kogo znasz, da ci zapewnienie, że ten perski mirza jest istotnie, Piszkhidmet-baszim szacha?

- Tak - odrzekł.

- Powiedz zatem, czy znasz mnie?

- Ciebie? Oczywiście! Okazałeś mi najwyższe dokumenty, dzięki którym poznałem cię tak dobrze, jak gdybym, wybacz mi śmiałość, od młodości przebywał w twoim towarzystwie.

- A więc uwierzysz moim słowom?

- Jak moim własnym!

- Dobrze, zapewniam cię więc, że ten mirza jest doprawdy tym, za kogo się podaje i proszę cię, abyś mu pozwolił zabawić w khanie jak długo mu się spodoba!

- Rzekłeś, i tak się stanie, effendi!

- Maszallah! - krzyknął Halef. - Potwierdzasz obrazy, jakimi nas uraczono, tą swoją wielką nieuzasadnioną dobrocią. Jak możesz pozbawić mnie przyjemności pokazania tym dwunastu osobnikom, że

214 my dwaj, ty i ja, znaczymy o wiele więcej, niż oni wszyscy razem wzięci? Odpowiedziałem mu tylko skinieniem na Persów i od razu mnie zrozumiał. Oszłomiona mina ochmistrza sprawiła mi o wiele więcej przyjemności, niż ewentualne wykonanie zamiarów Halefa. Piszkhid-met-baszi wlepił we mnie oczy i wybelkotał, kiwając głową:

-Allah akbar! Bóg jest wielki! Jakże wielkie jest moje zdumienie!

- Dlaczego? - zagadnął Halef ze śmiechem.

- Że chrześcijanin, niewierny, który widzi dzisiaj mnie po raz pierwszy, ośmiela się stwierdzać, że jestem odbłaskiem władcy!

- Jeżeli sądzisz, że to śmiałość, to jesteś w błędzie. Odblask ten jest na tobie tak bardzo wyraźny, że omyłka byłaby zupełnie wykluczona. Twoja twarz promienieje swą całą pełnią i widzimy teraz, że jesteś zbyt mądry i wzniosły abyśmy mogli powiedzieć ci to, co chcieliśmy ci donieść.

- Donieść? Mnie? Jak to rozumiesz?

- Że grozi wam wielkie niebezpieczeństwo, o którym nie mógłbyś nabrać pojęcia, gdybyś nie posiadał jasnowidzącej przenikliwości. Pers musiał nareszcie wyczuć tkwiącą w tych słowach ironię. Po-nieważ chodziło o przestrożę, udał, że ironii nie dostrzega, i wypytywał dalej:

- Mówisz o niebezpieczeństwie. Czy sądzisz, że coś nam grozi?

- Oczywiście! Powiedziałem wyraźnie, że grozi wam niebezpieczeństwo. Gdyby odnosiło się do nas, nie byłbym wspomniał ani słowem, bowiem niebezpieczeństwo jest powietrzem; którym oddychamy i wodą, którą codziennie się pokrzepiamy. Kochamy niebezpieczeństwo i bez niego, nie chcielibyśmy, nie moglibyśmy żyć; im większe jest, tym bardziej je kochamy. Wasze niebezpieczeństwo znamy dokładnie, gdyż przeżyliśmy je i pokazaliśmy przy tym, że bawimy się nim jak, mniej więcej, dwaj olbrzymi bawią się kartami. Było pocieszne, że mały porównywał się z olbrzymem; odzyskał całą swą wymowę, co mnie, jako Europejczyka, zastanawiało więcej, niż Persa, który uważał ten sposób mówienia Hadżiego za normalny i w 215 napięciu dopytywał się dalej.

- Nie wiem, co za niebezpieczeństwo może mi grozić. Pozostajemy pod pieczę szachinszacha i przekonany jestem, że nic nam nie może się zdarzyć.

- W Persji moglibyście o tej pieczy mówić, ale nie tutaj. Widzieliście przed chwilą, jak znikoma jest moc szacha wobec naszej woli. Powiedz mi wreszcie, czy twój orszak ma jaką specjalną nazwę?

- Cóż za specjalną nazwę ma posiadać? Jest karawaną, jak wszelka inna.

-Mylisz się! Posiada nazwę określającą. Nadano mu ją bez twojej wiedzy.

- Jaką?

- Nazywają karawanę karwan-i-Piszkhidmet-baszi.

- Tę nazwę nadałeś jej sam w tej chwili!

- Nie. Znaliśmy ją na długo przedtem, nim cię spotkaliśmy.

Wiedzieliśmy, że karwan-i-Piszkhidmet-baszi jest w drodze, że jest oczekiwana i, jak tylko spotkaliśmy się, poznaliśmy was od razu. Dlatego tylko mój effendi mógł zaręczyć khandziem, że jesteście wyso-kim ochmistrzem dworu.

- Sens twoich słów jest dla mnie ciemny. Powiadasz, że nasza karawana jest oczekiwana. Zapytuję, gdzie i przez kogo? Szykowali-śmy się do tej podróży w najgłębszej tajemnicy i wyruszyliśmy tak dyskretnie, że nikt o nas nic wiedzieć nie może.

- Allah zrządził, że są ludzie, mający oczy i uszy czujniejsze, niż ty zdajesz się posiadać. Wasze przygotowania były ~ledzone. Wiado-mo, że załadowaliście kosztowne towary dla świętych miejsc. Na waszej drodze czatują rabusie, którym wasze przybycie zostało syg-nalizowane. Macie być wkrótce napadnięci i jeśli nie słuchacie naszej przestrogi, narażacie nie tylko własność szachinszacha, ale i prawdo-podobnie własne życie.

Nie przerywałem Halefowi; czuł się panem sytuacji i tej takwielkiej dlań rozkoszy nie chciałem mu zamącać. Rozumiało się samo przez się, że za swe życzliwe rady spodziewał się wdzięczności i uznania. Ku memu zdumieniu, musiałem stwierdzi~, że się pomyliłem. Gdy Hadzi zamilkł, ochmistrz popatrzył badawczo to na niego, to na mnie, wybuchnął krótkim, kpiącym śmiechem i rzekł:

- Abarak Allah! Chwała Bogu za to, że stworzył tak miłych i dobrych ludzi, jak wy! Jestem w najwyższym stopniu zdziwiony tym, że istnieją tak wspaniali, tak niezrównani ludzie! PatrzyliŚmy na was zupełnie inaczej, tylko nie jak na przyjaciół i w odpowiedzi na to troszczyście się o nasze dobro, o naszą całość! Miłością i dobrodziej-stwem ociekają wasze wargi! Jest to możliwe tylko dlatego, że jeden z was jest chrześcijaninem, któremu wiara jego, jak słyszałem, naka-zuje miłować swych wrogów. Tą nadludzką wiarą zawsze gardziłem i gardzę każdym, kto do niej należy. Macie więc do wyboru między moją pogardą a moim śmiechem; sądzę, że śmiech bardziej wam odgowa-da. Bo ~mieszne jest w najwyższym stopniu żądać ode mnie, abym wierzył temu, co przed chwilą powiedzieliście.

- Wątpisz w to, co mówiłem w sprawie rabusiów? -zawołał Halef rozgniewany.

- O tym nie, wcale nie, ale osoby rabusiów są, prawdopodobnie, zupełnie inne, niż te, o których chcesz mnie przekonać. Mówiłeś o kosztownym ładunku tylko po to, aby się dowiedzieć, co zawiera. Nie potrzebuję mówić więcej, sam się domyślasz!

- Czy dobrze cię rozumiem? Chcesz powiedzieć, że my! ...

Gniew Halefa był tak wielki, że nie mógł dokończyć zdania i prawicą sięgnął po korbacz, aby przy jego pomocy zakończyć urwaną mowę. Powstrzymałem z mocą jego ramię i rzekłem:

- Żadnej nieostrożności, Halefie! Co ten człowiek myśli i mówi, jest nam zupełnie obojętne.

Niech później stwierdzi z żalem, że popełnił największe głupstwo w swoim życiu. Skończyliśmy z nim. Chodź!

- Tak, jedziemy dalej, sidi, - przytaknął mi. - Gorzko pożałuje później, że dzisiaj, jak zawsze, w całym swym życiu, nie miał więcej

217 rozsądku, niż jego ojciec, dziadek i wszyscy przodkowie, którzy po-pełnili nieprzebaczone głupstwo, przyjmując z rąk przeznaczenia takiego syna, wnuka i prawnuka. Oby Allah sprawił, aby szwy jego ciała i duszy pękły, jak stara wyszargana rękawiczka. Na to zdrożne życzenie musiałem się głośno roześmiać. Pers zdobył się tylko na to, aby ku ,am potrzęsnać obydwoma pięściami i w bezsilnej wściekłości zawołać:

- Tak, u wszystkich diabłów, idźcie stąd jak najprędzej i żebym was więcej nie widział. Poznałem dzisiaj jeszcze jednego chrześcija-nina, ale i ten nie jest lepszy od w delu innych, których widziałem przedtem. Prawda to, co mówi stare perskie przysłowie: „Kto spotyka Isewi, ten niech go odtrąci nogą, inaczej będzie pokutował w tym i w tamtym życiu”.

Siedziałem już na koniu i już się oddaliłem o parę kroków. Gdy jednak usłyszałem te słowa, cofnąłem się, podjechałem do niego i odparłem:

- Mógłbym ci dać pięścią po twarzy i nie miałbyś odwagi się bronić; nie uczynię tego, właśnie przez wzgląd na to, że jestem Isewi. Żądam od ciebie, abyś nie zapomniał swych ostatnich słów. Mamy nie pokazywać się wam więcej na oczy? Nie wyobrażasz sobie chyba, że się was boimy? To byłoby po tym, co się tu tutaj działo, czystym obłędem. Powiadam ci, że będziecie serdecznie uradowani i wdzięczni Allaho-wi, jeśli tylko ujrzycie nas ponownie. Wiem już teraz na pewno, że wkrótce się znów spotkamy i wtedy nie przyjdzie wam na myśl odtrą-cać nas nogą lecz powitacie nas całym sercem i całą duszą. Zapamiętaj sobie tę przepowiednię, przypomnę ci ją!

Odjechaliśmy, nie zwracając uwagi na rzucane za nami wyzwiska. Khandzi wraz ze swymi żołnierzami podążył do bramy; dałem jemu i jego ludziom oczekiwany bakszysz, za co skłonili się głęboko, życząc nam szczęścia na dalszej drodze.

Gwoli bezpieczeństwa i aby zmylić Persów na wypadek, gdyby chcieli zdradzić Sefirowi powzięty przez nas kierunek, pojechaliśmy 218 drogą, wiodącą do khan Nasrieh, tak daleko, jak oko ludzkie sięga, potem zawróciliśmy na lewo i przez dzikie pole, ruszyliśmy ku Eufra-towi.

Halef, swoim zwyczajem, przemyślał najpierw milcząc nasze ostatnie spotkanie; potem gdy wszystko dobrze rozważył, zapytał:

- Powiedziałeś temu najghxpszemu z perskich ochmistrzów, że nas wkrótce zobaczy. Czy to był

tylko wybieg, czy też doprawdy sądzisz, że nie zadługo znów się z nim spotkamy?

- Nie tylko sądzę, ale jestem o tym przekonany.

- Czy znane ci już także miejsce tego rychłego spotkania?

- Nie, bo nie wiem, gdzie Sefir urządzi napaść na karawanę. Na drodze z khanu, którą właśnie opuściliśmy, do Hilleh to się stać nie może, tym mniej w pobliżu świętych miejsc, a więc, najprawdopodobniej, tuż przed Hilleh, tam zaś miejscem najbardziej dogodnym są rumowiska Babilonu. Gdy się zastanawiam nad tym, nie trudno mi odgadnąć, jak to się odbędzie.

- Wiesz, że mój umysł przywykł do długich i ciężkich prac.

Rzeczy bystre, jak na przykład rozwiązywanie zagadek, są dlań niedostępne. Dlatego proszę cię, nie trać czasu i od razu mi powiedz, co twój umysł, który jest lotniejszy, niż mój, wyrozumował!

- Wydaje mi się, że mój umysł, mimo że jest bystry, ma większą wartość, niż twój tak bardzo rozwlekły, kochany Hale~e!

- Nie myl się, sidi! Nie powierzam ci przecież mego wręcz przeciwnego poglądu, że mądrość rozwlekła jest przez to właśnie bardziej delikatna!

- Tę kwestię; chociaż jest bardzo ważna pozostawimy lepiej nie rozstrzygniętą. Wiesz, że Sefir znajduje się w Hilleh. Peder-i-Baha-rat, którego spotkaliśmy, zastanie go tam i doniesie, że trzeba się spodziewać w najbliższym czasie przybycia karwan-i-Piszkhidmet ba-szi. Sefir, którego sądzę, Persowie nie znają osobiście, postara się nadać swemu zetknięciu z ochmistrem pozory przypadkowego spotkania i pozostać jego zaufanie. Nie wątpię, że mu się to uda i wtedy

219 ma karawanę w swych rękach. Potem skieruje ich na tę drogę, która będzie odpowiadać jego planom ...

- Sidi, - przerwał mi Halef - teraz twoja bystrość zbiegła się z moją rozwlekłością, rozumiem cię! Sefir stanie na czele karawany, aby ją poprowadzić ku zgubie.

- Nie, tego nie zrobi.

- Dlaczego?

- Jest, przypuszczalnie, za mądry.

- A więc uważasz moją uwagę za nie trafną?

- W żadnym razie, pomijając znowu niezwykłą rozwlekłość twego rozumowania. Musi się

przecie później wydać, że karawana zaginęła. Gdyby się Sefir do niej przyłączył, pociągnięto by go do odpowiedzialności, a tego przecież powinien unikać.

-Słuchaj, sidi, bystrość twego rozumowania jest wcale niezła! Ma swoje zalety i jestem, jak widzisz, dość zdolny, aby się na niej wzorować.

-Dziękuję ci i mam nadzieję, że twoje zdolności w przyszłości się rozwiną! Przypuszczam więc, że napad nastąpi gdzieś koło rumowisk, niedaleko od tego miejsca, gdzieśmy zaskoczyli przemytników.

- Dlaczego tam?

- Bo w pobliżu znajduje się kryjówka, gdzie łup będzie prawdopodobnie, schowany. Jest nam obojętne, w jaki sposób karawana zostanie tam zwabiona. Ważne jest to, że ten plac jest celem naszej dzisiejszej podróży. Przybędziemy tam, mam nadzieję, jeszcze przed karawaną i zobaczymy ją, jak będzie stawiała opór Sefirowi.

- Tak, zobaczymy to, effendi - dodał Halef podniecony - chociażby przez wzgląd na namiestnika.

- Co najmniej!

- Sprowadzimy dofi Sefira, jako notorycznego zbrojaka, przyłapanego na gorącym uczynku. Wtedy zobaczy, jak niewłaściwie nas potraktował i będzie zmuszony nas przeprosić.

- Jakże się cieszę! To będzie zwycięstwo, z którego będziemy 220 mogli być dumni. Czy nie uważasz, sidi?

- Nie mówmy jeszcze nic o dumie. Zmiar nasz jest dobry, ale między nim i wykonaniem jest jeszcze wielka odległość.

- Nawet Eufrat leży pośrodku!

- Tak.

- Aby dostać się do ruin, musimy przejść na prawy brzeg. Do Hilleh, gdzie jest most, nie możemy wracać. Jak przeprawimy się na drugą stronę?

- Zapewne znajdziemy trochę chrustu albo innego materiału na budowę tratwy. Jeżeli to się nie uda, ruszymy wpław.

- Czy wiesz, jak szeroka jest rzeka w tym miejscu?

- Z pewnością przeszło trzysta metrów.

- To dużo, bardzo dużo!

- Przecież jesteś dobrym pływakiem!

- O, jeśli o to chodzi, nie lękam się wcale. Ale na takiej przestrzeni zmoknie nam wszystko to, co powinno być suche.

- Są sposoby, aby tego uniknąć. Musimy się spieszyć, aby móc nad rzeką poszukać materiału na budowę tratwy.

- Byłoby najlepiej, gdyby się nam udało spotkać tratwę albo łódź, której właściciel chciałby nas przewieźć.

- Nie myśl o takiej możliwości. Musimy unikać wszelkich spotkań, gdyż każdy napotkany człowiek może być współnikiem Sefira, który go nie omieszka zawiadomić, że nie pojechaliśmy do Bagdadu. Słyszałeś, że w dwóch godzinach od Hilleh znajduje się jego kryjówka. Nie wolno nam jednakże zapominać, że członkowie jego bandy nie zawsze tam siedzą, lecz na pewno, patrolują wzdłuż brzegów rzeki. Jak tylko nas zauważą, idę o zakład, dziesięć przeciw jednemu, cały nasz plan weźmie w łeb!

Droga do Eufartu nie miała nic osobliwego. Teren, pozbawiony wyżyn, był zorany błotnistymi bruzdami. Gdy radosne parskanie naszych koni obwieściło bliskość wody, zsiadliśmy i resztę drogi, aby nie być zauważonym, odbyliśmy pieszo. Halef wraz z kofimi ukrył się w 221 głębszej rozpadlinie, podczas gdy ja zbliżyłem się ostrożnie do brzegu, aby zbadać teren i okolicę. Nie było widać żywej duszy. Słońce było już bardzo nisko; gdy spojrzałem na jego skośne promienie, padające na rzekę, pod ostrym kątem, zabolowały mnie oczy. Ucieszył mnie widok masy tamaryszkowego chrustu, tuż nad wodą, który pozwalał przeprawić w suchym stanie, jeżeli nie nas samych, to nasze narzędzia i broń. Sprowadziłem Halefa i oporządziwszy konie, zabraliśmy się do nacinania chrustu i wiązania snopków. Niestety tamaryszek rósł tutaj wątły, grubości mniejszej niż palec. O tratwie, która mogła by nas udźwignąć nie było mowy. Słońce zaszło, zapadł wieczór, zanim mogliśmy załadować nasze rzeczy na kruchą plecionkę z powiązanych snopków. Sterowanie tą tratwą przypadło w udziale Halefowi, który płynąc, miał ją popychać przed sobą; moim zadaniem było prowadzenie koni; zrobiłem pętlę z wydmuchanych cugli i zarzuciłem ją na ramię. Prowadząc w ten sposób ogier, zanurzyłem się w wodę; podążyły za mną posłusznie i chętnie. Szlachetny kofi nie boi się wody. W innych okolicznościach mrok wieczorny nie byłby wielką przyjemnością, ale teraz, przez wzgląd na nasze bezpieczeństwo, światło dzienne mogłoby się okazać zgubne. Chłód rzeki orzeźwił nas i nasze wierzchowce; płynęliśmy wygodnie i gdy stanęliśmy na przeciwnym brzegu, byliśmy tak mało zmęczeni, że Halef zawołał;

-Ależ to nie była żadna praca, lecz kąpiel, sisi! Jestem jak nowo narodzony!

-Mam nadzieję, że dla powierzonych ci rzeczy nie było to kąpielą!

- O, nie! Strzegłem je własnymi oczyma. Zabieramy rzeczy i puszczamy tratwę z prądem, niech płynie gdzie chce!

- Nie. Przymocujemy ją do brzegu.

- Po co?

- Bo może nas zdradzić.

- Zdradzić? Nie bierz mi moich słów za złe, ale z ostrożnością przesadzasz! Nawet gdyby ludzie Sefira natknęli się na tę tratwę, nie przyszło by im do głowy, że to myśmy się nią posługiwali.

- Myśli są nieobliczalne. Milionom ludzi przychodziły na myśl niemożliwości, a tu mamy do czynienia z czymś bardzo możliwym. W naszym położeniu nie możemy być zbyt ostrożni. Czy zapomniałeś o upomnieniu, jakie w imię twojej Hanneh skierowywać powinienem do ciebie w wypadkach niezwykłych.

- Życzenia mojej Hanneh, która jest różą wszelkich roślin i kwiatem władztwa ziemskiego, mam zawsze w pamięci, tego możesz być pewien. Ba, jestem nawet przekonany, że mniej myślisz o swojej Emmeh niż ja o pięknej pani mego małżefiskiego namiotu. Ale powiedz, co by zostało z naszych wielkich i mocnych przeżyć, gdybyś ty, ze swoją przesadną ostrożnością, odżegnywał wszystkie przygody, które nam się nadarzają! Zechciej z łaski swojej spojrzeć wstecz na stulecia i tysiąclecia historii powszechnej. Iluż to było sławnych suł-tanów, cesarz, królów, kalifów, szejków i bohaterów! Ilość ich niezliczona. Gdyby ci wszyscy mężowie byli tak ostrożni, jak ty, nie mieli-byśmy żadnej historii powszechnej, w ogóle nic nie byłoby się działo i tam, gdzie teraz jaśnieją sławy, byłoby tak ciemno, jak w żołądku u kozy, albo w bucie, włożonym na nogę ...

- Jeżeli nie jest podarty! - wtrąciłem.

- Proszę cię effendi, nie mów tak! Jeżeli daję porównania, aby coś zobrazować, są bez zarzutu; a więc i ten but nie jest podarty, ale taki, którego włożyć nie byłbym się wstydził.

- Zatem włóż go jak najprędzej, bo musimy się śpieszyć, nie przeszliśmy Eufratu po to, aby się zabawiać rozmowami o obuwiu i kozich żołądkach. Musimy pędzić, by dziś jeszcze stanąć w Birs Nim-rud.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy przedtem odkryć tutejszą kry-jówkę Sefira?

- Byłbym to sam zaproponował, gdyby miejsce było lepiej nam znane. A musielibyśmy zbadać i to z trudem cały brzeg, stracilibyśmy za wiele czasu. Gdyby zaszła konieczność wykrycia kryjówki, poszukamy jej później. Narazie jedziemy dalej.

Mówiąc tak półgłosem osiodłaliśmy konie i usunęliśmy z rzeki wszelkie ślady. Wnet ruszyliśmy w kierunku południowym. Stroniąc od brzegu, aby tętent koni nie rozlegał się zbyt donośnie, zboczyliśmy na prawo, nie wiedzieliśmy jednak na jaką odległość, bo było jeszcze ciemno i zakręty Eufratu nie były nam znane.

Po paru chwilach jazdy zauważyliśmy po lewej stronie bardzo nikły, nie mniej dostrzegalny blask, który mógł pochodzić tylko od ognia.

Zatrzymaliśmy się i Halef rzekł:

-Sidi, zdaje mi się, że tam właśnie mieści się kryjówka. Brzeg, nad którym pali się ogień, leży niżej poziomu - dlatego widzimy tylko odblask, a nie ogień. Czy nie mam racji?

- Możliwe, że tak - odrzekłem.

- Czy wyśledzimy, kto się tam znajduje?

- My? Dla zwiadów wystarczy jeden.

Ja czy ty?

- Oczywiście ja.

- Allah! Dlaczego zawsze tobie ma przypadać chwała odkryć!

Znarn cię za dobrze, aby sądzić, że nie masz do mnie zaufania. Zapewne znów wsiądziesz na swego konika i zaczniesz zalecać mi ostrożność?

- Uczynię to.

- A wiesz przecież, jak bardzo to mnie trapi! Być może dawniej, w czasie, kiedy mnie dopiero poznawałeś, byłem trochę oporny i może nierozważny, wina to mojej młodości! Ale to już przeszło. Teraz jestem posiadaczem haremu z najpiękniejszą żoną świata i mam nawet syna, który wychowuje się zgodnie z zasadami mojej wiedzy. Jeżeli mirno to uważasz mnie jeszcze za nierozważnego, jest to dla mnie obrazą, na którą każdemu, prócz ciebie, odpowiedzieć powinienem moim korbaczem.

- Słuchaj kochany Halefie, to twoja samoobrona przemawia nie za tobą, lecz przeciw tobie.

- Jak to?

- Że i teraz wspominasz o korbaczu, kiedy prócz nas dwóch nie ma nikogo, stanowi niezbity dowód, że i teraz nie umiesz panować nad sobą. Czy mogę powierzyć ci zadanie wymagające niezachwiane-go spokoju, zimnej krwi i przytomności, których najmniejszy opór nie byłby w stanie zakłócić?

- Tak, to wszystko co mówisz, brzmi tak, jak gdybyś miał najśluszniejsze prawo mówić do mnie w ten sposób, ale przekonaj się raz nareszcie drogą c~ynu.

- Tego już próbowałem.

- Jak, gdzie i kiedy?

- I ty pytasz jeszcze?

- Tak.

- Nie żądaj ode mnie przykładów, sprawiłyby ci przykrość! Gdy-bym pozwolił ci teraz udać się samemu, byłbyś nas prawdopodobnie - naraził na dostanie się do niewoli.

Mały zuch poczuł się tą uwagą tak boleśnie dotknięty, ie prawie płacząc, jął błagać:

- Sidi, pogrążasz moją duszę w największą głębię udręki. Nie chcę ci niczego wyrzucać ani wypominać, ile razy za ciebie walczyłem i cierpiałem. Nie chcę też powtarzać, że i teraz jestem gotów oddać moje życie i wszystko, co posiadam. Jak możesz mnie w ten sposób dręczyć? Czy chcesz się obciążyć grzechem niewdzięczności? Jest to plama, ktbrej żadnym myciem zmasad nie można!

- Kochany Halefie, widzę się zmuszonym powtórzyć dokładnie to samo coś ty przed chwilą wytoczył przeciwko mnie; mowa twoja brzmi tak, jak gdybyś miał najśluszniejsze prawo mbwić do mnie w ten sposób!

- Bo to prawdą, effendi, święta prawda!

- Nie!

- Proszę cię bez kłótni, zaufaj mi tym razem! Żądam i wymagam, jako dowodu twej przyjaźni, abyś mi pozwolił wysłedzić, co za ludzie są tam, przy ogniu!

B - W b~a~ ~b~Onu 225

Co mogłem przeciwstawić takim naleganiom? Czuję, że obo-wiązkiem moim jest odrzucić jego prośbę, gdyż znałem go za dobrze, aby bez skrupułów pozwolić mu pójść~ na zwiady. Jednakże nie czuję się na siłach odmówić jego życzeniu, wiedząc jaką mu to sprawi boleść. Wykorzystał moją chwiejność, aby odkryć swój najmocniejszy atut.

- Powiadam ci sidi, że będę uważał za obrażę, jeżeli i ,tym razem, jakjuż wielokrotnie przedtem, zechcesz traktować mnie jak chłopca, któryjestdoniczego!

Czyja,najwyższyszejkHaddadihnópvz Wielkie-go plemienia Szammar mam wiecznie latać za tobą w tyle, jak pies za swym panem, Nie! Traktujesz mnie tak, jakby to właśnie, a nie co innego, było twoim zamiarem!

- Pomyśl, co to znaczy wysledzić i podpatrzeć liczną klikę podstępnych wrogów!

- Czy sądzisz, że nie potrafię?

- Tak mi się zdaje.

- A więc obrażasz siebie samego, bo w tropieniu byłeś moim nauczycielem, a jeśli się niczego nie nauczyłem, zważywszy, że nie jestem przecież zupełnie niezdolny, cała wina spada na ciebie.

- Dziękuję ci, Halefie! - roześmiałem się.

- Nie śmieć się, mówię poważnie! Zresztą mogę zaniechać tropie-nia i obserwacji. Chcę tylko wy badać, co to za ludzie. Udaję się tam, podpełzną do ogniska na taką odległość, abym mógł ich zobaczyć i wracam natychmiast! Przecież to takie łatwe, że wstyd mi po prostu, a jeżeli i temu się sprzeciwisz - doprawdy nie wiem co, o tobie myśleć!

- Dobrze, zabieram cię z sobą!

- Zabierasz ze sobą? - uniósł się. - O tym nie było mowy. Sam mówiłeś, że jeden wystarczy, a teraz mówisz o zabieraniu z sobą! Nie, chcę opowiedzieć swojej Hanneh, kobiecie najbardziej niezrównanej pośród kobiet świata, że i ja kiedyś dokonałem czegoś sam jeden. Czy mogę wyruszyć i to sam?

- Zmuszasz mnie do powiedzenia tak, daj więc wyraz swej odwadze.
- To żadna odwaga!
- A jednak! Właśnie to, że nie uważasz tego za odwagę, winno mnie skłonić do cofnięcia pozwolenia. Zanim jednak pójdziesz, musimy porobić odpowiednie przygotowania.
- Przygotowania? - zapytał zdziwiony.
- Tak.
- Po co, na co?
- Ażeby zapobiec nieostrożnościom i błędom. i'abierasz z sobą tylko nóż, zostawiasz tutaj wszelką broń, jak również korbacz, który większą szkodę wyrządzić może, niż proch i ołów.
- Sidi, co ty ze mnie robisz!
- Ależ nic.
- Dużo; bardzo dużo! W tym wypadku gdybym się musiał bronić, potrzebna mi będzie broń!
- Takich wypadków powinieneś unikać. Powiedziałeś, że idziesz i natychmiast wracasz, do tego nie potrzeba ci broni ani korbacza. Żeby jednak, na wypadek nieprzewidziany i ostateczny, być gotowym do samoobrony zabierzesz ze sobą nóż. To dosyć.
- Dosyć! A jeżeli mnie obkoczy dwudziestu albo trzydziestu chłopów - wylamentował.
- To się nie powinno stać.
- A jeżeli się stanie?
- Ach, tak! Widzę, że nie wolno mi cię puścić, skoro już teraz, zanim zrobiłeś krok, mówisz o dwudziestu albo trzydziestu chłopach, z którymi masz nadzieję się zmagać!
- Stój! ?gadzam się! Zostawię nawet nóż, jeśli tego zażadasz!
- Zachowaj go. Teraz musimy się rozejrzeć za schroniskiem dla koni.
- Po co?
- Żeby ich nikt nie mógł znaleźć, gdyby nas ścigano.

- Przecież zostajesz tutaj!
- Tak właściwie powinno być, ale mam wrażenie, że będę zmuszony je opuścić, aby udać się za tobą.
- To wrażenie myli cię, sisi.
- Miejmy nadzieję! Jestem jednak ostrożny, mimo, że robisz mi z tego zarzut i przewiduję wszystko. Jeżeli stanie ci się coś nieoczekiwanego, co ci uniemożliwi powrót, będę zmuszony wyjść~ na poszukiwania ...
- To nie będzie konieczne! - przerwał.
- Poczekaj! Jeżeli w tym wypadku opuszczę konie, muszę je ukryć w pewnym miejscu, gdzie przynajmniej z daleka, nie byłyby widoczne.
- Nie będę się z tobą spierał, bo to bezcelowe. Zawsze musi wyjść na twoje!
- Niestety nie! Nie chciałem cię puścić a jednak przemogłeś mnie!
- Z tego się cieszę! Ale gdzie w tej ciemni szukać schroniska dla koni?
- Już mam.
- Gdzie?
- Ostatnia, głęboka rozpadlina, przez którą wczoraj przejeżdżaliśmy. Tam nie będzie można ich znaleźć~, nawet w dzień, chyba, że jakiś nieszczęśliwy wypadek sprowadzi kogoś w pobliże. Wracamy tam. Jazda!

Zawróciliśmy i po pięciu minutach jazdy, znaleźliśmy się w rozpadlinie. Światło gwiazd dzięki któremu zauważyliśmy ją poprzednio, było nam pomocne i teraz. Gdy Halef złożył wszystko jak było umówione, ruszyliśmy w drogę powrotną. Blask ogniska był widoczny i stąd, ale tylko dlatego, że byliśmy już o nim uprzedzeni.

- Potrzeba ci około pół godziny, aby dotrzeć do ogniska - rzekłem. - Drogę powrotną zrobisz na pewno prędzej. Liczę więc razem na całą wyprawę, półtorej godziny, najwyżej! Rozumiesz? Musimy stanąć u ruin przed przybyciem Persów, zatem czas ten jest prawdziwą wiecznością. Więcej nie mogę ci udzielić!

- Nie trzeba mi tak dużo!

- A jednak! Musisz czułgać się ostrożnie, to wymaga czasu. Parę chwil musisz zabawić tam, chociaż zabraniam ci posuwać się daleko, aby ludzi nie płoszyć. To byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Dlaczego dla mnie? Jestem przekonany, że zrobię to równie dobrze, jak ty.

- Słuchaj, nie zmuszaj mnie w ostatniej chwili do zatrzymania cię w miejscu! Wiesz co, myślę, a wykazujesz pewność siebie, która mnie niepokoi!

- O, sidi, jakże mi trudno porozumieć się z tobą! Czego jeszcze zażadasz ode mnie!

- Niewiele. Czy przyrzekasz mi być tak ostrożnym, jak sobie tego życzę?

- Tak.

- Zbliżyć się do tych ludzi na taką tylko odległość, abyś ich mógł policzyć?

- Nie płoszyć ich?

- Tak.

- Powrócić natychmiast? Nie wdawać się w żadną walkę, ani bójkę, lecz cofnąć się, jak tylko cię zauważą?

- Tak.

- Czy trafisz bez trudu z powrotem?

- Effendi, toż powiedziałem, że nie jestem chłopcem!

- Tak. Ale przedtem muszę ci powiedzieć, co następuje: zmusiłeś mnie formalnie do powierzenia ci tej sprawy. Robię to niechętnie, bo przewiduję coś niepomyślnego, a my właśnie teraz mamy doniosłą rzecz do wykonania. Jeżeli nie będziesz ostrożny i z własnej winy dostaniesz się w opałę, które ci przeszkodzą albo uniemożliwią wypełnienie swego zadania, tracisz na zawsze moje zaufanie i nigdy nie wyłożę na mnie podobnego zlecenia!

- Sidi. Co ty sobie o mnie myślisz, skoro mówisz do mnie w ten sposób! Gdyby to słyszała Hanneh, perła pośród klejnotów ziemi i

mniejszej niż dzielność każdego człowie-ka i bohatera. Odchodzę i wracam wkrótce bez szwanku. Allah z tobą!

- Chcę, aby Allah raczej towarzyszył tobie! - odrzekłem.

Oddalił się i kroki jego wkrótce zamilkły. Są głupstwa, których popełnienie człowiek stwierdza bądź po pewnym czasie, bądź bez-zwłocznie. Do tej ostatniej kategorii, należało to, czego dopuściłem się teraz. Ledwo Halef zniknął, już byłbym go przywołał z powrotem i dobrze by się stało dla niego i dla mnie. Zanadto go jednak lubiłem, aby mu sprawić tę przykrość tym większą, że był już na drodze do swego celu. Wróciłem do rozpadliny i usiadłem obok koni. Po dokonaniu czegoś, czego by się chętnie unikało, człowiek do-znaje uczucia niedomagania, które nie tylko gnębi ducha, ale i ogar-nia ciało. Tak przynajmniej dzieje się ze mną. Siedziałem w skupieniu na dnie rozpadliny i było mi tak, jak gdybym zjadł coś niestrawnego. Znam ludzi, którzy utrzymują, że dusza ludzka w momencie śmierci rozstaje się z ciałem w okolicyplexus solaris i że głównie ówple,xus jest w najściślejszym związku z życiem duchowym. Nie miałem sposobno-ści, ani czasu dyskutować z kimkolwiek na ten temat, ale jako czło-wiek uczciwy, muszę wyznać że to przykre uczucie, będące skutkiem popełnionego głupstwa, powstawało zawsze w tym miejscu ciała, które jest siedliskiem splotu słonecznego. Odczuwałem i teraz jakieś niezadowolenie i nie mogłem niestety, przekonać samego siebie, że uczucie to jest niesłuszne. Słowem byłem z siebie wysoce niezadowo-lony. Siedziałem kwadrans, pół godziny, godzinę. Powróciłem na górę i usiadłem ponownie. Ogień palił się jeszcze, bo dostrzegąłem odbla-ski. Gdyby Halef był zauważony, ogiefi zgaszono by natychmiast. Ta myśl uspokoiła mnie. Ale upłynęło jeszcze pół godziny i jeszcze kwadrans, a Halef nie wracał. Czyżby po szczęśliwym przeprowadze-niu badafi, nie zdołał trafić z powrotem do naszej placówki, gdzie go oczekiwałem? A przecież wiedziałem, że posiada dobry zmysł obser-wacyjny!

Gdy jednak przeszło jeszcze pół godziny zacząłem się mocno nie-pokoić, czując, że obowiązkiem moim jest wszczęcie poszukiwafi. Nie pozostawało mi nic innego, jak wyruszenie w kierunku ogniska. Szu-kać go gdzie indziej, albo nawoływać za nim byłoby dalszym ciągiem popełnionego błędu. Musiałem zdwoić ostrożność, z jaką zwykłem dokonywać mych badafi, jeśli bowiem Halef został zauważony i ujęty, to najprawdopodobniej przez ludzi Sefira, którzy poznawszy Halefa, musieli przecież wywnioskować, że i ja znajduję się gdzieś w pobliżu, co powinno było ich skłonić do odszukania mojej osoby. Przede wszystkim musiałem zrobićwszystko, co było w mojej mocy, dla bezpieczefstwa koni. Można było przypuszczać, że w ciągu nocy nie grozi im nic, ale nie było wykluczone, że dziefi zastanie mnie z dala od nich, a wtedy tym bezcennym zwierzętom mogłoby się coś stać, nie mówiąc już o naszej kosztownej broni. Albowiem, rzecz zrozumiała, nie zabieram z sobą mego oręża. Jeżeli Halefowi stało się nieszczę-ście, to i ja szedłem na niepewne, na co nie wolno mi było narażać mego największego majątku. Zważywszy ogromną wartość koni i broni, że nic, sądziłem, nie będzie w stanie w przyszłości powstrzymać mnie od powrotu na to miejsce we właściwym czasie. Zszedłem więc znowu na dół, zawiąłem w nasze koce wszystko, co postanowiłem zostawić, przywiązałem konie do kołków, głęboko wbitych w ziemię i zostawiłem sobie tylko nóż za pasem. Poglaskawszy nasze ogiery i rzuciwszy im na pożegnanie słówko szusz nabrałem pewności, że zachowają swą pozycję aż do naszego powrotu i że przeciw każdemu intruzowi będą się bronić zębami i kopytami. Potem ruszyłem w drogę; która jak sobie uświadomiłem, mogła się stać dla mnie wysoce niebezpieczną.

Właściwie nie miałem pewności co do ludzi którzy znajdowali się przy ognisku. Są jednak myśli, które od chwili swego powstania, mają tak wielką siłę przekonywującą, że nie ulegają wątpliwości. Można je nazwać przypuszczeniem czy też inaczej; udzielają się człowiekowi jak depesze, twierdzące o dokonanych i niewątpliwych faktach i są 231 przezeń przyjmowane, jako prawdy. Doświadczałem tego nieraz i nigdy nie popadłem w błąd, dając wiarę podobnym, powiedzmy, inspiracjom. Tak też i obecnie byłem mocno przekonany, jakbym posiadał na to dowody, że mam do czynienia z kryjówką Sefira i że wypadnie mi zetknąć się, jeżeli nie z samym Sefirem, to z jego kompanami. Byłem przeświadczony, że grozi mi niebezpieczefstwo i uważałem za rzecz naturalną spotkanie w walce, ale nie porażkę. Z tej po części przyczyny stosunkowo niewielki był frasunek, jaki mi sprawiała rozłąka z kofimi i bronią.

Blask bijący od ognia wzmagał się w miarę mego zbliżania się. Posuwałem się ku niemu po lini prostej i musiałbym Halefa zobaczyć, gdyby na swej drodze powrotnej kierował się tą samą linią prostą. Skradałem się chyłkiem i unikałem wszelkiego szmeru, bacząc przy tym uważnie na prawo i lewo, aby pochwyci~ jego kroki na wypadek, gdyby w drodze powrotnej zboczył z prostej linii. Jednakże to obser-wowanie nie dało żadnych wyników.

Kiedy znalazłem się o sto kroków od celu, ległem na ziemi i jałem się czołgaE, zachodząc jednak od skrzydła, gdyż ostrożność nakazywa-ła mi dobić do celu nie bezpośrednio. Musiałem uprzednio rozejrzeć się, aby móc przybrać pozycję, jak najbardziej dogodną dla mego osobistego bezpieczefstwa. Przyczolgawszy się nad urwisko nad-brzeżne, ujrzałem pod sobą prąd rzeczny i pochwyciłem jego cichy szmer, niezakłócony żadnym mocniejszym odgłosem. Zdumiewające!

Zatroskany o przyjaciela, przybyłem tutaj, aby go odszukać, a jednak uwaga moja zwracała się nie tam, gdzie należało go się spodziewać, to znaczy ku ognisku, lecz ku płynącytn na lewo strumieniom, których mroczne powierzchnie były powleczone miękka, jakby fosforyzującą, nieustannie drgającą filigranową siatką. Te tajemnicze „światłocie-nie” przyciągnęły mój wzrok i przykuły do siebie na dłuższą chwilę. Nie był to Eufrat, który widzieliśmy w dziefi, który niedawno przepłynęliśmy, lecz zagadkowa żyjąca, węzowata istota, wygnana z raju, przeistoczona w to bezkształtne, nieskończone ciało, ciągnące 232 się w niemej męce, niezatarty dowód nieubłaganej sprawiedliwości tego, który nie pozwala się wyszydzać. T~, nad tą rzeką, spełnił się niegdyś sąd, o którym psalmista mówi: Nad rzekami babilohskimi siedzieliśmy i plakaliśmy na wspomnienie Syjonu. Na wierzbach zwisały nasze harfy, albowiem ci, którzy wzięli nas w niewolę i wywieźli, „żądali od nas pieśni. Jakże mieliśmy śpiewać pieśni Panu na obcej ziemi! Być może tutaj, gdzie teraz leżałem, siedzieli ci rozplakani i z tęsknotą spoglądali ku prądom, płynącym z wyżyn, przez które prowadzi droga do Palestyny. A gdy w samotności kończyli swe skargi, wsiadali do łódek, aby przejechać na lewy brzeg, gdzie stały ich niskie, ceglane lub gliniane domki.

Był to przecież ten sam ówczesny nurt, a na prawo ode mnie, w dole widniała na wodzie łódka zupełnie tej samej formy, jaką miały pod-ówczas te łupiny przewozowe, okrągło i płytko wydrażona, podobna do wielkiej, puszczonej na wodę balii.

Ta łódź była na wpół zakryta gęstym spletem tomaryszków, które biegły wzdłuż brzegu płotem nieprzeniknionej grubości. Na jedynym wolnym skrawku przestrzeni płonęło ognisko, przy którym widać było na razie jednego człowieka. Potem ujrzałem drugiego, który siedział nad wodą, twarzą do rzeki, bez ruchu. Łowił ryby wędką. Jakiż spokojny obraz! Gdzie tu szukać śladów niebezpieczefistwa! Czy znajdowałem się w zagadkowej kryjówce, gdzie duchy skrytobój-czo zamordowanych zdają się w nocy snuć swe widmowe istnienie? Czy też ci dwaj ludzie byli nieszkodliwymi rybakami, którzy w mroku i chłodzie chcieli zgarnąć połów, aby go nad ranem sprzedać w Hilleh? Jakoś nie chciało mi się brać ich za tak nieszkodliwych, na jakich wyglądali. Nie opłaci się wiosłować dwie bite godziny, w górę rzeki, w łódce, ślizgającej się wokoło własnej osi, aby przedsięwziąć połów, którego powodzenie nie jest wcale pewne. Poza tym właśnie ten stan spokoju wzmacniał moje podejrzenie, wydawał mi się sztuczny. Po-wiedziałem sobie, że jak to utarło się mówić, coś się za tym kryje. Byłbym pozwolił tym ludziom dalej grać swą rolę, nie zakłócając ich 233 pozornego spokoju, gdybym przyszeuł tutaj dla innych powodów, niż bezpieczefstwo Halefa. Musiałem wiedzieć, dlaczego nie wrócił i tylko tutaj mogłem tego dojść. Kto wie, co mu zrobiono, co z nim poczęto! Każda minuta była droga, nie wolno mi więc było ociągać się i wyczekiwać beczynnie. Musiałem coś począć, ale co? Pomyślałem, że najpierw trzeba się dowiedzieć, czy te dwie osoby są doprawdy same, jak na to wskazywały pozory, tak więc postanowi-łem przeszukać cały skraj nadbrzeżnego urwiska. Popęzłem po ziemi bardzo wolno i ostrożnie we wspomnianym kierunku. Upłynął dobry kwadrans, zanim obszedłem całą, zupełnie naga przestrzeffi. Tu położyłem się znowu i zważyłem szanse. Mimo dobre-go słuchu i wzroku, nie widziałem, ani nie słyszałem nic. Jeżeli ktoś ukrywał się tutaj, to chyba na dole w gęstwinach. Wypadało mi więc udać się tam, ale to było zarówno trudne, jak i niebezpieczne; trudne, bo górna część krawędzi była pokryta grubym, śliskim piaskiem, z którego musiałbym się ześlizgnąć; niebezpieczne, bo zostałbym za-uważony przez każdego, kto krył się w dole, gdybym przybywał wprost z góry. Miałem jeszcze jeden sposób do osiągnięcia mego celu, mia-nowicie popełznąć dalej, dotrzeć do wody i potem wzdłuż samego brzegu, znów wydostać się na górę; w ten sposób

uniknąłbym stoczenia się z góry i omijając krąg ognia, nie byłbym zauważony. Ale to wymagało czasu, więcej niż miałem prawo użyć do tych może nawet zbytecznych przygotowań. Może jednak uda mi się zejść wprost na dół nie będąc zauważonym i może piasek mwiszka jest bardziej wytrzymały, niż mi się wydaje? Dostrzegłem na nim wiele ciemnych punktów, które wydawały mi się kamieniami czy zgoła stwardniałościami gruntu, odcinającymi się na jasnym tle piasku. 'Iż przede mną widniały dwa takie punkty, a z boku podobne trzy. Ale kiedy zważyłem okoliczności, wywnioskowałem, że jednak lepiej będzie pójść okólną drogą. Ruszyłem ostrożnie dalej.

Pierwszym ruchem zbliżyłem się do dwóch wspomnianych punktów. Chciałem je wyminąć, ale wnet zastygłem, gdyż poruszyły się!

Czy ciśnienie mego ciała na piasek sprawiło kamienie w ruch? Nie, nie były to żadne kamienie, bo naraz wyskoczyły z piasku cztery ramiona, tyleż rąk w tejże samej chwili ścisnęło mi gardło i plecy, i głos jakiś zawołał:

- Lahaun, lahaun ia ridża! Do nas, do nas, ludzie! Mamy go!

Trzymajcie go mocno!...

Trudno uwierzyć, ale nie byłem przestraszony: przywykłem do takich nagłych niespodzianek. To było tak raptowne, że nie zostało mi sekundy do stawienia oporu. Mimo, że trzymany mocno za gardło i ramiona, chciałem się wyrwać, zdołałem też jednego odtrącić. Na wpół wyswobodzony, chciałem już załatwić się z drugim, gdy pierwszy cisnął mi w twarz dwie garści piasku! Momentalnie ręce moje ode-wnały się od przeciwnika, aby instynktownie sięgnąć do zasypanych oczu, przez co cały mój wysiłek spełził na niczym. Byłem pozbawiony zdolności widzenia, a z nią i możliwości wymknięcia się moim przeciw-nikom. Nadbiegło ich więcej i słyszałem dziesięć, dwanaście różnych głosów, krzyczących jednocześnie. Byłem obezwładniony, powalony, związany, potem ściągnięty w dół po zboczu poprzez zarośla, by nareszcie zostać rzuconym koło ogniska na ziemię. Miły czytelniku, czy miałaś kiedyś, oczy tak pełne piasku, że nie można było pomieścić więcej, ani jednego ziarnka? Nie? I ja nie codziennie ale za to wtedy tak gruntownie, jak tylko było możliwe. Nie twierdzę, aby to było bardzo niebezpieczne, ale nieprzyjemne, wysoce nieprzyjemne, jest to w każdym razie. Gdy zaś na domiar złego, jest się związanym, że nie można rękoma pomóc oślepionym oczom, tudzież otoczonym przez ludzi, o których się wie, że wszystkie-go się można po nich spodziewać, tylko nic dobrego, wtedy można zaliczyć swe położenie do niełatwych.

Nie miałem potrzeby długo się namyślać nad sposobem zachowania się. Musiałem leżeć spokojnie i nic nie mówić, tylko uważać na to, co się dokoła mnie mówi. Co do moich oczu, musiałem na razie pozostawić sprawę oczyszczenia ich z piasku bardzo intensywnie 235 płynącym łzom. Postanowiłem rozglądać się za sposobem działania wtedy, kiedy dzięki łzom odzyskam możliwość widzenia. Następnie powiedziałem sobie, że znajduję się, prawdopodobnie, w bliskim sąsiedztwie Halefa, co nie mogło podzielać na mnie uspakajająco i wiedziałem z doświadczenia, że z podobnych oparów o wiele łatwiej jest wydostać się samemu.

Podczas gdy łzy, zaprawione piaskiem, płynęły mi po twarzy, śle-ł dziłem z napiętą uwagą tok rozmów. Żadne słowo nie uszło mojej a uwagi, gdyż nikomu nie przychodziło na myśl mówić tak cicho, aby nie być słyszonym.

-Co za połów! -odezwał się jeden, w którym po głosie poznałem Peder-i-Baharata. - Przecież spotkaliśmy ich nie dalej, jak dziś i sądziliśmy, że jadą do Bagdadu ... Zrezygnowaliśmy już z naszej zemsty ... I oto sami weszli nam do rąk.

‘ - Allah miłuje nas! Jemu cześć i chwała! - dodał drugi, którym był Aftab, towarzysz Pedera. - Ten pies się nie rusza wcale ... Przecież nie jest martwy?

- Martwy? Z czego? Ciągnęliście go, przy czym głowa jego odbi-jała się o ziemię, dlatego mimo miękkości piasku, stracił przyto-mność. Te chrześcijafiskie psy są mocne tylko w pysku, poza tym nic nie mogą znieść. Poczekamy, aż oprzytomnieje, wtedy zmusimy go do „ ~wyznania, czego tutaj szukali.

- Nie szukali niczego - ozwał się trzeci którego głos zdradził mi gospodarza z Hilleh. - ‘I~Iko przypadek mógł ich tutaj sprowadzić, i bo jest zupełnie niemożliwe, żeby coś wiedzieli o naszej kryjówce i o naszych planach.

-Tak, niemożliwe! - potwierdził Peder. - Tylko z tego powodu nie można było, mimo wszelkich grózb, wydostać coś z tego przekłę-tego szejka Haddedihnów. Sprowadźcie go tutaj z łodzi! Niech się ucieszy na widok swego sławnego i ukochanego ernira w naszych rękach.

Słyszałem oddalające się kroki, po czym ktoś, kto dotychczas 236 milczał, rzekł:

- Oczekuję kary, jakiej te łotry uszły poprzez swą ucieczkę z sądu.

Powinni dostać śmiertelną chłostę!

Mówił Beduin Ghasai, który podawał się za Solaiba. Tak więc byli tu zebrani prawie wszyscy nasi przyjaciele i znajomi.

- Nie bój się! - uspokoił go Peder. - Tak się ich o~wicz, że wylizywać się będą miesiącami. Zacząłbym od tego zaraz, ale wiesz, jaki jest Sefir w tych rzeczach. Nie znosi żadnej samowoli i wszelkie wykroczenie karze śmiercią tego, który zawinił.

- Posuwa swą surowość za daleko!

- Nie, bo dzięki niej tylko utrzymuje karność i porządek. Każdy inny związek może nieposłuszeństwo karać wyrzuceniem. Nam zaś jest to zakazane, bo wyrzucony mógłby nas zdradzić. Tylko śmierć zabezpiecza nas. Nie wolno nam nawet obszukać naszych jeficów, bo pierwszeństwo ma ręka Sefira. Wystarczy to, że wiemy, iż nie mają żadnej broni, prócz noży - a te są w naszym posiadaniu. Jakże niezwykle przyjemne były dla mnie te słowa! Przy dokładnej rewizji byliby znaleźli pierścienie silla, które odebraliśmy jemu i jego towarzyszom.

- Czy aby Sefir nie ukarze ich lżej, jak my sobie tego życzymy? - zapytał Ghasai.

- Pewno, że nie! Ma z nimi, jak powiada osobiste porachunki, a ja będę miał jeden z pierwszych, może najważniejszy głos, kiedy dojdzie do sądu. To wystarczy najzupełniej. Narzekałeś niedawno na surowość naszych praw, niesłusznie, bo one odpowiadają twoim życzeniom, z góry skazując na śmierć tych ludzi. Tylko rodzaj i sposób tej śmierci podlega jeszcze decyzji. Teraz cicho! Sprowadzili małego. Muszę od niego wyciągnąć, gdzie są ich konie i rzeczy. Hadzi został dostarczony i złożony obok mnie. Był też związany, nawet miał usta zakneblowane, żeby nie mógł mówić ani krzyżeć na wypadek, widocznie, gdyby zechciał mnie ostrzec.

- Otwórzcie mu usta, żeby mógł mi odpowiadać! - rozkazał 237 Peder.

Gdy temu stało się zadość, rzekł do Hadziego kpiącym tonem:

- Widzisz, że miałem rację: leży tutaj, mamy go!

- Czy jest martwy - zapytał Halef zmartwiony.

- Nie. Tylko zmysły go odeszły. Jak tylko oprzytomnieje, dostaniecie batogi, że wam do kości przenikną!

- To mnie nadzwyczaj cieszy! - odrzekł Halef ze śmiechem! - Jest to chwalebny obyczaj u was, że ciągi padają na was samych!

- Stracił~ zmysły!

- O, mam je w porządku! Zatkaliście mi usta, ale nie uszy, a że byliście tacy mądrzy, że mówiliście głośno, słyszałem wszystko. Nie wolno wam bez Sefira nawet sięgnąć do naszych kieszeni, cóż dopiero bić nas.

- Psie! Pokażę ci, że zbijemy cię tak, aż krew popłynie, jeżeli nie będziesz odpowiadał natychmiast na moje pytania. Zatem słuchaj, co chcę wiedzieć! Dlaczego nie pojechaliście do Bagdadu?

- Dlatego, że tam nie zmierzaliśmy.

- Dokąd więc?

- Do Burdż Awaineh.

- To leży przecież na południe od ruin. Wy jednak jechaliście na północ w kierunku Bagdadu. Coś mi kręcisz!

- Niech Allah uchowa twój rozum! Zdajesz się należeć do gatunku nieszczęśliwych ludzi, których mózgi są pokręcone, dlatego w najprostrzych rzeczach dopatrujesz się krętactwa.

- To twój mózg pokręcony, a nie mój. Wymagam wyjaśnienia.

Przyznaję, że byłem niezmiernie ciekaw tego wyjaśnienia. Znałem mego małego Hadżiego. W swych czynach był pochopny i nierozważny, ale poza tym ogromnie zmyślny; słowami nie dał się nigdy wywieść w pole. Co go skłoniło do przytoczenia Burdż Awaineh, było dla mnie zagadką, ale byłem przekonany, że dobrze wykręci i nie zdradzi się z niczym. Odpowiedział:

- Ponieważ podałeś w wątpliwość przytomność mego umysłu,

238 udowodnię ci, że jest bez zarzutu. Mój effendi należy do klasy wysoce poważanych i uczonych panów, którzy badają stare ruiny, aby odszukać zabytki dawnych czasów. Przybył ze mną tutaj w tym właśnie celu. Z tego względu skierowaliśmy się do Burdż Awaineh, ale niestety, byliśmy zatrzymani w Birs Nimrud i odstawieni do Hilleh. Stamtąd uciekliśmy, ale mimo to mój effendi nie zaniechał swych badań w Burdż Awaineh. Udaliśmy więc, że zmierzamy do Bagdadu, dojechaliśmy jednak tylko do khanu Nasrijeh. Ponieważ powrót do Hilleh i do tamtejszego mostu mieliśmy odcięty, skierowaliśmy się do Eufra-tu, przepłynęliśmy go i spoczęliśmy przez noc. 'liż przed zaśnięciem zauważyliśmy światło tego ogniska, co skłoniło mnie do wybadania, kto je zapalił. Gdy przybyłem na górę, piasek się obsunął i potoczył wraz' ze mną w dół. Zostałem złapany i obezwładniony. Promienie twej niedoścignionej mądrości objaśnią cię, że mój effendi był ciekaw, dlaczego nie wracam; wyszedł więc na poszukiwania i znalazł u was takie same przyjęcie, jak ja. No i powiedz teraz, czy w moim mózgu, albo w naszych czynach, jest jakieś krętactwo?

Wymówił to wszystko tonem tak niewymuszonym i naturalnym, że nie zdziwiło mnie wcale, gdy Peder odpowiedział:

-A więc wasza obecność tutaj jest dostatecznie wyjaśniona. Gdzie jest miejsce, na którym chcieliście przenocować? Sprowadzimy tu wasze konie.

- Nasze konie? Nie ma ich tam.

- Nie ma? - brzmiała zdziwiona odpowiedź.

- Nie.

- Gdzie się znajdują?

- W khanie Nasrijeh, oczywiście, gdzie oddaliśmy je na przechowanie.

- A wasza brofi?

- Również tam. To rozumiałe!

- Zrozumiałe? Nie rozumiem!

- r'ie? Doprawdy nie? Zatem twój mózg nie jest w porządku, a

239 nie mój! Posądzono nas niesłusznie i odstawiono do sądu, skąd uciekliśmy; prze~ladują nas i ścigają; musieliśmy przepłynąć Euftrat, który byłby nasze rzeczy uszkodził albo zgo~ zniszczył ... Przy tych wszystkich motywach i wyjaśnieniach uważasz za niezrozumiałe, że niczego z sobą nie zabrali~my?

- Musisz jednak przyzna~, że wasze rzeczy będą wam potrzebne w Burdż Awaineh!

- Naturalnie i zapewniam cię, że będziemy je mieli. Oczekujemy, właściwie drugiego, effendiego, który ma za dwa dni przybyć z wielu sługami i towarzyszymi. Ten wstąpi do kahnu Nasrijeh, odbierze od khandziego nasze rzeczy i przywiezie je nam, nie narażając ich na wilgoć Euftratu lub niebezpieczeństwo konfiskaty w Hilleh z rozkazu namiestnika. Jeżeli wciąż nie pojmujesz, powiadam ci: jestem gotów zupełnie zwątpić o jasnośćE twego umysku!

Muszę przyznać, że byłem zadowolony z mego małego, przemysł-nego Hadziego. Przytoczone przezefi wyjaśnienia i motywy, szczegól-nie sposób i ton jego wywodów, były tak przekonujące, że nie mógł lepiej wywiązać się z zadania. Peder zdawał się być pewnym, że mu opowiadano prawdę, gdyż rzekł:

- Za użblżanie mojemu umysłowi porachuję się z tobą później.

Teraz jestem raczej skłonny do łaski, bo usłuchałeś mego rozkazu i odpowiedziałeś na moje pytania. W nagrodę za posłuszeństwo po-wiem ci, że cała wasza ostrożność w khanie Nasrijeh na nic się nie zda, bo wydostaniemy wszystko, co tam oddaliście na przechowanie.

- Chcesz mnie rozśmieszyć? - zapytał Halef. - Nie łudź się co do mego posłuszeństwa. Mówię ci to wszystko dlatego tylko, że mi się tak podoba, a nie przez pokorę wobec ciebie, czy innych ludzi. A effendi, którego oczekujemy, będzie się wystrzegał wypuszczenia z rąk tego, co nam dostarczyE powinien do Burdż Awaineh!

- Mówisz jak niedoświadczony, ślepy chłopiec, który nie widzi, co go czeka. Nie dojdziecie wcale do Burdż Awaineh, my was tam wyprzedzimy i waszego wspólnika przyjmiemy w taki sposób, że nie

240 ośmieli się już nigdy obrażać prawowitych mieszkańców tej okolicy swoją niewierną obecnością. Koni i broni w rodzaju waszych nie puszcza się z rąk, kiedy się je raz widziało.

- A więc mam cię zaliczyć do gatunku ludzi, których nazywają złodziejami albo rabusiami?

- Tak, jeżeli masz ochotę! - roześmiał się Peder. - Nie masz w ogóle pojęcia ... ach, patrzcie, chrześcijanin się rusza! Jego zgubiona dusza zdaje się wracać do niego, aby się od nas dowiedzieć, że ją niedługo pošlemy do piekła.

Moje oczy nie były jeszcze wolne od piasku, ale mogłem już otwie-rać je na krótkie mgnienia; uważałem, że nastąpił czas, kiedy powi-nieniem dać oznaki życia. Gdy Peder to zauważył, rozniecił ogień, aby się dokładnie przyjrzeć mojej twarzy, i przemówił do mnie drwiąco:

- Bądź pozdrowiony, o dzielny bohaterze cegieł, które wygrzeby-wać chcecie w Burz Awaineh! 'Iteoje przebudzenie się cieszy moją duszę i koi moją boleść, którą odczuwałem, biorąc cię za martwego. Mam ogromną chęć tu nad Eufratem odpłacić wam za tę przyjaźń, jaką okazaliście mi nad Tygrysem. Spraw mi prawdziwą rozkosz, kiedy batem wpiję się w twe ciało i kiedy usłyszę wycie męki i bólu, z którym pójdziecie do piekła!

Przemilczenie mogło ujść za oznakę strachu, dlatego odpowiedzia-łem krótkim, pogardliwym śmiechem.

- Nie śmieję się, psie! - wrzasnął wściekle. - Zdajesz się nie wiedzieć, gdzie i przed kim się znajdujesz. Otwórz oczy i przyjrzyj się mnie. Czy znasz mnie?

Spojrzałem nafi i znów się roześmiałem.

- Oby cię Allah zabił! Poznałeś mnie i ciągle się śmiejesz! Powia-dam ci, że ta twoja wymuszona wesołość zamieni się zaraz w lament rozpaczy! Nie masz pojęcia o losie, jaki cię czeka!

- Mego losu nie znam istotnie, bo leży w ręku Allaha; ale za to wiem, jaki będzie twój los, bo ja będę o nim stanowił, - odrzekłem.

- Czy słyszeliście, co on powiedział? Widocznie głowa jego, kiedy

241 go ściągaliście, tarzała się po ziemi; zawartość tej połamanej czaszki została uszkodzona. Ten osobnik jest obłąkany, zupełnie obłąkany! Potwierdzają to obłądne słowa, które zjawily się na jego wargach. Jaka szkoda, jaka ogromna szkoda. Nie będzie miał zrozumienia i odczucia dla tej nieskoficznej miłości, jaką obronimy jego szczęście i dobro-byt. Słuchaj!

Od rzeki doleciał gwizd, za którym rozległ się drugi i trzeci. Wszy-scy obecni skoczyli z miejsc,

wyjawszy, oczywiście Halefa i mnie.

- Przybywają już - rzekł Peder, - przybywają już, niestety!

Jakże chętnie opisałbym tym szubrawcom udreki, jakimi ich uszczęśliwimy. Musimy ich odprowadzić, bo płytkość kanału zmusza nas do rozdziału łódek i wylądowania trumien. Ta robota nie może być opóźniona ani na chwilę, bo wszystko musi być ukryte jeszcze przed świtem. Goniec musi natychmiast wyjechać i zawiadomić Sefira. Pojedzie z nim drugi do pomocy, gdyż zabierze ze sobą jeficów! Po tych gwałtownie wyrzuconych rozkazach stanął nad wodą i gwizdnął trzykrotnie. Odpowiedziano takim samym sygnałem, po czym nadpłynęły trzy ciężko załadowane łodzie, które przytwierdzono do brzegu. Ponieważ uwaga ogólna skierowała się na łodzie i tym samym odwróciła się od nas, Halef osądził, że ma okazję do porozumienia się ze mną. Rzekł:

- Nie moja to wina. sisi! Widocznie było napisane w księdze przeznaczenia, że zostaniemy jeficami tych ludzi. Czy sądzisz, że zdołamy uwolnić się?

- Tylko wtedy, jeżeli będziesz milczał. Nie wolno nam słowa wykrztusić. Prawdopodobnie usłyszymy rzeczy, które nam się przydadzą.

- O, będą na tyle mądrzy, aby nie powiedzie~ nic, co może nam przynieść pożytek!

-Jeżeli nie dowiemy się z nic konkretnego, to jednak padną słowa, z których, jeżeli je trafnie .:estawimy, można będzie wyciągnąć pożyteczne wnioski. Zachowaj się więc teraz spokojnie. Jeżeli Peder

242 znowu przemówi do nas, pozostaw mnie sprawę odpowiedzi, bo w naszym położeniu najmniejsze słówko może mieć ogromną wagę! Gdy pierwsza łódź została wyladowana, wyskoczył z niej jakiś człowiek, podszedł do Pedera i rzekł:

-Jesteś tu osobiście? To dobry znak! Wszystko odbyło się pomyślnie?

- Tak. Wasz pierwszy oddział przybył wczoraj szczęśliwie i ładunek został przeniesiony w porządku. Jeżeli dzisiaj będziemy gotowi do świtu, możecie być spokojni o towar. Musimy więc natychmiast przystąpić do roboty.

- Kogo tutaj macie? Dwaj związani ludzie! A więc jeficy, ludzie dla nas niebezpieczni?

-Tak. Jeden chrześcijański i jeden sunnicki pies, których wysłamy do piekła. Opowiem ci później. Teraz nie ma na to czasu. Odstawiam ich do Sefira, który na pewien czas, dopóki nie skończymy tutaj z transportem, wtrąci ich do więzienia w Nimrudzie. Nowoprzybyły wrócił do swej łodzi. Peder zawołał skinieniem ręki dwóch ludzi i pomówił z nimi tak cicho, że nic nie

mogłem pochwycić. Jego spojrzenia i gesty wskazały mi jednak, że zlecenia, jakie im dawał, dotyczyły nas. Potem podszedł do nas, kopnął mnie nogą i rzekł:

-Na razie muszę się z wami rozstać, ale nie rób sobie z tego żadnej nadziei! Zjawię się później i wtedy się z wami rozprawię. Nie ma takiego potwornego wyrazu, aby opisać to, co zamierzamy z wami zrobić. Niechaj diabeł was strzeże aż do naszego spotkania się.

- Lepiej się do nas odniesie, niż ty, daję ci na to moje słowo! - odrzekłem.

- Czy chcesz mi grozić, psie?

- To, co mówię, nie jest próżną pogroźką, lecz stanie się rzeczy-wiście. Nie ty z nami, ale my z tobą się rozprawimy, jak tylko ośmielisz się zjawić przed naszymi oczyma. Szykuj się do tego! Zaklął raz jeszcze, mocno mnie kopnął i dał swym ludziom znak; pochwycono nas i przeniesiono do łodzi, gdzie zostaliśmy złożeni na 243 dnie, jeden obok drugiego. Dwaj ludzie, którym poprzednio dawał zlecenia, weszli do naszej łodzi, odbili od brzegu i wzięli się do wiosła. Łódka ruszyła.

Krawędzie łódki z plecionego łyka były tak wysokie, że niepodobna było sięgnąć poza nie wzrokiem. Poruszenia lekkiej łódki były łagod-ne. Dwaj eskortujący nas bandyci nie troszczyli się o nas i śpiesząc się, pracowali z całych sił. Ponieważ byliśmy związani, sądzili, iż specjalny nadzór nie jest konieczny.

Po pewnej chwili Halef przybliżył swe usta do mego ucha i zapytał:

- Czy mogę teraz mowi~, sidi?

- Tak - odrzekłem również szeptem.

- Czy jesteś na mnie zły?

- Jak lew!

-To uspokaja moje serce, bo nie mówiłemjeszcze z żadnym lwem, któryby mi oświadczył, że jest na mnie zły. Mogę ci tylko powtórzyć, że nie ponoszę żadnej winy w naszym nieszczęściu. Spadło to na mnie tak niespodziewanie, kiedy obruszył się pode mną piasek, który utra-ciwszy równowagę, poleciał w dół, ciągnąc za sobą zrazu moje nogi, potem całe ciało. Powiadam ci, te Persy, czy jak ich tam, byli w pierwszej chwili niemniej ogłuszeni, niż ja!

- Czy nie mogłeś wykorzystać ich oszołomienia?

- Do czego?

- Aby szybko odskoczyć i uciec?

- O, sidi, jak niezwykle myśli miewasz czasami! Po pierwsze, prawa kismetu głoszą, że padanie jest zawsze szybsze niż uskakiwanie, jak sam nieraz doświadczyłeś. Po drugie, droga moja z góry na dół była dłuższa, niż droga od nich do mnie, którzy po prostu siedzieli na miejscu, moje więc oszołomienie trwało dłużej. Po trzecie, leżałem pod całą górą piasku, a oni nie. Po czwarte, miałem tylko dwie nogi do ucieczki, a oni razem dobrych dwadzieścia rąk do rzucenia się na mnie. Po piąte ...

- Dostyc, do jutra nie skoficzyl bys wyluczania! - przerwalem. -

Przewidziałem tę biedę. Stało się to, czego się obawiałem. Powinieneś być sam iść, a nie ciebie posyłać. Nie jesteś dość ostrożny!

-Sidi, pomstuj na siebie, a nie na mnie! Zachowałem się dokładnie tak, jak mi kazałeś, ty zaś nie tak, jak sobie życzyłem.

- Jak to rozumiesz?

- Żądałeś, abym był ostrożny, byłem nim. Że krawędź była tak nieostrożna i potoczyła się wraz ze mną tam, gdzie byE nie powinna, miej do niej pretensje, a nie do mnie. Potem, gdy byłem już złapany, wiedziałem, że pójdziesz za mną, otóż wtedy pragnąłem z całego serca, żebyś się nie dał złapać. Czy uczyniłeś zadość temu pragnieniu?

- Hm, nie!

- Dobrze! Widzisz tedy, że nie mnie, a sobie samemu powinieneś wymyślać. A więc, nie unos się!

Chętnie bym się roześmiał. Ten mały zwał całą winę na mnie i to w sposób tak dyplomatyczny, że nie mogłem nie przyznać mu racji. Po chwili dodał, chyba po to, aby uprzedzić jakiś z mojej strony argument:

- Myślałem, że jesteś doprawdy nieprzytomny; czy to jednak nie miało miejsca?

- Nie.

- Słyszałeś więc, jakie odpowiedzi otrzymał ode mnie Peder?

- Tak.

- Powiedz otwarcie, dobrze zrobiłem?

- Doskonale!

- Dziękuję ci! To twoje uznanie jest dla mnie pr.^yjemnym dowodem tego, że krótkość mojej domyślności pokrywa się z długością twego rozumienia. Wobec tego jesteśmy sobie zupełnie równi i w stosunku do naszej wspólnej niedoli, spowodowanej przez Persów, najzupełniej kwita. Teraz możemy w przyjaznej zgodzie zająć się rzeczą najważniejszą. Czy sądzisz, że uda się nam wyjść cało z tej historii?

- Zapewne.

- Kiedy? Jak? Gdzie?
- Za dużo pytań naraz. Musimy poczekać na dalsze wypadki.
- Odstawią nas do Sefira.
- Tak.
- Co z nami zrobi?
- Jak słyszałeś od Pedera, wtrąci nas do lochu w Nimrud.
- Czy masz pojęcie, co to za rodzaj więzienia.
- Sądzę, że jest to ten sam podziemny loch Birs Nimrud, w którym siedział nasz bagdadzki binbasi.
- Allah! Jak wpadłeś na tę myśl?
- Różne względy wskazały mi na nią. Nie możemy teraz tego omówić.
- Czy nie myślisz, że z tego lochu jest wyjście?
- Jestem prawie przekonany o tym, chociaż zachodzi pytanie, czy to wyjście jest możliwe dla ludzi. Niech się stanie, co chce, za wszelką cenę musimy dbać o to, aby nas nie rozłączono.
- To prawda, dlatego na wypadek, gdyby nas chcieli rozłączyć, po prostu na to nie pozwolę!
- Jak chcesz to zrobić?
- Jeszcze nie wiem, ale w odpowiedniej chwili będę wiedział.
- Nic nie będziesz wiedział. Jeżeli zechcą nas rozłączyć, uczynią to i nie będziemy mogli temu przeszkodzić. Nasze wyzwolenie się nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, ale nie powinno pozwolić długo na siebie czekać, już chociażby przez wzgląd na nasze konie. Przede wszystkim, zbadajmy nasze powrozy. Czy masz palce wolne?
- Tak.
- Niestety, związane mi ręce z tyłu na plecach. Odwrócę się.

Popatrz, czy nie będziesz mógł mych więzów rozplątać! Odwróciłem się do niego plecami i poczułem, że mimo rąk związanych, bardzo gorliwie ją manipulować sznurami, które były wielo-

krotnie i mocno ściągnięte. Trwało dość długo, prawie kwadrans, póki nie poczułem, że się rozluźniły. Pomagałem mu obracaniem rąk i 246 rozciąganiem powrozów i udało mi się uwolnić prawą rękę; z lewą ręką rzecz się miała gorzej, bo przez ostrożność, nie skrępowano mi obydwu kiści rąk jednym zwojem, lecz spętano każdą poszczególnie, i prócz tego przymocowano do pasa potrójnym węzłem. Uwolnienie drugiej ręki wymagało większego natężenia sił i spowodowało szarpnięcie, które udzieliło się łódce; zachybotła się.

- Co wy tam robicie! - krzyknął jeden z wiosłarzy, odwracając się do nas. - Leżeć spokojnie, bo wyrzucimy was do wody!

Drugi by oględniejszy i powiedział:

- Kto wie, co oni tam kombinują! To są przebiegłe psy. Sprawdź no ich sznury! Sam będę tymczasem wiosłował.

Słyszając to, byłem przekonany, że zaledwie chwila dzieli mnie od wolności. Wyda się bezwzględnie, że jedną rękę mam wolną. Co wtedy? Czy mam pozwolić, aby mi ją ponownie związano? Nie! Nastąpi walka i wszyscy wpadniemy do wody. Ale gdyby to się nie stało przeciwnicy nasi byłiby górą, gdyż posiadali broń, ja zaś mogłem się posługiwać jedną tylko ręką. Pozostawało więc jedno wyjście; moja ucieczka. Ale Halef, związany, nie mógł mi towarzyszyć. Czy miałem go opuścić? Dlaczego nie? Odzyskując wolność, byłbym mu bardziej pożyteczny, niż gdybym został przy nim uwięziony. Ale ryzykowałem życie. Miałem nogi spętane i lewą rękę mocno jeszcze przytwierdzoną do pasa. Przy tym było do przewidzenia, że będą do mnie strzelać, bo obydwaj strażnicy mieli pistolety. Ba, powinienem tylko skryć się szybko pod wodę, a żadna kula wtedy nie straszna. A więc odważnie! Te myśli tak szybko przemknęły mi przez głowę, że powziąłem decyzję, zanim jeszcze któryś z wiosłarzy pochylił się nad nami, i szepnąłem Halefowi:

- Bądź spokojny, wydostanę cię!

Potem dźwignąłem się i przewaliłem poza krawędź łódki do wody. Nurty zwały się nade mną, jednakże doleciał mnie jeszcze podwójny okrzyk.

Mój skok wytrącił, oczywiście, łódkę z równowagi. Budowana jak 247 okrągły kosz, musiała się zakręcić w kółko, zatem wiosłarze winni byli całą swoją uwagę skierować na to, aby jej przywrócić równowagę. Dzięki temu wygrałem trochę czasu, którego nie omieszkałem obrócić na swoją korzyść.

Byliśmy na zakręcie rzeki, w pobliżu prawego brzegu i zadaniem moim było dosięgnąć go jak najprędzej. Prawa ręka wystarczała mi do pływania. Gdy się zanurzyłem, przybrałem przy pomocy kilku bocznych rzutów odpowiednią pozycję i wynurzyłem się dopiero wtedy, kiedy mi zabrakło

tchu. Ujrzałem łódkę - plecionkę, kołyszącą się jak bezkształtny przedmiot w trzydziestu kroków ode mnie. Wynurzyłem się parokrotnie, aż łódka nie zniknęła mi z widoku, co pozwoliło mi przypuścić, że i ja nie jestem widoczny. Odtąd trzymałem się na powierzchni i bez szczególnego wysiłku dobiłem do brzegu, gdzie doleciały mnie wściekle ryczące głosy dwóch piratów Eufratu. Siedząc nad wodą, uwolniłem się ostatecznie z więzów. Bez obawy czyjegokolwiek nadzoru osiągnąłem to stosunkowo łatwo. Przeciągnąłem pas tak, że tylna jego część wraz z przywiązaną doń lewą ręką przesunęła się na przód i prawa ręka rozplątała więzy lewej. Miałem oto do dyspozycji dziesięć palców, żeby bez trudu rozwikłać powrozy, oplecione dookoła nóg, co trwało parę minut. Nareszcie odzyskałem władzę w kończynach i mogłem przedsięwziąć to, co uważałem za pierwszą powinność, odnalezienie koni.

Byliśmy w drodze niecałe trzy kwadransy, trzymając się przy tym zakrętów rzeki. Znałem teraz te meandry, bo, chociaż nie mogliśmy się wychylać poza krawędzie łódki, w tej siatce z plecionego łyka odkryliśmy przecież oczka, - przez które można było wyglądać. Nie musiałem więc posuwać się z biegiem rzeki, lecz poszedłem na przełaj przez pole i zboczyłem później w kierunku, który powinien był, według moich przypuszczeń, prowadzić wprost do posterunku koni.

Gdy się miało Winnetou za nauczyciela w bieganiu i gdy się tak pięknie odświeżonym, mokrym i orzeźwionym wyszło z wody, jak ja teraz, kroki same się zdwajają. Już po upływie pół godziny ujrzałem

248

na prawo od siebie odblaski ogniska i zbliżyłem się do rozpadliny, gdzie powinny były się znajdować nasze konie. Mądre zwierzęta powitały mnie radosnym parsaniem. Gdyby to był dzieki, byłyby z radości zarżały. Leżały w tej samej pozycji, w jakiej je zostawiłem; pogłaskałem je na znak wdzięczności za posłuszeństwo; potem musiały wstać, bo śpieszno mi było do Birs Nimrud. Najchętniej byłbym się przejechał do Peder-i-Baharata, aby jemu i jego hołocie pokazać, jak długo mnie można więzić, ale to byłaby dla naszych celów wysoce szkodliwa przechwałka, toteż zaniechałem tego zamiaru. Barkh Halefa został obarczony bronią i rzeczami; Ben Rih przyjął mnie na swój grzbiet, po czym wjechaliśmy w okolicę, którą przed chwilą przebyłem, jako szybkobiegacz. Jakie zdarzenia czekały mnie w Birs Nimrud? Trzeba było uwolnić Halefa. Jak to przeprowadzić, to zależało od miejsca i warunków jego uwięzienia. Przynajmniej sobie jednak stanowczo, że nie uda się już nikomu wziąć mnie przez siłę. Człowiek myśli i ... tak jest zamyślony, że staje się wtedy coś wręcz przeciwnego temu, co mu się wydaje logiczne i konsekwentnie przemyślane.

k';'.

Chętnie pojechałbym galopem, ale nie pozwalały mi na to liczne wyschłe kanały, doły i zwykłe

wklęsłości gruntu, które musiałem omijać. Mimo to posuwałem się szybko naprzód, tak, że po trzech kwadransach przeciąłem szlak karawanowy do Kerbeli. Potem mi-nąłem Tahmazję, następnie Tell Markeh i nareszcie, dotarłem do Birs Nimrud.

Tutaj musiałem znowu szukać miejsca dla ukrycia koni. Wczoraj-sze schronienie, gdzie odkryliśmy ślady jeżozwierzy, byłoby odpo-wiednie, gdyby nie było znane naszej eskorcie. Kiedy nad ranem wraz z żołnierzami jechaliśmy do Hilleh, zwróciłem szczególną uwagę, wprawdzie bez wszelkiej myśli, na pewną część ruiny, którą mijaliśmy z bliska i teraz przypomniałem sobie zwalisko muru, które wydawało mi się przydatne do mego celu. Pojechałem więc w tym kierunku i po chwili byłem na miejscu.

Zsiadłem z konia i zbadałem placówkę; nie omyliłem się; odpowiedziała mojemu zadaniu. Umieściłem tam konie, przywiązałem je i rozkazałem im leć, co natychmiast wykonały. Noża nie miałem, zabrali mi go ludzie Pedera, wetknąłem więc w kieszeń jeden z moich rewolwerów. Pozostałe rzeczy zostawiłem, po czym wyszedłem na poszukiwanie Halefa.

Według moich obliczeń, powinien przybyć przede mną. Moja ucieczka musiała przynaglić jego eskortę. Ponieważ przypuszczałem, że loch, w którym zamierzano nas zamknąć, był dawną ciemnicą naszego binbasiego, do której wejście było mi znane, wiedziałem dokąd skierować moje poszukiwania. Musiałem przebyć okolicę, gdzie otwierano i spalano trumny. Zawróciłem w tę stronę.

Znając dobrze miejscowość, nie miałem żadnych trudności, jednakże strzegłem się niezmiernie, aby nie być słyszany, ani widziany.

Korzystałem z każdego kąta, z każdej osłony, aby uprzednio nasłuchiwać i to zabrało mi więcej czasu, niż powinienem był na tę drogę zużyć. Panowała głęboka cisza: powietrze nawet wydawało się zniechęcone. To była śmierć, która niegdyś, przed dwoma tysiącami lat rozpostarła cały swój całun ponad tak lekkomyślnym wówczas Babilonem! Przybyłem na miejsce, skąd niedawno razem z Halefem obserwowałem spalenie trupów i zatrzymałem się mimo woli. Nagle rozległ się zduszony głos na lewo spośród ceglanych gruzów:

- Sidi!

To słowo porwało mnie naprzód. Czy Halefowi udało się uciec, czy oczekiwał mnie tutaj, bo wiedział, że tu będę go szukał?

- Halefie, czy to ty? - zapytałem.

- Tak. Mów cicho i podejdź prędzej, bo inaczej cię zauważą!

- Pokaż się. Wyłaż na wierzch! - zażądałem, mimo to.

- Ale prędzej, chodź prędzej! Oni są blisko, tam ... Widzą cię!

Na chwilę opuścił swą kryjówkę; on to był, mały, zwinny zuch. Mówiąc machał gwałtownie rękoma; dalsze pozostawanie na miejscu 250 musiało być doprawdy niebezpieczne. Przykucnąłem i wślizgnąłem się między odłamy gruzów. Wtem zostałem schwytany, dostałem uderzenie w głowę, jakby obuchem siekiery i runąłem, jak kloc bez życia. Gdy oprzytomniałem, ujrzałem się w długiej,

wąskiej izbie, nie wyższej ponad wzrost człowieka, której ściany składały się z cegieł. Lampka oliwna, umieszczona w niszy, oświetlała ją tak skąpo, że można było tylko dojrzeć najbliższe przyległości niszy, która zawierała wiele podobnych lampek. W jednym z kątów, do którego docierała odrobina światła, widniał w podłodze głęboki otwór, obok leżały wyjęte deski, dużo narzędzi i sznurów. Zmiarkowałem od razu, że jest to przejście, z którym się zapoznał bagdadzki binbasi wraz ze swym grubym Kepekiem i które nam opisał. Dostałem się w pułapkę, która na szczęście, była mi znana, chociaż nigdy nie odwiedzałem wnętrza Birs Nimrud.

Jasnym jest, że to nie Halef ze mną mówił. Gdybym teraz sam się tego nie domyślał, byłoby mi to pokazane ad oculos, gdyż ów osobnik zjawił się nagle, przyglądając mi się tak uważnie, że stwierdziłem od razu, iż jest przydzielony do mnie, jako dozorca. Miał małą zgrabną postać, nosił ubranie Halefa, co było dla mnie usprawiedliwieniem, że w ciemności wziąłem go za mego przyjaciela. Widząc, że oczy moje są otwarte i skierowane na niego, skrzywił twarz w złośliwym uśmiechu, skinął do mnie i rzekł:

- Chwała Allahowi, żeś się nareszcie obudził! Cios, jakiś ci zadali, był za mocno wymierzony. Wy, chrześcijańskie psy, zdajecie się mieć żelazne gnaty, bo każdemu wiernemu to uderzenie otworzyłoby bramy do raju. Nieprawda, sprytnie się urządziliśmy?

Nie otrzymawszy na to odpowiedzi, ciągnął dal'ej:

- Wy sami nazywacie się znakomitymi ludźmi, więc nie powinniście się dziwić, że znamy wasze osobliwości. Jak tylko twój towarzysz został sprowadzony, Sefir powiedział od razu, że nie zostawisz go w nieszczęściu, lecz przybędziesz, chcąc go uwolnić. Że jestem tego samego wzrostu, co i on, musiałem włożyć jego ubranie, potem

251 zaczęliśmy się na ciebie. Zająłem miejsce, koło którego powinieneś być, według przypuszczeń, przejść; Sefir polecił mi zwabić cię tak, jak to uczyniłem. Było wiadomo, że twój towarzysz nazywa cię zawsze „sidi” i tym słowem właśnie udało mi się rozproszyć twoją początkową podejrzliwość. Allah pozbawił cię czujności wzroku i słuchu, inaczej musiałbyś zauważyć, że kto inny cię wołał.

- Gdzie jestem teraz? - zapytałem.

Nie spodziewałem się, oczywiście, prawdy; ale wdając się z nim w rozmowę miałem możność wysnucia z jego słów czegoś, czego powie-dzieć nie był powinien, lub nie chciał.

- Chciałbyś wiedzieć? - roześmiał się. - Chcę ci okazać dobroć mego serca i dam ci żadaną informację: znajdujesz się w przedpokoju piekła, gdzie czeka na ciebie diabeł wraz ze swymi podwładnymi, czeka po to aby im pokazać, jak chrześcijańskiego psa obdziera się ze skóry. No,

jak ci się to podoba?

- Bardzo mi się podoba!

- Nie udawaj! Widzę przecież strach, który szarpie twoje wnętrze. Nie potrzebuję cię uprzedzać, sam wiesz, że szejtan wynajdzie dla ciebie najlepsze, co piekło dostarczyć może. Miał widocznie zamiar opisać mi malowniczo to „najlepsze”, gdy oto przerwał mu hałas kroków, powoli wstępujących po schodach; po chwili wynurzyli się trzej ludzie, z których znałem tylko jednego: był to Sefir. Rzucił na mnie krótkie przenikliwe spojrzenie i rzekł do mego dozorca:

- Widzę, że łotr jest przytomny. Mówiłeś z nim?

- Tak - brzmiała odpowiedź.

- Co powiedział?

- Że mu się podoba!

- To mówił nie on, mówiła jego rozpacz. Powinien się domyślać, co go czeka. Tutaj są inni sędziowie, niż w Hilleh i nie ma tutaj murów, przez które można uciekać. Niestety, nie mamy teraz czasu do zajmowania się nim, ale z tym większą przyjemnością rozprawimy się z nim

252 później. Przenieście go na dół! Będzie razem z Piszkhidmet baszim, nie mamy innego miejsca. Nie wolno nam lokować go razem z jego szejkiem Haddedihnów, bo we dwójkę mogą coś uknuć, a tego musiemy się strzec. ~ .

- Czy mam zaehować to ubranie? - zapytał stróż. - Nie chcę ani chwili dłużej nosić odzieży tego przeklętego sunnity! ... Wszystko, czego dotyka taki potępieniec, jest zakazane!

- Odbierzesz swe ubranie, kiedy będziemy na dole! Teraz przewiążcie temu niewiernemu oczy, nie powinien nic widzieć. I rozwiążcie mu na parę chwil nogi, żebyście nie potrzebowali go przenosić, sam pójdzie!

Wykonano te rozkazy, gdy wstałem, poprowadzono mnie do otworu. Schodząc, naliczyłem osiemnaście stopni, co zgadzało się z relacją majora. Na dole zmiarkowałem, powodując się echem głosów, że znajdujemy się w dość dużej izbie. Był to, w każdym razie, numer pierwszy z pięciu czworoboków, które nam oznaczył na swoim planie binbasi.

Poprowadzono mnie dalej. Kotara, którą potrąciłem, zdradziła mi, że wkraczamy do numeru trzeciego. Tu odezwał się mój dozorca:

- Teraz zamienię się ubranie z Haddedihnem.

Słyszałem jak poszedł na prawo, z czego wywnioskowałem, że Halefa ulokowano w izbie numer czwarty. Sefir sprzeciwił się temu, rozkazawszy:

- Poczekaj, aż się załatwimy z tym chrześcijaninem. Jeżeli już raz się splugawiłeś, jedna minuta więcej nic nie stanowi! Po chwili usłyszałem, jak odsuwano rygiel oraz szczęk żelaznej sztaby. Otwarto kratę z mocnych plecionych drutów, którą znałem w relacji binbasiego i wepchnięto mnie do izby numer pięć. Ledwie wtargnęliśmy, rozległ się głos:

- Nareszcie, nareszcie przybywacie mnie uwolnić. Nie mogę już dłużej wytrzymać w tych więzach i w tej ciemności!

- Wytrzymasz dłużej - odparł, śmiejąc się Sefir. - Tak miłych 253 gości nie puszcza się tak prędko!

-Ależ zrobiłem wszystko, czego żądaliście! Dotrzymajcie słowa i puśćcie mnie na wolność!

- Uspokój się, kochanku ... jeszcześmy z tobą nie gotowi!

- Czego jeszcze chcecie?

- Dałeś nam tylko jeden okup. Żądamy więcej!

- Tylko jeden? Przecież tyle żądaliście; to bardzo dużo! Suma, jaką wam podpisałem stanowi prawie cały mój majątek!

- Właśnie dlatego nie jesteśmy z tobą rozliczeni. Chcemy twój całkowity majątek, a nie prawie cały!

-Allah kerihm , zmiłuj się Boże! Co wam zrobiłem, że chcecie ze mnie zrobić żebraka? Pomyślcie jednak, że przebywam w zaszczytnej bliskości wszechwładcy, który odda mi do dyspozycji całą swą potęgę, aby się na was zemścić.

Na to wybuchnęli wszyscy głośnym śmiechem, a Sefir odrzekł:

- Jesteś albo szalony, albo niesłuchanie głupi. Przecież od nas tylko zależy, czy będziesz miał okazję do zemsty, czy nie! Wystarczy moja chęć, a nie ujrysz więcej swego zaszczytneho wszechwładcy. Potrzebuję tylko przyłożyć lufę tego pistoletu do twojej skroni, nacisnąć spust i koniec z tobą i twoją zemstą!

Zdawało się, że doprawdy dotknął go pistoletem, bo ochmistrz wrzasnął przerażonym głosem:

- Stój! Nie strzelaj, nie strzelaj! Zrobię wszystko, czego zarzą-dasz!

- Dobrze! Na razie żądam od ciebie, abyś milczał, póki znajduje-my się tutaj. Nie możemy znieść twych lamentów. Przyszliśmy, aby ci okazać naszą życzliwość. Skarżysz się, że czas ci się dłuży, zaraz stanie się krótszy. Sprowadzamy ci kolegę, z którym będziesz mógł gawędzić. Jest przeznaczony na śmierć i umrze tutaj, w tej norze przed twoimi oczyma, w sposób, który ci dostarczy wspaniałej rozrywki. Spójrz na niego! Jest to wprawdzie tylko nieczysty, odrażający c~rześcijanin, ale ...

- Toż to Kara Ben Nemzi effendi! - przerwał mu głosem prze-rażonym ochmistrz.

Sefir, chcąc mu pokazać swoją twarz, zdjął mi opaskę z oczu i nachylił do mnie lampę.

- Czy znasz go? - zapytał z nagłą.

- Tak.

- Skąd?

- Spotkałem go w khanie, gdzie wciągnął mnie w kłótnię

- Możecie więc tutaj dalej się kłócić. Macie ku temu spo ~bność i przez sześć czy siedem godzin nikt wam przeszkadzać nie będzie. Czy znałeś go przedtem?

- Nie. Ale on zna was.

- Skąd wiesz o tym?

- Przecież mnie ostrzegł przed wami.

- Jak to?

- Powiedział mi, że czatujecie na nas.

-Maszallah! Jak to możliwe, żeby o tym wiedział? Powiedz, jak się tego dowiedziałeś i kto ci o tym doniósł?

To pytanie zwrócił do mnie. Ciemne jego oczy błysnęły ku mnie i ogniście czerwona spuchlizna jego twarzy, pęczniejąc, poeiemniała.

A że nie kwapiłem się z odpowiedzią, dorzucił groźnie:

- Mów prędko, bo inaczej otworzę ci gębę!

Odrzekłem spokojnie:

- Nie unoś się! Mówię wtedy tylko, kiedy mi się podoba. Sądzę z twoich słów, że zamierzasz tu powrócić za sześć czy siedem godzin. Ten czas wystarczy mi, aby się namyślić, jak mam z tobą mówić.

- Dobrze, doskonale! - roześmiał mi się w twarz. - A więc po tym terminie będziesz wiedział, jak się ze mną obchodzić?

- Tak.

- A ja już teraz w tej chwili wiem, jak mam sobie z tobą radzić i jaki będzie koniec naszej znajomości. Nie opuścisz żywy tego miejsca; umrzesz tutaj i to śmiercią straszliwą, tak że piekło wyda ci się 255 zbawieniem.

- Wiem, że tego pragniesz, ale równie dobrze wiem, że nie boję się ciebie, ani śmierci, ani piekła. Kres mego życia leży nie w twoich rękach, lecz Allaha, a że jest sprawiedliwym sędzią, jestem pewien, że rozprawi się raczej z tobą, niż ty ze mną!

- Mam cię już w ręku! - syknął.

- Tylko chwilowo, na krótki czas. Ciebie zaś on z rąk swych już nie wypuści. Nie możesz mnie tutaj trzymać, jesteś na to zasłaby. Dlatego jednak, kto jest rażony gniewem Allaha, nie ma żadnej nadziei, musi być zmiażdżony!

Cofnął się o krok, złożył ręce w ironicznym zdumieniu i zaczął drwić:

- Co za wielki, co za znakomity i zdumiewający prorok ż ciebie!

Czy nie chcesz, abym padł przed tobą plackiem i modlił się do ciebie?

Powiadam ci, mówiłeś jak człowiek nieuleczalnie chory na głowę. Jeżeli odwołujesz się do gniewu Allaha, zaraz przedstawię ci mój gniew i przekonasz się, który jest groźniejszy. Z mojej ręki żaden Allah cię nie wyratuje ... Tutaj ja jestem panem.

- Błóżnierco!

- Nie bluźnię; znam tylko moją władzę o ktbrej śmiesz wątpić!

Słuchaj, co ci mówię. Z początkiem nowego dnia zaczniesz się twoja śmiertelna męka i tylko wtedy, gdy mnie poprosisz o litość, skończy się tego samego dnia, inaczej potrwa dłużej, o wiele dłużej!

- Słuchaj i ty, co ci powiem! Z początkiem nowego dnia nastąpi kres twojej urojonej władzy a z

koficem tego dnia dosięgnie cię pięć wiekuiestej sprawiedliwości. Oto wyraziliśmy obaj swe zdania i zoba-czymy; co się stanie!

Te słowa nie zostały mi podyktowane własną świadomością, po wypowiedzeniu ich nie wiedziałem sam, kto mi je podszeptał. Jestem przekonany, że były wyrazem jakiegoś natchnienia, którego źrbdło leżało poza mną. Sefir obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem i odrzekł:

-Tak, zobaczymy, co się stanie. Jajuzwiem, a ty się dowiesz, kiedy wrócę. Abyś jednak w międzyczasie miał przedsmak radości, jaka cię czeka, uszczęśliwimy cię wprawieniem twego ciała w ten rozkoszny stan, do którego mają prawo jedynie wybitni mężowie. Zwiążcie go, ale tak mocno, żeby się nie mógł ruszać!

Mógłbym się opierać, ale, jak było do przewidzenia, bez żadnego skutku, tedy zrezygnowałem z oporu i pozwoliłem robić ze mną, co chcieli. Musiałem usiąść. Podciągnęli kolana me do piersi i przymocowali je sznurem, uprzednio owiniętym wokoło szyi, tak, że moja głowa zawisła ku dołowi. Oba kofice sznura pociągnięto w tył, wielokrotnie okręcono wokoło moich nóg i połączono mocnym węzłem. Następnie wsunięto moje ręce pod kolana i spętano tak mocno, że rozwikłanie tych splotów, jak im się zdawało, było wykluczone. Ciało moje przybrało pozycję o której można było powiedzieć, „związany jak kozioł”.

Rozmyślnie użyłem słów „jak im się wydawało” bo, nie spostrzeżając się, nie osiągnęli swego zamiaru, przynajmniej niezupełnie. Podczas gdy mi wiązali przedramiona, nie trzymałem rąk na płask, lecz podniosłem je do góry, przy czym łokcie opuściłem o ile możliwości nisko, tak, że gdybym później chciał je wyciągnąć i obracać kciukami rąk, węzeł musiałby się rozluźnić i zdołałbym się może wyswobodzić. W tej nadziei umocniła mnie jeszcze ta korzystana okoliczność, że ręce zostawiono mi na wolności, sądząc, prawdopodobnie, że skoro ramiona są związane, krępowanie rąk nie jest konieczne. Wogóle, tak byli co do mnie pewni w tym podziemnym lochu, że według ich zdania, gdybym nawet nie był związany, nie było dla mnie najmniejszej nadziei na ucieczkę.

Gdy w ten sposób pozbawiono mnie, rzekomo, wszelkiej możliwości poruszania się, wciśnięto mnie w ką. Sefir złapał mnie za ramiona, potrząsnął mną z góry na dół i rzekł:

- Tak, to jest to, co cię obdarzy siedmiogodzinną rozkoszą, zaczątkiem tej szczęśliwości, jaką dla ciebie szykujemy. Teraz możesz

9 - W lobach Babilonu 257

grozić do woli swą „pięścią wiekuistej sprawiedliwości”, z której mogę się tylko śmiać!

- Przypomnę ci te słowa - odparłem - wtedy nie będziesz się śmiać!

- Spróbuj, robaku. Będę z tego rad!

Z tymi słowy odwrócił się ode mnie i wyszedł. Inni podążyli za nim. Zgrzytnęły żelazne sztaby; rygle zasunięto i wokoło nas zaległa zupeł-na ciemność. Jak tylko zostaliśmy sami, ochmistrz zaczął:

- Któżby przypuszczał, że ...

- Cicho! - przerwałem. - Nie mów teraz nic, musimy nasłuchi-wać!

Odwróciłem się tak, że ucho moje przylegało do ziemi i jałem sh~chać. Cienka druciana krata przepuszczała fale szumu. Słyszałem wyraźnie, że tych czworo mężczyzn przeszło z numeru trzeciego do numeru czwartego, a więc do Halefa w celu zamiany ubrań! Po dziesięciu prawie minutach wyszli stamtąd i udali się do numeru pierwszego, by, jak przypuszczam, wrócić przez otwór do wyjścia. Pochwyciłem dokładnie kroki czterech ludzi i nabrałem pewności, że żaden z nich nie zostaje koło nas na warcie. Bo i po co? Uważali to za zupełnie zbyteczne, tym bardziej, że trzeba im było tylu ludzi, iż nikt nie był zbytecznym.

Teraz zrobiłem wspomnianą próbę wyswobodzenia się z sznurów, owiniętych wokoło kiści rąk. Rozluźniłem je, nie do tego jednak stopnia, żebym mógł jedną rękę uwolnić, ale mogłem przynajmniej obracać nią i zdołałem dzięki temu chwycić palcami węzeł. Udało mi się rozplątać go, na co zużyłem kwadrans czasu. Podczas tej pracy ochmistrz zapytał:

- Czy jeszcze nasłuchujesz, czy też mogę już mówić?

- Możesz, ale bardzo cicho, - odrzekłem. - Mógł się przecież ktoś potajemnie zacząć, aby nas podsłuchiwa~.

- Powiedz, jak się tutaj dostałeś! Przecież ruszyliście do Bagdadu!

-To zrobiliśmy tylko dla pozoru. Później zboczyliśmy z drogi, aby 258 was ratować.

- Aby nas ra-to-wać?! - powtórzył bełkocąc moje słowa. - A sam dostałeś się do niewoli!

- To nic nie znaczy. Może przeszkadza ci moja obecność?

- Nie, o nie! Skąd ci taka myśl przychodzi do głowy?

- Nie wiesz?

- Nie.

- Czy zapomniałeś, co mówiłeś w khanie? ‘I~ve słowa brzmiały:

„nie pokazujcie nam się więcej na oczy! Stare perskie przysłowie nakazuje, aby każdy szyita, spotkawszy chrześcijanina, odtrącił go od siebie nogą, inaczej będzie pokutował w tym i w tamtym życiu”. Otóż jestem chrześcijaninem, a ty szyitą. Odtrąć mnie nogą.

-Effendi, nie powinieneś brać dosłownie tego, co mówiłem, kiedy wszystko obróciło się inaczej niż przypuszczałem. Gdybym usłuchał twego ostrzeżenia, nie leżałbym tutaj i moi żołnierze nie byłiby za-mordowani!

- Zamordowani?

- Tak.

- Wszyscy?

- Wszyscy; jedenastu. Stałem przy tym i musiałem się przyglądać, nie mogąc im pomóc. Dawałem pieniądze, ile chcieli, za ich życie, ale ten, którego nazywają Sefirem, śmiał się ze mnie i mówił, że nie wolno mu zostawić przy życiu żadnego świadka, a pieniądze moje będzie miał i tak.

- Jedenastu ludzi zabił! To jest szatafiskie! Opowiedz mi, jak wpadliście w jego ręce.

- Przybyliśmy do Hilleh i oczywiście, udałem się natychmiast do namiestnika, u którego zastałem Sefira ...

- Czy mówiliście wtedy o mnie?

- Nie. Była tylko mowa o mojej podróży i niebezpieczeństwie, które w tej okolicy czyha na każdego bogatego pielgrzyma.

- Doskonale pomyślane! Jestem pewien, że to Sefir pierwszy 259 poruszył ten temat.

- Zgadłeś. Namiestnik obiecał mi swoją opiekę, ale Sefir ostrzegł mnie przed nim.

- Oczywiście poufnie?

- Tak. Wrócił do mnie, gdy zostałem sam, powiedział mi, że namiestnik jest z bandytami w znowie i otrzymuje większą część łupu.

- Uwierzyłeś w to?

- Dlaczego nie? Takie rzeczy się zdarzają i nie tylko w kraju Turków, gdzie urzędnicy czekają latami na próżno na wypłatę gaży, wskutek czego muszą się uciekać do ciemnych sposobów zarabiania pieniędzy. Sefir powiedział mi w tajemnicy, że i on wybiera się do świętych miejsc, ale ukrywa to przed namiestnikiem, że nawet wie-czorem tego samego dnia rusza w drogę; jakoby ludzie jego karawany, sami spokojni i pewni Arabowie Solaib, obozowali koło ruin, skąd zaczynają pielgrzymkę.

- Zaproponował ci, abyś się do niego przyłączył?

- Nie; o to ja go poprosiłem!

- Tego pragną!

- Oczywiście! Niestety, nie podejrzewałem niczego! Wyjechał naprzód, aby poczekać na nas za miastem, potem pojechaliśmy za nim. Gdyśmy się zetknęli, objął kierownictwo.

- A więc miałem go za ostrożniejszego, niż jest w istocie. Sądziłem, że postara się o alibi.

- Alibi? Co to jest?

- Dowód, że oskarżony znajdował się w czasie przestępstwa, w innym miejscu niż to, gdzie przestępstwo się odbyło. Sądziłem, że pozostanie u namiestnika w Hilleh i poleci tak zwanym Solaibom napaść na was. Wtedy mógłby dowieść, że nie był przy tym.

- Dlaczego używasz słowa „tak zwani”?

- Bo ci ludzie to żadni uczeni Solaibowie, lecz zbójcy Beduini Ghasai.

-Allah! Właśnie dlatego, że podał ich za Solaibów, miałem takie

260 zaufanie, gdyż wiem od dawna, że członkowie tego plemienia odznaczają się wielką wojenną sprawnością.

- Toteż aby wzbudzić zaufanie podał swych ludzi za Solaibów.

Gdybyś mi zaufał w khanie, nie wpadłbyś w ich ręce! Opowiadaj dalej!

- Pojechaliśmy do ruin; do której części nie widziałem, było zbyt ciemno i okolica jest mi obca. Jechałem z nim na czele a ludzie moi za nami; między nami a nimi był przedział ...

- Tak, -wtrąciłem - chciał cię od nich odzieli~, bo miałeś zostać przy życiu!

- Tak. Naraz rozległy się za nami jakieś krzyki. Gdy się odwróci-łem, ujrzałem moich żołnierzy w walce z obcymi ludźmi.

- Pośpieszyłeś do nich na pomoc?

- Chciałem, ale wtedy Sefir uderzył mnie w głowę kolbą swego karabinu tak, że spadłem z konia. Zeskoczył także i związał mi ręce na plecach. Zagroził przy tym, że mnie przebije sztyletem, jeżeli będę krzyczał, albo zrobię jakiś niedozwolony ruch.

- Poddałeś się oczywiście?

- Tak. Cóż miałem robić. Powiadam ci, jestem dzielnym człowiekiem, prawdziwym bohaterem w walce, ale w podobnej sytuacji naj-większa śmiałość nie pomaga. Stwierdziłem to na moich ludziach. Niektórzy polegli, inni zostali związani jak ja i razem z kofimi odpro-wadzeni do odległego i ukrytego miejsca, gdzie, przy świetle naprędce zapalonego ognie wypróżniono nam kieszenie i zabrano wszystko, co mieliśmy przy sobie. Potem ludzie zostali zarżnięci, jeden po drugim, straszliwie zarżnięci! Czy widziałeś kiedy, rzeźnika przy robocie?

- Tak.

- Zupełnie tak samo wyglądało, kiedy im po kolei zadawano nożem śmiertelne ciosy w serce. Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tym! Ja miałem zostać przy życiu, ja sam, bo musiałem podpisać dokumenty, które ci mordercy chcą przedstawić, aby otrzymać pieniądze, dużo pieniędzy.

- Czy już to uczyniłeś?

-Tak. Czy myślisz, że mogłem tego nie zrobić? Sefir stał nade mną z wymierzonym nożem i dyktował mi. Gdybym się przez~jedną chwilę wzbraniał, byłbym też przebity.

- Gdzie podpisywałeś papiery?

- W izbie obok nas.

- Czy były tam przybory do pisania?

- Były przybory i inne konieczne rzeczy, jak lak do pieczęci.

Musiałem przypieczętować sygnetem stemplowym, który mi zabrano. Wyjmował wszystko z wielkiej, objanej żelazem skrzyni, do której klucz nosi na szyi, na sznurku i ukrywa go pod kamizelką. Widziałem tam dużo pieniędzy w srebrze i w złocie. I błyszczące kamienie poka-zywał mi również.

- Jak to? Pokazywał?

-Tak. Nie dziw się! To prawda, bo sam widziałem; na własne oczy widziałem! Jest tam nagromadzona cała góra bogactw.

- Źle mnie rozumiesz. Nie dziwię się wcale tym skarbow, mnie nie mogą imponować. Ale to, że ci je pokazywał, z własnej woli pokazywał, to nie jest dobrym znakiem dla ciebie.

- Jak to?

- Masz nadzieję wydostać się niedługo na wolność?

- Naturalnie! Wprawdzie będę musiał jeszcze raz podpisać pieniądze zobowiązanie, jak dopiero to słyszałeś; ale za to puszcza mnie na wolność.

- Czy przyrzekł ci to?

- Tak.

- I ty wierzysz tej obietnicy?

- Dlaczego nie?

- Dlaczego? Dlaczego!! To doprawdy nie do pomyślenia, że jeszcze możesz o to pytać! Jestem przekonany, że twoja mądrość i przenikliwość wygląda tak samo, jak twoja waleczność, o której przed chwilą mówiłeś. Zabił twoich ludzi, aby nie mieć świadków, jeśli zatem zostawi

cię przy życiu, ma w tobie świadka swej zbrodni. Pomyśl 262 nad tym!

- Allah! Allah! Co ty mbwisz! Rozumiem co myślisz!

-A kiedy bandyta pokazuje komu swe skarby, robi to wtedy tylko, kiedy jest pewien, że ów człowiek nie zdradzi go. Tę pewność daje tylko śmierć!

- Mebada! Boże uchowaj! Pograżasz mnie w rozpacz czarnej, jak głębia odchłani!

- Jestem szczery z tobą. Raz już obdarzyłeś mnie nieufnością i drogo za to zapłaciłeś. Jeżeli znów mnie nie usłuchasz, licz na siebie samego. Nie ujrzysz więcej nieba, lecz tutaj zostaniesz zakhxy, jak twoi ludzie.

- Jesteś o tym przekonany?

-Jest to moje mocne, niezachwiane przekonanie!

-Niechże się Allah zmiłuje nade mną! Chcę ci wierzyć, tak, muszę ci wierzyć, gdybym nawet nie chciał. Kiedy ważę twe słowa, a z drugiej strony okrucieństwo tych ludzi, kiedy myślę o tym, z jaką zimną kwią mordowali moich żołnierzy, nie mogę sądzić inaczej, uważam się za straconego!

Gdy przejrzał, co go czeka, zaczął lamentować i zawodzić; błagał Allaha, łkał ze strachu i w przerwach robił mi masę bezcelowych, bo niewykonalnych propozycji ratunku. W międzyczasie udało mi się węzły rozplątać i wyswobodzić ręce. Ściągnięcie sznura z szyi, uwolnienie kolan i nóg - było już drobiazgiem. Wtedy stanąłem i jałem z prawdziwą przyjemnością przeciągać swe zmęczone członki. Teraz byłem uratowany; mógł nadejść Seńr z wszystkimi swoimi ludźmi; nie bałem się ich.

Pierwsze, co zrobiłem, było to wybadanie podłogi w lewym kącie, opisanym przez binbasiego. Leżała tutaj przyzma ceglanego miału, który był tak delikatny i lekki, że mogłem pogрузić weń ramię, nie natrafiając na przeszkody. Potem zbliżyłem się do wejścia, aby zbadać zasuwę z żelaznych sztab. Wyjść tędy było niepodobiefistwem. Gdy te badania spowodowały lekkie zgrzytnięcie sztab, ozwał się 263 Pizskhidmet baszi:

- Słuchaj! Ktoś nadchodzi!

- Nie, to ja, - odrzekłem.

-‘Ty? - zapytał zdziwiony. - Twój głos dochodzi mnie z góry.

Czy stoisz? Jak doszedłeś do drzwi? Jesteś przecież związany!

- Byłem związany, ale już nie jestem. Podczas gdy ty lamentowałeś, pracowałem i uwolniłem się z więzów. Teraz ciebie rozwiążę.
- O Allah, Allah! Allah! Co za szczęście dla mnie! Tak, chodź tu effendi i daj mi wolność, wolność, wolność ...
- Nie tak głośno! Właściwie nie muszę cię rozwiązywać.
- Czemu nie?
- Bo jestem chrześcijaninem, a moje dotknięcie byłoby dla ciebie hafibą w tym i w tamtym życiu.
- Nie mów tak, effendi, nie mów tak! Co było, to przeszło i powinno być zapomniane. Powiadam ci, chrześcijanie są bardzo dzielni, dobrzy i szlachetni ludzie! Jestem o tym przekonany, głęboko przekonany.
- Tak, kiedy nas potrzebujecie, chwalicie nas, poza tym macie usta pełne wymysłów dla „niewiernych psów”. Ale właśnie dlatego, że jestem chrześcijaninem, zlituję się nad tobą i nie pozwolę ci tu leżeć, aż do powrotu Sefira ... Jak jesteś związany?
- Nogi są złączone, a ręce przywiązane do ciała.
- Nie będę więc miał z tobą dużo zachodu.

Ukląknęłam obok niego i bez wielkiego trudu ściągnąłem zeń sznury; skoczył z rozmachem do góry i ujawnił swą radość w sposób tak nieostrożny, że musiałem nakazać mu milczenie.

Teraz należało zbadać kąt dokładniej, niż to uczyniłem poprze-dnio. Ochmistrz musiał mi pomóc. Usunęliśmy ceglany miąż, wybie-rając go rękoma i składając na stronę. Nie była to tylko warstwa miążu; zawierała sporo odłamków cegieł. Wytworzył się niebawem otwór, który się pogłębiał coraz bardziej. Robota posuwała się szybko. Gdy-śmy wykopali dół na metr głębokości, natknęliśmy się na twarde 264 grunt, ale w lewo i w prawo w kierunku poziomym, lekka miążka masa poddawała się dalej. Lewa strona wiodła do wnętrza budowli, prawa na zewnątrz; dlatego kopaliśmy dalej w tym ostatnim kierunku. Szed-łem przodem, wygrzebywałem miąż rękoma i rzucałem go do rozcią-gniętego kaftana ochmistrza, który wynosił go, niby pełny worek na górę. Już po krótkim czasie miałem niewielki opór; stwierdziłem, że pozostała przede mną ściankę z lekkiego materiału mogę pchnąć przed siebie. Uczyniwszy to, popelzłem dalej, a Pers podążył za mną. Poczulem prąd świeżego powietrza; przejście było już prawie wólne od gruzów i po chwili stanąłem u wylotu. Zobaczyłem, mimo ciemno-ści, wznoszący się mur, który przedłużał się w prawo i w lewo; na wprost mnie dostrzegłem lukę i poprzez nią w górze kawał nieba, rozmigotany gwiazdami. Leżał przede mną czworobok tego dziedziń-ca, który był schronieniem jeżozwierzy, a który posłużył nam wczoraj do ukrycia koni.

Wychyliwszy głowę przez lukę, ujrzałem przylegający do muru nasyp z cegieł i prochu, nasyp, który

oddzielały ode mnie dwa zaledwie metry. Rozrzucone tu i ówdzie w ceglach szczyerby służyły jeżozwie-rzom, jako droga na szczyt muru. Nie mogłem z nich skorzystać i po prostu zeskoczyłem z mego otworu na miękkiej nasyp, co dzięki jego wilgotności nie było groźne. Pers, zdziwiony, wyjrzał przez dziurę.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- Na wolności. Złaz na dół. Jesteśmy uratowani!

- Alhamdulillah! Uratowani! Na wolności! Ale mówisz, że bym złazł, a ja nie widzę tu drabiny.

- Czy ja potrzebowałem drabiny? Żądasz za dużo naraz. Może chcesz lekturę, w której miałbym cię przenieść? Zrób tak jak ja, zeskocz ...

- Skoczyć? Czego chcesz? Żebym sobie złamał kark i może w dodatku nogi?

- Ja nie złamałem!

- To ty! Was chrześcijan diabeł strzeże!

- Ach! Przedtem byłeś grzeczniejszy, ale zaledwie wolny, znów zaczynasz mi ubliża~! Stercz dalej w tej dziurze i daj się wyciągnąć przez Señra! Odchodzę. Dobranoc!

Odwróciłem się i jałem schodzić z nasypu. Wtem za mną rozległo się głośnie pacnięcie: ochmistrz wyłaniał się z chmury pyłu, wołając za mną:

- Stój, stój! Zabierz mnie z sobą! Zabierz mnie z sobą! Nie zostaję, nie chcę zostać tutaj!
- Nie, to ty powinienes mnie zatirać; potoczyłeś się dalej, niż ja,
- odrzekłem śmiejąc się i podszedłem do niego.

Stał, drżąc na całym ciele; otrzepując z siebie piasek, zawodził:

- To był straszny, przeraźliwy skok, głową naprzód! Nigdy więcej nie odważę się na nic podobnego! Mogłeś mnie przecież ściągnąć! Mam uczucie, jakbym był zbity!
- Badź zadowolony, że okupujesz swą wolność tylko tym szlachet-nym uczuciem! Czy dobrze jeździsz konno?
- Nikt nie śmie zaprzeczyć, że jestem świetnym jeźdźcem!
- To dobrze, bo jedziemy zaraz do Hilleh.
- Do tego potrzebne są konie!
- Mam je. Są schowane tu blisko. Musimy tam być za godzinę.
- Przecież to trzy godziny drogi! Dlaczego tak prędko?
- Bo musimy tu być z powrotem na długo przed świtem.
- Znów tutaj? Powiadam ci, żadna siła na ziemi nie ściągnie mnie tu z powrotem!
- O tym pomówimy później, teraz chodź!
- Co zrobisz w Hilleh wśród nocy?
- Zażądamy wojska i przyłapiemy Sefira wraz z jego hołotą.

- Chwała Allahowi! To wielka, cudowna idea! Jeżeli dadzą nam żołnierzy, wracam i ja!

- Więc chodź!

Zeszliśmy z nasypu. Gdy gruzy pozostały za nami, zatrzymałem się nasłuchując. Nic nie było widać ani słychać. Skręciliśmy na prawo i po 266 pięciu minutach odnaleźliśmy konie. Wziąłem swą broń, dałem Per-sowi brofi Halefa, po czym dosiedliśmy koni, by opuścić Birs Nimrud, aż do rychłego powrotu.

Znałem drogę, mogliśmy więc mimo ciemności ruszyć galopem. To było konieczne, bo doprawdy nie mieliśmy czasu do stracenia. Odszukałem najpierw drogę, prowadzącą z Hilleh do przełęczy Chird i Delem, gdy zaś wkroczyliśmy na nią, rzuciłem koniom zagrzewające chabab, galop, dzięki czemu pełnym, wyciągniętym cwałem pomknęły po gładkiej, wolnej od przeszkód, drodze. Okazało się, że ochmistrz nie jest bynajmniej tak świetnym jeźdźcem, za jakiego się podawał. Gdyby to było w dzień, mógłbym przy tej jeździe nawlec igłę nitką, nie chybiając dziurki, tak równo szły ogiery, on zaś podskakiwał w siodle w górę i w dół, jak worek ziemniaków i wołał do mnie żałośnie:

- Wakaaaf, wakkcf! - Wolniej, wolniej! Nie mogę tak prędko!

- Ja mogę - odparłem.

- Amma ana dochan! Kręci mi się w głowie! Dostaję morskiej choroby. Spadam! ...

- Trzymaj się mocno! Nie możemy zwolnić! Daj mi cugle!

Nie mógł sobie dać z nimi rady; musiałem podjechać i wziąć mu je z rąk. Uczepił się siodła i pojechaliśmy dalej pod akompaniament nieustannych „ach” i „och” ... Tylko dwa razy pozwoliłem koniom zwolnić kroku. Po niecałej godzinie ujrzyliśmy przed sobą pierwsze zabudowania Hilleh. Ponieważ znałem tak zwany pałac namiestnika, nietrudno było mi go odnaleźć. Sądziłem, że wypadnie mi o tej nocnej godzinie dobijać się do bramy, ale zastałem ją szeroko otwartą; gdy wjechaliśmy na dziedziniec, zauważyłem, że wejście do mieszkania urzędników było oświetlone. Skierowaliśmy się tam i zsiadliśmy z koni. Przed drzwiami stała podwójna warta, której w dzień nie widziałem.

- Czy namiestnik nie śpi? - zapytałem.

- Nie! - odpowiedział stojący obok podoficer.

- Musimy go w tej chwili widzieć. Trzymajcie nasze konie.
- Nie wolno nam nikogo wpuszczać.
- Czemu?
- Przybył ze Stambułu oficer, wysłannik padyszacha, którego niechaj Allah ma w swej opiece. Mają konferencję i nie wolno im przeszkadzać.
- Musimy jednak widzieć się z nim. Oto macie tutaj w nagrodę za dobrą wolę!

Wcisnąłem mu do ręki srebrną monetę; popatrzył na nią pod światło, by zobaczyć, ile dostał i rzekł:

- Panie, twoja łaskawość~ przewyższa moje rozkazy. Dajcie moje-mu żołnierzowi konie; dobrze je przypilnuje; a ja wejdę, aby wywołać do was kol agasiego, który ma służbę.

Poszedł i po chwili wróciłw towarzystwie ohcera. Ku mojej radości był to dzielny stary kol agasi, który tak mocno wierzył w mój wpływ na ministra wojny. Gdy nas ujrzał i poznał, klasnął ze zdziwienia w dłonie i rzekł:

- Wy tutaj, wy? Effendi, to zuchwalstwo! To nawet szalone zu-chwalstwo! Wszak złapią was, zamkną i zasądzą. Namiestnik był wściekły po waszej ucieczce!
- Nie bo~ę się go. Prowadź mnie do niego. Mam dla niego nie-zmiernie ważną wiadomość, która nie cierpi zwłoki.
- Co się st&ła? Dlaczego powracacie?
- Nie mam teraz czasu na opowiadania, do każda minuta jest droga. Ale wnet się dowiesz, o co chodzi. Zamelduj mnie natych-miast!
- Przyjmie was zapewne nie namiestnik, lecz wysłannik sułtana.
- Kto to?
- Jest to generał; nie wiem, jak się nazywa. Przyjechał wieczorem z Bagdadu i od tej chwili w całym domu są tylko tajemnice. Zebrali się tam wszyscy wyżsi urzędnicy namiestnictwa i kilku wyższych ofi-cerów; konferują w najwyższej tajemnicy. Gdybym był pewien, że

268 doprawdy wspomnisz o mnie w swym sprawozdaniu, powiedzialbym ci cos bardzo waznego.

- Powtarzam ci; tak, polecę cię nawet w Bagdadzie.
- Chcę ci wierzy~. A więc chodź na stronę!

Wziął mnie za rękę i powiedział mi do ucha:

- Zdaje mi się, że źle z namiestnikiem. Słyszałem pod drzwiami bardzo surowy głos generała, a kiedy wszedłem do pokoju, twarz namiestnika była tak zakłopotana, że mam pewność, iż czeka go coś bardzo przykrego. Od przyjazdu generała nie wydał ani jednego roz-kazu, dlatego zaś, zdaje się, że nie ma już władzy. Myślę więc, że nie z nim, lecz z generałem mówić będziecie.
- To jest mi na rękę. Zamelduj mnie.
- Nie mam prawa. Rozkazano mi wpuszczać tylko tych, których zażądają, ale dla ciebie zrobię wyjątek, za który dostanę chyba ostrą wymówkę. Zameldować cię jednak nie mogę. Ale nie mogę również stać ciągle koło drzwi, toteż jeśli w czasie mojej chwilowej nieobecności wejdziecie do pokoju sami, nie moja w tym wina.
- Gdzie są drzwi?
- Wejdźcie na prawo po schodach, tam znajdziecie je na wprost.

W przedpokoju traficie na moją wartę, która każe wam się cofnąć; jak macie się zachować, to wasza sprawa; mnie nie wolno wam radzić. Następny pokój jest ten, w którym odbywa się narada. Teraz oddalam się, bo mi nie wolno nic o was wiedzieć.

Wyszedł na pole, a ja wszedłem po schodach i otworzyłem wskaza-ne drzwi. Zostałem tam onbasziego i pięciu żołnierzy. Ten wystąpił ku nam, aby nam zagrozić drogę; odtrąciłem go z surowym ruh min han! na bok! co go tak ogłuszyło, że zanim się połapał, staliśmy już w następnym pokoju.

Liczne grono cywilnych urzędników siedziało pałac, na podusz-kach; w pewnej odległości od nich, kilku oficerów, a na uboczu, zupełnie sam jakby odosobniony czy zgoła omijany, siedział namiest-nik, w skupieniu, nie pałac. Przy naszym wejściu podniósł głowę. Gdy 269 poznał przybyszów, zerwał się z miejsca, podbiegł do drzwi, rozkrzy-żował ręce, aby odciąć nam odwrót i krzyknął:

- Oto są zbiegłe łotry! Są tu znowu! Łapcie ich, trzymajcie, żeby nie mogli już umknąć!

Inni wstali szybko i spojrzeli na nas z zaskoczeniem. Odwróciłem się do namiestnika i powiedziałem

tonem najspokojniejszym:

- Nie unos się! Nie mamy bynajmniej zamiaru opuszczać tego pokoju, zanim nie osiągniemy swego celu. Przychodzimy, aby pomóc ci z tobą. Masz, sądzę, trochę wolnego czasu?

- Czas? Tak, mam dla was czas, łotry, zbiry, psy, dużo czasu, ale na to, by kazać was związać i wrzucić do więzienia!

- Do tego nie dojdzie, bo nie my, lecz inni ludzie nadają się do więzienia. Ostrzegam cię w ogóle, żebyś nie szastał łotrami, zbirami i psami! Przyzwyczajony jestem do tego, aby osoby dostojniejsze, niż tutejszy namiestnik, odnosiły się do mnie z szacunkiem. Dzisiaj, a szczególnie wczoraj, popełniłeś tyle błędów, że nie uniknąłbyś najgor-szych konsekwencji, gdybyśmy teraz nie dawali ci okazji do naprawie-nia złego. Winienes nam wobec tego wdzięczność, ty zaś nas obrażasz!

- Wdzięczność! - roześmiał się kpiąco. - Tak, wdzięczność w postaci obicia, to wam się należy! Taka zbrodnicza hołota, jak wy ... W tej chwili odsłoniła się zawieszona nad dalszymi drzwiami kota-ra; ukazał się oficer w pełnym uniformie tureckiego generała i spytał surowym tonem:

- Co to za krzyki i hałasy w pobliżu mego pokoju! Czy w ten sposbb okazuje się szacunek pełnomocnikowi padyszacha ... Urwał. Wzrok padł na mnie i natychmiast poważny wyraz jego twarzy ustąpił miejsca przyjaznemu uśmiechowi. Namiestnik nie za-uważył tego i zaczął żywo:

- Ekscelencjo, tu oto stoją dwaj wysoce niebezpieczni łotry, którzy mi dzisiaj uciekli. Są to przemytnicy, złodzieje i zbrodniarze, dzisiaj muszą być stanowczo ujęci!

Generał skinął pogardliwie i odrzekł:

- Tak, szczególnie jednego z nich stanowczo ujmę, ale za rękę.

Podszedł do mnie, ujął obydwie moje ręce, serdecznie je uścisnął i powitał mnie w języku ojczystym:

- Jakże się ogromnie cieszę, że widzę pana tak niespodziewanie!

Wprawdzie nie jestem bardzo zaskoczony, bo słyszałem niedawno, że znajduje się pan w tej okolicy i postanowiłem nawet odszukać pana.

- Jeżeli ekscelencja nie jest zaskoczony, to ja nim jestem w najwyższym stopniu! - odrzekłem. - Nie miałem pojęcia, że pan znajduje się w Iraku i nadto w Hilleh. Widzę, że pan w niezwykle krótkim czasie zdobywa rangi. Czy mogę powinszować, panie gene-rale?

- Dziękuję! Zostałem w bardzo niesprzyjających okolicznościach odkomenderowany nagle do Hilleh, aby skarcić tutejszego namiest~nika i przeprowadzić inspekcję.

- Ach! A więc wzbudził jakieś podejrzenia?

- Nie tylko podejrzenia; udało mi się nawet dostać do rąk dowody jego winy. Wie pan, że szach Nasr-Ed-Din zamyśla o zdobyciu Bag-dadu. Przed paru laty wykorzystał ciężkie położenie l~rcji, aby go zażądać z powrotem, jednakże natrafił na nieoczekiwany opór. Teraz, wzmagają się pogłoski, że dąży do tego celu innymi drogami i w tej właśnie sprawie tutejszy namiestnik jest w wysokim stopniu skompro-mitowany. Nie zbadałem jeszcze wszystkiego, ale już teraz wiem, że narazie będzie usunięty ze stanowiska, a potem grozi mu poważna kara. Ponadto tak potraktował pana i poczciwego Halefa, że zasłużył sobie więcej, niż na zwykłe skarcenie.

- Wie pan o tym, ekscelencjo?

- Wiem o wszystkim bardzo dokładnie. Pułkownik, który wielce się panem interesuje, opowiedział mi wszystko.

Wskazał poza siebie na pułkownika, który zjawił się w ślad za nim, tego samego pułkownika, który w sądzie tak życzliwie wstawił się za nami.

Ciągnął dalej:

- Ten pułkownik jest dzielnym człowiekiem; jego pomocy mam dużo do zawdzięczenia.

Przy tych słowach przypomniałem sobie starego kol agasiego, toteż zapytałem, mimo że miałem wiele ważniejszych rzeczy do omówienia:

- Ekscelencja mówi o pełnomocnictwach: czy mogą się one również rozciągać na starego zasłużonego kol agasiego, który w ostatnich czasach zasłużył na otrzymanie wyższej szarży?

Popatrzył mi w twarz z zagadkowym uśmiechem i odrzekł:

- Czy istotnie przysłużył się panu?

- Bardzo!

- To musi go wynagrodzić padyszach. Bądź spokojny, stary przyjacielu! Osman Pasza

Bądź spokojny stary przyjacielu! - powtórzył Osman Pasza. - Wie pan, u nas, nawet w tej zapadłej prowincji zdarzają się rzeczy, które gdzie indziej zdarzyć by się nie mogły. Chcę więc pana ucieszyć, że nie będzie mi trudno nie tylko przedstawić go kapitanowi lub majorowi do nagrody, ale i podnieść go do tej rangi. Zechce mi pan powiedzieć, w jaki sposób się panu tak zasłużył?

- Pozwolę sobie zrobić to później, bowiem w tej chwili brak mi czasu. Każda minuta jest teraz wyliczona, bo chodzi o ujęcie wysoce niebezpiecznej bandy i o zdobycze, jakich dotąd jeszcze nie było.

- Czy to ma związek z pobytem pana w Birs Nimrud, z jego uwięzieniem i późniejszą ucieczką?

- Owszem, nawet bardzo ścisły.

- Opowiedz mi pan, krótko i zwięźle, bo nie mamy przecież czasu!

O ile pana znam, przygoda musi być interesująca i będę rad, jeżeli mi się uda choć raz wziąć udział w przeżyciach Kara Ben Nemzi.

- Jeśli o to chodzi, to ekscelencja jest już zamieszany w przygodę

- uśmiechnąłem się - i z trudem przyjdzie panu nie wziąć w niej czynnego udziału.

Stosując się do jego życzenia, zdałem mu ze wszystkiego sprawę, 273 w ten wyszchał z natężoną uwagą. Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarł na obecnych jego przyjazny do mnie stosunek. Nie zrozumieli ani słowa z naszej rozmowy w języku niemieckim, ale musieli stwierdzić, że nie tylko się znamy, ale także jesteśmy w bliższej zażyłości.

Ów generał nie ~ ~st bynajmniej wprowadzonym z woli autora, powieściowym deus ex machina; gdyby chodziło jedynie o fantazję awanturniczą, byłoby to zbyt dużym odchyleniem, zupełnie bezcelową stratą papieru, atramentu i farby drukarskiej, albowiem dawno już występujący namiestnik mógłby tu oddać te same usługi, jak za włosy wyciągnięty „generał”. Ten ostatni, którego powinienem nazwać swoim przyjacielem, jest wybitną postacią militarną, nawet autorytetem i ze względu na swe burzliwe życie, wysoce interesujący, Adolf Farkas, urodzony Czech, później oficer węgierski, był podczas ich powstania adiutantem Bema i jako taki zasłużył się chlubnie swym rodakom. Po tych wydarzeniach obydwaj zaciągnęli się na turecką służbę i przeszli na islam. Bem pod imieniem Amurat Pasza, Farkas zaś obrał imię Osman, który dzięki późniejszemu pozyskaniu przezefi stopnia paszy, zamieniło się na Osman Pasza. W czasie wojny 1853 roku Omer Pasza wyznaczył go swoim adiutantem; w kampanii lat 1877-78 Farkas wybił się na czoło swym męstwem i sprawnością. Za te zasługi mianowany został pułkownikiem, a wkrótce potem generałem; był równocześnie profesorem wyższej szkoły wojskowej w Konstantynopolu. Cieszył się zaufaniem padyszacha, dowodem czego jest jego misja do Bagdadu i Hilleh. Poznałem go w Stambule i w jego towarzystwie przy ciekawych pogawędkach wypilem niejedną filiżankę kawy, niejeden wypaliłem cybuch. Teraz oto stanęliśmy tak nie-oczekiwanie na wprost siebie w pokoju namiestnika! Słuchał ze wzrastającą uwagą opowieści o naszych przeżyciach. Kiedy skoficzyłem, zatarł ręce z zadowoleniem i rzekł:

- Jakież to ciekawe, niezwykle ciekawe; rozumiem, że nie ma pan czasu do stracenia. Jakże chętnie wyruszyłbym razem z panem, aby

274 uczestniczyć w tej wyprawie, cóż, kiedy obowiązek trzyma mnie tutaj. Nie mogę spuścić z oka namiestnika, a niecierpiące zwłoki badania zajmą mi całą noc. Lecz daję panu do dyspozycji wszystko, czego pan zapagnie. Proszę mi powiedzieć, czym mogę panu służyć? Czy ma pan już plan ataku?

- Czy nie powinienem raczej pozostawić ekselencji tę pracę, godną Cezara albo Napoleona? Zależy mi tylko na wydobyciu mego Halefa całego i nietkniętego, reszta jest sprawą tutejszej władzy, której chętnie ustępuję tego zaszczytu.

- Dyplomata z pana! W razie niepowodzenia nie ponosi pan żadnej odpowiedzialności! Czy namiestnik wie już o napadzie na Piszkhidmet baszi i o wymordowaniu jego ludzi?

- Nie ma o tym pojęcia!

- A więc nie powiemy mu nic. Od czasu, gdy wysłuchałem opowieści pana, nie przestaję myśleć o tym, że namiestnik z racji swych stosunków z Persją jest współnikiem Sefira. Ten ostatni jest pośrednikiem. Jak pan myśli?

-Tak, on albo Peder-i-Baharat, a może obaj jednocześnie. To, że zwrócono się właśnie do namiestnika, ma moim zdaniem, dwie przyczyny.

- Jakie?

- Po pierwsze, wiadano o namiestniku, że jest przekupny, po drugie, miejsca święte, o które przecież przede wszystkim chodzi, znajdują się w obrębie jego powiatu.

- To słuszne. Otwiera mi pan oczy na prawdę.

- I to jest podejrzane, że stosunek jego do Sefira, jest tak niezwykły, tak wyjątkowy! Pozwolił mu, obcemu, nie tylko wejść w skład sądu, ale i zabierać głos w dochodzeniu. To coś mówi o ich stosunkach.

- Zgadza się z panem; powróćmy do tych dociekań. Teraz zwracam panu uwagę, że nie jesteśmy sami, o czym zupełnie zapomnieliśmy. Winien jestem obecnym pewne wyjaśnienie. ,

Odwróciwszy się ode mnie do namiestnika, jął mówić, oczywiście tym razem nie po niemiecku.

- Mówiłeś niedawno o przemytnikach, złodziejach, bandytach i mordercach. Podobnie jak dotąd w wielu punktach, tak i teraz nie zgadzam się z tobą. Ten Emopelczyk jest moim przyjacielem i to niespodziane spotkanie sprawia mi prawdziwą radość. Nazywa się Kara Ben Nemzi effendi i cieszy się szczególnymi względami padysza-cha. Mówił ci o tym, a nawet udowodnił, lecz tyś nie raczył wziąć tego pod uwagę. Wysłuchałem teraz jego zażaleń i włączę je do punktów oskarżenia, które już na tobie ciąży; przybędą i inne prawdopodobnie.

Widać było, że od chwili serdecznego przywitania generała ze mną namiestnik znajdował się w najwyższej konsternacji. Usiłował znaleźć jakieś wytłumaczenia, ale przeszkodził mu mój stary kol agasi, który wszedł i zameldował, że jacyś trzej ludzie chcą mówić z namiestnikiem.

- Co za ludzie? - zapytał generał.

- Nie wiem; nie chcieli podać swych imion. Są ubrani po persku; jeden z nich oświadczył, że przybywa wśród nocy, bo ma wręczyć bardzo ważny list namiestnikowi i donieść o wielkim morderstwie, które zaszło w Birs Nimrud.

- Kto został zamordowany?

Piszkmet baszi wraz ze swymi ludźmi.

- Przez kogo?

- Przez dwóch obcokrajowców, którzy dzisiaj uciekli - przez Kara Ben Nemzi i Haddediha.

Generał spojrzał na mnie, a ja na kol agasiego. Ci trzej z perska ubrani ludzie mogli być tylko kompanami Sefira. Zrazu pomyślałem o Peder-i-Baharacie i jego dwóch towarzyszach. Jeżeli to oni istotnie, to rozpoczęli wysoce niebezpieczną grę, bo nie wiedzieli, po pierwsze, że uciekłem wraz z ochmistrem, po drugie, że sytuacja namiestnika uległa gruntownej zmianie. Przemądrzały Sefir chciał z powodów, nie 276 wymagających komentarzy, napad i mord zwalić na mnie i na Halefa, a więc na chrześcijanina i sunnitę, aby w ten sposób zrzucić z siebie i swej bandy wszelkie podejrzenia.

- Gdzie znajdują się ci trzej Persowie? - zapytałem kol agasiego.
- Na dole, przy drzwiach, - odrzekł.
- Więc widzieli nasze konie?
- Nie, effendi. Ponieważ ogiery należą do ciebie, otoczyłem je opieką i kazałem je umieścić w stajni naszego pałacu, gdzie je napo-jono i nakarmiono.
- Dobrze! Czy powiedziałaś tym ludziom, że jestem tutaj.
- Ani słowa nie mówiłem! Co sądzisz o moim rozumie, skoro przypisujesz mi takie głupstwa?
- Ale wartownicy na pewno wygadali się?
- Ani słowa! W czasie twojej obecności tutaj, zostali zmienieni, a znajdujący się w tej chwili na warcie nic o tobie nie wiedzą.
- Czy mówiłeś im coś o przybyciu wysłannika padyszacha?
- Nie. Ci trzej ludzie są bezmyślni, jak barany, które prą do drzwi rzeźni, gdzie mają być zarżnięte.
- Porównanie nie jest złe. Poczekaj tu chwilę!

Zwróciłem się do generała, który uprzedził mnie pytaniem:

- Masz pomysł, widzę to po tobie. Czy mam rację?
- Tak.
- Jaki to?

Mówił po arabsku, zatem zwracał się na ty. Zanim mogłem odpo-wiedzieć, wtrącił się do rozmowy namiestnik:

- Słyszę, że karawana Piszkhidmet baszi została napadnięta i on wraz z ludźmi zamordowany. Tymczasem on tu stoi. Czym to się tłumaczy.
- Bardzo zwyczajnie, tak, jak i wiele innych rzeczy dzisiaj ci się wyjaśni - odparłem.
- Ale gdzie jest Haddedihn? Dlaczego nie sprowadzasz go ze sobą? - spy~ł zjadliwym tonem. - Coś musiało się zdarzyć, cobyś 277 chciał ukryć!

- Życzę ci, abyś miał tak mało do ukrycia, jak ja! Będzie lepiej dla ciebie, jeżeli w ogóle przestaniesz mówić!

Wzięłem generała na stronę i omówiłem z nim plan działania; zatwierdził go i przystąpił od razu do wykonania, wydając odpowied-nie zarządzenia. Został sam w pokoju; inni udali się do sąsiedniego gabinetu. Również kapral i jego żołnierze zostali wezw~ .ii, gdyż byli nam potrzebni do aresztowania Persów; widok bowiem wzmocnionej warty przed mieszkaniem namiestnika, mógłby ich spłoszyć. Namiestnikowi polecono, aby milczał i zachowywał się spokojnie, jeśli nie chce narazić godności swego wysokiego stanowiska, jakkolwiek, było mu bardzo ciężko, jako jedynemu tutaj wszechwładcy okazać to po-słuszeństwo, jakiego wymagaliśmy. Co do mnie, stanąłem na postę-runku za kotarą, aby móc słuchać każdego słowa Persów i obserwować ich przez szparę.

Zaledwie skoficzyliśmy te przygotowania, Persowie wkroczyli do pokoju. Spodziewali się ujrzeć namiestnika, toteż niemało się stropili widokiem generała, którego obecności nie przypuszczali. Byli bardzo zmieszani. Nie omyliłem się; byli to Peder i dwaj jego towarzysze.

- Chcieliście, aby was przyjęto? Czego sobie życzycie teraz wśród nocy? - zapytał Osman Pasza.

- Prosimy o rozmowę z namiestnikiem - odrzekł Peder.

- Nie może was przyjąć, ja go zastępuję. O co wam chodzi?

Spojrzał nafi tak przenikliwie, że ten nie śmiał się sprzeciwić. Peder zaczął więc z cicha:

- Nasze doniesienie jest właściwie przeznaczone dla namiestnika, ‘ ale skoro utrzymujesz, że pełnisz jego funkcję, mogę ci zdać sprawę z wypadków.

- Wyrażajcie się grzeczniej i ostrożniej! Nic nie utrzymuję, ale to co mówię, jest obowiązujące. Zapamiętajcie to sobie! Co to za wy-padki, o których macie donieść? Mam nadzieję, że są dość ważne, aby wytłumaczyć to nocne wtargnięcie!

- Są bardzo ważne. Chodzi o napad na karawanę i mord dwunastu ludzi.
- Co za karawana?
- Karawana Piszkhidmet baszi, który był gościem tutejszego namiestnika. Została przed paru godzinami napadnięta nieopodal ruin i obrabowana, przy czym Piszkhidmet baszi i jego jedenastu żołnierzy straciło życie.
- Kim są mordercy?
- Pewien chrześcijanin i sunnita Haddedihi, którzy byli już po-ciągnięci do sądu za morderstwa, pohańbienie grobów i szmugiel, ale uciekli.
- Czy możecie tego dowieść?
- Tak.
- Czym?
- Jesteśmy świadkami. Byliśmy przy tym i jedynie nam udało się ujść tej krwawej kąpieli.
- Opowiedz mi przebieg tych wydarzeń. Teraz przejdźmy do sprawy listu, o którym była mowa.
- Jest dla namiestnika - wywinął się Peder.
- Zastępuję go!
- Zawiera pismo, które musi być przez niego podpisane! Mamy odwieźć to pismo z powrotem, więc musi nam być zwrócone.
- Nie mam nic przeciwko temu!
- Ale musimy je doręczyć tylko jemu, nikomu innemu!
- Chodzi więc o tajemnicę.
- Nie wiem. Mam wyraźny rozkaz, do którego muszę się stosować.
- Od kogóż ten rozkaz?
- Nie mogę powiedzieć.
- Skąd pochodzi ten list?

- Tego też nie mogę powiedzieć.

Peder trząsał się ze strachu; skręcał się w ogniu tych pytań i lżej odetchnął dopiero, gdy generał nareszcie wyrzekł obojętnym tonem:

- Niech i tak będzie ... Jak chcecie, tak się stanie! Opowiedzcie mi teraz o napadzie na karawanę. Jakże się to stało?

- Było tak: my trzej odbywamy pielgrzymkę do miejsc świętych.

Przybyliśmy tutaj wczoraj i spotkaliśmy rodaka, z którym zaprzyjaźniliśmy się. Gdy zapadł wieczór, chcieliśmy skorzystać z chłodu, aby powędrować dalej i poprosiliśmy rodaka, żeby nas odprowadził.

- Jak się nazywa ten człowiek?

- Nie pytaliśmy go o nazwisko. Był gościem namiestnika i tak będę go dalej nazywał, jeśli łaska.

Miał, oczywiście, na myśli Sefira i z jego strony było bardzo roztropnie ominąć w ten sposób konieczność podania prawdziwego, czy fałszywego nazwiska. Ciągnął dalej:

- Gość zgodził się odprowadzić nas do ruin. Po drodze spotkaliśmy karawanę Piszkhidmet baszi, która krótko przed nami wyruszyła z Hilleh i poprosiliśmy o pozwolenie przyłączenia się do niej, czego nam nie odmówiono. Byliśmy z tego zadowoleni, bo słyszeliśmy o niepewności tej okolicy oraz o jakimś Europejczyku i Haddediennie, którzy są przywódcami rozbójniczych Beduinów i napadają na każdego napotkanego pielgrzyma.

- Czy znasz nazwiska tych rabusiów? - zapytał generał.

- Tak, Europejczyk nazywa się Kara Ben Nemzi, a Heddedihn Halef!

- Co za łotry! Trzeba ich przyłapać, niestety nie wiadomo jak wyglądają!

- O, wiemy, - wtrącił prędko Peder - określono ich nam; dzisiaj nawet widzieliśmy obydwóch.

- Więc jak wyglądają?

Peder opisał Halefa i mnie tak dokładnie, że sam nie byłbym tego zrobił lepiej i opowiadał dalej:

- Niedaleko ruin przyłączyli się do nas. Allah zaćmił nasz wzrok, inaczej musielibyśmy poznać tych dwóch bandytów. Potem gość

280 namiestnika pożegnał nas, życząc nam szczęśliwej podróży. Niestety, nie była szczęśliwa, bo zaledwie się oddalił, rozległy się strzały i opadła nas chmara Beduinów. Widzieliśmy, jak dwaj przybysze, to znaczy Europejczyk i Haddedihi, wyciągnęli noże i zarżnęli dwóch pielgrzymów. Wtedy poznaliśmy ich, czym prędzej zawróciliśmy nasze konie i uciekli. Udało nam się ująć cało, bo kule wysłane za nami, nie dosięgły nas. Po krótkim czasie, spotkaliśmy gościa, który wrócił na odgłos strzałów. Opowiedzieliśmy mu o napaści, namówił więc nas do powrotu na miejsce napadu. - Może uda się uratować komuś życie! Gdyśmy tam podjechali i rozejrzeli się ostrożnie, zobaczyliśmy ognisko, przy którym obaj przywódcy dzielili łup dla siebie i Beduinów. Skoficzywszy to, odjechali, zabierając ze sobą zwłoki Piszkhidmet baszi, aby je wrzucić do wody. My jednak, po ich odjeździe, zbliżyliśmy się do ogniska, żeby zbadać rozrzucone ciała; były to już tylko trupy, nie zastrzelone, lecz zakłute! Byliśmy przerażeni! Jednakże gość namiestnika był odważnym człowiekiem; postanowił podążyć za dwoma przywódcami, aby wytropić ich kryjówkę i złapać ich przy pomocy tutejszego wojska. Nas wysłał z powrotem do Hilleh, polecając natychmiast zawiadomić namiestnika, nawet wśród nocy ...

Urwał, a generał zapytał:

- Czy skoficzyłeś?

- Tak.

- Czy możecie poprzeć to wszystko przysięgą?

- Tak.

- W tym sprawozdaniu jest parę niejasnych punktów. Będziesz musiał odpowiedzieć mi na parę pytań. Powiadasz, że zaprzyjaźniliście się z gościem, jakże to możliwe, że nie znacie jego imienia? Kiedy się zawiera przyjaźń, chce się przecież wiedzieć, jak się przyjaciel nazywa!

- Pielgrzymi-szyici nie mają tego zwyczaju. Jesteś sunnitą i nie możesz o tym wiedzieć.

- Dobrze; to ci się udało! Dalej ! Padło tyle strzałów, a nikt nie był ugodzony. Wszyscy byli nie zastrzeleni, lecz przebici. Czy to nie dziwne?

- Nie. Nikt dokładnie nie celował!

- I dwunastu członków karawany dało się spokojnie zarżnąć?

- Strach ich ogarnął

- Gość słyszał strzały, znaczy to, że nie oddalił się zbyt daleko. Powróciliście razem z nim, powinno więc było to trwać bardzo krótko, najwyżej parę minut!

- Nie więcej.

- A jednak ognisko już się paliło? Już się załatwiono z podziałem łupu? Musisz przyznać, że

twoja opowieść jest miejscami bardzo dziwna!

- Allah! Mówiłem szczerą prawdę!

- Byliście przedtem w Hilleh?

- Tak.

- Jak długo?

- Parę godzin.

- Dokąd wybieracie się stąd?

- Najpierw do Kerbeli

- Potem?

- Do Meshed Ali.

- Lecz nie przez Hilleh znowu; byłoby to nakładem drogi, ale wprost przez Kefel?

- Tak.

- A z Meshed Ali dokąd?

- W dół do Samowatu

- A dalej?

- Stamtąd chcieliśmy wrócić do Persji przez Hawizę i Disful doliną rzeki Kercha.

- Nie wstępując do Hilleh?

- Nie, - odrzekł Peder, który mimo swej przebiegłości nie miarkował wcale, jaką pułapkę szykował generał tym pytaniem. Wybieg 282 udał się, bo Osman Pasza pochwycił:

- A więc jak się ma rzecz z listem dla namiestnika? Mielicie go doręczyć, a odjechaliście, nie zrobiwszy tego, nie mając przy tym zamiaru wrócić do Hilleh. A teraz przychodzicie wśród nocy i przy-nosicie list. Objasnij mi tę sprzeczność.

Persowie byli święcie przekonani, że zostaną przyjęci przez namiestnika, toteż nie byli przygotowani do tego egzaminu. Peder łamał sobie głowę nad jakąś mniej lub więcej wiarygodną odpowiedzią, zaczynał ją parę razy, ale nie mógł znaleźć nic takiego, co mogłoby uchodzić za prawdopodobne.

- No, mów dalej! - nalegał geneał. - Dlaczego milczysz? Czy nie możesz znaleźć wykrętu?

- Za-za-pom-nieliśmy o liście - wybełkotał nareszcie Peder.

- Zapomnieliście? List taki ważny, który pozwalacie sobie przy-nosić teraz, w tak nieodpowiedniej porze! List, który tak wysoko cenicie, że nie możecie mi go powierzyć? Czy doprawdy jesteście tacy głupi, że sądzicie, iż uwierzę tym bredniom? Z niesłychaną bezczelnością opowiadacie mi szereg kłamstw, które każdy durefi przejrzy i wykryje. Bo nie tylko ostatni wasz wykręt, ale wszystkie jakie tu słyszałem o napadzie, są wierutnym kłamstwem i oszukafistwem.

- Nie sądz tak! - rzekł Peder wylękniony. - Wszystko, co tu powiedziałem, jest szczerą, świętą prawdą, którą możemy natych-miast potwierdzić przysięgą.

- Spodziewałem się, że nie zawahacie się złożyć tę rzekomą przysięgę! A więc obstajecie przy tym, że Kara Ben Nemzi i Hadde-dihn, są przywódcami Beduinów, którzy napadli na karawanę Pizsk-hedmet baszi?

- Tak!

- Do jakiego plemienia należą ci Bediuni?

- Tego nie możemy wiedzieć, bo nie mówiliśmy z nimi, przy tym było tak ciemno, że nie mogliśmy dojrzeć żadnych szczególnych oznak tych ludzi.

- A Piszkhidet baszi jest zabity?

- Tak.

- Na pewno zabity?

- Tak.

- Czy widzieliście własnymi oczami jego trupa? Pomyśl dobrze, zanim odpowiesz.

Te ostre słowa przejęły Pедера strachem; zaczynał pojmować, że tutejsze powietrze nie jest takie czyste, jak przypuszczał. Ale nie miał już wyjścia, nie mógł cofnąć swych kłamstw i odparł:

- Tak, widzieliśmy. Był doprawdy martwy. Był nawet jednym z pierwszych zabitych.

Generał zrobił krótką przernwę, ażeby podkreślić znaczenie swych następnych słów; utkwiał w Pederze ostry wzrok i rzekł z naciskiem:

- Myślałem, że leży żywy i cały w lochu Birs Nimrud!

To było dla Persów tak nieoczekiwane, że nie mogli się opanować. Wystraszone spojrzenia, jakie zamienili, były niezbitym dowodem ich winy. Stali w niemym osłupieniu przed generałem. Ten ciągnął dalej:

- Gość namiestnika podążył za przywódcami, aby wysledzić ich norę?

- Tak, tak powiedział - potwierdził Peder, zupełnie przygnębiony.

- To było zupełnie bezcelowe, bo znam tę kryjówkę dokładnie.

Haddedihn leży osobno w izbie na prawo od schodów, prowadzących do pierwszej komory. Na wprost znajduje się drucziana krata, za którą leżeli Kara Ben Nemzi i Piszkhidmet baszi

- Bi khatir-i-khuda! Na miłośćE boską! - krzyknął Peder - skąd ... skąd wiesz ... - urwał, łapiąc się na nieostrożności i naprawił swój błąd tymi słowami:

- Nie wiem, o co ci chodzi! Nie mamy najmniejszego pojęcia, co znaczy twoje powiedzenie.

- Doprawdy? A więc zwracam wam uwagę, że nie powiedziałem, że ci dwaj ludzie tam leżą, lecz leżeli. Teraz nie są już w niewoli. Wasz 284 Sefir ...

- Sefir, Sefir! - zawołał Aftab nieostrożnie.

- O, dziwisz się, że znam, tak przezornie przez was ukryte imię tak zwanego „gościa”? Ten lęk zdradza waszą całkowitą winę! A więc wasz Sefir mocno niedocenił Kara Ben Nemzi. Ten Europejczyk jest mądrzejszy i sprytniejszy, niż wy wszyscy razem wzięci. Znał wnętrze Birs Nimrud znacznie wcześniej, nim go tam wprowadziliście i w duchu śmiał się z Sefira, gdy ten mówił o torturach, jakimi go będzie racył ...

-Ja-ja-my-ty ... widzisz, że tracę mowę ze zdziwienia. Co mówisz?

Nie możemy wcale pojąć! - wyjąkał Peder.

- Nie ze zdziwienia, ale ze strachu! Gdy Kara Ben Nemzi i Halef wpadli w twe ręce koło zagajników tamaryszkowych, triumfowałeś, szalałeś z radości, że będziesz mógł im odpłacić za te baty, jakie od nich niegdyś otrzymałeś. Teraz możesz być pewien, że baty będą, lecz nie dla nich, a dla ciebie!

W tym miejscu Peder uważał za stosowne porzucić zdumioną minę i zagrać rolę obrażonego. Wyprostował się i zapytał:

- Panie, skąd biorą ci się tak niezrozumiałe podejrzenia?

- Milczeć! - zagrzemiał generał. - Trzeba do mnie zwracać się nie panie, lecz ekscelencjo, czego dotychczas rozmyślnie nie robiłeś. Ale zaraz nauczymy was grzeczności! Skoro jednak mówisz o „niezrozumiałych rzeczach”, to za chwilę odzyskasz zdolność rozumienia. Patrz! Znasz ich!

Wskazał na kotarę. W oczekiwaniu tej chwili, skinąłem na ochmi-strza i wystąpiliśmy razem. Skutek naszego zjawienia się był mocniej-szy, niż przypuszczaliśmy. Choć bezczelni i zatwardziali, ludzie ci nie mogli na nasz widok przemóc strachu. Po prostu załamali się, a Peder pierzchnął do wyjścia. Uprzedziłem go, skoczywszy między niego a drzwi, dobyłem rewolweru, wycelowałem w pierś i ostrzegłem:

- Precz od drzwi, bo cię zastrzelę!

To zmusiło go do cofnięcia się o parę kroków, a że sięgnął przy tym 285 do pasa, dodałem:

- I precz z ręką! Teraz żarty się skoficzyły! Onbaszi, wejść tutaj!

Kapral, posłuszny temu wezwaniu, wszedł wraz z swymi żołnierzami i stanął na posterunku przed drzwiami. Podczas gdy ja ciągle mierzyłem lufą ku Persom, generał odebrał im noże i pistolety. Nie próbowali się nawet opierać.

- Tak, - rzekłem, zwracając się do Pedera. - Czy pamiętasz jeszcze czym mi groziłeś? Co miało się stać po naszym ponownym widzeniu? Oto widzimy się, no i co dalej?

Słyszałem jak zgrzytnął zębami, innej odpowiedzi dać nie mógł.

- Uważaliście się za nieskoficzenie mądrych, a jednak jesteście głupi! - mówiłem dalej. - To doprawdy niewiarygodne wsadzić mnie do Birs Nimrud, zdradziwszy mi uprzednio drogę do podziemi ruin!

- Kto ci to zdradził. - odezwał się.

!

- Ja?

- Tak, ty sam.

- Kłamstwo!

- Ba! Czy nie miałeś przy sobie dokumentu, który zawierał plany drogi, wejście a nawet znak, wyryty na cegle?

Zacisnął pięści, porwał się na mnie, powstrzymał się jednakże i krzyknął:

- Miałeś go w ręce? Widziałeś go? Niech cię Allah zglądzi!

- Tak, miałem go i zrozumiałem wszystkie znaki!

- Więc musisz być w posiadaniu diabelskich czarów.

-Nie są to żadne diabelskie czary, trzeba tylko nie być tak durnym, jak wy trzej. Nie mam tu zamiaru wytykać wam głupoty. Chcemy z wami jak najprędzej skoficzyć. Dawaj ten list, który miałeś doręczyć namiestnikowi!

Sięgnął mimowoli ręką do tyłu, ale cofnął ją natychmiast i odrzekł:

- Nie mam żadnego listu!

- Nie opowiadaj bzdur! Byłoby śmieszne, gdybyś chciał teraz przeczyE temu, co przed chwilą twierdziłeś parę razy!
- List był tylko pretekstem, nie mam żadnego listu!
- Masz go przy sobie!
- A gdybym nawet miał, nie dam ci go.
- Potrafię go znaleźć!
- A więc szukaj ! - parsknął wściekle, po czym wybuchnął wymu-szonym śmiechem.

Przystąpiłem do niego, położyłem mu rękę na to miejsce, do któ-rego przedtem sięgnął i rzekłem:

- Tu jest schowany!
- Tu, w pasie? Więc wyjm go!
- W pasie nie, ale pod nim, zdaje mi się, że w spodniach.
- Diabeł w tobie siedzi!

Ledwie wymówił to słowo, zdzieliłem go siarczystym policzkiem tak, że runął, jak długi na ziemię.

- Trzymajcie go mocno! - rozkazałem kapralowi.

Ten przy pomocy swych żołnierzy rzucił się na niego, nim jeszcze zdążył wstać. Chciał się bronić, nie mógł przeciwstawić się tylu moc-nym rękom. W tej chwili odsunięto kotarę i namiestnik wpadł wzbu-rzony do pokoju, wybuchając na mnie gniewem:

- Co tobie do tego listu, który jest wystosowany do mnie? Czy jesteś moim pośrednikiem, czy też jestem chłopcem, który musi prosić o pozwolenie, aby dostał to, co do niego należy? Jeśli list jest dla mnie, nikt inny nie może go otrzymać tylko ja!
- Ja też nie? - zapytał generał.

- Nie.

Osman Pasza położył mu rękę na ramieniu i pouczył go poważnym tonem:

- Zdajesz się jeszcze nie wiedzieć, dlaczego znajduję się tutaj.

Muszę ci krótko i dobitnie powiedzieć: jestem ręką padyszacha, która sięgnęła tutaj, aby sprawdzić księgę twych czynów. Nie może być z twej 287 strony żadnego oporu, ani wykręcania się. Postępuję według przepisu i w razie twego sprzeciwu, potrafię zgnieść twe nieposłuszeństwo. Namiestnik cofnął się o krok, spojrzał wyzywająco w twarz generała i spotkawszy jego wzrok, opuścił oczy, namyślił się i odparł:

- Wiem, że muszę być posłuszny, jeżeli chodzi o sprawy urzędowe; ten list wszakże jest skierowany do mnie w sprawie prywatnej!

- Ach! Więc znasz jego treść?

- Tak.

- Jesteś pewien, że ten człowiek, chociaż kłamie, jest w posiadaniu pisma do ciebie?

- 'I~wierdzić stanowczo nie mogę, ale jeżeli posiada pismo, wiem na pewno, że treść jest osobista, a nie urzędowa.

- Skąd więc ten strach przynoszącego? Skąd ta chęć ukrywania go?

- Właśnie dlatego, że jego treść dotyczy nie mego urzędu, lecz sprawy prywatnej, związanej z moją rodziną, o którą nikt inny troszczyć się nie powinien, żaden wysłannik, ani nawet „ręka padyszacha”, jak się sam nazwał!

- Dobrze! Jeżeli jest tak, jak mówisz, pozwolę ci je doręczyć.

Niech ten człowiek poda pismo!

- Nie mam żadnego! - odrzekł Peder, usiłując wstać, mimo czuwających żołnierzy.

- Z tego, że wciąż kłamie, można sądzić, że pismo nie jest takie niewinne - odrzekł Osman Pasza. - Zrewidować go!

- Nie trzeba długo szukać - wtrącił. - Ten goniec zdradził się własnym ruchem, kiedy sięgnął ręką do pasa. Zaraz zobaczymy! Pochyliłem się nad leżącym, który już się nie opierał, włożyłem

mu rękę za pas. Od razu namacałem to, czego szukałem. W podszewce spodni znajdowała się kieszefi, z której wydobyłem pismo. Przelotne spojrzenie pozwoliło mi przeczytać adres, jakim list był opatrzony. Gdy się wyprostowałem, namiestnik rzucił się do mnie i wyciągnął rękę, aby mi wydrzeć list, mówiąc przy tym;

- Daj go tu! Należy do mnie! Nie wolno ci go ruszać!

Schowałem list za plecami, odtrąciłem wzburzonego adresata i odparłem:

- Poczekaj chwilę; trzeba przeczytać adres!

- Na pewno nie twój! - syknął rozwścieczony.

- Nie, ale zawiera, prócz twego imienia, twój urzędowy tytuł.

Wysłannik padyszacha raczy osądzić, jaką należy z niego wyciągnąć treść, urzędową czy prywatną.

Podąłem pismo generałowi. Namiestnik porwał się śpiesznie ku niemu, aby je wyrwać; chwyciłem go za kołnierz, zakręciłem nim w kółko i cisnąłem w kąt, gdzie gruchnął na ziemię: Dźwignął się, chcąc ponowić swój atak na generała, ale obecni ońcerowie, którzy wyszli w międzyczasie z gabinetu, zagroździ mu drogę. Wiedząc, że list zawiera dowód jego winy, szamotał się bezsilnie, wyzywając i klnąc przy tym. Generał przeczytał adres, skinął do mnie i rzekł:

- Masz rację. Napis na liście pozwala wnosić o treści urzędowej.

List należy do mnie!

Otworzył go i przeczytał. Twarz jego, w miarę czytania, przybierała coraz bardziej poważny wyraz. Po przeczytaniu schował list do kieszeni, popatrzył przed siebie w zamyśleniu i skierował kroki ku drzwiom przedpokoju. Otworzył je i zawołał:

- Kol agasi!

Stary chorąży wszedł.

- Czy macie żelazne kajdany?

- Tak! Wiszą na łańcuchu w więzieniu, gdzie zamyka się niebezpiecznych więźniów.

- Czy więzienie jest dobrze obwarowane?

- Allah, Allah! Mury są z kamienia, podłoga i sufit również z kamienia! Nie ma tam okna, ani żadnego otworu, drzwi są tak grube, że trzeba by godzinami pracować nad przewierceniem małej dziurki.

- Ile zawiera cel?

- Gdy tam byłem, widziałem dziesięć, albo dwanaście.

10 - W locbach Babiloou 289

- Kto ma klucze?
- Profos. Czy mam go sprowadzić?
- Nie, sam pójdę, zaprowadzisz mnie do niego.

Zwrócił się do mnie i powiedział po niemiecku:

- Namiestnik jest zdrajcą. Pismo jest formalnym kontraktem, który miał podpisać, a który zawiera wykaz sum, jakie już otrzymał i jakie ma otrzymać. Nicwięcej nie mogę panu powiedzieć. Muszę tego osobnika przypilnować tak dokładnie, jak tego wymaga wielkość mojej odpowiedzialności, zatem chcę osobiście zbadać tutejsze wię-zienie. Będzie pan łaskaw uważać, aby pod moją krótką nieobecność nie stało się coś niepożądanego?
- Oczywiście. Może pan być spokojny, ekscelencjo! Chciałbym tylko zapytać, czy pan już coś postanowił w sprawie tych trzech Persów?
- Będą również zakuci w kajdany. Ten, który nazywa się Peder, przywózł list z Teheranu, a Sefir jest właściwym pośrednikiem i zna całą treść pisma.
- Co to za ludzie! Oszukują bezczelnie zwierzników, którzy prze-cież mają do nich zaufanie. Nasuwa się teraz pytanie, czy ochmistrz, któryjako perski urzędnik stojący blisko sfer rządowych; wie coś o tej sprawie.
- Myślałem już o tym. Jakiego pan jest zdania?
- Ochmistrz wydaje mi się nieszkodliwy.
- Mnie też. Nie bacząc na to, postaram się nie wypuszczać go z Hilleh, póki nie będę przekonany o jego całkowitej niewinności. Proszę więc pana o zwrócenie uwagi, aby tu nic nie zaszło w czasie mojej nieobecności!

Oddalił się w towarzystwie chorążego. Zaledwie wyszedł, namiest-nik zrobił wysiłek, aby wydostać się ze swego kąta, a tym, którzy mu przeszkadzali, zagroził:

- Puście mnie! Ci, którzy mnie trzymają, będą nielitościwie uka-rani. Ja tu rozkazuję, nikt inny! Moje doniesienia dojdą do Bagdadu,

290 a nawet Stambułu. Każę was zdegradować i uwięzić! Słyszycie? Czy boicie się tego chrześcijańskiego psa? Takiego potwora ohydy i podłości ...

Stałem nad nim i zapytałem:

- Do mnie pijesz?
- Tak, do ciebie! - wycedził.
- Jak śmiałeś mnie nazwać?
- Chrześcijańskim psem i ...

Nie mogłem dokończyć zdania, bo uderzyłem go tak silnie, że stracił przytomność. Związałem mu ręce na plecach.

-Tak, teraz nie będzie mi więcej dokuczał. Później zajmie się nim . profos.

- A może w ogóle oprawca, gdyż z uwagi na piastowany przez urząd, przysłał mu zapewne jedwabny stryczek - poparł moje słowa mir alai. - Widzę effendi, że twe uderzenia pięścią są tak mocne, jak i dawniej. Dzięki nim niepotrzebne są powrozy do wiązania rąk i nóg uwięzionym. I tam takie uderzenie by się przydało. Wskazał na Pedera, który trzymany przez żołnierzy usiłował wyzy-skać nieobecność generała i wciąż ponawiał opór. Kazałem go związać własnym jego pasem, a że kapral czuwał nad tym uczyniono to samo, już bez mego polecenia, z dwoma Persami, którzy nie mieli śmiałości stawiać najmniejszego oporu.

Najbierniejszą rolę przez cały ten czas grał wysłannik szacha. Oparł się o ścianę, nie wymówił ani słowa i tylko oczyma zdra-dzał od czasu do czasu, że rozgrywające się sceny nie są mu obojętne.

Teraz zbliżył się do mnie i wyrzekł po raz pierwszy:

- Effendi, ci ludzie to przestępcy. Zgadzam się z tym. Muszą być ukarani i z tym się zgadzam. Ale czy generał ma prawo obezwładnić ich i więzić?
- Z pewnością - odpowiedziałem.
- Mimo, że to perscy poddani?
- Bądź ostrożny! Prawo generała jest bezsprzeczne, bo żaden

291 konsul, lub przedstawiciel obcego mocarstwa nie może przeciwdzia-łać aresztowaniu przestępców ze swego narodu. Nikt nie może wyma-gać, aby zostawiano mordercę na wolności, dlatego że należy do innego narodu.

-Tak, masz rację. Ale dlaczego przywołujesz mnie do ostrożno-ści?

- Bo stając w obronie tych ludzi, łatwo możesz ściągnąć na siebie podejrzenie, że jesteś ich tajnym wspólnikiem.

Ze spokojnym uśmiechem, który byłby niemożliwy, gdyby nie miał czystego sumienia jął mnie zapewniać:

- Podobne podejrzenie nie może mnie spotkać. Żyję pod osłoną łaski naszego panującego i zadowolony jestem ze swego stanowiska i z życia. Po co miałbym psuć sobie, albo wręcz niweczy~ to zadowole-nie, mieszając się do spraw, które nic wspólnego nie mają z moją godnością ani uczciwością. Oświadczyłem ci już, że jestem dzielnym, a nawet zapalonym wojownikiem. Ale stawiać na kartę mój dobrobyt dla zdobycia marnych pieniędzy przez zdradę stanu, czy jak tam te rzeczy się nazywają, to mi się nawet nie śni. Cenię się o wiele wyżej. Nienawidzę spisków, bo podrywają dobre samopoczucie i mącą błogi spokój duszy. Możesz mi wierzyć effendi!

Uwierzyłem mu chętnie, ale z innego zupełnie powodu; przede wszystkim nie tylko zbyt cenił swą wygodę, ale był zanadto tchórzliwy, aby móc wzbudzać podejrzenia, o których poprzednio wspominał Osman Pasza.

Ten wnet powrócił. W ślad za nim szedł kol agasi; przez uchylone drzwi widziałem, że przedpokój jest pełen żołnierzy. Pojmani zostali odprowadzeni, zaś namiestnika musiano przenieść, nie odzyskał bo-wiem dotąd przytomności. Generał osobiście im towarzyszył, aby się przekonać, czy zastosowano wszystkie nakazane środki ostrożności. ‘ Gdy powrócił, musiałem mu zwrócić uwagę na to, że mój powrót do Birs Nimrud wymaga pośpiechu.

- Tak - zgodził się - zabawiliśmy dłużej, niż zamierzałeś, ale też

292 unieszkodliwiliśmy za jednym zamachem namiestnika, co mam tylko tobie do zawdzięczenia. Kto z nas ma jednak ustalić plan dalszego działania?

- Proszę!

- Jest to zadanie, które ty byś łatwiej rozstrzygnął, niż ja, bo znasz lepiej ode mnie miejscowość

i tutejsze stosunki. Proszę cię więc przynajmniej o radę i dobre wskazówki, którymi mógłbym się kierować!

- Chętnie! Ale będziemy mówili po niemiecku!

- Jak pan chce! - podchwycił generał w tym języku. - Czy jest coś takiego, co my dwaj tylko wiedzieć powinniśmy?

- Owszem.

- Cóż takiego?

- Doniosła sprawa szajki przemytników. Myślę, że tylko osoby zaufane powinny mieć do niej dostęp.

- Jestem tego samego zdania. Ale czy jest możliwe, aby doszło do walki w tych podziemiach?

- To jest możliwe, chociaż sądzę, że da się uniknąć walki. Jeżeli szajka wpadnie w nasze ręce, stanie się, oczywiście, własnością rządu padyszacha. Ekscelencja podziela moje zdanie?

- Naturalnie. Rozumie się, że będzie wyznaczona nagroda dla tych, którym zawdzięczać będziemy tę zdobycz!

- Dobrze, zapamiętam tę obietnicę!

- Tak? Chciał pan .. dla siebie? - spytał tonem cokolwiek niedowierzającym. - Możliwe, że pan okaże się jedynym człowiekiem, który się przyczynił ...

- Przepraszam - przerwałem mu - nie o mnie chodzi, lecz o owego starego binbasiego w Bagdadzie. Gdyby nam nie opowiedział tego, co przeżył w Birs Nimrud, byłoby obecnie rzeczą niemożliwą przychwycić Sefira. Stracił przy tym cały swój majątek; jemu więc powinna być przyznana cała nagroda, ekscelencjo!

Osman Pasza podał mi rękę i rzekł wzruszonym głosem:

- Nie zawiodłem się! Spodziewałem się tego po panu! Pafiski binbasi dostanie tyle, ile, pan zażąda. Ale teraz do rzeczy: potrzeba nam wojska, ile więc i jakiego rodzaju broni?

- Tylko kawalerii, gwoli szybkości!

- Jest do pana dyspozycji.

- Nie wiem ilu ludzi liczy banda Seńra i w jakiej ilości zwerbował Beduinów Ghasai; sądzę jednak, że pięćdziesięciu jeźdźców wystarczy w zupełności.

- Na żądanie pana postawię na nogi cały garnizon!

Wyciągnął ponownie do mnie rękę i dodał:

- Przysięgam nawet panu nagrodę w postaci satysfakcji, którą rezerwuję dla pana i jeszcze dla kogoś!

-Jaką to satysfakcję?

- Poczekaj pan chwilę! Jak się nazywa ten kol agasi, którego mi pan polecił?

- Amuhd Mahuli.

- Dobrze; wracam za dwie minuty!

Skinął na pułkownika, aby za nim podążył i wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się stół do pisania. Gdy powrócili, pułkownik, mrugnął do mnie z porozumiewawczym uśmiechem; generał trzymał w ręku arkusz papieru, który podał mi ze słowami:

- Amuhd Mahuli jest od dzisiaj binbasim; tu oto ma pan tymczasową riominację, jako gwaxancję właściwego awansu, który nastąpi za parę dni. Może mu pan dać, jeżeli to panu sprawia przyjemność, ale na razie ani ja, ani pułkownik nie możemy nic mu powiedzieć. Niech mu pan zrobi z tego nagrodę. Widzi pan, że chcę panu dogodzić. Jeszcze raz wyciągam rękę, czy zgadza się pan nareszcie?

- Tak, z miłą chęcią - odrzekłem, podając mu rękę, po czym złożyłem papier i schowałem do kieszeni.

- Dobrze! Niech pan decyduje o wszystkim! Ale nie bierz pan mniej, niż pięćdziesięciu

żołnierzy, bo zawsze jest lepiej mieć o dziesięciu ludzi więcej, niż o jednego za mało!

- Zatem proszę o sześćdziesięciu, bo dziesięciu musi zostać przy koniach.
- Pięknie! Dalej?
- Tymi sześćdziesięcioma dowodzić będzie stary Amuhd Mahuli. który oczywiście, musi mi być we wszystkim posłuszny.
- Zgoda! Co dalej?
- Paczkę świec i zapalek.
- Więcej nic?
- Nic więcej. Jestem gotów. Jeszcze jedno pytanie: czy ekscelencja przybędzie, jeśli wyślę gofica?
- Jeśli pan wyśle po mnie, to będzie znaczyło, że jestem potrzebny, więc przybędę.
- Zatem proszę o jak najszybsze przyszykowanie oddziału i o konia dla Piszkhidmet baszi.
- Czy i on wyrusza z wami?
- Tak, jest mi potrzebny.
- Nie uważam go za bardzo odważnego!
- Potrzebny mi jest on sam, a nie jego odwaga, której naprawdę nie posiada. Potrzebuję go do innej, zupełnie biernej roli.
- O, domyślam się, chce pan nadać tej wyprawie, jak to jest w pafiskim zwyczaju, jakiś oryginalny charakter?
- Nie inaczej.
- Już jestem ciekaw pafiskiej późniejszej opowieści. Natychmiast wydaję odpowiednie rozkazy.
- Ale proszę, aby przy tym zachowano jak największą ciszę! Poza tym wyznaję, że odczywam głód i pragnienie.
- Tym potrzebom zaraz uczynimy zadość - uśmiechnął się zadowolony.

Po dziesięciu minutach, wszyscy obecni siedzieli przy zimnej pie-czeni, a po kwadransie kol agasi zameldował, że oddział jest gotów do wymarszu. Był najwyższy czas. Ochmistrz nie odmówił swego

udziału; w obecności sześćdziesięciu żołnierzy eskorty czuł się bezpiecznie.

Gdyby jednak wiedział, do jakiej roli go przeznaczyłem, byłby najchętniej pozostał w Hilleh. Natomiast Amuhd Mahuli cieszył się, jak dziecko, z wycieczki, jaką przedsięwzięliśmy.

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie przed bramą czekał na nas zastęp jeźdźców. Stałem na jego czele wraz z kol agasim i ochmistrem. Ten pierwszy, za ledwie opuściliśmy miasto, poruszył sprawę rozkazów, jakie miał ode mnie otrzymać:

- Ty, effendi, jesteś wodzem naczelnym naszej armii - rzekł - ja zaś generałem. Wszyscy mają tobie być posłuszni, a mnie moich sześćdziesięciu ludzi. Z chęcią idziemy na tę walkę i jesteśmy gotowi skoczyć dla ciebie w ogień. Powiedz mi tylko, co mam robić i jak się mam zachowywać!

- Przede wszystkim musimy jak najprędzej i możliwie niepostrzeżenie dotrzeć do Birs Nimrud - odrzekłem.

- Niepostrzeżenie? Wobec tego byłoby wskazane zboczyć z tej drogi.

- Słusznie; ale wtedy wjeżdżamy na zły teren i narażamy nogi naszych koni na niebezpieczeństwo.

- O, nie. Musisz wiedzieć, że tu jest nasze pole ćwiczeń, znamy więc każdą piędź ziemi. Jeśli wrogowie spodziewają się ataku, oczekują go od strony miasta. Czy nie?

- Nie inaczej.

- Wyteżą więc uwagę w tym kierunku, dlatego musimy ich zaskoczyć z innej strony. Poświęcimy na to co najwyżej dodatkowe pięć minut. Czy nie uważasz, że powinniśmy zatoczyć malefiki łuk?

- Tak.

- A więc polegaj na mnie! Twoje ogiery nie potkną się ani razu.

Pojedziemy jak po stole.

Zboczył na prawo i muszę przyznać, że co do warunków jazdy, nie przesadzał. Przy tym nie przestawał mówić i ciągnął dalej:

- Myślę o starym przysłowiu, które głosi, że los nicuje człowieka trzy razy dziennie: raz rano, drugi raz w południe, a trzeci wieczorem.

2%

‘I~vój los zdaje się zmieniać jeszcze częściej, mianowicie w nocy także dwa razy.

- Jak to?

-Bo tej nocy sam byłeś więziony i już teraz chcesz innych uwięzić.

Tak samo byłeś moim więźniem i po krótkim czasie znów wolny, nie pytając nikogo o pozwolenie!

- W mojej ojczyźnie przysłowie powiada: „kto dużo pyta, ten popełnia dużo błędów”; w tym wypadku będzie oznaczało: ten nie przebywa murów.

- Tak, ten skok przez mur! Dałbyś dużo za to, żeby zobaczyć te spojrzenia jakimi was odprowadzono, kiedy przefrunęliście na drugą stronę! Nikt z nas nie byłby się odważył na taki skok. Mamy niezłe konie w pułku, ale nie mamy dobrych jeźdźców. Wolny Beduin jeździ konno o wiele lepiej, niż my. Gdybym tylko miał batalion, nie mówię o pułku, jakżeby jeździli moi ludzie! Musieliby latać, jak sokoły! Ale tego w moim życiu nie dopnę. Kismet mi nie sprzyja!

- Czy nie czujesz się szczęśliwy?

- Jak można być szczęśliwym, kiedy się w ciągu pięciu miesięcy nie otrzymało żołdu? Padyszch jest największym i najślawniejszym, najbogatszym i najmądrzejszym władcą wszystkich pafistw, ale ... nie skrzywdzisz mnie i nie zdradzisz mych słów, jego bogactwa zostają przy nim, a do nas nie docierają, a sprawiedliwość jego rozpościera się nad całą kulą ziemską, tylko nie nad naszymi kieszeniami.

- Z czego żyjesz, skoro tak długo nie dostałeś żołdu?

- Właściwie wcale nie żyję, lecz głoduję, bo kocham swoją żonę i swe dzieci i oddają im te okruchy chleba, które zbieram z dywanów moich przełożonych. Ja mogę głodować, ale nie oni!

- Twoi przełożeni mają więc chleb?

- O, nie tylko chleb, ale i mięso i wszystko, czego ich dusza zapragnie. Musisz wiedzieć, że strumień dochodów idzie z góry na dół, ale dochodzi tylko do majora; tu urywa się zazwyczaj i tylko wtedy, kiedy pułk zaczyna się buntować, zostaje otwarta malefika śluza,

297 która zresztą natychmiast zostaje zatkana. O, gdybym tak kiedykolwiek zaawansował na binbasiego, byliśmy, ja i moja rodzina, do której całym swym sercem należę, na zawsze zbawieni!

- Czy twoja rodzina jest liczna?
- Mam czterech synów i trzy córki; mam własną matkę i matkę swej żony; razem jedenaście osób, zmuszonych żyć ze skąpego żołądka, którego nie dostaję. Oby Allah dał nam polepszenie!
- Pomoże ci, Amuhd Mahuli. Jeżeli będę z ciebie dzisiaj zadowolony, pomówię z generałem i poproszę go, aby polecił wypłacić ci zaległy żołądek.
- Gdybyś zechciał, effendi! Moja wdzięczność i całej mojej rodziny byłaby niezapomniana do grobowej deski! Widzieliśmy, jak generał cię ceni i poważa; w wielu, bardzo wielu sprawach powodował się twoim zdaniem, powinien więc chętnie wypełnić i tę drobną prośbę. Będiesz ze mnie zadowolony; zrobię wszystko, aby sobie zasłużyć na względy. Czy pamiętasz także i drugą swą obietnicę?
- Jaką? - spytałem, udając że zapomniałem.
- Sprawozdanie do ministra. Czy wspomnisz w nim, że jedziemy teraz do Birs Nimrud aby złowić morderców karawany?
- Tak.

I że brałem w tym udział, jako twój podwładny i dowódca sześćdziesięciu ludzi?

- Z pewnością! Opisze wszystko dokładnie, jak się sprawowałeś i odznaczyłeś.
- Dziękuję ci! Wiem, że dotrzymasz słowa i postaram się pozyskać twoje uznanie i łaskę ministra. Teraz jesteśmy już tak daleko, że Birs Nimrud leży tuż przed nami, na południowy wschód.
- Już! To poszło prędzej, niż przypuszczałem!
- Wiedziałem, że będziesz zadowolony z mego prowadzenia.

Teraz musisz tylko oznaczyć, do jakiego punktu ruin chcesz dotrzeć.

- Czy przypominasz sobie to miejsce, gdzie ukryliśmy nasze konie, a nad ranem je odnaleźli?
- 298
- Tak, znam je dokładnie.
 - Tam jedziemy, zatrzymamy się jednak na odległość ludzkiego głosu, podejść zaś chcę pieszo, aby się dowiedzieć, gdzie ukrywają się poszukiwani przez nas ludzie.

- Czy to nie ryzykowne?
- Nie.
- Mogą cię znów złapać!
- W żadnym wypadku! Lis nie powraca do sideł, z których już raz się wydostał.

Przejechaliśmy krótką przestrzeń i kol agasi zatrzymał oddział.

- Jesteśmy na żądanej odległości - rzekł. - Gdybyśmy gło~no krzyknęli, usłyszaliby nas przy ruinach. Chcesz nas teraz opuścić?
- Tak.
- Na jak długo?
- Nie mogę tego określić. Macie tutaj zostać i nie oddalać się pod żadnym pozorem aż do mego powrotu! Przy tym nie róbcie hałasu, chociażby najłżejszego.
- A jeśli nie powrócisz?
- Wrócę!
- Czy znajdziesz nas w ciemności?
- Tak. Powierzam ci tutaj moją broń i nie puszczaj innych koni do naszych ogierów. Nie znoszą tego, szczególnie kiedy leżą. Barkh Halefa był prowadzony za cugle; dałem naszym koniom znak, aby się położyły. Potem udałem się na zwiad. Mój plan był oparty na przypuszczeniu, że Sefir, przed terminem zapowiedzianych sześciu czy siedmiu godzin, nie wrócił do wnętrza Birs Nimrud, przynajmniej do izby, gdzie nas umieszczono. Jeżeli jednak zajrzał tam przedtem, powinien był, stwierdziwszy naszą ucieczkę, wycofać się jak najprędzej, zabierając ze skarbów ruiny tyle, ile w pośpiechu się udało.

Oczywiście, wysiliłem się na największą ostrożność. Z nożem w ręku, byłem mocno zdecydowany nie dać się tknąć i każdego, który to 299 spróbuje, zwalić na miejscu.

Doszedłem pomyślnie do miejsca schronienia koni. Nie było tam nikogo. Stąd poszedłem w znanym mi kierunku ku wejściu do składu przemytników. Paliły się tam huczne ogniska i w ich poświacie łatwiej mi było uniknąć możliwych spotkań. Jąłem się skradać, pełzając po ziemi, coraz bliżej i bliżej, aż do pojedynczo stojącej kolumny; oświetlona z jednej strony, z drugiej rzucała głęboki cień. Zaczaiłem się w tym cieniu i nastawiłem uszu.

Zaledwie o dwadzieście kroków oddalony od znakomitego grona, które tu pędziło swój nocny żywot,

mogłem wszystkich widzieć oraz słyszeć, co było mówione normalnym głosem. Mówili jednak przeważnie głośnie i bez żenady; widać było, że wszyscy czują się tu bardzo bezpiecznie.

‘Itworzyli dwa oddziały, z których jeden, jak to od razu spostrzegłem, składał się z bandytów, a drugi z przemytników. Ci ostatni byli zajęci uprząaniem jakiejś wielkiej sterty towaru, z której poszczególne paczki zanosili do składu. Robili to w łaficuchu, to znaczy w ten sposób, że rozstawieni w pewnych odstępach podawali sobie paczkę z rąk do rąk: Dzięki temu oszczędzali sobie chodzenia i dźwigania. Było bardzo prawdopodobne, że wejście do składu było znane nie wszystkim, lecz tylko zaufanym ludziom Sefira. Ci właśnie stali na górze, inni niżej, a to, że byli odosobnieni i robotę swą wykonywali w absolutnej ciszy, nie ułatwiało mi obserwacji. Zwróciłem więc uwagę na bandytów.

Tak, byli to bandyci obok nich bowiem stało i częściowo leżało dwanaście koni oraz sześć juczych wielbłądów ochmistrza, obecnie już nie obciążonych niczym; ich niedawny ładunek leżał w dwóch kupach przed rycerzami rozboju, którzy brali z jednej poszczególne przedmioty, oglądali je, oceniali, dyskutowali nad ich wartością i po osiągnięciu częstokroć trudnego porozumienia, rzucali je na drugą. W ten sposób jeden stos ciągle rósł, a drugi malał. Z tego szacowania i sporów wywnioskowałem, że ten piękny 300 interes był oparty nie na żołdzie lecz na udziałach. Naliczyłem piętnaście osdb, samych Bediunów; ogorzałe, smagłe postacie o ponurym i chciwym spojrzeniu.

Sefir siedział nieopodal. Miał w ręce książkę i w pobliżu wielki worek pieniędzy. Zapisywał do książki poszczególne sztuki łupu i ustaloną dla każdej wycenę, po czym wypłacał z worka odpowiednią sumę na ręce jakiegoś siwobrodego człeczyny, który zdawał się być hersztem zbirów. Rozumie się, że temu procederowi, towarzyszyły głośnie, potworne przekleństwa i wyzwiska. Tylko Sefir zachowywał zimną krew, zdawał się być obeznany z tymi ludźmi, słuchał ich wymyślań ze spokojem, ostudzał zapały stanowczym słowem, czerpał pieniądze z worka i składał należność do wyciągniętych, brudnych rąk. Ci ludzie nie byli mocni w arytmetyce; nie umieli rachować, dlatego nie pozwalali sumować poszczególnych liczb, lecz domagali się należności za każdą sztukę towaru z osobna.

Wszakże raz jeden Sefir stracił równowagę. Chodziło o jakąś wschodnią tkaninę, której złoty haft rzucał aż do mnie blaski. Beduini ocenili go za wysoko i to wywołało kłótnię, która do tego stopnia się wzmogła, że Sefir zniecierpliwiony skoczył i gniewnie zawołał:

- Zwariowaliście i szczekacie bez powodu, jak szakale do księżyca! Spójrzcie tam na moich ludzi! Jest ich dziewiętnastu, a wszyscy razem nie narobili tyle hałasu w ciągu całej nocy, ile jeden z was w ciągu dwóch minut. Mam tego dość! Czy myślicie, że dla was tylko tutaj siedzę, że nie mam nic innego do roboty, jak wysłuchiwanie waszych wrzasków? Za pół godziny tamci będą gotowi, musimy więc do tego czasu skoficzyć, bo mam jeszcze bardzo ważną robotę. Jeżeli będziecie dalej marudzić, pakuję wszystko, każę schować i nie otrzyrnacie ani grosza więcej.

To poskutkowało; odtąd handel poszedł szybciej. Atoli słowa jego oznajmiły mi, że powinienem się śpieszyć, bo wiedziałem dobrze, jaka to pilna robota go czeka, mianowicie rozprawa ze mną i ochmistrem, musiał więc, według mego planu, zastać nas w tej samej sytuacji, w 301 jakiej nas

opuścił.

Wyślizgnąłem się cichaczem spod kolumny, potem pobiegłem z całych sił do mojej dzielnej, jak przypuszczałem, kawalerii. Zaniepokojony o mnie kol agasi ucieszył się na mój widok.

- Teraz zaczyna się wasze zadanie, - rzekłem tak, aby wszyscy słyszeli. - Zapamiętajcie dobrze, co teraz powiem! Dziewięciu ludzi niechaj zostanie tu, przy koniach i uważa, ażeby nie było hałasu. Dziesiąty pójdzie ze mną i z Piszkhidmet baszim. Co będzie robił, o tym dowie się później. 'Tych dziesięciu wyznaczy kol agasi. A teraz rzecz najpoważniejsza. Słuchajcie!

Skupili się wokół mnie, ciągnąłem więc dalej:

-Prowadzę teraz pozostałych pięćdziesięciu do pewnego miejsca ruiny, gdzie palą się ogniska. Tam siedzą bandyci i dzielą się łupem; jest ich piętnastu. Są tam także przemytnicy, składający swój towar do śpichrza; jest ich dziewiętnastu, z przywódcą dwudziestu. Mamy więc razem do ujęcia trzydzieści pięć osób. Jeżeli żaden z nich, słuchajcie uważnie, ale to żaden z nich nam się nie wymknie, każdy żołnierz otrzyma sto piastrów, a każdy podoficer dwieście! Rozległy się ciche okrzyki radości, podziwu, uznania i zachęty.

Mówiłem dalej:

- Bierzemy ich w następujący sposób. Rozsypujecie się w tyralierkę, która, poczynając od ruin, obejmie półkolem ogniska i drugim końcem przytknie do ruin z powrotem. W ten sposób ci ludzie będą otoczeni ze wszystkich stron tak, że żaden nie będzie się mógł wywinąć. Kto z nich się zbliży do tyralierki, powinien być głośno wezwany do cofnięcia się; jeżeli nie usłucha i spróbuje się przedrzeć, powinien być bezwzględnie zastrzelony. W ten sposób zacieśniając koło, musi-cie ich skupić, bo chcę o brzasku, mieć ich wszystkich, zgromadzonych przed sobą. Co potem się stanie, dowiedziecie się ode mnie, bo do tego czasu będę z powrotem. Powiedzcie mi, ale nie głośno, czy wszyscy mnie zrozumieli?

Otrzymałem w odpowiedzi sześćdziesięciokrotne „tak”. Ludzie byli 302 podnieceni obietnicą piastrów i mogłem być przekonany, że zrobią wszystko, aby te pieniądze zarobić. Aby udzielić kol agasiemu tego entuzjazmu, wzięłem go na stronę i powiedziałem mu cicho:

- Czy myślisz, że spełnią swój obowiązek?

- Och, effendi - odrzekł, - zapewniam cię, że raczej umrą, niż i pozwolą uciec jednemu z tych łotrów. Jednym zamachem zjednałeś sobie ich całkowite poświęcenie, miłość i wierność!

- Zatem chcę sobie i ciebie zjednać. Wyraziłeś poprzednio gorącą chęć awansowania, na co odpowiedziałem, że Allah ci pomoże. Otóż słowa te mr.ją się ziścić! Allah posyła ci swą pomoc przeze mnie, oświadczam ci zatem; jeżeli z trzydziestu pięciu osób, które mamy wziąć, żaden nie ujdzie, jesteś majorem, jeszcze nim wrócimy do ‘ Hilleh.

Znieruchomiał w radosnym lęku i nie wymówił ani słowa. Potem zebrał siły i wyrzekł bełkocząc:

- bin-ba-sim -je-szcze za nim - i naraz wypalił szybko: - będę binbasim, zanim jeszcze wrócimy do miasta? Effendi, wiem, że mó-wisz prawdę i nie żartujesz ze mnie, dlatego chcę ...

- Cicho, - przerwałem -nie jesteś jeszcze binbasim, ale możesz nim zostać, jeżeli wypełnisz postawiony ci warunek. Nie podniecaj się więc i staraj się uczynić zadość moim oczekiwaniom.

- Effendi, weźmiemy ich! Złowimy wszystkich, wszystkĄch! Je-stem przekonany, że żaden nam nie ujdzie. Chodź prędeż, musimy jak najprędeż otoczyć ich kołem!

- Najpierw musisz wyznaczyć tych dziewięciu, którzy zostają przy koniach i tego, który idzie z nami.

- W tej chwili! Już się robi!

Wyznaczył dziesięciu ludzi, po czym pięćdziesięciu podjęło marsz. Unikaliśmy wszelkiego hałasu i kiedy dotarliśmy do ognisk, tyraliera pod komendą kol agasiego została tak ostrożnie i sprawnie utworzo-na, że żaden z otoczonych nic nie zauważył; byłem pewien, że nie ma żadnej luki, poprzez którą mógłby się ktoś wyślizgnąć. Uspokojony 303 tym, udałem się wraz z ochmistrem i kawalerzystą do miejsca, które Halef śmiesznie nazwał „jarmarkiem jeżozwierzy”. Jak sobie przypominamy, był to czworobok murów, w którym ukryliśmy konie i gdzie razem z ochmistrem, wyzwoleni z potrzasku, ujrzeliśmy znów świat-łoienne, albo ściślej, ciemność nocną.

Wiedziałem, że idę na niepewną grę, ale miałem humor i taką beztróskę, jak gdybym już miał wygraną sprawę. Gdyśmy znów wstąpili na nasyp, zapytał mnie Pers:

- Po co wracasz na to miejsce, effendi? Przecież nic tutaj nie zgubiliśmy!

- Mam tu dużo do znalezienia.

- A co?

- Sefira.

- Toć widziałem go tam, przy ludziach!

- Przedtem tak. Ale my go znajdziemy w naszej ciemnicy.

- Czy chcesz tam wrócić?
- Tak.
- Allah! Czy jesteś przytomny?
- Przypuszczam. I wracam tam nie sam, lecz w twoim towarzystwie.

Ze strachu ugrzązłw ceglanym prochu, klasnąłw dłonie i wystękał:

- W moim towarzystwie? Effendi, ani myślę! Jeżeli jesteś szalony, to ja nim nie jestem i nie mam do tego powodu!
- A więc słuchaj, czego jeszcze szukam! Mianowicie twego majątku.
- Mego majątku? Jak ty to rozumiesz?
- Pomijam już twoje konie i wielbłądy, które sam widziałeś, a które, jeżeli uczynisz to, czego żądam, otrzymasz z powrotem. Ale wielbłądy były objuczone, przy iym, jak sędzę, przedmiotami, które nie są bez wartości.
- Nie bez wartości? Możesz mi wierzyć, ich wartość jest tak wielka, że wynosi majątek. Są to dary szachinszacha, a co nasz władca 304 daruje, kosztuje dużo, bardzo dużo!
- Cbż powie, kiedy mu doniesiesz, że te kosztowne dary zostały ci zrabowane?
- Boję się nawet pomyśle~ o tym. Stracę jego łaskę, opiekę, jego zaufanie i zostanę rzucony w proch, z którego nie wydźwignę się więcej. Do tego dochodzą zobowiązania, jakie musiałem dać Sefirowi. Dzięki nim zrobi ze mnie żebraka.
- Czy nie byłoby dla ciebie szczęściem, wielkim szczę~ciem, gdybyś to wszystko mógł odzyskać i dary szacha i zobowiązania?
- Tak, to byłoby szczęściem, za które nie byłbym w stanie podzię~kować Allahowi!
- Ależ ty tego wcale nie chcesz! Rezygnujesz ze wszystkiego!
- Ja? Rezygnuję? Kto to powiedział?
- Ty sam!
- Ja sam? Nic o tym nie wiem, absolutnie nic!
- Czy nie powiedziałaś dopiero co, że nie chcesz wrócić ze mną do ciemnicy?

- Owszem, powiedziałem, ale co ma wspólnego ta uzasadniona odmowa z darami mego władcy i z moimi zobowiązaniami?

- Bardzo wiele! Wracamy do ciemnicy, aby to wszystko zdobyć z powrotem. Jeżeli decydujesz się pójść ze mną, gwarantuję możliwość~ odzyskania twego majątku.

- Czy to prawda, effendi? - zapytał skwapliwie, wyswobodzając jednocześnie uwięzłe w prochu nogi.

- Tak.

- Ależ nas uwięzi!

- Nie jest w stanie; przeciwnie, to my jego schwytamy. To jest właśnie główny motyw, który mnie skłania do tego powrotu. Wiem, co robię; gdybym miał tylko polegać na żołnierzach, Sefir uszedłby mi z łatwością. Jeżeli chcesz, mogę ci dać słowo, że możesz mi bez obawy towarzyszyć. Jeżeli mi zaufasz, zmuszę go do wydania tego, co ci zabrał przemocą; tak więc otrzymasz dary szachinszacha i dzięki temu nie

305 utracisz jego zaufania, lecz odwrotnie, zdobędziesz wdzięczność za odstawienie ich w dobrym stanie.

- 'Ibvoja obietnica nasuwa mi jedną wątpliwość. Sefir na pewno sprzeciwi się temu, czego od niego zażadasz. Nie obejdzie się bez walki.

- Nie będzie walki, lecz jedno jedyne moje uderzenie, a że będzie miał dosyć, przekonałeś się chyba wtedy, kiedy zwałem namiestnika.

- Tak, masz wyjątkową i bardzo niebezpieczną pięść. A więc zdecydowałem się, towarzyszę ci. Czego się nie robi, kiedy chodzi o uzyskanie przychylności panującego.

- Dobrze! Stojąc na ramionach żołnierza, sięgniemy łatwo do otworu. Ja pójdę pierwszy, a ty za mną. Poczekaj tylko jeszcze chwilę! Kazałem kawalerzyście czekać aż do naszego powrotu i pożyczyłem od niego derkę, miał zrolowaną i przeciągniętą na ukos przez ramię. Potrzebna mi była do zakrycia dziury w kącie ciemnicy. W zapałki i świece zaopatrzyłem się jeszcze w Hilleh; również tam odebrałem Pederowi mój nóż, prócz tego miałem rewolwer i sztucer, karabin zwany „zabójcą niedźwiedzi” zostawiłem przy koniach. Byłem więc dostatecznie uzbrojony i nie bałem się oporu Sefira. Muszę przyznać, że moje przedsięwzięcie wymagało odwagi; temu jednak, kto zarzucałby mi że była to nie tylko odwaga, ale i brawura, musiałbym zwrócić uwagę, że liczyłem na zetknięcie się z bardzo nieliczną garstką prze-mytników. Przypuszczałem, że tylko niektórzy przemytnicy znają położenie i rozkład wewnętrznych pomieszczeń, byłoby bowiem nie-przebaczalną nieostrożnością ze strony Sefira, gdyby wtajemniczył wszystkich. Byłem więc przygotowany na spotkanie się tylko z kilku-ma, a z nimi rozprawa wydawała mi się łatwa.

Był najwyższy czas powrócić do naszych dawnych kochanych miejsc. ~ierz oparł się o ścianę. Jego złożone ręce, następnie jego ramiona tworzyły pierwsze dwa stopnie w górę. W ten sposób osiągnąłem łatwo otworu a ochmistrz podążył za mną. Że przy tym nie było mu lekko na sercu, zdradzały to jego ciężkie stroskane westchnienia, 306 które wydzierały mu się z piersi. Mieliśmy wygodną drogę, bo prz~j-ścia były wolne od ceglanego miału. Lekki, krótki sztucer nie prze-szkadzał mi.

Po przebyciu przejścia, wszedłem ukośną drogą w górę i jąłem nasłuchiwać; wnet znalazłem się w izbie numer pięć. Badanie zrobio-ne po omacku wskazało mi, że odnajdujemy nasz przymusowy przytułek w tym samym stanie, w jakim go opuściliśmy. Leżały tu jeszcze nasze powrozy, a z drugiej strony natrafiłem na kupę miału, wydoby-tego z otworu. Byliśmy sami i chętnie zapaliłbym świece, gdybym się nie obawiał, że światło, przenikając przez szpary okratowanego wej-ścia, zdradzi naszą obecność znajdującym się w sąsiednich izbach. Musieliśmy więc czynić przygotowania w ciemności. Przede wszystkim zasypaliśmy otwór na tyle, ile starczyło materia-łu; ukryłem w nim sztucer i podścieliłem na nim derkę żołnierza, którą następnie przysypałem resztą miału. W ten sposób dziurę i broń ukryliśmy przed oczami Sefira. Nóż i rewolwer nie sterczały mi, oczywiście, za pasem, lecz były schowane w zanadrzu. Teraz musiałem Persa ponownie związać; nie potrzebuję dodawać, że nie chciałem na to pozwolić. Gdy spokojne perswazje nie pomogły dałem mu szturchafica w bok, które natychmiast przekonało go o konieczności mojej metody. Został dokładnie związany, jak przed-tem. Potem usiadłem, owinąłem się sznurami, nie tak mocno, oczy-wiście, jak wtedy, jednakże tak, aby, przy pobieżnym sprawdzeniu nie można było zauważyć żadnej zmiany. Nareszcie poczułem się uspokojony. Mój cel był osiągnięty jeszcze przed przybyciem Sefira. Teraz może wejść!

Nastrój ochmistrza nie był podobnie niefrasobliwy, mimo, że uwa-żał się za odważnego wojownika. Słyszałem ustawicznie tłumione „ach” i „och”, do których dochodziło jękliwe „Allah, Allah”. Był w strachu, kiedy po pewnym czasie doszły nas kroki, odbłaski światła mignęły między prętami kraty, zwrócił się do mnie, drżąc z przeraże-nia:

- Effe-fendi, nad-chodzą! Ja Samaja, ja hajaja, o, niebo, o, życie moje! Teraz przyszła nasza kreska! O, gdybym się nie dał zwieść! Gdybym nie wlaźł tutaj!

- Milcz, - rzuciłem - słyszę, że idą wpierw do Halefa, musimy nasłuchiwać!

Kroki skierowały się do numeru czwartego, słyszałem rozmowę między Sefirem a Halefem, ale nie mogłem rozróżnić słów. Gdy pierwszy wychodził, Halef podniósł głos, pochwyciłem więc słowa:

- Będę się śmiał ostatni! Znam swego effendiego. Przyjdzie, na pewno przyjdzie i mnie wybawi. Wtedy porachujemy się z tobą.

- A więc oznajmiam ci, że już przyszedł - odrzekł Sefir. - Leży już od dłuższego czasu tu obok, mocniej związany, niż ty!

- To kłamstwo!

- To prawda!

- A jeżeli prawda, to po prostu bawił się z tobą, żartował, to jego ulubiona gra! Będzie wolny i mnie uwolni, zanim się opamiętasz!

- Tylko dusza jego będzie wolna, bo kijami wypędzimy ją, zarówno jak i twoją, z waszych przeklętych ciał!

- Kije są dla ciebie, a nie dla nas. Przysięgam ci na Allaha i proroka, że wkrótce poczujesz bat, który mi zabraliście, znęcając się nade mną! Wtedy twoja dusza wyskoczy ci z obrzydliwej skóry wprost do piekła!

Sefir odpowiedział pogardliwym śmiechem, po czym kroki zbliżyły się do naszej celi. Słyszałem wyraźnie kroki dwóch tylko osób. Odsunięto rygle i uchylono kratę; Sefir wkroczył wraz z tym małym człe-czyną, ktbry zwiódł mnie przebraniem Hadżiego Halefa, a który teraz miał małą migotliwą lampkę.

Herszt obrzucił izbę ostrym badawczym spojrzeniem, przystąpił do ochmistrza, który był najbliżej, schylił się i sprawdził sznury.

- W porządku! - rzekł, wyprostowując się - z tobą pomówię później. Kolej jest na chrześcijanina z którym właściwie jeszcze nie mówiłem.

Stanął nade mną i kazał małemu przybliżyć lampkę, aby lepiej mi się przyjrzeć. Nie uważał za konieczne sprawdzenie moich więzów, bo ochmistrz był „w porządku”, a moje skulone kształty świadczyły po-zornie, że moja pozycja jest równie bolesna, jak poprzednio.

- Słyszałeś na pewno, co twój zatxacony karzeł wyszczekał przed chwilą - zapytał.

- Tak - odrzekłem.

- Ten wstrętny, plugawy kret jest obłąkany, pomyłony!

- Nie!

- Nie? Zgadzasz się z nim?

- Tak!

- To i ty jesteś pomyłony ze strachu.

- Bynajmniej! Mój rozum jest na pewno jaśniejszy i zdrowszy od twego.

Wybuchnął tym samym, co i poprzednio, śmiechem i zawołał:

- Chce być wolny, chce uwolnić Halefa! Ja będę zbity batem! To potwierdza ten gość~ i mówi przy tym o swoim rozumie!

- Ba, mój Hadzi zwykł dotrzymywać słowa. Skoro ci przyrzekł obicie batem, stanie się to, jakkolwiekbyś się bronił!

- Psie! Jeżeli nie jesteś szalony, możesz więc mieć zamiar obraże-nia mnie! Nie zdajesz sobie sprawy, co cię czeka!

- Czy chcesz mnie rozśmieszyć! Jeżeli ktoś z nas nie wie, co go czeka, to ty nim właśnie jesteś! Przepowiedziałem ci, co się stanie. Poczekaj do świtu!

- Tak, przypominam sobie - kiwnął ironicznie głową - sąd nade mną rozpocznie się wieczorem; to, czy coś w tym rodzaju, śmiałeś powiedzieć! Ale to byłoby dla mnie za mało, bardzo mało! Dla ciebie przygotowałem coś lepszego. Będziesz miał nie jeden tylko krótki dzień; dłużej, o wiele dłużej będziesz zażywał przyjemności, jaką cię obdarzę! Twe sztuki tam nad Tygrysem ...

- Ach, wobec Peder-i-Baharata - wtrąciłem.

Cofnął się strapiony, o krok w tył i zapytał szybko:

- Peder-i-Baharat? Co wiesz o nim? Skąd znasz jego imię? Kto ci powiedział? Już ta okoliczność~, że ty, obcy i chrześcijanin, znasz to imię, decyduje o twojej śmierci!

- Powtarzam ci, że ciągle mieszasz mnie ze sobą. Nie moja, lecz twoja śmierć jest zdecydowaną. Jesteś zdradzony, wiadomo, że jesteś Sefirem, o którym ...

- Sefirem! - przerwał - człowieku, oto jeszcze jeden powód do twojej śmierci. Gdybym już nie wydał wyroku, byłbym teraz postano-wił, że opuścisz to miejsce tylko jako trup!

- Nie łudź się! Nie masz żadnej władzy nade mną. Opuzczę Birs Nimrud wolny i nie tknięty, a ciebie, jako mego więźnia, zawiozę do Hilleh, aby cię kazać wtrącić do celi, gdzie Peder i jego dwaj popleczy-nicy leżą już w kajdanach.

-Ja ... twój ... więziefi ... do Hilleh ... w kajdanach! -wykrzykiwał, patrząc na mnie. - A więc, jak mówiłem; jesteś kompletnie zwario-wany.

- A więc wariat powiada ci, że wysłałeś Pedera w zasadzkę, w którą wpadł. Nikt tam nie uwierzył w to, co mu kazałeś powiedzieć.

- Co ... w co nie uwierzono?

- Że ja i Haddedihn napadliśmy na karawanę Piszkhidmet baszi i że ty poszedłeś za nami, aby wytropić naszą kryjówkę, że ponadto ja zabrałem trupa Piszkhidmet Baszi, aby go wrzucić do wody. Chciał coś odpowiedzieć, ale ze zdumienia nie mógł wykrztusić słowa. Tu wpadło mi na myśl wyzyskać jego zamieszanie w celu wykrycia tajemnicy związanej z Różą z Szirazu, ciągnąłem więc dalej:

- Widzisz, że wasze tajemnice są zdradzone. Wyjaśniono nawet sprawę osławionej Gul-i-Sziraz.

Szarpnął się, jak zwierz, przypadł do mnie, chwycił za ramiona i krzyknął dziko:

- Gul-i-Sziraz? Biwe-i-hakim, wdowa po władcy, która mieszka w tak głębokim ukryciu, że ja sam widziałem ją tylko trzy razy? Nasza piękna, nasza wspaniała królowa, przed którą wszyscy chylimy czoła

310 i zginamy kolana? Tę, której wzrok czaruje serca i której głos zagrze-wa do najtrudniejszych czynów, tę chcesz poznać, ty nieszczęsny, żaloszny robaku? Zdławię cię, zdruzgocę!

Rzucił się do mego gardła. chciałem już wyciągnąć ręce z kleszczo-wych objęć, aby go odtrącić, gdy

wpadł mi inny pomysł, który również poskutkowało, skłaniając go jednocześnie do dalszych zwierzeń; był bowiem w takim podnieceniu, że stracił zdolność rozumowania.

- Nie dotykaj mnie! - zawołałem rozkazująco - I ja jestem sillem.

Rzucił się w tył, jak gdyby pchnięty nagłym ciosem, wytrzeszczył szeroko oczy i zapytał:

- Ty-ty-jesteś sillem?!

- Nawet wodzem! Sertip-i-sillan!

- Sertip! Człowieku, albo masz diabła za sojusznika, który ci zdradził nasze tajemnice, albo doprawdy jesteś sillem! W takim wypadku podajesz się tylko za chrześcijanina, a w istocie jesteś prawo-wiernym szytą.

- Gdybym nie miał rąk związanych, mógłbym wyjąć z kieszeni pierścień i udowodnić ci, kim jestem!

- On-on ma także pierścienie! = wołał z rosnącym wciąż wzburzeniem. - Jeśli to prawda, mogę cię poddać próbie. Powinienem tylko cię spytać o imię naszego najwyższego władcy, o Dża ... Po tej zgłosce urwał, bo zląkł się zdrady największej, jaką sill popełnić może. Łatwo można było odgadnąć brakującą zgłoskę imienia, tym bardziej, że przypomniałem sobie podsłuchaną owego wieczora nazwę „najwyższego władcy”, uzupełniłem więc urwane zdanie:

- Myślisz Dżafara, emira-i-sillan, księcia ciemności?

- Tak, tak, jego mam na myśli. Znasz go, wiesz wszystko, wszystko! Albo jesteś prawowity sertip-i-sillan i rangą wyższy ode mnie, wobec czego muszę cię zaraz uwolnić, albo dzięki zdradzie zostałeś wtajemniczony, a więc jesteś szpiegiem, którego muszę natychmiast unieszkodliwić.

W rozterce, ściskając czoło rękoma, robił wrażenie zupełnie bez-radnego człowieka. Naraz odwrócił się szybkim, zdecydowanym t~u-czem do małego:

- Poświeć mi! Światłem do niego! Muszę widzieć jego wyraz twarzy! Muszę mu zajrzeć w głąb serca!

Gdy człowieczek wykonał ten rozkaz, Sefir wlepił we mnie świdru-jące spojrzenie. 'Itwarz jego była obrzękła i ciemnoczerwona, jego zaciśnięte pięści, cała drapieżna postawa, tchnęła zdecydowaniem i napięciem, którego wybuch byłby straszliwy. Mimo to spoglądałem na tego barczystego, rosłego człowieka ze spokojnym uśmiechem, rozluźniając po kryjomu sploty sznurów, aby ręce przygotować do obrony. .

- 'I~v6j wytaz twarzy jest dla mnie nieprzenikniony - rzekł, chociaż spokój mój i beztroska były oczywiste. - Nie dostrzegam nic i nic wykryć nie mogę! Muszę się uciec do innego środka, lepszego i niezawodnego! Zaklinam cię na Allaha, albo, jeżeli jesteś chrześcija-ninem, na twego Boga, abys mi powiedział prawdę! Czy powiadasz prawdę?

- Tak.

- Czy będziesz miał odwagę, jeśli nie jesteś sillem, wyznać mi to?

- Tak. Nie sądz, że się ciebie boję!

- A więc powiedz: czy jesteś wiernym szyitą, czy istotnie chrześci-janinem?

- Nie, myślę dla ciebie, czy dla innej jakiejś przyczyny, jakiegol-wiek byłoby niebezpieczefstwo, zaprzeczać mojej wiary. Jestem chrześcijaninem!

- Allah! Prawa naszego związku wyłączają bezwzględnie uczest-nistwo chrześcijanina. Nie jesteś więc sillem?

- Nie.

- Zatem bez naszego pozwolenia przyswoiłeś sobie nasze taje-mnice?

- Tak.

- A więc bądź pizeklęty, tysiãktotnie przeklęty i zgiń!

Z wściekłościã, nie oglãdajãc siã za broniã, runãł na mnie z wyprężonymi rękoma. Uchyliłem siã błyskawicznie, wskutek czego trafił w próżniã, podczas, gdy ja, wyrwawszy rękã z powrozów, chwyciłem go za gardło, przycisnãłem swym ciałem i wymierzyłem mu, jedno po drugim, dwa uderzenia w skroń. Machnãł bezwładnie rękoma, wyciãgnãł konwulsyjnie drgajãce nogi i zmarł w bezruchu. Mały zastygł z lampã w rękũ i patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem.

Nagle odrzucił lampã, która zgasła i krzyknãł:

- Psie, nie uciekniesz!

Chciałem go wyminãć, ale poiwał siã na mnie; poczułem uścisk ramienia a potem pchnięcie, które przeszłoby mi serce, gdybym siã w tej chwili nie uchylił; wbił mi jednak nóż w muskuł ramienia i jak siã pózniej okazało, spowodował niegroźnã ranã, głębokã na cal. Chciałem go chwycić, ale mały, zwinny łotr wywinãł mi siã i porwał pistolet, czego w ciemności nie mogłem widzieć. Skoczyłem do wyjścia, aby mu odciãć odwrót, wtedy buchãł strzał, wycelowany w tã stronã, gdzie stałem przed chwilã.

Błysk oświetlił na mgnienie jego twarz, natarłem nafi, spuszczajãc mu piãść na głowã tak, że runãł na podłogã. Schyliwszy siã, stwierdziłem, że i on juź nic przeciwko mnie nie moźe przedsiãwziãć. Zapadła cisza; stałem bez ruchu, aby siã przekonać, czy strzał był slyszany. Nic nie drgnęło. Po chwili rozległ siã przyciszony glos och-mistrza:

- Effendi!

- Tak - odrzekłem.

- Czy umarłes?

- Bezsens. Skoro odpowiadam, nie mogę przeciez by~ umarłym!

- A więc nie uduszony, ani zastrzelony?

- Nie, najwyzej draśnięty nożem.

- Gdzie sã ci dwaj straszni ludzie?

- Leżã tutaj i sã nieprzytomni. Ale nie mów nic teraz. Jeszcze 313 niewiãdomo, czy strzał nie był

słyszany.

Poczekaliśmy jeszcze parę chwil; ponieważ nikt nie nadchodził, pozwoliłem sobie zapalić świecę. Lampy zapalić nie mogłem, była bowiem rozbita i zawartość jej rozlana.

-Barckullah, chwała Bogu! -westchnął Pers -widzę, że jesteś zwycięzcą. Serce we mnie zamarło ze strachu, gdy Sefir stał nad tobą, jak głodny tygrys, a potem runął na ciebie ze swoimi szponami! Nigdy w życiu nie trząsałem się tak ze strachu, bo gdyby cię zabił, byłbym i ja zgubiony. Jestem wprawdzie i odważnym wojownikiem, ale gdy się jest związanym, na nic się nie zda odwaga. Kiedy mnie nareszcie rozwiążesz?

- Zaraz. Dla odmiany włożymy te sznury na nich.

Rozwiązałem go. Skoczył w radosnych okrzykach.

- Chwała Allahowi, straszne, potworne niebezpieczeństwo już minęło! Stawiłem mu jednak czoło z całą odwagą.

- Nie krzycz tak! - przerwałem. - O twojej odwadze nic nie wiem, a jeżeli doprawdy sądzisz, że niebezpieczeństwo już minęło, to się mylisz. Mamy tutaj tylko tych dwóch, a czeka nas jeszcze trzydzie-stu trzech innych.

- Allah uchwaj nas! Jeszcze trzydziestu trzech! Co to będzie za koniec.

Zdjęty znów strachem, siadł, ja zaś związałem Sefira i jego pomoc-nika tak mocno, jak tego wymagało bezpieczeństwo i byłem już gotów, gdy rozległ się nawołujący głos Halefa:

- Sidi, sidi! Ktoś strzelał, jesteś tutaj?

- Tak Halefie! - odrzekłem równie głośno.

- Siedzę tutaj! Czy prędko przyjdiesz!

- Zaraz!

- Czy te łotry przyniosły mój korbacz? Czy nie widziałeś go?

Mimo powagi sytuacji, musiałem się roześmiać. Ledwie się mój poczciwy Halef dowiedział, że jest uratowany, pieiwszą rzeczą, O Której pomy~lał, byi jego upragniony bicz!

Nakazałem Persowi ciszę, wziąłem świecę i poszedłem do sąsiedniej izby. Gdy ujrzał mnie wchodziłcego, rzekł:

-Sefiz chciałwe mniewmówiE, że jesteś jegowięźniem, aleja mu nie uwiexżyłem oczywiście i pxyzxełem mu poufne spotkanie z moim korbaczem.

- Słyszałem. Nie kłamał; byłem jego więźniem, ale teraz oto jestem wolny i z kolei on jest moim więźniem i to pewniejszym, niż ja przedtem. Opowiem ci wszystko później, teraz chodź ze mną do niego.

- Najpierw przywróc władzę moim członkom, w tym położeniu bowiem nie mogę oddać mojej osoby do twojej dyspozycji! Był zawinięty w dywan i ponadto mocno związany. Tylko głowa sterczała z tej wiązki. Wyswobodziłem go i ledwie stanął na nogach, wyciągnął rękę, wznosił dwa palce do przysięgi i rzekł:

- Tak, jak prawdą jest, że nareszcie wyostałem swą skórę z tego dywanu, tak prawdą jest, że dotrzymam mego słowa i dam Sefirowi zakosztować mego bicza! Zabrano mi go, ale poszukam i odnajdę, nawet gdyby był ukryty na koficu świata, albo dalej! - Nie lubisz języka mego korbacza, sisi, ale tym razem możesz przeciw niemu mówić i robić co chcesz, dotrzymam swego słowa!

-Bądź spokojny, Halefie! Dzisiaj zgadzam się z tobę najzupełniej.

Gdy słyszałem, że ci groził chłostą, a ty w odpowiedzi przyrzekłeś mu swój bat, postanowiłem, że on się mu nie wymiga.

- Niechaj więc twoja zgoda i głębia twego zrozumienia będzie pochwalona, tak daleko, jak sięgać może ludzka władza na ziemi! A teraz chodź, prowadź mnie do niego. Nie zwlekajmy ani chwili z udzieleniem mu szczęścia mego powitania. Nie masz pojęcia, effendi, jaką gorączką oczekiwania bije jego serce!

Wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą. Wiedziałem, że tym razem nie mógłbym go powstrzymać od wyrażenia swego gniewu „pieszczotą korbacza”, jak się zwykł wyrażać. Jednakże Sefir święcie zasłużył na tę karę, tak więc w tym wypadku gorące życzenie Hadziego zgadzało się 315 wyjątkowo z moim poglądem.

Wciągnął mnie do środkowej izby i chciał pójść dalej, gdy zatrzymałem się i rzekłem:

- Zanim wejdziemy do Sefira, muszę wiedzieć jak się z tobą obchodzono od chwili, gdy skoczyłem do wody. Opowiedz mi!

- Czy nam to ucieknie! Zemdleję, jeżeli znów odwleciesz moje spotkanie z nim!

- Żałuję bardzo, ale będę zmuszony pozwolić ci zemdleć. Muszę wiedzieć, jak się zachowywał, aby móc należycie i odpowiednio potra-ktować go później.

- A więc stłumię na razie moje namiętne życzenie, aby ci zdać sprawę; nadmieniam ci jednakże, że za każdą minutę zwłoki dostanie pięć batów więcej!

- Więc prędko do rzeczy!

- Prędko? O, sidi, jakże mało masz zrozumienia dla obowiązku świadczeń przyjacielskich! Przeciwnie, będę opowiadał jak najdłużej, bo im dłużej go będę później okładał, tym bardziej wzrośnie jego uznanie dla mojej życzliwości i tym głębiej wyrażę uczucie tkliwości, jakie łączy nasze dwie dusze. A więc, co chcesz wiedzieć i co mam ci powiedzieć~?

- Kiedy wyskoczyłem z czołna, nie miałeś zamiaru pójść za moim przykładem?

- Tak, miałem to na myśli i mógłbym to bez przeszkody wykonać, bowiem dwaj nasi przyjaciele z łódki nie zwracali na mnie uwagi, mając dużo roboty z doprowadzeniem swego statku do równowagi. Ale już w następnej chwili zmiarkowałem, jak powinienem się właściwie zachować. Gdybym ze związanymi rękoma i nogami skoczył za tobą, byłbyś zmuszony, ze względu na moją bezradność, zająć się mną, przez co bylibyśmy znów złowieni; więcej narazilibyśmy swe życie, bo ci dwaj nie oparliby się nedorzecznej myśli postrzelenia nas. Było więc dla ciebie konieczne jak najprędzej zniknąć pod wodą, musiałeś się zatem zanurzyć i pod wodą popłynąć jak najdalej. Nie mógłbyś 316 tego zrobić, gdybyś był zmuszony podtrzymywać mnie i pomagać. Dlatego pozostałem spokojnie na miejscu, sądząc, że postępuję do-brze i sh~sznie.

- Bezwzględnie. l~yłbyś mocno zmniejszył szanse naszego ocale-nia.

- Otóż to właśnie! Zresztą znasz zaufanie, jakim cię darzę. Ledwie wyskoczyłeś, byłem przekonany że znikniesz i pośpieszysz do naszych koni, aby następnie pojechać do ruin i mnie wybawić. Miałem to błogie przeświadczenie, które pozwalało mi wewnętrznie śmiać się z naszych stróżów, podczas gdy na zewnątrz zdawałem się być ich bezradną ofiarą. Ta świadomość przejęła mnie duchową radością, bez której życie ziemskie może by~ przyrównane do kości, będącej przez sam los ogołoconą z mięsa.

- To porównanie jest przepiękne; drogi Halefie!

- O, moje porównania są zawsze doskonałe i bez zarzutu, czego, wybac mi o twoich nie zawsze można powiedzieć. Ale możesz się pocieszyć tym, że nie każdy człowiek znosi te wysokie zalety jakie posiadam. Trzeba mieć dużo opanowania i samozaparcia, aby wiel-kość swego ducha tak osłonić, żeby żaden niewinny człowiek nie był nią zdruzgotany.

- Uważaj, żebyś sam nie był zdruzgotany swą wielkością, bo przecież nie twoja w tym zasługa!
- Jak to rozumiesz, sisi?
- Pomyśl później o tym, jeżeli ci czas pozwoli. Teraz leżysz jeszcze związany i bezradny w czółnie z łyka i skłonny do ćwiczenia się w opowiadaniu i samozaparciu. Co zaszło dalej?
- Coś, z czego musiałem się serdecznie śmiać. Mianowicie, gdy wioślarze nadali nareszcie równowagę swej łódce, jęli nawoływać za tobą. Najpierw rozkazali ci wrócić natychmiast, w którym to wypadku chcieli ci wybaczyć twoją próbę ucieczki. Gdy stwierdzili, że nie doceniasz wspaniałomyślności ich propozycji, jęli prosić żebyś wrócił i nie gubił ich, bo źle skoficzą, jeżeli tylko mnie samego odstawią.

Wzruszyły mnie te lamenty i pocieszyłem ich, zapewniając, że moja osoba, bez twojej, ma o wiele większą wartość, niż nasze dwie osoby razem.

- Dziękuję ci!

- Proszę! Nie byli na tyle rozsądni, aby mi uwierzyć i płakali długo jeszcze, nim doszli do przekonania, że czujesz się w wodzie lepiej zapewne, niż w ich towarzystwie i popłynęli dalej pośpiesznie, bo sądzili, że im wcześniej zameldują Sefirowi o twojej ucieczce, tym łatwiej będzie mu cię pojmać. Z rzeki wpłynęliśmy do kanału i wkrót-ce stanęliśmy u celu, jeden z nich oddalił się, a drugi pozostał koło mnie na warcie, chociaż jestem dostatecznie dorosły i przytomny, aby nie pozwolić się wykraść. Potem przeniesiono mnie, przy czym zastosowano środek ostrożności, zawiązując mi oczy. Byłem niesiony długo i daleko, bardzo daleko. Kiedy mnie nareszcie złożono i zdjęto opaskę z oczu, leżałem tam, gdzie mnie znalazłeś a Sefir stał nade mną.

- On sam?

- Nie. Mały jakiś człeczyna stał obok i oto stało się coś, czego nie mogę pojąć i czego nawet twoja domyślność nie zdoła przeniknąć.

- Co to było?

- Mały okazywał jakiś zdumiewający pociąg do mojego ubrania.

Jak wytłumaczysz podobne pragnienie, sisi?

- Potrafię ci to wytłumaczyć, ale później. Opowiadaj dalej!

- Rozwiązano mnie i rozkazano mi zdjąć ubranie; oczywiście ociągałem się, za co zagrożono mi chłostą. Mając ręce wolne, mogłem się bronić, ale Señr stał z wycelowanym we mnie pistoletem i groził zastrzeleniem, jeżeli nie usłucham. Nie było rady. Musiałem się poddać, jednakże nie bez zastrzeżenia sobie warunku.

- Jakiego?

- Oświadczyłem im, że jestem mężem ukochanej kobiety i ojcem syna, że mam więc obowiązek ustawicznie czuwać nad zachowaniem swego zdrowia; tutaj zaś, w negliżu, mogę rychło nabawić się przeziębienia. Mogę więc tylko wtedy zaspokoić życzenie małego, gdy mi

318 będzie dozwolone po zdjęciu ubrania przyoblec piękno swych kształtów w ubranie małego. Na to Sefir zezwolił, prawdopodobnie nie z troskliwości dla stanu mego zdrowia, lecz dla przyspieszenia sprawy. Podczas przebierania się wypytywał mnie uporczywie o rozmaite rzeczy, na co, poradziłem mu zwrócić się do ciebie; zapewniłem go, że na pewno przybędziesz i z przyjemnością udzielisz mu żądanych informacji. Musiał się tym zadowolić. Gdy znów byłem związany, wyszli i pozostałem sam na sam ze sobą, co wprawdzie jest najdogodniejszym dla mnie towarzystwem, choć małą roztywką. Robiłem wiele prób w kierunku wyzwolenia się z powrozów, ale bez najmniejszego powodzenia. Potem usłyszałem, że sprowadzono drugiego więźnia, który rozdzielająco lamentował i błagał o litość. Umieszczono go w jednej z sąsiednich izb. Nie wiem, kto to był.

- To Piszkhidmet baszi.
- Ten? Więc napad na jego karawanę udał się?
- Tak. Wszyscy jego towarzysze zostali zarżnięci.
- Allah! Ale sam sobie winien, nie zaufał naszemu ostrzeżeniu!

Ten człowiek jest wielkim tchórzem; kwilił jak dziecko, w którego ustach tkwi ból zębów. Gdy go zostawiono na miejscu, zajrzano do mnie, aby sprawdzić, czy jestem wciąż mocno związany, po czym przeszedł bardzo długi czas, aż Sefir i mały powrócili w celu zamiany ubrafi. Świadomość znajdowania się w swoim własnym ubraniu, ucie-szyła mnie i uspokoiła tak, że uciałem sobie drzemkę i spałem tak długo, póki ci dwaj nie wtargnęli do mnie znowu. Byłem bardzo rozdrażniony tym, że wyrwali mnie ze snu i uważałem za stosowne nie ukrywać przed nimi swego gniewu. Sefir utracił takt i skoficzyło się na tym, że rozstaliśmy się bez wszelkiego dla siebie respektu, przy czym musiałem wspomnieć swój korbacz. Po pewnym czasie padł strzał. Kto strzela, ten jest uzbrojony, a więc wróg. Uzbrojonym wrogiem tutaj wewnątrz Birs Nimrud mogłeś być tylko ty, zawołałem cię więc po imieniu, abys wiedział, gdzie mnie szukać należy. Teraz wiesz wszystko, możemy zatem nie zwlekać ze sprawieniem Sefirowi 319 przyjemności naszego spotkania. Gdy można komuś sprawić przyje-mność, należy to zrobić i już widzę w duchu twarz rozpromienioną szczęściem na nasz widok. Poza tym stwierdzam w tej chwili, sięgając do kieszeni, że ten mały opróżnił je doszczętnie. Odnajdę mój bat i pouczę małego, że mój majster krawiecki zrobił te kieszenie nie dla nikogo innego, tylko dla mnie. Chodź!

Gdy wkroczyliśmy do izby numer pięć, ochmistrz jęknął z kąta, jak raniony ptak i przywitał nas tymi słowy:

- Subhanullah, chwała Bogu, że nareszcie powracacie! Miałem śmiertelną obawę!
- Czemu? - zapytałem.
- Ten okropny Sefir obrzucił mnie straszliwymi groźbami.

- Co cię skłoniło do wdawania się z nim w rozmowę? Nie mógł cię przecież widzieć!
- Ale mnie słyszał!
- Powinieneś był zachować ciszę!
- Masz rację. Ale kiedy oprzytomniał, zapytał, czy jest tu ktoś, na co odpowiedziałem. Od tego czasu torturuje mnie groźbami, że będę miał marny los, jeżeli go pod twoją nieobecność nie rozwiążę.
- I to ci napędziło strachu? Bądź przekonany, że ten człowiek jest zupełnie nieszkodliwy!

Halef skupił całą swą uwagę na swym leżącym na ziemi sobowtórze.

Staął nad nim, szeroko rozkraczywszy nogi i mówił:

- Pozwól, że cię przywitam, kochany przyłacielu! Bardzo cię lubię, chociaż nie powinienem wcale z tobą mówić, gdyż twoja niewdzięcz-ność przysporzyła mi wiele udręki. Wiesz chyba o czy mówię? Zagadnięty nie odpowiedział i nie poruszał się.
- Milczysz? - Halef nie ustępował. - Sidi, bądź łaskaw, oświetl mi nadobną jego twarz! Mam ochotę upoić się serdecznym jego uśmiechem.

Gdy zaspokoilem to żądanie i skierowałem promień światła na twarz małego, sam nie zwracając nań zbyt wiele uwagi, Halef zawołał:

- Co to! Kto go powalił, sisi?
- Moje uderzenie.
- A więc zabiłeś go! To nie jest twarz omdlałego, lecz trupa!

Obejrzałem człowieka uważnie. Dolna jego szczęka opadła mocno w dół, usta były otwarte, oczy szklily się sztywno, bez ruchu i życia, w swych orbitach. Potrząsnąłem nim i gdy to nie dało wyników, zbadałem go dokładnie.

- Czy żyje jeszcze? - zapytał Halef.
- Nie; jest martwy - musiałem stwierdzić powstając.
- A więc jest tak, jak mówiłem: zabiłeś go. 'Twoje uderzenie było obliczone na mocniejszego człowieka. Ale nie przejmuj się tym! To nie twoja wina, Allah kierował twą rękę. Nie jesteś mordercą, ani zabójcą, lecz mścicielem za jego czyny. Kto pierwszy strzelał?
- On.
- Do kogo?
- Do mnie.
- Czy trafił?
- Nie.
- Więc bądź spokojny, nie rób sobie żadnych wyrzutów! Chciał cię zgładzić, godząc w ciebie kulą i otrzymał za to zasłużoną za.płatę.
- Przedtem pchnął mnie nożem!
- I też nie trafił?
- Poczułem ból, ale zadaje się, nic poważnego.

Gdy skierowałem światło na to miejsce, zauważyłem, że rękaw był we krwi. Halef zauważył to również i zawołał trwożnie:

- To krew! Zdejm prędko kurtkę! Muszę zbadać, czy rana jest niebezpieczna, przedtem nie będę spokojny.

Zrobiłem, jak chciałem. Draśnięcie było ledwie godne uwagi, przyniesiony z sąsiedniej izby kawałek płótna, wystarczył do przewiązania rany. Po skończonym opatrunku Halef przeszukał kieszenie zabitego.

- Patrz, sisi! Jest wszystko, co mi ten łotr ukradł! - mówił zadowolony. - Mam nadzieję, że podobnie odnajdę swój bat! Jego

11 - W lochach Babilonu 321

przede wszystkim będę szukał. Zapytam o niego Sefira. Ten obserwował nas z jakimś zupełnie nieopisanym wyrazem twa-rzy i odpowiadał na pytanie Hadżiego milczeniem. Halef wyciągnął mu nóż zza pasa, przytknął mu ostrze do piersi i zagroził:

- Gdzie mój korbacz? Jeżeli mi tego nie powiesz, przebiję cię! A więc, gdzie go schowaliście?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnął nóż, jednakże nie z taką siłą, aby się pogrążył całkowicie, lecz na tyle, aby dać Sefirowi uczuć ostrze. Ten wnet odzyskał mowę, nie wiedząc jak daleko Halef posunie swą groźbę. Szarpnął się lęklwym ruchem i odpowiedział wreszcie:

- Jest tutaj! Peder go przyniósł!

- Gdzie leży?

- Tam, na górze, w korytarzu, razem z twoim nożem.

- Widzisz, jak pięknie umiesz odpowiadać, kiedy ci otwieram usta! Czy przeszukałeś już jego kieszenie, sisi?

- Nie.

- Czy mam zobaczyć co zawierają?

- Uczynimy to później. Chcę się tylko upewnić co do jednej okoliczności. Zabierz mu klucz, który nosi pod ubraniem na sznurku, zawieszonym na szyi!

- Człowieku, co cię obchodzi mój klucz? - uniósł się Sefir. ż,

- Spokojnie, mój baranku! - śmiał się Halef. - Spójrz na ten nóż! Przebijam cię natychmiast, jeżeli nie będziesz leżał spokojnie!

-A więc bierzcie go, u kroćset diabłów! Wiem, że go wkrótce będę miał z powrotem. Sądzicie, że macie do czynienia ze mną tylko, czy też z paru osobami. - O nie, jest nas tylu, że nie opuścicie tego miejsca inaczej, niż jako więźniowie!

Biorąc od Halefa klucz i chowając go, odrzekłem:

- Wiem o tym, że nie jesteś sam. Jest tu jeszcze trzydziestu trzech.

- Niech cię piekło pochłonie! Kto ci to wszystko zdradził?
- Widziałem ich i policzyłem.
- Widziałeś ... i ... policzyłeś? - powtórzył moje słowa - chcesz

322 we mnie wmówić, że twój wzrok przenika mury i głazy?

- Nie wzrok mój, lecz ja sam. Czy jesteś doprawdy tak głupi, że ciągle sądzisz, iż przez cały ten czas leżałem związany? Gdybyś miał na tyle rozumu, aby choć raz zajrzeć do mnie, nie znalazł byś mnie. Ledwie opuściłeś tę izbę, poszedłem, zabierając ze sobą Piszkhidmet baszi.

- Kłamstwo!

- Ba! Pojechaliśmy do Hilleh, aby złowić Pедера z jego pomocni-kami, i sprowadziliśmy tu żołnierzy, przy pomocy których otoczyliśmy was. Widziałem cię pośród Beduinów Ghasai, zajętego szacowaniem łupu i słyszałem wszystko, coście mówili. Potem wróciliśmy tutaj i sami włożyli na siebie sznury, aby cię zmylić. Słyszałeś j uż poprzednio, że mam wszystkie wiadomości i to już powinno było nasunąć ci myśl, że wyszliśmy stąd i uprzedziliśmy wszystkie twoje plany.

- Nie oszukasz mnie. To kłamstwo, wszystko kłamstwo!

- Jest mi obojętne, czy mi wierzysz, czy nie!

- Nie wpadłoby wam na myśl samym się dobrowolnie związać!

- Zrobiliśmy to dla pozorów. Jakże szybko wyplątałem się ze sznurów, gdy nadeszła odpowiednia chwila!

- Ale nie mogliście stąd wyjść! Krata jest od zewnątrz zaryglowa-na!

- Jest to dowód twojej niesłychanej lekkomyślności, że nie znasz nawet dróg, wiodących do twej kryjówki. Patrz!

Usunąłem derkę żołnierza na bok, aby mu ją później zwrócić, wskazałem na widoczny otwór i rzekłem:

- Jak długo znasz tę celę, nie mając pojęcia, że właśnie stąd prowadzi droga na wolność! Ja zaś od pierwszego razu dostrzegłem leżący tutaj ceglany miąg i zmiarkowałem, że tu jest okazja do uciecz-ki!

Wlepił oczy w kąt, nie mówiąc słowa; wydobyłem mój sztucer, pokazałem mu go i ciągnąłem dalej:

- Tej broni nie miałem przy sobie, kiedyście mnie tu wciągnęli.

Skąd się wzięła? Musiałem ją przecież przynieść. Jeżeli jeszcze wątpisz, to zasługujesz na większe lanie, niż to, jakie dla ciebie szykuje-my!

-Ja Bidadullah, o niesprawiedliwości boska! -jęknął, Jego oszołomienie było tak wielkie, że w tej chwili nic więcej powiedzieć nie mógł. Uważałem za właściwe objaśnić go dalej:

- Pom~śl także o t~m~ z ~aka~ dokładnością przepowiedziałem ci przebieg wypadków. Było to możliwe dlatego tylko, że wiedziałem, iż opuścę to więzienie wcześniej, niż przypuszczałeś.- 'Iwierdziłeś, że w ogóle ~ie pt~estąpię tego progu!

W tym miejscu wrzasnął:

- Psie! Świnio! Diable! Teraz już wszystko jasne! Nikt ci nie zdradził tego, sam wszystko wywęszyłeś! Ale to ci się na nic nie zda, zaraz się wyrwę i cię zmiżdżę!

Szarpnął łokcie i kolana, skurczył się i rozprężył całą siłą swego wielkiego, mocnego tułowia. Rozległ się trzask, ale wysiłek jego był daremny; powrozy wytrzymały i wskutek napięcia wbiły mu się w ciało tak boleśnie, że nie mógł zdławić jękliwego okrzyku.

- Nie trudź się, to daremne! - rzekłem. - Mam większą niż ty wprawę w nakładaniu więzów. Ten, którego ja wiązę, nie wydobywa się bez mego pozwolenia! A teraz wdzięczny ci jestem za dobrą wolę, dzięki której dopuściłeś mnie do największych waszych tajemnic!

- Nic nie rozumiem! - krzyknął.

- O sillanie! - wytłumaczyłem.

- Nic, nic nie powiedziałem!

-O emirze-i-siltan!

- Taki nie istnieje.

- O Gul-i-Sziraz!

- To bajka i nigdy nic podobnego nie istniało.

- A więc i nie biwe-i-hakim?

- Nie.

- Ani Szems-i-Dżamal?

- Nie, nie, po tysiackroć nie. To są zmyślone nazwy, nie mające żadnego sensu.
- A więc i słowo sill jest tylko zmyśloną bajką?
- Tak.
- Toć nie można oglądać przedmiotów z bajki.
- Toteż nic nie widzisz.
- A jednak. Widzę coś na własne oczy, czego nie można uważać za bajkę.
- A co?
- Pierściefi na twojej prawej ręce.

Widziałem, że się przeląkł, połapał się niebawem i odpowiedział z zupełnie udanym uśmiechem:

- To jest pierścień, pierściefi jak każdy inny!
- My jednak; ty i ja wiemy coś więcej. Jest to pierścień sillana z oznaką rangi, jaką zajmujesz!
- Psie!
- Milcz! - osadziłem go - wystrzegaj się tego słowa! Jeżeli jeszcze raz je usłyszę, pokażę ci, jak się powinno traktować psa. Uważaj ! Ponieważ wiem, że ci ten pierściefi nie będzie więcej potrzebny w tym życiu, podarujesz mi go na pamiątkę naszego dzisiejszego spotkania.
- Ani myślę.
- To wcale nie jest konieczne; tutaj obowiązuje to, co ja myślę, twoje myśli nas nie obchodzą. Dawaj go tu.

Przystąpiłem dofi, aby mu pierściefi odebrać. Przycisnął do ciała związane ręce i wycharczał w najwyższym wzburzeniu:

- Nie waż się! Nie ruszaj! Będę się bronił z całych sił!
- Ba! Gdybyś nawet nie był związany, byłbym się śmiał z twojej siły!

- Pierściefi posiada złe czary, czary które cię zgubią!
- Właśnie te czary chcę poznać!
- Spójrz na moją pięść! Nie rozerwę jej; nie zabierzesz mi go, 325 chyba, że mi rękę obetniesz!
- To nie jest konieczne; wystarczy jedno ściśnięcie. Uważaj, jak to się robi! Otworzę ci rękę z taką samą łatwością, z jaką ci drugą znaczyłem już krwią.

Ująłem lewą ręką przegub jego ręki, położyłem duży palec prawej na jego wewnętrznej części i zgięty palec wskazujący na zewnętrznej stronie środkowego, do czym ścisnąłem kości stawowe tak, że Sefir wydał okrzyk i musiał pięść otworzyć. Szybki chwyt, parę obrotów pierścieniem na palcu i ten ostatni znalazł się w mojej ręce.

- Patrz, już go mam! - roześmiałem się. - Będę go nosił, jako pamiątkę. Jestem ci niezmiernie wdzięczny za okazaną gotowość ustąpienia mi go! W dowód wdzięczności; pokaże ci, że ten otwór doprawdy jest początkiem przejścia, prowadzącego na wolność! Wydał tylko głęboki ryk, zdawał się być dotknięty zwierzęcą wściekłością tak, że utracił dar ludzkiej, artykułowanej mowy. Ochmistrz musiał mi pomóc przy usuwaniu gruzów znad otworu. Potem zstąpiłem w dół i poleciłem stojącemu tam kawalerzyście, podać mi brofi Halefa, następnie wróciłem z powrotem do celi.

Halef był niezmiernie uradowany na widok przyniesionych przeze mnie rzeczy.

- Sidi, teraz dopiero czuję się ponownie mężczyzną - rzekł. - Jak długo nie ma się nic, prócz dwóch rąk, jest się zd~nym na przemoc tego, kto ma nabój w lufie. Teraz mam to, co niezbędne i mogę się zmierzyć ze wszystkimi Señrami świata. Spójrz na niego! Nie będzie więcej urągał.

Zobaczyłem, że Sefir ma usta przewiązane opaską i zapytałem, dlaczego to zrobiono?

- Kiedy zniknąłeś w tej dziurze, zaczął znowu wymyślać od psów; sądził prawdopodobnie, że będę mniej drażliwy, niż ty. Urwałem dwie części jego ubioru i jedną zatkałem mu usta, a drugą przewiązałem. Jeżeli w pierw mówił, co my~łał, może teraz myśleć, co chciałby powie-dzie~. Cóż dalej? Jestem teraz uzbrojony i jestem gotów na twoje 326 rozkazy.

- Musimy wyjść na dwór aby, po uwięzieniu herszta, złowić jego ludzi.

- Tak! Jakże będą zachwyceni, kiedy zobaczą na jego miejscu dwóch tak dzielnych ludzi, jak my! Czy wyjdziemy tą dziurą?

- Nie. Wyj dziemy górnym przejściem, aby ich zająć od tyłu. Przed-tem musimy jednak lepiej

zabezpieczyć Sefira.

- W jaki sposób?

- Zwiążemy go tak, że się udusi, jeżeli zrobi najślabszą próbę wyswobodzenia się.

Halef z ochmistrem przyciągnęli go na środek izby. Opuściłem kratę i odsunąłem rygiel. Znaleźliśmy kawał płótna, przyparliśmy Sefira do kraty i przywiązaliśmy go w ten sposób, że pas płótna obejmował mu szyję, musiałby się więc przy większym wysiłku udusić. Gdy po skończonej ptacy sięgnąłem po świecę, aby przy ich świetle poprowadzić Halefa i ochmistra, ten ostatni zapytał mnie :

- Słyszałem, że chcecie teraz pojmać ludzi Sefira, effendi. Czy to się zaraz stanie?

- Tak - potwierdziłem.

- I ja mam z wami iść?

- Oczywiście! A może chcesz tu zostać sam?

- O nie! Nie chciałbym tutaj umrzeć, a tym bardziej żyć! Ale powiedz, czy dojdzie do walki?

- Prawdopodobnie.

- I będę musiał wziąć w niej udział?

Możny pan był w strachu; aby ten strach podsycić, odrzekłem:

- Rozumiem, że gorąco pragniesz pomścić swą krzywdę i śmierć swych ludzi. Nazwałś się wybitnie walecznym wojownikiem, cieszymy się więc, że dzięki twojej waleczności będzie nam ułatwione zwycięstwo.

- Tak - dodał Halef bardzo poważnie - taki bohater, jak ty, jest potrzebny, bo niezliczone kule będą latały tam i z powrotem!

- Bedą latały? ,... Tam i z powrotem? - pytał bojaźliwie.
- Tak.
- To ... to ... to ... będzie niezwykle piękna walka; żałuję niezmiernie, że nie będę mógł wziąć w niej udziału.
- Czemu nie?
- Toć widzicie, że jestem nieuzbrojony, wobec czego zmuszony jestem tu pozostać do chwili, kiedy mój karabin i pistolety, zostaną mi zwrócone.
- O, co do tego, to broń się znajdzie, a gdyby nie, to mój effendi pożyczyci ci swoich gwintowanych pistoletów.
- Nic z tego, bo nie wiem, jak się z nich strzela.
- Pokażę ci!
- Nie! Ślubowałem posługiwać się tylko własną bronią. Widzicie, że nie będę mógł wam pomóc, jeżeli nie odzyskam jej z powrotem.
- Mocno żałujemy, szkoda, doprawdy, że złożyłeś tak piękne, tak wzniosłe ślubowanie. Co powiesz o tym, effendi?
- Że kiedy następnym razem pojedę do Persji, opowiem tam o jego odwadze, o tym, pięknym bohaterskim ślubowaniu. Chodźcie! Chętnie bym się rozejrzał po wnętrzach ruin, musiałem jednak z tego zrezygnować. Zaświeciłem i wyszliśmy z numeru trzeciego do numeru pierwszego, gdzie zobaczyliśmy schody, wiodące na korytarz. Ponieważ należało przypuszczać, że na górze znajdowały się zbiry Sefira, musiałem zgasić świecę. Wspinaliśmy się po omacku po schodach i po przybyciu na górę, ujrzyliśmy w ciemności, jaka dookoła się roztaczała, jaśniejsze błyski gdzieś w oddali. Było to wejście, stojące otworem. Postąpiłem dalej i poczułem, że jakieś przedmioty przewalają mi się pod nogami; były to, jak się przekonałem, worki, skrzynie i paki, a więc, wrzucone przez przemytników, towary.
- Chciałbym wiedzieć, - szepnął do mnie Halef - dlaczego zatarasowuje się tymi rzeczami korytarz!
- Czy nie domyślasz się?
- Nie. Dlaczego nie znoszono ich po schodach?

- Dlatego, że nie wszyscy członkowie bandy przemytniczej znają izby wewnętrzne i prowadzącą do nich drogę. Większość nie wie prawdopodobnie o istnieniu tego korytarza; wolno im podchodzić do pewnego tylko punktu ruiny, do którego przenoszą towar. Nieliczni znają korytarz, do którego znoszą zrabowane rzeczy, zaś paru tylko wie o istnieniu izb wewnętrznych; ci lokują towary wewnątrz i są w miarę potrzeby dopuszczani do innych tajemnic,

- Jak mamy się zachować? Przejście przez te stosy można spowodować~ hałas.

- Czuję właśnie, że na lewo wzdłuż muru zostawiono wąską ścieżkę, z której skorzystamy - ty i ja; Piszkhidmet baszi zostanie i poczeka na nas do chwili naszego powrotu.

- Kiedy powrócicie? - zapytał wymieniony.

- To jeszcze nie wiadomo.

- To chyba długo nie potrwa!

- Czy będzie ci tęskno za nami?

- O nie effendi! Znasz dobrze moją dzielność.

- Tak. A więc czekaj dzielnie, Zobaczysz nas, kiedy wrócimy, nie wcześniej!

- A jeżeli tu w międzyczasie coś się stanie?

- Podziwialiśmy zawsze twoje męstwo, wiemy zatem, że będziesz się mężnie bronił.

Brnąc cicho i powoli między murem a towarem dotarliśmy do wejścia. Odblask rozjaśnił się w miarę naszego zbliżania i zobaczyli-śmy, że nastął dzień. Czas przeszedł prędzej, niż przypuszczaliśmy, w ciemnych podziemiach.

Wydało mi się, że słyszę głosy. Zatrzymałem się nasłuchując. Tak, to były stłumione głosy, które dochodziły od strony wejścia. Posunęliśmy się dalej i spoza wysokiego wału pak dostrzegliśmy mówiących. Były to trzy osoby, które siedziały obok siebie na ziemi u wylotu korytarza i mówiąc, gwałtownie gestykulowały. Zdawały się być bardzo czymś przejęte. Im bardziej zbliżaliśmy się, tym wyraźniej dochodziły nas słowa. W koficu dwa tylko worki oddzielały nas od nich i usłyszałem dokład—ie, jak jeden z nich powiedział:

- Nie, nie wolno nam teraz zejść do niego. Wiecie, że za nieposłuszeństwo grozi śmierć.

- Ale takie nieoczekiwane zajście pozwala na wyjątek. Może nas ukarać właśnie dlatego, że nie

zameldowaliśmy tego na czas.

- Przyznaję ci rację; - przystał trzeci - co nas w ogóle obchodzą te psy Ghasai? Zdaje się, że to o nich właśnie chodzi.

- Boję się, że i o nas również - odparł drugi.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo żołnierze się nie oddalają. Tak szczelnie otoczyli cały plac, że żaden z nas się nie wywinie. Boję się, że ich zapędy dotyczą nie tylko Ghasai, ale i nas. Proponuję więc, abyśmy, mimo surowego zakazu, zawiadomili Sefira.

Gdyby propozycja tego człowieka była przyjęta, zostalibyśmy za-uważeni w chwili, kiedy nie mieliśmy swobody ruchów; musiałem temu zaradzić. Szepnąłem Hadziem:

- Chwyć tego na lewo obiema rękami za gardło i nie daj mu krzyczeć; wszystko musi się odbyć bez szmerów. Ja biorę dwóch innych.

- Czy zabijemy ich? - zagadnął.

- Nie, jeśli można będzie tego uniknąć. Knebli i powrozów od paczek mamy pod dostatkiem.

Popęzliśmy zza worków naprzód i gdy Halef dopadł swojego przemytnika, zwałem jednocześnie pięścią siedzącego obok i na tychmiast chwyciłem trzeciego za gardło; wywijał kurczowo rękami i nogami. Uspokoilem go jednak ciosem w skroń. Halef mocno trzymał za gardło swego, który nie stracił przytomności. Związałem go i gdy go Halef puścił, przyłożyłem mu nóż do piersi, grożąc:

- Ani słowa, inaczej przebiję cię! Haleńe, zrób z jego turbanu trzy kneble, zatkamy im usta, żeby nie mogli krzyczeć!

- Z rozkoszą, effendi! - odrzekł Hadzi. - Jeżeli ten łotr 330 dobrowolnie nie otworzy ust, to ...

Urwał. Jego wzrok padł na przeciwną ścianę, oczy jego rozgorzały i zawołał:

-Hamdulillah! Widzę mój bicz! Mam swój korbacz, teraz zdoby-cie wszystkich ruin Babilonu i całej ziemi jest dla nas bagatelką! Pociął turban przemytnika na pasy i wpakował mu jeden do ust. Także i dwaj inni zostali związani i usta mieli zakneblowane, po czym mogliśmy sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz.

To, co ujrzeliśmy było wysoce interesujące. Posunąwszy się chyłkiem i bardzo ostrożnie do wylotu korytarza, zauważyliśmy w oddaleniu trzydziestu kroków, wzdłuż ruin, wiodących w dół, piętnastu ludzi, ukrytych za złomami muru. Chowali się przed czujnym wzrokiem żołnierzy, którzy zajmowali jeszcze te same miejsca, jakie im wyznaczyłem. Kol agasi siedział w samym środku półkola i obserwował wzniesienie, na którym znajdowaliśmy się. Przed nim leżały dwa rzędy ludzi, strzeżonych przez kilku żołnierzy. Z ich pozycji można było wnosić, że byli związani; naliczyłem piętnaście osób; musiałem przypuścić, że byli to Ghasai, gdyż żadnego z nich nie widziałem dokąła. Zbyt wielkie było oddalenie, abym mógł rozpoznać ich odzienie i rysy twarzy, ale byli to oni z całą pewnością. W jakiż sposób zdołał Ahmud Mahuli ich obezwładnić? Halef, wiodąc za mną oczyma, zrobił to samo spostrzeżenie i rzekł:

- Ależ tam mnóstwo żołnierzy! Skąd się tu biorą? Nic mi w ogóle nie mówiłeś, co się z tobą stało od twego skoku do wody. Chyba rozumiesz, jak bardzo mnie to ciekawi!
- Zaraz się dowiesz, bo, jak widzę, mam dość czasu, aby ci wszystko opowiedzieć.
- Czy nam ta hołota nie będzie przeszkadzała? - zapytał, wskazując na przemytników.
- Nie sądzę, bo, jak należy przypuszczać, dostęp do tego miejsca jest irn wzbroniony.
- Dlaczego?

- Przez ostrożność, żeby nie mogli poznać podziemnego przejścia. Gdyby mieli prawo wstępu, nie leżeli by tam w dole, lecz byliby się wszyscy schronili do wnętrza, gdzie o wiele lepiej można się ukryć.

- To prawda. Widzą, że są otoczeni, nie wolno im jednak niczego przedsięwziąć bez rozkazu Sefira. Teraz czekają na jego powrót. Cóż za miny jednak robią, kiedy na jego miejscu my się ukażemy. Uba-wimy się! Opowiedz mi swe przeżycia!

Usiedliśmy; opowiedziałem mu szczegółowo o wszystkim, co zaszło. Oczywiście, nie spuszczałem oczu ze sceny, jaka się przed nami rozgrywała, chociaż nie zdarzyło się nic, co mogłoby mi przeszkodzić w moim sprawozdaniu. Gdy skoficzyłem, Halef cicho się roześmiał i rzekł:

- Sidi, czy masz nos?

- Jeżeli łaskawie pozwolisz, tak! - odrzekłem.

- A więc proszę cię, uszczypnij się w nos, ilekroć wpadnie ci na myśl wyrzucić mi moją nieostrożność! Czy to możliwe, że pomiesza-łeś mnie z tym małym, który tyle miałwspólnego ze mną, że nosił moje ubranie! Zblamowałeś się, o, bardzo się zblamowałeś! Gdyby powa-żanie i miłość~ dla ciebie nie wypełniały mego serca, cały ogrom mojej czci byłby się obrócił w niwecz. Jak będę mógł przekonać moją Han-neh, najrozkoszniejszą ze wszystkich ziemskich rozkoszy i Kara Ben Halefa, syna mego i następcę, który nosi moje i twoje imię, że dopra-wdy ten błąd popełniłeś? Pokiwają głowami tak, że dostaną zawrotu i omdleją!.Pomyśl także o perle twego harem. Co powie, kiedy się dowie, co ci się tej nocy przytrafiło. I to jeszcze nie wszystko, przewi-duję coś bardziej złego.

- Cóż takiego?

- Wiem, że piszesz książki, w których opowiadasz wszystko o mnie i o sobie. No i wyobraź sobie te rzesze ludzi, które, czytając książki, przenikną tajemnicę, że w twoim umyśle jest parę miejsc, wymagają-cych udoskonalenia. Czy to dla ciebie nie straszne? Ale chcę ci okazać szczerą przyjaźń i pozwalam ci opuścić w swych książkach odnośne

332 miejsca, żądam jednak z całą powagą, abyś się odtąd wyrzekł zwalania na moją osobę podobnych przypadków. Nie bądźże taki strapiony i przybity, lecz pociesz się i miej otuchę. Nie ma takiego człowieka, który by choć raz nie popełnił błędu, nie powinieneś więc od razu wpada~ w zwątpienie. Chętnie ci dopomogę dźwignąć się z odchłani twego upokorzenia i oświadczam ci na pocieszenie, że we wszystkim innym zachowałeś się nienajgorzej. Co prawda, to prawda. Pederwraz z towarzyszami leżą w pętach. Mamy również Sefira, Ghasai są unie-szkodliwieni, chodzi więc tylko

o schwytywanie piętnastu przemytni-ków. W jaki sposób zamierzasz to skutecznie?

- Pytasz o to mnie, Halefie?

- Tak ... kogóż mam pytać?

- Moim zdaniem, każdego innego, tylko nie mnie.

- Czemu?

- Komu tak nieodzownie, jak mnie, potrzeba udoskonalenia, ten nie ma prawa stanowienia w tak ważnych okolicznościach. Uważam za rzecz daleko bardziej wskazaną, abyś ty zajął moje miejsce i całą sprawę doprowadził do pomyślnego końca.

Podrapał się kłopotliwie w głowę i wyrzekł:

- Taki już jesteś. Nie znosisz zarzutów, a jednak zarzut jest rodzonym wujkiem i pradziadkiem doskonałości. Jeżeli stanę teraz na czele tego przedsięwzięcia, przypadnie mi w udziale cała chwała i cześć, a tobie dla swych księzek, nie pozostanie nic, prócz może uwagi, że byłeś przy tym obecny. Tego nie chcę. Życzę sobie, jako twój obrońca, aby uznano twą wartość i poważano, jako mego towarzysza; to zaś mogę osiągnąć, nie dając ci żadnych rozkazów i pozwalając ci działać według własnej woli. A więc zechciej postanowić, jak postąpić; wszystko wykona się sprawnie, bo jestem wiernie przy twoim boku, a wiesz, że możesz na mnie polegać.

- Dziękuję ci, mój nieskończenie wyrozumiały i wspaniałomyślny przyjacielu! Mój słuch jest zachwycony twoimi słowami, a serce uszczęśliwione twoją dobrocią i twoją słodką pobłażliwością. Skoro

333 pozwalasz, wyteżę mój ograniczony umysł aby wynaleźć sposób i drogę wyjścia.

-Nie, sidi, ograniczony nie jesteś! -przerwał mi gorąco. -Tego nie powiedziałem i powiedzieć nie chciałem! Twój umysł niedorównuje mojemu. Nie może więc być mowy o ograniczoności. Zdobądź się tylko na wiarę samego siebie, a trafisz na właściwą drogę! Ja, twój wierny Halef, jestem przy tobie!

- Boże! 'It,~oja obecność krzepi mnie i pobudza do czynów! Z twoją pomocą i dobrą, zawsze trafną radą wpadnę może na właściwą myśl ujęcia przemytników w sposób jak najmniej niebezpieczny.

- Co jednak poczujesz, jeżeli zechcą się bronić?

- Bronić? Jaką bronią mogą się posługiwać?

- Mają wszakże noże, a u niektórych widzę pistolety!

- Noże mogą im się przydać tylko w ręcznym starciu; do tego wszakże postaramy się nie dopuścić. A z daleka kule ich starych samopalałów nic nam zrobić nie mogą. Karabinów nie mają, co najwyżej mają je gdzieś ukryte. Właśnie się rozejrzę, czy przypadkiem nie gdzieś w pobliżu.

Ległem na ziemię i wpełzłem między ruiny. Nie omyliłem się. Broń była oparta o mur na lewo od wejście. Na prawo leżała kupa częściowo rozrzuconych, częściowo jeszcze spojonych brył ceglanych. Większość tych brył po stronie zewnętrznej była opatrzona klinowymi napisami i nie trudno było odgadnąć, że te cegły składały się na bramę, z której wyszedłem.

Górzta część mego ciała była widoczna, choć nikt nie dostrzegł, Chciałem się właśnie cofnąć, gdy jeden z przemytników odwrócił głowę i spojrzał w górę; zobaczył mnie, poznając natychmiast obcego. Wydając okrzyk, ściągnął uwagę swych kolegów i wskazał na mnie palcem. Skoczyłem szybko, porwałem z korytarza mój sztucer i skierowałem go lufą na ludzi. Halef poszedł bezzwłocznie za moim przykładem.

- Effendi! - słyszałem okrzyki - Effendi! Jest wolny! Allahu 334 brofi nas!

Zerwali się w oka mgnieniu. Myśleli tylko o Halefie i o mnie zapominając o żołnierzach, przed którymi się kryli. Zawołałem do nich:

- Zostać na miejscu, inaczej strzelam! Kto opuści miejsce, na który stoi, dostanie natychmiast kulę!

- Przedtem ty dostaniesz moją - odrzekł jeden z nich, podniósł pistolet i dał ognia; trzej inni powtórzyli ten ruch, ale żaden z tych strzałów nie trafił.

- Odważyliście się strzelać do nas - zawołałem - spotka was za to kara; zwałę was strzelając w kolana. Uważajcie! Oddałem strzały szybko jeden po drugim, i czterej przemytnicy runęli ze zgruchotanymi kolanami. Zawyli straszliwie, toteż przycichli inni. Nie widzieli nigdy czterech strzałów z jednej lufy w jednym tak błyskawicznym ruchu, to przechodziło ich pojęcie. Halef wyzyskał ich osłupienie do pouczenia ich swym zwykłym tonem:

- Czegoście rozdziawili ślepią i gęby? Brofi effendiego jest czaro-dziejska; gdy zechce, może strzelać dziesięć lat, nie ładując. A że żadna kula nie chybia o tym przekonaliście się teraz. Wszyscy znajdujący się wśród ruin są w naszej mocy. Nie pozostaje wam nic innego, jak poddać się, bo przeciw magicznej broni nic nie zdziałacie. Effendi, pokaż im jeszcze, jak szybko twoje kule po sobie następują i jak pewnie nimi trafiasz.

- Tak, zobaczą zaraz - odrzekłem - stoi ich jeszcze jedenastu; wysyłam w każdą z dwudziestu dwu nóg po jednej kuli i żadnej nie chybię. Uwaga.

Złożyłem się do strzału i w tej samej chwili padli plackiem osłaniając ubraniem lub rękoma nogi i krzycząc, jak kto mógł; atoli czterej ugodzeni zagłuszali te głosy rozdzierającym wyciem. Oczywiście, oczy ich były zwrócone na nas, nie widzieli więc, co się za ich plecami dzieje. Kol agasi słyszał strzały i widział mnie na wzniesieniu. Poznał mnie widocznie, mimo oddalenia i zmiarkował, że strzelanina, oznacza bitwę; zaś gdzie się biją, tam są wrogowie, a tymi wrogami, lub tym wrogiem przemytników mogłem być tylko ja. Musiał mi zatem pomóc i w tym celu wydał swym ludziom rozkaz natarcia na ruiny. Poszli tyralierą w górę; widzieliśmy to, lecz przemytnicy, tego nie widzieli, będąc stłoczeni pod zwaliskami i tępo zapatrzeni w naszą stronę. Kol agasi był na tyle roztropny aby nie posuwać swych żołnierzy w zwartym szeregu, lecz w rozciągniętej tyralierze, dzięki czemu oskrzydlenie zostało utrzymane i wszystkie możliwe furtki do ucieczki jednocześnie zamknięte. Czterej ranni oghyszającym wrzaskiem wyli, zawodzili i klęli jedynym tchem. Nie zwracaliśmy, oczywiście, uwagi na ich wyzwiska. Wszystkie te bandziory były podszyte tchórzem. Wprawdzie obdarzeni przebiegłością niezbędną do nocnej kontrabandy i tajemnych wypraw, nie mieli jednak odwagi, aby ścierać się w otwartej walce i z tego właśnie powodu Sefir nie ich, lecz Beduinów użył do napadu na karawanę Piszkhidmet baszi. Aby zatrzymać ich uwagę i nie dać im czasu na odwrócenie się, Hadzi uraczył ich wielką karcącą mową, w której dowodził, że są wyrzutkami społeczeństwa, my zaś świętymi i bohaterami bez skazy. Osiągnął swój cel, bowiem na długo, jeszcze przed koficem jego przemówienia kol agasi stanął wraz ze swymi żołnierzami u zwalów, pod którymi przemytnicy tłoczyli się w popłochu i trwodze. Halef urwał i zwrócił się do mnie:

- Żołnierze są już tutaj, muszę więc, niestety, przerwać swoje piętnujące kazanie. Teraz twoja kolej, mów dalej!

- Ani myślę, wystarczy, jeśli zrobię znak ręką.

Kol agasi, który stał obok swych ludzi za plecami przemytników, patrzył na mnie pytającym wzrokiem. Dałem mu znak; wydał komendę i żołnierze jego opadli przemytników, którzy byli tak przerażeni tym nagłym atakiem, że nawet nie usiłowali się bronić. Nasza pomoc nie była potrzebna. Mogliśmy pozostać na miejscu w roli widzów. Dla Halefa jednak, ruchliwego jak rtęć, było ponad siły powstrzymać się od czynnego udziału. Rzekł więc:

- Upatrzyłem sobie tam, w korytarzu liny z palmowych włókien, którymi zwiążemy tych opryszków tak, jak się daktyle wiąże w sznu-rek. Idę po nie.

Wrócił po chwili, niosąc nie tylko liny, ale i pęk sznurów, płócien i postronków, które wręczył żołnierzom. Sposób, w jaki kierował wiazanfem szamoczających się więźniów, dostarczył mi wysoce zajmującego widowiska. Gdy skoficzono te czynności, długi rząd przemyt-ników, przeplatany liną, odprowadzono pod eskortą; rannych nale-żało, oczywiście, nieść. Pomijam tutaj cały szereg drobnych trudno~ci i przeszkbd. Rzecz zrozumiała, że do pochodu aresztowanych przyłą-czono i trójkę powalonych przez nas u wejścia ludzi. Gdy cały ten transport ruszył naprzód, kol agasi przystąpił do mnie i zapytał:

- Effendi, jak to możliwe, że wyszedłeś z tej strony? Przecież, odchodząc od nas, kierowałeś się w przeciwną stronę ruin. Byłem bardzo zdziwiony, kiedy cię zobaczyłem tam na górze!

- Czy poznałeś mnie od razu? - zapytałem.

- Tak. Obsadziliśmy tak szczelnie dostęp do tego wzniesienia, że jest wykluczone, abyś mógł przejść przez nasze szeregi!

- Może ci później opowiem, dlaczego z taką łatwością fruвам tam i z powrotem po Birs Nimrud.

- Fruwasz? Nie, fruwać nie mogłeś. Tutaj widzę wejście, może więc z drugiej strony istnieje inne, które znałeś od dawna, wszedłeś tamtędy i poprzez wnętrze dotarłeś tutaj.

- O tym później. Teraz powiedz mi, jak ci się udało schwytaE Beduinów Ghasai? ‘

- To było proste. Czatowaliśmy na nich aż do chwili, kiedy Pers, który jest przyjacielem namiestnika, załatwił się z nimi i oddalił. Myślałem, że zmiażdżyłeś mu rękę, ale uszkodzenie zdaje się nie być wielkie, bo chociaż ręka jest przewiązana, porusza bardzo dobrze palcami.

- Tak, o tym i ja się przekonałem.

- Gdy Sefir poszedł, jęli się Ghasai szykować w drogę. Konie i

337 wielbłądy Piszkhidmet baszi przypadły im z podziału łupu. Gdybym im pozwolił dosiąść tych zwierząt, należałoby się obawiać utraty kilku z nich przynajmniej. Ściągnąłem więc szybko moich ludzi i natarliśmy na nich tak niespodziewanie, że przelękli się tak samo jak przemyt-nicy. Ci, którzy się bronili, zostali zwaleni kolbami. Sprawiliśmy się z nimi tak lekko i szybko, że sam się potem dziwiłem. Wprawdzie nie odbyło się bez wrzasków, które zaalarmowały przemytników, musia-łem

tedy rozciągnąć znowu linię oskrzydlenia, uniemożliwić im ucieczkę. Zmiarkowali też od razu, że są otoczeni i cofnęli się w górę, nie wążąc się na atak. Co się stało potem, wiesz już, wiedziałeś również, ilu było ludzi i postawiłeś mi warunek, aby żaden z nich nie uciekł. Brak nam jednak Persa i jeszcze jednej osoby, ale sądzę, że to nie nasza wina. Jestem mocno przekonany, że nie mogli się prześlizgnąć poprzez nasze linie.

- Nie obawiaj się o swą nagrodę. Tych dwóch schwytaliśmy sami.

Na tę wieść rozjaśniła się jego twarz; z uśmiechem chytrej uległości zapytał:

- Niech mi wolno będzie zapytać, czy ktoś wymknął się nam, effendi?

- Mamy wszystkich.

- 'l~vój warunek jest więc dochowany?

- Tak.

- Ponieważ sam dopiero co wyrzekłeś słowo „nagroda”, nie gniewaj się na mnie o to, że i ja o niej myślę. A może masz mi to za złe?

- Za złe? Nie. Masz bez wątpienia prawo przypomnieć mi moją obietnicę. Co innego, czy wierzysz w to, że będę mógł jej dotrzymać.

- Z pomocą Allaha, - zawołał z zapartym tchem.

- Hm. Nie zdajesz się być tego pewny?

- Wybacz, effendi! Jesteś sławnym człowiekiem, jesteś pod osłoną padyszacha, którego niechaj Allah miłuje i pisujesz sprawozdania do ministra, które on naprawdę czyta i rozpatruje. WidziałeśIn także, jak przyjaźnie mówił z tobą pasza ze Stambułu. Jestem więc przekonany,

338 że twe słowa i rady są na wyżynach pafistwa szanowane i uwzględniane, ale ... ale ... ale ...

- Co, ale?

- Czy mogę powiedzieć~?

- Tak.

- Czy nie będziesz mi miał za złe?

- Nie.
- ~e tak od razu mam zostać binbasim, to ... to ... to ...
- Mów dalej!
- Tego zrobić nie potrafisz!
- Czemu nie?

- Po pierwsze, jesteś chrześcijaninem, podczas gdy wyżsi oficerowie, którzy o mnie stanowią, są muzułmaninami:

- Pięknie! Po drugie?
- Po drugie, twój wpływ teraz nic jeszcze zdziała~ nie może, bo twe sprawozdanie do ministra nie jest jeszcze w jego rękach.

-Jeżeli to są twoje wątpliwości, to z mianowaniem na binbasiego wcale nie jest tak źle. Nie daję nigdy obietnicy, nie będąc przekonany, że będę jej mógł dotrzyma~. Oświadczyłem ci: jeżeli z trzydziestu pięciu osób nie puścisz nikogo, jesteś binbasim. Co rzekłem, to się stanie.

- Allah! Widzisz przecież, effendi, że nikt nie uciekł.
- Widzę to.
- Powinienem więc zostać teraz binbasirn.
- Jesteś nim.
- Ale nie widzę tego i nie czuję.
- A więc patrz; zaraz zobaczysz i poczujesz.

Dobyłem otrzymany od Osmana Paszy dokument i podałem mu. Wziął, przeczytał. Oczekiwaniem głośnego wybuchu radości, spotkał mnie jednak zawód. Gdy skończył czytać, znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Po chwili opadł na kolana, wznosił ręce do góry i jął się modlić:

- Cześć i chwała Bogu, Władcy Wszecstwonienia, Wszecmiłośni-kowi, który panuje w świetle sprawiedliwości. Tobie chcemy siuryć, ku Tobie chcemy się wznieść, abys poprowadził nas wierną drogą, drogą tych, których miłujesz, a nie drogą tych, których potępias~ tych, co b~ą.

To była pierwsz sura Koranu, „święta Fatiha”.

Powstał, ujął mnie za obydwie ręce i rzekł:

- Effendi, jesteś człowiekiem, a jednak wysłannikiem Allaha, przybyłym tutaj, aby mi obwieścić, że moje modlitwy zostały wysłu-chane. Wybacz mi wątpliwości, które wysuwałem przeciw tak szybkie-mu spełnieniu twej obietnicy. Wyzwoliłeś mnie z ciężkiej nędzy; pozbyłem się wszystkich swoich trosk i proszę cię, abys pozwolił mnie i mojej rodzinie modlić się za ciebie codziennie. Nie będzie to wobec Allaha żadnym grzechem, gdy muzułmanin będzie się doń modlił za chrześcijanina.

- Grzechem! Przeciwnie, twoja modlitwa będzie powójnie miła dla uszu Allaha. Dwudziesta druga sura głosi: czy nie widzisz, że wsryscy, będący na niebie i ziemi, czczą Boga? Nie myśl, że twoja wiara jest jedynie słuszna! A gdyby nawet tak było, to właśnie wtedy powi-nienes tym bardziej modlić się do Allaha za tych, którzy twej wiary nie wyznają. Gdy opisałeś mi swoją nędzę i troski, postanowiłem ci pomóc i nie pomyślałem nawet o tym, że w moich oczach jesteś niewierzącym. A więc módl się za mnie śmiało.

- Tak effendi, będę to czynił. Teraz powiedz, co dalej robić?

- Mam wraz a Halefem zajęcie na górze. Ty zaś udajesz się do swych ludzi i skupiasz cała swą uwagę na schwytyanych, jesteś właśnie odpowiedzialny za to, aby nikogo nie zabrakło, kiedy przybędzie generał.

- Mówisz o Osmanie Paszy?

- Tak.

- Czy ma tu przybyć?

- Chciałbym. Wyślij natychmiast gońca na szybkim koniu do

Hilleh. Niech go sprowadzi i posłuży mu za przewodnika.

- Wysyłam mego najlepszego jeźdźca. Jeszcze jedno pytanie, effendi. Nie weźmiesz mi za złe?
- Nie pytasz mnie o nic takiego, co by mi sprawiło przykrość.

Mów!

- Myślę o obietnicy, jaką uczyniłeś moim żołnierzom.
- Ach, przyrzeczone piastry?
- Tak. Nie gniewaj się na mnie, że ci to przypominam. Życzę im tej niezaznanej dotąd uciechy z całego serca. Ja jestem szczęśliwy, niechże i óni się cieszą.
- Ta twoja troskliwość i dbałość o swego żołnierza przynosi ci zaszczyt. Powtarzam teraz: to co przyrzekłem, spełni się. Otrzymają pieniądze.
- Czy mogę im to powiedzieć?
- Tak:
- Dziękuję ci.

Odszedł, wrócił jednak po paru krokach i rzekł:

- Effendi, gdyby w sercach wszystkich chrześcijan była twoja miłość i dobroć, wiara twoja byłaby bardzo niebezpieczna dla naszej. Jął schodzić na dół.

Zwycięzcy

Spoglądaliśmy przez chwilę za starym dzielnym a obecnie tak radośnie usposobionym kol agasim. Żarliwa jego modlitwa a następnie podziękowanie wzruszyły mnie do głębi. Na twarzy Halefa znac było również wzruszenie. Po chwili powiedział:

- Powiedziałeś mi przedtem, iż przyobiecałeś po sto piastrów każdemu żołnierzowi, podoficerom zaś po dwieście; wyniesie to łącz-nie ponad sześć tysięcy. Sidi, to huk pieniędzy! Skąd je weźmiesz? Czyżby z własnych zasobów? W tym wypadku portfel twój musiałby co najmniej parokrotnie być większy i głębszy, niż dotąd w wyobraźni, a może i w rzeczywistości, mi się przedstawiał. Jak więc temu zara-dzisz?
- Mamy pieniądze, drogi Halefie, dużo, dużo pieniędzy! Więcej, niż nam potrzeba.
- Co takiego?!
- ‘Pdk. Pokażę ci je.
- Allah! Domyślam się! Czy~ znalazł jakieś w tych przeklętych ruinach?
- Coś w tym rodzaju.
- Czy dużo?

- Nie sprawdzałem. Wydaje mi się jednak, że to bardzo poważna kwota.
- Maszallah! Któż ją otrzyma?
- Moim zdaniem, winniśmy pieniądze oddać paszy wraz z innymi znalezionymi tu skarbami.
- Paszy? Mnie się zdaje, że istnieje jeden tylko pasza, któremu te pieniądze się należą, ty nim jesteś.
- Dlaczegoż to, Halei~e?
- Gdyż tyś je odkrył, a więc znalazł.
- 'Iiwój pogląd o znalezieniu nie zgadza się z moim.
- No, to, bądź co bądź, należy ci się znaleźne, a to ostatnie powinienes jak najwyżej otaksować.
- Na to jestem rzeczywiście zdecydowany.
- Ślicznie, sidi! Ile więc zażadasz?
- Przede wszystkim zażadam, aby nasz major z Bagdadu otrzymał to z powrotem, co mu Sefir w swoim czasie zabrał.
- Tb dobrze, to mnie cieszy! A dalej?
- Poza tym, ze znalezionych pieniędzy musi być wypłacona żołnie-rzom ta suma, jaką im przyrzekłem.
- I to również spotyka się z moim uznaniem. Lecz dalej, sidi!
- Dalej? Nic, zupełnie nic, drogi Halefie!
- Co? Jak? Nic? Zupełnie nic? Ani dla ciebie, ani dla mnie? O, sidi, czyż mnie słuch nie myli?
- 'Pdk, Halefie, nic!
- Słuchaj effendi, to znowu to słynne miejsce w twoim mózgu, które zalepić i zreperować trzeba! Pomyśl nad tym, czegośmy doko-nali, na cośmy się musieli ważyć i jakie koleje przejść musieliśmy, zanim udało nam się tajemnice Birs Nimrud poznać i zgłębić! I za to wszystko nie mamy nic orryzmać, nic, absolutnie nic?! Ni tragarz, ni woźnica nie pracują za darmo, my więc jedynie, my, którzy nie tylko całego państwa tureckiego, ale i wszystkich innych pafistw najdziel-niejszymi bohaterami jesteśmy, my więc mamy naszą swobodę, nasze

343 życie wielokrotnie narażać, nie otrzymawszy za to ani jednego grosza z pieniędzy, których odkrycie nam jedynie zawdzięczać można? O, sidi, tyś stanowczo zbyt szlachetny i rycerski! Smucisz mnie tym!

- Właśnie dlatego, że ani tragarz, ani woźnica, zabrania mi mój honor żądać czegokolwiek dla siebie. Mam nadzieję, że twoja cześć nie pozwoli także, aby cię potraktowano na równi z tragarzem.

- Jak tragarza? Sidi, ja jestem najwyższym szejkiem wszystkich Haddedińców z wielkiego szczepu Szammar i biada temu, kto spróbowalby odmówić mi tego poważania, jakiego stanowisko i osoba moja wymagają! Nie chcę nic więcej słyszeć o tych pieniądzach, nic! Żadnego, złamanego choćby szeląga nie wezmę! Znajduję to za zupełnie słuszne z twojej strony i całkowicie się z tobą zgadzam, że stoimy zbyt wysoko, aby ta odrobina znalezionych tu pieniędzy miała nas przez chwilę choćby zaabsorbować, abyśmy mieli choć okiem rzucić na te piastry! Nie potrzebujemy ich. No, z tą więc sprawą już się załatwiliśmy; coś innego jest teraz dla mnie ważniejsze.

- Cóż takiego?

- Przysiężenie, jakieś mi dał. Zamierzasz wywiązać się ze słowa, danego żołnierzom i byłemu kolagasiemu a obecnemu majorowi, mam więc nadzieję, że i w stosunku do mnie obietnicy swej dotrzymasz.

- O cóż ci chodzi?

- Mój korbacz niechaj zapachnie Sefirowi!

- No, temu życzeniu może się stać zadość.

- Kiedy, sidi?! Dusza moja cała się rozplywa na myśl o tej rozkoszy!

- Jak go tylko wyciągniemy z podziemi. ‘I~raz chodźmy do niego, aby zobaczyć, jak mu się wiedzie. Następnie rozejrzemy się po sąsiednich izbach, po czym będzie go można wyprowadzić na światło Boże. Chodź, będziesz mi przyświecał.

- Ja? Czyż nie może tego uczynić jeden z żołnierzy?

- Nie. Nikt, dopóki pasza nie nadjedzie, nie powinien widzieć

344 podziemi Birs Nimrud. Dosyć, że znamy je ja, ty i Piszkhidmet baszi.

- A więc niechaj on światło niesie!

- I on nie może, gdyż nie zabierzemy go do wnętrza. Widział i tak więcej, niż trzeba; lepiej niechaj teraz przysiadzie się do żohuerzy. Będzie zapewne rad, mogąc opuścić ciemny korytarz.

- Czy mam go sprowadzić?

- Dobrze.

Gdy razem wrócili, ochmistrz nie umiał ukryć swej radości, tak lekko zrobiło mu się na duszy, iż udało mu się już wydostać z lochów. Głęboko raz i drugi pełną piersią odetchnąwszy, zawołał wesoło, a twarz tryskała zachwytem:

- Allah niechaj będzie błogosławiony, że dozwolił mi znowu ujrzeć światło dzienne! Leżałem w więzach ciemności i śmierci, lecz dobry Allah uratował mnie, gdyż mu głęboko zaufałem, gdyż nie traciłem nadziei. Sefir chciał mnie zabić, nie śmiał jednak dotknąć, albowiem jam największy ulubieniec mego władcy; obawiał się również mej znanej odwagi. Jestem wszak ...

- Co? Jak? O czym to mowa? Coś powiedział? - przerwał mu Halef.

- Nie słyszysz mych słów?

- Wprawdzie słyszałem twój głos, pojąłem nawet sens słów, lecz nie dowierzam swym uszom. Zaprawdę więc, nazwał się ulubieńcem szacha?

- I'ak.

- I napędziłeś stracha Sefirowi?

- Pdk.

- Więc jedynie lękowi przed władcą i swojej wybitnej dzielności zawdzięczasz ratunek?

- I'ak, tak jest!

- I powiadasz to mi tak spokojnie, twarzą w twarz?

- Powiadam nie tylko tobie; każdy, kto mnie spotka, dowie się tej prawdy! 345

- Idk! No, to dam ci dobrą, szczerą, przyjacielską radę: nie waz się wspominać ni słowem o całej tej historii w mojej obecności!

- Dlaczegoż to?

Mały Hadzi dobył korbacza zza pasa i odparł podniesionym głosem:

- Gdyż grozi ci to natychmiastowym poczuciem tychże rozkoszy, a poznałeś je wszak! Obawa przed władcą! Jeśli twój pan więcej tak uzdolnionych, jak ty, poddanych, posiada, żal mi go! Jest najnieszczęśliwszym człowiekiem na kuli ziemskiej. 'Iwoja dzielność! Łotrze, tyś taki podły tchórz, że mogę śmiało i zgodnie z prawdą stwierdzić, iż nigdy w życiu nie napotkałem człowieka tak godnego pogardy! 'Ii~ oto stoi mój effendi, który cię uratował. Żebrak, nędzarz dziękuje za najskromniejszy datek, pies nawet polizę rękę najnędzniejszą kość mu rzucającą; ty, ty natomiast, który się sądzisz wywyższonym być ponad tysiące zwykłych śmiertelników, ty okazujesz się nędzniejszym od żebraka, gorszym od psa, nie raczyłeś bowiem ni słowem podziękować swemu wybawcy, wybawcy w ostatniej wielkiej potrzebie, w przedsionku śmierci. A więc uprzedzam cię: poważysz się raz jeszcze w mojej obecności wspomnieć o władcy swoim lub o odwadze, a wygarbuję ci skórę tak, że popęka na drobne kawałki! Jesteś dla mnie pogardzanym robakiem, obecność twoja mierzi mnie. Uczyfi, abyś w tej chwili znikł mi z oczu, gdyż nie ręczę za siebie, czy już teraz nie zacznę cię okładać!

Podniósł korbacz jak do uderzenia. Pers dłużej jednak nie czekał; odwaga, o której mówił tyle, tak go poniosła, że ... wielkimi susami umknął co sił, nie dostrzegając nawet krawędzi ruin; lekkie poślizgnięcie i Piszkhidmet baszi począł się osuwać po stoku rumowisk, które, raz poruszone, niby lawina obsunęły się, pociągając za sobą Persa. „Ułatwiło” mu to zapewne ochronę przed biczem.

- Ot, jak mknie szybko, choć bez konia czy wozu! - zaśmiał się Halef. - Nie bierz mi tego za złe, sisi, ale tak niewdzięcznego łotra nie mogłem ścierpieć. Zważ, że poważy zapewne domagać się jeszcze

346 twjej pomocy przy odzyskaniu zrabowanego mienia, wiedz jednak, drogi effendi, jeśli choć wargą czy palcem poruszysz w jego sprawie, napiszę niezwłocznie do Emmeh ozdoby twego harem, list miesięcznej długości, w którym jej jasno wyłożę i dowiodę, że będzie najnie-szczęśliwszą kobietą na świecie, jeśli nie postara jak najspieszniej wydać się za mąż za jakiegoś innego ~rka. A więc pamiętaj, sisi, uczynię tak! Uczynię niezawodnie!

- Jeśli do tak radykalnych środków zamierzasz się uciec, drogi Halefie, to ujrzę się zmuszonym prośbę, czy wolę twoją za rozkaz uznać. Za rozkaz, któremu bez najmniejszych zastrzeżeń trzeba się poddać.

- 'Ibgo też oczekuję od ciebie! Najgorszy gałgan to wszak chyba człowiek, który bliźniemu za pomoc nie dziękuje. 'Pdk! No, złoś~ moja znalazła już ujście, jestem znowu twój stary cichy, spokojny, łagodny i dobry Halef!

- Cichy? Hm! ...

-Hm? Dlaczego hm-kujesz? Powątpiewasz może w prawdziwość mego określenia: cichy, spokojny, łagodny charakter?

- Bynajmniej! Uważam to za zupełną prawdę, choć całkiem odmiennie ją rozumiem aniżeli myślisz.

- Jak to?

- Twój charakter tak jest pełen temperamentu, że inni muszą w twojej obecności zachowywać zupełną ciszę.

- Inni? 'Idk, słusznie! I zaprawdę potrzebne to często, aby posiadać taki, a nie inny charakter! Effendi, tyś zbyt dobry, zbyt pobłażliwy i gdyby nie moje chwilowe interwencje, wówczas gdy braki te silniej w tobie występują, Wschód nie miałby z nas najmniejszej pociechy! Jam bowiem jest i w tych smutnych nawet okolicznościach, twoim niezmordowanym obrońcą i przewodnikiem. Chodźmy już jednak! Biedny Sefir gotów umrzeć z tęsknoty, nie widząc nas tak długo. Skierowaliśmy się zatem do korytarza podziemnego w kierunku niszy, w której widziałem lampy. Zapaliwszy światło, przeszliśmy 347 przez korytarz, by po schodach dostać się do dolnych pomieszczeń. Napotkanych po drodze worków z towarami na razie nie oglądaliśmy; chwilowo nas nie obchodziły. Można było wprawdzie przypuszczać, że znajdują się w nich drogocenne rzeczy, zrabowane Piszkhidmet baszi, postanowiwszy jednak nie zajmować się więcej niewdzięcznym człowiekiem, uważaliśmy za całkiem zbyteczne wszelkie poszukiwania jego własności.

Weszliśmy do pierwszego pomieszczenia, lecz na razie zaniechaliśmy rewizji, aby czym prędzej udać się do Sefira, który znajdował się w komnacie trzeciej. Zbir stał, a raczej wisiał w tej samej niewygodnej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy u żelaznych ram kraty. Biedak, musiał stać bez ruchu z głową bardzo wysoko podniesioną, albowiem przy jej pochyleniu zwęzał się stryczek na szyi i groził mu zatamowaniem oddechu. Sefir drżał ze strachu przed śmiercią z uduszenia, zatem nic dziwnego, iż powitał nas jadowitą wściekłością:

- Nareszcie raczyliście się zjawić! Czy to taki zwyczaj wszystkich chrześcijan i sunnitów, aby w ten sposób postępować z ludźmi? Zdejmcie mi więzy i przywróćcie wolność, jeżeli życie jeszcze przedstawia dla was wartość choćby ołowianej kuli! Udam się do sandsza-kiego i biada wam, gdy się dowie, na coście się poważyli! 'Ijrlko moje wspaniałomyślne wstawiennictwo może was uratować od najostrzejszej kary.

Halef podszedł dofi bliżej i rozstawiwszy szeroko nogi, zapytał:

- Ach! Chcesz zatem wstawić się za nami?

-Ihk, lecz tylko w tym wypadku, gdy wasz wrogi stosunek do mnie natychmiast się zmieni.

- O i my drżymy z niecierpliwości, aby ci nareszcie okazać całą naszą przyjaźń. Szkoda tylko, że ty w zamian nie będziesz w stanie nic dla nas uczynić, albowiem twoje wstawiennictwo tyleż może działać, co i twój sandszaki, który wypoczywa na miękkiej podłodze piwnicy więziennej, a żelazne bransoletki zdobią jego nadobne rączki.

- Łżesz, psie!

- Tylko grzecznie, kochanie! Nie zmuszaj mnie, abym harapem wpajał ci wiarę w prawdziwość moich słów! I to ty właśnie powinienes od razu mi uwierzyć, gdyż sandszaki tobie li tylko zawdzięcza swe uwięzienie.

- Mnie ...?

- lhk, tobie! 'Ib było największe głupstwo, jakieś popełniłw życiu, żeś posłał do niego Peder-i-Baharata z pismem, które przy nim zna-leziono i odebrano. Wiadomo nie tylko, czego tu szukasz w Birs, ale są już nadto znane i pozostałe wasze tajemnice. Zresztą, nie będę sobie zawracał głowy twoją mizerną osobą! Jest tu więcej ciekawych rzeczy, aniżeli marny człek, niewart nawet mego spojrzenia! Nie zwracałem uwagi na rozmowę Halefa z Sefirem i ze światłem w dłoni, udałem się do drugiego pomieszczenia. Halef podążył za mną. Nasz stary przyjaciel i gospodarz z Bagdadu doprawdy ani krzty nie przesadził o bogactwie nagromadzonych tu towarów. Wszystko było ułożone w jak najlepszym porządku, tak że możnaby myśleć, iż jakimś cudem zostaliśmy przeniesieni do pietwszorzędnego magazynu w stolicy. Każda paczka czy pudło opatrzone było etykietą, która wyjaśniała wszechstronnie zawartość. Przechodząc więc od kartki do kartki i czytając, mogliśmy stwierdziE, co się tu znajduje. Tytoń z Raesztu, najlepsze opium, haszysz, miód tarnaryszkowy, henna, szafran, esencja różana - głośiły napisy. Dalej napotkaliśmy na mydła pachnące z Kum, siarkę z Demawendi, arszenik z Kaswinu; następnie ujrzeliśmy drogocenne przepyszne okazy skór jagnięcych z Buchary i Kum, dalej saghri chagrins, przyrządzone ze skóry grzbieto-wej dzikich osłów. Szczególnie dobrze zaopatrzone był ów skład we wszelkie towary odzieżowe, jak aksamit, ~edwab~ wełna~ bawełna. Również wielki był wybór szali i dywanów. Sefir musiał się czuć tutaj w podziemiach Birsu, więcej niż zupełnie pewny, nie nagromadziłby bowiem takich bogactw w jednym miejscu. Jakiegoż uczucia dozna-wać musiał teraz, będąc świadkiem tego jak, niczym nieskrępowani, bez najmniejszej przeszkody, ba, z wygodą nawet, rozglądaliśmy się 349 wśród jego bogactw! Zachowywał się spokojnie i długo nie odzywał się słowem; gdyśmy się jednak zbliżyli do wielkiej skrzyni i gdy wy-jąłem zabrany mu klucz, by ją otworzyć, wykrzyknął donośnym grzmiącym głosem:

- Stop! Nie ważcie mi się zbliżyć do skrzyni!

Wsadziłem, naturalnie, mimo ostrzeżenia klucz i obróciłem nim w zamku. Gdy usłyszał zgrzyt, ryknął:

- Zaklinam was na Allaha: nie tknijcie niczego! Kryje się bowiem wewnątrz klątwa która doprowadza do ruiny każdego, kto się jej dotknie!

- Zb mnie cieszy nadzwyczajnie! - zaśmiał się Halef. - Tiwoje czary należą prawdopodobnie do dziedziny czarnej magii, a ponieważ znam się doskonale na białej magii mam więc najlepszą sposobność, by się przekonać, która jest potężniejsza, czarna czy biała.

- Czarna, czarna jest potężniejsza! Strzeż się! Nie tknij niczego!

- Jeżeli rzeczywiście jest prawdą, co mówisz, nie mamy potrzeby obawiać się, gdyż mój effendi jest mistrzem w niebieskiej, czerwonej, zielonej i żółtej magii; a zatem przekonasz się, że twoja magia nic nie zdoła wskórać wobec poczwórnej różnobarwnej wiedzy! A więc otwieraj, sidi, otwieraj odważnie!

Uniosłem pokrywę.

- Zamknij, zamknij z powrotem! - ostrzegął Sefir strwożonym głosem. - Czary śmier~ na ciebie sprowadzą, pozbawią cię szczęścia!

- Nie bądź śmieszny! - odpowiedziałem teraz. - Czy rzeczywi-ście wierzysz, że Europejczyk może być tak głupi, aby dać wiarę takim bzdurom, z których u nas każde dziecko by się wyśmiało? Skrzynia otwarta i gdzie są twoje czary?

- Bądź przeklęty w życiu i potępiony na wieki!

Halef podskoczył ku niemu; światło lampy nie dochodziło tak daleko. Usłyszałem tylko uderzenie i okrzyk bole~ci, po czym wszy-stko ucichło. Hadzi powrócił i nie rzekł słowa. Gdyby zaś chciał przemówić, słowa by mu zamarły na ustach na widok tego, co go 350 otaczało. Jak mały chłopiec, którego ogarnęło nagle zdumienie, roz-postarł palce i zdumionym wzrokiem spoglądał na błyszczące złoto i srebro oraz na połyskujące drogie kamienie, które leżały przed nim. Widzieliśmy w rzeźbionych kasetach stopy krajowych i zagrani-cznych monet srebrnych i złotych, złożone wachlarze połyskiwały masą szlifowanych i nieszlifowanych drogich kamieni. Znajdowały się tu także pierścienie, łańcuchy, naszyjniki, bransolety oraz mnóstwo innych ozdób. Skrzynia mieściła w sobie skarb, rzeczywisty skarb! A gdy usunąłem kilka wachlarzy, ujrzałem pod nimi drogocenne pisto-lety i sztylety, które wypełniały spodnią część skrzyni. Obok zaś tego wszystkiego znajdowały się dwie księgi. Otworzyłem je. Któżby to mógł pomyśleć! Były to księgi handlowe, latami sięgające w daleką przeszłość, które zawierały dokładny spis przychodów i rozchodów tego dziwnego interesu. To naprawdę było zdumiewające!

- Maszallah! - krzyknął wreszcie Halef. - Rozum mój milczy!

Sidi, stuknij mnie w żebra, ażeby go wprowadzić w normalny ruch.

-Jakże to, więc on u ciebie znajduje się między żebrami?

- Gdzie tkwi, nie mogę w tej chwili wiedzieć; czuję jednak, że jest tam, gdzie być nie powinien. Ile pieniędzy! Jaka wspaniałość~ kamieni! Nie jestem jubilerem, nie mogę więc wiedzieć, jak się

nazywają. Może ty znasz ich miana?

- I co z tego przyjdzie, jeśli ci je powiem? Kamienie przez to wszak nie staną się nasze!

- Thk, właściwie smuci to moją czułą duszę, że mogę je tylko podziwiać, a nie napchać nimi kieszeni! Spójrz na tę wspaniałą bran-soletę. Cóż to za kamienie?

- Diamenty, szmaragdy i rubiny, a zakoficzone trzema turkusami.

- O, sidi, jakżeby się uradowała moja Hanneh, najpiękniejsza wśród najpiękniejszych kobiet świata, gdybym jej przywiózł wszystkie te ozdoby i włożył na jej ukochane ramię. Czy doprawdy tak wysoko stoimy, że nie powinniśmy nic z tego zabrać?

- 'Pók.

- I czy nasza cześć jest rzeczywiście tak wzniosła, że możemy ją kilku takimi kamieniami obrazić?

- Zapewne.

- A wiec pomyśl o Emmeh pani twego niewieściego namiotu! Czy ona nie lubi się zdobić?

- Najlepszą jej ozdobą, zarówno jak j moją jest uczciwość~, a wszystko, co tu leży, jest cudzą własnością. Rozważ to!

- Rozważam to! Ale jednocześnie rozważam również, że jest wstydem odkryć to bogactwo i nie zachować go przy sobie. Mam nadzieję, że przynajmniej wolno mi będzie dziesięcioma palcami objąć to wszystko.

- Przeciwno temu nic nie mam. Jeśli ma ci to sprawić przyje-mność, uczyfi to!

- Zaraz, zaraz! Spójrz, jak się to skrzy, jak promienieje!

Mój mały Halef był w gruncie rzeczy człowiekiem uczciwym, ale ten metal i te kamienie wywierały nań wpływ. Dlatego też rzekłem, podczas gdy grzebał się w skrzyni i przerzucał kamienie z jednej ręki do drugiej;

- Przyjazny promiefi z oczu twojej Hanneh jest piękniejszy i tysiącokroć więcej wart, aniżeli te wszystkie martwe i sztuczne błyskot-ki!

Cofnął na to szybko ręce, spojrzał na mnie ciepłym wzrokiem i odparł:

- 'Ib prawda, sidi! W oczach; o których mówisz, mieści się światło miłości, wobec którego ten tutaj błysk jest prawdziwą ciemnością, niewidocznym nowiem. Jestem bogatszy, znacznie bogatszy, aniżeli biedny diabeł, do którego będą należały te pieniądze i kamienie. Nie zamieniłbym się z nimi! Wesoły śmiech z ust mojej Hanneh, najpięk-niejszej z kobiet, dźwięczy przyjemniej, niż brzęk tych monet. W jej oczach i jej uśmiechu jest dusza, natomiast w tych martwych skarbach, nie ma ... Na Allaha, a to co?

Jak gdyby dla wyjaśnienia, sięgnął znów do skrzyni i coś stamtąd 352 wyciągnął. Jego krzyk zwrócił również mój wzrok na ten przedmiot.

- Obraz, sidi, obraz! - wołał. - Tb należało zapewne do chrze-ścijanina, gdyż muzułmaninowi nie wolno dać się malowaE. Ajednak ubiór tego mężczyzny i kobiety nie jest frankoński, lecz perski. Spójrz!

Podał mi mały portret, wysadzany brylantami. Gdy mój wzrok padł nafi, omal nie wydałem okrzyku zdumienia. Znałem Persa, którego wizerunek miałem przed oczami. Nie chodziło tu o przypadkowe podobieństwo, lecz to, bez wątpienia, był on, ów Dżafar, z którym ongiś spotkałem się na Dzikim Zachodzie. Obok niego ujrzałem przedziwnie piękne, wschodnie oblicze kobiety o tajemniczych ciemnych oczach z zimnymi nieubłaganymi ustami i o zagadkowych rysach twarzy, która natychmiast obudziła we mnie zaciekawienie. Oryginał tego kobiecego portretu nie był na pewno haremową pięknnością psychicznie upośledzoną, przeciwnie, zdradzał wszelkie cechy duchowego wyrobienia. Przypatrując się uważnie, dostrzegłem pod obrazem dwa napisy, wyryte w złocie ramy:

Podpis, umieszczony pod podobizną mężczyzny głosił: Dżafar Mi-rza, drugi zaś brzmiał: Szachzadeh Khanum Gul.

Należy wiedzieć, że wyraz „mirza” przed nazwiskiem jest ogólnym tytułem, nadawanym każdemu wykształconemu człowiekowi, w szcze-gólności zaś uczonym i poetom jeżeli natomiast znajduje się za nazwiskiem, oznacza tytuł ksiązęcy. Książęta, bliscy i dalecy krewni szacha, otrzymują tytuł: „szachzadeh”. Jeżeli wyraz „khanum”, tyczący się kobiet znajduje się za powyższym określeni.e~, oznacza on księż-nę. Połączenie obu wyrazów nasunęło mi myśl bliskiego stosunku obojga osób, czego jednak nie byłem w stanie bliżej skonkretyzować.

Z okoliczności, że pozwolili się wymalować, wbrew wyraźnemu zakazowi islamu, można było wnioskować, że stali ponad przeciętnym sposobem myślenia muzułmafiskiego, co nie mogło dziwić u Dżafara mirzy, który odbył szereg odległych podróży; w odniesieniu zaś do Szachzadeh Khanum oznaczało to wedle prawdopodobieństwa, iż

12 - W lochach Batnlonu 353

jest jedną z tych samodzielnych kobiet, przed którymi człowiek Wschodu odczuwa respekt. O ile u nas powiedzenie kobieta emancy-powana wywołuje specyficzne wrażenie, o tyle na Wschodzie bardziej jeszcze uwydatnia się ta wyjątkowość. Kto nie zważa na tradycje i obyczaje i usiłuje zerwać pęta tak surowo odosobnionego w tamtej-szym świecie życia kobiet, jest bezsprzecznie wyposażony w wybucho-wy temperament, albo też, że pozwolę sobie użyć ulubionego wyrażenia mego małego Halefa, ma różne diabły w ciele. Stąd też pochodzi niechęć człowieka Wschodu do wszelkich zmian, jakie mogą zajść w spokojnym jego haremie, zmian wprowadzanych przez te „diabły”. Nic nie było właściwie szczególnego w tym, że księżna nazywała się Gul a jednak, dziwna rzecz, pomyślałem o Gul-i-Sziraz. Może było to wynikiem wrażenia, jakie na mnie wywarł obraz. Sfinksowe rysy tej twarzy bowiem odpowiadały jakoś zagadkowości, jaką dla mnie miała tajemnicza Róża z Szirazu.

Wszystkie te myśli szybko przesunęły mi się przez głowę, a jednak nie uszło uwagi Halefa, że portrety wzbudziły we mnie niezwykle zainteresowanie.

- W szczególnysposób, sidi, przyglądasz się tym obrazom-rzekł.

- Może znasz tego człowieka albo kobietę, a może nawet oboje?

- Mów ciszej! - ostrzegłem go przyduszonytn głosem, wsuwając obraz do kieszeni - Sefir nie powinien tego słyszeć.

- Na Allaha! Kładziesz do kieszeni! - szepnął. - Czy chcesz to schować?

- ‘1’ dk.

- Wszak mówiłeś, że te rzeczy są cudzą własnością!

- Nie widziałem przedtem tej podobizny.

- Mam wrażenie, że właśnie ściągnęta cię z wyżyn twojej czci. A jak sądzisz, czy by tak nie dać się zwabić piękności bransolety?

- Tb zupełnie co innego! W tym obrazie tkwi coś szczególnego, coś, czego ci w danej chwili wyjaśnić nie mogę. Nie powinienem go tutaj zostawiać, muszę tę podobiznę zabrać ze sobą. Może spotkam

354 prawowitego właściciela, któremu obraz ten najprawdopodobniej ukradziono. Poza tym, wydaje mi się, że jest związany z jakąś tajemni-cą, której wyświeetlenie leży na naszej drodze. Nie popełniam kradzie-ży, ani żadnej nieuczciwości, gdyż mam nie tylko prawo, lecz nawet obowiązek zatrzymać tę podobiznę. Chodź, pójdziemy!

- Dokąd.
- Do żołnierzy.
- Czy zostawimy tu Sefira?
- Nie, zabierzemy go ze sobą.
- A co z cięgami, które uradują jego grzbiet a moją duszę?
- Czy tak ci śpieszno?
- O tak, bardzo, sisi! Niechętnie chowam to, co inni mają otrzy-mać, nawet tylko minutę dłużej, niż potrzeba, a więc to samo tyczy się cięgów, które od dawna już miały przejść w jego posiadanie. Chcę i muszę się ich pozbyć, gdyż im dłużej je noszę ze sobą, tym bardziej szkodzą mi na zdrowiu!
- A więc pośpieszmy się, abyś, jak można najprędzej, uwolnił się od gniotącego cię ciężaru.

Zamknąłem skrzynię z powrotem i schowałem klucz. Gdy nastę-pnie podeszliśmy do Sefira i padło nań światło świecy, zauważyłem po prawej stronie jego twarzy opuchliznę. Był to skutek cięgów otrzy-manych uprzednio od Halefa za jego straszne przekleństwo. Odwiązali-śmy go od pręta i uwolnili mu nogi, ale tak mocno przycisnęliśmy łokcie do pleców, że, pomimo iż mógł nawet biegać, był jednak w naszej mocy. Po czym zaczęliśmy wchodzić na górę. Szedł z nami, nie ociągając się; nie rzekł też ni słowa. Wyglądał, jakby kipiący w nim gniew chciał go udławić. Kiedy znaleźliśmy się na górze, na wolnej przestrzeni, twarz jego przybrała inny wygląd, aniżeli na dole, przy migocącym świetle małej lampki. Do dawnej, już przedtem szpecącej go blizny, po lewej stronie twarzy, dołączyła się teraz szybko wzrasta-jąca i ciemno zabaiwiona opuchlizna strony prawej; do tego długa rozczochrana broda, groźne spojrzenie zalanych krwią oczu i mocno zwisająca dolna warga. Ogarnęła mnie groza, cielesny i duchowy wstręt, kiedy ujrzałem przed sobą to bardziej niż odpychające stwo-rzenie!

Chciał cofnąć się, rozkazałem mu jednak się~, co też uczynił spokojnie, ale z takim wzokiem, że byłby mnie zniszczył, gdyby to zależało od posiadacza tych oczu.

- Zamknijmy wejście - rzekłem do Halefa.
- Czym? - spytał.
- Cegłami, które tu leżą.

Gdy to Sefir usłyszał, chrząknął drwiąco. W odpowiedzi na te kpiny odparłem:

- Tb daje się bowiem dość łatwo uczynić, jeżeli naturalnie zna się sposób. Wszak zapewne, Halefie, przypominasz sobie pismo, które wyjąłem z kieszeni Peder-i-Baharata i które, po przeczytaniu z powrotem mu zwróciłem.

- 'Pdk, sidi.

- Zawierało rysunek, odnoszący się do tego wejścia. Wprost nie do wiary jak bezgranicznie głupi byli ci ludzie! Dzięki temu rysunkowi, została mi zdradzona tajemnica Birs Nimrud. Była tam podana dokładna droga z dołu aż do tego tu miejsca i nawet było odrysowane pismo, dzięki któremu można poznać ostatni kamień, właściwą cegłę. Było to babilofiskie pismo klinowe, które znam; dlatego też łatwo było mi wyryć sobie w pamięci znaki i nie zapomnieć ich. Ci ludzie natomiast nie znają tego pisma i dlatego też muszą posługiwać się odrysowanymi znakami. Odnośne znaki oznaczają słowa ... romen'a. Illai in tat kabad bad'a Illai. 'I~raz sprawdzę, który kamień zawiera te słowa.

Cegły były tak skrzętnie ułożone w odpowiedniej kolejności, że trzeba było tylko spojrzeć, by odnaleźć tą, której szukałem. Wskazałem na cegłę i rzekłem:

- 'I'dm leży. Zawiera dokładnie te same znaki, które mi zostały zdradzone dzięki nieostrożności Peder-i-Baharata. I'a właśnie cegła

356 jest tą ostatnią, którą należy tu wstawić. Z tego wynika, że muszę rozpocząć od cegieł, które leżą po przeciwnej stronie oznaczonego kamienia.

- Oby, Allah rozszarpał tego lekkomyślnego hultaja! - zgrzytnął Sefir. - Ciebie zaś aby przeklął na ...

Połknął ostatnie słowa, gdyż Halef wyciągnął bicz i zamachnął się do uderzenia.

- 'Iwoje szczęście, że cofnąłeś słowa, które chciałeś wypowiedzieć, a które napęniają twą duszę. W przeciwnym razie zmusił bym cię przy pomocy harapa do uczynienia tego. Czy mam ci, effendi, dopomóc w układaniu cegieł?

- Nie - odrzekłem. - Tę robotę muszę sam wykonać. W ten sposób pójdzie mi łatwiej i szybciej, niż gdybym chciał skorzystać z twojej pomocy.

Gdy przyjrzałem się ostrym na ogół, a jednocześnie wielokrotnie załamywanym i nieprawidłowo biegnącym brzegom wyjścia, którego obrys nie tworzył równej linii, lecz zygzakowato skręcał we wszystkie kierunki i gdy dopasowałem do niego kamienie, nie było mi trudno zasklepić dziury w tak

krótkim czasie, jak gdybym robotę tę wykony-wał nie po raz pierwszy. Potem, gdy wstawiłem ostatni kamień, prze-konałem się, że byłoby rzeczą wprost niemożliwą, dla człowieka nie-wtajemniczonego poznać, przy baczym nawet obejrzeniu tego miej-sca, że kryje się za nim przejście. Poszczególne kamienie tak szczelnie do siebie przystawały, jak gdyby nie były tknięta ręką ludzką od chwili wybudowania wieży babilofiskiej. Ludzie, którzy odkryli to przejście i zamaskowali je, byli widać bardzo ostrożni.

O ile jednak sukces pracy mnie zadowolił, o tyle sefira doprowadził do wściekłości. Pomimo gęstej jego brody, widziałem, że usta mu drżały z niepohamowanego gniewu. Z przyjemnością chciałby zapew-ne ulżyć sobie odpowiednimi wyrazami, ale Hadzi miałjeszcze ciągle w ręku bicz i trwoga przed matką rozkoszy, jak go Halef chętnie nazywał, zmusiła Sefira do pohamowania się.

357

Był już wielki czas opuścić wzgbrze, więc zesliśmy na dół. Halef szedł z przodu, ja za nim, Sefir silnie przeze mnie strzeżony, musiał kroczyć pośrodku. Gdyśmy stanęli przed żołnierzami, świeży major wstał z miejscGa, na którym siedział i zameldował:

- Effendi, wysłaniec do Hilleh wyruszył już dawno temu i rozka-załem mu pospieszyć się. Czy mam sprowadzić tu konie?

-1'ak. W międzyczasie przyprowadzę żołnierza, ktbry towarzyszył nam w nocy.

- Może lepiej posłać po niego?

- Nie, nie znajdą go.

Poszedłem sam, gdyż uważałem za nie wskazane ujawniać innym miejsce, przez które wszedłem do wieży. Gdy odszukałem żołnierza, leżał w ruinach i spał. Obudziłem go i rozkazałem pójść za sobą. Przetarł oczy i zaczął za mną się wdrapywać, potykając i czołgając na czworakach, albo też posuwając się na grzbiecie. Z wyrachowania, nie wyprowadziłem go wprost na powierzchnię, lecz poprzez resztki mu-rów i po rumowiskach drogą okólną tak, że, wskutek ciemności, nie zdawał sobie zupełnie sprawy z tego, gdzie się znajduje i gdy wreszcie mieliśmy już za sobą ruiny, przystanął, obejrzał się za siebie i kiwając głową, rzekł:

- 'Pd powrotna droga była złą, effendi; droga w tamtą stronę zda-wała mi się lepsza, ale było ciemno; nic nie widziałem i nie słyszałem przez długi czas i dlatego też usnąłem. Gdzie właściwie byliśmy?

- Tb wszak chyba wiesz! - odrzekłem, zadowolony z udanego podstępu.

- Nie wiem, drapaliśmy się teraz przez taką gmatwaninę, że nie odnajdę na pewno miejsca, gdzie spałem, cho~bym je miał szukać gorliwie.

- Nikt ci tego nie poleci. A więc bądź spokojny i chodź!

Gdy~my ujrzeni z dala żołnierzy, spostrzegłem, zanim jeszcze ku nim podeszliśmy, że zaszło tam coś niezwykłego. Podwoilem więc kroki. Zostałem zauważony, utworzone przez nich koło rozwarło się 358 i Halef wyszedł mi naprzeciw.

- Pomyśl. sidi, - zawołał - ten chłop chciał udusić kol agasiego, który teraz jest binbasim.

-Jaki chłop? Sefir?

-‘Pdk.

- Jakże to możliwe? Wszak jest związany i ma ciężko zranioną rękę!

- Z tą raną nie jest tak źle, jak sądziliśmy. Potrafi poruszać pięcioma palcami, a w każdym razie paroma z nich.

- Dobrze, ale miał przecież ręce związane na plecach, więc napad, o jakim mówisz był w takich okolicznościach, według mnie, zupełnie niemożliwy.

-‘Idk, effendi, ale rąk już nie miał na plecach.

- Gdzież więc je trzymał?

- Były wolne.

- Znowu zatem popełniłeś jedną ze swych samowoli. Halefie, nie będziesz już w życiu inny, niż byłeś dotąd i niestety teraz jeszcze nim jesteś!

- O, sidi, nie życz sobie, bym się zmienił! Do ciebie należy całe moje serce i gdyby to się miało zmieni~, rnusiałbym ciebie pozbawić miłości i przyjaźni, które tak upiększają nasze wspólne życie. Wierzaj mi, jestem takim, jakim być winienem. Jeżeli uważasz, że popełniłem błąd, mylisz się.

Jednak, zdaje mi się, żeś mu ręce uwolnił!

-‘Tylko na chwilę.

- Dlaczego?

- Chciałem cię pomścić.

- ‘Ib był błędny krok. Wiesz, jakiego jestem zdania o zemście.

Chrześcijanin się nie mści.

- Słusznie! Nie chciałem też powiedzieć aemsta, lecz kara.

- Jeżeli człowiek ma być ukarany za wykroczenie przeciwko mnie, ja winienem o tym stanować, nie zaś ty. Za cóż to chciałeś go ukarać?

359

- Za to, że cię w więzieniu tak mocno okuła w kajdany. Tb ci musiało przynieść wiele bólu, który mu też teraz chciałem dać odczuć. Zgodzisz się ze mną, że na to zasłużył?

- Co się tego tyczy, całkowicie się z tobą zgadzam, ale nie należało mu tego zaszczytu udzielać bez mego zezwolenia.

- Ciebie tak długo nie było, a korciło mnie, by go przekonać o naszej wdzięczności. Dlatego też kazałem mu ręce uwolnić na chwilę, by tak właśnie je okuć, jak on to uczynił z tobą. A to wszak było wspaniałą myślą, którą ty musisz uznać i przeciwko której nic mieć nie możesz!

- 'Pdki jest twój pogląd, a nie mój. Odwiążaliście mu zatem ręce i naturalnie, zaraz uczynił z nich użytek?

- W samej rzeczy! 'In hultaj zdawał się nie wiedzieć o tym, że mu tego zabroniłem. Dotychczasowy kol agasi a obecny binbasi powie-dział mu podczas uwalniania rąk kilka słów, które mu nie poszły w smak; zacisnął też palce dokoła jego szyi, pówalił go na ziemię i tak mu miętosił żyły, że twarz przybrała barwę cylindra, jakim Europej-czycy upiększać zwykli swe głowy przywielkich uroczystościach. Drze-liśmy o napadniętego, którego oddech stawał się coraz krótszy, albo-wiem Sefir tak mocno się go uczeplił, jakoby pchła pustynna co wpija się w obnażony palec nogi wędrowca. Pomimo że jest ranny w rękę, z wielkim trudem udało nam się oderwać od napadniętego. Natych-miast go też związano w taki sposób, jak postanowiłem; ale co się tyczy wyrazów, których musieliśmy przy tym od niego wysłuchać, nie mogę ci ich powtórzyć, gdyż zawierały takie bluźnierstwa przeciw Allahowi i tak nas osobiście obrażały, że gdybym ci je chciał podaE, sam bym bluźnił i obrażał! Jeszcze teraz klnie na całe gardło. Czy go słyszysz? Chodź więc ze mną! Spodziewałem się, że mi zezwolisz wyjaśnić mi mój pogląd na tym jego słabym punkcie, na którym zazwyczaj siedzi. Czas najwyższy, by się dowiedział, że najmilsze są te wrażenia, które się otrzytuje na wymienionym przeze mnie miejscu! Wymachiwał energicznie rękami, by mi wyj aśnić humanitarny sens 360 swoich słów i zaprowadził mnie tam, gdzie leżał a raczej siedział Sefir. 'In był mocno skrępowany, tak że można było pomyśleć, że jest dlań rzeczą niemożliwą odetchnąć, mimo to jednak był jak nieboskie stworzenie, kłął i groził, co przy jego beznadziejnym położeniu było w najwyższym stopniu śmieszne. Ujrzawszy mnie, ryknął potężnym głosem i obrzucił przekleństwami, które

mogły wzbudzić uczucie odrazy. Pienił się ze złości; nabrzmiałe krwią oczy nadawały jego i tak wstrętnej twarzy zwierzęcy wyraz; miałem przed sobą nie człowieka, lecz kreaturę, którą należało odpowiednio potraktować.

- Wal go, Halefie, aż nie zamilknie! - krzyknąłem oburzony. - Wal go, gdziekolwiek trafisz!

- Hamdulillah! - odrzekł Hadzi. - Wreszcie, sisi, wreszcie dochodzisz do rozumu! 'Iiwój rozkaz napełnia mnie nieziemską roz-koszą. Z największą rozkoszą cię słucham! I'dk mu przetnę nic jego mowy, że okrucy słów rozlecą się na wszystkie strony i nie będzie mógł ich odnaleźć nawet przy pomocy najsilniejszej lupy. Zaledwie wypowiedział te słowa, uderzenia jego już tak silnie i gęsto padały, że bity, zamiast wydawania okrzyków gniewu, zawył z bólu; mimo to Halef nie zaprzestał, aż wycie nie ustało. Następnie spytał mnie, głaszcząc miłośnie korbacz:

- Mam zakończyć na tych przekonywujących argumentach, czy też nie?

- Wystarczy!

- Ale tylko na razie, tymczasowo, proszę cię!

- A ja nie proszę o to, lecz żądam tego! - wmieszał sę Amuhd Mahuli. - Spójrz, effendi, jak mnie urządził! Miał poważne, mocne postanowienie, aby mnie udusić. Leżałem pod nim, jak jagnię w pazurach wścieklej pantery, a gdyby to nie było jeszcze dostateczną podstawą do największej kary, jego bluźnierstwa przeciw Bogu i ludziom powinny wprawić w ruch bicz tak, żeby padł trupem na miejscu.

Przy tych słowach wskazał na swoje rozwichrzone włosy, podarty 361 uniform i podrapaną szyję, która teraz jeszcze knwawiła.

- Oby mi się udało cię udusić, ty niegodziwy współniku przekłę-tego chrześcijafiskiego psa! - krzyknął Sefir.

Halef szybko się zamachnął, zadał mu kilka razów i krzyknął~nafi:

- Czy zamilkniesz łotrze?! Jeszcze jedno takie słowo, a zakatrupię cię!

Sefir, mimo bólu, ryknął jednak:

- Nie ty mi będziesz rozkazywał! Jesteś śmierdzącym psem, któ-rym gardzę. Wyście razem z twym po trzykro~ przeklętym effendim gnijącą padliną, jako świnię się urodziliście, należy wami jako świnia-mi gardzić i jako świnię skoficzycie!

Halef puścił natychmiast bicz w ruch. Powstrzymałem mocno jego ramię i rzekłem:

- Czekaj jeszcze! Może dobre słowo więcej tu wskóra, niż złe.

Spróbuję.

- Próbuj, nie mam nic przeciwko temu, próbuj! - zawołał Sefir, śmiejąc się drwiąco.

- 'Pdk, mimo twego śmiechu, uczynię jednak próbę, wszelako nie dla ciebie, lecz dla mnie. Wiem, że każde słowo będzie daremne; ale chcę sobie móc powiedzieć, że uczyniłem wszystko dla zbawienia twojej duszy.

- Zbawienie mej duszy? Co ci do mojej duszy?! Niech sobie idzie, gdzie chce, a nie twoja rzecz w to się mieszać! Może mi będziesz bąjał

?!

;,,,,, o wiecznym życiu, o raju i piekle Zbyteczne Obejdę się bez tych głupstw! Co Mahomet i wasz Chrystus o tym mówią, jest' śmieszne, albowiem po śmierci i tak jest po wszystkim.

- Jesteś zaślepieńcem, któremu ja ...

- Jest po wszystkim! - powtórzył przerywając mi.

.. zaślepieńcem, któremu ja swojego ...

- Po wszystkim, po wszystkim! - znów zawołał.

... któremu ja swojego współczucie nie odma ...

- Po wszystkim, wszystkim, wszystkim! - ryknął całą siłą swego

362 głosu. - I to dla was szczęście, wy najbardziej pogardzani wśród psów świata! Dla was wolałbym nawet, żeby nie było po wszystkim. Bądźcie przeklęci, jak jeszcze nikt przeklęty nie był! Oby wam na tamtym świecie ...

Następne przekleństwa nie nadają się do powtórzenia. Pozwalałem tak siebie lżyć, nie przerywając mu i doszedłem do przekonania, że okazanie mu cienia współczucie było nie tylko bezużyteczne, lecz wprost śmieszne. Gdy wyładował cały swój gniew, plunął na mnie i na Halefa - staliśmy niedaleko niego - i zakoficzył słowami:

-l'ak, jak teraz, bądźcie opluci i wzgardzeni przez wszystkich ludzi na wieki. 'Ihraz znasz cały mój pogląd i możesz zacząć pobożnie stękać. Więcej słowa nie powiem.

- Nikt ci też więcej nie będzie tu stękał; jeśli by zaś kto~ ma stękać, to ty nim będziesz. Mówiłeś o mękach, których nie uniknę. Gdzieś je masz? Gdzież one są? Ja ci natomiast powiedziałem, że z nastaniem dnia rozpocznie się nad tobą sąd; Słowo moje, z którego się śmiałeś, stało się ciałem. Przepowiedziałeni ci jeszcze więcej, nie chcę jednak teraz tego powtarzać. Zaczekajmy do wieczora! 'I~raz zaś zostaniesz potraktowany zgodnie z twoim poglądem: ze śmiercią wszystko się koficzy. Jeśli na tamym świecie nie ma dla~ciebie kary, nie wolno na tym świecie stracić ani chwili; otrzymasz więc, na coś zasłużył. Przed-tem jednak odpowiedz mi, gdzie są zwłoki zamordowanych członków karwan-i-Piszkhidmet baszi?

Nie odpowiedział nawet wtedy, gdy mu dwa razy pytanie powtórzyłem. Skierowałem je więc do Beduinów Ghazai, wziętych do niewoli; ale skutek był ten sam. Zwróciłem się przeto do tego, którego uważałem za ich wodza, gdyż kierował szacowaniem zdobyczy i zabierał pieniądze. Jedyłą jego odpowiedzią było wykrzywienie twarzy.

- I~ażę ci otworzyć usta biczem! - zagroziłem.

- Odważ się! - zawołał. - Jesteśmy wolnymi Beduinami i nie wolno nas bić! Jesteśmy uczciwymi ludźmi i nie wiemy dlaczego nas wzięto do niewoli i związane!

363

- Uczciwi ludzie?! A chcieliście uchodzić za Solaibów! I siedzieliście przy ogniskach i kłóciliście się przy każdej zdobytej rzeczy o swe wynagrodzenie za morderstwo!

- 'Ib kłamstwo!

- Ja sam to widziałem i słyszałem; to starczy! A więc mów, gdzie są trupy

- ~ wiem nic o żadnych trupach! A jeżeli są trupy, to szukaj ich sobie sam!

Z jego dtwiącej miny było widoczne, że przeświadczony jest o tym, że ich nie znajdzie. Dlatego też odparłem:

- Dowiodę ci, że dla mnie jest bardzo łatwo je odkryć, ale wówczas też zmuszę cię do wyjaśnienia nam, gdzie je ukryliście. Bicz uczyni cię wymownym.

- 'I-go nie zrobisz! Całe moje plemię znajdzie cię i odda sto uderzeń za jedno!

- Każ go porządnie oćwiczyć, dobrze oćwiczyć! - zawołał do mnie binbasi. - Wpierw jednak zarządź, by i Sefir otrzymał, co mu się należy!

- Nie mam nic przeciw temu, ale spodziewam się, że dotrzymacie warunku, który bezwzględnie muszę postawić.

- Mów!

- Bijcie go, ile chcecie, ale nie na śmierć. Musimy go dostawić paszy i jestem przeswiadczony, że cofnął by potwierdzenie twej nomi-nacji i zdegradował by cię do zwykłego żołnierza, gdyby Sefira otrzy-mał martwego a nie żywego.

Ostrzeżenie to miało na celu zapobieżenie przejściu srogości w okrucieństwo. Oficer pośpieszył też, by, mnie upewnić:

- Bez obawy, effendi! 'Ihgo łotra zabić, to byłoby dla niego niezasłużone dobrodziejstwo! Jego kara nie może trwać tak krótko. Ale wiesz wszak, że w sądzie domagał się dla ciebie bastonady. Dlatego niechaj sam ją teraz otrzyma, ale jaką! Na to chyba zezwolisz?

- 'Ihk, nic nie mam przeciw temu.

364

- Jedynie bastonadę? - spytał Halef. - A ja myślałem, że mój korbacz z nim pomówi! Sidi, dlatego że mu przepisujesz tylko chłostę, spraw mi tę rozkosz, abym mógł mu pokazać; jak ściśle moja dusza jest związana z wrażeniami jego skóry!

Ująłem go pod rękę, odprowadziłem na stronę i postawiłem pyta-nie:

- Powiedz, drogi Halefie, jakie jest najbardziej znane plemię Beduinów wśród stepów, porośniętych kwiatami?

- Wielkie plemię Szammar - odparł. - Wiesz to równie dobrze, jak ja. Dlaczego więc pytasz?

- A jakie jest najznakomitsze jego odgałęzienie?
- Oczywiście, moi Haddedihowie!
- Których ty jesteś wodzem?
- Naturalnie!
- Ty więc jesteś najznakomitszym i najwyżej postawionym czło-wiekiem całego plemienia Szammar?
- Sądzę. Jest io zresztę ponad wszelką wątpliwość!
- Ty więc zastępujesz to wielkie plemię swoją osobą i cześć tylu tysięcy wojowników swoją czią?
- Bez wątpienia!
- Co ty czynisz, jest zaszczytem lub hańbą dla każdego poszcze-gólnego wojownika Szammarów czy Haddedihow?
- 'Pak jest!
- Jak więc postąpisz, jeżeli ktoś nazwie wszystkich Szammarów i Haddedihow oprawcami i katami?
- Wsadzę mu natychmiast nóż między zebra!
- A więc pchnij !
- Co ... ? Jak ... ? Kogo ... ? - spytał.
- Siebie samego!
- Siebie ... samego?!
- Naturalnie, albowiem ty, przedstawiciel czci całego twego ple-mienia, oSwiadczyłeś mnie samemu, że masz zamiar zostać katem i 365 oprawcą Sefira.

Spojrzał na mnie zdumiony. Odpowiadał na moje pytania z dumną pewnością siebie; teraz głos jego brzmiał zupełnie inaczej, gdy rzekł:

- Sidi, jesteś bardzo niebezpiecznym, a w stosunku do swego wiernego Halefa nawet złym człowiekiem!

- Jakże to?!

- Znowu mnie zaszedłeś od tyłu i złapałeś w potrzask! Dlaczego nie mówisz wprost do mnie, szczerze, bez żadnych ubocznych dróg, ubocznych myśli?

- Gdyż horyzont twego rozumu, o którym tak chętnie mówisz, jest z przodu szerszy niż z tyłu.

- '1' dk! Przyznajesz więc, że nie masz odwagi stanąć wobec przedniej części mego rozumu i że się jej boisz! Tb mnie powinno właściwie cieszyć; ale świadomość, że nie postępujesz ze mną uczciwie, psuje mi tę radość. Pytam cię jednak szczerze i otwarcie: czyś mi przyrzekł, że będę mógł Sefirowi sprawić łąźnię?

- 1' ak, uczyniłem to.

- A teraz nie chcesz dotrzymać przyrzeczenia?!

- Dotrzymałem!

- Jak ...? Rzeczywiście ...? Czyżby już ...?

- 'hak. Czy otrzymał od ciebie ciągi, czy nie?

- Hm. Prawda; tak.

- A więc po cóż te bezpodstawne zarzuty?

Potrząsnął z ubolewaniem głową i odparł:

- Oh, sidi, sidi, gdybyś wiedział, jak wielkim jest b61 rozczarowania, któryś mi zgotował! Sądziłem, że będę mógł raz wreszcie puścić porządnie w ruch mój korbacz, a teraz biedny bicz ma się zadowolić tymi nędznymi ciągami, którymi w najdrobniejszej nawet mierze nie mógł się nasycić, przeciwnie, zaostrzył się tylko jego apetyt. Gdybyś tak wielkim przyrzeczeniom pozostawiał zawsze tak mało sposobności do ich spełnienia, musiałbym ciebie uważać za wielką lecz pustą kiesę, z którą nic zrobić nie można. Nie po raz pierwszy hamujesz

366 przyjazne ruchy mego bicza przypomnieniem o mojej sławie i czci. Czyż po to jedynie jest cześć, by pozostawiać w zapomnieniu wierny harap? Mój bicz należy do mnie, jak moja ręka do mnie należy, jest częścią mnie samego. On także ma swoją cześć, jak ja mam swoją. Jakże więc ja mogę się przez to pozbawić czci, gdy jej jemu udzielam?

- 'Iwierdzenie twoje jest z gruntu fałszywe, gdyż wywodzi się z fałszywych założeń.

- Tó ty się mylisz, gdyż, według mnie, Sefir otrzymać ma ciągi, a nie założenia.

- W tym miejscu horyzont twojego rozumu staje się tak wąski, że go wcale nie widać. Nie będziemy się sprzeczać, lecz załatwimy sprawę krótko: jeżeli uważasz za swe prawo oćwiczenie Sefira, nie chcę ci go odbierać. A więc ćwicz go! Ale nie dziw się, że nie będę cię już uważał za swego przyjaciela, lecz za dzellada, kata, który nie może mieć miejsca w moim sercu a pozostaje zaledwie czymś dla moich oczu, mianowicie nieczułym narzędziem prawa. Idę!

Odwrociłem się od niego.

- Dokąd, sidi? - spytał szybko, podążając za mną i ująwszy mnie za ramię.

- Chcę odszukać trupy zamordowanych. 'Ib jest zadanie porządnego człowieka, a nie robota katowska.

- Zabierz mnie ze sobą! Musimy pokazać Sefirowi i Ghazaiom, że nam nie trzeba ich wskazówek, lecz jesteśmy sami tak mądrzy, by się dowiedzieć, czego pragniemy. Spójrz! Zatykam swój harap za pas, zrzekając się tym samym wymalowania Persowi świadectwa jego ni-kczemności na grzbiecie. Dotychczasowy kol agasi a obecny binbasi sam już będzie miał staranie o to, ażeby Sefirowi nie dostało się mniej, niż trzeba.

- Słusznie! - pochwaliłem go. - 'I~raz jesteś tym, kim być powinienes.

- Kim?

- Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al

367

Gossarah, główny szejk Haddedińów z wielkiego plemienia Szam-mar.

Wyprostował swą małą postać tak wysoko, jak tylko to było możliwe, błysnął na mnie Swięcącymi oczyma i rzekł:

- 'Pak, jestem nim bez wątpienia! Ja jestem naczelnym władcą moich wspaniałych kochanych Haddedińów, którzy są mi tak posłuszni, jak Tixrcy wobec padyszacha albo Persowie wobec szachin-sza-cha. Nie zamieniłbym się z żadnym człowiekiem pod słońcem, a bicz mam do panowania, nie zaś do wykonywania roboty kata. Im sławniejszy człowiek, tym mniej mu trzeba samemu używać korbacza! Idę z tobą, któryś jest równie znany, jak ja!

Zawiadomiłem binbasiego, że się oddalamy, lecz powrócimy nie-długo; w międzyczasie mógł nasycić się gnębieniem pokonanego Se-fira. Dosiedliśmy koni i pocwałowali przed siebie. Miałem wielką ochotę wybadać Piszkhidmet baszkiego, przyszłoby mi to jednak z trudnością, przy czym nie wiedziałem, czy zna dobrze okolicę, albowiem przyjechał nocą i został od razu obezwładniony, tak

że nie mógł zauważyć, dokąd zanesiono zwłoki. Uważałem za najlepsze zdać się więc na samego siebie. Również Halef był mi zbyt cenny, gdyż nie potrafił dobrze odczytywać śladów. Zabrałem go ze sobą tylko w celu odsunięcia od Sefira, bowiem lękałem się, iż za silnie da mu odczuć siłę swojego ramienia.

Jechaliśmy wzdłuż ruin w kierunku północnym; oglądałem dokładnie ziemię w poszukiwaniu tropu. Szybko znalazłem ślady kopyt nie tylko naszych koni, lecz i inne, nie te jednak, których szukałem. Skręciliśmy teraz na zachód, poprzez ścieżkę przemytników, która biegła do kanału. Znowu natrafiliśmy na ślady karawany Piszkhidmet baszi. Zrozumiałem teraz, że napad miał miejsce nie tu na północy, lecz bardziej na południe od naszego obozowiska. Sefir wiódł bowiem karawanę poprzez mnie sca, od którymi znajdowały się komnaty j P podziemne; dziwiłem się jego nieostrożności; powinien był bowiem zrozumieć, że i tak znajdziemy te ślady. Zawróciliśmy wierzchowce i 368 niebawem stanęliśmy w obozie. Przywódca Beduinów przywitał nas ironicznym pytaniem:

- Gdzie są zamordowani, których poszukujecie? Wasza zadziwiająca mądrość zapewne już to wyjaśniła!

Odgadł zatem nasze zamysły. Sądził, że zrezygnowaliśmy z poszukiwań i nareszcie wypoczniemy. Nie odpowiedziałem mu; biednego Halefa jednak zbyt wiele kosztowało milczenie. Wykrzyknął:

- Wróciliśmy wyłącznie po to, aby ci obiecać, że za każdego trupa, którego znajdziemy, wyliczę ci po pięć razy na pięty! Było tak, jak sądziłem; ślady karawany wiodły stąd dalej i łączyły się ze śladami rozbójników. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i natrafiliśmy na okrwawione miejsce napadu. Jak teraz mogłem skonstatować, choć było znać ślady stóp i kopyt, nie były to jednak ślady zaciętej walki. Persowie nie usiłowali nawet się bronić; tchórze, posiadali tyle odwagi, co ich pan, który uważał się za mężnego wojownika! Miejsce utarczki było oddalone zaledwie o jakieś dwieście metrów od ruin; wiodły tam ślady stóp, tak głęboko wyciśnięte, że zwróciłem się do Halefa:

- Tiwpy zanesiono tam, za mury.

- Dlaczego tak sądzisz, effendi?

- Ślady stóp człowieka, idącego bez ciężarów, nie odciskają się tak głęboko. 'I~ oto są głębokie, gdyż ludzie, którzy je wycisnęli, dźwigali zwłoki.

- Czy znajdziemy trupy?

- Naturalnie! Cieleśna powłoka człowieka nie rozplywa się w eterze, jak dusza. Chodź!

Doszedłszy do celu, zauważyłem, że trop koficzy się na stosie cegieł koło muru, który składał się ze spojonych asfaltem kamieni. Zsiadliśmy z koni i dostrzegli, po usunięciu kilkunastu cegieł, szeroki,

wyso-kości przeszło metiowej, otwór, który prawdopodobnie wiódł do wnętrza. Pochylony, wszedłem do środka; nozdrza moje uderzył spe-cyficzny zaduch, zwiastujący bliskie sąsiedztwo trupów, choćby mają-369 cych zaledwie parę godzin.

Szedłem naprzód powoli, ostrożnie, badając rękoma ściany. Kory-tarz wiódł coraz niżej i niżej. Pod nogami rniałem piasek, ściany i sufit stanowiłyjednolity mur asfaltowy. Zatem był to kanał, którym dopro-wadzano do Birs wodę z Eufratu. Dlatego też leżał tu piach, którego ubywało, im głębiej posuwałem się wzdłuż ścian. Zrobiłem zapewne około czterdziestu metrów; nie miałem już piasku pod nogami, podłoga była gładka i ubita. Nastąpiłem teraz na coś twardego, nachyliłem się. Ręce moje dotknęły nagiego ciała. Przypomniałem sobie, że wziąłem pochodnię i zapalki. Zaświeciłem i ujrzałem trupy jedenastu Persów, którym nie pozostawiono ani jednej sztuki odzieży. Aczkolwiek byłem przyzwyczajony do podo-bnych widoków, poczułem się wstrząśnięty do głębi. Stałem sam jeden w podziemnym kanale wieży babilofiskej, wobec nagich okrwawio-nych trupów, Światło rzucało długie, ponure cienie, które załamywały się na strasznych obliczach. Nieznana głębia kanału wydawała się zamieszkała przez tysiące złych demonów. Przy tym ten duszący, cikliwy, zabijający zapach! Nie mógł zresztą pochodzić od zwłok Per-sów, które były dopiero w początkowym stadium rozkładu. Postano-wiłem więc poznać przyczynę zaduchu. Przeszedłem nad trupami, gdyż nie było wolnego miejsca obok i udałem się na dalsze poszuki-wania.

Znalazłem się teraz w wielkim wspólnym grobie. Kości ludzkie, czaszki i nawet szkielety całe leżały pomieszane. Za każdym krokiem nogi moje stąpały po szczątkach ludzkich. Zawróciłem szybciej, niż szedłem naprzód. Zatem Beduini Ghazai zwozili tutaj wszystkich pornordowanych przez siebie ludzi, aby ukryć ślady swoich zbrodni! Ogarnęła mnie wściekłość; postanowiłem spełnić pogroźkę Halefa.

Mbj przyjaciel oczekiwał mnie z niecierpliwością u wylotu kanału.

Ujrzawszy mnie, wykrzyknął przerażony:

- Jak ty wyglądasz, sidi?! Jesteś blady, jak trup, pomimo swej ogorzałej cery. Czyś znalazł zamordowanych? 370

- Znalazłem.

- I tak się zląkłeś kilku nieboszczyków?

- Ja, bać się?! Nie znałem jeszcze strachu przed żyw~ymi, tym bardziej chyba nie zląkłbym się nieszczęśliwych umarlaków. Lecz ten straszny zapach trupi przyprawił mnie o mdłości.

- Cóż tam ujrzał, opowiedz!

- 'I~raz nie mogę, muszę śpieszyć do Beduinów, aby ei sprawić radość, wielką radość!

- Jaką?

- Nie pytaj, lecz chodź!

Dosiedliśmy koni i pojechali do obozu. Stary Ghazai zdawał się być przekonany o bezcelowości naszych poszukiwań, gdyż, zaledwie zdążyłem zeskoczyć z siodła, zapytał mnie ironicznie:

- Czy Allah poprowadził was po właściwej drodze? 'liwoja twarz jest tak wesoła i szczęśliwa, że spodziewam się rychło batów. Jakże się z tego cieszę!

Nie odrzekłem mu nic, lecz zwróciłem się do Halefa:

- Ile cięgów mu przyrzekłeś?

- Pięć za każdego trupa, razem więc pięćdziesiąt pięć - odparł ochotczo Hadzi.

- Natychmiast mu je odmierzysz! A po nim każdy z jego ludzi otrzyma po trzydzieści; ale walić tęgo; by im stopy popękały!

Stary zawołał ku mnie:

- Nie poważcie się nas dotykać! Gdzie są trupy ludzi przez nas zamordowanych? Wskaż je nam!

- Znaleźliśmy je w ruinach obok kości tych, których przedtem zgładziliście ze świata - odrzekłem.

- livoja przekłeta gęba jest siedliskiem kłamstwa, a twój szalony mózg tworzy słowa niezgodne z prawdą, które ... Nie dokoczył, lecz przerwał swe słowa przeraźliwym l~zykiem, gdyż, doprowadzony wreszcie do ostateczności, wywałem małemu Hadziemmu bicz z za pasa i wymierzyłem łotrowi takie uderzenie w 371 twarz, że natychmiast skóra na niej pękła, a krew puściła mu się z obu policzków.

- Hamdullillah, mój effendi ma rację! - promieniał Halef. - Jeden j est tylko język, którym można się posługiwać z tymi bezecnymi, to jest język bata, który jest bardziej przekonujący, dosadniejszy i wymowniejszy, aniżeli wszelki inny dialekt. Sidi, od czasu, jak ciebie znam, wypowiedziałeś teraz najpiękniejsze słowa; zawierają prawdziwą mądrość, która przechodzi wszystkie wiadomości i rozsądki świa-ta! Czy mam wykonać szczęśliwe dokończenie twego dobroczynnego początku?

- 'Idk. Oto masz znak władzy, którą tobie przekazuję, - rzekłem, zwracając mu bicz. - Nie jestem zwolennikiem surowych kar, ale te psy zasłużyły sobie nawet na coś gorszego, niż wygarbowanie skóry. Stary otrzyma swoje pięćdziesiąt pięć, a każdy inny po trzydzieści, a jeżeli któryś z nich odważy się powołać na to, że jako wolny Beduin, nie powinien być bity,

zaczynjcie jeszcze raz od początku! Słyszysz, Halefie?

- Czy ja słyszę, sidi! Słyszę tak wyraźnie, jak gdybyś mi to zatrąbił w same uszy przez dziesięciomilowej długości trąbę i jeszcze dwadzieścia razy dłuższy puzon! Przekonasz się, jak skrupulatnie spełnię twe życzenie!

- Mnie nie będzie przy tym, gdyż w tym czasie wyjadę naprzeciw paszy.

- Ach, jaka szkoda! Ale wiem, że możesz takie kary tylko kazać wykonać, sam jednak przy nich być nie umiesz. Możesz mimo to z całym spokojem się oddalić, albowiem wykonanie wyroku spoczywa w jak najlepszych rękach!

Byłem o prawdziwości tych słów równie całkowicie przekonany, jak i o tym, że podczas naszej nieobecności binbasi doskonale obsłużył Sefira, gdyż ten leżał na ziemi drżący z bólu, zwinięty w kłębek jak jeź i jęczał prawie bez przerwy. Czuł teraz, czego przedtem nie chciał przyznać: początek zapowiedzianego przeze mnie sądu nad sobą.

372

Amuhd Mahuli sądził, że mam litość nad obitym psem, zapytał mnie bowiem:

- Oblicze twoje, effendi, jest tak poważne i surowe. Uważasz może, że byliśmy zbyt hojni z bastonadą?

- Nie, binbasi, nie jestem tego zdania, skoro jednak widzę kogoś, kto, mimo iż nazywa się człowiekiem, nie jest nim jednak, sprawia mi to wielką przykrość. Spójrz na niego! 'I~n łotr również jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga; cóż się jednak stało z tym obrazem?

- Słyszałeś z ust jego słowa, przy których zapewne ucho twoje tak samo cierpiało, jak moje; ale kiedy wyście się oddalili, a myśmy się dofi zabrali, wypadło nam słyszeć przekleństwa, które w piekle nie brzmią bardziej bluźnierczo. Ten człowiek jest zgubiony dla wieczności. Jeżeli się nie mylę, zabierasz się teraz w drogę na spotkanie paszy?

- 'Pdk. Wolę nie być świadkiem ponownej egzekucji.

- Czy zdasz mu sprawę z tego, co się tu wydarzyło dzisiejszej nocy?

- I'ak.

- Więc proszę cię, effendi, pamiętaj, byś przy tym o mnie przyjaź-nie wspomniał!

- Chętnie to uczynię.

- Czy mogę z tego wnioskować, że jesteś ze mnie zadowolony?

- Dałeś dowody, żeś dzielny, roztropny i sumienny żołnierz; za-dowolony jestem, że będę mógł to paszy powiedzieć.
- Dziękuję ci! Jak długo jeszcze pozostaniesz w Hilleh?
- Może wyruszymy już dzisiaj, może jutro.
- Jeżeli zostanieie do jutra, proszę cię serdecznie, byś mnie dzisiaj wieczór odwiedził. Czy mi okażesz tę wielką łaskę?
- Owszem, chętnie. Gdybyśmy nawet mogli już dzisiaj wyruszyć, to jednak zostanę do jutra, aby spełnić twe życzenie.
- Jestem szczęśliwy effendi! Oby cię Allah pobłogosławił za to dobrodziejstwo!

Powiedziawszy to powrócił do swoich ludzi, którym właśnie Halef dawał wskazówki odnośnie postanowionej chłosty. Nie chciałem mieć 373 z tym nic wspólnego i natychmiast ruszyłem z kopyta. Po godzinie jazdy, ukazała się naprzeciwko mnie grupa jeźdźców. Był to pasza w towarzystwie kilku oficerów i żołnierza, którego doń wysłaliśmy. Gdy się do mnie zbliżył, podał mi rękę, skinął głową z uśmiechem i rzekł po niemiecku:

- Miał pan powodzenie, jak słyszę? Dosiadłem, oczywiście, natychmiast konia, aby spełnić pafiskie życzenie.
- Więcej powodzenia, niż sobie wasza wysokość wyobraża, - odrzekłem. - I dlatego pozwoliłem sobie prosić o obecność pana.
- Chętnie przybywam. Sprawy w Hilleh tak dalece postąpiły naprzód, że mogłem się oddalić na kilka godzin. Czy wszystko gładko przeszło?
- Jeżeli nie gładko, to w każdym razie ku memu całkowitemu zadowoleniu. Wzięliśmy w niewolę całe towarzystwo.
- Czy Persa, którego zwiecie Sefirem, również?
- 'Iak.
- Ale chodzi przede wszystkim o to, by mieć nie tylko jego osobę, lecz również dowody!
- Tych jest więcej, niż dosyć!
- Pewne, niezbite?
- 'I'dk przekonywujące, że już otrzymał bastonadę.

- Kazał go pan obić? Gdybym nie miał do czynienia z panem, zapytałbym, czy ma pan ku temu prawo.

- Wolę więc zaraz przyznać się, że, gdy wyjeżdżałem, zabierano się właśnie do chłosty pozostałych wziętych do niewoli piętnastu drabów.

- Odrazu piętnaście osób? I bez sędziowskiego upoważnienia, czy też zezwolenia? Drogi przyjacielu, czy będzie pan mógł to uzasadnić?

- Uzasadnić? Ba! Nie znajdujemy się wszak w Stambule lub Paryżu, Wiedniu, czy też innej jakiejś europejskiej stolicy, lecz wśród zbójów i morderców, wobec ludności, która mimo waszych kodeksów postępuje tylko według prawa zwyczajowego: oko za oko, krew za

374 krew. Sędziowskie upoważnienie lub zezwolenie? Jak stoi sprawa z tutejszymi sędziami wie pan, sądzę, tak samo, jak i ja. A jeśli chodzi o moją odpowiedzialność! - uderzyłem ręką po broni i ciągnąłem dalej: - tu tkwi odpowiedzialność. Kto ją chce mieć, może ją otrzy-mać i otrzyma. Skoro oddycham w atmosferze haniebnych czynów i przestępstw i raz pozwalam sobie na stworzenie dobrego, świeżego powietrza, by się nie udławić, to niechże teraz przyjdą przedstawiciele prawa, ponoszący odpowiedzialność za zatrucie tej atmosfery i po-ciągnął mnie do odpowiedzialności. 'Idk się im przysłużę, że mnie będą mieli więcej, niż dosyć!

- No, no, no! - zaśmiał się. - Ależ uspokój się pan! Znam pana i ani przez myśl mi nie przeszło, ażeby pana chcieć obrazić lub skrzywdzić. Dobrześ zarządził i wszystko ma być wykonane. Miesz-kam w rezydencji kalifa, przeto wybaczy mi pan, że wspomniał o sędzim i odpowiedzialności. No, czy się już pan udobruchał?

- Całkiem zbyteczne pytanie! Musiałem brodzić w moralnym błocie i kiedy go nie traktuję jako coś pięknego i wzniosłego, lecz j edynie jako brud, to jest to moje zwykłe ludzkie prawo. Zresztą, kiedy już mówię o takwymśmienitej materii, muszę panu wspomnieć również, że odkryłem nie tylko brud, lecz także i skarbiec, którego wartość można, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ocenić na setki ty-sięcy.

- Skarbiec? Jak pan to rozumie?

- Rozumiem to całkiem dosłownie, a mianowicie składający się z kilku pokojów magazyn, w którym znajdują się różnego rodzaju towary i przedmioty. Są tam także pieniądze i drogocenne kamienie.

- Co pan powiada? Czy ma to być skład przemytników.

- Nie inaczej.

- I pieniądze są?

- Owszem.

- I to ma przedstawiać tak niezwykle wysoką wartość?

- Nie ma przedstawiać, lecz przedstawia w rzeczywistości.

375

- A więc wartość pańskiej zdobyczy i tego, coś znalazł, nie mają sobie równych! Jakże pan tego dokonał? Proszę, opowiedz mi! Złożyłem wyczerpujące sprawozdanie, nie wspominając wszakże o tajemniczym związku, zachodzącym międzysillanami a moimi odnoś-nie tej sprawy domysłami. Uznałem mówienie o tym nie tylko za bezużyteczne, lecz za zgoła niemądre, gdyż wówczas tylko mogłem liczyć na powodzenie, gdy całkowicie zostanie przemilczane, że sprawy sillanów nie są dla mnie zupełną tajemnicą. I tak uwaga paszy wzrastała z minuty na minutę; przerywał mi też dość często wyrazami zdumienia i podziwu; gdym opowiadał o odkryciu trupów, tak żywo przedstawił sobie moją sytuację, że sam zbladł; a gdy wreszcie doda-łem, że pełen oburzenia na tę rzeź ludzkich istot, natychmiast zawró-ciłem i wydałem rozkaz wychłostania morderców, zawołał:

- 'Ib było słuszne, effendi, to było bardzo, bardzo słuszne! Ja bym tak samo, zupełnie tak samo postąpił! 'I~ psy musiały otrzymać baty, potężne baty i to natychmiast! 'I~raz ja pana bardzo przepraszam za sędziego i odpowiedzialność, albowiem działał pan całkowicie we- dług mojej myśli i gdy tam teraz przybędziemy, a zauważę, że ciało któregośkolwiek z tych łajdaków ma jeszcze kawałek wolnego miejsca

' na cięgi, każę mu je natychmiast wymierzyć. 'I~n Sefir to istny diabeł;

on to ma również na swym sumieniu sandżakiego, którego skłonił do

przystąpienia do bandy; zapewniam pana, że stanowczo, bez względu

na jakiegokolwiek umowy państwowe, nie wypuszczę go ze swych rąk,

mimo że jest perskim poddanym. Krótka się z nim rozprawię. Zosta-

nie powieszony, powieszony, powieszony, nawet gdyby był bratem

szachinszacha, albo też nim samym! 'Ihkie kreatury wyrzekły się

wspólnoty ze społeczeństwem ludzkim i powinny być też traktowane nie jak ludzie, lecz jak bestie.

Widzę ich już wszystkich swymi oczyma, które się rzadko myślą, na stryczku. 'Pdk! A teraz

pośpieszmy się! Dał koniowi ostrogę, aczkolwiek zyskaliśmy przez to jedynie kilka minut, gdyż już w czasie rozmowy zarysował się z dala przed nami Birs Nimrud.

Chciałem go przede wszystkim zaprowadzić na miejsce, gdzie wszedłem do wnętrza Birsu wraz z ochmistrem; nie zgodził się jednak.

- Przede wszystkim, w pierwszym rzędzie - rzekł - chcę zobaczyć Sefira, Beduinów Ghasai i przemytników, gdyż pragnę z nimi też słówko zamienić!

‘Pdka stanowczo~ malowała się na jego obliczu, że nie dałbym w tej chwili piasra za życie tych wszystkich, których wymienił. Wyglądał w mych oczach niczym nieubłagane ucieśnienie fiat iustitia. Skoro dotychczasowy kol agasi a obecny binbasi, zauważył nas, zrobił zbiórkę swego oddziału. Pasza ledwie zwrócił na to uwagę, odsalutował, zeskoczył z konia i przystąpił do Sefira, który związany już normalnie, leżał wyciągnięty na ziemi.

- Psie, czyś napadł na karawanę Piszkhidmet baszi? - zapytał go.

‘li~arz zagadniętego miała tak zezwierzęcony wyraz, że rzuciwszy nafi okiem, natychmiast się odwróciłem. Sefir ryknął jak wściekły buhaj:

- Sam jesteś psem; bądź przeklęty!

Wówczas pasza rozkazał majorowi:

- Zapłacić mu za tę odpowiedź! Jego nogi, jak widzę, skosztowały już kija, dajcie mu jeszcze trzydzieści pałek, ale już nie bastonadę!

Po czy zwrócił się do starego Ghasai:

- Czyś ty napadł na karawanę Piszkhidmet baszi?

- Nie! - brzmiała odpowiedź.

- Jeszcze dwadzieścia pałek!

I tak pytał jednego Ghazai po drugim; za każdym razem odpowia-dano mu „nie”, on zaś powtarzał

nieodwołalnie ten sam rozkaz:

„jeszcze dwadzieścia pałek!”

Następnie skierował do zebranych przemytników głośne pytanie:

- Czyście przemycali?

- ‘Pdk - odrzekli wszyscy, jak jeden mąż. Woleli otwarcie się przyznać by uniknąć różg, których się bali. Z drugiej strony, nie

377 spodziewali się tak surowej kary, jaką otrzymali Ghazai, byli wszak tylko przemytnikami.

- Czy Sefir jest waszym wodzem? - - pytał dalej pasza.

- ‘1’dk.

- Czy macie określone prawa, którym musicie być posłuszni?

- ‘Pak.

- Czy możecie mi je podać?

- Nie.

- Jaka kara grozi za wydanie tych praw?

- Śmier~.

- A więc słuchajcie, co wam powiem! Wasz wódz jest uwięziony i zostanie ukarany śmiercią; jest więc dla was nieszkodliwy. Jeśli zdradzicie mi wasze prawa, wstawię się za wami u sędziego; jeżeli nato-miast nie wyjawicie mi ich, każdy z was otrzyma teraz po pięćdziesiąt różg, a potem najsurowszą, jaka tylko bywa, karę. A więc odpowiadajcie! Chcecie mi zdradzić wasze prawa?

- ‘Pdk! - zawołali wszyscy.

- Wasze szczę~cie! Ja dotrzymam słowa. A jeżeli rzeczywiście okażecie się szczerzy, będę miał dla was jeszcze jedną dobrą nowinę. ‘I~raz miał pasza dość czasu, ażeby się dać przeze mnie oprowadzić. Nikt, prócz Halefa, nie powinien był nam towarzyszyć. Kiedy wspina-liśmy się na pagórek, my dwaj z przodu, a pasza za nami, Hadzi zapytał mnie tak, by generał tego nie usłyszał:

- Czyś mu wszystko opowiedział, sidi?

- Wszystko, co musi wiedzieć, nic poza tym. Nie mów mu więc nic o sillanach, o naszych pierścieniach i innych tajemnicach.
- Będę się pilnował! Ciekaw jestem, czy pasza odkryje wejście.
- Jestem przekonany, że nie odnajdzie tego miejsca. Inne oczy są do tego potrzebne, niż jego.

Okazało się, że miałem rację. Kiedyśmy przybyli na górę i powiedziałem generałowi, że znajduje się w pobliżu szczeliny zamkniętego otworu, szukał dłuższy czas, nie mogąc jednak znaleźć wspomnianego 378 miejsca. Zniecierpliwiał się wreszcie i rzekł:

- Człowiek, który dopasował te cegły, musi być więcej niż ostrożny! Nie mogę nic odkryć; musisz mi wskazać to miejsce. Tykał mnie teraz, gdyż mówił ze względu na Halefa po arabsku. Do usunięcia pierwszej cegły posłużył mi nóż; pozostałe mogłem już wyjmować gołą ręką. 'I~k je ułożyłem, jedną obok drugiej, żeby po-tem, przy zasłanianiu otworu, nie pomylił się. Osman Pasza przyglądał się z ciekawością; zainteresowanie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy odłonił całkowicie i gdy oczy jego padły na znajdujące się tam przedmioty.

Mieliśmy, naturalnie ze sobą pochodnie. Ponieważ jednak nie wystarczały generałowi, zanieśliśmy znajdujące się w wielkiej ilości w niszy lampy do komnat, gdzie je zapaliliśmy. Jakże zrobił generał, gdy wszedł do tych komnat i rzucił okiem na wszystko, co tam leżało! Nie mógł wyjść ze zdumienia. Acóż dopiero, kiedyśmy mu pokazywali pojedyncze przedmioty!

- Miałaś słusność! - przyznał. - Tii leży skarb, cały skarb.

Któżby pomyślał!

- Jeden o tym wiedział - zauważyłem.
- Kto?
- Mój stary major z Bagdadu, o którym ci opowiedziałem.
- I'ak, słusznie! Tego człowieka musimy bardzo surowo ukarać.
- Ukarać? Dlaczego?
- Dlatego, że nie poinformował władzy o tym składzie.
- Wszak nie mógł, gdyż ślubował milczenie. Miast kary, zasługuje raczej na możliwie wysokie wynagrodzenie, gdyż tylko jemu mamy do zawdzięczenia odkrycie tego miejsca. Najmniejsze

jednak, co możemy dlań uczynić i uczynić musimy, jest wypłacenie mu tej sumy, którą na nim wymusił Sefir.

- Jak wysoka jest?

- 'I-go nie wiem; nie powiedział mi tego. Ja zaś uważałem za nietakt o to go pytać. 379

- A więc nagroda zamiast kary?

- 'Pak. Będę cię, choć bez jego upoważnienia, prosił o pozwolenie opowiedzenia interesującej, lecz jakże tragicznej przeszłości tego człowieka; wówczas zrozumiesz moje nim zainteresowanie się i wsta-wiennictwo. On był także chrześcijaninem i stał się oficerem padysza-cha, gdyż ...

- Dobrze, dobrze, nie teraz! - przerwał generał, gdyż zrozumiał zamierzone przeze mnie porównanie: - Potem zdasz mi o nim szczegółowe sprawozdanie; na teraz wystarczy mi w zupełności, że ty się za nim wstawiasz. Przypisujesz jemu zasługę odkrycia tego miej-sca, podczas gdy ty sam jeste~ tym człowiekiem, któremu my to zawdzięczamy. Wezmę więcw takiej mierze pod uwagę twoją przyjaźń i staranie o starego jak sobie tego życzysz. Dla przywrócenia wszakże staremu poniesionej szkody potrzeba nam pieniędzy. Czyś nie powie-dział, że również i one się tu znajdują?

- 'Pak, są tu w skrzyni. Proszę, chodź!

Miałem klucz i otworzyłem skrzynię. 'Ib był moment, w którym zdumienie paszy dosięgło kulminacyjnego punktu. 'Iwało dość długą chwilę, zanim mógł ze spokojem zbadać i przejrzeć zawartość skrzyni. Przede wszystkim przeliczył pieniądze. Była bardzo, bardzo wysoka suma. Potem zainteresował się kamieniami i klejnotami.

- Nie mogę się doprawdy dość nadziwić! - zawołał. - 'I;n Sefir był na pewno przekonany, że odkrycie tego miejsca jest całkowicie wykluczone. Nie miałem, rzeczywiście, wyobrażenia o tym, że prze-mytnictwo odbywa się na tak wysoką skalę i jest tak zdumiewająco popłatnym interesem. Chciałbym wiedzieć, czy ten łajdak trzymał tu cały swój majątek, czy też ma więcej takich składów!

- Może się czegoś w tym wypadku dowiemy od przemytników. Nie sędzę, aby Sefir był jedynym przedsiębiorcą, szefem tego interesu. Posłaniec, którego wysłał wczoraj, a raczej dzisiaj w nocy do sandza-kiego, należy prawdopodobnie również do spółki. Być może, przed-siębiorcą jest całe towarzystwo ludzi bogatych, wysoko postawionych.

380

'I'dkie jest moje zdanie.

- Więc proszę cię, byś mi nieco szczegółowiej o tym powiedział.

Jak dobrze, że nikt inny nie odkrył tych rzeczy! Tb wprost nieprzezwy-ciężona próba, widzieć te rzeczy i nie chcieć ich sobie przywłaszczyć!

- Nie dla nas - wtrącił Halef. - Ja sobie pozwoliłem jedynie na krótką uwagę, jakby się uradowała Hanneh, szczęście mojego życia i najwspanialsza róża spośród wszystkich kwiatów pafistwa roślinnego, gdyby swe cudne ramię mogła przyozdobić tą bransoletą, która tam leży obok twej prawej ręki. Ale trzeba ci było usłyszeć przy tym mego effendiego!

- Jaką bransoletą? I'ą tutaj? - zapytał pasza, wyjmując ją ze skrzyni.

- 'Idk.

- Władczyni twego haremu nazywa się Hanneh?

- 'Pdk. Ona jest rozkoszą moich oczu, duszą mego ciała, słońcem moich dni ...

Prawił tak długą jeszcze chwilę, by przekonać paszę w poetycznych wyrazach, że Hanneh jest nieporównaną i najwyśmienitszą kobietą na świecie. Osman Pasza wręczył mu bransoletę i rzekł:

- Weź więc, niechaj to się stanie własnością Hanneh, drogi Hadzi!

Zawieź jej to, by widok tej bransolety radował jej oczy. Nie rób tylko żadnych ceregieli! Zapewniam cię, że mam prawo zrobić ci ten pre-zent. Wszystko, co się tutaj znajduje należy do padyszacha, którego zastępcą ja jestem; mogę więc działać, jak mi się podoba. Znacnie wszak nasze stosunki. Droga do Stambułu jest daleka i to co ja chcę darować komuś, kto na to rzeczywiście zasłużył, nie powinno po drodze zniknąć w rękach osób całkiem niepowołanych. Miał słuszność. Tbęż Halef nie wzdragał się; szybko naprawił ten nieco nadmierny pośpiech obsypując paszę wyrazami wdzięczności. Osman zwrócił się również do mnie z propozycją, bym sobie wziął jaką pamiątkę; odmówiłem jednak. O tym, że wziąłem obraz, prze-milczałem, w przeciwnym bowiem razie byłbym zmuszony podać 381 przyczyny mego postępku. Nie uważałem tego wszystkiego za włas-noś~ padyszacha, lecz za dobra tym chwilowo tylko bezpańskie. Kieł-kowało we mnie niejasne przeczucie, że podobizna Dżafara mirzy przysporzy mi jeszcze korzyści w trakcie mej podróży. Miałem nie-płonną nadzieję, że uda mi się go spotkać w Persji; chciałem wtedy zapytać go o łączność z sillanami, toYeż nic sobie nie robiłem z faktu przywłaszczenia portretu księcia perskiego.

Zwróciłem teraz uwagę na księgę buchalteryjną. Wyraził zdumie-nie ze znalezienia jej i ją przewracać uważnie kartki. Księga sięgała, jak wspomniałem, szereg lat wstecz. Pasza nagle

zatrzymał się, spoj-rzał uważniej na stronicę, którą tylko co otworzył i spytał mnie o nazwisko binbasiego z Bagdadu; gdy mu je wymieniłem, rzekł:

- Wygląda na to, jakby mnie napominano, ażebym mu zwrócił zrabowane mienie. ‘Ii oto znajduje się data, jego imię jak również suma okupu. ‘Pd buchalteria jest właściwie niesłychaną bezczelnością Sefira. Suma opiewa na pięć tysięcy tumanów perskich. Co zrobić?

- Czy chcesz mnie wysłuchać, hazretim?

- Owszem, jeżeli to nie potrwa zbyt długo.

Opowiedziałem mu w skrócie to, co stary major nam opowiedział w ów pamiętny wieczór na dachu swego domu; starałem się przy tym nastroić paszę możliwie najłaskawiej w stosunku do niego. I udało mi się, gdyż skoro tylko ukoficzyłem swój wywód, Osman Pasza skinął ku mnie przyjaźnie głową i rzekł:

- ‘Ii znowu znać Kara Ben Nemziego! Wzruszyłeś mnie. ‘Iieój stary dzielny przyjaciel nie tylko otrzyma to, co mu zabrano, lecz pomyślę również o nim i pod innym względem; porozumiem się w jego sprawie z paszą z Bagdadu. Kwotę, jaką mu zrabowano, posia-damy, wręczył bym ci ją natychmiast, ale wszak złoto jest ciężkie i nie chcę ci sprawiać kłopotu.

Halef szybko wtrącił:

- Kłopot? Dlaczegoż nie? Mamy wszak konie. Gdybyś nam dał nawet całą skrzynię, moglibyśmy ją też zabrać. Spróbuj tylko! Leży

382 dokoła dość płótna, w które moglibyśmy złoto zawinać. Natychmiast zrobię pakunek!

I rzeczywiście. Wkrótcc, pięć tysięcy tumanów leżało odliczonych i zapakowanych, a generał, którego rozśmieszyła gorliwość Halefa, poprosił mnie, abym mu natychmiast doniósł, gdyby się okazało, że suma zrabowana jest inna, aniżeli zapisana w księdze. Po czym ciągnął dalej:

- Ja, oczywiście, uprzątnę tu wszystko. Następnie przy pomocy prochu uczynimy miejsce niedostępne, ażeby uniemożliwić podo-bnym nocnym ptakom powtórne zagnieżdzenie się tutaj.’ Pdkże otwór, przez który wleźliście, musi być zasypany. Szajkę przemytników rów-nież rozsądzę na swój sposób. ‘I~raz natomiast wyjdźmy znova na światło dzienne. Muszę tam wykonać porządną robotę. Dałeś mi do niej normę postępowania: krew za krew.

Czy wypowiedział tymi słowy mój rzeczywisty pogląd, to mnie na razie nie obchodziło. Przekazałem mu wszystko i z zadowoleniem wycofałem się z kierownictwa całej sprawy. Co miało dalej nastąpić, nie było już naszą lecz jego rzeczą. Moja i Halefa robota była ukofi-czona.

Gdy wróciliśmy do obozu, świeżo upieczony major zameldował, że wyznaczone ciągi zostały wymierzone. To oznajmienie było zresztą całkiem zbędne, gdyż oko już nam powiedziało, co się tutaj działo. 'Ibraz, przede wszystkim, uprzątnięto z kanału trupy jedenastu Persów i sprowadzono je. Ich wygląd był tu, w świetle dnia, okropniej-szy, niż tam w ciemnym kanale. Na surowym nieruchomym obliczu paszy malowało się niezachwiane postanowienie. Zbliżył się do Sefira i spytał go, jak uprzednio:

- Czyś napadł na karawanę Piszkhidmet baszi?
- Nie! - ryknął tamten wściekle.
- Dobrze! Ponieważ nie przyznajesz się, jeszcze dziś zostaniesz powieszony!
- Jestem Persem! Nie zapominaj o tym!

- Jesteś mordercą, więc zostaniesz powieszony!

Po czym skierował to samo pytanie również do Ghazai. Nie zmiękli pod wpływem chłosty i odpowiedzieli przecząco.

- W takim razie i was się powiesi! - stwierdził. - Zwołam zaraz sąd.

- Nie waż się tego uczynić! - odparł stary lis. - Jesteśmy wolnymi Beduinami i podlegamy tylko własnym prawom!

- Zgadzam się z wami. A więc postąpię tak, jak chcecie! Jak brzmi wasze prawo odnośnie morderstwa?

- Krew za krew, życie za życie. Ale my nie jesteśmy mordercami!

- Czym wy jesteście, wiem doskonale; możecie się przyznać lub nie. Krew za krew! Zgoda! Zostaniecie więc rozstrzelani a nie powieszani!

- Śmiejemy się z tego! Plemię nasze pomści nas, a tego ty się wszak boisz!

- Łajdaków się nie obawiam! A jeżeli chcecie się śmiać, śmieJCie się już teraz! Za chwilę bowiem będzie za późno. Binbasi, czy znajduje się między twymi ludźmi muballir, odmawiający modlitwę?

- '1' dk, hazretim! - odrzekł zagadnięty.

- W takim razie wszystko może szybko się odbyć i nie trzeba będzie posyłać do miasta. Niechaj wystąpi! Daję tym krwawym psom Gl~azai, pomimo że nie zasłużyli na to, kwadrans czasu na przygotowanie się do śmierci przez rozstrzelanie. Mogą się śmiać albo modlić; wybór należy do nich.

Po tych słowach twarz jego nabrała znowu wyrazu przyjaznego. Skinął na mnie, bym z nim poszedł, zbliżył się do leżących na uboczu przemytników i zagadnął ich przytłumionym głosem:

- Ciężki popełniliście występki, bardzo ciężki i powinniście właściwie długo gnić w więzieniu; ale nie jesteście mordercami i otwarcie przyznaliście się do winy. Dlatego też postąpię z wami łagodnie i nadto obwieszczam wam, co następuje: z przemytnikami należy tak postępować, jak rozkazał padyszach; do tego jednak potrzeba, aby

384 każdy celnik znał wybiegi przemytników tak dokładnie, jak wy je znacie. Wobec tego mam zamiar uwolnić każdego z was od kary i uczynić go na domiar celnikiem, jeżeli się zgodzicie zdradzić mi wszystko co wiecie. Przy czym zwracam waszą uwagę, że jeżeli ktoś z was przy wypełnianiu swej nowej pracy, jako urzędnik celny, dopuści się jakiego oszustwa czy nieuczciwości, wówczas kara, która mu teraz grozi, zostanie nie tylko zastosowana, lecz w dwójnasób zaostrożona. Nie uwolni się więc was całkowicie od kary lecz warunkowo; uczciwe-mu kara zostanie darowana, a nieuczciwy odcierpi ją podwójnie. No, kto się z was zgadza?

‘Pdk radosnego „wszyscy!”, jakie w tej chwili zabrzmiało, nigdy jeszcze nie słyszałem. Pasza skinął, ujął mnie pod ramię, odprowadził na ubocze i spytał:

- Czy będzie się pan śmiać ze sposobu ukarania tych łajdaków?

- Nie. Jestem przekonany, że choć działał pan wbrew nakazom prawa, postąpił pan bezwzględnie dobrze i W ądrze.

- Tb wystarczy. Nie mam wyrzutów sumienia, że się minąłem z ustawą. Sam pan wszak powiedział, że nie jesteśmy ani w Stambule, ani w Paryżu. Inny kraj, inni ludzie i inne ich traktowanie. Dlatego właśnie wszyscy Ghazai zostaną rozstrzelani bez uprzedniej rozprawy sądowej. Czy chce pan być świadkiem egzekucji?

- O nie, proszę mnie zwolnić! Przybyliśmy tutaj, aby zwiedzić parę miejsc, które uprzednio poznaliśmy, lecz nie mieliśmy do tej pory na to czasu. Chcemy jeszcze dziś wieczorem być w Hilleh, przeto naj-wyższy czas ruszyć w drogę.

Halef wprawdzie byłby chętnie asystował przy rozstrzeliwaniu, ale nie chciał się przeciwstawiać memu postanowieniu. Ruszyliśmy tedy drogą z Kerbeli, pogrążeni we wspomnieniach owego pamiętnego a tak dla nas obfitego w przygody, dnia. Na to samo miejsce, gdzie podówczas zawróciliśmy, powróciliśmy także i teraz, jadąc dokładnie tą samą drogą, którą owego dnia przebyliśmy. Halef przypomniał teraz, iż tutaj dostrzegł we mnie pierwsze oznaki dżumy. Po chwili

13 - W lochach Babilonu 385

dotarliśmy do miejsca, gdzie odnaleźliśmy ciała zamordowanych nam bliskich. Zatrzymaliśmy się tutaj na czas dłuższy. Po czym podążyliśmy dalej w kierunku wieży, nie bezpośrednio wszakże, lecz objechaliśmy ją z południowej strony i przybyliśmy akurat w największy skwar nad małą wodę, której brzeg przez dłuższy czas służył nam za obóz szpitalny, albowiem zaraza nie oszczędziła wówczas i Halefa: Ponieważ znajdowała się tutaj trawa, zeskoczyliśmy z koni, aby im dać odpoczynek, sami zaś rozmawialiśmy o tych smut-nych dniach, któreśmy tu przeżyli: Następnie ruszyliśmy do ruin; u stóp których zgotowaliśmy wówczas zmarłym ostatni ziemski spoczynek: Zbyteczne nadmieniam, że Halef odmalowywał w czasie tej jazdy po miejscowościach pełnych bolesnych wspomnień swoje uczucia w najróżnorodniejszych barwach i zwrotach, snując zarazem najsmiel-sze nadzieje co do naszej obecnej podróży. Gdy potem zawróciliśmy do naszego obozu; dowiedzieliśmy się, że Osman Pasza znajduje się wraz z oficerami w Birs, ażeby dokonać spisu znajdujących się tam przedmiotów, które należało uprzątnąć. Posłał do miasta po juczne wielbłądy i żołnierzy, tych ostatnich dla złuzowania Amuhda Mahu-liego i jego ludzi; mieli przywieźć ze sobą wszystko, co było niezbędn-e dla pochowania Persów i ich morderców, którzy tymczasem~ pod naszą nieobecność, zostali rozstrzelani.

Sefir cicho leżał skulony na swoim miejscu; nie troszczyłem się więcej o niego. Piszkhidmet baszi zapytał mnie, jak jest z jego włas-nością, której domagał się z powrotem; wskazałem krótko na genera-ła. Co się tyczy przemytników, to zostali zwolnieni ze swych więzów i pilnie teraz pracowali nad tym, by wydobyć z podziemnych składów towary, które nazwozili w czasie swoich nocnych wypraw. Binbasi doniósł mi; że złuzowanie wkrótce nastąpi i że wraca do Hilleh; przyrzekłem mu towarzyszyć i do rana bye jego.. gościem. Pozostawiliśmy uprzednio pakunek z pięciu tysiącami tumanów w podziemnym skarbcu; .gdyż były tam zupełnie bezpieczne; teraz zaś udaliśmy się tam, . by je zabrać. Uprzątnięcie podziemi szło bardzo 386 żwawo. Gdy pasza się dowiedział, że zamierzam się wkrótce udać się do miasta; zaprosił mnie, abym zamieszkał w „pałacu rządowym”; zmuszony byłem jednak odmówi~ wobec uprzednio danego binbasie-mu słowa. Ażeby rozproszyć te obawy; generał oświadczył mi, że nie czuje się z tego powodu bynajmniej dotknięty; przy nawale pracy i tak nie byłby w stanie dostatecznie mną się z~:jąc tego wieczora. Skorzy-stałem teraz ze sposobności, by opowiedzieć mu to o czym całkowicie zapomniałem,..mianowicie, że dla zaostrenia gorliwości żołnierzy przy zdobywaniu Birsu, przyrzekłem każdemu z nich po sto, a podofi-cerom po dwieście piastrów. Pochwalił to i natychmiast wypłacił mi ze znalezionych pieniędzy odnośną sumę.

Ośmielony tą gotowością, opowiedziałem mu również; jak długo dotychczasowy chorąży był bez żołdu. Odrzekł mi niby,żartem, a w gruncie rzeczy poważną uwagą:

- ‘ Pan wydajesz się chcieć rozlać po całym świecie szczęście wieży babilofiskiej. Powstrzymaj się pan; gdyż źródło, które~ tu odkrył, może się wyczerpa~! Proszę, oto pieniądze dla niego w dowód uznania jego zasług, nie zaś jako zaległa gaża, o wypłatę której jutro się dodatkowo zatroszezę.

Podał mi ze skrzyni rękę pełną złotych monet. Podziękowałem serdecznie i pożegnałem się z nim na dzisiejszy wieczór. Halef zniósł z Birs Nimrud ciężki pakunek pieniędzy naszego bagdadzkiego przyjaciela w wielką dumą.

Jakże się radował Amuhd Mahuli że złotych tumanów, które mu przyniosłem! A kiedy potem zacząłem rozdzielać pr7yobiecane pre-mie; rada~ć jego ludzi była także ogromna:

Wkrbtee potem nastąpiło złuzowanie; po czym ~puścili~my wraz z naszymi kawalerzystami „starą Babel”, która również i tyrn razem tak nam źle życzyła. Ochmistrz pozostał, aby skierowa~ swe żądanie do paszy. Byłem z tego zadowolony, gdyż nie chciałem już o tym ezłowie-ku nic więcej słyszee.

Wiadomość o naszej nocnej jeździe do Birs Nimrud, jej celu oraz powodzeniu wyprawy rozeszła się szybko po mieście; toteż niezliczo-na ilość ludzi wyległa nas oglądać, przyjmując co prawda bynajmniej nie gromkimi okrzykami. Że przeklęty chrześcijanin, który niedawno temu stawał oskarżony przed sądem i nie dał się zgnębiE, osiągnął teraz tak wielkie powodzenie, to w żadnym wypadku nie mogło się spodobać szyitom, zwłaszcza że wielu z nich było zapewne sprzymie-żaficami przemysłników. ‘Ibteż widziałem, że większość oczu spoglą-dająca na nas nie była przyjeźnie, lecz złowrogo względem nas uspo-sobiona.

Binbasi zamieszkiwał mały, stary domek, w podwórzu którego umieściliśmy nasze konie. Pokój gościnny, jaki nam przygotował, był właściwie tylko kątem, a jednak czuliśmy się u niego niezwykle do-brze. Amuhd Mahuli, z ostrożności przed nienawistnie do nas uspo-sobioną ludnością zarządził strażę na wieczór i całą noc; mieliśmy więc zapewniony spokój. W wielkiej serdeczności przedstawił nam swój harem, żonę i dzieci, ludzi prostych, lecz dobrych, którym obecna poprawa losu nie mieściła się jeszcze w głowie. Spędziliśmy ciekawie wieczór. Gdy rano podnieśliśmy się z nie-szczęólnego posłania, gospodarz nasz zdążył już być u paszy aby się u niego dowiedzieć, że ma wyruszyć do Bagdadu w celu wręczenia tamtejszemu paszy pisemnego sprawozdania z wczorajszych wyda-rzeń, przy czym może mu na żądanie udzielić obszernej ustnej relacji. Generał chciał mi tym sprawić miłą niespodziankę, gdyż niezmiernie się ucieszyłem, że będę miał binbasiego za towarzysza podróży.

Przed odjazdem udałem się, oczywiście, do „paiacu rządowego”

ażeby się pożegnać z Osmanem Paszą i złożyć mu swe podziękowanie. Wyraził nadzieję zobaczenia mnie u siebie w Stambule w czasie mej powrotnej drogi z Persji i doniósł mi wszystko, czego się jeszcze wczoraj dowiedział od warunkowo ułaskawionych przemysłników. Dla niego było to wiele, dla mnie zaś nic, co by mi mogło wyjaśnić lub być pomocnym przy wyświehleniu sprawy szllanów i Róży z Szirazu. Drogę naszą do Bagdadu mogę przemilczeć; nie przyniosła nam 388 nic ciekawego. Ale kiedy rozstaliśmy się z Amuhdem Mahulim, który musiał się udać do paszy i stanęliśmy przed gościnną bramą, słysząc zza muru wlokącego się powoli starego majora, rzekł Halef:

-‘Ibraz dopiero rozpoczną się okrzyki zdumienia! Pozwól mi mówić, a ty milcz, sidi! Proszę

cię oto serdecznie, bardzo serdecznie!

Ukazał się długi nos i stara, blada, ale sympatyczna twarz:

-1b my, my! - oznaj mił Hadzi.

Niezrozumiale dla mnie wyrażony okrzyk radości wydobył się z pomiędzy cienkich bezkrwistych warg; po czym rozwarła się brama. Halef natychmiast podjechał aż do samych drzwi domu, zsiadł z konia odwiązał pakunek pieniędzy z siodła i zawołał:

- Chodźcie do pokoju! Przedtem ani słowa!

I skierował swe kroki do pokoju majora; ten szedł za nim bez słowa. Zaledwieśmy weszli, dał się za nami słyszeć ciężki oddech, jakby z głębi płuc człowieka, który biegł galopem dwie godziny; to zmęczenie było całkiem zrozumiałe, gdyż nadszedł gruby Kepek.

Halef zapytał teraz binbasiego:

- Czy przypominasz sobie wszystko, cośmy mówili?

-1'dk - skinął major.

- Powiedziałem ci wtedy, że nigdy nie wejdę do Birs Nimrud bez bicza. Rzekłem również, że pragnąłbym, by Sefir sprbował uwięzić nas w Birs, a przekonałbyś się, jak szybko się uwolnimy z rąk tego łotra i sami go uwięzimy. Czy przypominasz sobie to wszystko?

-'Pdk.

- Jak wysoka była suma, którą ci wówczas Seir zrabował?

- Równe dwieście tysięcy piestrów - odpowiedział staruszek, nie mogąc jeszcze połapać się w promieniejącym radością obliczu Ha-dziego.

- Czy suma ta równa się pięciu tysiącom perskich tumanów?

-'1'dk, równa się.

-Awięc słuchaj ! Byliśmy więźniami Sefira ... ! Ja zabrałem ze sobą mój korbacz do wieży ... ! Uwolniliśmy się ... ! Sefira myśmy uwięzili,

14 - W lochach Babilonu 389

związali i oGwiczili ... ! Musiał pieniądze zwrócić i zostanie powieszony ... ! Tyle tylko chciałem ci na razie powiedzieć. Jesteśmy z powrotem i zwalniamy cię również z przysięgi, że będziesz milczał i nie opuścisz Bagdadu; jest już teraz zbyt późno, gdyż banda została wytępiona i nikt ci nie będzie już szkodził.

W tej chwili usłyszałem za sobą coś ciężko padającego. Odwróciłem się i ujrzałem leżącego na ziemi grubego służącego, którego ręce i nogi konwulsyjnie drżały. Upadł z radosnego przerażenia. Podniosłem go, zużywając przy tym wszystkie moje siły. Gdy tylko wstał, podbiegł do Halefa, wyrwał mu paczkę z ręki i kiwając się jak kaczka wybiegł szybko bez słowa z pokoju. 'Iłusty przezornie chciał przede wszystkim zabezpieczyć złoto w czym mu nikt nawet własny pan, nie przeszkodził.

'I~n stał przed nami jak posąg . Z rozwartymi oczyma spoglądał to na mnie to na Halefa.

- Więc ... wy ... byliście ... w ... ? - spytał wreszcie, nie mogąc wszakże dokonać zdania.

- 'I'dk - potwierdziłem. - Jest wszystko tak, jak Halef powiedział. Otrzymałeś swe pieniądze z powrotem, Sefir zaś został na zawsze unieszkodliwiony.

Padł na kolana, złożył ręce i modlił się, głośno i żarliwie. Dziękował Bogu za nieoczekiwany ratunek z ustawicznego cierpienia, jakie mu sprawiała wymuszona przysięga. Gdy wykonał pierwszy potężny od-ruch serca, powstał i zapytał, nie, chciał zapytać, ale nie uczynił tego, gdyż drzwi się otworzyły a Kepek wetknął głowę i rzekł:

- Pieniądze były bardzo ciężkie; schowałem je; bardzo dobrze je ukryłem.

- Gdzie? - zapytał pan.

- W kuchni. Ukryłem je pod przyprawami, gdzie żaden złodziej nie będzie ich szukał. Są więc zupełnie bezpieczne. Daj mi pięćdziesiąt piastrów, panie!

- Pięćdziesiąt piastrów? 'Idką sumę! Nie mam ich dzisiaj! I po co 390 ci tyle pieniędzy?

-Potrzebna mi jest kawa, tytoń, mięso, mąka i wiele innych rzeczy.

-Allah ilAllah! Znowu? Wszak dopiero wczoraj czyniłeś zakupy!

Wyszedłeś po obiedzie i wróciłeś dopiero wieczorem, kiedy już było ciemno!

- O effendi, o emirze, czy chcesz mnie znowu zmarłwić tak bezpodstawnymi wyrzutami? Nie ma ani jednego służącego w tym mieście, który by tak szybko wszystko załatwił, jak ja to zwykłem czynić. Tiacę wprost oddech; nogi drżą z wewnętrznego wzburzenia, a chorowite me serce domaga się spokoju i odpoczynku.

- I gadulstwa w pierwszym rzędzie!

- Nie zasmucaj znów mego znękanego serca, o panie! Siedzę, zazwyczaj w kawiarni tak cicho, jak umarły w grobie. Wczoraj poczy- niłem zakupy dla ciebie i dla siebie; wiesz, dla nas wystarczą niezbyt wytworne potrawy; kiedy się jednak przyj muje drógich gości, wówczas i zakupy stają się droższe! Mogło by się zresztą obejść bez tego, abym był zmuszony te rzeczy wyjaśnia~ ci w ich obecności! Mamy wszak Święcić szczęśliwy powrót, dlatego też muszę wydać pięćdziesiąt pia- strów co najmniej.

- Ależ ja nie posiadam teraz pieniędzy!

- O, nieszczęście mego życia! O, ogrodzie moich trosk! Cóż powie właściciel kawiarni, gdy dofi przyjdę z próżnymi rękoma! Stracę honor i mogę się pożegnać z zaufaniem wszystkich mych bliźnich!

- Dlaczego?

- Gdyż jestem mu winien dwadzieścia piastrów; pożyczyłem je od niego celem zdobycia nowego glinianego garnka, na zakup którego nie pozwalała moja kasa.

- Czyż gliniany garnek kosztuje dwadzieścia piastrów?

- Nie. Dałem zafi pięćdziesiąt para, ale stłukł mi się po drodze; musiałem więc kupić drugi, który mi znowu wytrącił z ręki jakiś biegnący galopem osioł; roztrzaskał go w kawałki. Kupiłem trzeci i udałem się do kawiarni, aby uspokoić się i zapomnieć o tym przykrym

391 wydarzeniu. Ale pech chce, że usiadłem na nim przez nieuwagę, co przy wadze mego ciała, pojmujesz chyba, spowodowało, że pozostały z niego jedynie skorupy, które na nowo tyle zmartwiefi mi przyspo- rzyły, że nie byłem w stanie ruszyć się; pozostałem więc tak na ławie, gorliwie rozmy~lając nad szczątkami nieszczę~liwego garnka. I wtedy zlitował się nade mną mój przyjaciel, kahwedzi, i sam udał się na jarmark, aby kupić czwarty z rzędu nowy garnek; ten był większy i kosztował siedemdziesiąt para. Widząc tę całą tragedię garnków, zebrani tam przyjaciele i znajomi moi zlitowali się nad mym nieszczę~ściem i uczynili mi dobroczynną propozycję wypicia jednej kawy i jednej lemoniady na cześć trwałości tego czwartego garnka; oczywi~ście, chętnie zgodziłem się na to. Z jednej kawy i jednej lemoniady zrobiło się znacznie więcej na skutek wielkiego i szczerego współczu- cia tych dobrych ludzi, więc, jako człowiek światły, winieneś uznać za zupełnie zrozumiały fakt, że zadłużyłem się u kahwadziego na dwa- dziesiąt piastrów, które mu też muszę natychmiast zwrócić, nie chcąc narazić na wieczne czasy swojej i twojej czci.

Miałem wielką chęć roześmiać się z tej interesującej historii garn- ków, lecz powstrzymałem swą

wesołość na widok zasmuconego wyrażenia twarzy, jaki miał binbasi, wzdychając:

- Dwadzieścia piastrow za trzy stłuczone i jeden cały garnek! Ale jaką korzyść~, u licha, może mieć garnek, gdy się na cześćjego trwałości i na mój rachunek pije kawę i lemoniadę! Onbaszi, nie jestem wcale z ciebie zadowolony! I jakżeś mam ci dać pięćdziesiąt piastrow, skoro tak wielkiej sumy nie posiadam? Co zrobi~?

- Masz przecież pieniądze!

- Gdzie?

- W kuchni pod przyprawami! Tam nawet jest więcej, niż mi potrzeba, leży tam pełnych dwieście tysięcy piastrow! Mam nadzieję, żeś nie zapomniał o tym!

- Nie waż mi się tknąć tych pieniędzy!

- W takim razie zezwolisz mi sprawdzi~, z łaski swojej, czy nie

39Z masz gdzie paru piastrow, które uszły twej uwadze! Można było pęknać z uciechy, przyglądając się powadze, z jaką rozmowa była prowadzona. I'dkze Halef powstrzymywał się ze wszech sił, by się nie roześmiać; mrugnął do mnie pytająco, a gdy skinąłem mu, przyzwalając, rzekł do majora:

- Siedziałem w ciągu całego dnia w siodle i dlatego będzie dla mnie bardzo zdrowo, jeżeli się teraz trochę przejdę. Jeżeli pozwolisz binbasi, udam się natychmiast do miasta, aby zakupić to wszystko, co potrzebne jest onbaszemu.

A grubas wtrącił szybko i gorliwie, nie czekając na odpowiedź swego pana:

- 'Pdk, na to pozwalamy; pozwalamy nawet bardzo chętnie! P6j-dziesz i zapłacisz; ja także z tobą pójdę!

= Nie, ty zostaniesz, - odparł Hadzi. - Gdybym ciebie zabrał, powróciłibyśmy zapewne dopiero jutro; byłbym przy tobie jak małe szybkie ptaszę przy powolnym żółwiu.

- Ależ trzeba zwrócić pieniądze memu kahwedziemu, a ty go nie znasz i nie wiesz gdzie mieszka!

- O, ten może trochę poczekać! - stwierdził binbasi. - Ciebie do niego nie gnają dwadzieścia piastrow, któreś mu winien.

- A cóż, effendi? - zapytał grubas z najniewinniejszą miną.
- Chcesz mu opowiedzieć; chcesz opowiedzieć o dwustu tysiącach piastrów; chcesz nawet wyznać gdzie leżą, aby wykazać wielkość twej mądrości i rozwagi. Znam cię!
- Oh, jakie okropne posądzenie! Jeżeli sobie tego życzysz, będę o mniejszej; znacznie mniejszej sumie mówił. Czy dobrze będzie, jeżeli opowiem zaledwie o stu pięćdziesięciu tysiącach albo nawet o stu tysiącach piastrów? Chcę być skromny.
- Nie będziesz wcale mówił o tych pieniądzech; Hadzi Halef Omar sam pójdzie!
- Mówisz to tak stanowczo! Czy to rozkaz, któremu mam być

posłuszny?

393

‘1’ak.

Onbaszi podreptał tedy do ściany, złożył ręce i siadając w opisanej

l~ ~l PozS’cJi, ~c~ł j~W

- W takim razie siądę i już nie wstanę! Jeżeli Halef ma przynieść te rzeczy beze mnie, może je też sam upiec i ugotować! T~udno, zgadzam się, skoro innej rady nie ma. Więc będę siedział! Bardzo jednak ciekaw jestem tego, coście przeżyli w czasie waszej obecnej jazdy i proszę cię, Hadzi Kara Ben Nemzi effendi, opowiedz mi to wszystko, skoro już mam tu siedzieć beczynnie!

Halef szybko i energicznie zaprotestował:

- Nie, nie! Effendi, przyrzeknij mi, że będziesz milczał i ani słowa nie powiesz aż do mego powrotu, wiesz, że tylko ja mam dar wymowy i powołanie do zachwycającego sposobu opowiadania. Sprawisz mi jedną z największych rozkoszy ziemskich, skoro udzielisz mi prawa być jedynym, a w każdym razie pienszym opowiadaczem przygód w Birs Nimrud! Usilnie cię więc proszę, aby~ czekał do mego powrotu. Zgoda, drogi sidi?

-‘Idk - odparłem.

- Nie powiesz ani słowa?

- Nie. Nie chcę cię pozbawiać radości; ale pamiętaj, jeżeli zbyt długo zabawisz w mieście, a potem będziesz zajęty jeszcze w kuchni, cierpliwość binbasiego i onbaszkiego wystawiona będzie na zbyt wielką próbę.

- Pośpieszę się, pośpieszę się, sidi! Będę formalnie skakał. Nie mam wcale zamiaru piec czy gotować, lecz zakupię jedynie takie potrawy, które będziemy mogli zjeść tak, jak je przyniosę. Będziesz więc spokojnie czekał i nic nie powiesz?

- Zgoda. Lecz pół godziny tylko, nie dłużej!

- 'Ib wystarczy; wrócę wcześniej, znacznie wcześniej! Bądź więc tymczasem zdrow i trzymaj język za zębami!

Przy ostatnim słowie był już za drzwiami, a gdy wrócił, upłynęła zaledwie połowa drugiego kwadransa; kąpał się cały w pocie, tak się 394 śpieszył.

- Wszystko jest w kuchni! - oznajmił. - Co teraz ma być; opowiadanie czy jedzenie?

- Opowiadanie - odrzekł binbasi.

- Jedzenie - zawołał grubas.

- A może jedno i drugie? - zapytałem.

- Nie jednocześnie! - prosił Halef. - Usta moje nie są wrotami, którymi można jednocześnie wjeżdżać i wyjeżdżać. W tym samym czasie, gdy do ust wezmę kawał mięsa, nie mogą wszak wydobyć na wargi piękna mej wymowy. A poza tym, rwący potok wymowy nie tylko pójdzie w ciefi, lecz się zupełnie zatraci przy wymogach żołądka i pracy zębów!

- A więc opowiadaj teraz, a potem będziemy jedli! Kepek nie umrze tymczasem z głodu.

Grubas odpowiedział równie głębokim i długim, jak i przeczącym westchnieniem, przy czym dotknął rękoma tego miejsca, gdzie pod grubą warstwą tłuszczu winien się być u niego odbywać szlachetny przebieg trawienia. Halef, nie bacząc na to, przybrał odpowiednią po-stawę i rozpoczął swą opowieść z miną, z której można było wywnio-skować, że usłyszemy arcydzieło wschodniej wymowy:

I usłyszeliśmyje! Na tym krótkim stwierdzeniu niechaj poprzesta-nę. Wspomniałemjuż niejednokrotnie o jego sposobie wyrażania się, więc zadawolę się jedynie skonstatowaniem, że osiągnął całkowicie zamierzony skutek. Zrywając się często, by słowa swe podkreślić energicznymi ruchami, porwał formalnie binbasiego; a nawet Kepe-ka, który siedząc oparty o ścianę, tak przejął się opowieścią, iż, niepomny na zachowanie równowagi, coraz bardziej obsuwał się, tak że gdy Halef wreszcie zakoficzył swą opowieść bombastycznym zda-niem, biedny Kepek uderzył głową o podłogę.

- Jakie niebezpieczne a zadziwiające wydarzenie! - zawołał bin-basi. - Wprost nie do uwierzenia, żeście coś podobnego przeżyli!

- Już po mnie! - skarżył się grubas. - zainteresowanie mnie

395 zabiło; wszystkie członki bolą mnie z zachwytu! Pomocy, pomocy! Hadzi Halefie podnieś mnie!

Halef wszelkimi siłami starał się zaspokoić tę prośbę. I gdy wreszcie podniósł jak rak czerwonego z wysiłku służącego, ten klasnął grubymi rękami i przyznał, przewracając z podziwu małymi, ledwie widocznymi oczyma:

- Naprawdę jesteście bohaterami! Nie ma dla was nic trudnego i wielkiego! Więc ten ryczący lew, Sefir, jest w niewoli, naprawdę w niewoli?

- 'Pak - odrzekł Halef dumnie. - Jest wszystko dokładnie tak, jak opowiedziałem. 'I ten ryczący lew, jak go nazywasz, jest teraz zdeptanym robakiem, który wam już nic złego nie może uczynić.

- Boję się go jednak - odrzekł binbasi. - Sefir jest tak niebezpiecznym człowiekiem, że dopiero wtedy będę mógł się go nie obawiać, gdyż już żyć nie będzie. 'Ib że, mimo mego ostrzeżenia, z nim zadarliście, było wielką odwagą, było nawet zuchwalstwem. Podziwiam, effendi, twoją odwagę i spryt; jestem ci winien dozą wdzięczność, że przy tym o mnie pamiętałeś; ale wtedy dopiero będę całkowicie spokojny, gdy usłyszę, gdy będę wiedział z całą pewnością, że Sefir nie żyje.

Chciałem mu na to odpowiedzieć; rozległo się jednak z zewnątrz przy furtce, silne pukanie.

- Ktoś idzie, emirze. - rzekł Kepek do swego pana. - Idź ty, by zobaczyć, kto to jest. Jestem tak zmęczony, tym, co usłyszałem, że znowu muszę usiąść.

I znów podczołgał się pod ścianę, a posłuszny binbasi poszedł ku bramie. Upłynęło dość dużo czasu, zanim powrócił; nie wrócił sam, lecz w towarzystwie ... Amuhda Mahuli, któremu przed rozstaniem się podałem dokładny adres naszego bagdadzkiego przyjaciela.

- Wybacz, effendi, że cię już dzisiaj trudzę! - pozdrowił mnie Mahuli. - Chciałem cię dopiero jutro odwiedzić; ale pasza gowierzył mi te oto dwa listy, które jeszcze dzisiaj winienem wam wręczyć.

Tb rzekłszy, wyjął z kieszeni dwa pisma, z których jedno oddał binbasiemu, drugie zaś mnie. Adres do mnie brzmiał: „Emir Kara Ben Nemzi effendi”; list do naszego gospodarza zaś zatytułowany był nie binbasi, lecz mir alai, pułkownik.

-Albo to omyłka, albo też list ten nie jest do mnie pisany! -rzekł binbasi.

- Bynajmniej, żadna omyłka; list należy do ciebie - odrzekł Amuhd Mahuli, uśmiechając się. - Przekazałem tutejszemu paszy długie, wyczerpujące sprawozdanie od Osman Paszy, które zna o nas wszystkich bardzo pochlebnie mówiło, albowiem tutejszy pasza prze-czytawszy pismo, podwoił swą uprzejmość~ względem mnie, podał mi rękę i potwierdził moją nominację na majora. Kazał następnie podać kawę i fajki; musiałem się doń przysiąc i opowiedzieć szczegółowo o wszystkim. Poczym napisał te listy i mnie do was przysłał. Biorąc list spojrzałem na adres i pozwoliłem sobie zwrócić mu uwagę, że zamiast binbasi, napisał mir alai; wówczas odpowiedział mi, że tego sobie życzy Osman Pasza; jutro zaś wieczorem osobiście dopowie wam resztę.

Otworzyliśmy listy; zawierały niezwykle grzeczne zaproszenie na kolację do paszy na dziefi następny, więcej nic; ale to wystarczyło!

- Zaproszenie do paszy! Ja u paszy! I ta wyższa szarża! - zawołał poruszony starzec. - Co to ma znaczyć?

- Że Osman Pasza dotrzymał mi słowa - odrzekłem. - Jesteś zrehabilitowany, jak to się u nas nazywa i jeszcze więcej; mam prze-czucie, że dowiesz się jutro o swej nominacji na pułkownika.

Wypuścił list z rąk i westchnął:

- Oby to rzeczywiście było prawdą! Brakjedynie stracenia Sefira, żeby przynajmniej w tym zakresie zwrócić mi spokój i równowagę ducha.

- Stracenie Sefira? - zapytał A~uhd Mahuli: - Przecież j už nie żyje!

- Nie żyje? - zapytałem. - Nie wiem nic o tym!

Amuhd Mahuli obrzucił mnie znaczącym, porozumiewawczym spojrzeniem i odparł:

- Umarł tak, jak mu przepowiedziałeś, sisi.

- Kiedy i gdzie?

- Kiedy ... jeszcze w wieczór tego samego dnia ... Gdzie ... w więzieniu; sam się powiesił.

- Sam ... ?

- 'Ihk, sam. Osman Pasza był u niego w więzieniu, by go przesłuchać, po czym celę zamknęto. Gdy w pół godziny potem przyszedł dozorca z wodą, Sefir już nie żył. Powiesił się.

- Kiedy i kto ci o tym opowiedział?

- Dzisiaj rano jeszcze, gdy u mnie spałeś a Osman Pasza kazał mi do siebie przyjść, ażeby mi polecić wyjazd razem z wami, opowiedział mi o Sefirze.

- Dlaczegoś więc przemilczał to wydarzenie?

- Albowiem Osman Pasza prosił mnie o przyrzeczenie, ażeby ci opowiedzieć o śmierci Sefira dopiero w Bagdadzie. Może ty wiesz, jakie miał ku temu powody?

Oczywiście, zdawałem sobie z tego sprawę. Osman powiedział bowiem Seńrowi, że jeszcze dzisiaj zostanie powieszony i jego słowo się spełniło. Ażeby wyjaśnić okoliczności, nie musiałem bynajmniej wracać do Hilleh, by się tam o szczegółach u surowego sędziego poinformować; nie powiedział by mi ich zresztą; z drugiej zaś strony mogłem sam sobie na wszelkie ewentualne zapytania odpowiedzieć. Niezmierne wrażenie wywarła wiadomość o śmierci Sefira na mo-im binbasim. Opadł z niego wszystek strach i troski; jak oszalały kręcił się po pokoju, zapomniawszy o swoim wieku. Kepek natomiast wyrażał radość~ o wiele ciszej. Nie zabrakło mu jednak siły, by zapytać Halefa, czy istotnie jedzenie już się znajduje w kuchni. Pytanie to przypomniało binbasiemu o obowiązkach gościnności; poprosił, aby Halef przyniósł potrawy i zaprosił Amuhda Mahuli nie tylko do wzięcia udziału w wieczerzy, lecz i do zagospodarowania się u niego 398 na cały czas pobytu w Bagdadzie; miejsca bowiem było więcej niż dosyć w starym domu. Były chorąży a obecny major przyjął z wielką ochotą ofiarowaną sobie gościnę. Spożyliśmy posiłek, składający się z samych zimnych dafi, w wyjątkowo wesołym nastroju. Halef był w cudownym humorze, gdyż pozwoliłem mu opowiadać całe niemal legendy o naszych „bohaterskich cz5mach”; nie mniejszą jednak atrakcją był gruby Kepek, pieczołowicie i bez wytchnienia poruszający szczękami; w niezmiernym skupieniu pochłaniał dary Boże. Po spożyciu posiłku zajęliśmy się kofimi, którym również należała się „uczta zwycięstwa”, jak Halef pośpieszył się wyrazić. Zakoficzyli-śmy ten pamiętny dziefi, odpoczywając

na płaskim dachu i puszczając chmury dymu z długich tšzibuków Zaproszenie paszy dotyczyło również Halefa; także Amuħd Mahu-li miał się tam zjawić. Przybywszy do pałacu, stwierdziliśmy zdumieni, iż zapowiedziana skromnie wieczerza okazała się przyjęciem, na któ-rym obecni byli wszyscy wyżsi ońcerowie paszy i szereg Indzi wysoko postawionych. Nastrój, początkowo bardzo uroczysty i sztywny, po wypaleniu kilku tšzibuków stawał się coraz to swobodniejszy. Na odchodnym pasza żegnał oddzielnie każdego z nas. Podając rękę staremu binbasiemu, który zjawił się w mundurze z dystynkcjami majora, rzekł:

- Zawiadamiam cię, że padyszach, bodaj go Allah miał w swojej opiece, podniósł cię do godności mir alai; nominację otrzymasz w najbliższych dniach. Nie, nie mnie należy się podziękowanie, lecz Kara Ben Nemzi effندیemu, któremu zdaje się, nawet władca wszy-stkich wiernych nie jest w stanic odmówić żadnego życzenia. Przy tych słowach uśmiechnął się porozumiewawczo do mnie. Przyjęcie było skoficzone; opu~ciliśmy pokoje, przechodząc przez długi szpaler kłaniających się nisko urzędników, aby następnie do-siąść białych osłów, które to „rumaki” pasza kazał przygotować do naszej dyspozycji.

Niespodziewanym następstwem awansu starego był fakt, iż Halef 399 w swoich opowiadaniach, niezależnie od „dotychczasowy kol agasi a obecny binbasi”, zaczął używać zwrotu „dotychczasowy binbasi a obe-cny mir alai”. Kepek zaś przybrał jeszcze bardziej na wadze, zyskując równomiernie na dumie jako sh~żący i zaufany samego mir alai.

KUNIEC